

II/683  
LEON KARŁOWICZ „RYDZ”

SS. 16-37  
317-324  
+ opis reszty

W S P O M N I E N I A

1939 - 1944

Praca wyróżniona  
I nagrodą  
w konkursie Środowiska  
27 Wołyńskiej Dywizji

## S Ł O W O   W S T Ę P N E

Przystępując do swych partyzanckich wspomnień nie miałem ambicji pisania historii naszej dywizji, batalionu czy choćby kompanii. Zrobią to mam nadzieję inni, bardziej do tego powołani. Wychodzę jednak z założenia, że dzieje naszej wielkiej i zasłużonej jednostki bojowej, jaką była 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK, jej sukcesy i porażki, dni chwały i dni tragedii, są niczym innym jak sumą sukcesów i porażek nas wszystkich - pojedynczych partyzantów - żołnierzy, tych nawet którzy nie tylko nie nosili karabinów, lecz tymi<sup>2</sup> karabinami czasem buty łatali lub przy zakopconym kotle przyrządzali posiłki.

Byliśmy zgrani, rozumiejący się, zmierzaliśmy świadomie do wspólnego celu. Ale każdy z nas przeżył tamten długi, jak na warunki partyzanckie, szlak bojowy, trochę inaczej, każdy miał inne rozterki duchowe, inne doznania, chwile radości, wzruszeń, tęsknot lub zwykłego ludzkiego stępcu. Każdy kierował się własnymi motywami działania, mimo, że podlegał tym samym rozkazom. Dlatego też każdy żołnierz naszej dywizji gdyby mógł, chciał, umiał i miał warunki do opisania swej partyzanckiej drogi, stworzyć by mógł bez wątpienia rzecz ciekawą, oryginalną i wyrtościową dla historii tamtych niezapomnianych czasów. Z takich najzupełniej osobistych wspomnień powstać by mogła księga nie mniej ważna i ciekawa niż ścisłe, rzeczowe i obiektywne zbiory faktów, dat, nazwisk dowódców i bezspornych zdarzeń. Pod warunkiem jednak, że był by to relacje szczere, bez szminki i retuszu, bez przybierania się na poży bohatera i wszechwiedzącego człowieka - słowem bez tego wszystkiego co nie idzie w parze ani z uczciwością, ani z prawdą, a co się różnego typu autorom aż nazbyt często przydarza.

Nie roszczę pretensji do ścisłości historycznej moich wspomnień. Brak mi do tego koniecznych źródeł, dokumentów, czy choćby zestawienia faktów w formie n. p. szczegółowego kalendarium zdarzeń. Nie mam nawet dokładnej mapy, na której mógłbym sprawdzić przebytą przeze mnie czy mój oddział trasę. Poprzestaję wyłącznie i całkowicie świadomie na własnej pamięci, w której - rozumiem to dobrze - po 40 latach jakie minęły od opisywanych przeżyć, nie jedno zatękało się, zniekształciło lub po prostu uległo zapomnieniu. Dlatego unikam dat, nazwisk, często nawet pseudonimów, ograniczając się do niektórych tylko niezbędnych i pewnych. Jeżeli miałem wątpliwości, mówiłem o tym wyraźnie i otwarcie, lub powoływałem się na tego, kto mi o odnośnych wypadkach opowiadał. W paru sytuacjach musiałem zwrócić się do kolegów z prośbą



o pomoc w ustalaniu faktów, za co składami im na tym miejscu serdecznie podziękowania.

Główny nacisk starałem się położyć na własne przeżycia i doznania. Pragnęło, spojrzeć na mianione wypadki oczami ówczesnego "ja" z lat 1943 i 44, przedstawić je w miarę możliwości tak, jak jak zapisał się w tamtej młodej pamięci. Chciałem przede wszystkim uchwycić choćby w niewielkiej części nastrój panujący wtedy wśród naszej szarej partyzanckiej braci, w czasie gdy byłem w oddziale a potem w szpitalu dywizyjnym. Próbowałem odtworzyć ów jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny klimat uczuciowy i taktyczny dni, którego wielu pamiętnikarzy unika jak czegoś wstydliwego, zbyt sentymentalnego, czy może nie liczącego z męską żołnierską postawą. On tymczasem był wielokrotnie głównym podłożem i siłą napędową większości naszych poczynań.

Byłem od początku do końca żołnierzem najpierw oddziału, później batalionu por. "Jastrzębia", stąd też moje wspomnienia dotyczą wyłącznie prawie tego oddziału i jego dowódcy. Lecz niech nikt nie sądzi, że wyrażając się z uznaniem o swym przełożonym miałem inne bataliony i służby, innych dowódców i ich żołnierzy. Tych innych po prostu nie znałem na tyle, by móc o nich wypowiadać swą swoje sądy. A jeśli zdarzyło się od czasu do czasu napisać o nich jakieś zdanie, to ograniczałem się zwykle do zaskysanych opinii i te tylko przytaczałem. W trakcie wspomnień wyrażałem swój najzupełniej subiektywny stosunek do "Jastrzębia" oraz stosunek do niego moich najbliższych kolegów i przyjaciół. Jeśli inni przyznają mi rację, jeżeli ich odczucia i sądy okazują się zbliżone do moich, sprawi mi to prawdziwą radość i satysfakcję. Jestem poza tym zdania, że każdy żołnierz ma nie tylko do tego prawo, lecz także i obowiązek wyrażać zawsze wyłącznie własny sąd o swojej jednostce i o swoim dowódcy czy dowódcach. Tu żadne nakazy ani sugestie obowiązywać nie mogą.

Byliśmy młodzi, bez doświadczenia, wychowani w innych niż dzisiaj warunkach, w innym duchu, nasza młodość upływała w czasach specyficznych, w których wszystko zdawało się być trwałe, uporządkowane, bliskie sercu. To też mało miały wpływ na charakter naszego postępowania a tym samym i na charakter moich wspomnień.

Zamieszczone w początkowych rozdziałach informacje o Zasmakach od wybuchu wojny do czasów poprzedzających powstanie oddziału "Jastrzębia" chociaż nie są zgodne z obowiązującą dziś oficjalnie ideologią są odbiciem prawdziwych zdarzeń, dlatego ich też nie pominąłem, zwłaszcza, że i one nie pozostały bez wpływu na naszą późniejszą postawę. Dialogów, którymi od czasu się posługuję, nie należy traktować jako na wskroś oryginalne. Staralem się tylko, by zawarta w nich treść

nie miała nic z fałszu.

A wszystko to pisałem z myślą o moich wnukach, może i prawnukach, aby umożliwić im poznanie kiedyś prawdy tamtych czasów.

Z A S M Y K I

Motto

" U schyłku życia winno się dołożyć wszelkich starań, aby jak najwięcej pozbiierać wspomnień i wrażeń doznawanych niegdyś. Nielicznym uda się stworzyć arcydzieła, ale wszystkim dane jest możność ocalenia czegoś, co bez tego drobnego wysiłku zostałoby stracone na zawsze ".

" Giuseppe Tomasi di Lampedusa -  
"Miejsca mojego dzieciństwa" /

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że moja rodzinna wieś włącznie kiedyś do historii Wołynia i dobrze się w tej historii zapisze. Tu bowiem, jak również w najbliższej okolicy powstało, jak sądzę, najwięcej oddziałów i służb, które w późniejszym czasie weszły w skład 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. W przedostatniej fazie tragicznego choć nie pozbawionego bohaterstwa i bezprzykładnej ofiarności zegnania się ludności polskiej z Wołyniem, nie wiadomo na jak długo, Zasmyki odegrały nie najmniejszą ~~rolę~~ rolę.

Któż w drugim półroczu roku 1943 i pierwszym następnego roku mógł przypuszczać, że wypadki dziejowe potoczą się w sposób przechodzący wszelkie ~~szlaki~~ przewidywania i wyobrażenia? Że zmienią obraz naszej ziemi, naszego kraju, a nas, ludzi Kresów Wschodnich, rozrzucą jak liście jesienne po całej Polsce, bo - po świecie nawet. Nasze rodzinne wioski, miasta, miasteczka, ich prawdziwe dzieje i wkład w święte dzieło walki o wolność w czasach wielkiej próby zaczynają gnić w mrokach niepamięci, gdyż młode pokolenie Polaków nazbyt mało o tych dziejach wie. Nawet synowie i wnuki Kowelan, Zasmyczan, byłych mieszkańców Łucka, Włodzimierza, Równego i tylu wołyńskich miast niewiele umieliby powiedzieć o rodzinnych stronach swych ojców i dziadków. To szczęście dopóki żyją jeszcze mieszkańcy kresów, dopóty żyje w nich samych i historia tamtych ziem, ludzi, zdarzeń, choć nie spisana jeszcze do końca. Dlatego tym większy obowiązek spoczywa na naszym pokoleniu, by chlubne dzieje sprzed 40 laty zachować i ocalić od zapomnienia.



Kładąc wspomnienia własnej drogi partyzanta i żołnierza pragnęłam w miarę sił i umiejętności choć trochę miejsca poświęcić mojej rodzinie w wiosce - Zasmykom i od niej rozpocząć swą relację.

Wkładu Zasmyk w dzieło powstawania oddziałów kowelskich 27 dywizji nie sposób ustalić ściśle i jednoznacznie. Wiele spraw i zdarzeń dokonało się samorzutnie, bez intencji i woli mieszkańców wołyńskich wsi i miast. Na liczne skutki i późniejsze następstwa, jeśli ićzie o moją rodzinę, wieś i jej udział w wypadkach tamtych dni wpływ miały między innymi takie obiektywne elementy, jak położenie geograficzne, topografia terenu, warunki narodościowe i etnograficzne oraz społeczne i kulturowe. W pewnej mierze nax całokształt wydarzeń w tej miejscowości złożyły się również poziom umysłowy ~~tamtejszej~~ tamtejszej ludności, ich samowiedza, znajomość ówczesnej sytuacji i własnego w niej miejsca, stopień zaswansowania konspiracyjnego Ruchu Oporu, wreszcie autorytet jakim cieszyła się wieś u sąsiadów - Ukraińców. <sup>4</sup>ecz niezależnie od tego, co wyżej powiedziałem, historia kroczy często drogami trudnymi do wytłumaczenia, rządzi się prawami wykraczającymi poza zwykłe ludzkie pojmowanie rzeczy i dopiero po latach specjaliści i wnikliwi badacze są w stanie ustalić logiczny łańcuch przyczyn i skutków dla zaustaniałych w przeszłości faktów. Czas najlepiej weryfikuje obiektywne zdarzenia i oddaje sprawiedliwość prawdzie.

Nie wglębiając się przedto za bardzo w zawikłości zbyt trudne dla nie-badacza, lecz poprzestając na subiektywnych na pewno świadectwach branych z autopsji, chciałbym nakreślić przynajmniej niektóre cechy charakterystyczne mojej miejscowości, w której przez dłuższy czas mieścił się ośrodek dyspozycyjny działań, zwłaszcza organizacyjnych, oddziałów 27 DWP AK.

Zasmyki były niewątpliwie największą miejscowością polską w powiecie kowelskim, a może i nie tylko kowelskim. Liczyły prawie sto tak zwanych "numerów". Wśród mieszkańców - Polaków były zaledwie dwie rodziny niemieckie: Sztobnerów i Rynców, spolszczone jednak do tego stopnia, że nawet zatraciła niemiecką pisownię swych nazwisk. A gdy w roku 1940 w wyniku porozumienia III Rzeszy z ZSRR o wymianie ludności rosyjskiej i niemieckiej ci ostatni opuszczali Wołyń i przenosili się do Waterlandu, obie wspomniane zasmyckie rodziny wolały pozostać na miejscu, wyżej ceniąc sobie Polskę od państwa Hitlera. Syn Sztobnera, właściciela wiatrak w Zasmykach, przypłacił zresztą życie swoją decyzją pozostania w Polsce, gdy 19 stycznia 1944 r Niemcy pacyfikowali naszą wieś.

Rozciągały się Zasmyki na przestrzeni liczącej ponad 5 kilometrów. Droga między zabudowaniami wiała się faliste za wschodu na zachód łagodnie wstępując krańców Rokitnicy aż do piórkowickich chutorów. Tylko mniej więcej na środku wsi tworzyła kilometrowy bez mała meander w kształcie wielkiego znaku zapytania, skręcając najpierw z zachodu na południe, potem znowu początkowo na północny zachód, a następnie prosto na zachód. Na tym właśnie

zakolu ukształtowało się centrum wszelkich najważniejszych przejawów życia wsi. Tu wybudowany został kościół, szkoła, nieco na północ w kierunku Białoszowa wyznaczono miejsce na cmentarz grzebalny, obok kościoła w domu Zygmunta Sładkowskiego mieściła się świątelnica młodzieżowa, a w szkole wybudowanej w środku całej wsi, odbywały się wszelkie zebrania gromadzkie, imprezy kulturalno-oświatowe, słowem wszystko, co składało się na pojęcie życia zorganizowanego i rozumiejącego się społeczeństwa. Wówczas mieszkali w tym domu Franciszek Domański, który po wojnie urząd odkąd sięgnę pamięcią aż do wybuchu II wojny światowej. W końcu później, po zakończeniu kampanii i zorganizowaniu nowej władzy, ta część Zasmuk nie przestała odgrywać roli jaką pełniła poprzednio. Sytuacja taka pozostawała do końca, zanim nie pozbawiono wsi zarówno dawnego znaczenia jak i samej nazwy.

Na zachód od kościoła i szkoły gleby były piaszczyste, nieszyt uprawiane, co jednak nie przeszkadzało mieszkańcom w uzyskiwaniu całkiem niezbyt niezłych plonów, głównie dzięki pracowitości i starannej uprawie roli. W kierunku wschodnim piachy przechodziły stopniowo w urodzajne pszenno-buraczane czarnoziemy, na których zboża rosły pięknie i dorodnie, lecz za to <sup>w okresie</sup> jesiennych deszczów i wiosennych roztopów gleba zamieniała się w istne topielisko, trudne do przebycia. Ludność dorosła i dzieci szkolne w drodze do kościoła lub szkoły próbowały omijać one przepastne błota wydeptując ścieżki na przełaj przez łąki i pola, co jednak niewiele pomagało. A buty gumowe, które pozwoliłyby spokojniej drogę tę przebyć, należały jeszcze wtedy do zupełnej rzadkości.

Wieś nie należała do bardzo zamożnych, ale nie cierpiała też nędzy. Umiejętna gospodarka i oszczędność sprawiały, że na przednówku nie odczuwano się zbyt niedostatku. Chleba na ogół nie brakowało. Domy i wszelkie zabudowania gospodarskie kryły się przeważnie pod słomianymi strzechami, a tylko gdzieś spotkać można było blachę, dachówkę, czy eternit. Przed samą wojną domów krytych materiałami ogniotrwałymi zaczęło przybywać coraz więcej, lecz mieszkań marowanych <sup>nie</sup> spotykało się zupełnie. Z cegły był tylko kościół, dzięki żąkom mieszkańców całej parafii w ostatnich latach poprzedzających wybuch wojny. Do końca nie udało się wykończyć. Dziś powiedzieliby się, że kościół powstał w sposób społecznym i zbudowany został sposobem gospodarczym, lecz wtedy nomenklatury takiej nie stosowano. Mówiło się po prostu, że w Zasmuku powstaje parafia, że buduje się kościół, szkołę i to każdemu wystarczyło. Kładziono cegłę po cegle przez kilka lat, od początku, to jest po położeniu fundamentów, pełnił funkcję głównego architekta, technika, kierownika budowy, inspektora budowy, inspektora nadzoru i czego tam jeszcze było, których to funkcji trudno by dziś wyobrazić sobie jakkolwiek



Wysoki mocno zbudowany, z rękami wojskowymi i donośnym głosem, niepospolitej energii umiał trzymać ład i porządek w nowo powstałej parafii. Z jego inicjatywy zorganizowany został w Zasmykach Związek Rezerwistów, przychodzących na niedzielne nabożeństwa do kościoła w szyku zwartym pod komendą Zygmunta Sładowskiego i dopiero na placu kościelnym dawano komendę "rozsejść się".

Ksiądz zwykle nakładał również czapkę wojskową i przyjmował od dowódcy raport. Swoją sprężystość i ruchami kojarzył się z Mickiewiczowskim księdzem Robakiem. Władać było, że żołnierka nie była mu obca, a patrząc na warównane szeregi i przebiegające się na baczność rezerwistów był dumny ze swojego wojska i uśmiechał się dyskretnie z zadowoleniem. Zresztą przyznać trzeba otwarcie, że tych kilkudziesięciu mężczyzn z Zasmyk i okolicznych wsi, umundurowanych jednolicie, rosłych i pewnych siebie prezentowało się nad wyraz imponująco, a niejeden z nich dobrze zasłużył się zarówno w kampanii wrzesniowej, jak później w naszej dywizji.

Nie tak dobrze wyglądały szeregi Związku Strzeleckiego, w znacznym stopniu dzieło ówczesnego naszego kierownika szkoły - Władysława Siudaka. Si nie mieli wprowadzić także jednolite zielone maciejówki na głowach, ale niektórzy tylko mundury. Byli to chłopcy przed wojskiem, nie znali jeszcze tajników musztry, nie mieli takiego poczucia dyscypliny, dlatego rezerwiści traktowali ich trochę z góry. Czasem odbywali wspólne ćwiczenia, co na pewno nie poszło na marne i bardzo przydało się w czasach samoobrony i partyzantki.

Niemalże znaczenie w zaprawie żołnierskiej miała młodzieżowa drużyna "Orląt", zorganizowana i prowadzona na wzór drużyn harcerskich, tylko, jak mi się wydaje, odbywała więcej od harcerzy ćwiczeń i zajęć typu wojskowego. Opiekę nad nią sprawował z wielkim poświęceniem i zawsze pełen inicjatywy niezapomniany nauczyciel miejscowej szkoły - Tadeusz Kempe. Urządzał nam różnego rodzaju nocne pochody. Często wspólnie ze Strzelcami, zaprawiał do życia obozowego, uczył pokonywać trudności, przeciwności, radzić sobie w najrozmaitszych sytuacjach. Nikt spośród "Orląt" nie pozostał potem poza szeregami naszej dywizji.

Poza tym istniały w Zasmykach także związki młodzieżowe, takie jak Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, bardzo czynne i ciągle widoczne w najrozmaitszych sytuacjach. Użyły częsta nosiły jednolite mundury i białe bluzki z niebieskim krawatem. Na nabożeństwach lub w czasie świąt narodowych wśród młodzieży przeważały ubiory organizacyjne i były przedmiotem dumy ogółu mieszkańców wsi i naszej parafii. Wszystko to miało niewątpliwie wpływ na kształtowanie charakterów zwłaszcza młodych ludzi, na budzenie uczuć patriotycznych, podnoszenie poziomu umysłowego i stwarzania klimatu wyzwalającego potrzebę ciągłego doskonalenia się.

Znaczną rolę w wychowaniu młodzieży odegrało także tajne nauczanie. Najpierw, tj. niedługo po zakończeniu kampanii wrześniowej prowadził go Jakub Kropielnicki z żoną, - uciekinierzy z Warszawy - później, za okupacji Niemieckiej tajne nauczanie prowadził profesor gimnazjum kowelskiego - Władysław Zabierowski pod nadzorem i duchową opieką ks. Żukowskiego, jak również przy jego współudziale. Pp. Kropielniccy skupili niewielką gromadkę chętnych: uczęszczali na powązsze Kompluty Joanna Zamościńska, Monika Sładowska, Janina Walczakówna, Elżbieta Rowińska, Czesław Rybak i jeszcze parę osób. Znacznie szersze grono uczniów zdołał pozyskać prof. Zabierowski. Do domu Józefa Brudka, gdzie mieszkał i uczył prof. Zabierowski m. in. Joanna Zamościńska, Irena Żolnikówna, Alicja Scelinówna, Tadeusz Dunajski, Leokadia i Bożena Frankowskie. Tadeusz Scelina, piszący te słowa i jeszcze kilka osób, których nazwiska uleciały mi w tej chwili z pamięci. Wszyscy tutaj wymienieni znaleźli się bez wyjątku w szeregach dywizji w oddziałach lub w służbie sanitarnej i kurierskiej. A warto też dodać, że uczniami na omawianych kompletach byli młodzi mieszkańcy nie tylko Zasmyk, lecz Janówki, Piórkowicz, a nawet dość odległego Zasmyk Radomla.

Dzikały prócz tego w Zasmykach i to bardzo intensywnie, inne jeszcze organizacje i koła zainteresowań, spajające wieś i kształtujące oblicza jej mieszkańców. Istniało na przykład dobrze pracujące Kółko Rolnicze, które w sprawach zawodowych - rolnych odgrywało niemałą rolę, szerząc oświatę rolniczą - wprowadzając nowe, lepsze odmiany zbóż, nawozy mineralne itp. Nie zdołało objąć wszystkich gospodarzy, ale miało perspektywę na pewno piękne i obiecujące.

Istniał wreszcie we wsi Amatorski Zespół Teatralny, zrzeszający dorosłych i młodzież szkolną. Zespół dorosłych dawał każdego roku doskonałe przedstawienia reżyserowane przez kierownika szkoły, Władysława Siudaka, a należała do niego zarówno młodzież jak kuzynki i siostry nie tylko z naszej wsi, lecz także z Janówki, Piórkowicz, Gruszcówki i chociaż próby odbywano zazwyczaj wieczorami, nie przerażała uczestników parokilometrowa podróż późną nocą do domu, by po krótkim odpoczynku zabrać się do prac gospodarskich, a nazajutrz spieszyć się znowu na próby i zajęcia zespołu. Praca owego Zespołu dawała doskonałe efekty, a przedstawienia organizowane w szkole gromadziły każdorazowo tłumy publiczności. Zespół uczniowski nie reprezentował takiego poziomu co dorośli, lecz wpajał w swych członków potrzeby wyższych, ciekawszych zainteresowań i dobrze wychowywał dla przyszłości. Pisaniem o tym szerzej na łamach miesięcznika "Scena" w roku 1975.

Gdy się doda do tego pięknie i w duchu głęboko patriotycznym



organizowane imprezy z okazji świąt i rocznic narodowych, akademie, zawody i imprezy sportowe itp., Będzie to obraz życia społeczno-kulturalnego w tej miejscowości.

Ale oprócz Zasmyk leżały w najbliższej okolicy także inne wsie, które choć mniejsze, wykazywały taką prężność organizacyjną, ofiarność np. w budowie kościoła, udział w różnych pożytecznych inicjatywach i poczynaniach.

Na północny zachód od Zasmyk znajdowały się wsie: Janówka z przewagą ludności polskiej, prócz której była tylko jedna rodzina ukraińska i kilka niemieckich, dalej Batyn i Radomle - podobnie jak Janówka z wyraźną przewagą Polaków, wreszcie Stanisławówka, niewielka wioska, także z przewagą ludności polskiej. Dalej w kierunku Kowla leżał Lubatyn, gdzie element polski ulegał ilościowo narodowości ukraińskiej.

Na południe od Zasmyk były dwie polskie wsie: Hol-Piórkowicze, złożone z kolonistów przybyłych w okresie międzywojennym głównie z Lubelszczyzny i osiedlonych tam na stałe na terenach rozparcelowanego majątku ziemskiego, a nieco na wschód - Gruszówka, dzieląca się podobnie jak Piórkowicze, na część Polską i ukraińską. W "polskiej" jak i w "polskich" Piórkowiczach ludność wykazała wspaniałą postawę patriotyczną, gdy nadszedł czas próby ...

Na zachód od Zasmyk leżała tylko kolonia Tahaczyn, zamieszkała przez przyjezdnych z lewej strony Bugu kolonistów osiedlonych, podobnie jak w Piórkowiczach na terenie rozparcelowanego majątku, dzierżawionego poprzednio przez Wacława Paula, późniejszego tłumacza w urzędach niemieckich w Kowlu. On był ziemianin, jak się okazało, dobrze służył sprawie polskiej w załatwianiu różnych potrzeb, dostarczaniu informacji itp. Jego syn Janek, był do końca żołnierzem, naszej partyzanckiej dywizji.

Od wschodu i północnego wschodu wsie należące do zasmyckiej parafii a tym samym do terenów, gdzie organizowały się oddziały dywizji, już tylko w niewielkiej części zamieszkiwali Polacy. Przewagę stanowiła tam ludność ukraińska. Tak było w Peresiece, Stefanówce, Miedzikowie. W każdej z tych miejscowości było tylko po kilka rodzin polskich i dlatego tam Polacy najbardziej ucierpieli.

Przylegająca do Zasmyk od wschodu Rokitnica poza rodziną miejscowego kowala, kierownika szkoły - Pawłowskiego oraz rodziną właściciela majątku ziemskiego - Białostockiego, więcej Polaków nie miała. W Woronie, w pobliżu Rokitnicy mieszkała już tylko jedna Polka, ziemianka, zwana popularnie "panienką", choć głowę miała siwiutką jak gołąbek.

Tak przedstawiały się Zasmyki i okolica pod względem narodowościowym, kulturalno-społecznym, organizacyjnym. Wszystko to miało nie mały wpływ na lokalizację tak zwanej "bazy" partyzanckiej. Ale były i inne czynniki na to wpływające.

Zasmyki wraz z okolicą leżały między dwoma dużymi kompleksami leśnymi. Od północy dzielił je od Kowla las zażybski, liczący ponad 12 tysięcy hektarów powierzchni, zaś 3 kilometry na południe rozciągał się las lityński, tej samej mniej więcej wielkości. Poza tym wokoło wsi znajdowały się lasy gospodarskie, mogące być również niezłą osłoną przed ewentualnym napadem. Takież lasy i gęste krzewy ciągnęły się kilometrami między Janówką a Piórkowiczami /"Ukraińskimi"/ Gruszkówką a Stefanówką oraz innymi miejscowościami. Wszystkie te obszary leśne dla działalności samoobrony, a później partyzanckiej miały duże znaczenie.

Ruch konspiracyjny rozwinięty był w Zasmykach na szeroką skalę w okresie znacznie poprzedzającym powstanie samoobrony. Jego głównymi organizatorami byli m.in. Bazyli Zemościński, Zygmunt Sładewski, Michał Dondalski, Antoni Żoknik, Antoni Werduliński, a i naturalnie ksiądz Żukowski, u którego na plebanii był z pewnością główny punkt kontaktowy wszystkich nici konspiracyjnych. Nic dziwnego, że później Niemcy aresztowali go i usiłowali wydobyć potrzebne do zdławienia ruchu, zeznania.

Cała działalność konspiracyjna kierowała się początkowo wyłącznie przeciwko Niemcom, największemu wrogowi, sprawy naszej niewoli. Potem dopiero, gdy zaczęły się rozruchy ukraińskie, ich antypolskie knowania, trzeba było myśleć i o tej, bardziej bezpośrednio zagrażającej nam bestialskiej hordzie. Początkowo akcja obronna ograniczała się w zasadzie do wyjaśnienia i ostrzeżenia banderowców przed następstwami ich wrogich zamierów poprzez ulotki, piśmie itp., później dopiero pomyślano o zbrojnym pogotowiu - zdaje się nieco spóźnionym. W każdym razie wszystko co się w Zasmykach robiło stwarzało podstawy do dalszej akcji i przeciwdziałaniu zła.

## Z A C Z E Ł O S I E ...

O świcie wyruszyłem w pole kończyć spóźnione już trochę podróży. Był piątek pierwszego września. Pochmurne niebo nasyło drobny deszczykiem. Na kowieńskim trakcie "koło mostku" /tak nazywali się tę część naszych gruntów/, pusto ani jednego podróźnego, ani jednej furmanki. O tak wczesnej godzinie rzadko kto wyrusza w drogę, zwłaszcza w czasie pilnych prac polowych. Orakiem więc spokojnie krocząc bosymi stopami po płytkiej brudzie bez poślizgnięcia, nie zwracając większej uwagi na okolicę. Stare poczciwe śladem ciągnące pług cierpliwie z głową nisko opuszczoną, poruszając się monotonnie w rytm jej ociężałych kroków.



Mama tego dnia również jak i ja wcześniej wybrała się pieszo do Kowle. Mąka odebrała drobny dług u jednego z tantejowych rzeźników, gdyż ojciec nasz uznał, że wobec niepokoju, jaki panuje w Polsce i w świecie lepiej mieć niewielką choćby gotówkę we własnej szufladzie, niż gdzieś tam nawet u pewnych wierzycieli.

Gorączka wojenna potęgowała się z każdym dniem. Pierwszy rzut zmobilizowanych mężczyzn odjechał na wyznaczone miejsca już parę dni temu. Zrozpaczone kobiety uspokoiły się nieco, ale wczoraj następne z płaczem i gorzkimi łzami żegnały swych synów i mężów. Już nawet w zwykłych sąsiedzkich rozmowach nie mówiono się o niczym innym, jak tylko o "korytarzu", "autostradzie", o niemieckiej hysterii wojennej oraz uporze w wysuwaniu coraz to nowych żądań, a także o stanowczej postawie naszego rządu, który śmiało broni nieneruszalności dwóch granic. Chodząc powoli za plugiem rozmyślałem o tym wszystkim, wierząc jednocześnie głęboko, że jeżeli wojna wybuchnie, będzie ona tylko samobójczym czynem Hitlera, który nie docenia Polski i udziawi się nią ponad wszelką wątpliwość. Takie było zresztą ogólne mniemanie, powstałe w wyniku twierdzeń i zapewnień całej polskiej prasy, radia, którego słuchało się wprawdzie rzadko, było bowiem jedynie w szkole i na plebancii, ale sąsiedzi każdy nowy komunikat zasłyszony z głośnika przekazywali natychmiast z ust do ust i wieść lotem ptaka obiegła wszystkich mieszkańców. Informacja była wtedy niezwykle szybka i sprawna, choć nikt jej nie organizował, ani nie szuł nad jej przewidywanym funkcjonowaniem.

Młodsze rodzeństwo szykowało się już na rozpoczęcie nowego roku szkolnego, ja dopiero za tydzień miałem wyjechać w pierwszą daleką podróż, aż do Lwowa, gdzie zostałem przyjęty do szkoły ogrodniczej. Miałem więc przed sobą jeszcze parę wolnych dni. Lecz wszelkie plany stały ciężkie pod dużym znakiem zapytania w związku z napięciem, które rosło z dnia na dzień. Czy uda się pojechać i uczyć się w sławnym mieście? - zadawałem sobie raz po raz pytanie. Lwów pociągał mnie jakąś magnetyczną siłą. Wielkie historyczne miasto, pełne pamiątek przeszłości, o których mówiło się często na lekcjach, podniecało chłapiącą wyobraźnię. A i do ogrodnictwa miałem wtedy nie małe zamiłowanie. Ięz sobie po nim oblicywałem! Śniły mi się w wyobraźni piękne owocowe sady, orrody, rabaty kwitnących różnymi kolorami róż, może innych, bardziej egzotycznych kwiatów i roślin. Kierownik szkoły w Zemykach, Władysław Siudek, szkołę mi tę wyszukał, pomógł załatwić wymagane formalności i teraz po otrzymaniu barwnego prospektu oraz uzyskaniu ostatecznej zgody rodziców czekałem z tym większą niecierpliwością dnia wyjazdu. Tylko ta wojna... ta wojna ...

Wtem rozmyślania moje przerwały detonacje dochodzące od strony Kowla. Nie słychać było ani samolotów, ani innych odgłosów, tylko potężne wybuchy. Po paru chwilach powtórzyły się znowu i znowu...

- Nic tylko bomby - pomyślałem sobie w duchu, ale zaraz wydało mi się to niemożliwe, bo... i nie potrafiłem sobie powiedzieć czego niby miały to być niemożliwe? Lecz jakiś drugi głos natychmiast przyszedł z pomocą:

- No to byłoby wiadomo wcześniej, że wojna się zaczęła. Musiałoby być oficjalne jej wypowiedzenie, jak zawsze bywało w dawniejszych latach, cały świat musiałby zostać o tym powiadomiony, nie tak ni stąd ni zowąd. A poza tym skądże by się tu wzięły niemieckie samoloty? Dawno by je zestrzelono, zanim by się tu przedostały. Od zachodniej granicy na Wołyni niemały szmat drogi, trzeba przelecieć cały kraj, a artyleria przeciwlotnicza przecież czuwa. Nessa lotnictwo też.

Przypomniły mi się w tej chwili pokazy lotnicze w Lubitowie, oglądane niespełna dwa lata temu. Chodziliśmy tam z całą eskadrą. Imponujące! Serce rosło, gdy eskadra za eskadrą przelatywały nisko nad ziemią, potężne dolnopłetowce, podobno najnowszy typ samolotów bojowych, nie mających sobie równych. Nie, to na pewno nie ma nic wspólnego z wojną. I zupełnie niemal uspokojony orałem wytrwale dalej. Deszcz na szczęście ustał, zrobiło się nieco cieplej, lecz ciemne chmury nadal wisiąły nisko nad ziemią.

Około siódmej skończywszy wyznaczoną pracę ruszyłem w stronę domu. Gniada stawiała kroki rażniej, czując świeży obrok i odpoczynek w stajni lub na pastwisku. Miała nie wiele mniej niż 20 lat i odkad sięgam pamięcią zawsze była u nas, bo parę raczych koników - Gniadego i Kasztana, które podobno z powodzeniem mogły służyć do konnych wyścigów, znałem bardziej z opowiadań rodzicielskich niż z własnej obserwacji ich niepospolitych końskich zalet. Wydawało mi się tylko, że ja pamiętam, tak barwnie i plastycznie opisywał ich wygląd i przeróżne walory głównie nasz tatuś.

Gdy więc pocziwa gniada zatrzymała się przed wrotami prowadzącymi na podwórze, z szopy przybudowanej do obory wyszedł ojciec i niespokojnym głosem zapytał, czy słyszałem dziwne wybuchy w Kowlu. Odpowiedziałem twierdząco, ale dodałem zaraz, że musiały to być jakieś ćwiczenia z użyciem dział, bo cóż by to innego być mogło? Ojciec jednak był przeciwnego zdania i odezwał się jakimś, jak mi się wydało, tkliwym, zmienionym głosem:

- Nie, synu, to chyba wojna. To musiały być bomby.

Próbowałem bronić swego zdania, lecz ojciec nieustępliwie powtarzał:



- Zobaczysz, przekonasz się, że to wojna. Szczęść lat grmine  
ry nad głową takie wybuchy. Cwiczenia wyglądają inaczej.

Zemilkłem. Ojciec mój rzeczywiście spędził dokładnie sześć  
lat na wojnie. Zmobilizowany w 1914 roku do wojska rosyjskiego wró-  
cił szczęśliwie dopiero w roku 1920. Przeszedł wszystkie rosyjskie  
fronty, przejechał Syberię wzdłuż i wzerz, bude o niej opowiadać.  
Był w Petersburgu, gdy wybuchła rewolucja i nawet uczestniczył w  
jakiejś armii antycarskiej. Widział Kiereńskiego, Trockiego, słuchał  
przemówienia Lenina, a potem pełnił służbę garnizonową gdzieś daleko  
z Uralem, zanim został zwolniony do domu, już przez władze rewolucyj-  
ne. Miał więc dość okazji na zapoznanie się z różnego rodzaju odgło-  
sami i dźwiękami wojennymi. A dlatego teraz był przekonany, że te pow-  
tarzające się przez kilka minut w równych odstępach czasu wybuchy  
mogą oznaczać tylko bombardowanie lotnicze.

Około południa chmury ustąpiły i niebo wypogodziło się cał-  
kowicie. Jak się później okazało, miało pozostać takim przez pełne  
dwa tygodnie, jak gdyby i ogo sprzysięgło się przeciwko naszemu kła-  
jowi. Samoloty nieprzyjacielskie przez przeciąg całej kampanii wi-  
działy najdokładniej każdy cel na ziemi, a czołgi i samochody pan-  
cerne poruszały się swobodnie nawet na podmokłych do niedawna ką-  
kach i bagnach, z których w ciągu tego czasu znikły ostatnie resztki  
wody. Nawet koryta sporych rzek zmężyły się do rozmiarów niewielkich  
strumieni.

Tymczasem w całym Zesmykach wrzało. Zapanowała już całko-  
wita panika, że wojna wybuchła. Nikt nie miał co do tego żadnych  
wątpliwości. Wprawdzie nie słyszano komunikatów radiowych, ale nie-  
którzy zdążyli wrócić już z Kowla i przywieść niepoważalne spra-  
wodzenia z rennego nalotu. Bomby spadły w pobliżu dworca kolejowe-  
go i na koszary wojskowe na Górcie, nie czyniąc na szczęście większych  
szkód. Tę samą wiadomość przyniosła także mama, wróciwszy do domu  
wkrótce po południu. Opowiedziała o niezwykłym poruszeniu w całym  
mieście, o wojskowych samochodach z hukiem przelatujących przez  
z ulice, o zamykaniu sklepów żydowskich przez samych właścicieli,  
o ogólnym podnieceniu i niepewności. To, o czym przez wiele miesięcy  
cy mówiło się, czego się oczekiwało z lękiem lub nadzieją, że może  
rozejść się po kościach, stało się oto faktem. Tylko... co będzie  
dalej? Jak potoczą się nasze losy? Te pytania tkwiły teraz w gło-  
wie aż do udręczenia.

Przyznam się, że przez kilka pierwszych dni wojny byłem jak  
zresztą większość moich rówieśników, dobrej myśli i dziwiłem się  
niepokojowi wielu starszych i bardziej doświadczonych zesmyczan.  
Wierzyłem w polską siłę zbrojną i w niezawodną pomoc Zachodu. Sta-

rałem się przekonywać o tym rodziców, nie mogąc pojąć, skąd biorze się w niektórych tyle pesymizmu. Wtedy zobierał głos mój ojciec.

- Nie znasz Niemców - mówił. - Za młody jesteś, aby mieć o nich pojęcie. Ja doświadczyłem ich siły przez nie mało lat i wiem z góry, że będzie niedobrze. Widziałem ile wojska miało Rosja, ile sprzętu, broni, ile wszelkiego dobra i jak uciekała rosyjska armia, kiedy ruszyła niemiecka ofensywa. Zatrzymaliśmy Niemców z największym wysiłkiem i przy ogromnych stratach. Życie ludzkie już się wtedy przestawało liczyć, a my co mamy na swoją obronę? Czym zstrzymamy taką potęgę? Nawet gdybyśmy mieli lepszą broń niż mamy i więcej wojska, to nie damy rady Niemcom.

Nie dawałem za wygraną. Twierdziłem uparcie, że mamy także czołgi, samoloty, działa, a żołnierz polski zawsze przewyższek walcznością swoich przeciwników. Teraz też nie będzie inaczej. Lecz moja argumentacja wywoływała tylko na twarzy ojca pobłażliwe uśmiechy. Wiedział swoje i chodził coraz bardziej zadumany i przejęty.

Wieczorem przed szkołą zebrała się duża gromada ludzi, by posłuchać komunikatów, ale odbiornik okazał się uszkodzony i odbierał bardzo niewyraźnie. Coży tłum poszedł więc na plebanię. Tu ks. Mackiewicz wystawił aparat radiowy na okno i pokręcił na pokręty regulator. Wysłuchaliśmy wiadomości, komentarzy, które niestety nie wywołały entuzjazmu. Mówiono wprawdzie o zwycięstwach, o tym, że na którymś tam odcinku frontu nasze wojska wkroczyły nawet na terytorium niemieckie, ale częściej powtarzały się informacje o cofnięciu się polskiej armii, o przerywaniu linii oporu głównie przez zmotoryzowane siły wroga. Audycję przeplatano anegdotkami, m.in. o panu ambasadorze Hendersonie, który "odjechał", "przyjechał", "wyjechał" itd. Aż wreszcie "o b s e c k a i", a głos skądś z drugiego planu dodał dowcipnie: "kogoś"... Służba była wyreżna. Gromada słuchaczy wybuchła śmiechem. Jakiś wyrostek krzyknął: "Hitlera", co znowu wywołało ogólną wasołość. Ale już zaczęto recytować zabawny wierszyk z refrenem: "a my sobie gwizdźmy na to", a na zakończenie nastąpiło mocne gwiznięcie do mikrofonu. Wrzewą śmiechu powitano zakończenie wiersza, jak to Hitler straszy nas czerwoną szmatą, a my sobie gwizdźmy na to? Nie musi chyba być tak źle, pomyślałem sobie, skoro z głośnika sypią się humorystyczne prayspiewki, wierszyki dowcipy... Ale to wdzieranie się już pierwszego dnia niemieckich czołgów na nasz teren... zakłócało wszelki spokój. Co będzie jutro?

Następnego wieczoru słuchaliśmy komunikatów już w szkole, a trzeciego, tj. w niedzielę, udałem się w tym samym celu do Janówki, dokąd miałem bliżej i gdzie mieszkali moi dziadkowie i cała rodzina mamy. Tam kierownik szkoły Stanisław Nowicki, zaprosił



wszystkich zebranych do klasy i pozwolił nam tkwić przy aparacie do późnych godzin wieczornych. I tam zaraz na początku wiadomości usłyszeliśmy komunikat o przystąpieniu do wojny naszych sojuszników - Anglii i Francji.

Trudno sobie wyobrazić entuzjazm i radość, jako zapanowała na tę wieść wśród zgromadzonych. Ludzie mieli rzy w oczach, ścisnęli sobie ręce, starszankowie zapominali o powadze należnej swemu wiekowi i klaskali w ręce, dzielili się swą radością z dziećmi siedzącymi obok, zagłuszono zupełnie słowe spikera. A gdy nieco uciszyło się, ze wzruszeniem cała sala wysłuchiwała podniosłych i uroczystych słów o braterstwie broni, o sile, której teraz nikt nie będzie w stanie złamać. Pamiętam, że na zakończenie jednej z wypowiedzi wygłoszono na tle muzyki jakiś natchniony poemat, w którym jak refren, powtarzały się słowa mniej więcej takie:

"W górę Brytania, lot swój wzbij!

Wolność jest warta ceny krwi!"...

Nieraz potem powtarzałem te słowa, które usłyszane w tak niezwykłych warunkach, mocno wryły się w pamięć. I wspominałem często tę szczerą radość zwykłych, prostych ludzi, którym przecie nie powodziło się ze dobrze, często na przednówku mocno musieli zaciskać pasy i poprzestawać na kromce chleba razowego z kubkiem mleka na śniadanie i kolekcję oraz talerzu szczawiowej zupy lekko zabielonej smietaną na obiad. Których dzieciństwo przebiegało w ciężkiej pracy i tak już pozostało do późnej starości i których twarze porwane tysiącem zmarszczek nieustannie wystawione były na wiatr, deszcz i piekący letni skwar przy kosie, a nierazko przy sierpnie. Teraz miałem możliwość widzieć, jak drogą była tym prostym ludziom wolność i ta Polska, na którą wkrótce speść miało tyle kalumni, wyzwisk, kłamliwych i obelżywych oskarżeń.

Przez kilka jeszcze dni żyliśmy nadzieją i wiarą w dawne spełnienia. Dopiero gdy na początku drugiego tygodnia wojny zanikła radiostacja rzeszyńska i nie mogliśmy się już pokrzepić radiowymi komunikatami, gdy na drogach pojawili się pierwsi uciekinierzy z za Bugu, kiedy samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach całkiem bezkarnie z przejmującym warkotem przelatywać zaczęły nad naszymi domami, kiedy wreszcie zobaczyliśmy pierwszych cofających się naszych żołnierzy, gorzkie przecucie wnikać początko w serce, wlekać się gdzieś w korę mózgową, kłuć i boleć. Jeszcze nie ustępowała wiara w jakieś cudowne ocalenie, w skuteczną obronę może na linii Wisły, może Bugu, ale ubywało jej z każdym następnym dniem. Wkrótce pod naporem okrutnej rzeczywistości miała zniknąć zupełnie.

T R A G I C Z N E P O S T

Front był coraz bliżej. Wprawdzie huk dział nie było jeszcze słychać, ale coraz więcej wojska pojawiało się na trasie prowadzącej od Turzyska do Kowla i Lubitowa. Coraz gęściej przelatywały nad Zasznykami niemieckie samoloty. Polscy żołnierze szli to większymi oddziałami, to niewielkimi grupkami, od czasu do czasu nawet pojedynczo. Widzieliśmy nieraz długie rzędy maszerujących po obu stronach drogi unudurowanych ludzi, zakurzonych, zmęczonych, z czołami ociekającymi potem. Niektórzy mieli obandażowane głowy, a przynajmniej któryś niósł rękę na tamtą, ten i w tył - nie wiadomo - od doznanej kontuzji czy z powodu odparzenia nóg stóp. W niektórych twarzach malowało się przygnębienie, smutek, ale zdarzało się widzieć i takich, którym prawdopodobnie ani w głowie była kapitulacja i rezygnowanie z dalszej walki. Bagaż i zadziorność wyczierały im z oczu aż nadto wyraźnie. A nad kroczącymi ociężałym marszem piechurami świeciło niekosiernie, rozłożone słońce przez okrągłe dwa tygodnie, nie przykryte najmniejszą chmurką. W nieznośnym upale wisiał ciągle nad ciągnącym wojskiem szary tuman kurzu i długo po przejściu oddziału nie próbował opadać, tym bardziej, że zanim powietrze zdążyło oczyścić się nieco po przemarszu jednej grupy nadciągała już następna i tak dzień po dniu trwał ów posępny marsz przez cały tydzień, kończący tragiczną polską wojnę. A najbardziej gnębiło to, że nie mieliśmy żadnych oficjalnych komunikatów o sytuacji na froncie. Radiostacje były nieczynne, prasa nie wychodziła, trzeba było ograniczyć swą chęć zaspokojenia uzasadnionej ciekawości do informacji otrzymywanych od wojska, a te były bardzo lakoniczne, powściągliwe i częstokroć sprzeczne ze sobą. Słyszeliśmy więc, że front zatrzymał się na linii Wisły, to znowu, że Niemcy przekroczyli już Bug, a byli i tacy, którzy utrzymywali, że nieprzyjaciel wkroczył wprawdzie w nasze granice, ale posuwa się bardzo powoli, a Polacy przygotowują tymczasem w wielkim pośpiechu kontrofensywę. Najwięcej jednak zwolenników miała wersja, że naczelne dowództwo wojska Niemców w poleskie bagna i noczary i tam dopiero radykalnie rozprawi się z ich czołgami i samochodami pancernymi, a reszty dokona Francja i Anglia od zachodu. W każdym razie poza nielicznymi wyjątkami Zasznyczanie nie tracili nadziei. Byli zdania, że wojna potrwa jeszcze długo, ale jej koniec może być bardzo różny. Były jednak jednostki przewidujące od początku katastrofę.

18 września nie bacząc na wojenną sytuację zaczęliśmy kopać ziemniaki na polu zwanym "pod gruszką". Miał tam być posiana pszenica, należało więc ten kawałek ziemi sprzątnąć najwcześniej i przygotować pod następną wyprawę uprawę. Kopaliśmy, jak zwykle, motykami,



R102 nie spiesząc się zbytnio, ale też nie próżnując. Byliśmy sami, to znaczy ja z młodszym rodzeństwem, gdyż tataś wykonywał jakąś inną pracę, mama zaś poszła do swych rodziców do Janówki. Młoda wrócić niebawem, ale nie pokazała się, mimo, że dochodziło już południe. Wreszcie zobaczyliśmy, że idzie na przekaj polami, ale kieruje się prosto do domu, nie zachodząc do nas, aby ocenić efekt kilkugodzinnej pracy, co zwykła była czynić. Wiedząc, że już jest późno musiała spieszyć się, aby przyrządzić obiad. Kopaliśmy więc dalej, patrząc co pewien czas na trakt doskonale stąd widoczny, bo pole "pod gruszką" położone było na wzgórzu, skąd rozciągał się rozległy widok na wszystkie strony. Obserwowaliśmy nadal ciągnące na północny-wschód gromady naszych zmęczonych żołnierzy, przejeżdżający czasem samochód, motocykl lub rower. Zdarzało się niekiedy widzieć konie ciągnące działko lub karabin maszynowy ulokowany na wojskowym wozie. Widok cięższej broni, zwłaszcza maszynowej, dodawał każdemu z nas otuchy, że nie jesteśmy tak słabi, jak niektórzy utrzymują i wszystko może skończyć się jeszcze pomyślnie.

Wkrótce po południu pojawiła się znowu na drodze mama i szła niezbyt spiesźnie ku nam, aby oznajmić, że obiad czeka. Wyprostowaliśmy plecy i rozejrzeli się nackoko. Na niebie zaczęły pojawiać się ciemne obłoki. Może nareszcie spadnie deszcz i przemoczy zamienioną w popiół ziemię. Lepiej szłaby też praca przy wykopkach.

Mama zatrzymała się, popatrzyła na zabezpieczone ziemniakami worki, lecz nie okazywała szczególnego zainteresowania rozpoczętym zbiorem. Zwykle pełna energii, była dziś wyjątkowo poważna, nieswoja. Wreszcie poleciwszy nam odłożyć narzędzia pracy i zbierać się do domu, odezwała się, jakby próbując coś w sobie przekazać:

- Czy słyszeliście, że podobno wczoraj rano Sowici przekroczyli granicę i zajmują Polskę?

Oskupiliśmy. Wbadość zabrzmiała tak absurdalnie, że w pierwszej chwili byłem pewny, że się przesłyszałem, gdy jednak mama potwierdziła wypowiedziane poprzednio zdanie, stanąłem nie wiedząc co się ze mną dzieje. Słuchałem dalszych słów mamy, jakby z odległej przestrzeni, nie kierowanych do mnie, lecz w nieokreśloną dół. Brzmiało mi tylko w uszach, że ktoś mieszkający w Janówce przyniósł tę wiadomość z Kogwla i że jutro spodziewają się nowych władców w mieście. Dla czołgów odległość to niezbyt daleka. Nie mogłem uwierzyć. W końcu odezwałem się szorstko i niegrzecznie:

- Niech mama plucie na takie gadanie! Teraz kiedy jesteśmy w tak ciężkich tarapatkach, ktoś śmiały najeżdżać nasz kraj! To przecież zupełnie niemożliwe! To ktoś musiał wymyśleć! A poza tym... Nie, to nie może być!

Nie wiedziałem dlaczego nie może to być, ale byłem pewien, że



nam do czynienia ze zwykłą kpina, błagą, makabrycznym żartem. Staliśmy dłuższą chwilę bez słowa.

- Tak mówili, więc i ja powtarzam - odezwała się wreszcie mama. - Skąd mam wiedzieć, czy to prawda, czy nie? - zdawała się ustępować.

Zacząłem dowodzić, jak nam tłumaczono w szkole, że przecież kilka lat temu zawarliśmy z Sowiecami pakt o nieagresji, że państwo podpisując taki pakt nie ma go prawa łamać, że choć nie żyjemy w przyjaźni, to jednak zawarte układy zobowiązują. A przede wszystkim wydało mi się najbardziej nieprawdopodobne, aby ktokolwiek mógł przekraczać granice sąsiedniego państwa w momencie tak dla tego państwa tragicznym. Naiwny! Wierzyłem we wspaniałomyślność rządu, który w tajemnicy jeszcze przed wybuchem wojny uczynił sobie z Niemcami sojusznika, aby już wtedy dokonać podziału Polski między siebie. Młodej głowie wydawało się, że w polityce międzynarodowej obowiązują takie same zasady, jak między sąsiadami: gdy jednego dotknie jakieś nieszczęście - śmierć bliskiej osoby, pożar, bandycki napad - wówczas sąsiad, choćby skłócony, zapomina o waśniach i spieszy z życzliwą, bezinteresowną pomocą. Tu tymczasem sąsiad miał skorzystać z nieszczęścia, jakie nas dotknęło i lekką rączką zagarnąć nasze ziemie jak swoje własne. Po dalszych paru tygodniach miałem otrzymać lekcję polityki z ust dwóch Iwanów Łazowieckich z Gruszówki, "Białego" i "Czarnego", jak ich nazwaliśmy dla odróżnienia, bo obaj nosili takie same imiona i nazwiska. Obaj zostali mianowani nauczycielami w naszej szkole w Zasmykach i między innymi prowadzili kurs dla przedpoborcowych /doprzysiężników/, na który trochę z nudów, a trochę dla ciekawości od czasu do czasu przychodziłem, choć mnie nie obowiązywał. Wkładali do głów młodych chłopaków wiedzę polityczną o Polsce, ZSRR i krajach kapitalistycznych. Boże, co za wiedza! Dowiedziałem się między innymi, co później potwierdziła także nowa prasa, że tylko cud jakiś sprawił, iż ludność zarówno polska jak i ukraińska na Wołyniu i na całym pasie wschodniej Polski, a więc na Wileńszczyźnie, Polesiu, Podolu utrzymywała się przy życiu, taki tu panował głód, nędza, wyzysk, prześladowanie prostego ludu i że dopiero zwycięska ofensywa złączonych sojusznicznych sił radzieckich i niemieckich kładąc kres polskiemu burżuazyjnemu państwu sprawiła, iż nareszcie społeczeństwo tych ziem odetchnęło z ulgą, zostało wyzwolone, uwolnione spod "pańskiego gniota" i zaczęło żyć wolno, pełnią szczęścia. Ale za bardzo odbiegam od tematu.

Otóż nazajutrz przed wieczorem wysłał mnie tata do Kowla, znowu do Edwarda Buleffa /Bylera, jak mówiliśmy na co dzień/, po odbiór reszty pieniędzy, których przed dwoma tygodniami nie wypłacił w całości mama. Byler był to znany kowelaki masarz i właściciel sklepu wędliniarskiego. Mieszkał przy ulicy Włodzimierskiej,



a sklep miał w rynku. Niemiec z pochodzenia miał na żonę Czeską, chore-chorobliwie tęą kobietę, lecz bardzo sympatyczną. Bogaty kupiec wybudował sobie piękny dom, wyposażył go znakomicie, zatrudnił paru czeladników, w tym dwóch jak sam Niemców, ale do samej wojny nie zdradzał jakichkolwiek antypolskich przekonań. Nawet później, gdy przyszedł czas repatriacji za Odrę, długo się zastanawiał czy nie lepiej będzie pozostać. Z naszą rodziną był w bardzo serdecznej przyjaźni i kupował od ojca wieprze, którymi czasem tata po cichu handlował. Policja kowelska nie starała się narzucić z owym pokątnym handlem walczyć, może dlatego, że większość policjantów dobrze naszego tatę znała i orientowała się w sytuacji. Czasem w restauracji przy kieliszku uśmiechał się ten i ów i groził palcem:

- No, no, my wiemy dobrze co w trawie piszczy i kiedyś się do pana dobierzemy! Zobaczy pan!

Kończyło się jednak tylko na pogróżkach, bez żadnego zresztą przekupstwa ani sutych poczęstunków. Woził więc tata co jakiś czas (jednego), dwa tuzniki, zarabiając na sztuce po 5, czasem i 10 zł na drobne wydatki. I zawsze zdarzało się, że kupiec nie płacił za dostarczony towar od ręki, wtedy trzeba było chodzić i kilka razy po należność. Podobnie było i teraz.

Szedłem więc podniecony, rozdygotany, nie wiedząc o inwazji rosyjskiej rozeszła się już szerpko i nie było wątpliwości, że koniec wojny okaże się daleko bardziej tragiczny, niż największy pesymista mógł przypuszczać. Z dwoma takimi sąsiadami niesposób było walczyć.

W nocy spadek z dawna oczekiwany deszcz i to dość obfity. Na drogach i ścieżkach stały lśniące kałuże. Było pochmurnie i chłodno. Słońce tylko czasami ukazywało się na chwile, by zaraz skryć się za ciężkimi jesiennymi obłokami. Było późne popołudnie, gdy dochodziłem do miasta. Przed Wólką zobaczyłem nagle kroczący zwartym szykiem w moim kierunku oddział cywilów, młodych chłopaków, w czerwonych opaskami na rękawach i karabinami na ramieniu. Chciałem w pierwszym odruchu skryć się w przydrożnych zaroślach, ale było już za późno, szedłem więc prosto na naszerującą wesołym nastroszu grupę. Gdy zbliżyliśmy się do siebie, idący na przódzie z buzną miną małżonec zwrócił się do mnie:

- Ty chto taki? Kuda idiesz?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wyskoczył ze środka szeregu Iwan Biłocki z Piórkowicz i krzyknął:

- Ja jeho znaju. To Leon, nasz susid iz Zasnyh. Nehaj, ida! Tan, który mnie zatrzymał, machnął obojętnie ręką i ruszył dalej. Szli w kierunku zadybskiego lasu, a więc gdzieś do nas.



solejne uczucie, które od wczoraj nie opuszczało mnie ani na chwilę, spętało się jeszcze. Więc to tak? To ci spokojni dotąd, bardzo życzliwi i uczynni sąsiedzi, młodzi chłopcy, którzy nawet do szkoły nie kwapili się chodzić dłużej niż czasami 4 lata, co nie zabierali nigdy głosu na tematy polityczne na lekcjach w szkole, okazali się "politycznie uświadomieni" i przeszli od razu na stronę silniejszego. Tylko dlatego, że przegraliśmy. A więc zdradzą każdego, kto okaże się słaby, bezradny. O bracie Iwanie Bieleckim, Sobieścieju, wiadomo było powszechnie, że komunista i że często miał do czynienia z policją i więzieniem, ale cała pozostała rodzina odstępowała się od komunizmu. Iwan także. Ich ojciec wyrażał się często z całkowitą dezaprobacją o Sowieckiej Rosji i obiecywał wybić synowi komunizm z głowy. Tymczasem...

Tu przypomniało mi się zdarzenie sprzed dwóch dni. Wieczorem zajechała do nas furmanka. Wysiadł z niej polski oficer w podeszłym wieku w randze pułkownika ze swym ordynansem i poprosił o nocleg. Pragnął dostać się do Lwowa, a stamtąd do Węgier lub Rumunii. Był bardzo zmęczony i po krótkiej rozmowie udał się na spoczynek. O świcie wyruszył w dalszą drogę. Pozostawił jak najlepsze wrażenie. Dziś, gdy wybierałem się do Kowla, nadeszła wiadomość, że gdzieś w okolicach Tuliczowa czy Wierzbiczna zginął zamordowany przez Ukraińców pułkownik wojsk polskich, jadący furą na południe. Ze zgrozą pomysleliśmy, że to nikt inny, tylko nasz przedwczorajszy gość. Tatusz, który z Ukraińcami żył bardzo blisko, przez parę godzin chodził jak struty, nie mogąc uwierzyć w podobne bestialstwo. W dwa dni później przyszła inna wieść: w zadybskim lesie Ukraińcy złapali trzech polskich żołnierzy i zdarwszy z nich mundury pobitych puścili w samej bieliznie. Szczęściem było to blisko Lublatyna i polskie rodziny dowiedziawszy się o tym obdarzyły wszystkich cywilnymi ubraniami. Prawdziwe oblicze naszych sąsiadów z pobliskich wsi zaczęło ukazywać się w innym niż dotąd świetle. Teraz widząc znajomych z Piórkowicz z bronią w ręku i opaskami czerwonymi na rękawach zaczęłam pojmować, że dobrosąsiedzkie stosunki między nami odchodzą w przeszłość. Do tematu tego wrócę w dalszej części wspomnień.

- Na ulicy Monopolowej było pustawo i całkiem spokojnie. Słońce zachodziło i zaczynał się wieczór. Zanim doszedłem do óródmieścia, - paliły się już uliczne lampy. W ich świetle na Warszawskiej zwrócił moją uwagę widok Żydów także z czerwonymi opaskami na rękawach, - a wkrótce zobaczyłem przedstawicieli "zwycięskiej" armii. Między tłumem rozkrzyczanych, wiwatujących hałaśliwie Żydów u wylotu ulicy Królowej Bony jechał z łoskotem gąsienic rosyjski czołg. Siedzieli na nim żołnierze w szarych szynelach i w czapkach z wysokimi, mtrymi czubami, tylko stojący we włazie pod wieżyczką miał na głowie



helmoŃon. Nad czołami u czapek po raz pierwszy ujrzałem czerwone pięcioramiennie gwiazdy. Czołg jechał powoli, a żołnierze siedzący naokoło podobni byli do posągów. Tkwili nieruchomo na swych miejscach i z pońieasionymi głowami patrzyli w jakąś nieokreśloną dał. Musieli przejść przedtem odpowiednią musztrę, aby mieć zrobić wrażenie antycznych bohaterów. Polacy przechodzący chodnikami nie zatrzymywali się, rzucali tylko z ukosa wzrokiem na przyby- szów i spiesznie podążali dalej, natomiast Żydzi gromadnie biegli za czołgiem, wznosząc co chwilę gromkie okrzyki, nachając rękami i czapkami. Większość z nich demonstracyjnie unosiła ręce z czerwonymi opaskami na rękawach, jakby dla podkreślenia swojej radości z zaistniałej sytuacji. Obojętność a częściej ból na marmurowych twarzach Polaków widocznie ich denerwowała, bo zwracali się do przechodniów z wymówkami lub wezwaniami do radośniejszych powitań lub też rzucali ironiczne uwagi:

- Nu, koniec waszego panowania, koniec ze Smigłym, koniec z Mościckim! Teraz my wam pokażemy jak się rządzi!

Widziałem jak w pewnym momencie nkoży Żydek z opaską zaczął się szarpać z jakimś w średnim wieku Polakiem, grożąc, że go zaraz każe postawić "pod ścianę". Używał przy tym obelżywych słów i zwrotów o akcentach rażąco antypolskich. Widać było, że chce wywołać bijatykę, bo prowokując pokrzykiwał na przechodzących Polaków. Podbiegło jeszcze kilku Żydów, lecz napastowany wyszarpnął się im i spokojnie poszedł dalej, nie oglądając się, aż znikł za domami w kierunku wiaduktu. Zawiedzeni napastnicy wykrzykiwali bezradnie i ze złością za odchodzącymi w swoim żargonie. Usłyszałem potem cicho objaśnienia jednego z przechodniów, że Polak zakpił sobie z bojowego animuszu Żydów i to wprawilo ich w takie denerwowanie. Podobne sceny towarzyszyły im przez całą dalszą drogę, nim skręciłem na Włodzimierską, gdzie ruch był mniejszy, jak na wszystkich bocznych ulicach. Z ciężkim sercem nacisnąłem dzwonek w domu Eka Bylera. Otworzył mi jego syn, Gienek, starszy ode mnie o rok, może dwa, wysoki, przystojny chłopak.

Tu czekała mnie nowa porcja przykrych emocji. W pokoju przylegającym do kuchni przy suto zastawionym stole i powietrzu gęstym od dymu papierosowego siedziała cała rodzina, czeladnicy i ja- cys obcy, pewnie znajomi Niemcy i wszyscy słuchali przemówienia Hitlera, krzycząc i klaszcząc ilekroć z aparatu radiowego rozlegały się wrzaski rozfanatyzowanego tłumu, fo którego widocznie firer przemawiał. Potem były pewne komunikaty z frontu, bo za każdym zakończeniem relacji spikera zebrani w pokoju klaskali i wiwatowali na cześć III Rzeszy. Nagle zza stołu wytoczył się chwiejnym krokiem starszy czeladnik imieniem Adolf i gardłowym głosem, wskazując sobie na pierś zaczął krzyczeć do mnie z całych sił:

- Ja jestem Adolf Hitler! Ty wiesz? Ja jestem Adolf Hitler.

Powtórzył to kilka razy i triumfalnie wrócił do biesiadników. Wrzaski, śmiechy, oklaski, rozbrzmiewały jeszcze przez wiele godzin. Taj nocy długo nie mogłem zasnąć, w poduszkę wciągnąłem trochę cichych łez.

Spełniwszy swoje poselstwo wróciłem do domu przygnębiony i rozstrzęsiony nerwowo. Czułem się jakbym wracał z pogrzebu najbliższej osoby. Spotykani po drodze ludzie wyglądali podobnie. Poważni, posępni, zmyśleni. Co ciekawsze, że i młodzi chłopcy i dziewczęta, nie mieli ochoty na śmiechy i żarty. Cała polska ziemia okryła się kirem żałoby.

W mieszkaniu pełno było ludzi. Rozmawiali półgłosem przejęci ostatnimi wydarzeniami w kraju. Przez rodziców siedzieli przy stole sąsiedzi, oraz duża grupa uciekinierów, których w każdym niemal domu nie brakowało. Jeszcze szukano choćby cienia nadziei. Może zagranica upomni się o nas? Może obce mocarstwa nie pozwolą na taką zbrodnię dokonaną na wolnym narodzie? Wojna przecież nie skończona. Dwadzieścia lat niepodległości i znowu rozbiory... Rozmowa toczyła się jakoś ciężko, nieskładnie, nikt bowiem nie umiał niczego konkretnego na swoje i innych pocieszenie wymyśleć.

Mojego wejścia nawet nie zauważono. Śiadłem w kątku i przykuchiwałem się uważnie co mówią starsi. Wtem wszedł do mieszkania jeden z uciekinierów przybyły spod Łomży czy Ostrołęki, nasz daleki kuzyn, który również tego dnia był w Kowlu. Wrócił teraz i przywiózł te same wiadomości, które miałem do przekazania ja, te same obserwacje, zdarzenia, sceny uliczne. Zaczął opowiadać żywo z przejęciem wszystko co widział i słyszał. Gdy umilkł, zapencowało drugie małżonko, tylko głos jego poważny, nabrzmiąły smutkiem zdawał się rozchodzić jeszcze po izbie.

W pewnej chwili zauważyłem, że ojciec mój wstał nagle z krzesła i znikł za drzwiami naszego bocznego pokoiku. Gdy przez dłuższą chwilę nie wracał, poszedłem zobaczyć, czy się co złego nie przytrafiło. Otworzyłem drzwi, ujrzałem naszego tatę porleżającego na łóżku z twarzą ukrytą w stocie poduszek. Nie podniósł głowy, nawet się nie poruszył, jakby nie słyszał mojego wejścia. Zauważyłem tylko, że ramiona drgają na oddechu i szlochanie. Podszedłem blisko, dotknąłem ręką ramienia i zapytałem:

- Co tatusiowi jest? Czemu tatuś płacze?

Wtedy ojciec mój podniósł się szybko, chwycił mnie gwałtownie za ramię, przycisnął z całej siły do piersi i powiedział przez łzy jedno tylko krótkie zdanie:

- Synu, nie mamy już Polski...! I znowu zapadł głowę w poduszkę.



Wiele razy w życiu wracałem myślą do tej sceny. Ojciec mój nigdy nie okazywał na zewnątrz żadnych specjalnych uczuć patriotycznych. Owszem, często na zewnątrz krytycznie wyrażał się o funkcjonowaniu różnych urzędów, o przejawach życia społecznego, państwowego, skąd więc ten nagły wybuch uczuć, o które trudno było ojca podejrzewać? Nie umiałem sobie tego początkowo wytłumaczyć. Pamiętam tylko, że od tego czasu nastąpiła w naszym ojcu ogromna zmiana. To, w czym się kiedyś niemal zupełnie nie interesował, nad czym łatwo przechodził do porządku dziennego, mianowicie polityką, wydarzeniami międzynarodowymi, rozwojem sytuacji wojennej, teraz stało się rzeczą podstawową w rozmowach, refleksjach, dociekaniach. Odtąd już do końca wojny sledził na mapie ruchy wojsk niemieckich i sojuszniczych, czytał uważnie wszystkie komunikaty z frontu, a gdy nadeszła wieść o tworzeniu się armii polskiej na zachodzie, o powstaniu rządu emigracyjnego, o randze jak w polityce zdobywa sobie gen. Władysław Sikorski, w naszego tatę wstąpiło jakby nowe życie. Poweselał, ożywił się, bo, jak mówił - "jest nadzieja, że Polska jeszcze do nas wróci!". Podobną postawę można było zaobserwować u wszystkich mieszkańców Zasmuk i okolicy. Tylko początkowo zapasy ukraińskich komunistów w miarę czasu jakby przybladyły.

### W "WYZWOLONYCH" ZASNUKACH

Skończył się pierwszy, najtragiczniejszy etap wojny, która w tak okrutny sposób pozbawiła nas dopiero co odzyskanej niepodległości. Kraj brutalnie przepożowiony znalazł się w sytuacji, która nawet nam wszystkim wydawała się nie do zniesienia. Szyszało się bowiem co dzień o dobrodziejstwie, jakie nas spotkało wraz z wyzwoleniem z "kapitalistycznego" ucisku, o wolności, dobrobycie, równości i demokracji, jaka wreszcie zapanowała, gazety przepakowane były informacjami o tym, w jak świetlany etap życia wkroczyliśmy i jaka piękna przyszłość czeka nas w nowym, najprawdziwszym na świecie ustroju. A tymczasem rzeczywistość "skrzeczala", ukazywała z nieubłaganą konsekwencją owe szczęście na ziemi, ten iscie "rajski żywot".

Zaczęły się dni, tygodnie, miesiące pełne bezgranicznego przygnębienia, smutku, głębokiego żalu za utraconą niepodległością. Warunki materialne ludności pogarszały się w zaskakujący sposób, Męczyły nie tylko trudności związane ze zdobyciem potrzebnego na co dzień grosza, lecz także kłopoty z zaopatrzeniem. Już bowiem po dwóch tygodniach istnienia nowej władzy okłapy zaczęły w niezrozumiały sposób pastoszeć. Rodziny rosyjskich żołnierzy,

właszcza oficerów, wykupywały gwałtownie wszystko cokolwiek znalazło się na półkach, często nie wiedząc do czego kupowane przedmioty służą. Poza tym większe, bogatsze sklepy prywatne uległy konfiskacji jako "kapitalistyczne", eksploatujące "człowieka człowiekiem". Mało, drobne sklepiki o ile pamiętam, oficjalnie miały prawo istnieć, lecz podatki przy jednoczesnym braku towarów musiały zmusić właścicieli do szybkiego zrzeczenia się handlu. Tak zainicjowano walkę z prywatną inicjatywą. Zlikwidował szybko swój sklepik Rodmer, zlikwidował Marcełi Rowiński, Kramek, podobnie musieli postąpić ich koledzy po fachu w sąsiednich wioskach. Powstały w każdej wsi zorganizowane przez nowe władze spółdzielnie "kooperatywy", jak nazywano je oficjalnie. Ludność mówiła po prostu koperatywy, przez jedno "o". Miały to być pierwsze instytucje handlowe (już w pełni socjalistyczne i miały służyć jako wzór nowej organizacji życia i wymiany handlowej w wyższej formie społecznej współżycia ludzi. Okazało się jednak wkrótce, że nowe sklepy zaopatrzone zupełnie dobrze, ale tylko w napoje alkoholowe, zwłaszcza w różne "alaszki", które równymi racjami zalegały półki każdej wiejskiej "koperatywy". Na własne potrzeby zaczęli więc ludzie pędzić samogon, którego produkcja rozwinęła się na większą jeszcze skalę po przyjsciu Niemców. Ale już i wtedy uroczyście rodzinne zaczęto "święcić" tym nowym trunkiem, który honoru ani Zasmukom, ani innym wsiom polskim nie przysparzał, a który zrodziły warunki, w jakich nam żyć kazano. Zabrakło w "koperatywach" soli, cukru, nafty, podstawowych artykułów przemysłowych. Nie odczuwano się zbyt dotkliwie braku chleba, gdyż wieś przyzwyczajona była do własnego wypieku, dopiero w późniejszym czasie przejście także wieś na chleb z piekarni, ale będą to już czasy powojenne. Wtedy nie jeszcze na to nie wskazywało. Zaczęło się natomiast nowe utrapienie ludności, mianowicie kolejki, "oczeredi" - jak je z ukraińska nazywano. Gdy przez dłuższy czas nie było w sklepach potrzebnych artykułów i gdy potem rozeszła się wieść, że mają ich dostarczyć, ludzie w nocy zrywali się ze snu i śpieszyli do drzwi szawetnych koperatyw, by zająć miejsce i czekać na dostawę. Niestety, nie dla wszystkich starczyło, podobnie zresztą jak dziś. Każdy zna to aż nadto dobrze. W wspomnianych o tych sprawach tylko dlatego, by nie znający tamtych czasów, mogli zorientować się w źródłach tej naszej wopółczesnej zmyry. Pamiętam jak ludzie z okolic Kowla zastanawiali się nad przyczyną tego stanu rzeczy. "Ciebieś<sup>ś</sup> wszystko, cośmy mieli, podziało?" pytano się wzajemnie i nikt nie potrafił dać na to pytanie odpowiedzi. Wspominano tylko, jak jeszcze parę miesięcy temu żydzi nie pozwalali przejść spokojnie ulicą, lecz chwyтали przechodniów za poły i siłą niemal wciągali do swych sklepów, wtykając w ręce nakprzeróżniejsze



towary. Nie zrażali się grymasami klientów. Potrafili wyrzucić na ladę całe stosy towarów i tak długo zachwalać, zachęcać, aż skończony zupełnie żydowską wymową człowiek choćby dla świętego spokoju kupował cokolwiek i dopiero wtedy Żyd pozwalał mu opuścić sklep. Teraz najprostsze, najzwyklejsze rzeczy stały się przedmiotem daremnych nieraz poszukiwań.

Zaczęły nękać ludzi podatki, planowe skupy zboża, tzw. "niacopostawki" czyli obowiązkowe dostawy żywności, jak powiedzielibyśmy dziś. Każdy gospodarz otrzymywał nakaz określający ile kg mięsa winien jest państwu i nie było od tego odwołania, ani pytano skąd ma je wziąć. Jeśli nakaz opiewał na przykład na 100 kg mięsa, a nie było akurat odpowiedniego tuczniaka czy cielęcica, należało odstawić choćby krowę, byle wywiązać się z ciężącego obowiązku. Toteż wkrótce gospodarze wpadli na pomysł odprowadzania na miejsce skupu powiedzmy krowy w imieniu iluś tam rolników i potem rozliczaliśmy się między sobą. Całe szczęście, że nie przywiązywano większej wagi do jakości odstawianych zwierząt, zaczęto więc wyszukiwać stare, wybrakowane sztuki, z których i tak pożytku już nie było. W ten sposób ratowano się przed nadmiernymi obciążeniami pozbawionych i tak elementarnych warunków ludzi. Od 1941 roku ten sam system podatkowy, w stosunku do ludności wiejskiej będąc stosowany Niemcy, ale to będzie już tylko okupant, nie "wyzwoliciele".

Bujne dotąd życie w Zasmykach zamarło zupełnie. Z opuszczonymi głowami szli jesienią 39 roku mieszkańcy wsi do szkoły, by "głosować" za przyłączeniem Ukrainy do "Radiańskiego Sojuza", to znaczy wziąć z rąk komisarza kartkę z odpowiednim nadrukiem i wrzucić ją do stojącej tuż obok skrzynki. Jakież piany wyśpiewywano potem na cześć prawie 1000 "woli narodu"!

Rozwijająca się pięknie niedawno wybudowana szkoła powszechna przeszła pod rządy dwóch Iwanów Zazowickich, mianem kańców Gruszówki, Ukraińców, z których jeden uczył się kiedyś podobnie na popie i miał trochę wiedzy, drugi należał do typu ludzi, o których jako o pedagogach mówi się "uczył Marcin Marcina". Tego mądrzejszego nazywaliśmy wszyscy "Białym Iwanem" od jasno blond włosów, drugiego bruneta - "czarnym Iwanem". Oba jednak niewiele potrafili nauczyć. Jedno tylko trzeba im przyznać, że pozwalali uczniom na całkiem szczerą dyskusję i z niebywałą cierpliwością, pozbawieni całkiem rzeczowych argumentów, usiłowali odpiernąć ataki na metody wprowadzenia "raju na ziemi". Nie obrażali się, nawet nie grozili jakąkolwiek karą, gdy uczniowie zbyt uparczywie udowodnieli im, że wyznaczoną drogą do obiecanego dobrobytu ani to, ani następne pokolenie nie dojdzie. Po paru tygodniach funkcjonowania szkoły, otrzymały Zasmyki jeszcze jednego nauczyciela i o ile pamiętam, kierow-

nika szkoły nazwiskiem Nowosad, też Ukrainca z Białaszowa, czy może z Rokitnicy. przy którym obaj Iwanowie mogli uchodzić za orków.

Istniało przed wojną w naszych wsiach bardzo ożywione życie organizacyjne, o czym mówię na początku. Teraz wszystko musiało ulec likwidacji, nie nowego zaś powstać nie mogło, jako obce naszemu duchowi, przekonaniom, kulturze. Zresztą nikt nie próbował nawet organizować jakiegokolwiek kół, zespołów, stowarzyszeń. Jeszcze tylko kierownik szkoły w Janówce Stanisław Nowicki, zorganizował amatorski zespół teatralny i wystawił dobre widowisko, naturalnie w duchu polskim, ale to był już ostatni akcent dawnego kwitnącego ruchu kulturalno-oświatowego. Nie dało się go wskrzesić. Był sprzeczny z dążeniami nowej rzeczywistości. Nic więc dziwnego, że po bardzo udanym występie w polskich miejscowościach, zespół udał się do wsi ukraińskiej Piórkowicz, gdzie skwitowano przedstawienie tupaniami, gwizdami i pogroźkami pod adresem wykonawców. Całe zaś zajście zorganizowała niewielka grupa komunistów młodych, nie życzących sobie wracania do polskich tradycji. Po tym incydencie kierownik zespołu wołał nie narażać ludzi i przerwał dalszą w tym kierunku działalność.

Spółeczność nasza zaczęła ograniczać teraz swoje ambicje i wszelkie zabiegi do zaspakajania potrzeb codziennych, ale po cichu nasłuchiwanie pilnie wieści ze świata, gdyż nadzieja mimo tragicznych doświadczeń społeczeństwa nie opuszczała. Nie mieliśmy żadnych konkretnych podstaw do snucia optymistycznych przypuszczeń na temat przyszłości rozszarpanego kraju, lecz gdzieś w głębi podświadomości tkwiła wiara w sprawiedliwość dziejową, wiara że Polska powstać musi, że świat nie pozwoli na pohańbienie ideałów wolności, tak mocno utrwalonych w naszym narodzie wystawionym od dwóch bez mała wieków na łaskę i niełaskę sąsiadów. Nie może taka sytuacja przeciągać się w nieskończoność.

- Dziwna rzecz. Gdy sięgam myślą do wczesnego dzieciństwa, przypominam sobie często wdychania do niedawnej przeszłości. I tak to razy nasi dziadkowie, a nawet rodzice powtarzali z uznaniem, jak to dobrze było "za Rosji", jak to "za cara" wszystkiego było w bród, jaką to wartość miał ruski rubel, jak doskonałe były wyroby ówczesnych rzemieślników itd. Jednocześnie poddawano krytycznej ocenie wiele poczyniń w Polsce. Nie rozumiałem przeważnie tych zwązków, jak na mój ówczesny wiek, nie potrafię dziś nawet przypomnieć konkretnych przykładów tego "dobrobytu", ale słuchałem teraz z miłym zdziwieniem, nawet dumą, jak ci sami ludzie żalują Polski, ile by dali aby moc przywrócić krytykowany przed wrznięciem porządek. I to była powszechne odczucie każdego na pewno mieszkańca Łasnyk, Janówki i wszystkich okolicznych polskich wsi. Teraz dopiero Polska jawiła się w nowych kolorach, barwniejszych i pełniejszych niż wtedy, gdy była naszą codziennością.



Aż dziw, że bez szczególnych zabiegów postrafikij tak dalece zmie-  
nić się przekonania i zapatrywania prostej, od pluga i brony lud-  
ności polskiej wsi.

Pod koniec zimy 1940 roku, zimy, którą bez przesady można by  
nazwać zimą stulecia, kolejnjarze przewieźli wiadomość z za Buga, ja-  
koby gdzieś tam w lasach nad Wisłą było jeszcze polskie wojsko.  
Wieżść prawdziwym lotem błyskawicy obiegła każdy polski dom, każdą  
rodzinę. Powtarzano w tajemnicy nawet liczbę kmn żołnierzy, stłu-  
uzbrojenia, umundurowania, no i jak zwykle przy tego rodzaju wieś-  
ciach-oczekiwano lada moment świeżych komunikatów o rozpoczętych  
walkach z Niemcami. Zaczęły budzić się znowu nadzieje, tym razem  
już bardzo konkretne, że wiosną zajdą na pewno duże zmiany w naszym  
położeniu, niech no tylko zajdą śniegi... Gdy jednak nadeszła oca-  
kiwana wiosna, przywieźiono jakieś niewyraźne informacje o toczno-  
nych jakoby walkach, o zwycięstwach, wkrótce jednak wszystko ucich-  
ło, a miejsce nadziei zajęły tragiczne komunikaty o nowej ofen-  
sywie niemieckiej na Belgię, Holandię, Norwegię, Francję. Zgroza ogar-  
nęła serca i umysły, tym bardziej, im mocniej się wierzyło w niedaw-  
ne przewidywania o zmianie na korzyść naszej sytuacji. A co do  
wojska za Bugiem, to dziś można chyba domyślać się, iż te oddziały  
w polskich mundurach, z bronią i czołami u czapek, to nikt inny tyl-  
ko Hubalczycy i ich bohaterские zmagania z wrogiem w lasach Kie-  
lecczyzny. Wiosną 1940r. epopeja Hubala zakończyła się tragiczną  
jego śmiercią. Tylko my wtedy o tym nie wiedzieliśmy, gdyż ścisłą  
złączność z Generalną Gubernią mięka chyba tylko konspiracja. Chko-  
pey w moim wieku nie przypuszczali nawet, że istnieje zorganizowana  
praca podziemna i musieli poprzestawać na tych wiadomościach, któ-  
re głosiła "wieść gminna".

Tymczasem jakby dla większego pogwałcenia Polaków "serdeczna  
i braterska przyjaźń między narodami niemieckim i radzieckim"-  
jak głosiły oficjalne komunikaty-umacniaka się nie na żarty, jakby  
wszystko sprzyścięło się przeciwko nam. Każda gazeta przynosiła  
codziennie wiadomości o "braterstwie i współpracy wielkich Niemiec  
i potężnego ZSRR". Podkreślano geniusz Hitlera uwidoczniomy w błys-  
kawicznej wojnie z "pańską Polską", zapewnianie o dogonnej przy-  
jaźni dwóch narodów, zażwierżniętej w warunkach obalania wspólnymi  
siłami "znicznawidzonego-jak zapewniano-przez samych Polaków kapi-  
talistycznego rządu", którego polityka zasługiwała jedynie na po-  
gardę. Nie było dnia, by nie obrazowano błotem wszystkiego co pola-  
kie i aby nie wysławiano pod niebiosami jedynie mądrej polityki na-  
szych wybawców. Trudno było spokojnie przyjąć te zawsze te "obiek-  
tywne informacje", gdyż każdy z nas-nkody czy stary-czulk i rozumiał

coś wręcz przeciwnego. Epitety: "pańska", "burżuazyjna", "obczarnicza", "zacołana" itp. - nigdy sama "Polska" - denerwowały w końcu nawet tych, którzy początkowo, po klęsce wrześniowej zajmowali i krytyczne stanowisko wobec naczelnego dowództwa Armii Polskiej i rządu, ponieważ epitety te padały z ust ludzi, którzy nie potrafili uszanować niczego co polskie i bliskie sercu każdego Polaka, którzy wyraźnie dążyli do uczynienia z nas niewolników, zapominając, że Polacy nigdy w swojej historii, poza nielicznymi jednostkami, nigdy takimi nie byli. Obrażało nas tylko szkalowanie urzędów, gospodarki, administracji, szczególnie dotkliwie, nawet bolesne, były jakoby "wydobywanie na jaw" najrozmaitsze zakulisowe grzechy rządzących, ministrów, wojewodów, z drugiej zaś strony wychwalanie pod niebiosa własnego ustroju, polityki wewnętrznej i zewnętrznej, zawsze najsmędszej, nigdy nie popełniającej błędów, a już najdokuczliwsze były nieustanne zapewnienia o jedynej w świecie sprawiedliwości i dobrobycie, którego obraz mieliśmy możliwość każdego dnia oglądać w całej jaskrawości.

Stosowanie owej sprawiedliwości w praktyce rozpoczęło od walki z wiejskimi bogaczami - "kułakami" - co potem przyjęło i nasza propaganda. Gospodarz 8-mio - 10-cio hektarowy automatycznie był wrogiem ludu, wiejskim wyzyskiwaczem i jako taki podlegał bezwzględnemu zwalczaniu. Ma? Więc jest wrogiem! Werdykt krótki i nie podlegający dyskusji. Fakt posiadania był wystarczającym obciążeniem "politycznym". Kułakami stali się więc Werdzulinscy, Żelnikowie, Dondalscy, Śladowscy, Gielnigowie, Piętkowie, Szaszczyńscy i wielu innych zasobniejszych w Łasnykach gospodarzy. Nawet niedaleki nasz sąsiad Wincenty Sieniackowski, właściciel osmiu hektarów wyjątkowo piaszczystej ziemi z kawałkiem lasu, patrzeć musiał codziennie na swą stodołę, na której od strony drogi widniał wielkimi literami białą kredą nagryzmelony napis "kułak". Takich zapisów nie wolno było ścierać, bo podkreślało to jeszcze wrogość wobec "sowieckiej władzy". I kazano nam wierzyć, że w ten sposób wymierza się sprawiedliwość, tę "dziejową" sprawiedliwość.

Kiedy słuchałem częstych urzędowych wyurzędzeń na temat walki polskiego proletariatu o wolność i władzę o panującym bezrobociu itd. przypominały mi się sceny, których wtedy jako zbyt młody chłopiec nie rozumiałem zupełnie, a których i teraz wytłumaczyć sobie nie potrafiłem, ale które nie zawsze współbrzmiały z oficjalną krytyką minionego rzeczywistości.

Byłem już uczniem szkoły powszechnej, gdy kraj i świat nawiedziła fala kryzysu gospodarczego. Przypominało mi się jak przez Łasnyki ciągnęli niemal codziennie młodzi ludzie mianujący siebie bezrobotnymi. Zbierali datki na bezrobotnych i o bezrobociu, ale utkwiły mi w pamięci niektóre rozmowy z tymi ludźmi w naszym domu przeprowadzone. Powtarzały się często, utrwaliły się więc w pamięci młodego



- Nie mam panom co dać - mówiła nieraz mama do przybyszów, najwyżej kawałek chleba, słoniny, albo siadajcie panowie do stołu, zjemy razem obiad, czym chata bogata.

- Nie jesteście dziadami, żebyśmy brali chleb albo słoninę i nosili to w workach. Bierzemy tylko pieniądze. - Odpowiadali narodo. - Sama pieniędzy nie mam, tylko gromadę dzieci, które trzeba ubrać i nakarmić, o, widzi pan? - I mama wskazywała głową w naszą stronę, jak staliśmy z bicia w gromadkę i przyglądaliśmy się ciekawym odwiedzinom.

- To nie trzeba prosić nie baliśmy. Znajdą się tacy, co nie potrzebują i pieniędzy, a pani najwyżej kiedyś poprosi! - To mówiąc z trzaskiem zamykali drzwi i gniewni opuścili nasz dom.

- Jesteście panowie młodzi, zdrowi i nie macie pracy - odzywał się do niektórych nasz ojciec. Moglibyście zarobić sobie na utrzymanie i nie chodzić, nie prosić.

- A gdzie pan zarobi? Gdyby była praca, to byśmy nie chodzili.

- Ja wam chętnie doradzę. - Odpowiadał ojciec. - Ot tu w następnym domu mieszka dość zamężny gospodarz. Chętnie panów zatrudni i dobrze zapłaci, bo pracy ma dużo, a ręk do pracy brak, nazywa się Warduliński. Bądźciecie panowie nieśli i dach nad głową i wyżywienie, i cokolwiek zarobicie, a przede wszystkim nie bądźciecie nudnili prosić, bo to do przyjemności napewno nie należy.

Istotnie nasz sąsiad Bernard Warduliński, był bardzo samodzielnym gospodarzem, miał 30 morgi ziemi, urodzajnej, sporo lasu, pastwisk, a do pracy było ich tylko trójce: dwóch braci i siostra, bo ojciec ponad dziewięćdziesięcioletni staruszek pomagał tylko w kopaniu ziemniaków, na kolanach, gdyż z trudem chodził, ale gdy chwycił nożytkę do rąk, to mimo iż posuwał się na kolanach, rzadko która zdrowa kobieta potrafiła mu dorównać. Pracowali ciężko dniami i nocami, a wynajac nie bardzo było kogo. Niejeden bezrobotny znalazłby tam pracę i zarobek. Lecz rozmówcy ojca odpowiadali hardo.

- Myśli pan, że prosząc my się upokarzamy? O nie! Być bezrobotnym to nie wtyd, ale na dziadów robić nigdy nie będziemy! My żądamy prawdziwej pracy, nie u bogaczy! - I z obrażoną miną szli dalej. W dzień dwa przychodzili następni i historia powtarzała się od nowa. Ojciec już później trochę dla żartu uparcie doradzał wynajac się do pracy u bogatych rolników, bezrobotni z równym uporem obrażali się i szli dalej w poszukiwaniu wsparcia. Nie rozumiejąc tych ludzi. Później zacząłem zdawać sobie sprawę, że jeden czy drugi Warduliński nie rozwiązywał kwestii bezrobocia, lecz postawa bezrobotnych wywoływała u nas, młodych, co najmniej zdziwienie. Zwłaszcza ich stosunek do mieszkanców wsi - pełen wy-

szłości, lekceważenia, prawie pogardy. "Z jakiego tytułu? Teraz, od wkroczenia ZSRR na Wołyn i cały pas ziem wschodnich, na tych władni ludzie powoływano się jak na bohaterów, wspaniałych i nieśmiertelnych.

Sposób zaprowadzenia "dziejowej sprawiedliwości" znajdował wiele trudnych do zrozumienia dróg i metod. Oto jeszcze jeden z licznych przykładów:

Już w początkach 1946 roku przystąpiono do zakrojonej na szeroką skalę agitacji na rzecz kolektywizacji rolnictwa. Mówiono o tym na każdym zebraniu, pisano bez przerwy w prasie, polecano dzieciom w szkole zachęcać rodziców do zapisywania się do kołchozów - taka bowiem nonszkalarna wiedza obowiązywała. Obiecywano ochotnikom przysłowiowe złote góry, przeciwników straszono srogimi następstwami, o ile "dobre słowo" nie poskutkuje. Mimo to Zasyki wytrwały do końca i ani jeden mieszkaniec wsi nie wyraził chęci na udział w "wyższej formie gospodarki zespolowej". Podobną postawę zajęli Polacy ze wszystkich okolicznych wsi. Władze naturalnie uważały to tylko za chwilowy opór, po którym nastąpi gromadnie przechodzenie na "wyższy stopień gospodarki".

- Jak tebe śmierć nie myne, to tebe kołchoz nie myne! pocieszał mnie kiedyś w drodze do Lubitowa przewodniczący naszej "siołrady" - Mieczysław. I czułem, że nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. Tylko, że ja mu nie bardzo wierzyłem. Natomiast wśród Ukraińców w niektórych wsiach znalazło się po paru chętnych i kilka kołchozów w okolicy wkrótce powstało. Lecz sposób ich funkcjonowania zamiast być zachętą dla innych, odstraszał raczej każdego uczciwego człowieka od udziału w podobnych praktykach. Na przykład w ukraińskiej części Gruszówki kołchoz powstał chyba najwcześniej. Zgłosiło się do niego trochę ochotników, lecz raczej lichszych gospodarzy - zarówno ze względu na gorzą glebę, jak i na niedbałą pracę. Byli to ludzie mieszkający w różnych częściach wsi, często dość daleko od siebie. Trudno było w tej sytuacji zakładać wspólne gospodarstwo. Lecz władze znalazły natychmiast radykalne i sprawiedliwe rozwiązanie: postanowiono, że kołchoźnicy wezmą sobie ziemię w jednym miejscu w środku wsi, zaś dotychczasowi mieszkańcy i właściciele wyznaczonych dla kołchozu gospodarstw pójdą na miejsce kandydatów do wspólnej gospodarki. Tak też zrobiono. Decyzja była ostateczna i nieodwołalna. Kołchoz otrzymał najlepsze grunta, pieniądze na zagospodarowanie się, materiały budowlane itd., natomiast najlepsi gospodarze za niepopelnione grzechy stali się wygnani ze swojej ojczyzny. I to nie bogacze, nie kulacy, lecz ci, którzy nie wyrazili chęci do kołchozu. To jeden z przykładów zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej. Na domiar złego kołchoźnicy bardzo szybko zniszczyli piękne dotąd



gospodarstwa, otrzymane po mądrych i pracowitych właścicielach, a ich inwentarz żywy i martwy stał się wkrótce żalosnym przyśmiałem kłosem niedbalstwa i bez troski uspołeczniczonych właścicieli. Te krzywdzące decyzje oburzały Polaków a także <sup>ukraińców</sup> Ukrainców, wściekłe tym bardziej więc, opierały się coraz bardziej natężającym naleganiom władz na porzucenie gospodarki indywidualnej, nie chcąc być powodem nowych, kto wie czy nie gorszych krzywd społecznych, rozbicia i skłócenia ludzi ze sobą, wprowadzania intryg i nienawiści.

Przyznam się, że młodzież Zaslowska, jak chyba każda młodzież, po paromiesięcznym okresie przygnębienia wróciła do równowagi, a że była wścibska i spostrzegawcza, także jak każda młoda generacja, zaczęła bawić się i śmiać z rozwijającej się sytuacji. Nowe porządki i poczyny lokalnych władz dostarczały tematów do nieustannych żartów, dowcipów, dworowań. Śmiała się bez ogródek w oczy, na oficjalnych zebraniach i w prywatnych rozmowach z ukraińskimi urzędnikami. W tym celu w każdą prawie niedzielę i święto spora część młodych ludzi, nieraz też starszych, zachodziła przed nabrzeżem do "sielrady" czyli gromadzkiej rady narodowej, umieszczonej w zarekwirowanej na ten cel części plebanii, aby "podyskutować" z "holowojem" lub "seksretarom" tej instytucji. Nie wiem dlaczego, ale jeden, a często obaj urzędnicy w każdą niedzielę i święta przebywali w swej kancelarii i chętnie widzieli nas zachodzących prywatnie do ich urzędu. Owe dyskusje prowadzone w takich chwilach, były to nieustanne żartobliwe ataki na wszelkie niedorzeczności nowej administracji, naigrywanie się z wprowadzanych coraz częściej nowych porządków. Rzecz ciekawa jednak, że obaj miejscowi "dostojnicy", podobnie jak nauczyciele, wcale nie stronili od tych dyskusji, ale z godną podziwu cierpliwością znosili je, gdzie mogli, usiłowali się bronić, tłumacząc, że popełnione błędy to tylko stan przejściowy, a poza tym to co my uważamy za błędy, jest wyrazem postępu, nowoczesności, że jeszcze rok, dwa i wszystko znajdzie w naszych oczach inną zupełnie ocenę, a gdy nie mieli nic na swą obronę, usmiechnęli się bezradnie i cierpliwie słuchali kpin, nieraz i złośliwości. Całowali w tym Siolek Gising, Franek Wisniewski, Janek Tutus, Kazik Gąsiorowski i inni bardziej "wygadani" koledzy. Najczęstszym argumentem zwierzchników "sielrady" było, że naród musi uświadomić się politycznie, wyrzucić się myślenia burżuazyjnego, zrozumieć, że wszystko co się dzieje, jest historycznym prawem i żadna siła tego nie cofnie, aż świat cały stanie się socjalistyczny, a wtedy znikną wojny, broni z całego świata zwiesz się na jedno miejsce, podpali i na zawsze ludzkość będzie wolna i szczęśliwa. I wtedy przekonają się wszyscy, że gospodarka kolektywna jest

lepsza od indywidualnej. I wszyscy pójdą dobrowolnie do kółchozów.

- A co będzie-spytał tak Bolek Gising -gdy wszyscy pójdą do kółchozów? Kto będzie płacił podatki, żeby kółchozy mogły istnieć? Bo przecież przy takiej gospodarce jak w Gruszówce bez pomocy zewnątrz nie utrzymają się i będzie głód, płacz. Skąd weźmiecie pieniądze dla nich na chleb?

- Ty nie bij się - odpowiedział rezolutniejszy od "holowy" sekretarz. - Radiański i Sojuz bogaty. Wystarczy jemu samemu i wystarczy, żeby nam pomóc.

- A trzeba było tej pomocy kiedy kółchoźnicy gospodarowali na swoim? Przecież im chleba starczyło.

- To tylko początki są trudne. Potem, za parę lat zobaczysz sam, jak będą wyglądały Zasyuki i cała "Zapadna Ukraina". Nie poznasz, że to ten sam kraj!

- Oj, nie poznasz, nie poznasz... westchnął z ironicznym uśmiechem Bolek.

Cwali sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że mimo tylu żartów i to nieraz dokuczliwych, kierownictwo siełkrady nikogo nie zaskarżyło do milicji, NKWD, na nikogo nie było żadnych donosów; nikogo nie wywieziono na Sybir, podczas gdy w wielu innych wsiach i miastach niejedną z podobnych żartownisiorów oparł się aż głaz w Kazachstanie czy pod Krasę, co naturalnie odbierało nawet cichym zwolennikom ostatnie słudzenie co do świetlanej przyszłości i sprawiedliwego ustroju. Tymczasem naiwni urzędnicy nawet na szczyblu "gajonu" czyli powiatu zdążyli się, że ich działalność propagandowa odnosi pożądany skutek i że także Polacy, jeśli unikną wywózki, prędzej czy później uwierzą we wszystko, co im się własa do głowy.

Przypomina mi się przykład taki zabawny incydent.

Proces<sup>o</sup> Koperatywy w Zasyukach mianowano Bazylego Zamoczińskiego. Cukrowik z głową, dobry Polak, znany działacz młodzieżowy, później "za Niemców" jeden z czołowych organizatorów Ruchu Oporu w naszej miejscowości, nie mógł odmówić ofiarowanego mu stanowiska, bo to automatycznie czyniłoby go "wrogiem ludu", a tego rodzaju podejrzanie dyskryminowało cukrowika w oczach władz pod każdym względem. Prócz tego Bazyl spodziewał się, że jako przewodniczący spółdzielni zdoła może uzyskać więcej towarów dla swego sklepu, których brak odczuwano się coraz bardziej. Lecz nadzieja na wycyganienie czegokolwiek pozostała na zawsze tylko w aferze nadziei, trudno bowiem wydębić od władzy to, czego w ogóle dla zwykłych śmiertelników, a zwłaszcza Polaków, nie przewidywano się. Ale pewnego razu, zamiast cukru i tłuszczu dane każdej kooperatywie po kilkanaście statystek z popiersiami klasyków marksizmu i twórców państwa radzieckiego celem rozprowadzenia wśród miejscowej lud-



ności. Niech patrzy i niech podziwiał! Towar naturalnie, nalegał półki stając się co najwyżej przedmiotem dowcipów przewidzianych sklep klientów. O opchnięciu komukolwiek choćby jednego egzemplara nawet mowy nie było, o co zresztą nasz "zwiadujuszezy" wcale nie zabiegał. Aż oto pewnego razu w zimowe, mroźne popołudnie do kooperatywy zaszło paru gospodarzy w celu nabycia naturalnie wódki, gdyż nie było innego. Znajdowali się już pod niezłą dętą, ale widocznie poczuli potrzebę pokrzepienia się jeszcze bardziej. Rozlali zawartość butelki do kilku szklanek. Wychylili duszkiem, zagryśli jakimiś starymi suchagami i zaczęli lustrować wargkiem puste półki, pokpiwając sobie za sprzedawcy, który widocznie nie się stara, "bo wszędzie towarem zawałone sklepy, a u nas pusto".

- Zie się starasz Bazyli, oj źle! Będziemy musieli się zmienić pokpiwali.

Wtem Bolek Piątek, jeden z bardziej znanych gospodarzy Ziemyk, uważany przez władze za kukaka, dojrzał na jednej z półek stojące przed popieraisa.

- A co tam masz, Bazyli? - spytał wskazując trzymaną w dłoni laskę. - Święci to, czy jacyś królowie?

- Jakto? Nie poznaje pan? zdziwił się sprzedawca. - Toż to twórcy naszego niezwykłego kraju! Proszę, może pan kupi sobie do domu? - I wystawił trzy statuetki na sklepową ladę. - Będą ozdobą pokoju. - kartował dalej.

- Teraz, zaraz - zdawał się nie rozumieć gospodarz, choć dobrze znał wszystkie twarze z każdej niemal gazety. - To oni ten cały dziadowski kraj zrobili? I to co u nas się dzieje, to ich robota?

- Co za dziadowski? - zaproponował z wielką powagą Bazyli. Najlepiej, największy, najbogatszy! "odna Szosta czastyna świta" - wyrecytował zdanie powtarzane na każdym zebraniu i przy każdej okazji.

- Aaa, to przez przerwę tych cholerów to wszystko? No to dźie się policzmy! - To mówiąc krewki gospodarz trzasnął laską w posążki z takim rozmachem, że rozprysły się w drobne kawałki i rozsypały po całym pomieszczeniu.

- Co pan wyrabia? - Krzyknął Bazyli. - Toż to kryminał! Gdzie pan nas zgubiś?

- Co się boisz? - Śmiał się podochoceny Piątek. - Uwolnię cię od wszystkich naraz i będziesz miał puste półki, a kiedyś jeszcze mi podziękujesz!

- I bez namysłu skoczył na ladę, okładając ją w ustawione przed figurę. Która nie rozpadła się od razu pierwszego uderzenia, poprawiając raz, drugi i trzeci tak zapamiętale, aż wylakł wszystko w drobny mak. Wtedy zasapany, z triumfującą miną wyszedł zza lady.

Pozostali gospodarze pokładali się ze śmiechu, dopingując wojowniczego kolegę. Tylko Bazyli stał bezradnie, nie wiedząc co począć: Ma się śmiać z całej przygody czy wyrzucić za drzwi wojowniczych gości. Wreszcie podszedł do okna, wciągnął zasłonę i wzięwszy do rąk miotkę zaczął zamiatać z podłogi gipsowe okruchy.

- Żebyś nie był strątny i nie musiał odpowiadać- usłyszał spokojny głos Piątka- żebyś nie miał do mnie żalu, masz tu należność za towar. Kupiłem i wolno mi było zrobić z tym co mi się podobalo.

- Tydobył z kieszeni portfel i powoli wyjmował szeleszczące ruble.

- Po ile ta sztuka? - zapytał sprzedawcy.-W porządku...- ciągnął pod nosem usłyszawszy cenę. I wyłożył z całą powagą należną sumę na ladę.

- Chodźcie chłopcy! - zwrócił się do kompanów. I śmiejąc się hałaśliwie wyszli ze sklepu.

Po pewnym czasie odbyła się w Kowlu w "rejonie" sepcwa kierowników spółdzielni. Składano sprawozdania z wykonania planów, zgłaszano postulaty, skarżąc się na nieustanny brak towarów. Cdy doszko do kwestii rozprowadzenia statetek, okazało się, że tylko Zasyki wywiązały się z zadania w 100%, naturalnie ku ograniczemu zdumieniu kierowników innych kooperatyw. Tylko prowadzący zebranie urzędnik zdawał się być wcale nie zaskoczony, bo zwracając się do zebranych rzekł prostodusznie:

- No widzicie? Wszystko zależy od socjalistycznej świadomości społeczeństwa, a przede wszystkim świadomości samego sprzedawcy, od jego operatywności, dobrych chęci, umiejętne przekonania mieszkańców swojej wsi. - "Wot towarzyszu Zamościński, Palak, zawiaduje kooperatywoj w polskim seli, a plan wypożnił!". A wy Ukraińcy, staryje komunisty, nie potrafili tego dokonać. To niedobrze- o was świadczy, a wam towarzyszu Zamościński, należy się pochwała za "dobroju robotu". - Ale skoro tak, to może jeszcze trochę tych posażków weźmiecie, a? - Napewno dacie radę i dalsze "rozprodaty".

- Teraz raczej nie, dziękuje-bronik się zachowany Bazyli.- komu mogłem, to sprzedalem, ale więcej nabywców trudno będzie teraz znaleźć. Jak u dalszych mieszkańców dojrzeje świadomość... to może wtedy...

- Hu, prawidłno, wy dobre skazaki-pochwalik przewodniczący narady.- Świadomość, "raboczaja" świadomość, to grunt. A ta na zwołanie nie przychodzi, trzeba wszystko wypracować i świadomość też. Ale wy jesteście na dobrej "dorozii", towarzyszu Bazyli- przeszedł z radości na ton poufaki, używając imienia zamiast oficjalnie nazwiska.- Ale



gdyby kto "iz Sasnyk chotik kupyty, to dla woicich chwatył". Polaki to dobry ludzie, tylko pod rządami kapitalistów nie dano im wyzwolić z siebie wszystkich możliwości. Ale jeśli "radianskuja władca" zaczyna rozumieć, to niedługo kapitalistyczne zaniedbania się naprawi.

Bazyli był czołowym aktorem w amatorskim zespole, umiał więc teraz nie prychnąć śmiechem i z całą powagą kwitował słowa mówcy, skłaniając raz po raz uroczyście głową na znak, że całkowicie podziela opinie urzędnika.

Sposoby rządzenia nowej administracji wkrótce sprawiły, że ludzie zaczęli używać różnych oszustw wobec władz, gdyż inaczej niemożliwe było wykonanie nakładanych na mieszkańców rosnących ciągle obowiązków. Nikt nie liczył się z realnymi możliwościami człowieka, wszelkie zarządzenia odbiegały od konkretnego życia i dlatego były po prostu niewykonalne. Dopiero używanie różnych wybiegów pozwalało wyjść z trudnych nieraz sytuacji. Jako przykład niech posłuży pewien epizod z budowy aerodromu, czyli lotniska, w Lubitowie. Przypadek bardzo charakterystyczny.

Kiedy rozpoczęto pracę, wszystkie okoliczne wsie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów otrzymały polecenie trzy razy w tygodniu wyjeżdżać do wożenia piasku. Dwa kilometry od lotniska wznosiło się wzgórze, z którego doskonały żółty piasek trzeba było wozić na budowę pasów startowych. Pojechaliśmy z ojcem raz, drugi, po czym ojciec uznał, że praca jest na tyle nieskomplikowana, iż może jeździć sam, podczas, gdy ojciec zajmie się ważniejszymi pracami w domu.

Pojechaliśmy. Już po pierwszym dniu uznaliśmy, że jest to robota niebył ciężka, a wesoła, atrakcyjna, bo było wielu rówieśników, woziliśmy więc piasek bez zbytniego pośpiechu, ale uszczywie nie tracąc czasu. Tymczasem urzędnikiem, który kierował budową, wydało się, że pracujemy zbyt wolno, postanowili więc wyznaczyć normy i to co dzień wyższe. A ponieważ za przywieziony piasek, płacili za ileżnie od ilości, każdą furę dokładnie mierzono za pomocą drewnianego patyka z podziałką. Mierniczy stawał na furmankę, wbijał miarę w piasek aż do deski, następnie mierzył szerokość ładunku u góry i na dole, wreszcie długość wozu i obliczał objętość przywiezionej ilości materiału. W dzień po wyznaczeniu wyższych norm zauważyłem ze zdziwieniem, że starsi koledzy obracają tam i z powrotem dwa razy, zanim ja miałem zrobić i to z trudem jeden kurs. Poza tym jeździłem klusą, gdy moja Siwa, strzymana od wojska w 1939r. ledwie ciągnie załadowany wóz. Nie mogłem zrozumieć jak się to dzieje, choć czułem nieczystą sprawę. Wreszcie Bolek Ciszyng "uświadomił" mnie.

- Jak ten palec odjeżdżie-rzekł cicho wskazując na nierniczego-  
to podejdz do mojej furgonki, coś ci pokażę.

Wypatrzyłem stosowną chwilę i pobiegłem do starszego kolegi w  
momencie, gdy ten wylądował akurat piasek.

- Patrz, jak się wykonuje normy - mruknął porozumiewawczo. Tylko  
uwaga! na pana władzę.

Popatrzyłem i omal nie paszkałem śmiechem. Cały ośrodek wozu wy-  
pełniony był wielkim worem siewki, a tylko z tyłu, gdzie urzędnik  
dokonywał pomiarów, piasek sięgał samego dna. Rozładunek trwał chwilę  
i furca kłusem zawracała po następną porcję. Wkrótce i ja zacząłem  
wykonywać plan. I najdowcipniejsze było to, że wszyscy naczelnicy,  
których było pełno na placu budowy, widząc nasz pośpiech nie szczę-  
dzili pochwał:

- Nu, nakładcy, okłopy! Zaszmyki robiat szczo den kuzozo.  
Slycząc to, nie wiedziałem czy śmiać się, czy smucić. Rozumiałem tyl-  
ko, że do wywiązania się z obowiązków innej drogi nie ma.

A przecież przy normalnym, ludzkim traktowaniu pracy, można było  
uchronić młodych zwłaszcza ludzi przed uciekaniem się do oszustwa.

Zaraz jesienią 1939r. przysłano do Zaszmyk dwóch ludzi, Polaków,  
z których jeden mówił, że jest Ślązakiem, drugi pochodził jakoby z  
centralnej Polski. Skąd się wzięli po naszej stronie Bugu, pozostanie  
ich tajemnicą. Mieli, według ich własnych słów, pilnować porządku,  
udzielać pomocy w organizowaniu nowej władzy i "uświadamić" poli-  
tycznie mieszkańców.

Zaszmyki są reakcyjne-twierdzi. Muszą zmienić swe poglądy na pra-  
widłowe, nadać z postępem.

Byli to młodzi jeszcze ludzie. Ślązak miał lat nie więcej niż 30,  
wysocki, przystojny brunet, drugi nieco starszy, małomówny, trochę faj-  
trąpowaty i zadumany. Obaj jednak byli bardzo pewni siebie i przy  
każdej okazji lubili chęć się swoją przeszłością. Opowiadali,  
szczególnie Ślązak, jak prowadzili tajną robotę, jak się wymykali po-  
licji, jak-aresztowani-dzielnie stawiali czoła śledczym i wywodzili  
w pole najspytanych. Badano ich, skazywano, lecz zawsze potrafili  
się wydobyć z "namra" i wracali do dawnej działalności.

Te ich buńczuczne <sup>Polaków</sup> ~~Polaków~~ ludność kwitowała pobłażliwymi uśmie-  
chami, widać było bowiem wyraźnie, że fantazjują. Rzadko wstawano się  
z nimi w dyskusję, słuchano cierpliwie nieustannych przechwałek.  
Uważano obu za szpiegów, albo niebezpiecznych maniaków. Totalną uporczy-  
wa ich agitacja nie odnosiła żadnych skutków, a co gorzej - swe na-  
iwne "uświadomienia" szybko się naszym ludzom zrudziły.

- Maja nas za warstów, czy co?-złóścili się starci, poważni go-  
spodarze. - Chca nam zaimponować opowiadaniem, jak ich bili w mordę?



Niech lepiej powiedzą, co konkretnego zrobili! i pożytecznego?

Oni jednak widocznie nastawili się tylko na wspomnienia ze śledstw i więzień oraz o, przekradaniu się z miasta do miasta, bo nic innego powiedzieć nie potrafili. Natomiast zadomowiwszy się we wsi, zaczęli wysuwać coraz to większe wymagania. Sielrada chciała im początkowo wynająć jakiś pokój, by mieli stały dach nad głową. Agitatorzy orzekli jednak, że charakter ich pracy wymaga, by stale byli gdzie indziej. Uznali za słusniejsze, aby co dzień lub co dwa dni kto inny udzielał im mieszkania i wikt. Gdy władze wyraziły na to zgodę i wydały Zasmyczanom odpowiednie polecenia, nasi "uświadczeni" poczuli się panami sytuacji. Przede wszystkim wyłuszczyli jasno i bez ogródek, co należy przyrządzić im na obiad, śniadanie i kolację. Ma być codziennie wędlina, jajka, drób gotowany lub pieczony, a wszystko suto zakrapiane alkoholem.

- Już zdążyliśmy się zorientować - stwierdzili krótko, że Zasmyki są wsią zamożną, że dużo tu kulaków i reakcji i nie ma potrzeby nikomu folgować. Nie przyszliśmy tu na zabawę, tylko do ciężkiej pracy politycznej, należy się więc nam za to jakaś nagroda, nie? Darmo nie jemy.

- Gospodynie rado nierado wychodziły ze skóry, żeby sprostać wymaganiom, zwłaszcza że pensjonariusze, gdy tylko coś im się nie podobało, natychmiast opowiadali wśród sąsiadów, jaka to skąpa i niegospinna ta lub owa pani, jak ich źle przyjmowała. Ale cierpliwość ma swoje granice. Niektórzy uboży gospodarze zanosili skargi do władz, utalali się sąsiadom, że im goście "pyskują" za byle co, a nawet straszą, że znajdą na miejsce, jeśli jeszcze raz tak samo ich przyjmą. Tego było za wiele.

W któreś niedzielne popołudnie uskyszałem, jak starci koledzy pocieszają skrzywdzonych gospodarzy, na których skrzyżyli się agitatorzy oraz tych, u których w najbliższym czasie mieli kwaterować, że pewnie nie będą musieli szukać wódki, bo goście chyba nie przyjdą.

- Jak to? Naprawdę? - Nie dowierzali zagadnięci. - Wyjadą?

- Najprawdopodobniej - odpowiadali chłopcy.

Rzeczywiście następnego dnia przeleciała przez wieś radosna wiadomość, że obaj panowie wynieśli się o świcie, nawet nie żegnając się z gospodarzem, u którego kwaterowali. Czekano dzień, nie pojawili się. Dopiero po kilku dniach dowiedzieli się, że kilku chłopaków przyłapało ich, gdy wracali późną nocą do domu i "przykazało", by dziś jeszcze wynieśli się jak najdalej. A ponieważ swoje żądanie poparli odpowiednio silnymi argumentami, bohaterowie, choć oporni na cięsy, jak to często podkreślali, tym razem stracili widocznie dawną wytrąmalność i wstępi w Zasmykach więcej się nie pokazywać.

Rzecz ciekawa, że pytani o nich urzędnicy "sielrady" odpowiadali niechętnie:

- My nie znamy, czego wychaży. I nie znamy Żuda.

- A kóły przyjdut?

- Toż nie znamy.

Ale my wiedzieliśmy, że już "nie przyjdut".

### - Pierwszy kontakt z konspiracją -

Był grudzień 1942r. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Zasyki otulała biała pokrywa śnieżna, równiutka, bez zasp, przzerwiona tylko liniami dróg z wygładzonymi przez sanie koleinami, choć prawdę mówiąc, sanie z rzadka tylko pojawiały się, nie mając dokąd i po co jechać. Ludzie najchętniej siedzieli w domu, jakby w oczekiwaniu czegoś niezwykłego, co nieodzwrotnie przyjsć musi prędzej czy później. Gazety niemieckie wprawdzie donosiły codziennie o nieustannych sukcesach swych wojsk, które stały już pod Leningradem, Moskwą, gdzieś na Krymie, opanowały północną Afrykę, usiłują wdrzeć się na wyspy Brytyjskie. Ludzie jednak pod wiadomości wyczekiwali rychłego nadejścia pomyślniejszych wiadomości, zwłaszcza z Zachodu, że zaczyna kłamać się potęga Trzeciej Rzeszy i że uwolnienie kraju od okupacji jest niedalekie.

Wspominano, jak to niezwyciężoną siłą nazywali siebie niedawno jeszcze nasi wachodni "wybawcy", zapewniając, że gdzie raz postawią stopę, stamtąd już żadna siła ich nie ruszy, a tymczasem ich czołgi, samochody oraz całe tłumy wojsk pieszych uciekały od samego Pana 22.VI. ubiegłego roku, gdy tylko rozpoczęła się wojna. Rzucano w przydrożnych rowach broń, amunicję, rozbity i zniszczony sprzęt, a pojedynczy żołnierze, jeśli tylko mieli sposobność, wpadali do domów i prosili o cywilne ubrania. Wszystko zmykało w popłochu, w niesamowitym chaosie, a miejscowa ludność wylegała przed domy, by patrzeć na to krępujące widowisko. Wierzono głęboko, że gdy przyjdzie czas, w podobny sposób będą uciekali i nowoprzybyli okupanci-Niemcy. Wierzono święcie, mimo, że rzeczywistość wskazywała na coś wręcz przeciwnego: gdziekolwiek dotąd armia Hitlera uderzyła, wszędzie uzyskiwała zwycięstwa. A jednak.

- Połamia zęby, połamia i będą z płaczen szukać Waterlandu! poleczali łasmyczanie jeden drugiego i śniali się w taki sposób jak by to już jutro miało nastąpić.

Czas jednak płynął, a sytuacja nasza nie poprawiała się ani na jotę. Trwała cisza i przygnębienie. Tylko młodsi dworowali nader, jak w czasach sowieckich.

Zasyki, poza coraz to cięższymi świadczeniami na rzecz "zwycięskich Niemiec" nie ucierpiały dotąd od okupanta prawie wcale. Zdarzyło się, że akurat w poprzednie Boże Narodzenie wpadła do wsi Andarna-ria, aresztowała nawet kilku mężczyzn, ale wkrótce wszyscy wrócili do



donów celi i zdrowi. Czas tylko płynął niemilosierdzie powoli w jakiejś stagnacji i oczekiwaniu. Dzień podobny był do dnia, nie się nie dziako, życie potoczyło się w istnym letargu.

Kiedy zapadał zmrok, cisza i ciemność obejmowały wieś. Na okna zapuszczano zasłony, ruch na drogach ustawał całkowicie. Tylko niewielkie grupki ludzi spieszyły do kościoła co dzień o tej samej porze na wieczorne nabożeństwo, by po mniej więcej godzinie pojawić się znowu na drodze i bocznymi ścieżkami zdążyć spiesźnie do swych domów. Jedynie młodzi kawalerowie, nie bacząc na zarządzenie wroga o godzinie policyjnej, odwiedzali się wzajemnie, urządzali spotkania towarzyskie w domach koleżanek i bez troski wracali nawet późną nocą, bacznie obserwując czy nie dzieje się gdzieś coś podejrzanego.

Jednego wieczoru z "naszego brzegu"/tak nazywaliśmy tę część Zasnęk, w której mieszkałem, zachodnią, w odróżnieniu do przeciwnej-wschodniej, która była "tamnym brzegiem"/, byłem w kościele sam. Po skończonym nabożeństwie stałem w pobliżu bramy i rozglądałem się czy między wychodzącymi z kościoła nie zobaczę kogoś z sąsiadów, choćby starszych, aby rańniej było wracać. Zanim jednak pojawił się ktokolwiek, podszedł do mnie Bazyl Zanościński z "tamnego brzegu" i przywitawszy się spytał:

- Spieszysz się do domu?
- Nie, czekam na kogoś od nas, ale nikogo nie widzę.
- To chodź, przejdziemy się trochę. Tylko niech ludzie przejdą.

Mijały nas kobiety, mężczyźni, dzieci, pojedynczo i grupami rozmawiając półgłosem. Czasami rozlegał się tłumiony chichot zawieszonych dziewcząt. Gdy wszyscy przeszli, Bazyl zwrócił się znowu do mnie:

- Może podejdziesz tu, w kierunku cmentarza? Tam będzie najspokojniej.

Był poważny, ce mu się rzadko przytrafiło. Bo na co dzień nie było w całym Zasnęku weselszego niż on człowieka. Z natury swobodny i bez troski miał niezwykle poczucie humoru, a głośnym, rozbawiającym śmiechem potrafił zarazić nawet najmniej do weselości usposobionych. Zapraszany chętnie na wesela i inne uroczystości rodzinne świetnieawił towarzysztwo i z każdym czuł się dobrze. Sprawiał to jego niezmiernie życzliwy stosunek do ludzi, wrodzona dobroć, grzeczność, bezpośredniość. Znał mnóstwo przyspiewek na każdą okoliczność, domowych, melodyjnych, a śpiew lubił, jak się to mówi-pasjami. Uczył się przed wojną w Wilnie w szkole muzycznej, miał zamiar zostać organistą, ale coś mu tam przeszkodziło w ukończeniu wybranej szkoły i tylko czasami grywał w kościele na fischarmonii, choć nie zawsze trafiał palcami na właściwe klawisze. Nie zrażał się tym bynajmniej, ani nikt mu tego nie miał za złe, bo w całej okolicy wszyscy

go zawsze lubili. Próbował więc swych sił w muzyce kościelnej, zanim nie wyręczył go w tym kierownik szkoły Siudek, a potem już prawdziwy organista - Piotrowki. Ale z chóru parafialnego nie zrezygnował nigdy. Był ode mnie i moich rówieśników sporo starszy, lecz nie udało się, aby z tego powodu patrzył na któregośkolwiek z nas z góry. Wprost przeciwnie - we wszystkich grupach wiekowych cieszył się jednakoową popularnością, bo ze wszystkimi był w przyjaźni.

Szliśmy czas jakiś w milczeniu, rozglądając się naokoło. Kończyły wyszedł już nad olszynowe i brzoźowe lasy otaczające Zaszyki od północy, a w jego srebrzystym brzasku śnieżne puchy łęki, tysiącami drobnych iskierek. W dali za cementarzem stała nieruchomo cienna ściana lasu, bliżej na lewo rzadka dębina. Kasjana Mazurka wyglądała w tej chwili jak prawdziwy bór. Ciszę przerywało tylko ujadanie psów, dobiegające to od strony Witkowskich, to znów gązieś Brudków i Łabików.

Gdy minęliśmy wzniesiony niedawno przy cementarnej drodze krzyż Bazyli odezwał się:

- Nie wiem, czy domyślasz się, po co cię zaprosiłem na ten nocny spacer. Otóż chciałbym dziś pomówić z tobą o bardzo ważnej sprawie. Już dawno nosiłem się z tym zamiarem, ale nigdy jakos nie miałem okazji. Tylko na wstępie... tego... - zaczął się na moment, co mu się zwykle zdarzało, gdy był czymś bardzo przejęty.

Śluchałem z najwyższym zaciekawieniem.

- Tego... no... zaczął znowu po krótkiej chwili - chciałbym cię uprzedzić, że rozmowa nasza ma pozostać w zupełnej tajemnicy, nikomu o niej ani słowa... rozumiesz... bo tego... i znowu urwał, jakby w poszukiwaniu właściwego wyrażenia.

- Jeżeli tak trzeba, to naturalnie że zachowam tajemnicę, rozumiesz dobrze,, odczekałem się <sup>nie</sup> swoim trochę głosem, zdziwiony niezwykłym wstępem Bazylego, a przez głowę przelatowało dziesiątki domysłów, jaka to może być sprawa, o której ma mi powiedzieć, ale żaden nie zdawał się być dostatecznie przekonujący.

- To co ci chcę powiedzieć, jest naprawdę ważne - zaczął po krótkiej przerwie Bazyli. - Nie myślisz chyba, że Polaka poddała się Niemcom i biernie, w bezczynności czeka na zakończenie wojny i że ktoś jej podaruje wolność. Od dawna działa w kraju tajna organizacja, która przygotowuje się do podjęcia walki, gdy tylko nadejdzie odpowiedni czas. Sieć organizacyjna obejmuje już wszystkie miasta i na pewno wszystkie wsie. Zaszyki też. I na ten temat chciałbym z tobą porozmawiać. Śluchałem oszołomiony, bo chociaż nieraz myślałem, że podobnie jak w czasach niewoli i zaburzeń, o czym uszyliśmy się w szkole na lekcjach historii, istniały tajne spiski, sprzyśnięcia, antyzaborowe organizacje, tak też i teraz istnieć mogą, muszą. Tylko gdzie? Na pewno w Warszawie,



Krakowie, Poznaniu oraz w innych dużych miastach, ale nie przypuszcza-  
-czałem, że usłyszę o nich dzisiaj z ust mieszkańca mojej wsi, jako kan-  
-ich oczywistego członka. I nagle poczułem się jakby w centrum kon-  
-spiracyjnych działań, które wokół mnie rozwijają się, tętnią, a tylko  
-ko ja nie o nich nie wiedziałem, nie prześledziłem ich dotąd, stojąc  
-niemal całkowicie na marginesie najważniejszego nurtu życia. Dopier-  
-po teraz. Radość połączona z jednoczesnym dziwnym jakimś niepokojem,  
-sam nie wiedziałem przed czym, sprawiły, że serce zaczęło mi  
-bić jakby stało się już lub miało stać za chwilę coś niezwykłego,  
-niesamowitego. Bazyli zaś nie wiedząc zapewne ani domyślając się  
-co się we mnie dzieje, zaczął mówić spokojnym teraz głosem o po-  
-trzebie walki konspiracyjnej, o nastrojach w narodzie gotowym do  
-najwyższych poświęceń, który nigdy nie godził się z niewolą i nie  
-zgodzi się na obecną, o polskim wojsku na zachodzie, które pośnie  
-w siłę i gdy nadejdzie pora, a nadejść musi, wkroczy jako zwycięzca  
-na polską ziemię, my zaś uderzymy od wewnątrz i: wspólnymi siłami  
-położy się kres panowaniu Prusaków w naszej ojczyźnie. Trzeba jed-  
-nak, żeby jak najwięcej ludzi było do tej ostatecznej rozprawy pra-  
-przygotowanych, zwłaszcza młodych, najbardziej nadających się do  
-noszenia broni i z najgorętszą wolą walki. Tylko jeszcze nie teraz.  
-Czeka nas jeszcze długa praca podziemna.

Po raz pierwszy usłyszałem ten wyraz -"podziemna"-który wrót-  
-ce miał nabrać znaczenia obiegowego. W głowie mi szumiało od nad-  
-mierą wrażeń, lecz słuchałem dalej z napiętą uwagą.

- Znam cię dobrze i mam do ciebie zaufanie, kończył Bazyli.  
-Ale jeszcze na razie nie chcę, abys mi składał jakikolwiek dekla-  
-racje. To wszystko co ode mnie usłyszałeś, musisz dobrze przemyśleć,  
-rozważyć, bo chyba nie wątpisz, że konspiracja jest rzeczą wyjątko-  
-wo niebezpieczną. A kto złoży raz przysięgę, dla tego odwrotu nie  
-má. Tu się w każdej chwili ryzykuje życiem.

Trzęsło się we mnie wszystko. Nie wiedziałem tylko -z radości  
-czy ze wzruszenia? Nie umiałem odezwać się, zadać pytania czy cho-  
-ćby powiedzieć czegokolwiek. Mój starszy przyjaciel widocznie też  
-wyczuł to, bo dodał po chwili:

- Widzę, że przejąłeś się tym, so ci powiedziałem. To dobrze, bo  
-nie są to sprawy błache, nad którymi można łatwo przejść do porzą-  
-dku dziennego. Wymagają odwagi i silnej woli. Aha, nie wspomnieliś  
-ci jeszcze o bardzo ważnej rzeczy: o naszej roznowie nikomu ani  
-słowa. To pozostać w głębokiej tajemnicy. Żadnej odpowiedzi od  
-ciebie teraz nie chcę. Za kilka dni spotkamy się znova, wtedy wpo-  
-cinamy do dzisiejszych spraw. Jeżeli się zdecydujesz, złożysz przy-  
-sięgę. Jeżeli nie, to też nie będę miał do ciebie pretencji ani za-

ia, a rozmowę obecną potraktujemy jako niebyłą. W domu też nie mów  
nawet nic. Rodzina nawet najlepsza, nie powinna niczego się domyślać.  
Tęgo wymaga dobro organizacji. Gdy przyjdzie czas, dowiedzą się wszyscy,  
ale jeszcze nie teraz.

Dochodziliśmy do cmentarza. Na skłupkach, krzyżach, nawet na szta-  
chetkach ogrodzenia widniały białe kokpaki ze śniegu. Niewielki mro-  
zakrzypiał pod butami i cichym odgłosem odbijał się o pobliskie za-  
rosła. Najciszejszy nawet powiew wiatru nie poruszał gałązkami młodych,  
nie-dawno zasadzonych wokół cmentarza drzewek.

Zatrzymaliśmy się naprzeciw cmentarnej bramy i przez chwilę w  
milczeniu patrzyliśmy na mogiły naszych krewnych, znajomych. Szczerze  
nie psów oddaliło się i przychyliło. Od strony Lubitowa dostrzegaliśmy od-  
legły, ledwie doskazywalny gwizd lokomotywy. Domy szarych łonów od  
góry białą śniegu, a cienie z tej odległości sprawiały, że budynki  
przypominały niekierowane kopy siana, przycupnięte na białej płasz-  
czyźnie. Tylko linie dachów mówiły o kształcie budowli. Odwróciliśmy  
się w stronę co przyszliśmy i patrzyliśmy na swoją wieś cicho, spokojnie,  
otuloną śnieżnym puchem, z którą życie nasze związane się nierozdzieli-  
nie. Przez myśl nam wtedy nie przeszło, że już wkrótce zniknie spokój,  
poleje się krew i trzeba będzie polegnąć, może na zawsze, wszystko co  
się tak serdecznie ukochało...

Nawet wspaniały masyw kościoła, który dominuje nad drogami Zasmykami,  
nasza praca i nasza duma, burza dziejowa zmiecie całkowicie z powie-  
rzchni ziemi...

Wróciliśmy powoli tą samą drogą. Księżyc wznosił się w górę i rzu-  
cał jeszcze silniejszy blask na całą okolice. Przybliżyły się ku nam  
sąsiedztwa Śladowskich. Wisniewskich. Plichtów, wynurzało się spoza  
krzewów akacji otaczających plac kościelny ubogie domostwo Tjtuśów,  
jeszcze dalej w polu majaczył obszerny gmach szkoły z rozkołysim  
przykrytym dachem. Patrzyliśmy na bezlistne i przyprószone śnie-  
giem gałęzie drzew owocowych otaczających wieś, każdą zagrodę, na  
kępę wierzb płaczących obok stodoły Zygmunta Śladowskiego, których  
długie nitki zwisaające pionowo opierały się o roziskrzoną śniegowa  
taflę. W głowie kłębiły się myśli obudzone niedawną porażką, wyobraź-  
nia wywoływała już wszystkie sceny walk o wolność Polski, może nawet  
tu, na tych stu polach, która drzemie pod pokrywą śnieżną, a może  
gdzieś daleko, dokąd zaprowadzi nas twardy żołnierski obowiazek, by z  
obrazy pacyfikacji lub aresztowania, gdy Niemcy wpadną na trop tajemnej  
organizacji, skierowanej przeciwko nim-panom światła! Od czasu do czasu  
dochodziły do nas nagle wieści o takich przypadkach niemieckich  
gwaltów na polskiej ludności. Kto wie, co się jeszcze tutaj będzie



działo? Takimi i podobnymi myślami  
jesteśmy już przez bramę kościoła  
miejsca spotkań, żegnów, pożegnań. B  
nie wyciągnął do mnie rękę:

- No, to bynajmniej. Póno się zrobi  
drogi. Umowa stoi, prawda? Za kilka

Chciałem powiedzieć coś przy  
ki za zaszczyt dopuszczenia mnie  
len nagle tak dziwną i ogromną po  
sily uściskiem wyciągniętą na po

Droga do domu, choć odległa ok  
chwila. Nie zauważyłem kiedy pozost  
kich, Słonków, Godlewskich, Gąsiorów  
kich niewidzialnych skrzydłach.

Rodzeństwo już spało. Rodzice

- Czemu tak późno? Wiesz, jak  
nocy. Jeszcze napytasz jakiej białej

Ojciec nawet w czasach normalnych nie lubił, gdy się nie wracało  
o właściwej porze do domu. Teraz był szczególnie na to uczulony.  
Dzień jednak był w lepszym niż się spodziewałem humorze. Wymówki ograni  
czyły się do tych paru słów.

Uspokojony, szybko ułożyłem się do łóżka, ale długo czu  
-rałem, zanim sen okazał się silnie od doznanych emocji.

P r z y s i ę g a

Minęło kilka dni i bez uprzedniego porozumiewania się spotka  
łem Bazylego w "naszym brzegu". Był to u Żołników. Antoni Żołnik  
trudnił się rolnictwem i szewstwem jednocześnie. Wykonywał nowe ba  
ty, naprawiał stare, a wszelkie zamówienia starał się robić solidnie,  
dokładnie bez ustarek. Na brak pracy nigdy się nie miał powodu us  
karzać.

Ale młodzi ludzie odwiedzali dom Żołników także i z innych  
względów, były tam mianowicie dwie młode sympatyczne panienki - Zosia  
i Irka. Zosia była już dorosłą panną, miała za sobą kowalskie gimna  
zjum, do w tamtych czasach było przedmiotem zazdrości niejednej ko  
leżanki i kolegi, a jednocześnie stawiała gimnazjalistę wysoko w  
hierarchii intelektualnej wsi, natomiast Irka dopiero zaczynała  
być panią, lub, jak kto woli, była podlotkiem, można więc było spo  
-tkać w domu Żołników zarówno starszą kawalerkę jak i supełnych młod  
-kosów, którzy jednak usiłowali wchodzić już w klan dorosłych. Próż  
tego Żołnikowie byli gościnni, kulturalni i jak większość mieszkań

ładnięty ani spostrzegłem, że  
osobnego planu na rozdrożu-  
miejsca przyjaź-

a do domu obaj  
ny kawał  
Do zobaczenia  
go, jakies cie  
słowo podzię-  
leżwykłej taj  
cy, ale, odczu-  
w głowie, że tylko z całej  
nie dłoń.

2 kilometry, minęła jak krótka  
za mną zabudowania Dondał-  
ch. Szedłem jak unoszony na ja-

ierali się do gaszenia lampy.  
bezpiecznie chodzić teraz po

ch nie lubił, gdy się nie wracało  
szczególnie na to uczulony.  
podziwiałem humorze. Wymówki ograni

Wtem się do łóżka, ale długo czu  
od doznanych emocji.

... i ...

ców Zasznyk nie stronił od rozmów nawet ze starszymi uczniami szkoły powszechnej. Każdy więc czuł się tu swobodnie, nie musiał się dzielić sztywno, jak podczas oficjalnej wizyty. Było jednocześnie w tym domu coś, co budziło respekt dla jego mieszkańców. Na koniec trzeba dodać, że wzajemne odwiedzanie się młodych i starszych należało w naszej wsi do zwykłych, codziennych obyczajów.

Podennie i tego wieczoru siedzieli w domu naszych sąsiadów rozmawiając jak zwykle, o sprawach aktualnych, o najnowszych wiadomościach wojennych, o bliskich i dalekich, których wiecher ostatnich lat rzucił daleko na wschód i zachód, ale małe, gdy tylko ujrzałem Bazylego, nie opuszczała jedna myśl: czy dziś rozstrzygnie się moja sprawa, czy starszy przyjaciel przeprowadzi ze mną ostateczną i decydującą rozmowę?

Okolo godziny dziewiątej /w zwykłych rozmowach nigdy nie używaliśmy terminologii: dwudziesta pierwsza, druga itd/ potęgaliśmy gospodarzy i wyszliśmy na dwór. Na naszym dziedzińcu, podobnie jak tamtego pamiętnego wieczora świecił księżyc, co dość gęsto po niebie cieniły delikatnie poruszające gałęziami sadu, w którym stały pod skoniakami, bowiem żołnik trudnił się w tym czasie wycieczkami. Okna domów, jak zwykle, były przeciekające przez szpary przeciekało światło z kłami drzew starego przydrożnego sadu i czapami wiekowe kłody z paszczami wolnych chwilach również paszczami i tylko gdzieś nagle nagle światło naftowych lamp.

W milczeniu odeszliśmy kilkanaście kroków od mieszkania, gdy w pewnym momencie Bazyl spojrzał na mnie poważnie, położył mi przyjacielską rękę na ramieniu i rzekł:

- Zatrzymajmy się trochę. Wiem, że...tego...Chciałem wrócić do tamtej, pamiętasz rozmowy...

Znowu zaczął się trochę zaczerwieniła, a z twarzy znikła beztroska i ożywienie towarzyszące mu przed chwilą. Czarne, mocno zarysowane brwi ściągnęły się, piwnie oczy wpatrywały się badawczo we mnie. Po skórze przesłaniało mi tysiące drobnych, a serce zabiło żywiej niż zwykle.

- Tak, pamiętam - odpowiedział mi jakos niesmiało, choć szliłem się na spokój i powagę.

- No więc co, Leonku, jak...na co się decydujesz? Przemyślałeś wszystko? Tylko powiedz szczerze...tego...zupewnie szczerze.

Mówił te słowa miękko, serdecznie, jakby chciał osmielić mnie do jaknajszczerzej odpowiedzi.

- Przemyślałem każde twoje słowo i jestem gotów, to jest...- zawahałem się - to znaczy...bardzo chciałbym, żebyś mnie przyjął. Mówię to naprawdę szczerze.



Własny głos wydał mi się znówu jakiś inny niż zwykle, jak jakbym słyszał nie siebie, lecz kogoś innego, stojącego obok. Tylko gardło sciskało się coraz mocniej.

- Dobrze-powiedział Bazyli-ale pamiętaj, już teraz odwrotu nie będzie. Jeżeli się zdecydowałeś, to chyba zaraz złożyć przysięgę, prawda?

- Jestem gotów.

- Czym jest przysięga-mówił dalej-i czym grozi jej złamanie, nie muszę ci tłumaczyć. Wspominałem wresztę o tym już wtedy przy cmentarzu. Dzisiaj nie będziemy już dłużej na ten temat rozmawiali, bo czasu na zastanowienie się miałeś dość.

- Tak, pamiętam wszystko - wyszeptałem raczej niż powiedziałem.

- Złóż więc czapkę i weź ją w lewą rękę. Stań na baczność. Podnieś dwa palce prawej ręki w górę i powtarzaj za mną.

Nie przypominam już sobie roty przysięgi. Wiem tylko, że mówiła o wiernej służbie Ojczyźnie, o poświęceniu, aż do ostatniej kropli krwi, o dochowaniu tajemnicy, o bezwzględnym podporządkowaniu się rozkazom przełożonych i kończyła się znany zwrotem: "Tak mi Panie Boże dopomóż! Amen".

Nigdy chyba nie wypowiedziałem żadnych słów z większym przejęciem i namaszczeniem. Czekałem, że gardło mam ściśnięte, że oczy pewnie się szklą i że ręka z uniesionymi w górę palcami wyrażnie dygocze. Skończywszy powtarzanie wypowiedzianych przez Bazyłego słów opuściłem palce, nie wiedząc co robić dalej, jak się zachować. Szczęściem Bazyli panował nad sytuacją i usłonił mnie serdecznie, na co odważajnikiem się mu ze wszystkich sił. Kilka słów gratulacji i życzeń pomysłowości w spełnianiu nowych przyjętych na siebie obowiązków uczyniło na mnie wrażenie, że mój przyjaciel mówi już nie do młodszego kolegi, lecz do pełnoprawnego uczestnika pracy i walki konspiracyjnej. Miałem przeswiadczenie, że się coś ważnego, bardzo ważnego wydarzyło w moim młodzieńczym życiu, że znalazłem się po drugiej stronie jakiegoś wielkiej bariery czy barykady, dokąd niedawno żadnego wątku nie miałem, nawet nie wiedziałem o jej istnieniu. Uczucie to przypominało odniesienie jakiegoś sukcesu, zdanie bardzo trudnego egzaminu, lub pokonanie wyjątkowej przeszkody. Śroga radość rozlewała się po całym ciele.

Kiedy ochłonąłem z pierwszego wrażenia, Bazyli zaczął już całkiem innym, spokojnym, płynnym głosem mówić o oczekujących mnie teraz zadaniach, następnie obiecał wkrótce przy najbliższej okazji dostarczyć mi kilka numerów tajnych gazetek, abym się orientował lepiej w istniejącej sytuacji tak w Polsce jak i na świecie i czekał rozkazów. Każde słowo, jakie wychodziło teraz z ust kolegi, przypomi-

nało coraz szersze otwieranie zamkniętych dotąd, tajemniczych drawi, za którymi kryją się niezwykle, urocze krajobrazy, szczelnie dotąd przede mną ukrywane i nappełniało dumą, że dane mi było stać się pełnoprawnym mieszkańcem i obywatelom owej zaczarowanej choć groźnej zarządem krainy. Nareszcie się do czegoś i ja przydam!

Gdy pożegnaliśmy się i każdy ruszył w swoją stronę, chciało mi się biec pędem, śpiewać, bawić się z kims, gonieć i śartować. Droga do domu stała się znów dziwnie krótka.

- Coś taki dziś wesoły? - spytał ojciec, zamiast udzielić należytej reprymendy za powtórny spóźniony powrót. - Z zabawy wracasz, czy dowiedziałeś się czegoś pomysłnego?

Skwitowałem pytanie jakąś zwykłą odpowiedzią, że nie z zabawy, ani nie z ciekawymi wiadomościami wracam, tylko mi po prostu dobrze i wesoło bez jakiejś specjalnej przyczyny i udziałem się do łóżka.

Teraz dopiero zaczęły się poważne refleksje. Zacząłem rozmyślać o czekających mnie teraz zadaniach i obowiązkach. Jak sobie dam radę? Czy nie będą przekraczały moich sił i możliwości? Może zbyt pochopnie podjąłem poważniejszą niż mi się wydawało przedtem decyzję? Co będzie jeżeli zawiędę Bazylego? Potem na próżno starałem się odgadnąć jakie to czynności czekają konspiratora. Żaden z przychodzących na myśl pomysłów nie zdawał się być zadowalającym.

Uważnie mnie, trudu wymagało natomiast uświadomienie sobie przyczyny tak entuzjastycznej gotowości do pracy konspiracyjnej. Kierowała napewno moim i moich kolegów stosunkiem do tych spraw i romantyka czynu i przywiązanie do rodzinnej wsi, miasta, do swoich bliskich i do ziemi, na której wrażliwsi i do ludzi, którzy nas wychowali, unieśli wpoić w serca młodych chłopców i prostotę uczuć, wreszcie stworzyć odpowiedni klimat konieczny do rozwijania w młodzieży uświelenia tego co dobre i piękne. Nie było w tamtych czasach rozbieżności między tym co mówili w domu rodzice, a słowami nauczyciela, kolęśnią bo wszystkim zależało na uczciwości i prawdzie, na prostym i jednoznacznym stawianiu każdego problemu. To zaś, co usłyszeliśmy na zebraniach i w szkole po 39 roku, co przeczytaliśmy w książce i gazecie, nie tylko nie przyciągało nas do nowych idei, lecz przeciwnie - odpychało, wzbudzało opór, ostrą reakcję, jak na wszystko, co obliczone jest na odebranie człowiekowi tego co ukochał, na pozbawienie go poczucia własnej godności, własnej osobowości, a jest jednocześnie próbą przeciągnięcia człowieka na stronę okrutnej dyplomacji i taktyki nawet w rozmowie z rodzicami, przyjaciółmi, sąsiadami, by "język kłomem głosić, a głos wysłucha kłamał". Wszakże owe zakusy, by nie przesarobić, zdominowały tylko naszą ówczesną młodzież do tym szerszej walki o prawdziwą Polskę, w której będzie panowało zwykłe życie, proste



i szczere, prawda i sprawiedliwa ocena człowieka nie według kryteriów klasowych, ani z punktu widzenia rasistowskiego niemieckich Ueennenschów.

Po wielu dopiero latach zadałem sobie pytanie, jak nazywała się organizacja, do której pamiętnego wieczora zostałem przyjęty? Nie umiałem sobie na to pytanie odpowiedzieć, a spytać nie było kogo. Bazyli Zamościński mieszkał na drugim końcu Polski, inni koledzy i znajomi orientowali się w tych sprawach mniej więcej tak samo jak ja, lecz ani w momencie składania przysięgi, ani w czasie prac konspiracyjnych, ani też w latach partyzanckich wcale mnie to nie interesowało. Wystarczała w zupełności świadomość, że organizacja miała na celu walkę o wolność Polski, i że przyjąłem mnie członek, do którego żywym zaufaniem, połączone z głębokim szacunkiem. Wresztą, gdyby na miejscu Bazylego był ktokolwiek inny spośród mieszkańców Zasmuk, zaufałbym mu tak samo, ponieważ nie znałem w całej naszej kolonii, ani też w miejscowościach sąsiednich ludzi różniących się poglądami politycznymi. Śmiałem wątpić, czy ktokolwiek z nas brał w ogóle w rachubę możliwość istnienia wśród Polaków takich różnic. Cele i zadania dla wszystkich były takie same: walczyć o niepodległość Kraju, z wrogiem, który mu tę niepodległość krwawo odebrał. Wiedzieliśmy o istnieniu rządu generała Władysława Sikorskiego, później jego następców, wiedzieliśmy o polskiej armii na Zachodzie i nie wchodziliśmy w żadne kombinacje polityczne, pełni, może naiwnej z dzisiejszego punktu widzenia wiary, że ktokolwiek znajdzie się u steru władzy, Bógda miał na względzie wyłącznie dobro kraju. Nawet potępienie w czambuł przez naszych nieprzyjaciół całego porządku przedwojennego w Polsce, zbytecznie nam się nie udzielało. Zasadniczą legitymacją każdego kłodego w tamtych czasach było, czy jest się Polakiem, czy się nim nie jest? Dopiero po przekroczeniu Bugu zorientowaliśmy się, że zdania na temat przyszłości Polski i metody walki o nią są u niektórych naszych rodaków mocno zróżnicowane.

Ale to już osobny temat.

#### POLACY A UKRAJNICY W ZASMYKU I OKOLICY

Prace konspiracyjne i wszelkie przygotowania do walki o przywrócenie Polsce wolności skierowane były przede wszystkim przeciwko Niemcom. Oni spowodowali naszą katastrofę narodową, oni kraj okupowali, spęzili i prześladowali, urządzali obozy koncentracyjne i zamykali w nich niewinnych ludzi, wywozili na przymusowe roboty, zamykali Polaków w więzieniach, ogłosili wreszcie wyrok ekscyzyjny na cały naród żydowski i wyrok ten konsekwentnie wykonywali.

W nich więc uderzały nasza uczucia nienawiści i żądzy walki, aż do ostatecznego zwycięstwa.

Tymczasem zupełnie nieoczekiwania zawisła nad polskim społeczeństwem na Wołyniu ciemna i groźna chmura ukraińskiego nacjonalizmu. Sytuacja Polaków zmieniła się radykalnie i tak nagle, że trzeba było porzucić Niemców i rozprawę z nimi na uboczu, a całą uwagę skupić na dotychczasowych sąsiadach i współobywatelach do niedawna tego samego państwa.

Mieszkańcy Zasmyk z niepokojem, ale bardziej jeszcze ze zdumieniem, szczególnie na początku, spoglądali na podżynywania banderowców. Wschozili w głowę, gdzie tkwiła przyczyna owej nagłej zmiany w życiu i postępowaniu spokojnych dotąd mieszkańców sąsiednich wiosek? Kłótnie naszych wrogów i nastawianie jednego narodu na drugi celem ich wzajemnego wygubienia się? To nie ulegało wątpliwości. Ale czy Ukraińcy mieli powody, by tych podżęptów tak łatwo posłuchać? A jak było dotąd? Jak przedstawiało się życie sąsiedzkie obu narodowości? Spróbuję na ten temat wypowiedzieć kilka własnych refleksji i uwag, które naturalnie nie roszczą sobie pretencji do jakichkolwiek uogólnień, ale są tylko wyrazem wyłączenie tego, co dotyczy naszej najbliższej okolicy oraz wyrazem obserwacji młodego wówczas człowieka, a teraz wspomnieniem człowieka w wieku powieści - podszły.

Nie przypominam sobie, aby w latach międzywojennych między Polakami a Ukraińcami w naszych stronach, a być może, że gdzie indziej również, dawały się zauważyć w sposób wyraźny jakiegokolwiek antagonizmu na tle narodowościowym. W Zasmykach, w których mieszkalem, w pobliskiej Janówce, Radomlu, Piorkowiczach i innych niedalekich wsiach sąsiedztwo Ukraińców było rzeczą najzupełniej naturalną i nie stanowiło dla żadnej ze stron problemu. W takich miejscowościach jak Tahażyn, Kluski, Białaszów, w których większość mieszkańców składała się z narodowości ukraińskiej, nie zdarzało się również słyszeć o wzajemnych niechęciach czy kłótniach. Zdarzały się sąsiedzkie nieporozumienia, ale nie miały one podłoża narodowego. Czasem zdarzało się spotkać ludzi obu narodowości - i Polaków, i Ukraińców - patrzących na siebie trochę z góry, ale to także, jak mi się wydaje, było wynikiem bardziej cech charakterów niż politycznych, czy narodowych uprzedzeń. Wyraźną niechęć względem Polski odczuwano się ze strony Ukraińców-komunistów, którzy jednak swoje urazy i pretensje kierowali raczej pod adresem rządu, niż polskiego społeczeństwa. Lecz komunistów było naogół niewiele, nie mieli więc ani większego wpływu na całokształt życia i przekonań w takich stronach i takich czasach.

W szkole w Zasmykach uczyły się dzieci nie tylko z Zasmyk, lecz także z Piorkowicz, Gruszcówki, a nawet po kilka osób z Janówki, Białas-



szowa, czy Rokitnicy. Zasiadały więc obok siebie na szkolnej ławie dzieci polskie obok dzieci ukraińskich. Uczyły się razem, nie swając i nie okazując sobie najmniejszej wrogości. Pamiętaj, że gdy przyjeżdżał do szkoły na lekcje religii pop z Rokitnicy, a w tym samym dniu prowadził lekcje z dziećmi polskimi proboszcz naszej parafii ksiądz Kazimierz Mackiewicz, to zwykle podczas przerw międzylekcyjnych mieli zwyczaj nie siedzieć w kancelarii, lecz spacerować długim korytarzem i prowadzić żywe, wesołe rozmowy, przeplatane wybuchami śmiechu, świadczącymi chyba nie o wrogich względach siebie ubóstw.

W ogóle sprawa polsko-ukraińska w naszych stronach miała bardzo specyficzny charakter. Na przykład w potocznym języku nie używano się przed wojną nawet nazwy "Ukrainiec", jedynie czasem w szkole nauczyciele stosowali tę nomenklaturę, która zresztą nam, Polakom, wcale się nie udzielała. Najczęściej w domach mówiło się na ukraińskich sąsiadów "mużyki", co pochodziło od słowa "mąż", tylko brzmisko zdrobniałe. Takie znaczenie nadawali mu sami Ukraińcy. Dlatego słyszało się często zwroty: "moho muzyka nema w doma", "nij muzyk poszoł heraty" itp. Polacy określali tym słowem ogół Ukraińców. Mówiło się więc o "muzyckich wsiach" lub o "muzyckich chatach" itd.

Drugim wyrazem o znaczeniu raczej pejoratywnym, często obraźliwym, był wyraz "chachok". Jego zabarwienie uczuciowe zależało od kontekstu w jakim było używane. Bardzo często zastępowało się nim wyraz określający narodowość, lecz bez żadnej złosliwości. Można więc było usłyszeć zwrot: "ubierasas się według chachłackiej mody", "wyszwacz chusteczkę po chachłacku", czyli według ich wzorów. Mówiło się u nas w domu: "pojedziemy na jarmark, to chachły na pewno nawiezą dużo zboża, będzie więc tanie". Oni często także używali tego określenia, nie przywiązując do niego większego znaczenia. "Jaż prostyj chachok, szczo ja wam mohu skazaty?". Bywało, że stosowało się to określenie w sposób słośliwy, z poczuciem wyższości i wtedy sąsiedzi nasi czuli się tym dotknięci.

Wreszcie używano się jeszcze innego określenia zamiast "Ukrainiec", mianowicie "Rusin", ale rzadziej. Posługiwali się tym słowem ludzie w starszym wieku, ale w pewnej odmianie słowo to było w powszechnym obiegu. Mianowicie przymiotnik "polski" lub "ruski" utożsamiano się z wyznaniem religijnym. Był więc "polski" kościół, i "ruska" cerkiew, "polski" cmentarz i "ruskie" mogiłki, "polski" krzyż, a obok "ruski" krzyż, mówiło się nawet "polski" ksiądz i "ruski" pap. Pojęcia te powstały i utrwaliły się, jak banzę, jeszcze w czasach zaborów, gdy prawosławie utożsamiano się z narodowością ruską, natomiast narodowość polska była równoznaczna z wiarą rzymsko-katolicką. Pojęcia te tak mocno wniknęły w język ludności całego chyba Wołynia, że w mowie potocznej nie zwracano się zupełnie

nie uwagi na zakres i ścisłość zawartej w nim treści. Zresztą i Ukraińcy mówili podobnie: "polskiej koscioł", "polskiej kościoła", "polskiej chrześcijaństwo" itp. i nikt się temu nie dziwił, ani nie widział w wyrażeniach tych błędów. Przechodziliśmy obok tych "ruskich" krzyży na cmentarzach lub przy drogach, patrzyliśmy na ich podwójne ramiona /dłone zawsze ukośne/, i nie widzieliśmy w nich nic obcego. Nawet zawieszona na nich z reguły chusta była zjawiskiem najzupełniej naturalnym. Podobnie jak zjawiskiem na wskroś normalnym były obrazy o treści religijnej w ukraińskich domach, wiszące ~~obok~~ obok siebie, z górną częścią wychyloną ku przodowi, bogato udekorowane misternymi wyszyciami na białym płótnie. Im bogatszy dom, tym ciekawiej wy szywane były czarno-czerwonym wzorem o motywach geometrycznych ręczniki zdobiące owe obrazy.

Oficjalnie nazwa "Ukrainiec" i "Ukraina" weszły do codziennego słownictwa dopiero w czasie drugiej wojny światowej. Stało się to pod wpływem propagandy najpierw sowieckiej, a później niemieckiej, wreszcie nacjonalistycznej-ukraińskiej. Rosjanie po przyjeździe na Wołyń pisali i mówili nieustannie o "wyzwoleniu-Zapadnej Ukrainy-i narodu ukraińskiego", który cierpiął dotąd ucisk w "pańskiej Polsce". Obracano tym zwrotem aż do znudzenia. Gdy zaś przyszli Niemcy zaczęło się mówić o "samostijnej Ukrainie", zamiast niedawnej "Radziejskiej Ukrainy". W ten sposób wyrazy "Ukrainiec", "ukraiński" utrwaliły się na stałe w naszym słownictwie.

Nie wzorowe może ale całkiem dobrosąsiedzkim współżycie polsko-ukraińskie w czasie międzywojennym wyrażało się jeszcze w jednym, niezwykle charakterystycznym rysie obyczajowym. Ponieważ doroczne święta Ukraińcy obchodzili według starego kalendarza, to jest o dwa tygodnie po naszych świętach, i my i oni odnosili się do tego z wyrównanym stanowiskiem. Polacy w czasie świąt prawosławnych, a Ukraińcy podczas katolickich wstrzymywali się od cięższych robót, nie odbywano nawet wtedy jarmarków, a bardzo często zapraszano się wzajemnie na poczęstunki i świąteczne przyjęcia. Z reguły, czy to przez gościnność, czy z innego powodu częściej zapraszali do siebie Polaków Ukraińcy, rzadziej odwrotnie, ale przypadki takie bywały. I nie wypadło wtedy żadnej ze stron odmówić, gdyż mogłoby to być uważane za grubszą niecnotę, a tego obie strony starały się unikać. Jak sobie przypominam, w naszym domu i w rodzinie taka wymiana sąsiedzkich grzeczności była bardzo częsta.

Pamiętam też, że gdy mój ojciec prosił na przyjazd sąsiadów-Polaków i Ukraińców do jakichś szczególnych prac, jak szałka lub koszenie łąki, gdzie potrzebna była większa ilość ludzi, rzadziej spotykał się z odpową Ukraińców niż Polaków. W większości przypadków nie ścisli nawet za swą pomoc zapłaty.



Pierwsze zmiany na gorsze w stosunku Ukraińców do ludności Polskiej dały się zauważyć w czasie, a zwłaszcza pod koniec kampanii wrześniowej, gdy widocznym się stało, że Polska nie zdoła odpierać skutecznie niemieckiej nawały. A gdy armia czerwona przekroczyła naszą wschodnią granicę, zaczęły się napady na polskich oficerów, żołnierzy, zabójstwa, rozbrajania, rabunki. Nie przyjęło to naturalnie masowego charakteru, ale fakty pozostały faktami.

Lata do wybuchu wojny Niemców z ZSRR niewiele pod tym względem zmieniły, to znaczy nie pogorszyły zbyt sytuacji. Ukraińscy komuniści, pełniący różne funkcje i urzędy okazywali tylko większą pewnością siebie, czasem graniczącą nawet ze swego rodzaju białą, ale na sąsiedzkie współżycie większego wpływu to nie miało. Zresztą tych objawów "wyższości" Polacy nie tylko nie brali sobie do serca, lecz jeszcze patrzyli na nie z nęszczytą ukrywaną pobłażliwością. A jednocześnie wśród ogółu ludności ukraińskiej dawało się coraz częściej słyszeć ciche wzdychania do czasów przedwojennych.

- Jak to dobre być było za Polaczy - mawiali nasi sąsiedzi i następowało potem wyliczanie dobrodziejstw, w jakie obfitowała Polska, a więc spokój, zasobność, życie bez koszmaru kolejek, bez obowiązkowych dostaw zboża i "miasopostawek", bez nadmiernych podatków. Rzecz oczywista, że takie wzdychanie nie mogły dojść do ucha władzy, gdyż było to traktowane jako najgorsze przewinienie i surowo karane, ale do Polaków Ukraińcy mieli całkowite zaufanie.

Już wtedy zaczął się zaznaczać również podział wśród samych Ukraińców na komunistów i nacjonalistów. Ci ostatni dali o sobie znać natychmiast po wycofaniu się Rosjan w lecie 1941 roku. Ci komuniści, szczególnie funkcjonariusze partyjni i administracyjni wycofali się wraz z armią rosyjską na wschód, nacjonalisci w sposób wręcz demonstracyjny okazywali z tego powodu ogromną radość. Byłem raz świadkiem takiego zdarzenia, jak w pierwszym tygodniu po wkroczeniu Niemców do Kowla właściciel wiatraków w Gruszówce, Ukraińiec nazwiskiem Bondar, uskyszawszy, że obaj Miszczukowie - "hożowa" i "dekreter" sielradzy zniknęli bez śladu, czyli po prostu uciekli z Rosjanami, wstał, podniósł patetycznie obie ręce w górę i, kreśląc w powietrzu wielki, podwójny znak krzyża, wyrzycił głośno: "Wiecznyj pokój bratniej takoj", a ponieważ był nieco podпиты, usiłował zmusić mnie, bym uczynił to samo, w intencji wszystkich innych ukraińskich komunistów. Długo potem wykuszczał przyczyny swojej nienawiści do tych, którzy, jak mówił "sprzedali Ukrainę Moskwie". Słowa te i jego zabijać, ta twarz, wypełniona po brzegi żądzą odwetu, pamiętam po dziś dzień.

Wkrótce potem zaczął się zorganizowany i zataczający coraz szersze kręgi ruch nacjonalistyczny wśród Ukraińców, zbudzonych obist-

nicemi niemieckimi. Przystąpiali do budowy "Samostrajnej". Przypomina mi się, jak mój wujek, Władysław Sakowicz, pełniący funkcję sekretarza w Janówce, naciąg "w imieniu wszystkich mieszkańców wsi" pisać wylewno oświadczenie, wyrażające radość, że "wielki Stiepan Bariera powrócił na rydnyje sznli". A Ukraińcy wysłannicy stali przez cały czas w pokoju, dyktowali treść pisma, przynaglając do pośpiechu, aby po ukończeniu "kramoty" chwycić ją skwapliwie w ręce i pędem pojechać gdzieś do zainteresowanych władz i urzędów w celu pokazania, że i Polacy stoją po ich stronie. Długo potem wujek przemierzał nerwowo pokój tam i z powrotem, kłął i szorzczył, że zmusili go do takiego haniebnego oświadczenia. Nie podobno jednak było odmówić, gdyż wyskazywali groźby za niesieniem skargi do Niemców, albo obiecywali samą srogo policzyć się.

Gdy zaczęły się wywózki do Rzeszy na roboty, za radą leśniczego zaangażowałem się do pracy w litwińskim lesie przy wyřębie i korowaniu drzewa na tak zwane "kopalczaki". Dawało to szansę uniknięcia wywozu. Była nas parosobowa grupka z Łasnyk, a pracowaliśmy wspólnie z Ukraińcami z Gruszcówki i Litynia. Aż do początku 1943 roku nie widzieliśmy go jakieg wrogie knowania przeciw Polakom. Wszystkie prace wykonywaliśmy razem, siedzieliśmy wspólnie przy jednym ognisku, często dzieliłiśmy się posiłkami. Prowadziło się zwykle rozmowy na różne tematy, przplatane śmiechem i wesołością. Zawsze panowała między nami koleżeńską atmosfera i całkowite zrozumienie. Trudno było podejrzewać, że są to tylko pozory.

Byłem już wtedy w konspiracji. Czasem wracałem do domu wstępować do rodziny Leśniewskich w Radowiczach, by zabrać tajne pisma i inne przesyłki dla mojego "szefa" - Bazylego Zamoccińskiego. Miawałem z tego powodu wyrzuty sumienia, że pod ładą jakim pretekstem opuszczam wcześniej robotę, a tym samym obarczam pracą swoich ukraińskich kolegów, którzy musieli teraz pracować także i za mnie. Lecz nigdy nie robili mi z tego powodu najnieprzyjemniejszych wymówek, ani nie próbowali sprawdzić dokąd i po co idę.

Napiero na przekomic stycznia i lutego 1943 roku zauważyłem, że niektórzy spośród niedawnych kolegów od czasu do czasu odchodzą dyskretnie na bok i prowadzą przyciszonym głosem jakieś tajemnicze rozmowy czy narady. Później nawet się specjalnie ze swymi sekretami nie kryli, ale natychmiast milkli, gdy się zbliżałem, spoglądając na mnie niechętnie i podejrzliwie, a nawet nie przesadzę, gdy powiem, że wycoywałem w takich sytuacjach po prostu wrogosć. Początkowo starałem się nie wracać na to uwagi, sądząc, że mają jakieś swoje prywatne sprawy, później jednak zrozumiałem, że to wszystko oznacza, tym bardziej, że słowrogie pomruki o ukraińskich knowaniach zaczęły rozchodzić się naokoło. Nic konkretnego nie można było jeszcze usłyszeć, lecz czuło



się, że zamocni się na jakąś burzę. Potwierdzały to wszystko także te informacje zamieszczane w tajnych wydawnictwach. Zaczęliśmy mieć się na baczności i dyskretnie obserwować naszych współpracowników, których tajemne schadзки zaczęły powtarzać się coraz częściej.

W końcu młodzi Ukraińcy zaczęli całkiem jawnie okazywać nam Polakom, swoje złowrogie uczucia. Jasna się stało, że już i tu, w spokojnej dotąd okolicy, knują się przeciw nam spiski. Ale nadal nie brałem sobie tego zbyt do serca. Zresztą nikt, chyba wtedy nie przewidywał, jakie rozmiary przyjmie niebawem ruch ukraińskich samostojników.

Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy rozeszła się wieść o ukraińskiej policji, która dotąd wiernie służyła Niemcom, a teraz poszła w las, zabierając ze sobą także całe wojskowe oporządzenie. Dziwili się niektórzy, że powstańcy ukraińcy decydują się prowadzić walkę na tyłu frontach - przeciw Polakom, Niemcom i Rosjanom, których oddziały partyzanckie już wtedy pojawiły się na ziemiach Wołynia. Okazało się jednak, że załepienie Ukraińskiej Powstańczej Armii jest większe niż się mogło wydawać.

Teraz praca w lesie stała się tak dalece niebezpieczna, że trzeba było ją w końcu zupełnie porzucić i wracać do domu. Docinki, ironiczne i pogardliwe słowa, wreszcie pogrożki pod naszym adresem sypały się teraz bez przerwy. Aż trudno było uwierzyć, że robią to wszystko ci sami ludzie, którzy jeszcze przed paru miesiącami byli najnormalniej zachowującymi się naszymi współpracownikami... Początkowo wraz z bratem Gienkiem, który od początku pracował ze mną, przenieśliśmy się w inne miejsce, by być dalej od Ukraińców, potem jednak porzuciliśmy las zupełnie. To samo uczynili nasi polscy koledzy. Zaczynało być niestaszpiecznie.

Kłowrogi powiew przeciągał przez wszystkie wsie i miasta Wschodnich Kresów.

## P I E R W S Z Y M O R D

Już na przedwiosniu 1943 roku zaczęły napływać do Zacznyk groźne wieści o ukraińskich napaściach na Polaków. Do jednak zdarzały się one gdzieś daleko, nie wszyscy dawali im wiarę. Dla wielu była to tylko niemiecka propaganda, mająca na celu ekłócenie obu narodowości żyjących dotąd w zgodzie i w ten sposób zapewniała sobie spokój od obydwóch. Kłewątpliwie było w tym sporo prawdy, ale skutki owej propagandy miały okazać się dla Polaków zgubne, zżé niedowierzania nadchodzącą wiedziom usypiało tylko caujność naszego społeczeństwa. Przekonał o tym całą naszą parafię pierwszy mord, dokonany na moim wujecnym bracie.

W połowie marca Leon i Stanisław Sakowiczowie z Janówki ušli się furmanką aż za Swinarzyn po zboże. Leon liczył 22 lata, Stasiak był o cztery lata młodszy. Przednówek zapowiadał się ciężko. Niemały wyciągnęli od gospodarzy co się tylko dało, jeżdżono więc na półmnie na Kupicków i jeszcze dalej, gdzie były, jak mówiono, bogatsze strony i tam zaopatrywano się w zboże po znacznie niższych cenach niż w okolicach Kowle. Niektórzy próbowali nawet handlować i zarobić na tym interesie. Dwaj wyżej wymienieni chłopcy także w pewnym stopniu to samo mieli na myśli.

- Kupiny dla siebie - mówili - a jeśli będzie zbywało, sprzedamy resztę i wrócimy sobie, częściowo przynajmniej własny wydatek.

Dojechali.

Podróż w tym czasie nie była łatwa, ponieważ nadeszły już pierwsze mrozy i droga była bardzo ciężka. Konie z trudem ciągnęły wóz, koła ledwie odwracały się w czarnej rozmiękłej mazi. Ziemia była tam żyzna, urodzajna, lecz tym samym wiosną i jesienią zamieniały się w prawdziwe grzązawisko.

Dojechaliśmy na miejsce szczęśliwie - relacje okazały później Stasiak - zboże kupiliśmy bez trudu i niedrogo, załadowaliśmy wóz żytem i pszenicą, przemocowaliśmy, żeby dać koniom wypocząć i wczesnym rankiem ruszyliśmy z powrotem. Bez żadnych kłopotów i w dobrym nastroju wjechaliśmy w swinarzyński las. Znowu kilkadziesiąt metrów minęło spokojnie, bez jakichkolwiek zakłóceń. Zaczynaliśmy już wleczyć, że bez żadnych przygód wrócimy do domu, bo po północnej stronie lasu zaczynały się rozsiadłe gęściej wsie polskie, gdy wtem ujrzeliliśmy jadącą z naprzeciwka furmankę pełną ludzi. Wyloniła się nam zza zakrętu zupełnie niespodziewanie. Nie było czasu ani możliwości ukryć się gdzieś w bocznej leśnej dróżce. Po paru minutach zrównała się z nami. Siedzieli w niej sześciu mężczyźni. Sponiędzy kolan sterczały im lufy karabinów. Oczuliśmy minąć ich obojętnie, ale jeden z jadących krzyknął rżęca-

- Stoj! Chto wy i zwitki?

- Swoi, idemy do doma - odpowiedział po ukraińsku Leon.

- Swoi? Polaki?

- Tak, Polaki. Z Janówki, przed Kowlem.

- Szczo wezete? indagował nadal ten sam, widocznie przywódca całej szajki.

- Żyto, na chleb.

- Żare pobaczymo!

Kazedił ze swego wozu i zbliżył się do nas. Zmasował ręką worki, przeszedł na drugą stronę i kazał nam wstać. Podniósł szkodliwe śledzenie, leżąc z przodu na zbożu, włożył rękę w środek słomy. Widocznie było, że szuka ukrytej tam broni. Nie znalazłszy nic wrócił do wozu.



z po sobie zaczęli coś do siebie mówić. Nie mogliśmy dosłyszeć ani słowa. Po chwili skinęli potakująco głowami.

- Dobrze, możecie ichaty - zwrócił się do nas przywódca. -  
A my kusek pojdeme z wami.

Czterech drabów przesiadło się na nasz wóz, dwaj pozostali ruszyli swoją furmanką dalej. Ruszyliśmy i my. Konie napinały teraz grzbiety, ledwie dając radę uciągnąć nadmierny ciężar. Dwaj Ukraińcy zaczęli wesoło rozmawiać, silić się na dowcipy, wypytywali o nazwiska, gdzie dokładnie mieszkamy, od kogo nabyliśmy zboże, zainteresowali się nawet, czy nie jesteśmy głodni. Ostatecznie pytanie przywódcy wywołało coś jakoby złosliwe uśmiechy na twarzach pozostałych. Próbowaliśmy odpowiadać swobodnie, również z uśmiechem, przyjaźnie, ale niepokój ogarniał nas coraz większy, bo w błyskach oczu jedzących z nami łatwo było wyczytać niedobre zamiary. Zwłaszcza twarze dwóch nie biorących udziału w rozmowie tętnęły nienawistną złością. Co zamierzają z nami zrobić? Nie wsiedli przecież na nasz wóz po to, aby zapewnić nam bezpieczeństwo. Jak długo ma trwać ta zabawa w ciuciubabkę? Ukraińców spoglądaliśmy w las. Stary bór szumił w górze monotoniście, podszycie było rzadkie, szansa na ucieczkę znikoma. Jechaliśmy więc dalej. Pociąszakam się, że może po prostu chcąc dojechać z nami do najbliższej wsi i tam wyładują zboże, a nam każą z niesym wracać do domu. Można to było uważać jeszcze za szczęście w nieszczęściu.

Nagle przywódca krzyknął twardym głosem:

- Zatrzymajcie się!

Gdy konie stanęły, wyrwał mi lejcę i bat z rąk i oddałszy je najbliższemu drabowi zwrócił się do nas:

- Złazcie!

Próbowaliśmy opornować. Potężne pchnięcie w ramię, tak, że ował nie spadłem w błoto, było jedyną odpowiedzią.

- Ruki w horu i w las! - komenderował dalej narzut bandy.

- Tylko szczerob no próbowały utykaty! - ostrzegł złowrogim głosem.

Poczułem mocne pchnięcie w plecy lufą karabinu. Wszelki opór był daremny. Unieśliśmy ręce nad głowę i weszliśmy w wąską leśną dróżkę. Las tu był gęstszy. Drobną krzewy rosły między walcami sosnami po obu naszych stronach. Nieco dalej widać było kępy młodych świerków z gałązkami pokrytymi zielonym igliwem.

- Jeśli przyskac, to tylko tu - pomyślałem i spojrziałem na lewo. Był zupełnie biały i patrzył dziwnym, jakby oszupiałym wzrokiem.

W tym samym prawie momencie, gdy spojrziałem na brata, ten odwrócił się gwałtownie i jakby chciał rzucić się na trzech zbirów z podniesionymi pięściami, krzyknął:

- Ludzie: gdzie nas prowadzicie? Co wam zrobiliśny?

Wyszłam tuż nad uchem głośny strzał i w tym samym momencie zwróciłam się pędem w bok w kierunku zielonych świerków. Nie wiedziałam, czy Isca biegnie za mną czy zostaje. Tylko strzały i świst kul oraz tupot ciężkich butów tuż za mną, były znakami, że mam jak najszybciej uciekać. Wokół "stój", "stój": brzmiały mi prawie za plecami. Pędziłam na oślep w najgęstsze zarośla, wyszukując instyktownie kępy młodych świerków mogących dać chociaż krótką osłonę przed wzrokiem badaczy. Po paru minutach, choć kule nieustannie gwizdały mi koło uszu, zrozumiałam, że odległość między mną a ścigającymi zwiększa się, bo strzały i głosy wydawały się dalsze. Nie zmniejszałam tempa, dopóki nie poczułam, że siły mnie opuszczają. Podbiegłam jeszcze kilkadziesiąt kroków i przypadłam do najbliższego drzewa, obejmując się za siebie. Trzej zabójcy biegli nadal, ale widocznie stracili mnie z oczu, bo zatrzymywali się co chwila, pochylali się i strzelali na chybił trafił. Padłam więc jak długi pod gruby pień, czując, że jeśli będą szli w moim kierunku, nie zdążą się już poderwać do dalszej ucieczki. Przywarłam do samej ziemi i modliłam się w duchu, żeby zryli kierunek, nie spuszczając jednocześnie oka ze swych przeciwników. Widziałam jak stanęli z bronią gotową do strzału i rozglądali się uważnie we wszystkie strony. Byli ode mnie nie dalej jak o 60 - 80 metrów.

- Złockne tuż z powodu, nie pójde daleko - krzyknął któryś. -  
I tak bude nasz!

Jeszcze około kwadransu rozglądali się, przysiadali, wystrzelili ze trzy razy widocznie dla wypłoszenia mnie z kryjówki, wręczając zaczęli iść wprawdzie nie dokładnie w moim kierunku, ale tak, że odległość między mną a nimi zmniejszała się. Wyciążyłam całą siłę woli, aby nie poderwać się do dalszej ucieczki, tym bardziej, że nie byłam pewna, czy przypadkiem nie zachodzą mnie ostrożnie z boku. Przesuwając się tylko najciszej wokół drzewa, by stałe mieć ich na przeciwnej stronie. Ominęli mnie o jakieś trzydzieści metrów i po paru minutach znikli w zaroślach. Przez długi jeszcze czas leżałam prawie bezwładny. Nie wiem - z braku sił, czy ze strachu.

Gdy całkiem ucichły ich głosy, odważyłam się podnieść z ziemi. Przytulony do drzewa rozglądałam się jeszcze jakimś czas dookoła. Wokół panowała głucha cisza, tylko wiatr szumił lekko w gałęziach sosny. Rozgarniając ostrożnie przed sobą zielone gałązki młodych sosenek i świerków zaczęłam powoli iść w kierunku północnym. Było pochmurno, nie miałam więc pewności, czy idę do przodu, czy orientowałam się, którąś biegła droga, jak daleko ci mnie nad doprowadzili i w którą stronę więcej stronę uciekać. Byłam pewna, że jeżeli nie pomyliłam się w swych przypuszczeniach, że po godzinie czy bliżej marca powinienem wyjść z lasu. Zastanawiałam się także, czy nie wrócić na miejsce, gdzie



padł pierwszy strzał, lecz po pierwsze astrażenie się baken, bo byłem przekonany, że bandyci tam właśnie będą na mnie czekać, po drugie - uważałem, że jeśli Leonowi udało się też uciec, to i tak tam go nie znajdą, a krzyczeć i wołać nie będę ze zrozumiałych powodów. A jeśli sginął, to i tak nic mu już pomóc nie mogę. Pozostawała jeszcze ewentualność, że został ranny, ale po pierwsze - nie słyszałem żadnych jęków, a poza tym Ukraińcy napewno by to zauważyli i nie darowali by mu życia. Uznałem więc, że jedyne co mi pozostało jest jak najprędzej przedrzeć się przez las, a potem klucząc po polach i kierując się ciągle na północ, dojść do jakiejś polskiej wsi i tam szukać pomocy. A przede wszystkim odpoczynku.

Mieliśmy wątpliwości słuchając opowiadania młodego chłopaka czy w takiej sytuacji mógł tak logicznie i spokojnie rozmawiać? Czy nie ma w tym co mówi zbyt dużej domieszki fantazji, koloryzowania? Gdy wnosiliśmy zastrzeżenia, odpowiedział, że starał się przedstawić przebieg wydarzenia zgodnie z tym, jak było, a czy mu uwierzymy czy nie, na to wpływu mieć nie może.

Wychowywałem się z nim prawie od dzieciństwa, znałem więc go dobrze. Był inteligentny, bardzo zaradny, niezwykle sprawny fizycznie, choć budowę miał szczupłą, nieco dziewczęcą. Odważny i nawet zadziorny - cieszył się wśród rówieśników dużą popularnością. Mógł z całą pewnością uciec spod lufy ukraińskich reżunów. Słuchaliśmy więc dalej z rosnącym napięciem.

Stasiak relacjonował, że istotnie, nie pomylił się w swych orientacjach. Po mniej więcej godzinie drogi, las zaczął się przerzedzać, nisko w dali widać było jasne smagi światła, a wkrótce znalazł się na brzegu głębokiego rowu, za którym ciągnęły się aż horyzont równo, puste pola, pokryte gdzieś niedawno płatami brudnego śniegu. Tu i ówdzie można było dostrzec pojedyncze zabudowania otoczone drzewami owocowymi, zagajniki, na prawo ciągnął się rząd wierzb, widać czących o tym, że prawdopodobnie przebiega tamtędy jakaś ważniejsza droga. Stał jakiś czas na nasypie rowu i rozglądał się uważnie dookoła. Miał wrażenie, że na każdym miejscu, za każdym pagórkien, czy pojedynczym drzewem czekają na niego ci, którzy niedawno stracili go z oczu, ale czuli, że tędy będzie wychodził. Długo musiał sam siebie przekonywać, że to przecież niemożliwe, że gdyby go tu czekali, już by go napewno dopadli. Po co miałiby czekać na polu, a nie tu, na brzegu lasu? Był sam, bezbronny, ledwie trzymał się na nogach, wylakniony i zębiczny. Głodu tylko nie odczuwał. Może dlatego, że na krótko przed tragicznym spotkaniem obaj z bratem zjedli po dużej kromce chleba z surową słoniną, zabraną ze sobą na drogę, a może po prostu nie chciało mu się jeść z nadmiaru przeżyć i silnego szoku, dość, że o jedzeniu w ogóle nie myślał. Całą uwagę skupił na jednym: co

robie dalej? Jak się zachować, żeby nie wpasć w ręce mordarce? W. Szybko doszedł do wniosku, że nie ma wyboru. Musi się najszyciej dostać się do domu. Przeskoczył rów i zaczął biec po polu. Tam gdzie rosło żyto, nogi mniej grzązły, wybierał więc miejsca pokryte zielono-szarymi listkami zboża, zanim wreszcie nie dopadł jakiejś polnej drożki, brodek między koleinami był porosły trawą i twarde, puścił się więc nim jak mógł najszyciej. Nie na drugą jednak starczyło mu sił. Za bardzo był już wyczerpany. Zwalniał coraz bardziej, aż wreszcie zaczął się ledwie wlec z trudem ciągnąc obolałe nogi. Po jednej lub po drugiej stronie wśród drzew widział przycupnięte w dali wieś, ale przeczornie omijał je, posuwając się polami, zagajnikami, zawsze w tym samym kierunku. Wreszcie trafił na rozstaje, na których drogowy mocno pochylony tu ziemi wykazywał miejscowość Tuliczów. Ucieszył się biedny chłopiec, bo choć wydawało mu się, że powolnie był dojść już dalej, to przynajmniej wiedział teraz, że idzie w dobrym kierunku. Nie miał już wątpliwości, że jeśli siły go nie opuszczą, w nocy albo nad ranem będzie w domu. Przepięszył nieco kroku. Był do Radowicz, mówił sobie w duchu, stamtąd już i blisko i bezpieczniej i droga dobrze znana. Był do Radowicz-powtarzał.

Okazało się jednak, że zdołał wprawdzie dojść gdzieś na pogranicze Radowicz i Abranowca, ale tu siły wyczerpały się zupełnie. Korzystając z zapadającego zmroku zakradł się do stojącej na uboczu starej stodoły, zaszył się głęboko w słomę i tu postanowił czekać dnia, a przede wszystkim odpočząć. Te tereny były spokojne, dużo Polaków. Będzie więc można iść jutro główną drogą, bez kluczenia i strachu. Poza tym już niedaleko.

Drugo nie mógł zasnąć. Było chłodno. Bolały podrapane w czasie ucieczki ręce i twarz. Ale gorsze było przeżycie psychiczne. Koszmarne sny przeobrażały się aż do bólu przed oczyma wyobraźni. Gdy przyznał oczy, widział starszego brata męczonego przez ukraińskich oprawców, to znowu, że zbliżają się do niego i zaraz wyciągną go ze słomy, aby podobnie męczyć i torturować. Chciał zrywać się i krzyczeć o pomoc, ale w ostatnim momencie uświadomił sobie, że to rozstrzęsione nerwy i przeżycia dnia wywołują w wyobraźni te makabryczne zjawy. Wreszcie wyczerpanie wzięło górę i zaczął, ale budził się wiele razy, bo wydawało mu się, że słyszy czyjeś głosy, stukanie w wieżę, w ściany. Wybudził się ostrożnie ze swej kryjówki, ale widząc wokół tylko nieprzeniknącą ciemność, wrócił na dawno miejsce i próbował zasypieć znów, aż się ujrzał pierwszy brzask, wysunął się cicho ze stodoły i ruszył w kierunku Janówki. Nie żałując nóg rano był na miejscu.

Trudno opisać wrażenia, jakie wywołał wygląd chłopca i jego opowiadanie. Zgroza i przerażenie ogarnęły słuchaczy, a rzy suse płynęły z oczu. Wiadomość lotem błyskawicy obiegła całą Janówkę, Stanisławówkę, Radonkę, około południa dotarła już do Zaczyn, wszędzie budząc lęk.



I niepokój o najbliższą przyszłość. Stało się jasne, że nadchodzące z dala wiadomości nie są niczym innym. Najtragiczniej przeżywał usłyszaną wiadomość wujek obu chłopców Karol Światły, stary kawaler, który uchodził dotąd za człowieka, którego nie ma być w stanie poruszyć, który niczego nie potrafi sobie wziąć naprawdę do serca. Karol tylko odchodził z żalu od myśli, gdy zmarł mu nagle ojciec w drodze z Lubitowa do domu, ale po roku ochłonął z tego i zranił się jeszcze bardziej jakby niczym i obojętny. Teraz dosłownie rwał sobie włosy z głowy, płakał jak małe dziecko, wreszcie ku ogólnemu zdumieniu oświadczył, że zaprzęga zaraz konie i jedzie szukać Leona. Nic nie pomogły perswazje, prośby, błagania rodziny.

- Przywiezę go, albo zginę tam gdzie on! - powtarzał z uporem i z trudem dał się wreszcie ubłagać, aby odłożyć wyjazd do jutra, niech się wszystko nieco uspokoi. I wtedy niespodziewanie Stasiak na pół żywy, skłaniający się i blady, rzekł cicho ale stanowczo:

- Jadę z wujkiem!

Teraz zawrzęko jeszcze bardziej.

- Ludzie co robicie? - wołali członkowie rodziny, sąsiedzi. - Nie dosyć, że jednego żony zamordowali, chcecie zginąć jeszcze i wy? Osmiętajcie się!

- Sami go wujku nie znajdziecie - upierał się Stasiak, gdy już i Karol Światły był przeciwko niemu. Ja muszę jechać i pokazać miejsce. Obaj dany sobie łatwiej radę. O świecie wyjeżdżamy!

I naza jutrz przy wórze płaczu, krzyku zaprzęgali konie i bez słowa pożegnania znikli w cieszynie, przez którą prowadziła droga w stronę Piórkowicz i Swinarzyna.

Minęli Tachaczyn, Rałowicze, Wierzbiczanę nie spotykając nikogo po drodze. Jechały czasami furmanki, przechodził jeden, drugi pieszy, lecz nikt nie zwracał na dwóch Polaków uwagi. Dzień ich już niecały może kilometr od swinarzyńskiego lasu, gdy Stasiak nagle krzyknął przerażonym głosem:

- Skracajmy przede w lewo na te zabudowania! - I wskazał głową długą stodołę z przybudówkami tuż koło drogi.

Karol Światły nie namyślając się ani pytając o przyczynę odciągnął mocno lejce. Wóz zawrócił na miejscu. Stasiak wtulił się całym ciałem w siedzenie i dygotał ze strachu. Jego wujek zatrzymał konie za stertą stojącą niedaleko stodoły i obejrzał się za siebie.

- Nie oglądajcie się wujku! szepnął przerażonym głosem chłopiec. - To ci, co zabili Leona!

W powrocie znajdującego się może za sto do stu pięćdziesiąciu metrów od miejsca, z którego skręcili gwałtownie w lewo, wyjechała furka, a na niej kilku mężczyzn. Karol widział, jak dojechali do drogi biegnącej prosto na zachód wzdłuż lasu i pojechali niezbyt spiesz-

nie, rozmawiając głośno i śmiejąc się kakaśliwie. Spora damienia siedzącego na tylnym siedzeniu sterownika lufa karabinu.

- Ten w barankowej czapce-odezwał się cicho Stasiak, gdy furka z rzedami oddaliła się dostatecznie-to ich przywódcę. To on strzelił, jak Leon odwrócił się. Oznaczył go od razu. Siedział przy masie na wosie. Co teraz zrobimy? - zapytał inną trwożnie.

- Poczekamy jeszcze trochę aż się bardziej oddalą i jedziemy dalej-odrzekł z determinacją Karol-To dobrze, że gdzieś sobie pojechali. Może prędko nie wrócą, będziemy bezpieczniejsi.

Stasiak długo nie mógł się uspokoić i rozglądał się nerwowo, gdy wreszcie odważyli się ruszyć spod steru.

- To teraz, wujku, konia batem, żeby jak najprędzej dojechać na miejsce i wrócić, dopóki ich tu nie ma!

Światło nie pozwalało na szybką jazdę, mimo to światły papuszek konie i jechali jak można było najszybciej. Stasiak był coraz bardziej niespokojny. Wpatrywał się w prawą stronę lasu szukając miejsca, gdzie przed dwoma dniami kazano im schodzić z furmanki. Wreszcie dojrzał zapamiętaną drożkę.

- Zatrzymajcie się wujku, to chyba tu.

Zeskoczył z wozu i wbiegł na wąską drożynę. Zatrzymał się i rozglądał uważnie.

- Tu, na pewno tu! Wjeżdżajcie wujku, tylko prędko! Był podniecony i zdenerwowany. Poruszał się niespokojnie.

Woz wjechał między gęste drzewa i krzewy leszczyny. Droga nie chcieli jechać, bo łatwo było z głównego traktu zauważyć każde ich poruszenie. Po krótkim czasie Stasiak biegnący przedem zaczął zatrzymywać konie i zaczął pilnie patrzeć na drogę i najbliższe krzewy. Twarz miał zarumienioną, oczy błyszczały jak w gorąco.

- Tu strzelali do Leona-sawolał podbiegłszy do rozłożystego drzewa.-Staj zaczął uciekać do tamtych młodych świerków. Tu musi być Leon.

- Światły zszedł z furmanki i zaczęli obaj rozglądać się dookoła. Lecz nigdzie nie widać było żadnego śladu krwi, ani niczego co mogłoby służyć jakiegokolwiek wskazówką.

- Może to nie tu, może się pomyliłeś?-pytał Karol.

- Na pewno tutaj. Tentędy uciekałem! odpowiedział stanowczo młody chłopak.-Jak mógłbym zapamiętać takiego miejsca.

Postukiwania trwały ponad godzinę, zanim w znacznej odległości od miejsca wskazanego przez młodego odważnego chłopca pod kupą zgniecionych jesienią liści natrafiono na zwłoki zamordowanego. Twarz miała zakrwawioną, oblepioną trawą i liśćmi, ubranie na plecach podarte. Widocznie ciągnęli go za nogi po gałęziach i korzeniach.

Karol przypadł do sztywnego ciała i długo bezgłośnie krążył, obej-



mując zakrzepłe platy krwi na głowie. Stasiak siedział pod drzewem i zakrywszy twarz rękami wyglądał jak skamieniały. Tylko gęste łzy przesłaniały między palcami.

Po parę godzin byli ze zwłokami zamordowanego w Janówce.

Pogrzeb Leona Sakowicza sciągnął do domu żaloby nieprzebrana tłumy. Cała droga przez Janówkę zapelniała się ludźmi, głowa przy głowie. Tłum poruszał się w głębokim milczeniu, tylko za trumną słychać było tłumiony płacz najbliższej rodziny. Pochód przeszedł pieszko do Zasnyk, gdzie oczekiwała nowa gromada ludzi. Cały zasnycki cmentarz wypełnił się tłumem. Po wzruszającym przemówieniu księdza Zukowskiego, wśród płaczu i głębokiego żalu złożono do grobu pierwszą ofiarę ukraińskich zbrodni. Nie ostatnią...

Patriotyczna manifestacja polskiej ludności, w tym pierwszym żalobnym obrzędzie, do dziś pozostała w pamięci jej uczestników.

### P O C Z A T K I " S A K O O B R O N Y "

Niepokoje rosły. Do Zasnyk i najbliższych wsi polskich dochodziły coraz częściej trwożne wieści: tu wymordowano rodzinę, tam spalenno wieś, ówdzie dokonano bandyckiego napadu na zwykłych podróżnych. Uciekinierzy z objętych rzezią terenów opowiadali przerażającą historię o bestialstwie, krwawych czynach szowinistów ukraińskich. Zaczęło się wreszcie i u nas.

Wkrótce po zabójstwie Leona Sakowicza w bardzo podobnych okolicznościach zginęli bez wieści najpierw dwaj moi kuzyni, mieszkańcy Zasnyk-Staniskaw i Bolesław Mariński, a w dwa tygodnie po nich ich matka wraz z ojczymem, Piotrem Majewskim, odlewnikiem sturcan, początkowym szewnikiem, znakomitym, utalentowanym ludowym gawędziarzem. Oboje nie mogąc doczekać się powrotu synów, wbrew perswazjom poszli na ich poszukiwanie. Nie wrócili już do domu. W parę tygodni po zabicie Kupiecowa przez nasze oddziały znaleziono zwłoki zamordowanych małżonków Majewskich w lityńskim lesie niedaleko drogi z Kupiecowa do Zasnyk. Zmasakrowane ciała leżały pod kupą liści i zaschniętych gałęzi. Ciało obu braci Marińskich nie udało się odszukać.

Wreszcie niedługo po tej zbrodni głośnym echem odbił się w całej okolicy mord ojca i dwóch synów Lesnińskich w Radowiczach, znanych i cenionych członków i działaczy Ruchu Operu. I ten pogrzeb w Turzysku, podobnie jak poprzednio pogrzeb młodego Sakowicza w Zasnykach, stał się wielką manifestacją patriotyczną, będącą wyrazem solidarności wszystkich kresowych Polaków oraz ubolewaniem nad zainicjowaną sytuacją. Teraz nikt już prawie nie miał wątpliwości co do prawdziwych zamiarów ludzi spod znaku "trójzuba" oraz metod, które zaczęli stosować w tworzeniu "Samostijnej Ukrainy". Wielu jeszcze ludzi

się tylko, że może nastąpi opamiętanie i powściągnięcie nacjonalistycznej zawrota z obranej drogi. A tymczasem wiadomości o mordach, porażkach, torturach przedziwnych płynęły do nas coraz szerszym strumieniem. Jak wynikało z owych wiadomości, najgorzej działo się we wschodnich i południowych powiatach Wołynia. Tak to, jak się później okazało, popłynęło najwięcej polskiej krwi. Ale i u nas Ukraińcy podnosili już głowy i zaczęli być niebezpieczni. Pod ładą pozorem nawiedzaali polskie rodziny, jakoby dla penetrowania terenu i szukania protektora do mających nastąpić rozrachunków.

Przypomina mi się tego właśnie typu incydent, który zdarzył się w naszym domu, gdy jeszcze pracowałem w lityńskim lesie i nie nie wskazywało na późniejsze wypadki. Otóż podczas żniw 1941 roku pomagając kosić żyto naszemu sąsiadowi, Bernardowi Wardulińskiemu, znalazłem z bratem porzucony w zbożu rosyjski karabin. Okazało się, że należał do krasnoarmisty, który w czerwcu tegoż roku zwrócił się z prośbą do naszego sąsiada o cywilne ubranie, gdyż wolał nie wracać do Rosji. Broni już wtenczas nie miał. I to, jak się dowiedzieliśmy, był jego karabin. Zabraliśmy go do domu i nie bardzo wiedząc co dalej zrobić, schowaliśmy go w stosie gałęzi leżących na podwórzu. Karabin przelatał tam aż do późnej jesieni 1942 roku. Nikt prócz nas o nim nie wiedział. Ponieważ jednak leżał przewie na ziemi, bez żadnej konserwacji, postanowiliśmy wyczyszczyć go, naoliwić i ukryć w lepszym do tego celu nadającym się miejscu. I na tej czynności nakrył nas ojciec. W obawie, aby rzecz nie doniosła się do ludzi niepowołanych, zwłaszcza do Niemców, którzy wprowadzić rzadko, ale od czasu do czasu do nas wpadali, kazali nam cenny przedmiot rozobrać i zniszczyć. A że ojciec nasz należał do ludzi wyjątkowo stanowczych i raz wydanego polecenia odwrócić nie miał zwyczaju, radzi nieradzi, musieliśmy rozkaz wykonać. Kiedy wyrzuciwszy poszczególne rozmontowane części, bawiliśmy się pozostałą jedynie sprężyną od komory naboju, nadszedł na to jeden z najbliższych Ukraińców z Piórkowicz, nazwiskiem Nasaruk. Wziął niby obojętnie ów drobiazg do ręki, oglądał przez chwilę, spytał głośno są pozostałe części i uskyszaawszy, że nic więcej nie mamy, odszedł zabierając sprężynę ze sobą. A następnego dnia pojawiło się niespodziewanie przed naszym domem kilka młodych Ukraińców, w tym także wzajemny gość, z sąsiedztwa natychmiastowego oddanie posiadanej broni. Zachowywali się przy tym nonaczalnie, grozili, zaglądali do zabudowań gospodarczych, nieustannie domagając się "dobrowolnego" oddania broni, bo inaczej byłoby źle. Przeszukujący wzdłuż i w grubość całej podwórza, wzięli do siebie kłosa, chwytając, że chcą ze sobą porachować na osobności. Przestraszyłem się nie na żarty. Ponieważ istniała wtedy jeszcze groźna ukraińska policja w służbie niemieckiej, przypuszczaliśmy, że to właśnie oni, tylko bez mundurów. Byłem pewny, że zaczęły metodami niemieckimi zmuszać



nie do przyznania się, ponieważ z moich rąk Nazaruk wziął wazopaj  
nieuszczepną sprężynę. Lecz ojciec mój otwierając drzwi do pokoju  
i wypuszczając wraz ze mną nieproszonych gości, pogroził palcem temu,  
który odawał się być przywódcą i syknął przez zęby:

- A spróbuj go tylko tracić, to...!

Nie wiem, czy wyraz twarzy ojca czy sposób, w jaki te słowa powie-  
dział podziałały na przyszłych młodożółców, dość, że spuścili nieco z tonu  
i zaczęli rozmowę ze mną spokojnie i łagodnie, długo tłumacząc mi,  
że wszystko wiedzą o posiadanej broni przeze mnie i że dostaną ją i  
tak i tak, więc lepiej żebym długo nie zwlekał, tylko poszedł i wasy-  
stko przyniósł. "szczęść na buko nieprzyjawności". Nie uzyskawszy oczę-  
kiwanych rezultatów puscili mnie i odeszli, grożąc jednak, że niedłu-  
go przyjdą tu jeszcze raz, a wtedy "bude hirszo!".

- A powiedzcie, jakim prawem nas nachodzicie? - spytał ojciec,  
gdy zabierali się do odejścia.

- O prawo to my będziemy pytać! - odpowiedział usmiechnąjąc się  
ironicznie horzst bandy.

Na szczęście nie przyszli więcej. Nie mniej pozostawili po sobie  
wrażenie, że oni uważają się tu za władzę i robią wszystko, co będą  
chcieli. Teraz, wiosną, w świetle dziejących się wydarzeń wieśniakom  
już, jaki był rdzowód tamtych odwiedzin.

A atmosfera wyczekiwania, niepewności i rosnącego napięcia  
upływały wiosenne miesiące 1943 roku. Pamiętam jak z bijącym sercem  
roznośnikiem dawane mi przez Bazylego ulotki wzywające do zaprzestania  
krwawych napadów i rozrzucaniem je nocą przy drogach, na polach i są-  
kach wsi Piórkowice i jak potem niektórzy sąsiadzi-Ukraińcy, którzy  
od czasu do czasu spotykali się z nami, opowiadali o treści "kartoczek",  
znajdowanych podczas sianokosów i byli przekonani, że wrzucały je sa-  
moloty. Niektórzy słyszeli nawet warkot maszyn lecących z ulotkami  
nieko nad ziemią. Było widoczne zaniepokojenie ich treścią, nie bardzo  
bowiem wiedzieli jak się powinni zachować. Ale czuło się, że pójdą naj-  
lepszej za głosem swych prowadzących i że prędzej czy później nastę-  
pie musi coś niezwykłego, nieoczekiwanego, mianowicie walki i porachu-  
nków.

Coraz częściej zaczęło się mówić o konieczności przygotowań do  
obrony. Tylko jak? Czym? Ktoś musiałby taką obroną kierować, organizo-  
wać ją, a na nie takiego nie zanosiło się. Co poza tym powiedzą Niemcy?  
W czy nie zaakoczą nas Ukraińcy nocą, śpiących i nieprzygotowanych.  
Ktoś się im zdawał przeciwstawić? Takie i tym podobne pytania nękały  
nieustannie każdego mieszkańca naszej wsi. Coraz częściej zaczęto wys-  
tawiać nocne warty, czuwać na zmianę, zwracać niepokojne oczy wszędzie,  
gdzie, odzwał się jakiś podejrzany głos. Niektórzy zamýłali o ucie-  
czce do Kowla, lecz wstrzymywała ich nadzieja, że może jeszcze wszystko  
się uspokoi, "rozszajie się po kossiach", jak pocieszaali jedni drugich,

nie bardzo prawdopodobnie wierząc własnym słowom. A najważniejszą zblizdały się przecież żniwa. Jak pozostać nieakoszone zboże, nadzie-  
 je całego roku. Z czego potem żyć? Nie było człowieka, który ująłby  
 całokształt życia wai w swoje ręce i dał dobrą radę jak postępować  
 w tych trudnych dniach. Jedynym oparciem duchowym był ksiądz Michał  
 Żukowski, którego niezachwiana wiara w Opatrzność Bożą udzielała się  
 parafianom i łagodziła nerwowe napięcie. "Będzie, myślano, co Bóg da".  
 Ale ta pociecha nie na długo starczała.

Nadszedł lipiec. Kończyły się ostatnie, spójnione w tym roku sian-  
 nokosy. Woziliśmy tego dnia resztę siana do stodoły, gdy nagle na dro-  
 dzie od Piórkowicz zobaczyłem jadącą furankę i idących obok ludzi  
 z karabinami na ramieniu. Popatrzyliśmy z ciekawością niespokojnie na siebie.  
 Czu nam przeleciała przez głowę ta sama myśl: Ukraińcy? Rozjeżdżaliśmy  
 się szybko na wszystkie strony, czy nie nadciągają skądś inne watahy?  
 Nic podejrzanego nigdzie widac nie było. Wokół siebie panował spokój, a  
 przy chatkach na ukraińskich chutorach kręcili się jak zwykle ich nie-  
 szkaficy. Uzbrojeni nieznajomi znikli wkrótce za zabudowaniami pierw-  
 szych domów naszej wsi. Pełni niepokoju wracaliśmy spiesznie z sianem,  
 lecz nie dojechaliśmy do domu, sąsiedzi uspokoiłi nas, że to Polacy, bo  
 rozmawiali ze sobą po polsku, a ktoś nawet na pytanie skąd idą i kin-  
 są, odpowiedział, żeby się nie bano, bo idą z Radowicz i tu w Zasnykach  
 mają zamiar pozostać. Uwierzylimy, ale niepewność pozostawała.

Przed wieczorem udałem się na zwiady w stronę kościoła. Spotyka-  
 ni po drodze ludzie o niczym innym nie mówili, tylko o przybyciu nie-  
 spodziewanych gości. Wiedziałem już dokładnie, że uzbrojona grupa przy-  
 szła istotnie z Radowicz, że przyprowadził ją Henryk Nadrotowski-  
 "Złota", że są wśród nich dobrzy znajomi i że w razie napaści wspólnie  
 będziemy się bronić przed Ukraińcami. Ten fakt, jak się później okaza-  
 ło, dał początek powstania w Zasnykach samoobrony, przekształconej nast-  
 ępnie w partyzancki oddział.

W Zasnykach zawrzało. Widok uzbrojonych ludzi, kręcących jawnie  
 przez wieś, wydał się czymś niezwykłym. Nie dziwne, że powitano rado-  
 wicką gromadkę odważnych ochotników z mieszanymi uczuciami. Zaangażo-  
 wani wcześniej w pracę konspiracyjną widzieli w tym zdarzeniu speł-  
 nianie się swych marzeń, oczekiwań, które prędnę czy później musiały  
 przecież przyjść. Zwłaszcza młodzi, nie mając własnej broni, z zadrę-  
 ścią patrzyli na swych rówieśników z karabinami w rąku i nierozdoko-  
 z rewolwerem u pasa. kudziliśmy się cichą nadzieją, że grupa radowicka  
 przywiozła ze sobą zapas broni, która dostanie się w nasze ręce.  
 W pogłównych młodej generacji czerona przed Ukraińcami będzie tylko  
 przygrywką do prawdziwej rozprawy z ważniejszym wrogiem - Niemcami,  
 o czym myśleliśmy od dawna. Cóż wtedy mogło nam bardziej imponować  
 niż znalezienie się z bronią na ramieniu w jednym szeregu z przyby-  
 łymi kolegami...'



Inaczej na to patrzyli starci, bardziej doświadczeni, ostrożniejsi. Przedtem mówili często o konieczności obrony, gotowi byli każdej nocy chwycić za karabin, gdyby tylko był, stawiać na drodze prowadzącej do wsi i posyłać kule przeciwko każdemu, kto by chciał targnąć się na nasze rodziny. Natomiast teraz, gdy zbrojne wystąpienie stawało się faktem, tych samych ludzi zaczął ogarniać wyraźny niepokój.

- A czy taka demonstracja otwartych chęci do walki zbrojnej nie prowokuje Ukraińców do szybszego napadu z obawy o własne bezpieczeństwo? - twierdzili przezorni gospodarze. - Czy, jeśli by taki napad nastąpił, co w tej chwili jest bardziej niż przedtem prawdopodobne, wystarczą siły, którymi dysponujemy? Cóż to jest kilkanaście karabinów? Sama ich policja, która uciekła od Niemców, wystarczy aby znieść zabijaki z powierzchni ziemi. Na spokojną ludność pewnie by nie uderzyli, ale teraz?

- Poza tym, jak na to zareagują Niemcy? - dodawali inni. - Wszakże zbrojny oddział pod bokiem kowelskiego garnizonu nie da utrzymać się w tajemnicy. Przysłażą kilka samochodów żandarmerii i nie tylko z oddziału, lecz i z całej wsi nic nie zostanie. Lepiej byłoby więc wrócić do poprzedniego spokojnego życia.

Wreszcie byli i tacy, którzy mimo wszystko wierzyli, że dotychczasowe zgodne współżycie z Ukraińcami jest dostateczną gwarancją spokoju na naszym terenie.

- Miałby pewnie jakieś zadawnione porachunki z Polakami - twierdzili ci ostatni - i skorzystali z toczącej się wojny, aby wyrzucić zemstę. I wywarli. Ale u nas nikt Ukraińcom nie dokuczał, owszem żyliśmy w jak najlepszej zgodzie. Za co więc mają nas mordować?

Nie wiercie żadnym ich zapewnieniom! - ostrzegali zwolennicy obrony. - Nie wiercie, że zamordowali Lesniwskich, Sakowiczów albo Marińskich dlatego, że ci im się narazili. Byli takimi sąsiadami, jak my wszyscy. Zginęli, bo taki jest program tworzenia samostijnej Ukrainy i jeżeli nie będziemy gotowi do obrony, stanie się ze wszystkimi to samo co z tantymi. A uzbrojonych Zabnyk będą się bali.

Ten ostatni argument miał najwięcej zwolenników, ale jednomyślności nie było. Toczyła się przecież wojna. Któż mógł przewidzieć, co planują nasi wrogowie bliżsi i dalsi. Wszyscy, przede wszystkim znali postępowanie Niemców wobec jakichkolwiek prób oporu przeciwko ich baradzeniom, a było wiadome, że posiadanie broni uważali opupancją za łamanie podstawowych zakazów ich władz bezpieczeństwa. Różni więc niepokój, dezorientacja, tym bardziej, że nieustanne wieści o coraz okrutniejszych wbrodniach i bestialstwach ukraińskich nacjonalistów opadały dotkliwie sen z powiek. Opowiadania uciekinierów zdawały się wskazywać na okrucieństwa przewyższające dawną hajdamaccyznę.

15 lipca, w dniu odpustu w naszej parafii, nadeszła tragiczna wiadomość o mordzie dokonany w kościele w Kisielinie. Mord nastąpił ja-

szcze 11 lipca, gdy ludność zgromadzona była na babońskimysie. Liczbę ofiar określono na 300 osób. Ci, co zdołali uciec przestrzegali, że la- da dzień to samo może stać się w Zasmykach i w każdej innej spokojnej do- górd miejscowości. Tam Polacy też żyli ze swoimi sąsiadami w zgodzie, bywało, że nawet w przyjaźni, a oto jakie następstwa przyniosły ta przyjaźń i zgoda. Słuchaliśmy dochodzących do nas opisa- w scen znęcania się nad bezbronnymi, wyciągania z kościoła kobiet, młodych dziewcząt i rostrzaskiwania im głów kolbami karabinów, obrzucania granatami ukrytych w kościele i w plebanii. Trudno było uwierzyć, że ludzie mogą być aż tak okrutni dla swych niedawnych sąsiadów. Nawet w stosunku do wroga niepodobna tak postępować! Nie dziwnego, że na uroczystości odpustowe przyszła do kościoła garść ludzi, tych najodważniejszych. Reszta czuwała przy rodzinach, gotowa w każdej chwili do ucieczki. Tylko ścieżka? To pytanie dręczyło wszystkich. Wróg mógł pojawić się z każdej strony i o każdej porze. A nuż uciekając wpadnie mu się prosto w ręce? Co robić?

Szczęściem dzień odpustu minął spokojnie. Natomiast następnego dnia nadeszły wieści o wymordowaniu ludności polskiej w Waju, Chokucie, Krymnie i innych miejscowościach. Stawało się jasne, że banderowski pierścień stale zaciskał się i przybliżał ku Zasmykom. Zaurzać młodziemu oddziałowi, czy chronić się do miasta? Żniwa za pasem! Uskie porazić na polu dojrzałe zboże i zostać na cały rok bez chleba? Kto wie, czy nie dłużej niż przez rok? Bo nadzieja na tegoroczne siewy stawała się także coraz bardziej mglista i złudna. Co wybrać? Pełnić ciężkie codzienne gospodarskie obowiązki, czy ratować za wszelką cenę życie? Niezłaskawcy Zasmyk wracali z coraz większą liczbą uciekinierów byli w bolesnej rozterce. Pozornie robili to co zwykle, pracowali, wykonywali codzienne obowiązki w polu, w całym gospodarstwie, lecz wewnątrz każdy z osobna przeżywał nie dający się opisać dramat, a wyobraźnia podsuwała wizje coraz okrutniejszych scen i obrzędów, jakich świadkami i ofiarami możemy stać się la- da dzień. Nie dziwnego, że serca biły coraz niepokojniej. Ciemne chmury zawisły nad umęczonym Wołyniem <sup>Podolem</sup>.

Wtem zdarzyła się rzecz drugocząca i tak napięte już do ostat- ních granic wytrzymałości nerwy. Najnie spodziewaniej pojawił się w Zasmykach oddział niemieckiej granatowej policji, a jeden z nich zas- trzebił "Wróble", mianującego się komendantem tworzącej się właśnie samoobrony zasmyckiej. Wszystko stało się tak nagle, że przechodził wszelkie ludzkie oczekiwania.

Od kilku dni "Wróbel" nikomu przedtem nieznany podoficer objął dowództwo, nie wiadomo-legalnie, czy samowolnie, nad szusupłą zasmycką załogą. Przeprowadzał musztrę, zapoznawał z bronią i sposobem posługi- wania się nią, chodził z oddziałkiem na ćwiczenia terenowe w okoliczne lasy. Większość niezłaskawców wsi patrzyła na te posąpania z całkowitą aprobatą, wiedząc, że młodzi chłopcy poprzez praktyczną zaprowę mogą



zdobyć konieczne minimum wiedzy wojskowej, bez której wszelkie próby walki musiałyby skończyć się fiaskiem, ale byli i tacy, którzy podjęli rzuwali dowódcę o celowe wyprowadzenie młodego wojska w lasy, aby oddać je w ręce upowców, albo pozostawić wicę na pastwę wroga. Teraz zagadka zagmatwała się jeszcze bardziej.

Pamiętam "Wróbla" doskonale. Wzrostu więcej niż średniego, dobrze zbudowany o miłej, ujmującej powierzchowności, budził ufność i sympatię. Ruchy miał sprężyste, chodził w dobrze dopasowanym granatowym mundurze, a z twarzy nie schodził mu pogodny uśmiech. Nam ukłodym, gdy na niego patrzyliśmy, wydawał się idealnym dowódcą. Wierszyliśmy, że pod jego komendą Zaszuki będą chyba w stanie odeprzeć napad Ukraińców, zwłaszcza, że ochotników garnęło się do samoobrony coraz więcej. Kilku chłopców z papralami "Czerech" i "Błyskawica" przybyło z dość odległych stron, naturalnie wszyscy z bronią i amunicją.

W tym czasie niespodziewane wtargnięcie do Zaszuk niemieckiej policji wprowadziło niebywały zamęt i dezorientację. Kto jest kto? Kogo uważać za wroga, a kogo za przyjaciela? Ludność wioski traciła głowy. Policjanci zastrzelili wieczorem obok zabudowań Jana Witkowskiego i dwie obce, młode dziewczyny, podobno siostrę i narzeczoną "komendanta". Ksiądz Żukowski zdążył na miejsce wypadku już tylko z olejem świętym. Tego samego wieczoru, ta sama służba niemiecka aresztowała i "Wróbla", a o świcie dnia następnego jeden z policjantów narwił kulię Kurpiasowi w łeb. Rozeszła się jednocześnie pogłoska, że "komendant" służył jakoby ukraińskim nacjonalistom, że przy zwłokach jego narzeczonej, inni zaś utrzymywali, że przy nim samym, znalazłono podobne niezbita dowody winy, mianowicie tajne meldunki o sytuacji w Zaszukach, a adresowane do władz UPA. Wszystko to wskazywało na wielką prowokację. Pojawili się też informatorzy, widzący w całym zajściu wyłącznie osobiste porachunki pomiędzy "Wróblem" a Kurpiasem o narzeczoną, w której się obaj kochali. Byli wreszcie i tacy, których zdaniem policja była po prostu wysłana przez Niemców i robiła, co jej nakazano. Ile było prawdy w poszczególnych opiniach, nikt nie potrafił wyjaśnić. Do dziś zagadka pozostaje do końca nie rozwiązana. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: w efekcie zsiadniętej sytuacji można się było spodziewać najgorszego, z krwawą rzezią włącznie.

Tę nocą Zaszuki nie spały. Od Piątków pod Rokitnicą, aż po Cusiów i Marjańskich na pograniczu Piórkowicz wszyscy czuwali, oczekując ataku. Z ojcem i młodszymi braćmi długo, w noc siedzieliśmy w łóżku obok drogi, nasłuchując w napięciu każdego najlżejszego choćby szmeru. Każdy odgłos, stuknięcie każde, zazwyczaj psia wykrywało przeszedł dreszcz po całym ciele, wydawało się bowiem nieuchwytnym sygnałem zbliżającej się watahy. Coraz to przewrażliwione ucho chwyciło jakieś podejrzane dźwięki i, za każdym razem odruchowo podrywaliśmy się, by biec przeczekać rodaty i chronić się w lasach na chwilę okazywało

sie, że to tylko głos zbyt podrażnionych nerwów, że wokoło panuje spokój i cisza. Dobrze po północy, zmęczeni i pełni nagorszych przeżyć zdecydowaliśmy się na spoczynek, przerywając wyczerpujące czuwanie. Niech się dzieje wola Boża...

O świcie ktoś nagle zastukał mocno w snybę. Zerwałem się na równe nogi. A więc już...! Nie upiłowaliśmy!...! Cały dom zbudził się w oka mgnieniu. Poszedliśmy jednak z bijącym sercem do okna, zobaczyliśmy Olka Gąsiorowskiego, niedalekiego sąsiada, który ujrzawszy nas krzyknął tylko, że całe Zasmyki wyjeżdżają do Kowia, bo napad Ukraińców jest pewny, że niektórzy do tej pory są już napewno za miastem, i popędził ile sił w nogach z powrotem do domu.

Zaczęło się gorączkowe pakowanie, wiązanie tłumoków i ładowanie do się do na furę. Chwytałismy tylko najpotrzebniejsze rzeczy, coś z żywności, trochę pościeli i po upływie nie więcej niż pół godziny byliśmy gotowi do drogi. Posłuszna siwa, nasza nowa pracowna szkap, czekała tylko na znak lejceami, by ruszyć z załadowanym wozem. I nagle w ostatniej chwili, gdy wszyscy siedzieli już na stosie tłumoków, mój ojciec oświadczył niespodziewanie, że nigdzie z domu się nie ruszy. Wszyscy mamy jechać a on zostaje. Jeśli wypadnie zginąć, to we własnym domu, na swaj ojcowiznie, a nie gdzieś tam pod płotem lub na kowelskim bruku. Nie pomogły nasze prośby i zaklęcia mamy. Ojciec decyzji nigdy zmieniać nie lubił. Nie namyślając się zeskoczyłem z wozu i postanowiłem uczynić to samo. Ojciec nie protestował. Ku mojemu zdziwieniu mama też moją chęć pozostania z ojcem przyjęła jakby z ulgą, sądząc zapewne, że we dwójkę łatwiej sobie poradzimy. Wozak zostawał tu cały inwentarz, cały dobytek bez żadnej opieki. W takiej sytuacji trudno zapobiegliwej przez całe życie gospodyni protestować.

Długo patrzyliśmy na oddalającą się furankę, zanim w końcu nie znikła nam z oczu wśród zakrętów drogi w pobliżu Janówki. W milczeniu i w stanie psychicznym trudnym do opisanego, chodziliśmy po podwórku spoglądając ze ściśniętym sercem nad trudem długich lat pozostawione budynki, ciężko zdobywane narzędzia gospodarskie, na spacerujące kury, było w obojętnej myśli, że to wszystko odtąd ma być skazane na pastwę obcych grabieżców. Czasem wychodziliśmy poza zabudowania, aby popatrzeć w stronę Piórkowicz lub Gruszówki, czy nie nadciągają z tych stron uzbrojone bandy. Nie mówiliśmy prawie do siebie, ale rozumielismy się bez słów. Raz tylko ojciec siadłszy na chwilę na pieńku do rąbania drzewa odezwał się - nie wiem - do mnie, czy do własnych myśli:

- Wiadział synu, do czego to doszło?

Nie wiedziałem co na to odpowiedzieć, wolałem więc kiwnąć tylko głową na znak zgody i wyjść na drogę, popatrzeć, czy nic nowego się nie dzieje. Lecz dookoła panowała głucha pustka, nigdzie żywej duszy, poza nami dwoma, bezradnie poruszającymi się wokół siebie.



Tymczasem po godzinie, może dwóch, to na raz nikt nie pa-  
trzył, usłyszeliśmy od strony Kowla rzęsiłą strzelaninę. Sądząc z  
dochoodzących odgłosów można było przypuszczać, że potyczka lub praw-  
dziwa bitwa, co do tego nie mieliśmy żadnej wątpliwości, toczy się  
nie dalej niż na brzegu zadybskiego lasu, a może gdzieś w Lublaty-  
nie czy nawet w Białoszewie. Usłyszawszy strzały ojciec pobiegł,  
zniecieruchomiał i zaczął powtarzać głośnym szeptem patrząc w kierun-  
ku Kowla.

- Po co wyjeżdżali? Po co wyjeżdżali? Wiedziałem, że będzie.

Ale gdy po długim czasie wszystko ucichło, lęk o życie ro-  
dziny zaczął widocznie w myślach mojego ojca przemienić się w  
całkowitą pewność, że ani mama, ani nikt z rodzeństwa nie ocalał.

- Już po nich - szeptał ojciec, a jego twarz zdawała się na-  
bierać nieruchomości posagu. - Bole, już po nich...

Stałem obok i nie wiedziałem, czy bardziej gniewie za gardło  
iść z powodu tragedii, jaka musiała rozegrać się pod zadybskim la-  
sem, czy widok kamieniejącej twarzy ojca. Tylko skłacać się coży i  
mruganie powiek mówiły, że stoi przy mnie żywy człowiek. Wreszcie i  
szept ustał, tylko wargi poruszały się bezgłośnie. Więcej ode mnie  
rozumiał, wiele w życiu doświadczył, lepiej więc mógł ocenić situa-  
cję. W końcu zaczęliśmy znów chodzić po podwórzu jak obłąkani, oze-  
kując już jedynie kogoś, komu może udało się zbiec i kto potwierdzi-  
nie śmiałem przypuszczać, że obali nasze domysły.

I kiedy napięcie nerwowe osiągnęło chyba punkt kulminacyjny,  
nagle od strony Janówki pojawiła się furmanka, za nią druga, trzecia.  
Jechały w naszą stronę. Wdrapałem się na płot i wpatrywałem się w  
niespodziewany widok to z nadzieją, to znów prawie z przekonaniem,  
że to na pewno banderowcy wiozą zrabowane od uciekinierów łupy.  
Lecz gdy fury zbliżyły się na dostateczną odległość, nagle obaj z oj-  
cem cwał nie krzyknęliśmy z radości: rozpoznaliśmy z daleka nasz  
wóz, a na nim rodzzeństwo z mamą. Z tyłu zaś jechały fury sąsiadów.  
Po paru minutach byłem już przy nich. Czułem się tak, jakby wszystko  
najgorzej minęło nieczymś zły sen i że nie już nam nie zagraża. Zaczę-  
ły się szybkie, chaotyczne pytania, odpowiedzi, istny rozgardiasz. Za-  
raz furą wjechała na podwórza, wiedziałem już, że nasi dobrnęli zale-  
dwie do Białoszewa i tam doszły ich strzały spoza Lublatynia, a  
wkrótce ujrzeli wracających ze strony Kowla zasmyczan. Nie wiedzieli  
kto i do kogo strzelał, co było powodem powołanego zamieszania, dosł,  
że rodzzeństwo oddziała samochrony, który jechał do Kowla razem z ucie-  
kającą rodziną, nakazało odwrót do Zasyż. Polecenie przyjął bez  
wzruszenia, gdyż każdy opuścił swe gospodarstwo i rodzinę, więc  
z ciężkim sercem, a dziś przekonali się wszyscy, że nie na już bez-  
piecznych miejsc dla wołyńskich Polaków, dla zasmyczan też. Wrócili  
więc wszyscy do domu prawie zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

Porozumiewało jedno-bronić się do upadłego. Jeśli nie uratujemy się sami, nikt nas nie uratuje.

Kto wszczął strzelaninę i z jakiego powodu, nie ustalono jednoznacznie do końca. Wszystko wskazywało na to, że było to dzieło ówjej niemieckiej policji, która po wykonaniu "zadania" w Zasmykach, teraz prawdopodobnie chciała spowodować panikę w celach rabunkowych. Ale to, jak wspominałem, nie zostało ustalone.

Dowództwo oddziału zbrojnego samoobrony w Zasmykach przejął teraz porucznik "Jastrząb". Był zdaje się w Zasmykach już przed przyjeściem granatowej policji, ale teraz dopiero zaczął działać. Pamiętam że w dzień lub dwa później, po pamiętnej próbie ucieczki mieszkańców wsi do Kowla, zobaczyłem "Jastrzębia" po raz pierwszy. Odtąd widywałem go niemal codziennie, ponieważ interesował mnie oddział i próbowanie decyzyj, czy nie będą mógł być przyjęty bez broni. Okazało się, że musimy jeszcze trochę poczekać.

Tego samego lub następnego dnia, po południu, przejechała przez Zasmyki furka pełna upowców z niezwykle butą, zawiadacko i wesoło. całą drogę towarzyszyły przejazdowi hałaśliwe śmiechy, jak gdyby czuli się już panami sytuacji. Wkrótce potem zażądali spotkania z dowództwem samoobrony, celem umówienia zgody, jaką chcieli zawrzeć. Domagali się złożenia broni, zlikwidowania zbrojnej załogi, ponieważ zapewniali, nie nam nie zagraża, pod warunkiem jednakże, że nie będzie żadnego sprzeciwu wobec ich żądań. Nasi zrozumieli ich grę, zgodzili się więc na pertraktacje, by tylko zyskać na czasie.

Pierwszy "dohowor" odbył się w Zasmykach. Reprezentowało stronę polską kilka poważniejszych gospodarzy oraz "Znicz" i ksiądz Michał Śulikowski. Jak wspomniałem później nasz proboszcz, delegacja polska nie była zupełnie przygotowana na podobne pertraktacje, w dodatku po takich tragicznych sytuacjach zajściach. Ukraińcy więc zaczęli coraz mocniej przypierać Polaków do muru. Żądali przede wszystkim oddania im posiadanej broni. Nikt w szeregach przedstawicieli UPA nie wierzył, ale wypadało rozmowy prowadzić sprytnie, jak w "dyplomacji", by stworzyć wrażenie, że posiadamy siłę i łatwo się nie ugnieśmy. Tymczasem nasi gubili się, zdradzali niepewność siebie, brak zdecydowania. Dyktowane przez Ukraińców warunki trudno było odierać, gdy się znało nasze nikłe siły. Wtedy nagle przed oknem domu, gdzie toczyły się rozmowy pojawił się porucznik "Jastrząb", w towarzystwie sześciu chłopaków, uzbrojonych w karabiny, a niektórzy także w broń krótką. Widok ten podziałał na upowców tak dalece deprymująco, że stali się nagle grzeszni, ustępliwi i zgodzili się bez większych trudności na odroczenie ostatecznej decyzji, gdyż delegacja nasza musi porozumieć się ze swymi "nadodawcami". Ustalono następny termin spotkania poddyktowany już teraz przez stronę polską. A o to przede wszystkim chodziło. Jak najdłużej wlekać,



przeżycia podkowy, gdyż czas przelewał się nam.

Na paru dalszych dniach powoli otucha zaczęła wstępować w szeregi mieszkańców tak Zaszki, jak i okolicznych polskich wsi. Oddział por. "Dąbrowski" nieznacznie, lecz systematycznie powiększał się liczebnie, codzienne ćwiczenia, przemarsze przez pogranicza ukraińskich wsi, nocne warty z bronią w rękach, nieustanna gotowość bojowa, pozwalały wierzyć, że napastnicy nie zdołają nigdy zaskoczyć na nieprzygotowanych. Widzieliśmy też, że "Znicz"-H. Nadratowski, "Turki"-Bazyli Zamściński oraz inni przywódcy Ruchu Oporu w Zaszkiach nieustannie są zajęci, coś organizują, zakatwiają, a cóż mogło być ważniejsze do zakatwienia, jeśli nie sprawy obrony ludności zdanej na siłę oddziału. Początkowo w potocznym języku mieszkańców wsi używano się wyłączenie określenia "oddział". "Samobroną" zaczęło się nazywać załogę wsi po odejściu "oddziału" na miejsce postoju w Gruszówce i dalej. Wszystkie te zabiegi miały dla psychiki przeciętnego mieszkańca niemalże znaczenie uspakajające. Była widoczna organizacja, czego brakowało na początku niepokoju.

Mówiąc jednak szczerze Zaszki były w owych letnich dniach 1943 roku prawie bezbronne. Wystarczyłoby 100 do 150 dobrze uzbrojonych i odważnych upowców, aby spalić i wymordować bez trudu całą wieś. Mieszkania zaszkijskie coraz bardziej zapełniały się uciekinierami spalonych i mordowanych przez Ukraińców wsi. Opowiadane przez nich sceny banderowskich okrucieństw targwały nerwy i napełniały grozą najodważniejszych. O niczym innym nie mówiło się tylko o bieżących zdarzeniach i o perspektywach na najbliższą przyszłość, o perspektywach - co tu dużo mówić - wcale nie wesołych. W tych warunkach i w takim klimacie psychicznym wywołanie paniki było rzeczą bardzo łatwą. Na przestrzeni mającej ponad pięć kilometrów długości wsi, dwadzieścia paru obrońców nie miałoby w tych dniach nie do powiedzenia, zwłaszcza gdyby natarcie nastąpiło z kilku stron, np. od Piórkowicz, Gruszówki i dajmy na to Rokitnicy. Oddział broniłby się zapewne, nie miałby przecież wyboru, walka jak mówiło się w domach, byłaby zacięta, nieustępliwa, ale z góry skazana na przegraną. Cóż szczególnie, że przeciwnik nie orientował się zupełnie w rzeczywistym stanie naszych sił obronnych, ilu ludzi liczy załoga, kto nią dowodzi, jaką dysponujemy bronią itp. A rozsiewane wieści mówiły o tysiącach żołnierzy, o działkach, karabinach maszynowych, o nieustannie napływającej pomocy przede wszystkim z Buga. Dowództwo czyniło wszelkie wysiłki, aby rozpuszczone pogłoski udokumentować wizualnie. Niewielki obóz w dzielnicy na dwie, trzy części pokazywał się jednocześnie pod Rokitnicą, Białoszewem i Gruszówką. Niezależnie "Dąbrowski" ustawiał chłopców /on używał tylko nazwy "żołnierzy" czasem też "rycerzy"/ w drugi rząd w znacznych od siebie odległościach i kłosa przemykał się pojedynczo w same południe między drzewami i krzewami, prze-

przebiegać szybko przez odkryte tereny kilka razy w kółko, a także w gęstwinie, aby po paru minutach wybiec znowu na odkryte pole, następnie krag i natychmiast zniknąć wśród lasu. Z dala było to wrażenie swi- szed kilkuset osobowego oddziału, niemałej sily. Było rzeczą oczywis- tą, że jesteśmy pilnie obserwowani przez ukraińską ludność i specjal- nych "wypatrywaczy". Aby nie wyczerpywać zbyt ni- szych samych chło- pów, bywało, że przekazywali im swoje karabiny i ci znowu odbywali przemarsz w nowych punktach na skraju ukraińskich

Często przychodziłi do ojca mieszka- rkowicz, dawni dobrzy sąsiedzi, na zwiady. Po- wali odwiedzić go chęcią pożywe- nia jakiegoś potrzebnego przedmiotu, a to w jakiejś innej ważnej sprawie a w rzeczywistości na pewno w celach wywiadowczych. Widać to było z ich ogólnego zachowania się, z rozbieganych oczu, z niepokoju na twa- ray. Nie umieli maskować się, grali roli zwykłych, szlachliwych, jak kiedyś ludzie.

Raz byłem świadkiem takiej rozmowy:

- Prawda to, pytałeś po dłuższym czasie, pozornie obojętnym wstępie Konstan- ty Rybaczuk, dobry w sąsiedzie Karkowicz, który do wsi zdaje się nigdy nie należał, ale wywiadowcą pewnie był. - Prawda to, że dzisiaj rano przy- znów do Zaczyn: przyszło wojsko zaa Buga? Bo u nas edny kaikut szcze przyjszko, drachije no na wirjaty wy luczese znajete, prawda?

- Moja ojciec znalazł się w tej sytuacji bez zawantu, choc przez ni- kogo nie instrucowany. Lubił czasem "nabierać" ludzi, a którymi, blisko i przyjaźnie był, ale tym razem podziwiałem jego wyjątki refleks. Usa- waż zapewne nieświadomego tych spraw, a jednocześnie stworzył pozory że wiadomości sąsiada wcale nie są przesadzone.

- Nic o tym nie wiem - odpowiedział skromnie, niby obojętnie, strącając popiół z papierosa. - Tam, gdzie jest wojsko, ja wole nie zaglą- dać, bo niebezpiecznie, a przesądziło mi to obchożsi. U nas, tak jak i u was, jedni mówią, że przyszło i to dużo, inni że nie. Moja chata skraju, ja nigdy nie znajduję końca, a popularnym ukraińskim przysłowiem.

- Bo u nas kaikut - ciągnął dalej Konstanty, tak wracali się do niego wszys- /- szcze przyjszko tysjaczka soldatiw. Wojska bahate szo? Deż w Zaczynach wai podijetei?

- Powiedziałem już, że nie wiem - bronił się po cichu ojciec - podob- bać tylko, ale są tacy, co mówią, że nawet więcej niż trzy, ale ja ich nie liczyłem i nie będę liczył. - Kłóczył niby obojętnie ale i ze zło- sierpliwieniem.

- Kaikut szcze i herudie przyweziły? - nie ustępował wywiadowca, widząc, że temat mimo wszystko "chwycił".

- Powiedziałem już już, że mi to nie obchodzi. - Ojciec wzdychał się już "gniewać". Ktoś tam mówił, że przyciągnęli jakieś armaty, ale jakie i ile, sam nie wiedział. I dał mi z tym spokój. A zresztą -



dojeżdżał po chwili przerwy - co tam tamie armaty? Widać podobno jeżdżące z pierwszej wojny, a tylko trzy nowe. Ale czy to prawda, to już tam wie.

Wiosna ciągnęła się jeszcze kilkanaście minut, została potem na jakieś sprawy gospodarskie i ciężki sąsiad odszedł z zaniepokojoną miną. Był napewno przekonany, że zdobyte wiadomości potwierdzają te, które krążyły po jego wsi i nie tylko nie są przesadzane, lecz przeciwnie - susid Polak napewno całej prawdy nie powiedział. A więc siła w Zasmykach musi być nie-mała.

Wszystko to nie miało jednak większego wpływu na złe samopoczucie polskich rodzin. Rósł strach, bo i Ukraińcy rozpierzchli wiadomości o przygotowaniach do napadu. Trudno było w to nie wierzyć. Trwały powiadania co pewien czas "dohowory", oddziałowi przybywało żołnierzy, broni, awaryjny się samoobrony w Zasmykach pobliskich wsiach - Janówce, Redowcu, lecz to wszystko nie zmniejszało obaw przed Ukraińcami i Niemcami. Konspiracja wprawdzie po cichu zawarła jakieś porozumienie z władzami kowelskimi, że obrona przed UPA nie będzie dla Niemców tajemnicą, ale o tym wiedzieli tylko konspiracja. Mieszkańców wsi o podobnych nie informowano. Stan napięcia trwał dalej.

W pierwszych dniach września oddział porucznika "Jastrzębia" dokonał brawurowego przeprowadzenia ludności polskiej z Osiecznika do Zasmyk przez kilka ukraińskich wsi. Nie brałem udziału w tej wyprawie. Patrzyłem tylko później, jak długą kolumną jechały wozy z dobytkiem, rodzinami, prowadzone bydło, wieziono trzodę chlewną. Murzejowa ta kolumną niewiele ponad 40 chłopców z karabinami i niewielką ilością amunicji. Jak się potem dowiedziałem, banderowcy parokrotnie ostrzelali kawałki wozów z wylęknionymi ludźmi, ale zabrakło im odwagi by zaatakować, lub choćby podejść na bliższą odległość. Mimo parokrotnych utarezek wszyscy szczęśliwie dotarli do zasmyckiej bazy. Z przyczyn bliżej nie wyjaśnionych, o ile dobrze pamiętam, został tylko jeden partyzant. Był w ubezpieczeniu tylnym i w pewnym momencie zaczął pozostawać w tyle, wreszcie znikł z oczu posuwającego się bez przerwy do przodu oddziałowi i kolumnie wozów. Nie wytrzymał napięcia nerwowego, może poczuł się słabo. Kolegom przywołującym go dawał podobno znaki, by nie czekali na niego. Ukraińcy od tego czasu zaczęli uważać, że "Lechi wypuli na berut". Stanie to być potem powtarzane po każdej niemal bitwie.

Niedługo po wyprawie do Osiecznika odbył się drugi wyjazd, również po rodzinach polskich do Bud Osewskich. Tym razem i moja grupa wzięła udział w nocnej imprezie. Jedną z ostatnich godziną nocą napotkaliśmy niewielki oddział uzbrojonych Ukraińców, przeważnie młodych chłopców, którym bez większych trudności odbraliśmy broń. Ich samych, aby nie wyczynać afaru, puściliśmy gdzie się

wolno. Okazało się jednak, że zdobyty "oryginal" składał się przeważnie z drewnianych karabinów którymi młodzi banderowcy terroryzowali polską ludność.

O święcie stanęliśmy w Budach. Nie wszystkich mieszkańców mogliśmy zebrać. Większość z nich już nie była. Zaufali przedtem zapewnieniom Ukraińców, że nie im nie grozi, jeżeli pozostaną na miejscu. Swoją łatwowierność przypłacili życiem. Część, która zdążyła się ukryć, wieczorem bez szwanku była już w Zasmykach.

W takiej atmosferze, wśród takich i tym podobnych wydarzeń upływały letnie miesiące 1943 r. w rejonie naszej wsi.

### R O Z S T A N I E   Z   D O M E M

6 sierpnia 1943 roku udało mi się ubłagać rodziców o zezwolenie do wstąpienia do oddziału. Odchodziłem wzruszony i rozemocjonowany niezwykłą chwilą. Pożegnanie nie było wprawdzie tak rozpaczliwe i przygnębiające jak ze zmobilizowanymi w trzydziestym dziewiątym roku żołnierzami, gdy płacz matki i żon rozlegał się w całej okolicy, miałem bowiem pozostać we własnej wsi i spodziewałem się czysto wrócić w odwiedziny do domu. Niemniej jednak coś ścisnęło za gardło, gdyż czułem, że zaczyna się jakiś nowy, ważny rozdział w moim młodym życiu. Nie wiedziałem - lepszy czy gorszy, lecz jedno było pewne, że inny i ważniejszy.

Włożyłem na siebie zielony mundur uszyty na wojskowy krój ze starego żołnierskiego płaszcza, głowę przyozdobiłem per wytrzeszczoną skądś wojskową kurażerką, tylko spodnie i buty były cywilne. Ale i tak uważałem mi się, że wyglądam na prawdziwego wojaka, i że dowódca oddziału porucznik "Jastrzęb" przyjął mnie z otwartymi rękoma. Chciałem przecież czynem zrealizować swoje marzenia o służbie krajowi, serce rwało się do wielkich, szlachetnych działań, o których wraz z kolegami marzyliśmy nie raz nie od dziś. Wszak wiele miesięcy temu Bazyli zapewniał, że konspiracja jest tylko okresem przygotowania do prawdziwej służby, na którą czas musi przyjść. Rozumiałem, że właśnie teraz taki czas nadszedł, czas ostatecznej rozprawy z wrogiem. Wierzyłem też, że obrona ludności cywilnej przed niebezpieczeństwem ukraińskich rzezi, główne obecne zadanie, jest tylko epizodem w ogólnej walce o wolność, rodzącą wojenną paprawę i wkrótce wszystkie siły skierowane zostaną przeciwko Niemcom, świdrowym wrogom, sprawcom wszystkiego złego, które nam spotkało. Była tylko "Jastrzęb" przyjął, byle nie odmówił miejsca w szeregach kolegów. Ten dopiero spodziewałem się stanąć przed prawdziwym egzaminem życia. A egzamin ten wydawał mi się o tyle niegroźny, że razem ze swoim pokoleniem czułem się chyba dobrze do niego przygotowany, że powinienem mu podołać.



Dziwna to bowiem były czasy i dziwna w nich młodzież, jakże daleka sposobem myślenia, postępowania, sposobem bycia od dzisiejszej. Może nie tak zaradna w warunkach dożyciennych, nie tak samodzielna i obyta ze światem jak jej obecni rówieśnicy, ale za to o ile delikatniejsza w obcowaniu ze sobą, skromna, pogodna, jednoczesna, bez wyrachowania, szczerza, prostolinijna, a jednocześnie dziwnie mocno odczuwająca odpowiedzialność za kraj, miłość i szacunek dla niego, co ówczesna szkoła wraz z ogólnym penującym wtedy klimatem wychowawczym, potrafiła zaszczerpić w młodych sercach. Ciągnęło nas coś do wielkich, bohaterских czynów, a jeśli los tak zechce to i do najskromniejszych prac dla dobra innych, w równym stopniu do wielkiej przygody, jaką być musi żołnierska służba dla kraju co i do skromniejszych skromnych niewidocznych posług, gdy tego zażąda. Pierwsze dni moje i moich kolegów w oddziale zdawały się tego wyraznie dowodzić. Dział czasem mnie samemu wydaje się to wszystko aż mało rzeczywiste, a tymczasem nie dostrzegam w swych słowach ani trochę fantazji.

Oto jeden z drobnych przykładów:

Do oddziału zbrojnego wbrew nadziejom i oczekiwaniom nie zostałem przyjęty od razu. Nie posiadałem własnej broni, a przypuszczenia, że tu ją otrzymam, okazały się tylko marzeniem. Własny karabin lub chociaż rewolwer były podstawowym i zresztą jednym warunkiem przyjęcia w poczet żołnierzy. W tej sytuacji odkomenderowany zostałem do prac pomocniczych w kuchni. Z uczuciem trochę zawodu, lecz bez szemrania, poskusznie udałem się do sadu Zamościńskich, gdzie zainstalowano prowizoryczną kuchnię polową, czyli jak sobie przypominam, duży parnik do gotowania zupy. Otrzymuję na początek polecenie napiżowania i narąbania drzewa opałowego. Wraz ze mną ten sam przydział dostaje serdeczny kolega ze szkolnej ławy i najbliższy przyjaciel, Czesiek Rybak, później "Brzytewka" w batalionie "Sokoła". Zabieramy się razno do roboty. Wiadomo-rozkaz i obowiązek. Pracujemy w milczeniu raznie, energicznie. Pilujemy grube kłose na tak zwanej "kozie", rąbamy na drobne szczapy i niesiemy w powalite kocioł. Upływają minuty. Zmęczywszy się w nagrzanym sierpniowym powietrzu siadamy na chwilę, by odpocząć.

Nagle odzywa się jakby w lekkiej zadumie Czesiek:

- Jak myślisz? Takie rąbanie czy pilowanie drzewa to też chyba praca dla Polski, prawda?

- Na pewno, odpowiadaem z przekonaniem, patrząc w dal gdzie tam gdzie odbywali kwadrę nasi żołnierze. Zarówno w pytaniu jak i w odpowiedzi nie czuliśmy ani cienia patosu czy przesady. Słowa zabrzmiały w sposób tak naturalny i oczywisty, jakby chodziło o drobne najbardziej codzienne sprawy, a nie o wielkie patriotyczne maksymy. Po to

przebieg tu przysialiśmy, aby w miarę swoich sił i możliwości służyć Polsce. O tym marzyliśmy od dawna. Piskowanie drzewa i dokładanie do ognia też przecież musi ktoś wykonywać, żeby inni mogli być syści i spokojni, walczyć z bronią w rękę. Tyle razy pisaliśmy w ten sposób w szkolnych wypracowaniach, mówiliśmy na lekcjach, w domach, że teraz ani przez moment nie wydawało nam się, aby podobne słowa mogły brzmieć sztucznie i pretensjonalnie, lub być używane tylko od święta. Między słowami wypowiedzianymi w szkole, w rodzinnym gronie, czy w towarzyskich rozmowach a w praktycznym działaniu nie mogło być żadnych rozbieżności.

Po krótkim odpoczynku zabraliśmy się znowu do piły i siekiery, aby pracować dla Polski.

Nie pamiętam ani z pierwszych dni istnienia oddziału, ani z późniejszych czasów wypadku rażącego wykroczenia przeciw regulaminowi, złamania dyscypliny, niekwestowania rozkazów dowódcy od drużynowego pochodzących. Każdy z nas kierował się przede wszystkim dyscypliną wewnętrzną i wykonywanie rozkazów było tylko tego prostą konsekwencją. W domu czy w szkole od najmłodszych lat uczone nas, że każdą pracę wykonuje się dokładnie i sumiennie. Pracuje się wtedy, gdy na nas patrzą i wtedy gdy jesteśmy sami. Było to dla każdego oczywiste. Niesego się nie pozorowało, nie udawało się lepszego niż się było w rzeczywistości. Z nauczycielami rozmawiało się z należytym szacunkiem, ale swobodnie, szczerze wypowiadało się swoje zdanie bez obawy, że może być ono źle widziane, a nasze poglądy i przekonania odmienne od oficjalnych. Jeżeli w szkole między kolegami lub na lekcjach wynikały jakieś różnice zdań, wtedy toczyło się dyskusje aż do przekonania przeciwnika, albo ustępienia przed jego silniejszymi argumentami. Odnosiliśmy wrażenie, że takie różnice zdań są przez naszych nauczycieli dobrze widziane i tych, którzy je mają, nauczyciele po prostu bardziej szanują. Z tych właśnie powodów i w partyzantce nie trzeba było nas pilnować, pouczać, przywoływać do porządku za pomocą kar lub nagan, o nawiązaniu do dyscypliny w powierzonych sobie oddziałkach. Czuło się to już od pierwszych dni pobytu nawet w służbie pomocniczej.

Nauczycielstwo bronią i pogoni za jej zdobyciem - to osobny rozdział z tych początków moich doświadczeń partyzanckich. Narządzenie się na zdobywanie broni było niczym, jeśli przyświecała temu nadzieja, choćby zupełnie nikła, na zdobycie czegokolwiek "co strzela", jak mawiał porucznik "Jastrząb". Posiadanie broni dawało przecież swojemu prawdziwego żołnierza, poczucie dumy i pewności, że nasi rodzice, krewni, przyjaciele będą bezpieczniejsi i to my się do tego przyczynimy! Czy "bezpieczeństwo" przez straszenie? Nie wiem, tak jednak było, aż do czasu, aż opisać wszystkie wydarzenia towarzyszące zdobywaniu broni, powstałaby z tego na pewno pasjonująca lektura.

Przypomina mi się opowiadanie "Baka", chłopaka z Kowla, żołnierza



z naszego batalionu, który pewnego razu, latem 1949 r. otrzymał przepustkę do domu i w wyznaczonym czasie wrócił do oddziału durny jak przysłowiowy, paw. Powód? Przyniósł on ze sobą piękny, nowy rewolwer. Niemiecki "mauser". Gdzie i jak go otrzymał? Patrząc z zaskoczonością na szcypśliwca zasypywaliśmy go na ten temat pytaniami.

Nie wiem, czy można mu było wierzyć bez zastrzeżeń, bo czasem swe wycieczki lubił lekko koloryzować, ale nie wierzyć też nie mieliśmy powodu, gdyż podobne wypadki nie były wcale rzadkością. Otóż opowiadał nam "Bak", iż "przyjaciół" się z pewnym niemieckim oficerem czy podoficerem - nie przypominał sobie dokładnie szczegółów. Dostarczył mu od siebie do czasu "sznapsa", masło, a także innych poszukiwanych przez Niemców wiktualii. Tym sposobem pozyskał sobie względy Szarka. Na wspomnianej przepustce doszło też do cudego poszeptunku, po którym obaj "przyjaciele" wybrali się na spacer po mieście. Zatrzymali się na moście na Turii skąd rozciągał się rozległy widok na przybrzeżne łąki, na piękne wołyńskie krajobrazy. Niemiec musiał być trochę sentymentalny, bo zachwycał się oglądanym pejzażem ze szczególnym upodobaniem i nawet zawetwem. Biały dzień, ruch na ulicy niewielki, ale kręcą się tu i ówdzie i Niemcy i swoi. Oparci o balustradę mostu objęli się przyjaźnie rękami. Alkohol działał. Wtedy "Bak", nie zważając na niebezpieczeństwo, delikatnie odpiął skórzany futerał wiszący u pasa Niemca, ruchem kieszonkowca wyjmując rewolwer i chowa go sobie ostrożnie najpierw w rękaw marynarki, a potem przenosi za pas spodni. Naturalnie cały czas toczy się przyjazna rozmowa kamaną niemiecką, na jaką pozwala trochę szkolnej nauki. Potem spacerują jakiś czas po najładniej wyglądanych ulicach i pożegnawszy się przyjaźnie rozchodzą się każdy w swoją stronę. "Bak" rzecz jasna, prosto do Zasknyk.

Jeżeli opowiadanie to było we wszystkich szczegółach prawdą, nawet z lekką przesadzone, a jak powiedziałem na początku - nie miałem powodu, by wątpić w nie szczególnie, to należało w równym stopniu podziwiać pomysłowość młodego chłopaka, jego zuchwałą odwagę, jak również ładnie wiodący spryt. Ale chęć posiadania pięknego rewolweru górowała nad tym wszystkim.

Albo inny wypadek. Dział jeszcze dreszcz mnie przebiega, gdy go wspomina.

Było to pewny sierpniu lub w pierwszych dniach września tegoż samego roku. W sadzie u Zamosińskich zebrała się po obiedzie grona kilku chłopaków i jak zwykle zaczęto oglądać swoje "spławy", manipulować przy nich, poznawać ich tajemnice. Wiadomo - wiara z wojskiem i systematycznym ćwiczeniem zetknęła się tu po raz pierwszy. Bardziej doświadczeni udzielali rad i wskazówek nowicjuszom. I wtedy jeden z kolegów, nie przypominał już sobie jego nazwiska ani pseudonimu, pokazał swój i świeżo zdobyty nagan-bebenkowski, w bardzo dobrym stanie. Patrzący z zaskoczonością, podobnie jak na "mausera" "Baka". Niekto próbowali

nawet nakłonić skąpego posiadacza do sprzedaży swego nabytku. Proponowali wysokie ceny, lecz ten nawet słyszeć nie chciał o niczym takim. Nie po to tygodniami podobno starał się i zabiegał o jego dostanie, by teraz tak łatwo rewolweru swego się wyzbywać.

W pewnym momencie wziął nagan do ręki "Kmicic", znany z niezwykłej energii, prawdziwej kawalerskiej fantazji, trochę narwany i nawałtowski. Wybór pseudonimu nie był chyba przypadkowy. Oglądał pistolet, wyjmował i wkładał naboje, wsłuchiwał się w delikatne tykanie bębna po każdym przekręceniu i nagle zwrócił się do właściciela:

- Słuchaj! Jeżeli nie chcesz zgodzić się na sprzedaż tego gnoja, to mam dla ciebie inną propozycję.

- Jaką? - zainteresował się tamten.

- Zaryzykuję życie. Wszyscy będą świadkami. Żyję albo pistolet. Staliśmy zaintrygowani. O czym myśli ten wariat?

- Popatrz - mówił podnieconym głosem "Kmicic". - Wskazuję do bębna jeden nabój. Teraz pociągam nim po rękawie, nie patrząc wcale w tę stronę. Rozumiesz?

To mówiąc potoczył bębniem szybko wzdłuż wyprostowanej ręki od dołu, aż po ramię. Z pistoletu poleciało szybkie, delikatne tykanie.

Schował broń za plecy. Nie wiem, gdzie jest nabój. Może być akurat naprzeciw lufy. Nie sprawdzam, tylko przykładam lufę do skroni i pociągam za spust. Jeżeli pocisk okaze się naprzeciw lufy - no to wiesz... Jeśli nie - wprastyknę... i pistolet mój. Zgoda?

Wybuchła wrzawa. Jedni próbowali odebrać "Kmicicowi" broń, inni chwytała go za ramię, nieliczni domagali się od właściciela zgody. Zanosiło się na awanturę.

- Co robicie, wariacie? - rozległy się głosy protestu. Zostaw swoją niemądrą czaszkę na lepszą okazję! Jeszcze nie raz będziesz ją musiał wystawić pod lufę.

Szerpała się. Był silny. Odstęczyli wszyscy. Potoczył szybko raz jeszcze bębniem po rękawie. I znów nagan powędrował za plecy.

- No! - krzyknął, - Zgadzasz się?

Stojący z boku zauważyli, że dno fuski wygląda z boku bębna. - Zgadza się! niech starała - zaczęli zachęcać jednogłośnie.

- Dobrze, zgadzam się - rzekł niespodziewanie właściciel. - Tylko po-  
ciągaj bębniem jeszcze raz i od razu przykładaj do skroni!  
Tamten lekko przez chwilę zawahał.

- No co? Bohorz się obleciał? - krzyknął właściciel naganą.

Zalęgła cisza. Patrzyliśny z niepokojem na "Kmicica". Ten nagle odchył się o krok, warknął pistoletem raz jeszcze po rękawie, szybko odwrócił się i znowu spostrzegłiśny co się dzieje, trzymał już lufę opartą o skroni powyżej ucha.

Kilku chłopców skoczyło znów ku niemu. Spojrzeniem osadził ich na miejscu.



Fury boków pełnego napięcia oczekiwania. Wszyscy zakłopotani-  
liśmy. Gdy skończył spust, wszyscy nerwowo drgnęli. Rewolwer nie wy-  
pał.

Przez dłuższy moment staliśmy jeszcze jak zahipnotyzowani. Po  
chwili ochłonawszy z wrażenia otoczyliśmy niedoszłego samobójcę.  
Zajrzeliśmy do 'pistoletu. Nabój siedział w otworze tuż obok lufy. Je-  
szcze jeden ruch bębienka i byłibyśmy świadkami tragedii.

"Kmicie" zamasztył ruchem włożył broń za pasek pod marynar-  
kę i bez słowa oddalił się w kierunku kwatery.

Szaleństwo? Lekkość? Zuchwała zabawa? Pewnie wszystkiego  
po trochu. W tamtych jednak czasach nie dziwko to wcale. Taka była  
cena broni.

W poszukiwaniu byle jakiego karabinu zapominało się czasem o  
najbardziej elementarnych zasadach bezpieczeństwa. Brak doświadczal-  
nia u młodych chłopców bywał czasem przyczyną niemałego poruszenia.  
Ale cóż to znaczyło wobec nadziei posiadania karabinu, a co z tym  
idzie-dostanie się do oddziału. Perspektywa ta była silniejsza nad  
wszystko. Oto jeszcze jeden z przykładów:

Nie pamiętam już dobrze kto, chyba Bogusław Zamczoski, młod-  
szy brat "starej" konspiratorki, Jodany, wytrząsnął gdzieś stary, zar-  
dzewiały "obrez", jak się wtedy u nas nazywało, czyli karabin z upi-  
rzoną krótką lufą. Długo majstrowaliśmy przy nim, zanim udało się  
uruchomić jako tako język spustowy, zamek, oczywiście na tyle, aby w lu-  
fie zmieściła się łuska naboju. Już zastanawialiśmy się, który z nas  
z tym śluzowym szczątkiem karabinu zameldować ma się u "Jastrzębia",  
gdy ktoś przeczornie doradził, by przed tem go wypróbować, czy w ogó-  
le "toto"-śnów cytuję por. "Jastrzębia"- "strzela"? Bo co będzie je-  
śli potem w gorącym momencie karabin odmówi posłuszeństwa, zaśnie  
się i będzie już tylko bezużytecznym kawałkiem drzewa i żelaza.  
Rzecz wydała się tak oczywista, że bez namysłu i niczyjego sprzeciwu  
o zmroku wybraliśmy się we trzech z Bogusławem i Czeskiem Rybakim  
do lasu pod Białoszew, aby przekonać się o sprawności naszej broni.

Po przyjeździe na miejsce, w pierwszej chwili trochę nas odciąg-  
ła ostrożność, bo nikt nie miał pewności jak zachowa się nasz "obrez"  
w momencie sadowania strzału, lecz nadzieja na zostanie prowadzonym  
żołnierzem wzięła górę i po długim manipulowaniu, przemyśleniach i  
trudach i szeptem prowadzonych naradach udało się jakoś wyciągnąć  
nabój do lufy i zaryglować zamek.

- Wyszliśmy, czy nie wyszliśmy? - krzyknął kłopotliwie z góry po gło-  
wie. Właśnie w momencie zgodziliśmy się, że powinniśmy się ukaparyment-  
ować, aby niezawodnie sukcesem.

Bogusław chwycił "karabin" mocno w garść, w wszelki wypadek  
stanął za drzewem tak, że objął pień rękami, z drugiej strony spark  
o kory okutą kolbą swego obreza, my zaś z Czeskiem stanęliśmy w

po bliżu, dla większego bezpieczeństwa nieco w tyło, ale tak, by móc w każdej chwili przyjść "strzelcowi" z pomocą, gdyby coś niedobrego się przydarzyło. Upłynęła długa chwila, zanim Bogusław zdecydował się podągnąć za język spustowy. I wtedy nagle huk jak z armaty rozległ się po lesie i poniósł się stokrotnym echem hen, po całej okolicy, tymbarlańcej, że wieczór był wyjątkowo cichy, bezwietrzny. Snop ognia buchnął przy tym z lufy, "karabin" upadł na ziemię, a my instyngtownie przykucnęliśmy, trzymaliśmy się za uszy, w których dzwoniły tysiączne dzwony. Aż dziw, że nie rozdadziło zardzewiałego grata, a wtedy mogliśmy nieźle oberwać odłamkami.

Rozemocjonowani zadowoleniem i dumą z udanego przedsięwzięcia, chwyciliśmy karabin w ręce i sprawdziliśmy, że cały, czym prędzej wracaliśmy w stronę domu. I ten pośpiech nas uratował. Okazało się bowiem, że na odgłos wystrzału nadspodziewanie bliskiego i podejrzanie głośnego, z oddziału natychmiast wyruszył patrol z rozkazem strzelania do każdego, kto się od strony lasu ukáže. Wiadomo było, że z tej strony można było spodziewać się tylko banderowców, bo nikt inny o tej porze nie mógł się na pograniczu Zesmyk pojawić. Swoich tam na pewno nie było. Domyślano się, że to umówiony sygnał nieprzyjacielski, kto wie co mogący oznaczać? Szczepkiem dla nas patrol poszedł nieco okrężną drogą i wolno, ostrożnie, my zaś biegniliśmy na przełaj wprost na dom Zamościńskich, by jak najszybciej zejść z niebezpiecznego terenu. Domyślaliśmy się, że dowództwo uchce na pewno sprawdzić, kto i do kogo strzelał. Dzięki temu uniknęliśmy tragicznego, być może, spotkania.

W pobliżu domu Bogusława natknęliśmy się niespodziewanie na por. "Jastrzębia", "Znicza" i jeszcze kogoś trzeciego z dowództwa, idących wolno w kierunku lasu i rozglądających się bacznie dookoła. Dzięki zapadającej nocy udało się ukryć nieszczęsny "karabin". Por. "Jastrzęb" zatrzymał nas i patrząc podejrzliwie na nasze na pewno bardzo niemądre w tym momencie miny, spytał:

- A gdzie to obywatele wędrują o tej porze poza kwatery?
- Któż strzelał i pobiegliśmy zobaczyć kto-skomponował na pozostawieniu Bogusław, rumieniąc się przy tym po uszy. Sam później mówił, że nie wiedział, jak mu się to powiedziało, bo nie miał wyrobów kłamliwych.
- No i zauważyli obywatele kogoś podejrzanego? - badał dalej dalej "Jastrzęb".
- Nie, nikogo, wszędzie cicho, nic nie widać - zaczęliśmy już "rozprawiać" się wszyscy trzej.

Dowódca popatrzył na nas z wyraźnym niedowierzaniem. Dalej jęczał nam pewnie wątpliwości, czy nie domyślili się, kto był przewidzianym adresatem strzału. I nie powinien, byśmy byli z siebie w tym momencie bardzo zadowoleni.

Że dowiedzieliśmy się najejutrz, cały oddział w chwili powrotu



patroli stał pod bronią w pełnej gotowości bojowej, a potem orzekł całą noc służyć podwójną strażą.

W czasie pełnionej przez mnie funkcji kuchajka przy gotowaniu posiłków dla zbrojnej załogi Zasnyk, zdarzyło mi się odbyć ważną podróż "skutkową", która w porównaniu z pracami w kuchni polowej wydawała mi się pewnego rodzaju awansem i wyróżnieniem, dlatego uważam za stosowne i o niej tu wspomnieć.

Pewnego dnia, około południa, między 10 a 15 sierpnia, bo dokładnie daty nie pamiętam, wezwał mnie Bazyli do domu bratniakowa Zamościńskiego, gdzie mieściło się dowództwo oddziału i zaproponował mi jeszcze wyjazd do Kowla w charakterze furmana. Miszki jechać ze mną Tosia Lesniewska i Jasia Zamościńska jako pasażerki, na tylnym ekapochowanym siedzeniu. Bazyli ostrzegał, że jazda może okazać się niebezpieczna i jeśli się nie zgodzę, nie będąc mi na to tego za złe. Nieswojo mi się zrobiło, bo takich funkcji jeszcze nie pełniłem, ale usiłowałem nie pokazać tego po sobie i wyraziłem natychmiastową zgodę. Jeżeli jadą dwie znane konspiratorki i nie boją się, to nie wypada, abym ja, nikomu nieznanemu wyrostak miał okazywać strach i odmówić propozycji. Po co mieliśmy jechać, nikt mi nie powiedział, ani nie zamierzałem o to pytać. Rozumiałem już - lepiej wiedzieć jaknajmniej.

Para dobrych koni ruszyła truchtem. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo podejrzanego. Obie koleżanki robiły wrażenie wesołych i najzupełniej spokojnych. Dowcipkowały sobie całą drogę, śmiały się, jakby podróż odbywała się w najbardziej normalnych warunkach. Niekiedy tylko szeptały o czymś tajemniczo, czego wcale nie miałem im za złe. Wiadomo - konspiracja...

W Kowlu zatrzymaliśmy się najpierw przy ulicy Monopolowej i jedna z łączniczek, nie pamiętam która, wpadła na krotko do pobliskiego lasu. Potem powtórzyło się to samo niedaleko kościoła przy ulicy 3-ga Wąja, gdzie wysiadły obie koleżanki, a ja zostałem pilnować koni i wozu. Siedząc na furze patrzyłem, jak w popołudniowym świetle spacerują ulicą spokojni ludzie, czasem z buntne podniesioną głową pojawia się niemiecki oficer, to znów z głośnym turkotem przejeżdża wóz konny dudniąc żelaznymi obręczami po kamiennych kociach ibach. Nic się tu szczególnego nie dzieje, można było przypuszczać, iż czas jakby się tu zatrzymał. Jakże inna atmosfera niż u nas w Zasnykach, Janówce, Rudomlu i w pozostałych polskich wsiach. Tam każdego dnia oczekuje się napadu, krwawej rzezi, na każdy przebiegły przebieg dzień dziękuję się Bogu, jak za szczególną łaską. Czy ci przechodnie ślają sobie z tego sprawę, domyślają się, że ślęczący na furze młody chłopak przyjechał z innego świata, choć odległego zaledwie o 15 kilometrów? Świata, który każdego dnia może ulec zagładzie? I z tym większym szacunkiem zacząłem myśleć o naszych de-

wódcach - "Jastrzębiu" i "Sokoł", którzy dobrowolnie zrewolucjonizowali ze spójności, wygody i przyszli do Zasmak, by dzielić ból i niedolę tamtejszej ludności, a głównie, by kierować przygotowaniami do obrony na wypadek najścia. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że po kilku miesiącach wszyscy młodzi mężczyźni, przechodzący teraźną niby obojętnie obok mnie, mają się w tych co ja szeregach, a nie jeden już na tę ulicę nigdy nie wróci...

Rozmyślenia moje przerwało pojawienie się obu łączniczek w towarzystwie nieznanego pana średniego wzrostu i w średnim wieku, który bystro rozejrzawszy się w lewo i w prawo, wcisnął w słomę pod siedzenie jakiś niewielki pakunek. Coś tam jeszcze powiedział półgłosem do panienek i ruszył pieszo w kierunku poczty, a nam kazał jechać za sobą. Przy ulicy Mickiewicza zatrzymaliśmy się znowu i wkrótce pod siedzenie powędrowała jeszcze jedna "przesyłka". Po tej czynności, nieznanomy połączawszy się z nami, odszedł sprężystym krokiem w kierunku ulicy Warszawskiej.

W parę tygodni później rozpoznałem w spotkanym wtedy nieznanym panu majora "Kowala", dowódcę 50 pp w utworzonej potem 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Ruszyliśmy w powrotną drogę.

- Jeśli teraz jak najszybciej, nie żakuj koni, żebyśmy przed nocą przejechali zażybski las! - polecił Tosia.

Szarpnęłam lejcami. Dobrze utrzymane konie ruszyły w kusem. Wesoło do niedawna rozmowy teraz ucichły. Jechaliśmy prawie w zupełnym milczeniu, ja jako furman, a obie koleżanki na tylnym siedzeniu poważne, zadumane. Szybko przejechaliśmy Monopolową i koka stoczyła się w głęboki piasek koło "Brzesiny". Tu z konieczności trzeba było jechać noga za nogą. Dopiero od Wólki przyspieszyliśmy znowu. Gdy wreszcie minęliśmy Siakuszów, panienki poweselały i zaczęły dowcipować.

- A wiesz, przynajmniej na czym siedzisz? pytała śmiejąc się Jolka.

- Domyślam się. Pewnie jakiś przyrząd do strzelania. - odpowiedziałem równie z uśmiechem.

- A pistolet nie miałeś? żartowały koleżanki.

- Chyba nie mniejszego niż wy, próbowałem się odciąć, choć teraz ubiwidomiłem sobie, jak nieswoje czułem się, szczególnie gdy wjeżdżałem do Białoszowa, dużej ukraińskiej wsi. Zresztą od samego rozstania się z majorem "Kowalem" czekałem tylko, kto i gdzie zatrzyma nas i zacznie rewidować wóz. A takie myśli przyjemności nie sprawiają.

Później dowiedziałem się, że podobno przywieźliśmy między innymi pierwszego atena, którego z dumą nosił na pierśiach portucalnik "Jastrzęb", ale do dziś nie wiem, czy tak było naprawdę. W każdym razie byłam po tej pierwszej "służbowej" podróży do Kowla bardzo z siebie dumny. Inne czynności konspiracyjne nieco przy tej przyłączyły.



Jakże niewiele trzeba było wtedy, aby czuć, że jest się potrzebnym. Wkrótce jednak miało znaleźć się już naprawdę w oddziale. Z karabinem na ramieniu!

## POD GRUSZOWKA

31 sierpnia był pogodny, niemal upalny. Oficeromendery znów - do kuchni pracował tam przez cały dzień, od czasu do czasu odwoływany tylko na krótko do różnych innych drobnych posług. Wydawało się, że będzie to jeszcze jeden zwykły dzień zwykłych zajęć i oczekiwań - wieści spoza granic Zacznyk. Któryś tam już "dohowor" zakończył się niczym, a krążące pogłoski mówiły, że strona ukraińska ma już dosyć rozmów i zabierze się lada dzień do sadokumentowania siłą swą przewagi. O spokoju i unormowaniu sytuacji nie można było nawet mówić. Całe szczęście, że oddział przez lato wyraźnie się powiększył, dysponował już znaczną ilością broni a. i sztuką wojskową na nieustannych ćwiczeniach poznawał się lepiej. Ład, porządek i dyscyplina panowały od początku jak w prawdziwym wojsku.

Wkrótce po obiedzie tego dnia chłopcy ze "starego rosnika", czyli ci, co już od lipca z bronią w rąku - stanowili trzon zacznyckiej zbrojnej załogi, otrzymali niespodziewany i dziwny rozkaz: przymusowe spanie! Potem, ilekroć rozkaz taki padł, - wiedzieliśmy już co to znaczy, ale teraz patrzyliśmy na siebie ze zdziwieniem, nawet ci, którzy, jak ja byli tylko w służbie pomocniczej. Jak można zamiast normalnych zajęć udawać się spać i to pod przymusem? Wydawał się ów rozkaz trochę absurdalny, a przynajmniej trudny do wyrozumowania. A gdy nadszedł wieczór i kolacja, czuć już było w powietrzu jakieś nieoczekiwane przygotowanie, krzątanie, nawet z min dowódcy można było wyczuć, że na coś się zenosi. Późnym wieczorem zarządzono zbiórkę i całe wojsko w pełnym rynsztunku znikło w ciemności.

- Gdzie? Po co? Kiedy wrócić? - rozlegały się zawsząg oiehe niepokojne pytania, nikt jednak nie potrafił dać na nie odpowiedzi. Na miejscu zostali sami młodzi, co to jeszcze nigdy prawdziwego karabinu w rąku pewnie nie mieli. Na placu jako komendant pozostał "młody" - Henryk Nadratowski. Powinno nam warty i to z większą niż kiedykolwiek powagą, sprawdzono potem czy sumiennie je pełniliśmy. - słowem sytuacja w Zacznykach zdawała się być wyjątkowa.

- Nic innego tylko napad wisi w powietrzu - domyślaliśmy się, nie tylko do siebie, ale i do innych, a odważnie namuszą od siebie. Prawdopodobnie pytając na siebie, ale w rzeczywistości byli jedynkami - słowem. Sługo w noc ludzie stali gromadkami na podwórkuach, niektórzy wychodzili na drogę, rozglądając się niepokojnie na wszystkie strony. Dookoła jednak panowała niczym niesmącona cisza.

Noc minęła na nieustannym prawie czuwaniu... gdy nadszedł ranek, nagle z kierunku Gruszcówki i Lityńskiego lasu doleciała nas gwałtowna strzelanina. Takiej nigdy jeszcze nie słyszeliśmy. Łoskot karabinów ział się zlewać w jeden nieprzerwany, przerażający świerk. W dodatku wydawało się, iż bitwa toczy się, już blisko nas, nie dalej jak za wągorzem pól Gisingów i Witkowskich. Tylko czekać jak ukaszą się walczący przeciwnicy.

Stałem niedaleko zabudowań Antoniego Zamościńskiego. Dla pewności podszedłem za róg stodoły, by w razie potrzeby móc łatwiej schronić się pod jej osłoną w jakieś wgłębienie tarcna. W niezwykłym napięciu słuchałem łoskotu strzelaniny, której echo roznosiło się wszędzie na wszystkie strony. Nie wróżyłem sobie z niej niczego dobrego. Jedno zdawało się być oczywiste: rozpoczął się oto wielki, spodziewany urazę od dawna atak. Nasi dali się pewnie zaskoczyć i żadnego z nich już pewnie nie zobaczymy, a jeśli tak, to tylko tych, którym uda się uciec z pola bitwy.

Cowoboc tego zrobić? kto stanie teraz w obronie Łaszyk, gdy ukaszą się żądne krwi watahy? Co będzie z ludźmi i dobytkiem? Wszak w Łaszyk domu mieszka po kilka rodzin. Nie było nikogo, kto by potrafił uspokoić rozkrzeszane nerwy i udzielił rady jak się dalej zachować?

Ale ku mojemu zdziwieniu wśród mieszkańców okolicznych domów nie widać było spodziewanego popłochu. Mężczyźni i kobiety, głośniejsze nawet starsze dzieci, powychodziły na dwór i słuchali w napięciu odgłosów walki. Coś po cichu szeptały, ale nie wskazywali po sobie, że się obawiają czegoś groźnego. Na twarzach malowała się powaga, skupienie, zapewne niepokój, ale nie trwoga. Nie wiem, czy orientowali się w sytuacji, czy wcześniej dopuszczeni zostali do tajemnicy, dość, że zachowywali się bez objawów skłonności do paniki i natychmiastowej ewakuacji. Czasem pojawiali się sąsiedzi Zamościńskich z twarzami zmieszonymi przestrasz, lecz po krótkiej, cichej wymianie zdań ze stojącymi już wcześniej na podwórzu, uspokojali się i odchodzili w lepszym nastroju. Widząc, że nikt nie budzi młodszych dzieci, nie zaprzęga koni do wozów i nie przygotowuje się do ucieczki, nabreła i ja otuchy i nadziei, że może nie czego dziś jeszcze się nie stanie. Rozglądałem się tylko uważnie dookoła, aby nie przeoczyć niczego podejrzane.

Po około dwadzieścia minutach nieustannej strzelaniny, wszystko ucichło. Ze strony krzyków, huków, nawoływań. Tu nagle cisza wydała mi się nie mniej podejrzana, chociaż z drugiej strony uspokajałem się, że może tylko chwilowy rozbił strzał, to przydarzyłby w tej chwili do nie wiadomo jakiego tłumfu, do i nie obawiamy się już nie dalszych strzelanin. Odległość od miejsca bitwy, wydawała się bardzo niewielką. Już właściwie powinni tu być. Ponieważ jednak strzały umilkły i ledwo gdzie nie zakłóca ciszy, może to znaczyć, że nasi pogonili ich gdzieś pod



Liści i las Abramowice a dźwięki głosu oddaliły się. Ale w takim razie też nie obeszłyby się bez strzałów. Niepokojne domysły i przypuszczenia kotłowały się w głowie, nie podsuwając żadnego, logicznego wytłumaczenia sytuacji.

Minęła jedna godzina... Druga...

Wtedy od strony Rowińskich zobaczyłem biegnącego jakiegoś mężczyznę, a wkrótce wykonała się zza domu Oziaków grupka naszerujących z karabinami... naszych! Rozpoznaliśmy "Wiądra"-Wacława Rakowskiego, "Błyskawicę", "Koswora" i pozostałych "jastrzębiaków". Szli dziarsko, głośno rozmawiając. Szepca zabili nam żywiej. Tak nie wracają pokonani, rozbitci...

Gdy znaleźli się na podwórzu Bronisława Zamocinińskiego, obokoczyliśmy ich dookoła. Nie ulegało wątpliwości, że przyniosą bardzo pozytywne wiadomości. Rozpętały się bezkardnie pytania:

- Co się z wami działo? Skąd wróciacie? Co to za strzelanina była niedawno? Gdzie? Jak się skończyła?

- Przegoniliśmy burków z Gruszówki i koniec! - krzyknął wzdychając któryś i to takim głosem, jakoby to była czynność nie trudniejsza wcale niż na przykład odpędzenie przy pomocy tegoż kija natrętnego, uprzykszonego psa, który szczekaniem zakłóca nasz spokój. Nie dawaliśmy jednak za wygraną i natęczyliśmy się szczegółów. Odpowiadali więc chwilię nasi bohaterowie, poprosili i zaspokoiwszy pragnienia, zaczęli opowiadać:

Dowiedzieliśmy się dopiero teraz, że oddział po opuszczeniu wczoraj wieczorem Zasmak przeszedł Gruszówkę i zagłębił się w litwiński las, idąc ostrożnie, klucząc, zatrzymując się, nasłuchując. Ci, co znali teren, szybko zorientowali się, że drużyny posuwają się ciągle za zachodem w kierunku Piórkowicz. Wyglądało to trochę na dawne harcerczywie podchody, podkraśanie się pod sąsiedni skautowski obóz, tylko karabiny gotowe do strzału zradzały, że marsz ów nie zakończy się jedynie serwowaniem flagi z obozowego masztu, że to nie zabawa. Dalszaj może pociąć się krew. Napięcie było więc ogromne i rosło w miarę upływu czasu. Chłopcy szli przeciw do swej pierwszej w życiu bitwy. Pierwszy to raz mieli skierować lufy karabinów przeciwko ludziom, w dodatku kto wie, czy nie przeciwko swoim wczorajszym sąsiadom, może kolegom ze szkolnej ławy? Tylko nieliczni mieli już poza sobą tanieństwo wrażliwą i o śmierć odcierali się już nieraz. Ale i ci byli przejęci, jakoby od nowa przeżywać mieli dawne frontowe boje. Oddział zatrzymał się parobrotnie na odpoczynek, zmęczeni chłopcy wkładali do ust znajdowane w kieszonkach okruchy chleba i żuli je niby dżestego, że czuli głód, lecz dla uspokojenia nerwów, dla stworzenia pozorów normalnej, niegroźnej sytuacji.

Gdy zaczęło świtać, byli na wysokości Jasioła w Gruszówce po

Jego południowej stronie i zbliżali się do traktu od Kupiecowa przez Gruszkówkę do Zasmyk i Kowia. Tu jeszcze raz zapadli w gęste zarośla i krzewy, a po pewnym czasie ostrożnie podszali na skraj lasu tak przy owym trakcie. Poprzez gałęzie młodego zagałajnika widać było gajówkę, wokół której panował spokój, cisza, jakby nie nadzwyczajnego się tu nie działo. Siedzieli cicho, czekając umówionego sygnału. Mający lepsze pole obserwacji widzieli wyraźnie stojącego obok domu człowieka uzbrojonego w karabin, niewątpliwie wartownika, który jednak nie patrzył w stronę lasu, lecz na zachód, gdzie w niedalekiej odległości wylaniały się spoza lekkiej porannej mgiełki zabudowania kolonii Piórkowicze, zamieszkałej przez ludność polską, a dziś opuszczonej z obawy przed napastnikami. Wieś, chociaż pusta, budziła widocznie wśród banderowców ciągle jeszcze pewien rodzaj niepokoju.

Wtem z polskiej linii w kierunku gajówki padł pierwszy strzał, sygnał do natarcia. I jeszcze nie przebrzmiało jego echo, gdy z lasu wysypała się tyraliera z głośnym "hurrpaaa!!!" i pędem ruszyła na gajówkę. Posypały się strzały. Z domu zaczęły wypadać postacie ukraińskich reżunów, przerażone, zdezorientowane, nie wiedząc co robić i gdzie szukać ratunku. Nagłe pojawienie się Polaków i to nie od strony Zasmyk, lecz stamtąd, skąd nie spodziewali się nikogo prócz swoich, zaskoczyło ich całkowicie, a co najgorzej - odcięło drogę ucieczki w las. Pozostawał kierunek wschodni - gęste krzaki i za nimi jezioro. Raucili się głównie w tamtą stronę. Próbowali strzelać, bronić się, lecz kule dosięgały ich, nim zdążyli się jako tako pokapać w sytuacji. Jednak po chwili, gdy gajówka została już opalowana, odważniejsi zdokładali się nieco pozbierać i korzystając z przydomkowych rowów, drzew rosnących w pobliżu gajówki, swłaszcza od jej północnej strony, wreszcie w przygotowanych uprzednio rowów straszleckich, zaczęli rozpaczliwą obronę. Dwaj jednak dowódcy - "Sokół" i "Jastrząb" - nie wypuszczali inicjatywy z rąk. Błyskawicznie ocenili sytuację i wydawszy odpowiednie rozkazy taktyczne poszczególnym drużynom z całym impetem uderzyli na groźnych cięglę jeszcze bułhowców. Jeszcze kilkanaście minut ostrej wymiany strzałów w różnych miejscach terenu wokół miejsca koncentracji upowskiego oddziału i przeciwnicy naszego młodocianego wojaka zaczęli ustępować pola, ratując się ucieczką, gdzie tylko było to możliwe, zostawiając około 20 zabitych, nie licząc rannych, na podwórzu i pobliskim terenie. Niestety, nie obyło się bez strat i po naszej stronie. Padł ugodzony śmiertelną kulą serią kul "Zajac" - Stanisław Kocubowicz, poważnie ranny "Błysk" - Edmund Gawłowski, z porażoną lewą dłońią opuszczając pole bitwy "Ziuk" - Józef Turowski. Obu rannych odwieziono najpierw do Zasmyk, gdzie udzielono obu pierwszej



paczy, a następnie odesportowane ich do Nowka, celem leczenia szpitalnego, nie bez obaw, wszak, aby rzeka nie doniosła się do Niemców. Potem, gdy rany podleczyły się, oraz pierwsi ranni wrócili do zdrowia znów na punkcie sanitaryjnym w Łaszykach, w domu Franciszka Brzóska, w tej samej chwili sali, gdzie zdobyli naukę w szkole powszechnej przed wybudowaniem prawdziwej szkoły.

Pierwszy bój pod Gruszkówką, przyniósł poza rozepędzeniem banderowców poważną zdobycz w postaci kilkunastu karabinów, o ile pamiętam jednego RMK-u, znacznej ilości amunicji, a przede wszystkim umocnił morale naszego oddziału, odważniając, że bulbowcy nie są tacy straszni, gdy staną oko w oko z uzbrojonymi przeciwnikami. Potrafili przewziąć się tylko nad bezbronnymi. Także ludność cywilna pozyskała się bezpiecznie do jaza, a autorytet dowódców - "Jastrzębia" i "Sokoła" oraz całego oddziału wzrósł ogromnie.

Po bitwie stało się powszechnie wiadome, że Ukraińcy przygotowali już wszystko do napadu na Łaszyki i okoliczne polskie wsie, a główny atak miał nastąpić właśnie od strony Gruszkówki i litwińskiego lasu. Należało spodziewać się go lada dzień, co mogłoby służyć się dla nas tragicznie, przy nielicznej gwardii obronców. Jedynym wyjściem było uprzedzić wroga. Tak się też stało. Nasze dowództwo dobrze orientowało się w sytuacji i udało się nam należycie wybrnąć. Teraz, po Gruszkówce, niedawna "triumfatorzy" z Kisielina, Gaju i innych polskich wsi na pewno mocno podkopali swoją wiarę w potęgę UPA, a jednocześnie utrwalił przekonanie, iż Łaszyki dysponują naprawdę wielkim wojskiem, skoro tak swobodnie poruszają się nawet na tyłach wszechwładnych dotąd buntowniczych "samotijnej".

Tego dnia i przez kilka następujących dni bitwa pod Gruszkówką stała się głównym tematem wszystkich rozmów w naszej wsi. Zochwycam pod adresem oddziału i wyrazem uznania dla szkodnych żołnierzy nie było końca.

WIECZPÓŚCITA ZASZYCKA

10 sierpnia 1943 roku, czwartą rocznicę wybuchu wojny można zapisać się w pamięci zaszyckim, zarówno stałych mieszkańców wsi, jak i uciekinierów z daleka, a także żołnierzy z oddziału "Jastrzębia" i resztkami echem rozszedł się po okolicy. Tego dnia odbył się porzuch "Zejaca", pierwszego poległego z bronią w rękach obrońcy zagrożonej ludności. Ale nie sam porzuch był przyczyną niezwykłego przeżycia, lecz wydarzenie mu towarzyszące. A wydarzenie było to wielkie, przeżywane i komentowane później przez wiele dni. Często, mimo upływu tylu lat, wraca do niego pamięcią z takim samym uczuciem. Wracają do niego również żyjący jeszcze uczestnicy tej niecodziennej uroczystości.

Oto w skrócie jej przebieg, tak jak ją zapamiętał.

Porzuch zgromadził liczny tłum mieszkańców wsi. Przybyła nie tylko rodzina, krewni, najbliżsi znajomi. Przyszli także wszyscy mieszkańcy oddziału "Jastrzębia". Zanim jednak rozpoczęło się w kościele nabożeństwo żałobne za duszę poległego i zwykły w podobnych okolicznościach ceremoniał religijny, na placu kościelnym dokonał się inny, nie notowany nigdzie indziej ceremoniał.

Po jednej stronie placu przed głównym wejściem ustawili się w wyrownany szereg oddział - koledzy i przełożeni poległego. Po drugiej - szeregi wierzących, barwna, głowa przy głowie gromada ludności cywilnej. W środku stała tramwa z zwłokami "Zejaca". Kiedy ukazał się w drzwiach kościoła ksiądz Michał Sukawski przybrał w żałobne liturgiczne szaty, na placu zaległa uroczysta cisza. Wszyscy wpatrzeni byli w swego kapłana, jakby w oczekiwaniu czegoś niecodziennego. Ksiądz wolno, uroczysto wszedł na przygotowane uprzednio podwyższenie i odświeżając chwilę głosem donośnym wypowiedział słowa:

- W obliczu Boga wszechmogącego, przed trumną tego z was, polscy żołnierze, który pierwszy oddał życie za wolność nas wszystkich, dążąc - tu podniósł głos o ton wyżej - wolną, niepodległą Rzeczpospolitą Zaszycką, ale niedługo już czas, gdy rozszerzy swoje granice do rozmiarów które jej się z tytułu prawa i historii należą! Nie ma dziś w naszej Rzeczpospolitej Zaszyckiej ani jednego wroga! Do Boga, że nie będzie go na całych naszych polskich ziemiach!

Od strony pierwszego zdenia, z drewnianej wieży, stądnieł obok kościoła, podniósł się dźwięk dzwonu. Dźwięk wszystkich dzwonoł w tym kierunku. W tym momencie zaszycka parafia nie była od tradycji niepodległa 17 września 1939 roku. Dzwon zajęty z wieży dzwonoł ksiądz



Kościółiarze Mackiewicz i sady Perzełnej niek leżał ukryty od do za dnia uzyskania wolności przez nasz kraj. Czekala prawie tego uprzednio-  
 nego dnia, dnia o usłyszenia dzwiku swej sygnaturki, wywołającej już nie  
 tylko na niedzielne nabożeństwo, ale tego dzwiku o poranne, zwiastują-  
 cego Polaków (dzień wielki). I oto chwile teke nadeszła. Wyłpiny zwiastkami  
 dźwięcznego aktu historycznego. W oczach pojawiło się radość nias stojąc  
 jej tuż obok trumny, po niejednej twarzy potoczyły się łzy i mocno  
 wstąpiły się gardła. I tak to czasu min, to, gdy po raz ostatni, niewiel-  
 kiej podczas nabożeństwa "Zachowaj Panie, Rzeczpospolitą naszą, która  
 w Tobie, Boże mój, nadzieję pokłada"... Co niedzielę brzmiała ta modlitwa  
 spiewana przez księży i wiernych w tutejszym kościele, a potem uulka  
 i ksiądz Mackiewicz oznajmił smutnym głosem, że żałak nie wróci wolna  
 Polska, przerywamy spiewanie tej modlitwy, tylko przerywamy - podkreślił  
 z naciskiem. I odtąd w każdą niedzielę, w każde święto, gdy zbliżała się  
 chwila, w której ksiądz zwykle intonował "Zachowaj Panie"... w smutną  
 powagę ubierały się wszystkie twarze, a myśli leciały w czasy, kiedy  
 skończy się ta zbyt długo już trwająca przerwa. I dziś ów dzień nadeszedł.  
 Wydawało się nam, że teraz wypadki muszą potoczyć się wartkim kołem,  
 błyskawicznie i dzikożyzane "Nocenna" obiegnie całą polską ziemię od  
 od krańca do krańca. Zniknie Lpk, że obłudny szpieg podkuchuje, że  
 donosić pobieżnie rdziog tam z wiością, że którą zeinkesuje wynaczone  
 ilosć arcybiskupów, że nie trzeba będzie nadszuchiwieć każdego wartku  
 zżyzakata samochodu, oznajmującego nieszlenie, że koroś znaw wódd na -  
 Polaków - upędzie. Wydawało się nam, że wolna Polska staje się rzeczywist  
 ością... Któż mógł wtedy przypuszczać...?

Ksiądz Łukowski zeszedł już z podium, wojsko i cywile wraz z trumną  
 wchodzili do kościoła, tylko Frenia Komorowska, pełniaca obowiazki  
 kościelnej, podążala rytmicznie linką od dzwonu, a serce jeno biao  
 rłodo, rytmicznie, zwiastując Zeszykiem wielki dzień...

Odprawiono się zeisone nabożeństwo, Kościół wypełnił się tłumem  
 ludzi. Długo, długo, lecz myśli żołnierzy "Jastrzębie" przywerły do  
 niedawnych sów zeszyckiego proboszcza. Dama napełniła ich pierś. W  
 tym co się dokonuje jest także ich zażoga. Do wolnej Polski wędziamy  
 drzewiami od frontu, z bronią w rąku, jak zwycięzcy, którzy krwie własną  
 kuobili sobie prawo obywatelstwa odrodzonej ojczyzny. Naturalnie wiele  
 tej krwi trzeba będzie jeszcze przelać, nim kraj będzie wolny, wielu z  
 nas, tak jak dziś nasz kolega Stasio "Zając" leonie i nie wimy niepodle-  
 riej, ale kuzaku pewnie w ostatniej ziemskiej podróży odwiedził wódd z  
 kościółka, nie zapomniał nad mogiłą matki, ojca, rodzzeństwa, ale pamięć o  
 niej wśród kulepów będzie trwała, i jakie kronikarz jego nazwisko był

zapotrzebowanie, aby świadczyć, że oddał ojczyźnie co miał najdroższego. Chociaż mu żaden rozkaz mobilizacyjny nie przeszedł. Chociaż może niejedną noc wolałaby, aby siedział w domu i nie został jej w anektu i niepokoju.

Rzeczwiśtość miała potwierdzić owe przypuszczenia i przewidywania. Wiele zmienić, w wielu miejscach okazać się bardziej tragiczną niż wydawało się nam w najczarniejszych horoskopach.

Skończyło się nabożeństwo. Plac kościelny znova zeroił się cięty ludźmi. Uformował się kondukt pogrzebowy. Kolejny niesił na ramionach trumnę z ciałem poległego, chwiały się, chorągwie żałobne, a z widły popłynął donośny dźwięk dżwonu, żegnając tym razem drogą wszystkich i zwłoki bohaterkiego żołnierza. Trum wypłynął drogi i kroczył w milczeniu, ksiądz tylko i część idących śpiewała niezbyt równo refren pieśni pogrzebowej: "Dobry Jezu o nasz Panie ..."

Wkrótce cmentarz przepełnił się uczestnikami świątecznego obrzędu. I gdy ustawiono trumnę nad wykopaną mogiłę, w której miała spocząć na wieki. Ksiądz Michał Żukowski raz jeszcze zabrał głos i w gorących słowach pożegnał naszego towarzysza broni. Popłynęły znów słowa pełne głębokiej wiary w sprawiedliwość Bożą i w słusność sprawy, o którą przelała polski żołnierz krew, że krew ta wszędzie płonie obfito i kwitnie szczęściem przyszłych pokoleń, że naród polski, powierzając swój los w ręce Najświętszej Matki nigdy jeszcze nie doznał zawodu. Ostrzegali jednocześnie przed złem, jakieby na każdego z nas, przed okrucieństwem, pijactwem, przed szatanem, który będzie krążył, by się wśród ludzi sko.

Gdy kazanie nad grobem nieco się już ku końcowi, nagle wśród stojących najbliżej płota i drogi wszczął się najcięższy jakiś niespokojny ruch, a potem popłoch i gwałtowna ucieczka. Trum zszedł się, zszedł z szacem. Rozbiegnięta oczy szukały gorączkowo przyczyn niepokoju, a tymczasem kilkunastu ludzi już dopadło broni wyjąciowej lub chwyciło się sztachet, aby przeszedź je górą i szukać w uciekającej rzeszy. Wstrząsnęli pełen niepokoju, lecz nic nie mogliem dostrzec, co by usprawiedliwiło nagłą panikę. Większość zpromodzonych stała także, ale oczy wszystkich skierowały się w stronę drogi prowadzącej do Biełosławki, ukraińskiej wsi. Trwało to wszystko nie więcej niż pięć, może sześć sekund, gdy nagle rozległ się potężny szon ksiądz, który umilkł na moment, a zaraz zwrócił głosem, o który trudno było go podejrzewać:

- Stój, żołnierzu! Dlaczego i przede kim uciekasz? Kogo się boisz?  
- Stój, żołnierzu! Stój i nie uciekaj!

Wszyscy, którzy wdrapywali się już na płot, albo byli na brzozy jakby przywołani tymi słowami zatrzymali się w miejscu. Tani, którzy też





innego stojącego obok budynku gospodarczego i wrócił po chwili z karabinem w rękę.

- Chciałeś karabin, masz karabin - rozemknął się głośnie Eymund Kępczorek. Zewidrował na jeszcze głośnie; Hipolit Witkowski.

Patrzyłem ze zdziwieniem na rozbawionych kolegów i na podaną mi broń. Zrozumiałem natychmiast powód rozbawienia, gdy przyjrzałem się "ciwerowi" z bliska. Karabin wyglądał żółźnie. Nieznanej marki, dziwnej konstrukcji, krótki, stary, inny zupełnie od popularnych w oddziale "maszyny" lub karabinów rosyjskich, których było chyba najwięcej. Uciekający w czterdziestym pierwszym roku przed Niemcami, Rosjanie porzucali je w zbożach, w przydrożnych rowach, w kurzakach i poszukiwali cywilnych ubrań. Polacy pochowali je skrzętnie i teraz, wydobywszy z ukrycia, mają czym się bronić. Sporo było karabinów polskich, otrzymanych od nieszczęśliwych cofających się żołnierzy we wrześniu 1939 r., ale takich, jak przyniesiony przed chwilą przez Bogusława jeszcze nie widziałem. Rdzo powęzerało się w metal, tworząc wyraźne wgłębienia, drzewo kolby też całkiem było od płaskości. Ktoś widocznie próbował już go czyścić, bo w jednym miejscu było widzieć ślady papieru ściernego, lecz szybko zrezygnował widząc że na wiele zabieg ten by się nie przydał, a broń i tak do użytku nie będzie się nadawała. W dodatku nie było do niego amunicji, pięć sztuk naboi-oto cały zapas, jaki posiadał dotychczasowy właściciel.

- Podobno w pierwszej wojnie światowej rumuński czy węgierski - objętnik Bogusław. - Nie wiem nawet, kto go tu przyciągnął. Walec się jak od stulezkiego czasu, ale jakoś nikt do niego się nie rwał. Bierz i wal do "Jastrzębia", może cię przyjmie.

- Albo wyrzuci, że się nie pobierasz! - szepnął się któryś z bliznowatych. - Gdyby był dobry, już by go tu nie było.

Posypały się żarty i dowcipy, ale moją uwagę tak dalece rozprętał stary pret, że nie zwracałem na nie wcale uwagi. "I tuż przyjmie? Chodźcie mi po głowie." "Potem jakos to będzie! Okazji do zdobycia nowego na pewno nie zabraknie".

Chwyciłem karabin do ręki i uważnie przyglądałem się każdemu zakorkowcowi. Zamek był czynny, choć poruszał się ciężko, sprężyna podająca naboje też jeszcze się ruszała, nawet gwint w lufie był trochę widoczny, bo ktoś prawdopodobnie próbował sabierać się i do lufy.

- Ile mam ci zapłacić? Zapytałem Bogusława. Dermo takich przedmiotów nikt nikomu przecież nie prezentował. Pisano że każdy naboje i to wcale nie mało.

- Bierz i wal do "Jastrzębia"! - co takiego prosto powiedział? W głosie wyczułem trochę szczerości, ale i niesłychany. Oczy kolędowały mi to samo. Chcieli mnie widocznie "napuścić" - a potem mieć tam do





z książek o tematyce wojennej, z powieści o wojnie, ale powie-  
dział coś takiego samemu - to zupełnie inna sprawa, zresztą więc w myśli  
powtarzał zaproponowane przez Kazika zdanie, uczył się na pamięć, aby jak  
najlepiej wypaść przed dowódcą. Podjętej decyzji już nie zmieniał.  
Pójdę, niech się dzieje wola nieba!

Gdy porucznik "Jastrząb" ukazał się na ścieżce i szedł wolnym krokiem  
w kierunku podwórza, porąco ni się zrobiło. Wstałem, obciągnąłem mundur,  
podświetłem furażerkę, chwyciłem karabin za lufę i ruszyłem na wrzecz, aby  
nie maldować się przy kolegach i w razie poplątania się języka, nie  
nerażać się na żarty i docinki. Kilkadziesiąt kroków zamieniło się w  
odległość co najmniej kilometrową.

Por. "Jastrząb" był widocznie tego dnia w dobrym humorze.

Gdy stanąłem przed nim na baczność, w pierwszej chwili zapomniałem  
zapamiętania języka w gąbce. Pożykowałem głinę i coś usikowałem mówić, a dowódca  
czekał cierpliwie uśmiechając się żagardkowo. Przypomniałem sobie wreszcie  
powtarzany dopiero co tekst i wyrzuciłem go z siebie jednym tchem, sam się  
wiedząc dobrze, czy brzmi prawidłowo. Widocznie nie wszystko było dostate-  
cznie jasne, bo dowódca chrząknął i nie przestając się uśmiechać zapytał:

- Czy to znaczy, że obywatel chce zostać żołnierzem?

- Tak jest - powiedziałem znacznie ciszej niż poprzedni żołdak. I  
dodałem zaraz, że od paru tygodni jestem przy kuchni, bo nie miałem broń  
ale teraz już mam i dlatego proszę o przyjęcie.

"Jastrząb" uśmiechnął się jeszcze bardziej żagardkowo, nie miał mowy  
wziął trzymany przeze mnie karabin do ręki, obejrzał i poruszając delikatnie  
głową, rękami i karkiem i nie patrząc na mnie tylko w lufę "ob/teka"  
zapytał znova:

- A strasze tote chociaż?

- Jaszcze nie próbowałem? - starałem się nadać swojej odpowiedzi ten  
kwalifikację najbardziej wojskowy, lecz czułem, że runię się po uszy,  
zobaczysz, że uśmiech porucznika wydawał mi się coraz bardziej podajrządy

- No to musi obywatel wypróbować. Tylko nie wiem czy lepsze takie  
broń, czy kawał dobrego kija? Ale to nic, przekonany się. I teraz niech się  
obywatel zamelduje do trzeciej drużyny w pierwszym plutonie. Zjadłszy  
sobie wodę, dha, dha... chrząknął znacząco, nie wiem z zadowolaniem czy  
ironicznie.

Wspomniałem obcasami jak uśmiechał się, bo to naprawdę było  
ślicznie. Przy kuchni z całym szeregiem i zwróciłem na doświadczenie  
niezależnie. Te lekkie przeprosiny nie spodziewałem się wyprosić. Wzrost  
grzywny było nie aż tak niż pięć, może sześć kroków. Wreszcie  
dopadłem Kazika "Rakina".

- Widzisz? - krzyknąłem z triumfem. - Jestem przyjęty!



Winnajden - córka krótko Kwik. Jototnie, wszystko dzieło się bardzo blisko, aż nawet słysze rozmowę.

Wszystko jest zaczęciem dopytwać - nie jest to trzęcie drużyna, kto się dowodzi, do kogo więc nam się zwrócić itd. Teraz wszystko jest już jak po mecie.

Drużynowego "Ottello" nie było w tej chwili na miejscu. Poczekano kilka minut, a gdy wrócił zemdlował się, nie zwracając większej uwagi na formę. Wydawało mi się, że tylko z dowódcą rozmawia się na serio, to zn. na baczność i tonem żołnierskim. Po kilku dniach niebrałem respektu dla wszystkich przełożonych i przed każdym przepłyłem się, jak należało. Kapral "Ottello" pokazał mi przyszłych kolegów i kazał się między nimi rozśmiać. Byli wśród nich chłopcy z Łuczyc zwanymi "tajfun", "Białki", "Kerwica", później doszły jeszcze paru, jak "Okularnik", "Wiloszek", "Lew" i inni.

Aklimatyzacja w nowym życiu i otoczeniu nie trwała długo. Był to, jak w przewidywanym wojsku, choć jednocześnie tętnący serdecznością, sejącem, ćwiczącym, w których z miejsca zaczęłam brać udział, pozwalały szybko się znowymi kolegami w drużynie i w plutonie. Jakichś wyjątkowo serdecznych przyjaciół nie nawiązywałam, ale koleżeńskość, życzliwość i wesołe porozumienie cechowało wszystkich żołnierzy. Wspólna praca i cele, to sama radość, to sama niebezpieczeństwa znaczący więcej niż najlepsza sytuacja w warunkach normalnego życia. Rozkład dnia okazał się dość skomplikowany, lecz wypełniony pracą po brzezi. Zmienił się zresztą w zależności od sytuacji i potrzeb. Rano poburka, mycie się, zbiórka, report, modlitwa na którą składały się dwie zwrotki "Kiedy ranne wstają zorze" śpiewane chórem w wyrażeniu szacunku, potem śniadanie, wymarsz na ćwiczenia lub marsze i biegi na pogromiecach Łuczyc i ukraińskich przylegających do Łuczyc wsi. Nauka przechodzenia w szuku swetero w tyralierę, poznawanie części karabinu, czyszczenie się, celowanie itp. Potem przerwa obiadowa, posiłek, a po południu nadal ćwiczenia, wreszcie kolacja, spól wieczorny, modlitwa - tym razem "wszystkie nasze dzienne sprawy" i capstrzyk. Prócz tego służba wyrotownicza, patrole, które czasami zapuszczano się czasem nieomal w środek ukraińskich wsi. I pachniały zawsze wielką przygodą, o czym nie miałem się przekonać już w dwa czy trzy dni po zostaniu żołnierzem.

Cała nasza kompania w kierunku Suszyby pod dowództwem Kaprale "Białki" wiodła. Było wczesne popołudnie. Gdy znikły nam z oczu Łuczycy, poczułam się w zupełnie obcym terenie trochę nieswoją. Tych stron prawie nie znałam, nie wiedziałam, że "Białki" prowadził krętymi ścieżkami, z dala od miejsc zamieszkałych. W pewnym momencie wśród rzędy krzewów dowódcę zauważyłam i krótko przedstawił okolicy nas, zwracając uwagę na naszą uwagę Suszybę i sprawdził, czy są tam naprawdę skoncentrowane większe ilości kulobowców. Takie bowiem wiadomości docierały do Łuczyc. Z miejsca skąd wiadomo będzie wieść, szacujani i dobrze ukryci nemy obserwować palnie co się tam

u

do tego, najlepiej byłoby chwycić "języka", bo wtedy miałobyśmy informację z pierwszej ręki. Należy zachować szczególną ostrożność, gdyż teren jest niebezpieczny i łatwo można wpadć w zasadzkę. Szybko więc coraz wolniej w pewnym od siebie oddaleniu, baczenie i rozglądając się dookoła. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się, przysiadaliśmy wśród krzewów i wysłuchiwaliśmy trawy, patrosz i nasłuchując, czy nie ma w pobliżu niczego podejrzanego. Rozmawiało się też coraz ciszej, w miarę jak zbliżaliśmy się do celu.

Świadkiem mocno podniecony, bo było to przecież moje pierwsze powadzenie się w wyprawie i wydawało się, że zaraz natrafimy na całą kompanię przeciwników. Gotowałem się więc w duchu do zaciętej walki, obmyślałem sposoby jej prowadzenia, lecz nie czułem się najlepiej, głównie ze względu na mój wątpliwej jakości karabin i pipę sztuk amunicji.

Nagle dowódca już po raz któryś dał znak do zatrzymania się. Byliśmy na ścieżce biegnącej wzdłuż dość gęstego lasu rozciągającego się po naszej prawej stronie, na lewo zaś zaczynał się teren pusty, pole, wznoszące się w kształcie sporego pagórka. Za tym pagórkiem jak wynikało z opowiadań nam udzielonych, zaczynała się już Suszybaba, cel naszego wypadu. Dowódca kazał mi zatrzymać się tuż przy ścieżce, ukryć się za drzewem i pilnie obserwować teren zarówno przed nami jak i w tyłu, skąd dopiero co przyszedliśmy. W razie zauważenia ludzi z bronią w ręku natychmiast wystrzelić do najbliższego. Bądź to znakiem dla reszty patrolu, że ma iść z pomocą. Jeżeli nie podejrzanego dźwięk się nie będzie, mam czekać spokojnie na powrót reszty kolegów, którzy rozdzielili się na dwie części poszli naprzód lewym i prawym zboczem pagórka w kierunku wsi. Zostałem sam z duszą na ramieniu. Nie znakiem terenu i myślałem intensywnie nad tym, jak mam się zachować po ewentualnym odwołaniu tego strasza. Praktycznie ty pod pnem grubej brzozy patrzyłem niespokojnie na wszystkie strony.

Dobre pół godziny upłynęło w zupełnej ciszy. Już zaczynałem nabierać złych myśli, że nie groźnego się nie przydarzy, gdy nagle zza pagórka pojawił się czołowiek "stój", a za chwilę wystrzał. Kule gwizdały nad drzewami w obu kierunkach, czyli strzelają do naszych. Cisarki przelocowały mi do skrawa. Widocznie patrol wpadł w zasadzkę i pewnie już o nim. Jednak jednak pomyślałem co robić dalej, na prawym zboczem pagórka ukazał się bierny prosty na mnie mężczyzna. I tak na sobie brązową koszulę, szare spodnie i buty z wyszklini cholewami. W lewej ręce trzymał karabin. Nie myśląc się ani chwili zareperowałem swojego "Ruscha" i był bym w odległości nie większej niż czterdzięci kroków, wypaliłem. Karabin mi się strzał w kierunku czołowieka. Człowiek po na całym ciele, sprzął kilka sekund i to napięcie sprawiło widocznie, że mimo tak bliskiej odległości chybił. Miałem jakby się przez moment zawahać, ale wtedy to usłyszałem



sekundy i biegł dołem prosto na mnie. Był tak blisko, że nie próbowałem nawet po raz drugi załadować zacinającego się trochę karabina, tylko jakby się odruchowo, nie kontrolowany przez myśl w tym celu skierowałem do przodu, bez naboju lufę w stronę znajdującego się przede mną "strzelca" i krzyknąłem jak dziełem najwyższej :

- Stój! Ręce do góry! Bądź broń co strzelana!

Rozparzony zakowany patrzyłem z niedowierzaniem, jak upowiem strażnika się jak wryty, potem kolejno jak automat, z przerobieniem w oczach wykonywał wszystkie polecenia. Z otwartych ust wydobywał się on świszczący ryk wyczerpanego oddechu. Trzykroć wymierzony w niego karabin i szybko, jak morderca najgłośniejszy myślałem, co robić dalej? Kolegów nie widzę, a na tym pierwszym strzelcem mogli pojawić się w każdej chwili następni. I nagle jak na zewołanie stanęły mi przed oczyma wczorajsze ćwiczenia, w czasie których porucznik "Bakki" rozpoznawał nas między innymi z zachowaniem się w tego rodzaju sytuacjach. Uznałem więc w momencie, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko wczorajsze instrukcje wprowadzić w życie.

- Podaj! - krzyknąłem zdawał z całych sił. - Oprzyj się na rękach! I załóż wyprzedzając nogi! Na czworakach! Wyżej!

Znowa dostrzegłem język polski, bo bezbłądnie wykonywał wszystkie polecenia. Trzymając karabin, ciężko bez pocisku, w prawej ręce, lewą ostróżką zasłaniając przed siebie, przejechałem po koczuli i nogawicach. Poza karabinem nie miał przy sobie nic więcej. Stanąłem teraz z bokiem nieco do przodu z bronią "gotową do strzału" i z orzaniem ciekawym dalszych wypadków. Czynności dokonywane przy rewizji trochę uspokoiły pierwsze wrażenia, ale pat wciąż jeszcze występował mi na skórkę, choć stałem w cieniu drzew, do których po minucie, może dwóch zobaczyłem biegnących od strony koczuliby pozostałych kolegów. Kamień spadł mi z serca, bo mimo wyśiżków zadawanych, wcale nie wiedziałem co mam robić dalej. Po chwili kpr. "Bakowski" był przy mnie.

- Daj broń! - krzyknąłem wiedząc, że zamierzają go rewidować.

- Karabin leży tam - wskazałem głową. I poczułem, że zrobiłem niewybaczalny błąd. Zamiast chwycić doskonały karabin leżący obok mnie i traktować jako pierwsze i jakiegoś ważne trofeum wojenne, pozwoliłem podjąć go jednemu z kolegów, który potem ani nie myślał mi go oddać. Nawet "Bakowski" był zdania, że broń należy do tego, kto pierwszy wziął ją do ręki. Dając głębiej sobie w broń, że ten brak refleksu. Wiekoma już z głową skierowaną do przodu "Bakowski", a tak pozostałem nadal przy nim i już tylko z ostrożną naboja. Wprowadzić później koleżki rzucił mi, a tym samym do raportu i prosił por. "Bakowskiego", by karabin mi zwrócił, bo mnie się należało, nie miałem jednak odwagi, aby zwrócić się do drugiego wczoraj podobne zachowanie swoich krow. Zresztą do tej pory nie udało mi się walczyć o swoje, powtarzając, że i tak przeżyję.

Czasem kapral "Blyskowica" rozkazał jemu wstać i z podnieśnionymi w górę rękami maszerować naprzód, mimo wszystko, że ni się do wrzasku, gdy usłyszał kilka kroków upowiadając odwrócił głowę i błagalnym głosem zaczął prosić:

- Pane, Pustite mene, ne strelejte, ja wže ne budu! - Broda drżała mu jak dziecku, gdy na próżno próbuje powstrzymać się od płaczu.

- Nikt tu do ciebie nie strzela - odpowiedział mu "Blyskowica", Maszeruj! Tylko nie próbuj uciekać!

- Me pane, ne budu... - Był pokorny i uległy, że gotów był położyć się na kolana każdego z nich. I pomyśleć, że tacy dopuszczali się najokrutniejszych i najwymyślniejszych morderstw.

Dowództwo do późnego wieczora trzymało go w klatce, tym pokoju i słuchało z niego. Nie wiedzieliśmy co mówić, ale podobno przesłania nie wymagaliby żadnego przymusu. Jeniec składał relacje z całą szczerością. Wieczorem widziałem jak wychodził z kwatery pod opieką "Sztachety". Wiedzieliśmy wszystkie co to znaczy.

Długo w noc nie mogłem spać, zmyślałem nad wypadkami dzisiejszego dnia, nad schwytaniem upowca, zastraszaniem się nad tą dziwną i tak bardzo niepotrzebną wojną. Nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego Ukraińcy byli tak naiwni, by dać się namówić do walki o wolność, tak okrutnymi, krwawymi metodami, że życie własnego iść przez hałm kłosa krwi niewinnych ludzi. Kto ponosi większą odpowiedzialność: raka czy miecz? I przede wszystkim wrzeszcząc ciągle żyła pod Szuzybą.

Od kolegów jeszcze w drodze powrotnej dowiedziałem się, że trafili na wrota na taką jak nasz patrol ukraiński, idący w kierunku Szaryk. Może udało się unieszkodliwić wszystkich, gdyż by to, że ktoś z nas nie poruszył się, czy trzasnął zamkiem karabinu, gdy ukryci za krzakami czekali na zbliżenie się przeciwników, doświadczenie, że ci niele rozbiegli się na wszystkie strony. Ten jeden pobiegł we właściwym kierunku.

- A co by było, gdyby wpadło na mnie jednocześnie kilku strażników na samą myśl o tym i sen uciekał ze góry, ze lasy. Lekko i skrytycznie podchrapywanie kolegów, dochodzącego z różnych części stodoły, wynajdawszy różne wersje taktycznego rozegrania takiej ewentualności. A przede wszystkim dziękowałem Bogu, że mnie od nich wszystkich zachował.

W każdym razie pierwszy kontakt z nieprzyjacielem niekam jak potwór.



## P O Ż E G N A N I E   Z A S M Y K

Pewnego jesiennego dnia, gdy chmury grubą warstwą wiały nad ziemią, otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do wymarszu z całym ekwipunkiem i po wczesnym obiedzie wyruszyliśmy długą kolumną, rządami w kierunku Gruszcówki. Za wojskiem jechała kuchnia polowa i tabory. Ktoś powiedział, że teraz będziemy tam kwaterowali, lecz okazało się, że Gruszcówka była tylko krótkim przejściowym etapem, podobnie jak Stefanówka, Peresieka, czy Buczybaba. Mieliśmy odtąd co pewien czas zmieniać miejsce postoju, krążąc po rozszerzającej się stale Rzeczypospolitej Zesmyckiej.

Wychodząc z kwatery od Grudzińskich dotarłem nie w pełni uświadomiony do wniosku, że opuszczam Zeszyki na zawsze. Zrobiło mi się ogromnie smutno, jakby w przewidzianiu wielkiego osobistego nieszczęścia. Chłopcy szli, jak zwykle, wesoło, rozśmiani, dowcipkowali, przekomerczali się, mnie zaś odleciała w tym dniu ochota od wszelkich żartów i anegdod. Czekał, że coś bardzo ważnego się dzieje, że jest to chwila, która jak moment wstąpienia do oddziału, mocno zaważy na moim życiu. Nie mogłem tylko przeciągnąć myśli nadchodzącej przyszłości, odgadnąć, jak potoczą się nasze dalsze koleje i wojenne przebiegi.

Zostawiłem <sup>za mną</sup> to dalekie moje rodzinne wieś, całą moją pierwszą młodość i bezroczne dzieciństwo, wszystko, co mi było najdroższe i najbliższe. Zostawiłem rodzinę, rodzeństwo, krewni, rówieśnicy. Zostawiłem ten błogi czas, gdy do jednych knurów kłopotów i obowiązków należało wykonać polecenie rodziców, nauczyciela w szkole, gdy za mnie myślono, że mnie trzeźwiono się o wszystko. Zostawiłem swoją najbliższą sercu ojczyznę, koleżanki, kolegów wesołe, nimo wojny wieczory, te "swoiste" muzyki, jak nezyweliszmy rodzaj zabaw tanecznych, organizowanych przez nas samych, dorastających młokosów i nasze koleżanki - podłaskie, gdzie sami graliśmy wanczne melodie na skrzypcach, mandolinach, piszczałkach i z licznymi falsetami, przy nikłej lampie naftowej, w niewielkich pokojach, najczęściej w domach Maclewskich, Witkowskich - rodziców Jasi, Prasa i najzłodszego Bole. Ubogie nieporadne jaszczki, a jakże serdecznie tam kochane, walce i polki, tanga i oberki, na które teraz dotarliśmy z sympatią, zrozumiałością i troską o dobre samopoczucie wszystkich. Te wady owe były proste, lecz szczerze i kulturalne. Zostały nabożeństwa meje i wędrowniczkowe - dziejące się w Zeszykach wyjątkową popularnością. Zostawiłem szkolne ćwiczenia, wędrowniczkowe przedstawienia teatralne, wędrowniczkowe, udział w imprezach świątecznych, wreszcie szkoła i kościół - dwie światowe sprawy o wymiarze uniwersalnym - nas i naszych rodziców. Ilekć dzieł winałem po strachu wyzwoleńca wyjechać na kury budującej się, wiały tydzień, w wycieczce w góry, czasem ileś fur piaski i swiru? Każdej nieomal sympacji dzieł zostawiłem swoją niewielką część.

Wspominałem i jakby pręko żywołem historii ciężkiej, ciężkiej, zbyt ciężką jak na wiek i możliwości młodego chłopca pracą na roli. Wstawanie o wschodzie słońca, a ileż razy przed wschodem, aby wypędzić wrocy na pastwisko, albo rano, po poranku, do pluga i iść w pole do wyczerpującej pracy. Siedem lat zaledwie miałem, gdy poran pierwszy wzięłem lejce do ręki i poszedłem bronić podorywki, by przygotować rolę do orki jesiennej. Niewiele więcej, gdy skłębymi rękami musiałem trzymać ciężki płóg, cep, obracać ręczną sieczkarnię, kopać ziemniaki zwykłą motyką, plewić. A potem całymi dniami zrywać truskawki, by o północy wnieść je na targ do Kowla. Dwie, trzy godziny spania w ciągu doby musiało wystarczyć. I taki stan trwał conajmniej trzy tygodnie. A jednocześnie należało odrabiać lekcje, uczęszczać regularnie do szkoły i uczyć się nie na żarty, lecz solidnie, systematycznie, gdyż pobłażenia szkoła nie uznawała. Szczęściem do nauki ciągnęła mnie siła, która nieubłagana siła, żądza wiedzy, poznawania świata, człowieka, dziejów. Wszystko to stawało się już teraz zamkniętą księgą. Zniknęło za horyzontem rzeczywistości, jak również za zwykłym horyzontem zniknęły drogie sercu Zasady. Dajna rzecz: im więcej trudu i wysiłku włożyło się w jakąś czynność, im więcej potu wsiąkło w jakiegoś pokostawiane dziecko, tym droższe stawało się teraz i tym większy żal było je porzucić. Tak bym chciał teraz pokręcić kołami naszej poręcznej sieczkarni, młynkiem do czyszczenia zboża, pomachać cepem, który wyszło się czasem w domu za dopust Boży. Jakże się zmieniają różne wartości i ich kryteria...

W pewnej chwili przypomniała mi się piękna pieśń, którą śpiewał nasz chór szkolny pod batutą Władysława Siuduka. Zacząłem iść, nuciąc cicho zapamiętałe słowa:

Pamiętam ciche, złote, jasne dni,  
Co mi się dzisiaj cudnym zdają snem,  
Bo był otwarty raj także i mnie,  
Bo był otwarty w dzieciństwie mój.  
I czasem myślę, że ja tylko spał,  
Że całe życie moje było snem,  
Zbudzę się, raj ten odnajdę gdzieś,  
Gdzie miał w dzieciństwie mój.

Piękna pieśń do słów Kazimiera Przerwy-Tetmajera, wydawała mi się jakby specjalnie napisana na dzisiejszy dzień. I choć dzieciństwo tak niubudane dopiero minęło, że prawie nie wyrosłem jeszcze z niego, to jednak w tym dniu czułem się bardzo daleko od tamtych dni. Gdyś miałem pięć lat, raz używałem w radio, lub sam przypomniałem sobie powyższe słowa, wówczas widziałem maszerujący na południe nasz oddział i siebie nuciącego tę melodię.



Używało się oś w życiu, w sercu, w umyśle. Skonieczony i zmęczony powodził. Przemijał oto, przechodził, jak wszystko do historii.

Usiłowałem odseparować od siebie smutne myśli. Rozglądałem się po okolicy, wyszukiwałem wprost ciekawsze obiekty, znane domy Górszówki, ukazujące się przed nami, ale zaraz kojarzyły mi się z mrocznymi zdarzeniami i znów myśl wracała do przeszłości. Zaczęłam rozmawiać z idącym obok mnie Kasikiem "Jaworem" o poważnych sprawach, o wpływie okupacji na kształtowanie się zachowań ludzi, możliwości do wniesku, że wojna i podwójna okupacja pomogła tylko cieni na naszym życiu, ale go nie zdegradowała, nie zniszczyła ducha, umocniła przewidy i piękna. Mówiliśmy to swoim zwykłym językiem, nie używając wielkich słów, niemniej ocenilem później tę rozmowę jako wyjątkowo powściągną. Wspominaliśmy jak po pierwszych tragicznych dniach, które głęboko wstrząsnęły i nasze młode pokolenie, przyszła potem otucha, wstąpiła nadzieja, wręcz pewność, że jeszcze trochę poczekamy i będziemy wolni, a kraj zakwitnie znova spokojem i pięknem. Teraz, gdy mamy broń, tym bardziej bliskie wydawały się dni zwycięskiego finału. Lecz nie jednak umilkliśmy, natychmiast przesadzić się zaczęły różne praktykowane niedawno obrazy z Żasnyk. Domy będące miejscami naszych najgorętszych spotkań - Gąsiorowskich, Rowińskich, Cislingów. Można by cytować długą ich listę, bo większość rodzin żasnyckich, do nas wyrośniętych, odnosiła się z wyjątkową życzliwością. Teraz kroczą wraz ze mną Kasik "Kasik", Leona "Złotówka", Franek "Oleżynka", Janek "Broka" i gósię tam na przedzie słońca Joasia "Bronka", niezmordowana koczownicza i żołnierska w jednej osobie. Pozostali koledzy inkoleżanki nasilił niedługo szeregi samoobrony, albo dochodzą do oddziału w późniejszym czasie. Niektórzy mieli już wrócić pokonać głowy w obronie braci i sióstr, matki i ojców. Zginia niejedną w lasach mosurskich, na torach, dla wielu było ostatnie pożegnanie rodzinnej wsi.

Od tego pamiętnego dnia wywarca już nie przeżyłem więcej ani jednego nabożeństwa w naszym kościele, ani w domu rodzinnym byłem już raz tylko. Żasnyki odwiedziłem jeszcze dwukrotnie po tragedii Janówki i w nocy po pamiętnym napadzie Niemców 19 stycznia. Pamiętam jak wtedy w ciemności i wyciekałem woń spalenizny dolatującą od strony Plichtów czy Wisniewskich. Ileż bym dał wtedy za to, by móc przejechać całą wias i zobaczyć zarówno to co ocalało, jak i zgliszcza, które nie miały być już odbudowane.

To był mój pierwszy widok więcej już Żasnyk nie oglądałem. Zmieszanie się tam na kilka godzin dopiero w kilkanaście lat po wojnie. Jak łatwo widać śladami niestniejącej już wiejskiej drogi, nie było nawet rozpoznac miejsca, gdzie stał mój rodzinny dom.

P O B - K A R A B I N I M

Wydanie 10-11-1944

Już w pierwszych tygodniach mojej żołnierskiej przygody zdarzył się fatalny wypadek. Wyciął Wszystko co z takim trudem budowałem, co było moją dumą i radością, ocalało nie runęło w przepaść, nie skończyło się i to - nie przesadzę, jeśli powiem - haniebnie.

- Zmienił się miejsce postoju. Z Żruszówki, po paru dniach postoju oddział "Jastrzębia" przechodził do Stefanówki, o parę kilometrów dalej na północny wschód. Jechaliśmy znowu tabory, kuchnie, skowrony były przyszyły batalion. Było zimno, padał deszcz, i powiał chłodny wilgotny wiatr. Nogi ciepły nieustannie po rzedkim błocie. Szliśmy w luźnym szyku po obu stronach drogi, śródkiem jechały fury. Niektórzy chłopcy przysiadali się na wozy, pragnąc ulżyć sobie w ciężkim marszu, ale większość nawet nie próbowała obciążać i tak zmęczonych koni.

W pewnym momencie kolumna zatrzymała się. Wokoło rosły młody sosny. Skorzystałem z okazji, aby na chwilę ulotnić się dyskretnie w krzaczki. Nie chcąc utrudniać sobie zadania taszczeniem wśród mokrych gałęzi niewygodnego karabinu, zostawiłem go koleźce siedzącemu na furze taborowej.

- Pokaż tu, na śledzeniu, nie mu się nie stanie - upewnił chłopak.

Ledwo zagłębiłem się w gęstwinę, kolumna ruszyła. Dopomniłem po paru minutach fure, lecz karabinu ku mojemu zdziwieniu przetrzeźniał, już na niego nie było. Szczęśliwie poszukiwania na całym wosie, nie dały żadnego rezultatu. Kolega siedział, jak poprzednio w tym samym miejscu na śledzeniu obok woznicy, chłopcy szli rozmawiając o różnych takich, takich sprawach, nikt nikogo podejrzanego nie widział, czyli wszystko było niby w porządku, tylko karabin znikł, jak przysłowione kamfora.

Przebiegłem zdenerwowany wzdłuż kolumny, pytając i prosząc o widzenie broni, ale wszyscy, choć mi współczuli i pomagali w poszukiwaniu, robili jednocześnie wielkie oczy, nie mając pojęcia, jak można znaleźć coś bez śladu rzecz nie tak znówu mikroskopijna, jak karabin. Wydziałem się jeszcze nadzieją, że może ktoś chciał zrobić mi przyjemny dowcip i naciągawszy się moim przejęciem, wróci zabraną przesłania. Koleśdaj byli również tego zdania.

- Poczuj cierpliwie. Najwyżej ktoś wyrzuci cię z kolumny. Uspokój się i nie rób szumu!

Nie o tego. Nie dowiedziałem się nigdy, kto był sprawcą. W tym czasie, najcięższą moją wyobraźnią sobie ten tyłek, kto był w tym czasie szlachą, był partyzantem i zdawał sobie sprawę, czy miał widzieć broń dla młodego leśnego żołnierza, jaką cenę trzeba było za nią płacić.



nie tylko w sensie pieniądza.

Nie wiedziałem co dalej robić. Jak się do tej haniebną sprawę  
proszym przed dowódcą. Jeszcze czekałem, jeszcze wypytywałem, jeszcze  
nie pozostał nikły ślad nadziei, że rzecz się wyjaśni. Gdy jed-  
nak dotarliśmy do Stefanówki, zajęli kwatery i po obiedzie trzeba  
było stanąć na wściekłej, naturalnie z bronią w rękach, nie mogłem kró-  
dzieży trzymać dłużej w tajemnicy. Kde jak ją wyjawić? Pojeść do  
"Jastrąbia" i opowiedzieć co się stało? Nie miałem odwagi. Nie-  
cydowałem się zapoznać z całą sprawą "Zawisze" - adiutanta do-  
wódcy.

Pokręciłem głowę na znak, że sprawa jest paskudnie trudna i  
ciężko będzie załatwić ją pomyślnie, ale obiecałem zameldować o tym  
i porozmawiać w moim imieniu, radząc jednocześnie, bym przygotował  
się na najgorsze. "Na najgorsze"? - pomyślałem. "To znaczy po-  
 prostu na wygnanie z oddziału!". I poczułem się tak, jak bym spadł  
nagle w jakąś niezgłębioną przepaść.

Czekałem krótko. "Zawisze" wrócił z wiadomością, że jakiej się bez-  
wiednie przygotowałem: porucznik "Jastrąb" wcale nie chce ze mną  
rozmawiać i każe natychmiast opuścić oddział.

Oczułem w duszy, że tak będzie, a mimo to słabo mi się zrobiło,  
gdy słowa te zabrzmiały, wypowiedziane głośno, po imieniu. Poczułem  
się jak zbity pies, nikomu niepotrzebny, wyrzucony nie tylko z od-  
działu, lecz w ogóle poza nawias życia. Chciałem teraz pójść już  
sam i tłumaczyć się, prosić o przebaczenie, wyjaśnić, że w całym zaj-  
ściu nie było żadnej złej woli, że przecież miałem prawo walczyć  
koleśno, lecz "Zawisze" nie radził.

- "Jastrąb" jest tak zdenerwowany, że cię wyrzuci za drzwi -  
ostrzegam. Nawet nie próbuj, bo narazisz się tylko na wstyd i upo-  
korzenie.

Wszedłem do stodoły, która od dziś miała pełnić funkcję naszych  
kuchni i zaczęłem w milczeniu rozpinać i zapinać plecak, sam nie  
wiedział dlaczego. Może żeby uzyskać na czasie, wynajmując sposób na wyję-  
cie z sytuacji. Koleśdzy dowiedziawszy się o decyzji dowódcy obta-  
pili mnie i zaczęli podśmiewać lub udzielać rad.

- Nie odchodź! W pierwszej wyprawie na bulbotów zdobędziemy  
na pewno nie jeden, lecz więcej, będziesz miał lepszy od tamtego!

- Idź, przyniesij kopytami i poproś jeszcze raz - radzili nieśmę-  
liwie. - Łobozysza, że machnie na wszystko ręką.

- Wyrzuci na zbity pył i tyle system - mówili mi sibi ze sto-  
łola, o czym w gorle bulwany ucisk. - "Zawisze" powściągnął wyrod-  
nie, że lepiej się nie pokazywać.

- Na takiego gnata ktoś się polakosia! - koleśdzy pamiętali  
"Bumda" i śmiało dziwili się, że znalazł się i na niego amator.

Cóż? Zawsze to broni. Wyciszczeni, odrestaurowany nie robił już tak odpychającego wrażenia jak na początku. Ale mieli też rację, bo bez zmiany większej pociechy i tak by z niego nie było. Kto jednak przekona "Jastrzębia", że krzywda wyrządzona ni jest większa niż wartość "cudaka"? Nie musiał przecież pamiętać, jaki kto nosi karabin i jako dowódca widocznie nie od jakości posiadanej broni uzależniał pobyt żołnierzy w oddziale. Wymagał subordynacji pod każdym względem, ale dla broni po prostu pietyzmu. Cóż bez niej byłibyśmy wszyscy warci? Przekładałem w plecaku nadal swoje manatki, nie mogąc się zdecydować na odejście. To ogarniała mnie wielokrotność na dowódcę za jego brak wyrozumiałości za katogoryczno i zdawało mi się bezsensowne traktowanie podobnie jak moja sprawa; byliśmy wszakże zupełnymi żołnierskimi pod względem znajomości żołnierskich zasad i wszystkich regulaminowych przepisów, nie można więc było żądać od razu idealizmu, to znówu gdzie brała rozważa i zaczynałam tłumaczyć sobie, jego jako dowódcy stanowisko wobec wykroczeń, bo był to przecież czas szczególny. Tylko w ten sposób można było utrzymać ład, porządek, ścisłą dyscyplinę i wpisać poszanowanie dla broni. Wszystko to za cyfrowo przecież o losie tysięcy ludzi powierzonych naszej opiece. A w dodatku każdy zdawał sobie sprawę, że w krótko trzeba będzie zerwać tę broni przeciw Niemcom, a ta druga faza walki będzie wymagała jeszcze większego wysiłku, żołnierskiej wiedzy i dyscypliny. Któż postąpiłby więc w takiej sytuacji inaczej?

Nie łęgając się jeszcze z kolegami postanowionem pójść i samodzielnie swoje odejście porucznikowi "Rybitwie". O ile pamiętam nie był jeszcze wtedy oficjalnym dowódcą kompanii, ale widac go było zawsze blisko "Jastrzębia". Nie nosiłem się z samiarzem przedłożenia prośby o wstawienie do "Jastrzębia". Chciałem go prostu wypowiedzieć swój kłó, jeśli zechce wysłuchać, no i przede wszystkim wydawało mi się, że muszę komuś z dowództwa wyjaśnić, że nie popełniłem tak ciężkiego przestępstwa, by mnie wyrzucano z oddziału. Szczerze mówiąc gdzieś tam w głębi ducha pozostawał pewnie iur nadziei, że może porucznik "Rybitwa" znajdzie jakieś wyjście z mojej tragedii, ale do pełnej świadomości myśli tej nie dopuściłem. -

Podporucznika "Rybitwy" nie znałem jeszcze wtedy bliżej. Wiedziałem tylko, że jest niezwykle opanowany, zrównoważony, zamknięty w sobie i bardzo dobry dla żołnierzy. Nie zdarzyło się by kogod okrzyknąć szczerze, nawet jeśli miał ku temu powody. Pasał tym był cichy, skromny nigdy nie udawał tzw. "wałniaka" i bohater. Szedłem więc do niego podobnie jak do ostatniej deski ratunku, bo nic więcej mi nie pozostało. Nie chciałem tylko wyrażnie o tym myśleć, ani się zbyt pocieszać, aby tym bardziej nie przeżywać później rozczarowania.



To co nadziewa okazała się wcale niepokojna. Por. "Rybitwa" machnął się w pierwszej chwili, uzyskawszy moją relację, machnął ręką, wykrzywił charakterystycznym grymasem twarz.

- To już nic innego nie miał do zgubienia tylko karabin? Teraz? Kiedy broń droższa od złota?

Nie miał zwyczaju mówić żołnierzom po imieniu. Wracał się do wszystkich bezosobowo. W podobny sposób rozmawiał teraz ze mną.

Stalen bez słowa, nie mając po opowiedzeniu zdarzenia nic na swoją obronę. Tylko z łzy zaszkliły mi się w oczach. Wiedziałem przecież, że obaj poręcznicy mają rację. Wiedziałem też, że kara wyznaczona przez "Jastrąbia" jest słuszna, tylko mi było trudno wyobrazić sobie, że może być spełniona. Oświadczyłem przedtem koleżankom, że ośchodzę, teraz to samo meldowałem ppor. "Rybitwie", a ciągle wydawało mi się to wszystko niemożliwe, nieprawdopodobne, po prostu nieracjonalne. Tyle nadziei, tyle zachodu, by znaleźć się w szeregach obrońców polskich rodzin! I gdy nadaje się te wreszcie spełniły się, jeden nierozważny krok miałby wszystko pogrzebać? Przecież...

- I znowu pchały mi się do głowy myśli, które już poprzednio, przy pakowaniu plecaka nie dawały mi spokoju. A teraz, po rozmowie z "Rybitwą", opamiętał mnie jakiś wielki wstyd! Jak spojrzę w oczy rodaków? Znajomych? Kolegów z samoobrony? "Wyrzucony z oddziału"! Samo brzdęknięcie tego zwrotu napełniało mnie przerażeniem. I, gdy dopiero co byłem pogodzony z losem, teraz ciągle jakiś głos wewnętrzny zaczął krzyczeć ponownie i jeszcze donośniej, że to byłoby nieprawdopodobieństwo! To okrutnie karać w ten sposób młodego, niedoświadczonego żołnierza! Każdy w dodatku od tak dawna marzył o walce za dobrą sprawę i gotów był w każdej chwili do największych nawet poświęceń.

- Nie! Nie! - wołała we mnie jakaś ukryta, niepozwalająca sobie.

- Por. "Rybitwa" jakby gadując moje myśli podniósł się nagle z niskiego stołka, na którym siedział i - nie patrząc specjalnie na mnie - rzucił, jakby w przestrzeń krótkie połączenie:

- Łaczką!

Porwał pas, kurtkę i udał się do kwatery "Jastrąbia".

- Patrząc zza węgla i nie wiedziałem czy ściszyć się wracającą dźwięk naciągania, czy biec i zatrzymać poręcznika, aby nie parował się pozostawić na nieprzyjemności u dowódcy. Nie mogłem jednak zrobić kroku naprzód, tylko czekałem drżący i na pół przytomny. To nadzieja wydobywała się coraz bardziej na światło dzienne, to mój głos brzmiał reslna myśl, że wszelkie usiłowania są daremne, że przecież "Jastrąbia" wydanego rozkazu nie cofnie, nie ugnie się przed nikim. Próżne wszelkie zachody.

Tym razem stało się inaczej. Po paru minutach por. "Krybitwa" wrócił z poważną jak przedtem miną i nie mówiąc o przebiegu rozmowy, opisał od pasa parabellum i podał mi, patrząc - nie wiem - z żalem, czy zadowoleniem, a gdy wahaniem się czy przyjąć rewolwer rzekł:

- Proszę to sobie wziąć. Teraz z tego będzie strzelał. A wieczorem niech stanie do raportu.

Stałem dalej zdumiony, nie wiedząc jak mi się zmienić. Nie przyjął cennego przedmiotu? Dziękować i "bied z radością do kolegów? Poruszyłem ustami, nie mogąc wydobyć z nich ani słowa. Z kłopotu wybauił mnie wrzaskie sam przełożony.

- To byłoby wszystko.- Umiechnął się por. pierwszy od początku rozmowy.- Niech tylko tego pistoletu gdzie nie zgubi, lecz strzeże jak oka w głowie.

Zasłutowałem i zdobyłem się tylko na krótkie:

- Bardzo, naprawdę bardzo dziękuję! po czym spiesznie odszedłem z pięknym pistoletem w dłoni.

Wieczorem podczas raportu karnego utrzymałem godzinę pod karabinem za brak szacunku dla broni.

Stałem nazajutrz w parze obiadowej pod ścianą stodoły wyprzedawany, z karabinem na ramieniu, jak w czasie warty honorowej. Karabinu użyżył mi, o ile pamiętam. Staszek "Tajfun". Z wewnątrz dochodziły wesole rozmowy odpoczywających na słomie chłopskich, śmiechy i śarty. Heniek "Szary" śpiewał swoją ulubioną piosenkę "A jak sobie gram na baidzie". Staś "Sirma" mocno wachodnim, melodyjnym głosem, opowiadał jakieś dowcipy. Janek "Tarzan" zachwalał niepospolite walezy swojej "samozwładki". Jurek "Długi" z fantazyjną bródką polecałować awzięcie z którymś z kolegów, a z twarzy "skazane" mimo zdawania z epilogu smutnej sprawy było upokorzenie, wstyd i tęsknota do siebie, ale bardziej do sprawy złej przygody - nieuchwytnego złodzieja karabinu. Słuchałem głosów dochodzących ze stodoły i cieszyłem się jednocześnie, że będą towarzyszyły mi nadal cząstka tego zespołu luźni wesołych i ofiarnych, zawziętych w walce i szlachetnych w codziennym życiu, że jeden nieodżałowany w każdym zespole może się znaleźć.

Ale przede wszystkim nie schodził mi z myśli wspaniały mój porucznik "Krybitwa". Wdzięczność dla całego tego szlachetnego człowieka zachowałem do końca życia. Nie wiem ile, nawet wtedy, gdy ludzie inaczej rozmawiali na niedole drugiego człowieka, znalazłoby się oficerów, a także i szeregowców,



zadowolony z podobnego zachowania się wobec potrzebującego pomocy. Władziska żołnierza, który ponosi winę.

W owym czasie parabellum nie rozstawałem się nawet w sypialni, nawet wtedy, gdy posługując się jedną tylko ręką widziałem, że nie miałem kłopotu, wiedząc jednocześnie, że nie ma wiele przydać mi się tu może. A gdy 26 lipca 1944 roku kazano nam w Skarbowie koło Lubartowa oddać posiadaną broń, rzuciłem na stos tylko karabin zdobyty w walkach, lecz nie miałem serca przenieść na ów stos jak rupiec niepotrzebny, tej drogiej pamiątki. Wyszedliśmy za bramę zakopałem ją w ciszy pod stożką naprzeciw budowli, przed którą składaliśmy broń, gruszą polną. Może pod jej opiekuńczym cieniem gdzieś czeka pamiątka drogiej "parabellum" lecz nikomu nieznaną do dziś?

WYPRAWA NAD BUG

Na przełomie września i października 1943 r. dokładaliśmy sobie nie  
 panując, dowodztwo nasze wydzieliwszy większą część istniejącego oddziału  
 otrzymało pewnego dnia porządki marszowe. Miejscem postoju była jednostka  
 niedal Stefanówka. Spaliśmy w obszarnej podkraińskiej stodole, For. "Jastrzęb"  
 miał swoją kwatery w niskiej, ubogiej chacie, należącej do tegoż podkraiń-  
 iego gospodarstwa. Od dłuższego czasu poza służbą patrolową i wartowniczą  
 oraz rajdów pod Dąbrowę, skąd pochodził naj nowy rosyjski karabin zdobyty  
 na upowcach, nic szczególnego się nie działo, byliśmy więc pewni, że czeka  
 nas wyprawa do pobliskich czy może dalszych wsi, gdzie koncentrują się  
 oddziały banderowskie, by je rozprężyć i powoli zaprowadzić do wspaniałego  
 porządek na wołyńskiej ziemi. Spaliśmy domyśli co do miejsca uderzenia:  
 Słuszyba? Jaziorany? A może Peresieka, Tjajyn lub okolice Kupiakow?  
 Niektórzy próbowali wyciągnąć coś od "Zawiszy", który był zawsze najbliższym  
 dowództwa, ale ten wzruszył tylko ramionami, twierdząc, że "Jastrzęb" nie  
 dzieli się z nim podobnymi wiadomościami. Krzątał się więc, wypiekał  
 do wykucia karabiny, sprawdzał sprzęt. Czas zaczął się wydłużać,  
 a drażniły emocje coraz częściej przebiegał po akordach. Gdy wreszcie  
 ogłoszono przy obiedzie przymusowe spanie, ubraliśmy się, że czeka  
 nas tym razem dalszy marsz.

Pa zapadł, ciu zarko ogłoszono pobudkę. I tak nikt prawie nie spał.  
 Zgromadziliśmy się więc szybko na równe nogi i po kilkunastu minutach  
 stanęliśmy w pełnej gotowości do akcji. I bez przesady zarządzono jechać  
 kolaję i zapatrzone wszystkich w ślepe porcje na drogę. To zaintrygowało  
 to nas jeszcze bardziej. Czyżby cel marszu miał być aż tak odległy, że nie  
 widać na śladach? Bo przecież w nocy i tak nikt nie miał awersu  
 podczas wyprawy jechać.

Do kąd więc jechaliśmy?

Niektórzy zaspokojili, ale tylko w pewnym stopniu. "Jastrzęb",  
 gdy na zbiorze odejmił, że tym razem wychościmy na "Zawiszy" czy. No jak  
 było? Też nie powiedział, ani nikt nie miał odwagi o takie ślepy pytać.  
 Tylko niektórzy z nas odejmił pewnego rodzaju niepokój, że co będzie z  
 nowymi rekrutami? Zostawimy Gruszkówkę, Zosycki i inne wsie prawa bez  
 pomocy? W każdej sprawie niewielkie oddziały zbrojne, choć czy to  
 wystarczy w tej sytuacji? Jak odpowiadano one w rzeczywistości? Jaki  
 miał? Jeśli banderowcy wyszła, że nasza ma i dalsze? Czyżby to było  
 coś? Jeśli do oddziału. Bo my uwielbiamy się, że "Jastrzęb" nie wyjechał  
 czy nie mógłby straszyć. Ale zupełnie niepokój "Jastrzęb" i "Sokoł",  
 który też miał iść z nami, zapewnił nas, że dowództwo nie wyjechało.



...nie powinniśmy... pod kazy... i nie powinniśmy...  
...nie powinniśmy... pod kazy... i nie powinniśmy...

...w kierunku... w kierunku... w kierunku...  
...w kierunku... w kierunku... w kierunku...

...nie podobałoby się... dziś... odzwierciedlenie...  
...nie podobałoby się... dziś... odzwierciedlenie...  
...nie podobałoby się... dziś... odzwierciedlenie...

...były także i... adwersaria... pojedyncze...  
...były także i... adwersaria... pojedyncze...

...gdy zbliżaliśmy się do ukraińskich wsi...  
...gdy zbliżaliśmy się do ukraińskich wsi...  
...gdy zbliżaliśmy się do ukraińskich wsi...

- A dlaczego striliaty? - pytała go jeden biegał w ukraińskiej mowie.

- Nie wiem - odpowiedział bez namysłu.

- A do kogo chcesz striliaty?

- Do kogoś, do Lechwił... odpowiedział jakby z wymówką, że o takim...  
...do kogoś, do Lechwił... odpowiedział jakby z wymówką, że o takim...

...pytała go...  
...pytała go...  
...pytała go...

- A czego twoje maty! Może nie pustyt?

- Je i pytały na budę, tylko pijdu-odpowiedziała hańczącownie i wstrzy,

...także to...  
...także to...  
...także to...





szary szary burów po głębokim piasku. Po chwili kroczyłem już obok kłopotów. Nie zastanawiali nawet nie zauważyli.

Przekryłem niezwykłą chwilę emocji.

Przebiegaliśmy od ostatniego tchu długą drogą i bezsennością zastawiliśmy się wreszcie kolo północy na skraju jakiejś wsi polskiej, jak się zdanie okazało. Wskazano ubezpieczenie, a cały oddział nie rozbił się, w hutach, usnął natychmiast we wskazanej przez dowództwo stodołę snem kłopotliwym. Widno już było, gdy obudziły mnie jakieś gorące szapy i wydawało ciche polecenie. Otwożyłem ciężkie od snu powieki. Naprzeciw mnie stał "Jastrząb" budził naszych kłopotów języka ukraińskiego, a dotychczasowych wartowników odwołał do stodoły. Obok stał por. "Bokor", i też po cichu wydał jakieś polecenie. Wkrótce pobudzano wszystkich i kazano przynieść broń w pogotowie, nie ruszając się z miejsca, w najbliższej ciemności. Wyszliśmy tylko, jak "Jastrząb" instruuje "nowych wartowników", by się przedstawili jako członkowie ukraińskiego oddziału. I tu wymienił jego nazwę, nie przegadując jej. Miał też być spróbować dowiedzieć się czegoś o sytuacji panującej w tych stronach. Potem zamknięto wierzchołki stodoły, i wszyscy usnęli w bezruchu. Po chwili przez szapy w otworze drzwi zobaczyłem światło i słyszałem głosy. Furankę wypalono ludzimi: jęczyli, śmiechali i kilka głosek. Zaczęli się spokojnie, głośno rozmawiali rozciągając się wokoło.

Ustawiając na podwórzu dwóch ubranych wartowników, zważali się przez moment, czy jednak dalej, ale odległość od wrót była już tak bliska, że nie było czasu na powrót, tym bardziej, że nasi przyjaciele i słowa zaprosili ich na podwórzu.

- Nie bijcie, my swoi - uspokoił zbliżających się pierwszy wartownik.
- Skoro, nie poznaję? - uśmiechnął się jak dobry znajomy.

Zaczęła się rozmowa. Już po pierwszych słowach przyjaciele bez namagania po podzieleniu dwierzyli, że mają przed sobą własnych żołnierzy. Informowali nas szczegółowo o wszystkim, co pytali, wyrazili zgodzenie, że teraz już oni panują nad całą terenową w promieniu kilku tam kilometrów, sejmowali, że w "Głębokim" i w "Jędrze Lecha". Wyciągnęli machorkę i zaczęli skręcać papierosa. Zaczęli się rozrywanej scenie przez szapy stodoły, nie było czasu na powrót. Zaczęli się odchodzić. Głęboko na koniec owoj sielwki.

- A czego wy tu robicie z ichami? - zapytał jeden z naszych, przyjaciele.

- A czego? - zaczęli jak kotki, tej powściągliwie: - rozdział się, niech się nie wstydzi.

- Chodźcie, ja i wywołało się kłopotem z siedzącymi w stodołę. Przekroczyli po sobie z nami, kłopotem niepokojem.

- Kto wy? Kto ja tam w kłopot? pytali błędnie nieleżąc. Czyżby nie było? - zaczęli się odchodzić. I nie czekając odpowiedzi

...zacięli konie bawem z całej siły, wyjechali galopem z podwórza i zeskoczywszy z fury rozpierszili się we wszystkie strony. Warto śmiało wypędlili z zabudowania z karabinami, ale różnolotni informatorzy/znęśli go polu z nieprawdopodobną szybkością każdy gdzieś indziej. Wierzeje stodoły rozwarły się z traskiem i cały oddział wysypał się na podwórze, a stamtąd poza ogrodzenie. Posypyły się gęste strzały. Stojąc za rogiem widzieliśmy dwóch leżących już na ziemi, reszta zaykała kryjąc się poza niewielki pagórek. Kobiet nie było widać. Łośki, albo leżały gdzieś w brudzie. Jeden rosły baderowiec wydawało się, że ten właśnie, który chwycił się "pozaryzowanymi łachami", podził teraz do się w kierunku wschodnim, pod słońce i choć raz po raz gwałtownie sypały się za nim kule, widać było, że żadna go nie dotknęła. Wtedy "Jastrząb" spokojnym, flegmatycznym ruchem ręki odsunął jednego za strzelających, spojrzął za uciekającym, jakby ustalał odległość, nastawił celownik i oparłszy karabin o słupek płotu, dźwugo uważnie mierzył, zanim pociągnął za język spustowy.

- Nie będzie więcej ryzaty i zykopywały - rzekł raczej do siebie niż do stojących w pobliżu żołnierzy, patrząc jak tamten padł jak podstępny i nie podnosi się do ucieczki.

Na podwórzu zrobiło się gwaro i rojno. Chłopcy dzielili się uwagami na temat wydarzenia, oburzali się na słowa Ukraińców, chwaliących się swymi sukcesami. I gdy wyruszyliśmy w dalszy marsz, miżem parzą pierwszy widział okazję widzieć tragiczne skutki ukraińskiej rozpawy z Polakami. Na przydrożnych drzewach ukwily uczone resztki piernika u popartych widocznie poduszek, a lekkie kłębki puchu wiszące gdzieś gdzieś unosili w powietrzu. Drzwi niektórych mieszkań powyleżane, a często i całe rami potłuczone na kawałki. W dwóch miejscach na progu widzieliśmy cienne plamy krwi. Nawet na ścianach pozostały czerwone kropki. Poza opłotkami uciekały na nasz widok wystraszzone koty, patrząc z ukrycia w naszym kierunku błyszczącymi zielonymi oczami. Wszystko zrobiono i uprowadzono. Tu i ówdzie powalone płoty, poprzewracane ławy pod ścianami. Niektóre zabudowania zamieniono w kupy popiołów i gruzu tylko kołomy sterczały ku górze, jak wołające do nieba o pomstę pomniki smierci i zagłady. Śwad spaleniżny zapękniał ciągle powietrze. Długo szedłem wzdłuż tej tragicznej scenarii, nie mogąc uwierzyć, że to nie sen, że patrę na pobojowisko własnymi oczami. I do dziś jeszcze brania mi w uszech chałpliwa słowa usłyszane na podwórzu, usłyszane wtedy jasnemu pięknemu poranku "pozaryzowsky jak kabanyw ..."

...wielki, cały - łone wśród tych opłotków, przechodząc przez ponieżone ogrodni kwiatowe przed szczytkami domów, nie deptaliśmy po mogiłach pomordowanych, których nikt nigdy nie odsuka, nawet najbliższa okolica rodzinna użyciać szagon, w który przez całe pokolenie wkładali ich



rozgony chłopski pot, a teraz waijaka przelana krew ...! Polska praw!

Patrzę na tragiczny obraz, jaki przedstawiała miżona właśnie wioś  
emocjonalna. coraz bardziej rozumieć postawę tych spośród kolegów, którzy  
przeżywszy więcej cde mnie, uciekli/azy z takiej jak ta wsi, teraz bardziej  
od innych gotowi byli do walki i zemsty.

- Niech snachły wiedzą - przypomniały mi się słowa "Tarasana"  
wygodziane jeszcze w Lasnykach, że teraz nie ma już nic do stracenia.  
Na życie nam nie zależy, ale gardła dobrowolnie pod nos nie damy. Niech  
raczej oni odpowiedzą swoim gardłem za to, co z zrobili!

Patrzyłem ze zgrozą na to "co zrobili" i przypomniałem sobie jak  
wtedy śmiechaliśmy naszonych świadków polskiej tragedii, porzucając swoje  
swagi, zgodne zupełnie ze stanowiskiem "Tarasana" i innych. Działo tamto  
odwołanie tylko sceny i strasy poparła błotna rzeczywistość. Ono  
prawywanie głęboko emocjonalnego do swaj ziemi, obok tego, co określa  
się wielkim słowem "patryotyzm", istniało w ludziach to zwykłe, proste  
człowieckie przekonanie, że dłużej już biernie zachowywać się nie wolno.  
Długo było, ale w końcu, że w końcu w Kielecino czy Jankowicko ino nie, że  
do tylko przetrzymali porachunkami wśród poróżnionych na obę sąsiadów.  
Jakiś głos wam, teny wołał o nie-rozlewanie krwi bratniej, nie rozpuszc-  
straszanie wojny domowej, a nieubłagalna rzeczywistość domagała się  
czynnej postawy wobec dokonującej się pogody i zagłady.

W nienajlepszych nastrojach doszliśmy do Rakowca. Tęca tu czekała  
nas spora nieprzyjemność. Przed wsią por. "Jastrząb", zastępca oddziału  
zarządził pogotowie bojowe, co nikogo po tym co widzieliśmy wcale nie  
zainteresowało, ale po chwili cała kadra oficarska z paru tylko ludźmi ruszyła  
drogą przed siebie i po chwili zniknęła wśród drzew poza pagórkami.  
Ale mieliśmy pojęcia co to ma znaczyć i ta gotowość bojowa i opuszczenie  
oddziału przez oddział. Długo trawiliśmy na posterunku, zanim zaś  
w górę ukazała się grupa ludzi. Patrzyliśmy zdumieni. Wszyscy byli w  
ubrani w galowe mundury. Obok naszych dowódców byli też jacyś nieznani  
oficerowie, wszyscy jak na przedwojennych defiladach. Po dotychczasowych  
cywilnych ubraniach prezentowali się naprawdę imponująco. Także wracanie  
oddziału wzniesły, którzy w prawdziwym wojsku nigdy jeszcze nie służyli,  
z szare wiarusy po służbie czynnej i kampanii wrześniowej. Był to  
dortem podany pierwszy sygnał, że nie tylko na Zachodzie, lecz i na  
Wschodzie widać odrodzić się polska armia. A namienne jest być tego  
dowódcami. I co tu dużo gadać? - byliśmy dumni ze swych przeżośleń,  
bo robiliśmy o to coś więcej, niż same mundury.

I teny przednik "Jastrząbia" było również zadziwienie i chyba  
wzruszenie widząc pewność siebie. Widok tak obywatelski dowódców nam  
niepamiętał się, że oprócz Zaslony są jeszcze na Wołyniu inne ośrodki  
działalności partyzanckiej, hunderawy więc nie będą tam straszeni, jak  
byli parę miesięcy temu. Tylko czekać, jak zamierzamy dobrać się do

który powiedział Niemcom. Zrobiło się wszystkim łatwiej na sercu i nawet doznani  
delikatniejszego ranka zaczęły powoli ustępować miejsca opytanym  
nadszając na najbliższą przyszłość. Dokończył to odzyskanie w końcu niepełni  
rozdziału w tym obfitym w zdarzenia dniu.

Po zakończeniu oficjalnych prezentacji, część oddziału odjechała  
dalej, reszta została w miejscu. Znalazłem się wśród tych drugich.  
Otrzymałem kawaterę u samotnej starszej pani, cichej, skromnej, ubogiej, lecz  
bardzo dobrej i gościnnej. W pracach gospodarskich pomagał jej jakiś  
młody, człowiek, który, jak mi się od początku wydawało, stronił ode mnie,  
nie odzywając się ani słowem. Lecz już następnego dnia nabawił się  
zaufania i zaczął mi opowiadać swoje dole i niedole. Siedzieliśmy na  
grubej kłodzie przed domem i zaczęła się długa pogawędka.

Młody nie pozorny, raczej człowiek, był do 41 roku żołnierzem Armii  
Czerwonej. Gdy jego jednostka wycofywała się po wybuchu wojny z Niemcami  
wyczołowywała się na wschód, wolał pozostać w Polsce, niż wracać.

Dokąd miałem iść? Do kogo? - mówił, naturalnie w swoim języku,  
patrzył w dół ze smutną miną. - Nie mam żadnej rodziny, poza jedną na  
świecie. Dlaczego? Po prostu, ojca, zwykłego rolnika, zabrano z domu i  
wywieziono. Przepadł bez wieści. Domyślałem się, że za to, iż nie był  
entuzjastą kolchozów. Matka oraz rodzeństwo nie wytrzymało głodu, jaki  
zapadał w okresie kolektywizacji w naszym państwie. Wy, Polacy nie  
wyobraźcie sobie, co nasz naród wycierpiał i przetrwał. Ilu ludzi  
zginęło z głodu, nadmiernej pracy, wyczerpania, panującej epidemii...  
Puchli, jedli chwasty, wrzascie i chwastów zabrakło. Coś widać opustoszały  
i zomlewały się w cmentarze. Czekaliśmy jakiejś pomocy z Zachodu, która  
nie przyszła i od was, ale wszyscy naszymi narodami zapomnieli. Byliśmy  
zależni od naszych urzędników i aktyw parafijnych. Kto odważył się  
wyrazić jakkolwiek zastrzeżenie wobec okrutnych rządzących, ginął bez  
sądu i bez prawa dowiedzenia się ex post facto.

Przeważał, zamyslił się, potem zaczął mówić mi to do mnie, ni do  
bieda, patrzył w nieokreślony dół.

- Kiedy były potrzebne kolchozy, prasa która tyle dyskutowała,  
wiele milionów "fagibnych"... Przecież było różnie, lepiej, gorzej, ale  
należało wystrzelić wystrzelić. Potem nikt go nie wstał w dostatecznej  
ilości. Chyba tylko naczelstwo, Prosty człowiek mógł żyć, może umrzeć,  
ale nie bolało. I po co było z naszego kraju robić coś?  
Ludzie pracowali, pracowali ponad siły, a nikt do nich nie wrócił.  
Czyżby mówić o dzieciach, starcach, chorych? Byli słabymi, nawet  
w domu nie potrzebni....

I takiego kraju bronił za taki ginął. Dobrze widać, że nie było  
tu, na własnej ziemi. Wolęcy to dobrzy ludzie, już mam dokumenty, obronę...  
Wagany wiedzą kim jestem, a nikt nie wydał mnie Niemcom. I nie było...



to, by się nie uchował ani dnia. A tu jestem bezpieczny.

Obstąpił go żewie, rodzaju przyzby, leżaka bałczajka. Przerwał swe opowiadanie instrument do ręki i brząknął w struny. Popłynęła melodia wspaniale piękna, radosna. Kiedyś śpiewał. Słuchając pieśni byłem przekonany, że nuda była do swego "prawiełstwa" sercem i duszą przeniesi się teraz właśnie tam, w swoją rodzinną stronę, gdzie pozostał i czeka, rodem, gdzie obok i może być jego ojciec i dziadek i ich duch panuje nad tą smutną krainą. Nie miał silnego głosu, ale śpiewał wyraźnie, czysto, melodyjnie, w typowy dla Rosjan sposób interpretując treść śpiewanych tekstów. Trwało to kilkadziesiąt minut. Słuchałem z zainteresowaniem, gdyż melodie rosyjskie zawsze lubiałem, za ich rozległość, romantykę, oddziaływanie na sferę uczuć człowieka. Skończył bałczajką, uśmiechnął się błędnie o smutnie. Wyglądał jak po powrocie z dalekiej podróży.

- Tęskno wam jednak do swoich, prawda? - zapytałem.

- Jak może być nie tęskno? Każdemu byłoby tęskno. Toż to mój naród, mój język, moje obyczaje, sielenie, drzewa, krajobrazy... A czy winian naród, że takiej ma warunki? Leciałbym tam na skrzydłach.

Zamyślił się znowu przez dłuższą chwilę, potem powiedział z głębokim westchnieniem:

- Tylko życie tam nie ma, oj nie ma ...

Podniósł jeszcze chwilę, popatrzył na leżącą bałczajkę i nagle chwyciłszy się karku zaczął z wielkim rozmachem rąbać drzewo. Gdy skończył, zszedł naryć do domu, a wróciwszy wziął znowu instrument i zaczął grać i śpiewać skoczne, ogniste "czustuszki" i inne szybkie, rymowane rosyjskie melodie. Słuchałem z podziwem serce z całego śpiewu, jak i przytupionymi, wyrażający niezwykle temperament, siłę i werwę życiową. Jeszcze chwile i zaczęło wywijać hupskanie, przysiadły i hołupce. Aż policzki, dotąd blade, pokryły się żywym rumieńcem. Gdy skończył poprosiłem, by mi niektóre przysiadki nauczył. Kiedyś się bardzo chętnie. Z instrumentami "czustuszki" niekiedy śpiewał skocznie do czynienia, katwo więc i teraz świdłem sobie rękę z nowymi przysiadkami. Do śpiewu pisał, tam niektóre z nich. Też zresztą spotkałem w czasie mojego pobytu w tym miejscu. Było dla mnie niezwykle przygodą.

Na zakończenie ciakawego popołudnia przydarzył mi się niemiły przybytek: gdy wchodził do mieszkania rzucił się na mnie cały kupał /całował/ wesołymi i boleśnie ugrzył mnie w rękę. Nowe obrażenia i przez kilka dni byłam niezdolny do jakiegokolwiek chodzenia.

W tym dniu moja podróżowa podróż do Rosji, jak i moja podróż, przyjechał do Rosji i przyjechał do Rosji. W tym dniu moja podróżowa podróż do Rosji, jak i moja podróż, przyjechał do Rosji i przyjechał do Rosji. W tym dniu moja podróżowa podróż do Rosji, jak i moja podróż, przyjechał do Rosji i przyjechał do Rosji.

- W tym czasie, choć niebo iskrzyło się od gwiazd, nie było w porządku z ludźmi "Korda" robił na zbiciu wrażenie nie potrafiłszy. Z niechęcią się dowódców od razu zorientowali się, że czeka nas jakaś poważna wyprawa. Na dokładne wyjaśnienia nie musieliśmy tym razem długo czekać. Po zakończeniu regularnych czynności - zbiórki, odliczenia raportu - jeden z oficerów, nie przypominam sobie który, zabrał nas do w szeregach żołnierzom. Ze zdaniem, jakie miał przed nami stał, jest wyjątkowa waga i niezwykła: mamy służyć punkt koncentracji nacierających na wschód Polacy i Sokoł. są dla bazy partyzanckiej w Rymaszach tym, co dla Szaryk Świniarzyn lub Wołczak. Zgromadziła nas tu ukraińska nacjonalistyczna siły i atakują dla Polaków groźbę. Według ich planowania na takich terenach nie się skończy. Zachęcały polacy.

Podwojewódzki oddział ruszyliśmy w kierunku południowym. Minęliśmy stary kościół w Kowal - Chwał i zasnurzyliśmy w niewielkiej - Szaryki, krzewami pokryte tereny, by po pewnym czasie, wyjść na rozległe puste pola. O pierwszym opuszczeniu kolumny zatrzymała się, skrótowa z ust dowódcy. Dowiedzieliśmy się dokładnego planu działania. Okazało się, że stajemy równo w grzązkiej Polacy, ale dalej niż kilometr od pochłania wai, po jej zachodniej stronie. Widać jest duża i ciągnie się w kierunku na wschód. Widać widać w jej środku znajdują się cerkiew i tam należy się skupić. Widać, że zapora oporu. I przy pomocy tej siły jako dysponujemy, każdy oddział potrafiący przetrwać. Ponieważ z ciemnościach lewół o pomyłkę, Poskuruje się hasłem "Jenek" i odzwanem "Prenek". Kto tych słów nie był, ten nie jest obcy i ... Widać, że dalej. Wśród nas okazało się bardzo silny, ale nie na pewno nie spodziewa się i na tym polega nasza główna przewaga. Należy przetrwać z największą dokładnością rozkazów dowódców.

I ... Nieprzód, wiara!

Rzeczywiście, Spokojnie, cicho, pełni napięcia. Każdy starał się trzymać do zaakreślonych, rozpoznanych celów. Nie tracić na darmo chwili, nie oddać przynajmniej przedwzruszenia alarmu.

Walczenie się z kolegami z drużyny na przewymakryj, co było dla nich absurdem. W czasie bitwy należało się spodziewać uciążliwej kontrowersji tu, w kierunku północnym, do nas więc należało przystąpić do walki. W tym czasie wyrzuciło nas w stan szczególnego podniecenia. Wówczas niektórzy z nas korymbiny w droższych rotowi do wykonania zadania. Ale jest nie podziwiać, że przed nami tylko równe w szare barwy spowita pole, w tym czasie, że nasi, niebo różniło się coraz bardziej od porannej rozsy. Wówczas nasuwało się pytanie nie za, co nie cięzo, zakłócające jednakże podziwiałem się, że w tym czasie po szeregach naszych. I ostatni, że byłoby to. Wszakże to wymagało jeszcze napięcia w oczekiwaniu leda chwili wybuchu.



...rozlaniny, nasadziły krzyków, krzyczących się rozkazów...  
 Gdy wzięta, kaskadą skradająca się krokiem dotarliśmy na wysokość  
 pierwszych zabudowań Polap, zrobiło się już na tyle widno, że można było  
 w miarę rozrzedzenia elementy krajobrazu - dymy drzewa, płoty, wieży cerkwi  
 wznoszące się nad dachami w kontencie charakterystycznej kopuły, przypomni-  
 nałec; plódkę cebuli, nawet daleką linię lasu po zachodniej stronie  
 płynącej w kierunku wsi. Grodek tyraliery zniknął już między nieregularnie  
 rozmieszczonymi zabudowaniami wschodniej części wioski. Na ogólnym zszewieniu  
 nie padł dotąd ani jeden strzał. Wiał bez znaczących, czy co? Już widać  
 przesuwające się sylwetki naszych pomiędzy drugimi, trzecim domostwem, a nie  
 bitwy nadal się nie zaczęła. Mimo to staraliśmy zachować tym większą czujność  
 i podawać się równo ze grodkiem tyraliery. A już nieprzyjaciela przypatru-  
 wuje jakąś nieapodziałką? Może zasadzkę?

Wtem rozlega się pierwsze echo dość gęstych wystrzałów. Strzelają  
 tylko nasi. Nie widzimy nikogo. Ale już zaczyna się seria po serii od strony  
 przeciwnika. Obok cerkwi przemia, coraz głośniejsz. A więc są, bronią się,  
 tylko jaki będą stawiać opór? Odruchowo pochylamy się niżej i trzymając  
 ciężkie broń rotową do strzału wypatrujemy nieprzyjaciela. Lecz z tej odległości  
 dość trudno dostrzec jakieś zauważalne przebiegające między zabudowaniami  
 sylwetki - nie wiemy - mieszkańcy Polap, "cywilów", czy uzbrojonych buławałów?  
 Ich ukrywanie się i znikanie ze szwami, wnętrza domów następuje tak  
 szybko, że mimo polepszającej się z każdą minutą widoczności, nie ma czasu  
 na oddanie strzału, tym bardziej, że nie ma pewności kto ucieka - mężczyźni, czy  
 kobiety z dziećmi? Le strzelalnica przycichła nieco, a z zabudowań w pobliżu  
 cerkwi unoszą się w górę kłęby czarnego dymu. Płonie stodoła, za nią druga,  
 trzecia. I nasze strzały zaczęły padać tak gęsto, jakby teraz dopiero  
 bitwa zaczęła się naprawdę. Całe nasze skrzydło zatrzymało się, przykucało  
 do ziemi i ze zwiększoną czujnością, z wyciągniętą uwagą wypatruje przeciwnika.  
 Lecz przez naszych kolarów, widocznych już zupełnie dostrzed w promieniach  
 słonecznego światła, nikogo więcej nie widać, strzały padają także z kół wai,  
 ale cichsze, że przeciwnicy zaczęli wycofać się już pod las, ślaczera więc  
 tylko grodek, słychać istną kienność? Zapala się jakieś zabudowanie znacząco  
 dalej w kierunku zachodnim, co jest nieomylnym znakiem, że nasi podważają się  
 ciężej naprzód i to w szybkim tempie, a tymczasem gęsta strzelalnica w grodku  
 wai, którą mamy już poza sobą, nie milknie ani na chwilę. Nie potrafiliśmy w  
 żadnym sposób wyliczyć sobie tego zjawiska. Kto strzelał koło cerkwi i do  
 czego? Prawdopodobnie już, by nie stracić łączności ze grodkiem tyraliery, poszła  
 straż przednia, bitwa, tak nam się zdawało, poza sobą - słychać strzały buławałów  
 wai z kół wai, czyli wiał jest apowiana przez nas, a dźwięki wiał  
 wiał, dźwięki wiał, więc rozkaz po dojeździe do lasu dobiec do grodku wai. I  
 teraz dopiero dowiadujemy się przyczyny rzekomej bitwy pod cerkwią, które

czekał niekiedy. Nikt się tam nie bije. To strasza snucie się naprzemiennie w wielkiej ilości w zabudowaniach środkowej wsi. Zaskoczenia kulami nie zdarzając w pobliżu nie zdążyli zabrać ze sobą wszystkich zapasów i teraz w piwnicach nabojów i granatów pękając przypominają kłosa, są straszenie, tak, że nawet niebezpiecznie jest zbliżyć się do planowania domu. W tej sytuacji dowództwo decyduje się na podłożenie ognia pod całą wieś. Niech zginie gnaszący wroga, a wraz z nim pozostawiona materija niech nie służy do mordowania bezbronnej ludności. Po zapaleniu reaktywa detonacja przypomina walkę na linii frontowej. Tak pozostały istnieć Polupy, baza wyparowująca ukraińskich resztek na polskie wsie i osady.

Ten sam los spotkał drugą wieś, będącą również jednym z rdzawych ośrodków wroga - Sokół, z którą z rozprawili się w drodze powrotnej oddział "Korda". W ten sposób ludność Rymacz, Rakowca oraz uciekinierów z wielu polskich wsi i osad w rejonie Lubożo, straszonej tak podobnie jak w Żaszykach, przestało straszyć niebezpieczeństwo.

Z pobytu w Rymaczach upamiętnił mi się jeszcze jeden moment. Na dzień chyba przed wyprawą na Polupy wybrałiśmy się, o ile pamiętam, z Gaeckim "Żywytko" na spacer w kierunku Bugu. Nie wiedzieliśmy, że do "czarnego" rzeki jest tak blisko, po niedługim bowiem marszu ujrzeliśmy spoza krzewów fałę rzeki, której nazwę, do niedawna nie nie mówiąc, teraz, to znaczy od 1939 roku stała się symbolem naszej narodowej tragedii. Przeczołowili polską ziemię, przedzielili ją na dwie części, oddzielając w tym sposób, a my Polacy, musimy stoczyć boje, furtki i przelewać krew, aby przywrócić swej ojczyźnie całość, wolność i niepodległość, wykryć i wyzwać wszystkie śluzki podziemia. Stałiśmy na brzegu, który w tym miejscu tworzył rodzaj brzozy, bo ziemia porośnięta była śluzkami wody kiedyś przysięgających, a dziś porośniętych trawą, pozostawionych przez furtki i wpływającą wodę. Patrzyliśmy na tocząca się jak na inną, w tej chwili obcy kraj, niedostępny dla nas, a robiący w tym momencie wrażenie spokojnego, bez run porzecz, bez ras, straszenia i krwi z obywatelskich walk, wywołanych podstępami naszych wrogów. Dopiero postać rzeki się dowiedzieć, że ludzie spod znaku "trójzubcy" tej ziemi nie zostawili kłótni w spokoju.

"Właśnie to tam, gdzie się ta rzeka, do rozdzielili kraj węgierski, opuszczając na zachód - stworzyli Niemcy okrutne obozy koncentracyjne, przed tam w dół jest Warszawa, centrum konspiracji i niepodległości w kraju. To oto odłogi o kilkanaście kilometrów Żywytko i brzozy na niej i na niej już osadzone "Generalna Obozownia", a którą Niemcy mają obić kłótni. To jest wazynko blisko, a nam, Polakom z wojny, jeśli nie mamy bez wiz, pasportów i przepustek nie wolno ...

Drugą staliśmy i spojrzeli na wolno płynącą wodę, na żuki i obce



niezakończonych się po drugiej stronie rzeki. Włokliwy i  
 odpowoli się do siebie tylko półśłówkami, urywkami, brzydymi  
 słowami. Przeważnie w milczeniu wracali też do swoich kwaterek, nie  
 przypuszczając, że ze niebezpiecznym roku zmuszeni będą iść na  
 stronę i tam znaleźć miejsce stałego zamieszkania, a tam, gdzie  
 się obecnie, być będą tylko nasze smutne, ciężkie myśli i wspomnienia  
 dziecięcych i młodzieńczych lat.

I nawet na moriskach ojców, dajadów, braci i przyjaciół nie wolno nam  
 być. Chociaż raz w roku położymy skromnej chryzantemy i wstaniemy za  
 spokój ich dusz ...

Droga powrotna do ziemskiej czoły minęła szybko i bez szczególnych  
 wrażeń. Rozprawiliśmy się jedynie z jakimś banderowskim czołyszem, potem  
 bezbronnej ludności polskiej, gdzie chyba pod Różywą, wódzów  
 do drogi paru resztek schwytych z bronią w rękach i woli, zdrowi  
 wróciliśmy w rejon Zesmyk, zostając w całości w najlepszym zdrowiu i  
 porządku. Nasze obawy przed wyjazdem okazały się całkowicie zbędne.

LEON KARŁOWICZ "RYDZ"

W S P O M I E N I A

1939 - 1944

Zeszyt II

Praca wyróżniona  
I - ssm nagrodą  
w konkursie Środowiska  
27 Wołyńskiej Dywizji



D A D W A

Wielu z nich walczyło i wrościu terytorium kontrolowanego przez nasze oddziały, bandy upowskie driskały dalej nadal. Opustoszały już dawne polskie wille, ociekła z pogromu ludność przebywała w miastach lub większych ośrodkach, jak Zasmyki, Dąbrowa itp. ale i tym ośrodkom nie przestawało zagrazać niebezpieczeństwo. W każdej chwili należało być przygotowanym na napad przeważających sił wroga. Miejsca Koncentracji zbrojnych band ukraińskich szewinistów, takich jak Swinarzyn, Włoczek i inne, siły ciągle jeszcze niepokój wśród Polaków. Szczepkiem i szeregi polskie w ciągu ostatnich kilku miesięcy wzrosły i okrzepły na tyle, że można było spieszyć ze skuteczną pomocą napadającym i mordowanym, jak też uprzedzać działania nieprzyjacielskie i likwidować ośrodki koncentracji jego oddziałów.

Jednym z takich ośrodków była Dąbwa.

Wios leżała parę kilometrów na południowy wschód od Kupiecowa, a więc niemal w bezpośrednim sąsiedztwie późniejszej polskiej placówki. Otaczały ją rozległe pola i łąki, po zachodniej stronie sączył się wśród osiedla niewielki strumyk porośnięty alchami i kępami koczyny. Zabudowanie wiejskie, stoczone przeważnie wieniewymy sadami, zajmowały płaskie wzgórze, z którego łatwo było obserwować całą okolice.

W drugiej więc połowie października 1943r. przyszła kolej na rozprawienie się z siłami wroga i w tej miejscowości.

Wyruszyliśmy z miejsca postoju na tyle późno, że do Dąbwy dotarliśmy, gdy było już zupełnie ciemno. Nie było śladu. Zwykle akcje zaczynały się skora świt, a wymarsz z miejsca postoju przed północą. Tym jednak razem por. "Jastrzęb", dowódca wyprawy, odstąpił od praktykowanego dotąd zwyczaju. Miał wliczenie jakieś własne inne niż dotychczas przewidywania i kalkulacje. Miał z pewnością poza stwierdzeniem faktu "odstąpienia od reguły" nie próbował wcale wniknąć, wierzając w niezawodną w tych różnych sytuacjach taktikę swego komendanta.

Ranek był pochmurny, lasz gdy zaczęły się na skraj wsi, słonce zaczęło się raz po raz wynurzać zza chmur i co chwila oświetlać jasnymi promieniami wznoszącą się przed naszymi oczami wieś. Ziemia po nocnym niewielkim przymarzku teraz rozmiękła tak dokładnie, że za każdym krokiem buty oblepiały się gęstym błotem.

Nieś niepokojów pasiane tu i ówdzie oziminy rozkrzewione w z w tym roku wyjątkowo ładnie zielonymi dywanami urozmaicały monotonny szary krajobraz, przetykany chatami, pojedynczymi drzewami lub kępami sadów. Poza wiejskim wzgórzem płasko było wokół jak okiem sięgnąć.

Nastroj w naszych szeregach był jak zwykle dobry. Nie mieliśmy wątpliwości co do rezultatu dzisiejszej wyprawy. Każdy orientował się, że w spotkaniach z polską partyzantką bulwersy nie wykazują tyle animuszu co wobec spokojnej, bezbronnej ludności, którą dotąd mogli bezkarnie bić, palić, mordować. Gdy stawali oko w oko z naszymi oddziałami, nie potrafili długo dotrzymać pola. Utarło się poza tym wśród żołnierzy przekonanie, że gdy akcją dowodzi porucznik "Jastrząb" /później tak samo będzie się mówiło o por. "Sokoł"/, nie może nas zaskoczyć i w najgorzszym nawet bitewnym zacięciu nasz dowódca nie straci głowy.

Na i raczej nie potrzebowaliśmy się obawiać uderzenia z tyłu, gdyż Czarniejów, Nyrny, Nowy Dwór i inne miejscowości leżące w naszej bliskości zachowując respekt dla polskich placówek, wolały w ich sąsiedztwie nie przebywać i tylko czasem dawały znać o sobie w formie większych lub mniejszych patroli podchodzących ku nam w celach wywiadowczych. Ale już wkrótce i te tereny miały wejść w skład Rzeczypospolitej Zasadzkiej.

Szliśmy wolnym krokiem wpatrzeni w widaćjącą coraz bliżej wieś. Buty zeslizgiwały się co chwila po odłączonych szwach głębokich kolein, wiał dość silny wschodni wiatr, przynosząc nam czasu dalekie odgłosy wystrzałów.

Przebywszy jakąś wyboistą greblę, porośniętą po obu stronach bezlistnymi o tej porze roku drzewami ciągnącymi się wzdłuż strumyka po zachodniej stronie wsi aż hen po krańce horyzontu, znaleźliśmy się na przedpolach Dąbwy w baranie niewielkiej od niej odległości - 400, może 500 metrów od pierwszych zabudowań. Wokoło panowała nadal pustka i cicha. We wsi żadnego poruszenia, tylko gązies na jej przeciwnym krańcu ujął kawzięcia-ochrypłym głosem pieś. Na dźwięk "gązicia", że miejsce uchodzące za baranę niebezpieczne robiło wrażenie wywołanego.

Patrzyliśmy ciekawie na osłupiałe rozciągające się na wzgórzach na południe od nas, przykładając dłoń do czoła, bo jakkrwe słuchając wędrujące nisko po niebeskłoniu, nieważkośnie raziko w oczy.



Ciągle głucha pustka. Ani żywej duszy, Nikt nie strzela, nikt nie ucieka, ani też nie próbuje powstrzymać naszego marszu. Czyżby wieszkańcy już wcześniej opuścili swoją wieś, a oddział upoważnił paszek ich śladami? I cała wyprawa miałaby ograniczyć się do spaceru i stwierdzenia tylko tego faktu? Że placówka nieprzyjaciela w Dawie przestała istnieć? Może to i dobrze, mówili po cichu niektórzy, nie popłynie niepotrzebnie ich i nasza krew, nie będzie nowych ofiar - zabitych i rannych, ale nastawienie się na walkę, a potem zwykła tylko pracochodząca nie zdarzają nam się daty.

Naraz, gdy "Jastrząb" dał rozkaz do powinięcia się oddziału w tyralierę i gdy plutony wykonały manewr szybko i składowo, jak na zajęciach terenowych, gdy stanęły frontem do zabudowań i uszyły pierwsze kraki naprzód, świeży nad głowami pierwszy pociski. Zarosła nad strumieniem odpowiedziały cichym warczącym MCM-owi. Tyraliera jednak maszerowała spokojnie, nie zwracając większej uwagi na reakcje serie. Wiadomo stało się tylko, że bitwa była chwila rozgarzejsza. Lecz ledwie uszyliśmy jeszcze parę kroków, na całą linię naszego oddziału posypały się rzęsiście strzały. Tym razem bez komendy "padnij!" chłopcy przyłożyli głowy do ziemi, bo kule drążyły powietrze tuż nad głowami. Tylko porucznik "Jastrząb" znajdujący się niedaleko mnie na lewym skrajnie tyraliery stał spokojnie, czasem lekko pochylał się i obserwował pilnie rozciągające się na wzniesieniu równoległe do naszej linii zarosła. Latąc na zagonie zielonego dyta patrzyłem to w kierunku skąd padały serie karabinowe, to na dowódcę, który nie spuszczając oka z nieprzyjacielskich pozycji zdawał się intensywnie rozmyślać nad dalszymi decyzjami. A pas zarosła grzmiąc tyczasem nieustannie.

Razem z chłopcami szły tego dnia dwie nasze łączniczki - Tosia "Wierna" i Joasia "Brenka", od początku związane walką i działalnością organizacyjną z całą polską samobroną, a szczególnie z naszymi oddziałami, powszechnie lubiane i szanowane. Specjalnie Tosia - koleżanka, bezpośredni i niewymuszony, w połączeniu z dobrym sercem zjednywał jej sympatię wszystkich żołnierzy.

Joasia wyjątkowo ofiarna, była bardziej poważna, zamknięta w sobie, skąd niektórzy pomawiali ją o lekką zarozumiałość, co nie było z pewnością prawdziwe, ale takie właśnie było silne wrażenie.

Teraz od początku maszerowały dziarsko z karabinami w ręku, uśmiechając się nawzajem, jakby dla podkreślenia, że taka wojaczka to dla nich nie nowego.

Gdy cała tyraliera leżała teraz na ziemi, obie koleżanki, nie chcąc

być widocznie gorsze od dowódcy, stały pasobnie jak on i także spoglądały z uwagą w zionące ogniem krzewy. Dopiero na głuchą uwagę "Jastrzębia" nie pozbawioną kartabliwej ścisłości:

- Czy obywatelki zechcą zachowywać się jak żołnierze? - przykucnęły, a potem pochyliwszy się prawie do ziemi, sarknęły wzrokiem przeciwnika. Odnosikiem wrażenie, że po drodze był im zabrudzić czyste, eleganckie sawsze płaszcze, lecz rade nie rade musiały rozkaz wykonać.

Gdy rozległa się komenda do ataku, a cały oddział skokami ruszył do przodu, strzały ukraińskie posypały się tak gęsto, że niemożliwością było znaleźć wiewna na ziemi, przywarłszy płaszcze do siebie lub zielonej murawy "Zboga". Porucznik "Jastrzęb" pochylił się tylko bardziej niż zwykle przedtem, popatrzył w lewo i w prawo, jakby obliczał nasze możliwości, krzyknął raz jeszcze na obie łęczniaki, by mocniej przywarły do ziemi, potem jakby upewniając się, że wszystko jest tak jak przewidywał i że nadchodzi stosowny czas do generalnego ataku, krzyknął donośnie:

- Pojedynczo, skokami, naprzód!!!

Rozkaz powtórzony przez dowódców plutonów i drużyn przeleciał nad po krańce szerokiej tyraliery i pojedynczy żołnierze zaczęli podrywać się z ziemi, by po przebiegnięciu kilku, czasem najwyżej kilkunastu kroków, pod osłoną ognia karabinowego leżących obok kolegów paść i natychmiast strzelając pozwolić następnym na wykonanie podobnego skoku. Cała linia powoli ruszyła z miejsca.

Strzelanina zawrzała teraz z obu stron.

Leżącym między "Sępem" z prawej i "Lwem" z lewej strony. Nawzajem pomagali sobie osłaniającym ogniem, lecz nagle rabid jednorazowo najwyżej po kilku kroków do przodu, gdyż bal-bawcy strzelali tu tak gęsto, że kule scierały się niemal o nasze ciała.

Bywały momenty, gdy jeden z leżących nie mógł unieść głowy wyżej, niż tego wymagała pozycja strzelecka. O poderwaniu się do biegu stracha była myśl. Musieliśmy wystrzeliwać momentu, gdy poczuli cichy niepokój i wtedy ruszaliśmy o kilka dalszych kroków, by natychmiast paść na ziemię. Sytuacja robiła się wcale niewesoła, gdyż i odwrot z tego miejsca byłby paskudnie trudny. Spajrzania okłapów błękitny coraz częściej w kierunku dowódcy, jakby w oczekiwaniu sbawiennej decyzji.

Upłynęło tak kilka minut.



Nagle stojąca w pobliżu domów na lewo od nich sterta słomy, z której również zdawały się dobiegać strzały, zaczęła płonąć, zadzielając gęstym dymem całe przedpole. Kto podpalił? Nasi, czy Ukraińcy? Jeśli oni, to dlaczego?

Jak się później okazało, to Tesia "Wierna" nie zważając na zakazy używania przez szeregowych pacisków zapalających, posłała kulę w najbliższą stertę i to w samą porę, że niewyraźna sytuacja zaczęła się przedłużać. Po chwili płonąło już jedno z zabudowań wsi. W tym samym momencie na rozkaz dowódcy głośno "hurraaaa!" ruszyło się wzdłuż całej linii, a tyraliera oddzieleną od kulbawców zasłoną z kłębów dymu, ruszyła biegiem naprzód. Przeciwnicy strzelali jeszcze krótką chwilę gorączkowo i bezładnie, lecz wiedząc, a raczej słysząc zbliżającą się spoza dymu polską partyzantkę, której ich kule wypijące się tak gęsto, nie robiły żadnego uszczerbku, stracili odwagę i ruszyli w popłachu poza chałupy i opłotki. Podaliśmy w pogoni za wrogiem. W kilkadziesiąt sekund później byliśmy już w miejscu, skąd dopiero co razili nas swym zawziętym ogniem.

Cał w rodzaju rowu strzeleckiego ujrzelismy wzdłuż wicoznych wzniesień krzewów i biegnącej za nimi drogi. Dobiegłszy tam zobaczyłem gniazda karabinów i stanowiska strzeleckie wyposażone obficie słomą, gdzie ukraińscy strzelcy mieli znakomite warunki do obrony. Pole obstrzału nie zasłonięte, nackoło płaskie obniżenie terenu i widok ze słoneczem pozwalał dostrzegać każdy szczegół, każdy nasz ruch - wszystkich razem i każdego z osobna.

Ileś kulek od nabeł leżących na słomie i nasypie rowu, świadczyła jak wielką ilość strzałów oddali przeciwnicy w naszym kierunku i miało to pierzechli.

Po dłuższej potyczce utwierdził się zapewne w przekonaniu, że "lachiw pali no berut". O ile pamiętam mieliśmy pod Dąbwą jednego tylko rannego, niezbyt uszczupłał go. Reszta wyszła bez szwanku. Po stronie przeciwnika było kilku rannych, lecz liczby ich nie potrafimy dziś już przytoczyć. Łup kilku karabinów i trochę żywności potrzebnej dla oddziału był też nie do pogardzenia.

Musieliśmy więc w tym dniu sporo szczęścia, bo gdy wróciliśmy na dawne miejsce postoju, któryś z kolegów chwyciłszy nagle swoją karabinem, krzyknął:

- Spójrz, jak byłoby nasze wrota Świętego Piotra! Wrota nasze stały się już o czasach: zobaczcie, chłopa!

Spójrzcież z dziwnym uczuciem już nie tyle strachu, ile zani-

Wiedza. Rzeczywiście nad czołkiem, tuż za orzeźką, furanką i kaskiem  
Widły przestrzeliny. Pociski musiały przelecieć w momencie, gdy by-  
łem zwrócony do banderowców profilem. Dziurki znajdowa-  
ły się w równej od siebie odległości na jednej linii na  
przestrzeni około pięciu centymetrów, a więc cała seria  
czuł nie uwięzła mi w głowie. Na szczęście Bóg strzeże...

Tymczasem po wkroczeniu do wsi ujrzeliśmy nieprzyja-  
ciół uciekających daleko już od nas w kierunku południowo-  
wschodnim, gdzie rozciągała się rozległa, pusta równina żak.  
Nad horyzontem wisiało jakby pasmo szarych mgieł, w których  
zniknęli najszybciej widocznie poruszający się uciekinierzy.  
O dalszym poszyciu nie mogło być mowy z powodu dzielącej nas  
od nich odległości.

Gdy kłedny przetrzasali jeszcze wieś w poszukiwaniu  
rezunów, ja z dwoma kolegami otrzymałem rozkaz udania się  
na południowy skraj wioski w odległość nie mniejszą niż  
400 metrów od ostatnich zabudowań i stamtąd aż do odwołania  
nieśliśmy obserwować okolicę. Podobne posterunki postawio-  
no we wszystkich stronach wioski. Staliśmy więc i patrzyli, jak  
nasi niedawni przeciwnicy i to wyjątkowo groźni, zatrzymali  
się okazyjnie półtora kilometra od nas i patrząc w naszym  
kierunku, od czasu do czasu posyłając ku nam pojedyncze  
strzały lub krótkie serie. Pociski leciały góra, nie czyniąc  
nikomu żadnej krzywdy. Gdy jednak kilku naszych na darty  
naszyło biegłem w tamtą stronę, Ukraińcy zaczęli natychmiast  
zmykać i to nawet wtedy, gdy nasi zatrzymali się, nie mając  
zamiaru biec dalej. Po paru chwilach, już ledwo widoczni,  
zatrzymali się znova i znova sadali po parę strzałów, nie  
wiadomo - z radości, że pogon ustała, czy dla dodania sobie  
odwagi. I tak było już przez cały czas naszego postoju w  
Dołwie. Dopiero gdy ściągawszy posterunki ubezpieczające  
oddział opuściliśmy wieś, bulbowcy zaczęli podchodzić bli-  
żej i na przestrzeni paru kilometrów szli za nami strzela-  
jąc niekiedy nawet dość gęsto, z zachowaniem jednak zawsze  
przystawnej odległości. Celność strzałów, jak zwykle, da-  
wała się skutecznie ocenić.

Oraz tej akcji utwierdził mi tym bardziej w przekonaniu, że  
nie wiele brakowało, abym popadł, być może w przykre tarapaty.  
Wystawieni z "Burzą" i "Sopem" daleko od centrum wsi o małą



nie zastaliśmy tam. Nie wiem kto był za postawunki odpowiedzialny, lecz po prostu zapomniano o nas. Dopiero po wycofaniu się oddziału za wieś, usłaje się Wilczek z całej drużyny szukać naszą nieobecność i po zamieszaniu o tym dowództwu wysłano kogoś na wzgórze, by nas ściągnął. Zobaczywszy nas, unosił karabin w górę i spuszczał go w dół, dał nam sygnał do zbiórki. Biegliśmy dość długi, nam dołączyliśmy do swoich.

## C H W I L A - R E F L E K S J I

Się siedzę i wspominać minione dawne czasy, ogarnia mnie przede wszystkim podziw dla ludzi tamtego pokolenia. Skąd brała się u tamtych chłopców odwaga granicząca z pogardą śmierci, jakiej nie spodziewałbyś się w żadnym wypadku jeszcze kilka miesięcy przed powstaniem Samobrony. Spokojni, weseli i dowcipni młodzi i starsi nie zadręczali przecie nigdy żadnymi skłonnościami, ani zainteresowaniami wojskowymi. Przywiązani do ziemi i pluga, do tego tylko zdawali się być stworzeni. Będąc w konspiracji zastanawiałem się często, czy jeśli nadejdzie oczekiwana ciwila, czy moje pokolenie zdobydzie się na porzucenie normalnego, beztroskiego życia i wybierze niebezpieczeństwo, głód, wojenną tułaczkę, rany czy samą śmierć? Sam sobie nieraz o to pytałem. Rozum opowiadał się wtedy za przyjęciem tego wszystkiego, bo taki był obowiązek Polaka, a uczucie lęku, niewiary we własne siły, we własną odporność psychiczną, a może i fizyczną, wzbraniało się przed taką decyzją. I choć w górę brało zawsze poczucie obowiązku, niepokój o wynik podjętej decyzji tkwił ciągle w głębinach podświadomości. Nie wiem do dziś ilu moich rówieśników z najbliższego otoczenia należało wcześniej do Ruchu Operu. Wierzę natomiast, że poszli prawie wszyscy na pierwsze wezwanie i stawali potem w szranki niczym dawne waleczne polskie rycerstwo. Często odnosiłem nawet wrażenie, że albo wcale nie liczą się o życie, albo brak im wyobraźni, nie zdają sobie sprawy z tego, że może w każdej chwili ich spotkać, dlatego igrają tak spokojnie ze śmiercią. Tak było w walkach z UPA, tak było i później w zmaganiach z Niemcami.

" Nikt im iść nie kazał, poszli, bo tak chcieli,

bo takie dziedzictwo miał po dziadach wnuki."

Wódek poznany kiedyś w szkole. W naszym pokoleniu było niestety inaczej: poszli bo musieli. Poszli z tytułu urzędowego nakazu, lecz z konieczności obrony własnej, obrony swoich rodzin, ale to nie najważniejszy fakt, że na głodzącej konspiracji nie zabrakło nikogo. A potem potoczyło się wszystko jak lawina. Do końca jednak siłą napędową w początkich działaniach była odpowiedzialność pokolenia za kraj i własne samobronstwo.

- Wasze są chętności z tamtych lat? - chciałoby się pewnie już nie słuchać przedmi, lecz powścią, z nutką żędną, bo uważa się czytać się wydawać, że ich wcale nie było.





Ufaliśmy bezgranicznie dowódcem. I to nie tylko oficerom lecz i najkłodniejszej kadrze podoficerskiej. Wśród członków batalionów i kompanii, jak się później dopiero okazało, występowały znaczne różnice w zakresie znajomości sztuki wojennej, odpowiedzialności za przyjęte na siebie obowiązki i za powierzonych sobie ludzi, a także w odporności psychicznej, zwłaszcza, gdy, po paratygodniowej otwartej walce w regularną armię niemiecką, zostaliśmy zamknięci w lasy i otoczeni zewsząd czołgami, samochodami pancernymi i bronią maszynową. Nie wszyscy wówczas wytrzymywali ciężar psychologicznego napięcia. Ale to było dopiero później.

W pierwszych dniach pobytu w oddziałach miało się całkowite zaufanie do kaprała i plutonowego, dzięki się wszystkim przebiegającym sprawnym szacunkiem, a udzielanych instrukcji słuchało się w największym skupieniu, potem w koleżeńskich grupach utrwalano się jeżdżąc usłyszaną wiadomości, a czym nasi oficerowie zapewne nie wiedzieli. A podczas walk i potyczek z całą precyzją staraliśmy się stosować zdobyte wiadomości w praktyce. I, co bardzo ważne - teoria, jak się przekonałem, wcale nie odłącza od praktyki, jak to zbyt często bywa dziś i wpływa fatalnie na wszelkie rodzaje edukacji. Nam wielu wszystkim się udało i utwierdziło w przekonaniu, że sztuka żołnierskiej należy uczyć się jak naderkładnie, gdyż w tym leży gwarancja naszych późniejszych sukcesów.

Słuchałem o to relacji o pierwszej obronie zdobytego już Kupiecowa, obronie trudnej ale zawziętej nieustępliwej i ostatecznie zwycięskiej, relacji prowadzonych w takim kontakcie, jak się opowiada o przebiegu dobrze, interesujące zorganizowanych przez instruktorów ćwiczeń. Każdy wiedział co ma robić, jak wykonać swoje zadanie, każdy stosował w praktyce poznane niedawno w zajęciach teoretycznych zasady działań ofensywnych i defensywnych. Wszystkie aspekty sprawdziło się. I w tym leży tajemnica powodzenia w walkach z banderowcami. Nie jedyna, naturalnie. Bo do tego dodać trzeba dobrą organizację wojską, uniejętność dowodzenia, wysokie morale żołnierzy oraz głębokie przekonanie o słuszności sprawy, za którą walczyć nam wypadało. Gdy wódnie się pod uwagę wszystkie te czynniki, wtedy dopiero będzie zrozumiałe, dlaczego niewielkie nawet oddziały mogły skutecznie stawiać czoła wielokrotnie niżej przeważającej nawałi. Cóż, nie przesadzajcie szafka górę. Gorzej było w głowach naszych przeciwników z brudnymi od niewiary i strachu.

Zdobycie Kupiecowa i umieszczenie tam naszej załogi było dużym sukcesem tak strategicznym jak i moralnym w naszych warunkach z UPA, ale nigdy się doznać... w tej chwili temu wszystkiemu, a czyja wtedy wspomnianie.



Jeszcze w szkole uczyliśmy się wyłącznie prawda na pozytywach. Program nauczania np. historii, a ile pamiętam, tak był pomyślany by ukazać młodemu chłopcu i dziewczynce wszystko to, co w naszej przeszłości było wzniosłe i piękne, a więc bohaterkie postacie, odwaga i męstwo wojska, mądrość narodu, wielkich Polaków, ofiarność społeczeństwa w ważnych chwilach naszej historii. Strony ciemne w życiu naszych przodków, popełniane błędy itp. nie należały do spraw i tematów najważniejszych. Czy myślę o tym dziś, bez uprzedzeń i taniego poklasku przyznającą głęboką słuszność twórcom takiego programu. Nie uważam takiej nauki za fałszowanie rzeczywistości. Cóż bowiem może dać młodemu orszkewikowi nieustanne mówienie mu o krzywdach, udrękach, głupocie władców, błędach politycznych?

Młody uczeń nastawiany jest przede wszystkim na dobre, piękne, radość. Nieustanne obracanie się w oparach zła niszczy charakter nawet dorosłego. Poza zniechęceniem i wstydem własnych przodków, nie wyniesie młody orszkewik z takiej szkoły nic. Może tym większe uznanie dla naszych bohaterów? Nie podobnego. Musiałoby to być bohaterstwo rzeczywiście wielkie, gigantyczne. Inaczej nauczy się młody uczeń zniechęcenia, obojętności wobec poznawania czegokolwiek, bo wódz"cie znajdują się zła i błędy, czasem tylko <sup>wypadek</sup> wypadek. I operuje potem nauką zawsze tymi samymi frazesami, bo pasują one do każdej sytuacji, do każdego przywódcy, do każdej sytuacji. Dajcie mi...? I tu zaczyna się hymn pochwalny, pompowy i sboy naturze ludzkiej. Po co więc się uczyć? Wystarczą frazesy!

Nas uczono szacunku dla całej przeszłości. I dla tej bohaterkiej i dla błądzącej. Wszystkie to było nasze, własne. Ucziliśmy się spadkobiercami całej przeszłości, choć mieliśmy też wnieść lepszą, piękniejszą Polskę. I tę lepszą Polskę przekazać swoim następcom.

"Państwo Polskie wzięte wzięte walką i ofiarą najlepszych synów, ma być przedawane w sposób dobiegając z pokolenia na pokolenie". "Każde pokolenie obowiązane jest wyświadczyć własną i wrażliwą wzmocnić siłę i powagę państwa". Od tych ról, a ile pamiętam, zrodziła się Konstytucja 1925 roku. Bez względu na władzę całą, ustawy konstytucyjnej, czy się wartykulał zaskłada czy tylko niektórzy, do początkowych sentencji wrażliwych do przekonania. Byłoby pierwszym pokoleniem, które od swych ojców miało przejąć ciężką wywalczoną dziedzictwo polskie, a potem przekazać je swoim synom. Wypadek wojenny sprawił

że musielibyśmy jak ojcowie bić się krowa o powrócone jego wkras-  
 szenie i jak ojcowie ginąć na wszystkich morach i kontynentach.  
 Ale zania do tego doszło, gdy na lokalach szkolnych zawiadliły  
 sprawy obowiązku wobec ojczyzny i pisali nam to tematy wyprac-  
 wania szkolne, nie były to dla nas tylko retoryczne zwroty, lecz  
 zasadnie jak najbardziej rzeczywiste. Pielniłyśmy i mówiliśmy sercem  
 i umysłem. Teraz więc z taką samą rzeczywistością realizowaliśmy  
 wypracowane sobie jeszcze w latach szkolnych zadania i to nie wia-  
 jąc się w żadną teorię, w żadne kalkulacje polityczne.

Wszystko do tu mówię - mogłoby stworzyć złudzenie, że nasze  
 ówczesne pokolenie było zupełnie bezkrytyczne, jeśli idzie o kwes-  
 tnie natury społecznej, oświadczyłam, że pragnę z całą szczerością podkreślić,  
 że choć nie byliśmy pokoleniem rozpetykowanym, to jednak zawa-  
 liłyśmy sobie sprawę z tego wszystkiego, co trzeba było w przyrodzaj  
 Polsce naprawić. Większość z nas - żołnierzy 27 dywizji - byli to  
 synowie chłopów. Zналиśmy nie tylko z obserwacji, lecz także z włas-  
 nego doświadczenia ciężkie położenie polskiego rolnika i ciężką  
 jego pracę. Samiśmy jej doświadczyliśmy od wczesnego dzieciństwa. W roz-  
 mowach naszych, już żołnierskich rozmowach, często poruszała się tem-  
 aty sprawy stosunków społecznych w Polsce. Na wsi i w miastach.  
 Nie mieliśmy potrzebnych do krytycznych rozważań i konkretnych  
 planów wykształcenia, wiedzieliśmy jednak, że na panującej przed wojną  
 sytuacji swego placota nie da się uprawiać. Musi być w Polsce prawdziwa demo-  
 kracja. Tego rodzaju były i te nasze takto nasi dewoccy. Tylko metody  
 jej wprowadzenia były jeszcze dla nas sprawą zbyt trudną, by je roz-  
 trzącać i o nich dyskutować. Wobec wydatko się pewnie w ówczesnym  
 stanie umysłów sprawdziłoby się raczej za postawą Cezara niż  
 Baryki do zmiany powłoki. Stanoż na Zeromskiego! Znajdo krowdę i to  
 z autopsji, nie poszlakami. Jej zwalczanie i uwalnianie od niej  
 jeńców, choćby i w ich głębi, w szanton krowdy drugich, stanowiących  
 nawet mniejszość w naradzie. Wówczas przed partyzantką, jako prawie  
 dzieci, wyrzuciłyśmy opłatę, właściciele ziemscy muszą sprzedać  
 swą ziemię chłopom, a państwo to kupno ziemi musi chłopom umożli-  
 wid, kredyty czy to tam jeszcze. Niech pan Sukowicki w Litwinie,  
 pan Laskowski w Zadybach czy pan Białostocki w Rekitnicy odstąpi,  
 nie bój się ich stawiać "pod ścianę", lecz niech pracują jak my.  
 Nie posiadacie tysięcy hektarów lasu, lecz dwa, trzy, ale tysiąc  
 hektarów ziemi ornej, lecz dziesięć hektarów mu zastawcie i niech  
 gospodarzy, niech uprawia, sięje, zbiera na równi z nami. A jeśli  
 będzie z tej ziemi uzyskiwał większe od nas plony, to najwyższą by-



dziany starali się od niego uczyć metod gospodarowania, na tych samych jednak prawach. W krótkim, do wybuchu wojny, życiu naszego pokolenia dwa najbliższe Zasady majątki ziemskie zostały rozparcelowane: Piórkowice i w krótkim potem Tłuszcz. Obydwa podzielone, na działki rozkupili przeważnie chłopci z Lubelszczyzny, "zna Buga" jak się wtedy u nas mówiło. Już wtedy wierzyliśmy, że jeszcze za życia naszego pokolenia musi to samo stać się z pozostałymi majątkami i wielkimi latyfundiami. Wierzyliśmy też, że fabryki i wszystkie wielkie zakłady przemysłowe, staną się własnością, prawdziwą własnością tych, którzy w nich pracują. Jak się to stanie? na to odpowiedzieć wtedy nie umieliśmy. Orientowaliśmy się tylko, że rząd generała Siniarskiego nie reprezentuje wcale polityki rządów przedwojennych, jak to się później wielokrotnie udowodniło nie tylko w nas wadwie. Poza tym byliśmy wtedy zgodni co do tego, że do realizacji swych zamiarów konieczna jest zgoda całego polskiego narodu, wszelkie próby rozbijania tej jedności są dziełem jałowym wrogów naszego państwa. A także naszego narodu. I taka jedność cechowała ludność Wołynia. Z jej brakiem zetknęliśmy się dopiero po lewej stronie Buga, ale o tym na innym miejscu.

Wspomnianym na początku, o zaufaniu do oficerów i w ogóle dowództwa dywizji. Nie jest to pusta deklaracja, lecz opinia każdego niewątpliwie żołnierza. Wyjątek mogą stanowić bataliony "Siwego" i "Olgierda", które w najtrudniejszych chwilach ciężkich walk z hitlerowską armią zawiązy się na swych dowódcach. Ale w gronie wojska, liczącej około siedmiu tysięcy ludzi, mogło znaleźć się dwóch o zbyt słabej samowiedzy psychicznej oficerów. Ulegli tragicznemu cytuacji. Zawiedli żołnierzy sobie powierzonych. Uszli z pola walki. Została po nich plama na honorze dywizji. Nie mogą jednak dawać ludnie przeczekać o wartości całej kadry oficerskiej. Nazwiska "Lubonja", "Oliwy", "Kawala", "Zagoty", "Gardy", "Twardego", "Jaszczyka", "Sokala", "Praska", "Zajaca", "Gajmsa", "Kani" - to tylko te powtarzające się wśród żołnierzy najczęściej - pozostały na zawsze w pamięci żołnierskiej niaskalanie czyste. A ich wyjazd nie kończy się przecież na wyjeździe wymienionych. Pozostała jeszcze długa lista dowódców kompanii, plutonów, komendantów różnych szwadronów, którzy mogą być tylko wawron ale żadnego żołnierza. Wszyscy oficerowie bez względu na stopień dalej i niechcąc żołnierskiego trybu, naradzali gwałtownie na równi z szeregowymi, cierpieli głód, udrękę wozowicy, ale trwali do końca na swych posterunkach. Pozostali także, gdy

...nie przysłużył się, więzienia, ciężkie wyroki. I że to  
 też należą im się słowa najwyższego uznania. A jeśli nawet  
 zachce ktoś doszukiwać się w poszczególnych oficerów wad  
 charakteru, takich, czy innych drobnych "grzeszków", jeśli je  
 nawet znajdzie, to w nichym nie umniejszą ich zasług, wprost  
 przeciwnie - jeszcze je podkreśli, bo to wady uczynią ich bar-  
 dziej wiarygodnymi, pełniejszymi ludźmi. Każdy nosi w  
 sobie jakąś niedoskonałość. Samo tylko idealizowanie, całowio-  
 ko jest trochę podejrzane. I nie do oficerów nasza dywizja  
 adresował chyba pan Antoni Przytycki słowa ze wstępu do "Lod-  
 nych ognia", gdy układał się jak żołnierz AK czekał, bezskutecznie  
 na walkę z wrogiem. Pomijając fakt, że takich oczekiwań, gdy się  
 racjonalnie przejrzy historię naszego się nie znajdzie, a już su-  
 gerować to w odniesieniu do 27 - ej dywizji, jest zupełnie absurdem.  
 Chwała tym, którzy walczyli w najtrudniejszych warunkach  
 i nie ugięli się, chcieli wstąpić głusili, przed przewagą wroga.  
 Jeszcze większą chwała tym, którzy wierą w walność, dobro i prawdy  
 przypisochwalali własnym dywizjom. ...  
 W "N O W Y M" "D W O R Z E" ...

Skala zwycięstwa w naszych zmaganiach z krwawymi bandami  
 ukraińskimi zaczęła wyraźnie przechylać się na naszą stronę. Redia  
 "Rzeczpospolita Zachodnia", reakty też liczebnie szeregów jej wojska.  
 Obok oddziału "Jastrzębie" znaczną już siłę reprezentował drugi  
 oddział parucznika "Kani". Prócz tego załogi sanitarny w Złoczowie,  
 Janowie, oddziału oraz oddział "Malinowskiego" w Lublaty-  
 nie czuwały także skutecznie, jak dotąd nad bezpieczeństwem polskiej  
 ludności. Ważnym punktem strategicznym stał się zdobyty niedawno  
 Kupańców. Takie było zdanie nie tylko naszej kadry podoficerskiej,  
 w którą byliśmy blisko i prowadzili częste rozmowy, lecz także spo-  
 tykana ludność cywilna, posiadająca te same poglądy.

...nie miało to bandy upewnić żeśmy nadal i nie nie walczywa-  
 le na tej, że z tej działalności żołnierską nie wyłączać. Jakichś  
 tajemniczo pogłoski nie przedstawiały do nas docierać, czyli na od-  
 dawał szalonymi od pogromu, wiałem się głębie groźba śmierci. Od począt-  
 ku więc świadomie nasze przyjęła jedynie w tymże sytuacji taktykę  
 uprzedzić, gdzie można działania szalbawców, uderzać najmocnymi  
 wyprawisko siłami, ale wtedy i w takich miejscach, gdzie się tego



najbardziej specjalizującą. Tak było pod Gruszkową, Długą, Kupiecowską, tak miała stać się teraz pod Nowym Dworem.

26 listopada 1943 roku, około godziny drugiej po północy, niewielka załoga Kupiecowa w pełnym uzbrojeniu wyruszyła w kierunku tej wsi. W snobie pozostało załadowane kilka żołnierzy i sprzęt z amunicją czołkowej. Reanita prowadzona przez znajomych doskonale teren miejscowych Czechów, Kautwiców, maszerowała ścisłe, ostrożnie, mając wzmocnione ubezpieczenie przednie i boczne. Zanim nastąpił świt, oddział dowodzony przez sierżanta "Grzesia", dowódcę kupiecowskiej placówki, minął są poludnia Długą, rozbitą parę tygodni temu przez "Jastrzębia" i osiągnął skraj Nowego Dworu.

Przyznaję się szczerze, że maszerujące w ciemnościach w nieznanym kierunku, bo zwykle dopiero przed akcją informowałem nas dokładnie o oczekującym zadaniu, nie czułem się spokojnie i pewnie, jak w sytuacjach, gdy na czoło pachoła, majętna się "Jastrzęb" lub później Sokoł, Lubiliński, "Grzesia" i oddarowywali mi szacunkiem, ale nie mieliśmy okazji poznać jego umiętności i dowodzenia w warunkach takich. A to w psychologicznym nastawieniu żołnierza znaczy bardzo wiele, stąd też całą drogą rozmawiałem, jak potoczą się losy dzisiejszej ewentualnej bitwy? Może nie będzie śle, - paciechałem się, ale....kto wie?

Świt się robił, gdy dowódca zatrzymał oddział. W krótkich słowach przedstawił plan działania i cel dzisiejszej akcji. Mamy nabrać na Nowy Dwór, miejscowość w której znajdują się podobno większe siły nieprzyjacielskie, mogące stanowić niebezpieczeństwo dla Kupiecowa. Ich zastab niechci się, o ile wiemy, w domu między innymi drzewami - wskazał ręką na wylaniające się z krawędzi ścieżki kontury jakby parku.

- Długość u skraju południowej części wsi. Tu się nas pewnie nie spowiesikują, bo Kupieców znajdują się tam - znemu wy-ciągnął ręką na północny zachód. - Obejdziemy ich także od wschodu! Za mówiąc sierżant "Grzesia" wydał rozkaz jednej drużynie, by ostrożnie przesuwała się wó wskazany kierunku i na straż z ręką, strony, rozpoczęła natarcie na centrum wsi. Pojem jeszcze parę słownych uwag i wyznaczeni okłopy prawie bezczelnie jak cienie znikli w zamglonej szarości.

Nowy Dwór jak się okazało, nie był wielką wioską. Złamał się z trzydziestu do trzydziestu pięciu gospodarstw. Może się było, ale taka liczba utkwiła mi w pamięci. A największą uwagę wpatry-

walał się w swą grupę drzew, gdzie miało nogaćwać się ukraińskie  
dowództwo. Kto go zagarnie? Sierżant "Grzesiek" uprosił, by na  
wypadek zabrania z bliskiej odległości bulbowcy nie strzelał,  
lecz wstrzymać się od podania się. I brał żywność. Barada przytaknął "nie  
nie" język".

Palnik w tym dniu funkcję amunicyjnego. Obrońcy naboja-  
mi karabinowymi niechętnie odstępować "Kasę" erkański - "Białego".  
Stacha Skarupkiński, wysoki, szczupły i pechliwego nie do  
przebić chłopaka a niezwykle "Kasę" charakterze, który zawsze ko-  
jarzył się z "Langinosem Podbipiętą". Dzwignął więc Stacha na ramie-  
niu "diachterowa", a ja siedział za nim jak cień, by w każdej  
chwili służyć mu pełnymi talerzami a dańciami. Ograniczenie byłam prze-  
jęty ty ręką, tymbaraniej, że palnik ją poraz pierwszy i przyznał  
się, że nie czuł się tym wyróżnieniem zachwycony. Po pierwsze -  
była to dańca, a po drugie wolałbym być zupełnie "Kasę", a  
nie być przyzwyczajony do się na niego i bez względu na sytuację nie  
odstępować go ani na krok. Lecz "Kasę" był reakcją i różne wglę-  
dy osobiste - podobnie się, czy nie podobnie - nie wchodziły w rachubę.  
Dwiekła się więc patrzył na przedwole i jednocześnie pilnował  
się swego bezpośredniego niejakie zwierzątko.

Tymczasem zamiast uspokoić uspięną wieś, Sanki zastaliby  
zakładani niepokojonymi strzałami, które rozlegały się negle-  
ca "najbliższych" zabudowań. Kule wykapły nad głowami, dając znać,  
że niebezpieczeństwo już nas zdążyło odwrócić i wcale nie było "Kasę".  
Najgorzej było to, że grupa "Kasę" od wojska wojska nie miała  
chyba nawet "Kasę" dręgi. Zanim więc "Kasę" "Kasę", upłynęło  
jeszcze kilka czasu.

Podłizny na wilgotną ziemię. Położył się i od nas strzelił.  
Podając i podając się, aby podać kilka kroków "Kasę" się  
w tyralierę. "Kasę" puszczając kilka "Kasę" w kierunku zabu-  
dowań, nie mając przesądzonej pewności, że jego podziękują  
niektóre "Kasę" znaczenie, ponieważ wiedział, że była "Kasę" wy-  
jątkowa "Kasę". Ale w tej chwili padała "Kasę".

- Po "Kasę", strzałami, naprzód!

Cała linia podawała się. Odległość od pierwszych drzew zabra-  
ła szybko niosła. Bulbowcy strzelali wystrasznie głośno, lecz niecelnie.  
Byli chyceni własny rozumowaniem, nie wiedzieli, że już od dawna  
nie. Kule kładły się synowi "Kasę", nie robiły jednak nikomu krzy-  
wdy ani nie powodowały "Kasę". Wstrząsła się, że "Kasę" nie  
pozwalała już do "Kasę" "Kasę". Od "Kasę" się w "Kasę"



za pierwszymi zagrodą, strzały nagle ucichły, ale po krótkiej chwili sławą się znawa, tylko z nieco dalszej odległości. Znaczyło to, że Ukraińcy zafarli się tylko ale z walki nie przerynkali.

Domy otoczone wysokimi drzewami były już bardzo blisko, gdy rozległy się strzały z prawej strony. Czyżby odwrócił? Ale żąd strażków świstu kul nie było słychać. Zrozumielibyśmy natychmiast: to grupa wysłana na wschodnią stronę, wai wchodziła do akcji. Moment ten musiał wyprawić bulawców w popiołach, że nagle ucichła. Wtedy rozległ się rozkaz dowódcy:

- RKM, zajęj stanowisko koło tamtego drzewa i osłaniaj lewą skrajką! Pozostali naprzód!

Przebiegliśmy z "Białym" na wskazane miejsce. Był to rodzaj pólnej drogi, biegnącej niewielkim pagórkom na lewo od zabudowań wsi. Widoczność stąd była znacznie lepsza. Wprawdzie nad ścieżką widać było ciągle jeszcze rzadką mgiełkę, która była jednakowoż i słabnie ani na moment nie wyjrzała spoza ciężkiej warstwy chmur, ale drzewa wai i dalsze nawet zabudowania były stąd całkowicie niewidoczne.

Nieca przelazły drzewami otaczającymi jakieś duże domostwa, przycupniając wtery dźwięk szlochów, burzących się kłosa przelazli. "Biały" natychmiast wysłał ku nim jedną krótką serię, śruga, trzacią, Znikły w tym samym momencie. Nie wiadomo - trafione, albo ukryły się ukryć. Grupa nacierająca od wschodu zbliżała się tymczasem coraz bardziej, że strzały sypały się z coraz bliższej odległości. Wreszcie ukazały się i sylwetki biegnących pełen naszych chłapaków. Odebrałem od ukazanego pustą tałarz i przelazłem nowy. Gdy go zakładał, rozległ się nagle nieduże na prawo od nas huk eksplodującego granatu, jakieś głośne krzyki, nowarkowania, a za chwilę spośród drzew zaczęły unosić się w górę gęste dymy. Palące się stała i stojąca w pobliżu sterta słomy czy siana. Dym przesłonił na chwilę naszych, ale sta już wyłaniają się spoza czarnej chmury i dopadają swego dużego dźwięczącego, zbierając go naszkole, krzyczą na kogoś "stój!", "stój!" - i strzały prawie zupełnie milkną, odrywając się jeszcze czasem pojedynczo. Nie słychać dalej, chyba spoza wai. Nie uległa wypłiwadzi - Nowy Dwór został zdobyty.

Wolne leżenie pod drzewem z ukazanym było już zbyt niebezpiecznym przybliżeniem do ścieżki. Drywono sława, rozbiegane nowy, wylazła dziesiątki się wrażeniami z ostatnich paru minut, wsta tylko chwila. A na wszystkich twarzach wyraz radoznego pełnienia. Zauwa jedno

Wszystkie krwawych upoków zostało rozpadzone.

Nie uczucie euforii nie trwało długo. Nie zdążyli się jeszcze wycofać do forsownym biegu spod odległego drzewa, gdy od strony południa dobiegło słyszalne wołanie:

- Chodźcie tu prędko! Sierżant "Grzmot" ranny i potrzeba pomocy. Ruszili się w tym samym kierunku. Nie dobiegli jeszcze na miejsce, gdy już zabudowa wychyliła się sylwetka Houswica i kilku od niego oddziałów, podartymi dowódcy. Był blady, na rękach widniały ślady krwi rozmazanej po skórze, ale z twarzy nie schodził spokój i słaby uśmiech, który zawsze u naszego komendanta był widoczny. Spojrzawszy w prawo, nieopodal na ziemi koło zabudowań leżał Staszek "Rajfun", kolega z drużyny. Któryś z oddziałów pochylony nad nim coś mu mówił, lub o coś pytał. Ranny nie mógł się podnieść. Miał, jak się okazało, przeciętą i bezwładną nogę. Przenieśliśmy go ostrożnie na sucha, suchego miejsce, posadzili na słońcu, oczekując dalszych rozkazów. O tej porze, jak poinformowali nas znajdujący się od południa oddział koleżki, parę minut temu dostali, lecz nie chcieli wcale powstrzymać ataku. Teraz zaczęto zakładać im prowizoryczne opatrunki.

Wtem od strony południowo-wschodniej z odległości nie większej niż kilkadziesiąt do półtora odeszła się kilka strażaków. Kula wisiąca nad nami, Sierżant "Grzmot" zwrócił się do "Kowińskiego", który akurat nadchodził, patrząc także w stronę, skąd odeszły się strażaki:

- Janek, obejmiesz komendę. Ja trochę dostanę. Wyślą tam kogoś, trzeba sprawdzić, kogo tam diabli nie są. - Wskazał ręką w kierunku, skąd znawu posypały się gęstsze jeszcze strzały.

"Kowiński" szybko wydał stosowne rozkazy. Kilku wyszczepionych oddziałów szeregowawszy karabiny pobiegło spieszenie we wskazanym kierunku. Parę innych wysłał plutonowy "Kowiński" z poleceniem przyprowadzenia jakiejś kobiety, która zbierała rannych.

- Dylko prędkiej prędko! Jedną, a jeszcze leżącej dwie! - wołał po odwołaniu się.

"Wład" i "Kotówka" zwrócił się teraz w naszą stronę nowy dowódca. - Karabiny z ramiem i przypilnować tego gęstego!

Wtedy też, zaraz spostrzegłem, że zza chaty wybiegła się jedna z naszych dziewczyn, prowadząc przed sobą kulbawca. Był bez czapki, w ciemnym płaszczu, wycieczonym w kieszonki. Ręce trzymał nad głową i widać było, że jest przestraszona. Na jej twarzy widniała "Kowiński", który odwrócił się i podał jej rękę. Wtedy też, zaraz spostrzegłem, że zza chaty wybiegła się jedna z naszych dziewczyn, prowadząc przed sobą kulbawca. Był bez czapki, w ciemnym płaszczu, wycieczonym w kieszonki. Ręce trzymał nad głową i widać było, że jest przestraszona. Na jej twarzy widniała "Kowiński", który odwrócił się i podał jej rękę.

- Wład, się schowaj do chaty, nie wychodź! - wołał "Kowiński".  
- informować "Grzmota" "Kowiński". - Oczekuj karabin bez problemu. -  
głównie. Jeżeli odpowie sznurze na pytanie, wówczas widać było, że



Województwo po nich straszek, słoń z karabinem, potowidło do strzelcu. "Kowiński" z kilkoma chłopcami odziedziczył jaskółce w kierunku wsi i płonących dachów zabudowań. Ogień huknął głęboko, spryskując nisko powietrze. Spoza wsi rozległy się znów pojedyncze strzały. Z pobliskiego podwórka wyjechała furka zaprzęgnięta w parę dobrze utrzymanyh koni. Okolice Kupiecowa należały do bogatych stron. Gleby tu były urodzajne, gospodarze mieli sieni sporo, o konie dbano więc w szczególny sposób. Pisanie się po nich samośność rolników.

Udy furmanka zatrzymała się na drodze przed naszą grodzką, chłopcy pomogli usadowić się na niej sierżantowi, a po opadli na drugą, która zajechała wkrótce klusam i z niewielką zaprawą, utoczyliśmy Staszka "Tajfana".

Nadzieję "Kowiński". Zawładca "Gromot", że wysłany w kierunku powrócił z doniesieniem, iż Ukraińcy, którym niedawno wzięli od południowego zachodu posuwają się bardzo powoli na północ w kierunku Kupiecowa. Być może, że chcą nam przeciąć drogę. Jest ich niewiele, ale gdzieś dalej może znajdować się większa siła.

- Wycofujemy się, co? - zakończył relację "Kowiński".

- Myślę, że tak - odrzekł "Gromot" - ale ty jesteś dowódcą. Decyduj! - I zaśmiał się swym charakterystycznym niskim głosem. Słuchając sierżanta "Gromot" był niezwykle "zależliwy" i udzielał o wio żołnierzom, uspokajał ich sercem. Jak było i teraz. Ukraińcy, posuwający się gdzieś tam na prawo od nas jakby przestali być groźni.

"Kowiński" polecił żołnierzów ubarwienia. Potem podszedł do jaskółki, którego przetrząsnął wózek bez przesady biegł po stojących i przechodzących naszych chłopcach. Odprowadził go nieśmiało na uboczne. Zaczął się do niego mówić coś półgłosem, a ten kręcąc głową powtarzał za każdym razem:

- Na snaju, pane, jej bohu na snaju.

Indagacja trwała kilka minut i widocznie nie przyniosła żadnego efektu, bo "Kowiński" zwrócił się nagle do kolegów stojących najbliżej:

- Zabrać go za stadokę! Do bezbronnym łacie strzeled, a gdzie nie potrafi, sukiennik!

- Ja na stralam, pane! - krzyknął ktoś z głębi i poprosił: - Ja na stralam! - powtórzmy jeszcze parę razy.

- Tylko rękawce, kotrze, co? - krzyknął groźnie jeden z prowadzących.

Tym razem Janiec milczał, tylko twarz mu się, dziwnie wy-

krzyków. Dostał na oskym ciele. Nagle stonął i krzyknął odwracając się do dowódcy:

- Pasa, pomóżcie, ja wże nie budę!

Wiedział pewny, że za chwilę rozpłaczę się. I nie wiem dlaczego wrażliwość na się go naprawiła. W śmiechu dziękowałem Bogu, że nie miałem kazać dowódcy wykonać wyrok. Nie wiem, jak bym się zachował? Czy zdobyłbym się na oddanie strzału do bezbronnego, choć bez wątpienia - rezuna.

Nie przypominał sobie dokładnie, czy dowództwa ukraińskie, o którym słyszeliśmy na początku, zostało zlikwidowane. Było kilku zabitych Ukraińców, ale czy wśród nich znajdował się ktoś ze starszyny, tego powiedzieć bym nie potrafił, ani chyba nikt z nas. Zresztą i tak nie znaleźliśmy żadnego przywódcy osobiście, gdyż więc nawet jeśli wśród zabitych, nikt by go nie rozpoznał. Świadził jednak należało, że raczej zdążyli uciec.

Czy wracaliśmy do Kupiczowa, długo odprowadzali nas strzały Ukraińców, nie kończyli jednak zdobyć się na odstęp, by zaatakować skromny nasz oddział. Tak miało być we wszystkich późniejszych wypadkach, że przeciwnicy będą okryci kilometrami odprowadzali nasze oddziały, ale zawsze z odpowiednim dystansem.

Pracowałem się w tej sfoji, że nawet ten główny dowódca naszego oddziału, porucznik "Jastrzębia" i podoficerowie potrafili radzić sobie w trudnych sytuacjach. Naprawdę wtedy dla "Grakota" i dla "Kowalskiego" większego jeszcze respektu i poważania.

Od tego dnia w miejsce dawnego sztabu "Grakota" dowództwo nad kupiczowską placówką objął plutonowy "Kowalski".

## 2. CYCLOGIEM NA KUPICZOW

Kawa w Kupiczowie upływać się zaczęła, jak na warunki ukraińskie, przyjemnie. Szefi, głównie nieznaczący właściciele, otaczali nas wprost niewiarygodną troskliwością. Ten znokodowany "Suchwiński" wchodził za pomocą niejednej, któremu dane było być wtedy na tamtej samej placówce. Był gościnni, zapraszali nas do swych domów, wideli wstydliwych i szkodliwych. Jedynym sięganiem były nieustanne warty i patrole we wszystkich kierunkach, zwłaszcza nocą, bo w dzień na wywieńczone widać w rytmie. To nie było? Obserwator i zaobserwował, co się wokół dzieje. Kuchnia była widać i tak na wywieńczone węgórnu, a widać więc widocznie było widać widać. Dowodzą unowcy jakoś przybytki i nie odnowy. Widać widać widać. Zwiększa teraz po rozprawieniu. Widać, Dobra i widać. Nowego Dobra byliśmy pewni, że przez dłuższy czas zostanie nas w spokoju. Nie było jednak nocy, aby do Kupiczowa nie dołączyły





do wysiedli przed plebanią, obok na schodach kościoła i patrzył na nich. Wyglądali jak panowie i władcy. Obaj Bieleccy z Piłkowiec-  
kimi i Iwan - byli szczególnie pewni siebie. Ciekawa, gdzie się  
teraz znajdują?

- Dobra pamiętam, jak 19 września 1939 r. szedł z ugrupowanymi  
na połacie z Kowla do Zielonej razem z groźdą Kolarów - Ukrain-  
ców - przypomniała mi się przykra scena, gdy szedłem obok Łyżca.  
Ile razy zmieniali jak ci Ukraińcy skórę w ciągu tej wojny?

- A ile razy jeszcze zmienią - rzucał któryś z idących obok  
kolegów.

Rozmowa urwała się. Szliśmy dalej w milczeniu, rozmyślając nad  
dziejami losami i tej wojny i plataną spraw politycznych, narodo-  
wościowych, których byliśmy świadkami, a które były dla wszystkich  
wielką niewiadomą. Zatrzymaliśmy się jeszcze ze dwa razy, by postu-  
chać, czy nie dobiegną jakieś głosy lub samary, ale cisza panowała  
nadal, tylko mgła robiła się coraz gęstsza, w miarę jak na wschodzie  
zaszywał się biały świt. Rozwidniało się wyraźnie, gdy dotarliśmy  
do Kupiszowa.

Uśmiełowaliśmy dowódcy placówki, plt. "Kowińskiemu", że wszyst-  
ko w porządku i zamierzaliśmy iść do swej kwatery na krótki odpoczy-  
nek, lecz nie zważaliśmy jeszcze wyjść z domu Kowalskich, gdy wbie-  
żony patrol ze strony Saszybady z meldunkiem, że w gęstej mgie wi-  
dziano z bliskiej odległości bardzo dużo uzbrojonych ludzi mówiących  
w języku ukraińskim. Najprawdopodobniej i oni widzieli Polaków, lecz  
wzięli ich pewnie za swoich bo jakiś czas szli przewle obok, nie  
zwracając na nich uwagi najmniejszej. Korzystając z mgły patrol zni-  
knął im z oczu i pośpiesznie przybiegł z groźną wiadomością.

Po kilku minutach podobny meldunek przyniósł koleżny patrolu-  
jący teren w okolicy Osarniejowa, a gdy poprzednie wiadomości potwier-  
dził także uczestnicy patrolu spod Dażwy i Nowego Dworu, nie ule-  
gając wątpliwości, że Ukraińcy przygotowują dziś napad na Kupiszów.

Plutonowy "Kowiński" zarządził natychmiast alarm i całego mia-  
steczka szybko wzięto stanąć na nogach. Wszak się ruch, ponieważ  
przebiegano także czeską samoobronę, członkowie jej biegli więc z  
różnych stron na miejsce zbiórki. Nie było chwili do stracenia,  
gdy zagrożony mogli już być "u bram" osady. Pośpieszenia, ale na  
szczęście bez paniki zorganizowano najnowszą wypracowaną taktykę  
i rozpoczęła się bitwa. Po kilkunastu minutach rynek ogarnęła ciem-  
ność i w ciemności odległa strzelano ciemno. Przez chwilę przestali  
być widoczni i kolumny. Reszta leżała już przeważnie na ziemi.

Obok jednak mogła zrobić parostka ludzi iść do domu i samo-  
obronę klasyczną przedsięwzięt osób. W doświadczeniu także z nas miał po-  
kalkulacja szlak komunikacji, wyjawczy okoliczności. A Kupiszów był...



ją osadę, i na dostatecznie obsadzenie całego miasteczka trzeba było koniecznie trzy razy tyle żołnierzy, zwłaszcza że w roli patrole wznikało, iż wróg zgromadził do zdobycia osady niemałe siły. Nie było jednak rady. Trzeba było z uabrać się w odwagę i z całkowitą determinacją czekać. Rozstrzygnięcie nastąpi niewątpliwie każą chwilą.

Mieliśmy na szczęście do dyspozycji kilka schronów, lub jak nazywali to niektórzy - bunkrów. Były to doły głębokie niemal po szyję o boku prawie dwa metry, wyścielone słomą z deszczkami nad grzewą. Deszki były wsparte na słupkach i przykryte grubą warstwą ziemi. Stanowiły dobre schronienie przed kulami nieprzyjaciela, a obrotowo dawały dobre warunki obserwacji i obstapaku. Gdzie miały być "bunkry", przygotowano wcześniej zwykłe stanowiska strzelnicze, również wymaszczone słomą i z podpórką pod karabin. Wąsyknie te umocnienia wysunięte były około 50 metrów przed gęsto zabudowaną rzędą stajni i domów osady.

Na towarzysza niedoli wyznaczylem mi "Kowiński", "Wilczek" i kazałem nam zejść schron w narożnej części miasteczka od strony południowo-zachodniej, czyli od strony Czarniawca. Pole obstapaku mieliśmy bardzo szerokie, lecz gęsta mgła skracała widoczność do kilkunastu najwyżej metrów. Sytuacja wyglądała absolutnie nie zachęcająco. Popatrzyliśmy niespokojnie na przedpole. Ile strzelców zdobyamy oddać, gdy wypadnie na nas zwa mgły tyraliera napastników? Po dwa? Najwyżej trzy! Odległość do bunkru można przebiec pokonać w kilkunastu sekund. Spojrzeliśmy na siebie. Nie powiem, żebyśmy mieli bohaterkie miny. I nie próbowaliśmy ani przez chwilę na bohaterów porwać. Po skórze przelatowały na zmianę zimne to żnów gorące drższce.

- Pewnie tu dziś zakończy się nasza wojna - rzekł głośno do siebie sam "Wilczek", patrząc uporczywie w gęstą zasłonę mgły.

- I to za czas w dół - próbowałem śartować, ale i mnie i kolegów słowa nie wydawały się niesmaczną i prądką groźką. Umilkłem. Widać i się próbowałem kontynuować próbną rozmowę.

Płynęły minuty, kwadransy. Wokoło panowała cisza, tylko od czasu do czasu przerywana pojedynczymi strzałami, śaczkującymi z niedalekiej odległości z różnych stron Kupiecowa. Wydawało się jednak, że nasz tyk nie poruszała się, że strażki nie przesuwały się. Gdy tylko minęła więcej godzin, zaczęliśmy nabierać otuchy, że może w końcu się jedynie na plamie i wprost wreszcie do poprzedniego dnia. Opatro na dostaliśmy w lewym Dworku, w Dworku, widziałem jak widać odjechał i zaczął odjechać? O tyle odjechał i zaczął odjechać odjechał odjechał odjechał, trudno było naszym wrógom posiadać. Ale... Kto wie?

Mgły bardzo powoli, rzadko, ustępowały. Gdy widoczność powiększyła się do około dwustu metrów, coś nagle poruszyło się przed nami. Po chwili widzieliśmy już majaczące się w oddali sylwetki w pozycji jakby klęczącej, bo unosiły się nisko nad ziemią. Nie było wyprawdzie rozkazu strzelania do niezidentyfikowanych celów, ale nie było też zakazu. Na wszelki wypadek postanowiliśmy oddać po strzale do poruszających się cieniów, choćby dla pokazania, że jesteśmy i zauwamy. Wymierzawszy dokładnie huknęliśmy prawie jednocześnie. Cienie znikły, ale i my obaj w tym samym momencie przestraszyliśmy się, że daliśmy im hasło do natarcia.

- No, to tylko czekać, jak zawołają swoje hurra! - powiedział jakos nadzwyczaj spokojnie "Wileczek". - Ciekawe ilu ich będzie? Pewnie dwa!

- Niepotrzebnie strzelaliśmy odrzutek. - Słucha amunicji, a im i tak pewnie nie zrobiliśmy.

Łecz płynęły znów chwile, a nowe postacie nie pokazywały się. Panowała nadal cisza przerywana ciągle pojedynczymi strzałami.

Wtem za kościołem, od strony południowo-wschodniej rozległa się ostro gęsta karabinowa. Po niej krótka przerwa i znów jeszcze gębszej pozycy się serie z karabinów pojedynczych. Słychać było wyraźnie, że strzały padają z obu stron - spod zabudowań kupieckich i od drogi do kapienawek Czerniejewa.

Krótkie serie karabinów maszynowych zlewają się w jeden nieustanny tarkot. Jeszcze chwila i odgłosy walki dobiegły także od północy, gdzie wydawało się najbezpieczniej, bo przecież za lasem lityńskim był już teren całkowicie podległy naszym siłom. Czyby więc droga do Zaczek została przecięta? Jeżeli tak, to stanęliśmy na pozycji najsurowszej straconej. Tylko czekać generalnego ataku.

- Nic się co? - odezwał się cichym choć spokojnym głosem "Wileczek" - zalał się, odmówiły różaniec. I niech nas Bóg ma w swojej opiece.

Zaczęliśmy półgłosem odmawiać zdrowaśki, pracując w palcach pastorki różaniec, którymi obdarował nas oddział jeszcze w Grzeszówce wiochy Łukowski. Po skończeniu jednej części zszło się nam jakoś łatwiej na sercu. Gdyż czas patrzyliśmy uważnie przed siebie, ale nic szczególnego się nie działo. Teraz i strzelanina przed kościołem nieco zmalała. Tuznawo zauważyliśmy, że strzały padają ciągle z tej samej północnej, czyli nieprzyjacielskiej strony. Nie ma potrzeby wystraszania, lub na coś jeszcze oczekiwać. Może na pułki.

Widoczność powiększyła się bardzo powoli, ale tego czasu nie było czasu się dowiedzieć. Wkrótce też znowu spokój i kilka minut na odpoczęcie od ognia. Zaczęliśmy z "Wileczkiem" rozmawiać sobie, że przecież oni nigdy jeszcze w żadnym spotkaniu nie odskoczyli od nas ani szczególnie znajomością zasad strategii. Są suchawli, to prawda, ale i



tylko do bezbronych kobiet, dzieci, starców. Gdy widzą ubranych przeciwników i słyszą odgłosy karabinów, tracą natychmiast animację, nie i bo inaczej nie ustępowałyby tak łatwo pola. Poza tym nie orientują się na pewno jaką tu dysponują siłą, bo aż tak dobrego wywiadu chyba nie mają. Wobec tego nie tracą śmiało, bo <sup>nie</sup> bądzie może tak źle, jak się początkowo mogło wydawać.

Oswiadczy obaj, że jest to próba wzajemnego pocieszenia się, lecz skutek mimo wszystko był raczej dodatni, spokój musiał wracać, gdyż nagle obaj nagle poczuliśmy dotkliwy głód. Przed świtem wyruszyliśmy na patrol i do tej pory nic w uściskach nie mieliśmy. Tylko, że w nadziei emocji nie wysłaliśmy dotąd o jedzeniu. Całą uwagę poświęcały ważniejszej sprawie, teraz dopiero, odczuwały się i śladki. To dobrze. Tylko jak je zaspokoić? Wyjść ze schronu nie wolno. Musimy czekać, aż ktoś sobie o nas przypomni... Płynęły jednak kwadransy a nikt się nie pokazywał. Tylko znów daleko na przedpolu ukazały się jakieś postacie i zaów po dwóch strzałach znikły za szczytem rozciągającej się i widocznej coraz lepiej wznoszącej się.

Gdy już straciliśmy nadzieję na jakikolwiek posiłek, usłyszeliśmy za bunkrem kroki, a po chwili w wylocie strzelniczym ukazała się głowa Kauswica, gospodarza domu, w którym kwaterował dowódca i zarazem ojciec dwu dorosłych córek: Marzanki i Hanicki. Przyniósł nam trochę amunicji oraz wiadomość, że wysłano gońca do Zamyk, który niezwłocznie doprowadzi pomoc, że od strony Nyr i Czerniejewa - szeregami - coraz to pojawiają się Bulbowcy, lecz nasi na każdym razie dają im należytą odpórę, wreszcie, że już dla wszystkich przygotowują się posiłki i wódeczka zastana na każde stanowisko dostarczone. Szam pomysłne wiadomości. Poczuliśmy się od razu znacznie lepiej i rześniej.

Jakoś po krótkim czasie pojawiła się szara domów córka Hosiwica - Hanicka's wódeczka... wiadomo - "buchtycki!". Jakże byliśmy jej wdzięczni! Nawet podwójnie! Po pierwsze bowiem buchtycki był, jak zwykle, nieaktywny, po drugie - jeśli nawet dziewczęta poruszają się swobodnie na terenie zagrożonym w każdej chwili wdarciem się Bulbowców, to nie musi być aż tak niebezpiecznie, jak się nam na początku wydawało. Dowiedzieliśmy się też od miłej pani, że opuszczając najbliższą placówkę oddaleni są od nas o około 200 metrów w prawo. Pokrzepiliśmy się więc na duchu i śnie, widząc jednocześnie, że pole przed nami jest puste, a strzały oddaliły się nieco od kocioł, wyskoczących do owej placówki. Ciekawy byłem, jak czują się tam? czy podobnie jak my w "Wilekcie" liczyli już swoje ostatnie minuty?

Na najbliższym stanowisku zastaliśmy Leonarda "Kobótę" i Janka "Sprosa". Byli w znacząco gorzej niż my pożywieni, leżeli bowiem opróżnieni na garści skóry, ale pod gołym niebem, smażeni, ze skobienia-





wybiegła wdrzeć się do niestoczka. Było już po południu i zbliżał się wieczny jesenny mrok. Usiłując pewnie przed zapadnięciem nocy zdobyć kugle, co można przeciwstawić takiej broni? kula karabinowa?

Sytuacja zaczynała być naprawdę groźna. Teraz już pozostała walka na śmierć i życie! Bulbowcy widocznie oczekali aż wyczerpie się ich trochę amunicji, rozważaliśmy z kolegą, wyczerpiwszy się tak niewow, poczujemy się bardziej niż rano bezradni i zapewne im będzie dać sobie radę.

Wtem nadbiegł goniec z pytaniem czy mamy granaty?

- Ubrzuć się choć tak, że mu się sprzykrzy jeść! - Odgrzązł się goniec. - Dawajcie jeśli macie!

Niestępy ani ja, ani "Wilczek" nie posiadaliśmy takich ładunków. Goniec więc zawrócił i ponądził do następnych stanowisk. Tymczasem choć zatrzymał się i walczył w miejscu, a strzały spadały się tylko jak przedtem. Nasi odpowiedzieli im z równą zadziwością. Sytuacja taka trwała ponad pół godziny. I gdy oczekiwaliśmy łada chwila rozstrzygającego pojedynku, choć nagle ucichł. Jeszcze poleciały se dwa wystrzały z działka, a może były to tylko granaty, bo szlagłość nie pozwalała na dokładną orientację i nawet karabiny jakby przerszedły się. Nie wiedzieliśmy zupełnie co o tym myśleć. Czekają nocy, czy mają jakieś inne plany? Jakże?

Ale też i nasza sytuacja zaczęła walczyć się, choć nasłuchiwać, do każdego z nas. Wzięli cały dzień upływa i mając taką siłę nie próbują, zagnana niestoczka, to musi to być oznaczenie. I chyba coś korayetnego dla nas. Bo i nasza sytuacja na oświadczenie ciągle nas nie upuszczają. Tym bardziej, że nasza sytuacja, wprzem radzenie znaczenie strzały nasza sytuacja do nas jakieś krzyki, wrzaski, coś niby krótkie lub obrzydanie się przekleństwami. Czekaliśmy w napięciu, nie spuszczone oka z przędzela, znówu na nasza odcinek pustego.

Jeszcze jeden podbiegł. Tym razem już nie Namuska. Trudno. Zjadaliśmy co było, bez większego apetytu, za wiele smoci jak na jeden dzień.

Nasza sytuacja robi się ciemno. Szała noc. I resztki dnia unikały z sobą i zabudowań, a gęsty mrok ogarniał zaczął cały kupa, z miejsca gdzie stał choć, buchający nagle w górę jasne płomienie. Patrząc liśmy zdumieni na to dziwne zjawisko. Niekiedy nie potrafiliśmy go sobie wytłumaczyć. Płonie beczka z benzyną? Choć podpalił? Nie! Liwa! Co to może być? Spoglądaliśmy z "Wilczkiem" na siebie nie rozumiejąc zupełnie co się stało.

Teraz nasza sytuacja wyjaśniła się, rozległ się gwar na ulicy, to potworne krzyki i nawoływania, ale bez nuty smutku, wprost przeciwnie. Wreszcie już można było rozróżnić poszczególne słowa. Słuchając nie wyskoczyło z radością: Nasii! To na pewno "Jestrzęba"

przychodzi w pomoc swemu plutonowi! Tak! Nie myliły się! Jastrzębiccy! Nasz oddział! Niech teraz atakują! Wygraliśmy!

A gdy po niedługim czasie pozwolono nam zejść ze stanowisk, ruszyliśmy co sił w stronę pożaru. Istotnie płonął czołg! Długo staliśmy nackoło i przyglądaliśmy się, jak na warunki partyzanckie zjawisku.

Trudno opisywać radość ze szczęśliwego zakończenia ataku, z nadzieją odsieczy. Każdy z ówczesnej załogi Kupiczowa będzie ją nosił do końca dni swoich, najgłębiej w sercu ukrytą. A czołg, nie fabrycznej roboty, przyciągnięty później do centrum miasteczka stał tam jako pomnik symbolizujący daremne próby upowców pokolenia naszego młodego wojska. Popsuł im się i nie mogąc go uruchomić - podpalili przed wycofaniem się.

Cały następny dzień upłynął nam spokojnie. Czuwały straż, krążyły patrole, my zaś oglądaliśmy tereny wczorajszych zmagania, miejsca, gdzie stały nasze karabiny maszynowe, linie ukraińskiego ataku, dziwiąc się brakowi odwagi przy tak przeważających siłach. Gęste ślady na polu, zwłaszcza od strony Czerniejewa, świadczyły o wielkiej liczbie napastników, stojących dzień cały prawie w tej samej odległości, nie mogąc zdobyć się na radykalny atak. Swoją drogą wcale im tego nie mieliśmy za złe.

Następnego dnia wieczorem "Jastrząb" wyruszył z całym oddziałem na południe. Szliśmy zlikwidować Czerniejów. Ta najbliższa Kupiczowa wieś, dotąd zamieszkała, stanowiła punkt wyjścia dla wszystkich dotychczasowych napadów na miasteczko, skąd obserwowano nasze ruchy, stąd słano wywiadowców, tu się zbierali, by iść przeciw nam. Teraz "Jastrząb" oznajmił, że przed odejściem z miasteczka musimy zniszczyć i te gniazdo wroga, żeby polska placówka mogła czuć się tu spokojnie, zanim ostatni punkt oporu banderowców nie zostanie skamany.

Ciemno już było gdy Czerniejów zmienił się w jeden wielki pożar. Początkowe obawy, że możemy natknąć się tam na ukraiński opór, okazały się płonne. Wieś była już pusta, kilku rodzinom, które nie zdały jeszcze wyjechać, nasi pomogli w ewakuacji. Dopiero gdy doszliśmy do zachodniego krańca wioski, rozległy się w kierunku Swinarzyna strzały. Szła ukraińska odsiecz. "Jastrząb" bez pośpiechu zebrał oddział, jakby w oczekiwaniu na przeciwników. Ci jednak z kilometr przed nami zatrzymali się i strzelali, na pewno nie widząc nas. Była przecież noc. Kiedy mieliśmy wracać, rozległy się nowe strzały od strony północno-zachodniej. Świetlne pociski zaczęły gęsto snuć się po niebie. Wkrótce strzelanina wznowiła się. Nadeszły później wieści, jakoby doszło do starcia dwóch ukraińskich oddziałów między sobą. Czy tak było naprawdę, nie mieliśmy dowodów.

Nazajutrz byliśmy już w Szx Suszybacie. Walcówkę przejęli inni.



## P I E R W S I N I E M C Y

Od początku istnienia w Zasmykach oddziału samoobrony, a faktycznie oddziału partyzanskiego, wytworzyła się niecodzienna sytuacja. Trzeba się było bronić przed nasjonalistami ukraińskimi, gdyż od nich spodziewać się należało największego niebezpieczeństwa, ale nie można było zapominać i o Niemcach, bowiem nigdy nie było pewne, jak zachowają się wobec nas, uzbrojonych Polaków. O walce z dwoma przeciwnikami, gdy tysiące ludzi w ~~kilkunastu~~ wsiach było zdanych wyłącznie na nasze siły, nie mogło być mowy. Wiedzieliśmy o tym dowództwo, wiedzieliśmy i my - prości żołnierze. Nie stanowiliśmy początkowo żadnej siły nawet dla Ukraińców i gdyby umieli zdobyć się na większą odwagę i zaatakować w lipcu lub sierpniu, nasze szanse byłyby prawie żadne. Tym bardziej byliśmy słabi wobec Niemców. Każda karna ekspedycja z ich strony mogła doprowadzić do nieobliczalnej tragedii. Kowel pod bokiem, oddział nieliczny, bronił łąka, amunicji niewiele, a tu i Zasmyki i Janówka i Radomle i pozostałe polskie wsie przepelnione po brzegi. Nie wolno było wdawać się w jakąkolwiek nieprzeżywaną walkę. O ile mi wiadomo, konspiracja zawarła nawet jakąś cichą ugodę z Niemcami, że nie będzie ich niepokoiła, w zamian za trochę broń i innych materiałów koniecznych do obrony przed banderowcami. Za to i oni mieli nas zostawić w spokoju. Nie trzeba wyjaśniać, że taka ugoda całkowicie Niemcom odpowiadała, bo o to im przecież chodziło, by skłócić ze sobą Polaków i Ukraińców niech się wzajemnie mordują, a oni kiedyś odpłacą się jednym i drugim za pomocą kuli, więzienia lub obozu koncentracyjnego. O tym nikt nie wątpił. Taką treść zawierały polskie ulotki rozrzucone po wsiach ukraińskich, by zrozumieli sytuację i zawrócili z obranej drogi, lecz nie odniosło to pożądanego skutku. Dlatego sytuacja zmuszała do zawierania ułówek nawet z wrogiem, by ratować się przed gorszym z sąsiedniej wsi, rozbitymi banderowcami i bułbowcami.

Zdarzył się jednak wypadek, który mógł się skończyć dla naszej ludności tragicznie.

Staliśmy wtedy w Peresiece. Była połowa grudnia 1943 roku. Nacokoło zapanował chwilowy spokój. Ukraińcy przycichli, a i my nie szukaliśmy okazji do walk. Peresieka była niezbyt dużą wsią, opuszczoną zarówno przez Ukraińców jak i Polaków, którzy już wcześniej, straciwszy kilkanaście osób z rąk krwawych sprawców, musieli uciekać do Kowla lub Zasmyk. Cudział nasz przetrzebił nieprzyjaciół w pobliskich Jezioranach, rozprawił się z popem, który nawoływał do mordów, teraz zajął kwatery w pustej wsi. Wybrani żołnierze przechodzili tu szkolenie podoficerskie, prowadzone pod kierunkiem "Sokoła" i "Jantrzebka", a przy udziale także kadry podoficerskiej. Nie trze-

ba dodawać, że czuliśmy się z tego wyróżnienia niezwykle dumni. Kilka dni upłynęło całkowicie spokojnie na regularnych zajęciach, służbie, teoretycznych wykładach.

Tego dnia, mimo późnej jesieni, było ciepło a czasem nawet słonecznie. Skończyliśmy zajęcia przedpołudniowe i po odpoczynku oczekiwaliśmy rozkazu przygotowania się do następnych ćwiczeń. Nadszedł w końcu. Ledwie jednak stanęliśmy w dwuszeregu, zza wzgórza, dzielącego wieś od łąk, krzaków i bagien rozciągających się aż hen do Lubitowa i Kołodeżna, padło kilka strzałów. Zanim dowództwo miało czas wyjść i wydać jakiegokolwiek rozkazy, dwuszeręg z bronią gotową do strzału rozsypał się i ruszył w kierunku niebezpieczeństwa. Część z nas zaważała się przez moment, czy nie poczekać na któregoś z dowódców, lecz widząc, że pierwszki dobiegają już do szczytu wzgórza, ruszyliśmy za nimi. Byliśmy pewni, że bulbowcy lada chwila zaatakują odciętą od wsi polską Peresiekę. Byłoby to zupełne zaskoczenie, gdyż nikt niczego się nie spodziewał. Wydawało nam się, że nie ma ani chwili do stracenia. Biegliśmy co sił rozsypaną gromadą w sile prawie plutonu, gdyż pozostali koledzy kwaterowali nieco dalej, nasza zaś chata znajdowała się najbliżej drogi prowadzącej na wzgórze, skąd doszły odgłosy wystrzałów. Wydostaliśmy się na szczyt pagórka, rozejrzałem się po okolicy. Początkowo nic poza biegnącymi w przedzie kolegami nie było widać. Jak ekien sięgnąć ciągnęły się łąki pokryte jakimiś zaroślami, nad którymi gdzieś niedługo wznosiły się wysokie olchy lub brzozy. Lecz po chwili dojrzeliliśmy w pewnym miejscu ludzi. Ruszyliśmy bez namysłu w ich kierunku, ustawiając się w biegu w tyralierę. Bronię trzymaliśmy gotową do strzału, nie było bowiem pewności, kogo zastaniemy. Wtem padło jeszcze kilka strzałów i wszystko ucichło. Gdy dobiegłem na miejsce, nasi prowadzili już dwóch jeńców w mundurach niemieckich, nie przypuszczaliśmy jednak, że mamy przed sobą autentycznych Niemców. Pojmani mieli ręce do góry podniesione, a w twarzach niewymowny strach. Szczególnie jeden pokładając tuszy rzucał przerażone spojrzenia na prawą i lewą, a wyraz twarzy wskazywał wyraźnie, że gotów był w każdej chwili, choćby na kolanach, błagać o litość. Gdy dowiedzieliśmy się, że są to naprawdę Niemcy, trudno było w to uwierzyć. Nie tak sobie ich wyobrażaliśmy. Ale nie czas było na rozmyślanie, bo za ledwie wyszliśmy z krzaków, gdy nadbiegł któryś z oficerów. Skrzyczał nas za opuszczenia miejsca zakwaterowania bez rozkazu, polecił natychmiast odmaszerować na kwatery. Niemcom zaś opuścić ręce i iść spokojnie w kierunku wsi.

Odeszliśmy posłusznie radzi, że skończyło się tylko na zbawieniu, bo nikogo nie zdziwiłaby nawet bardzo surowa kara, gdyż teraz dopiero uznaliśmy sobie niestosowność zachowania się w momencie zagrożenia. Jasne było, że należało stać na zbiórce i czekać rozkazu. Ktoś bowiem mógł przewidzieć, co kryje się za usłyszczanymi strzałami. Mógł przecieć



być to umówiony sygnał do natarcia z innej zupełnie strony. Długo nam ezuliśmy niesmak z powodu niestosownego zachowania się.

Ale większą sensacją budzili niemieccy żołnierze. Szliśmy w pewnym oddaleniu od dowódcy i jeńców prowadzonych przez paru naszych chłopców, którzy ich pojmali i nie wierzyliśmy własnym oczom. To tak wyglądają Niemcy? Ci sami, których widywałem tak często na ulicach Kowla? Albo przyjeżdżających do Zasmuk? Gdzie podziaka się ich buta, pewność siebie, pogarda z jaką patrzyli na smujący się po ulicy tłum przechodniów? Zawsze wydawało mi się, że ci "władcy świata, nadludzie" w każdej sytuacji nie spuszcza z tonu, że nawet w obliczu śmierci będą hardo patrzeć na swych przeciwników. A tymczasem śmiertelna trwoga malująca się w ich oczach czyniła ich jakże innymi od tamtych z kowelskiej ulicy. Przypomniał mi się ów Ukrainiec schwytyany z bronią w ręce wczesną jesienią pod Suszybabą. Tak samo patrzył oczyma śmiertelnie przerażonego dziecka, a nie znajdującego swą godność człowieka. Nie są więc Niemcy tacy groźni, jak dotąd się wydawali. Gdy dojdzie do rozprawy z nimi, będziemy już wiedzieli, że mamy do czynienia z ludźmi bardziej od nas lękającymi się śmierci. Byliśmy tylko ciekawi, skąd się tu wzięli i jak dali się tak łatwo ująć.

Pozostały mi w pamięci dwie tego wersje. Tak, jak sobie zapamiętałem, stało się to za przyczyną patrolu, który poszedł w tym samym kierunku, a spenetrowawszy nakazany odcinek terenu, miał już wracać do miejsca postoju, gdy w pewnym momencie ujrzał jadące drogą dwie furmanki, pełne uzbrojonych ludzi. Że byli w niemieckich mundurach, nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ Ukraińcy bardzo często tak właśnie się ubierali. Trudno było przypuszczać, że tak daleko od miasta mogą przebywać żołnierze wermachtu. Nie było wątpliwości, że byli to bulbowcy. Gdy ci w dodatku oddali w kierunku Peresieki parę strzałów, chłopcy nie namyślając się zrobili to samo. Gdy w dodatku po chwili na wzgórzu ukazała się gromada biegnących partyzantów, jadący dali drapakę, a nasi ruszyli pędem za nimi. Kilku Niemców, bo natychmiast ich rozpoznano, padło, reszta uciekła, dwóch wzięto do niewoli. Gdy pierwsi nasi dobiegli, już Niemcy stali z podniesionymi posłusznie rękami. Dalej wiadomo.

Druga wersja, usłyszana od kolegów już później, mówiła, iż to uczestnicy zbiórki dopadli Niemców i rozbiwszy jadących, pojmali jeńców. Niemcy jakoby mieli konszachty z Ukraińcami i z ich namowy zaatakowali Peresiekę. Nie wiem czy jest to prawdopodobne. Niech roztrząsną dowódcy, którzy przeprowadzali z jeńcami rozmowy, zanim ich uwolnili.

Przesłuchanie Niemców trwało dość długo. Byliśmy niezmiernie ciekawi finału całej sprawy. Wreszcie badania zakończyły się. Niemcy wyszli, o ile pamiętam, bez broni, ale w pełnym umundurowaniu. Rusz-

czono ich wolno, polecając w dodatku odwiedzić obu do ich macierzystej jednostki. Odwołującym kazano zamieścić, że saszka pomyłka, że Polacy nie zamierzają zrywać umowy i nie będą prowadzili żadnych przeciwnym akcji. Ale na wszelki wypadek tego samego dnia wieczorem opuściliśmy peresiekę, udając się do Iwowskiemu lasu, gdzie spędziliśmy chyba dwa dni w szałasach na mrozie i w przenikliwym zimnie, zanim nie odmaszerowaliśmy do Suszybaba.

Przewidywania dowództwa co do reszty Niemców, okazały się słusne. Niemcy przyskaki do wsi karną kolumną i spalili wszystkie zabudowania. Szczęściem ludzi już tam nie było. Stało się to dodatkową przestrogą, by nie zaczynać przedwczesnego z wehrmachtem ze względu na bezbronną ludność.

Po paru dniach przyjechaliśmy do Peresieki w kilka furmanek, aby zobaczyć tylko zwęglone szczątki domów.

### L O W I S Z C Z E

Snieg padał i zaczynała się naprawdę zima. Oddziały partyzanckie skupione wokół Zasmyk nieustannie rosły, nabierały coraz bardziej charakteru zwykłego wojska, podnosiła się dyscyplina, krzepła waleczność w ciągłej służbie rozpoznawczej i bojowej. Ludność cywilna stłoczona w Zasmykach, Janówce, Gruszówce i innych pobliskich wioskach odzyskiwała powoli spokój i wiarę w przetrwanie. Niebezpieczeństwo "samostijajników" zdawało się oddalać od naszego terenu. Pozostawali ciągle groźni Niemcy, którzy przezornie ograniczali się do niedalekich poza Kowę "wycieczek". W oddziałach panowało jednak ogólne przekonanie, że niedługo zaczniemy dobierać się także im do skóry.

Ale rosły i kłopoty. Nawet prości żołnierze dostrzegali zwiększający się stale wysiłek plutonów gospodarczych /potem kwatermistrzostwa/, w zaspakajaniu rosnących potrzeb, proporcjonalnie do wzrostu ilościowego oddziałów. A zajmowane przez nas coraz to nowe tereny nie przedstawiały się nazbyt bogato. Zaopatrzenie w żywność licznego wojska stawało się zagadnieniem poważnym. I okazało się, że wspólne, pełne wzajemnego zrozumienia działanie potrzeb było sprostaniem najtrudniejszym nawet. Jeszcze latem, aż do późnej jesieni ludność polska koszą, zbierała i młóciła opuszczone przez uciekinierów zboża, głównie we wsiach polskich, ale nierzadko i ukraińskich. Żniwa przeminęły, a zbiory pozostawione na polach skazane były na zniszczenie. Zboża były częstokroć mocno przejrzałe, ale nadawały się do zwózki. Huczały więc młocarnie, kręciły się dniami i nocą wiatraki, tętniły pracą piece chlebowe i prowizoryczne piekarnie, dostarczające chleb i ludności cywilnej i wojsku. Znacznie gorzej przedstawiało się zaopatrzenie w mięso i tłuszcz. Tych artykułów trzeba było szukać dalej.



Któregoś popołudnia sierżant "Mostowicz" zarządził w oddziale "Jastrzębia" przymusowe spanie. A więc nocą wyprawa! Jeszcze przedzłaz ten części oddziału wręczono biały, szyty z prześcieradła płaszcz. Pozostającym radzono zaopatrzyć się w podobne w miarę możliwości. Około północy zarządzone pobudkę, a po kilkunastu minutach druga kolumna białych jak duchy postaci wyruszyła na południe, a więc w teren pod władzą UPA. Marsz niezbyt forsowny trwał kilka godzin z krótkimi tylko odpoczynkami. Nie spotkaliśmy po drodze żadnych wsi ani osiedli. Porucznik "Jastrzęb" prowadził oddział po bezdrożach, polach, przez niewielkie lasy, omijając ze zrozumiałych względów, tereny zamieszkałe. Zawsze dziwiłem się, jak nasz dowódca to robi, że w zupełnej ciemności, na równym, białym od śniegu polu, bez przewodnika, nigdy nie błądzi, lecz trafia dokładnie do z góry przewidzianego miejsca. Idealne przygotowanie trasy z mapą i kompasem i z wyznaczeniem azymutu? Intuicja? Znajomość terenu? A może wszystko to jednocześnie? Niejednokrotnie o tym rozmawialiśmy z kolegami, krocząc nocą po obcych zupełnie i nieznanym, przez nikogo z nas miejscach. Podobnie było i teraz. "Jastrzęb" szedł na czele i zdawał się być najzupełniej pewny drogi.

Wreszcie kolumna zatrzymała się na polanie otoczonej ściegą brzezina. Śnieg dużymi płatami leciał ukośnie, osiadając na czapkach, płaszczach, sterujących nad głowami karabinach. Topniał zaraz bo mrozu nie było. Dowódca dał komendę do ustawienia się w dwuszeręgu, - odliczyliśmy kolejno dla sprawdzenia czy się ktoś nie zgubił i stwierdziwszy obecność całego oddziału "Jastrzęb" zarządził utworzenie czworoboku przez zagięcie skrzydeł. Zarówno komendy jak i odliczanie odbywało się głosem przyciszonym, co powodowało atmosferą tajemniczość, rosnącego napięcia emocjonalnego i zwiastowało niedaleką obecność nieprzyjaciela. Czuliśmy, że lada chwila ruszy do kolejnej akcji. Tymczasem por. "Jastrzęb" stanął pośrodku, odczekał chwilę w ciszy, aż żołnierze dokładnie wyrównają, poczym krótko wyjaśnił cel dzisiejszej wyprawy.

- Mamy natrzeć na Żowiszce, wieś leżąca przed nami w tym kierunku - i wykonać ręką ruch na północny wschód. - Gdy się trochę rozdźwi, zobaczymy ją jak na dłoni. Banderowcy są tu na pewno, ale większego oporu, mam nadzieję, stawiać nie będą. Nie ma ich tu tyłu, by odważyli się przyjmować otwartą walkę. Pierwszy i drugi pluton tyralierą uderzy na wieś, parę zabudowań trzeba będzie zaraz na początku akcji skopcić, żeby nabrali respektu i poznali mordercę, pluton trzeci będzie szedł w drugiej linii i musi zdobyć parę furmanek, z którymi ma się rozumieć. Na furi załaduje ile się da śmieci, mogą być zastrzelone. Po załadunku wozy wyruszą w kierunku kwater, już drogą nie po polach. Obydwa pierwsze plutony, po zakończeniu akcji - ubez-

czają tabory. Cywilów nie ruszać, do wszystkich z bronią w rękę - strzelac bez pardonu!

Ponieważ pytań i uwag nie było, dowódca dał komendę "rozbieść się", przypominając o niepaleniu papierosów i nie rozmawianiu. Spokój i pewność siebie porusznika udzieliła się żołnierzom. Potworzywały niewielkie grupki rozmawialiśmy szeptem, oczekując sygnału do akcji. Ledwie zaczął robić się świt, kompania ruszyła, rozwijając się w tyralierę, jak to czyniła wielokroć po ćwiczeniach.

Zgodnie z tym co mówił por. "Jastrząb" zaledwie wyszliśmy z lasu na otwarty teren, ujrzeliśmy w przednym mroku, w bardzo bliskiej odległości, pierwsze zabudowania wioski. Tyraliera szła od południa, a więc od strony "swoich" czyli wsi ukraińskich. Pierwsze strzały rozległy się, gdy zabudowania znajdowały się od nas dwieście, może trzysta metrów. Zauważono nas w mroku zbyt późno, dlatego na skuteczną obronę nie było już czasu. Strzały musiały być umówionym znakiem alarmowym, bo w tej samej chwili z domów zaczęli wypadać mieszkańcy i biec na wschód w kierunku pobliskiego lasu.

Sponiędzy biegnących wyłaniały się co chwila sylwetki pojedynczych mężczyzn z bronią w rękę. W wielkim pośpiechu biegnący banderowcy zatrzymali się co kilkanaście kroków, odzaczali się i oddawszy strzał, pędzili w popłochu dalej. W takiej sytuacji ogień ich nie mógł robić w naszych szeregach żadnej szkody. Po dwóch, trzech strzałach znikali w gęstwinie lasu.

Nie wiem dlaczego por. "Jastrząb" nie wysłał wcześniej żadnego, choćby niewielkiego oddziałku, na brzeg owej gęstwy, będącej terenem celem i miejscem schronienia uciekinierów. Odcięci od lasu wpadliby niewątpliwie w nasze ręce lubzginęli we wsi. Z takiego potrzasku wydobyć się nie byłiby w stanie. Domyślaliśmy się tylko, że chyba przez wzgląd na ludność cywilną, kobiety i dzieci, które mogłyby ucierpieć w podobnej sytuacji na równi z bulbowcami. Wolał pewnie ich oszczędzać, choć wiedzieliśmy, że na wszystkich Ukraińców był wyjątkowo cięty, niewątpliwie z powodu śmierci swych najbliższych z ich rąk.

Zapłonęły pierwsze stodoły. Dym przesłonił na chwilę wieś, ale wiatr południowo-wschodni to pędził ogień na dalsze zabudowania, to znów zwiwał na pole i odsłaniał drogę, domy i uciekającą ludność. Na większej przerwie między zabudowaniami ogień zatrzymał się i dalsza część wsi ocalała. Chłopcy wyznaczeni do zakadunku żywcem uwiązali się tymczasem po podwórkach, zaprzęgali konie, żądowali na wozy zabijane lub żywe wieprze. Robili to szybko z wprawą. Wiadomo - przewagę w oddziale stanowili gospodarscy synowie, z podobnymi czynnościami doskonale obcy.

Patrzyłem na przebieg owego zakadunku początkowo bez przekonania. Mimo wszystko żał było ludzi, którym zabierało się dobytek. Zostawali



bez dachu nad głową, iść musieli do obcych na łaskę i nielaskę, a zima zapowiadała się ostra. Jak będą żyli z dziećmi, starcami? Tymbardziej, że smutna wojna domowa nie kończyła się przecież. Ale inny głos przytaczał zaraz kontrargumenty: kto wywołał taki stan w spokojnym dotąd życiu ludności, w zgodnym sąsiedzkim, braterskim prawie? Mogliśmy żyć nadal w przyjaźni nawet dalecy od krótni, a tymbardziej od bratobójczej wojny, a siły swoje skierować przeciwko wrogowi zewnętrznemu. Tymczasem to wy, niedawni sąsiedzi i obywatele tego samego kraju stworzyliście sytuację, której konsekwencje ponosite teraz do końca. A co robiliście z naszymi polskimi rodzinami? My nie jesteśmy zbyt łagodni, to prawda, ale wojny z kobietami i dziećmi nie prowadzimy. Wy natomiast nie oszczędzaliście nikogo. Niemowlęta mordowaliście w kołyskach, zadawaliście nieludzkie cierpienia schwytanym we śnie ofiarom. Zamieniliście polskie wsie i polskie domy w żałosne kupy gruzów i taką drogą chcieliście budować "samostijną". Teraz twarde prawa wojny domowej, wywołanej zupełnie świadomą przez was, odwróciły się przeciw nam. Ponosite ich konsekwencje ku przestrodze i nauce nie tylko własnej, lecz także przyszłych pokoleń. I przypominają mi się oglądana polska wieś w drodze nad Bug do Rymacz i Rakowca.

Tak rozmyślając kroczyłem w linii tyraliery, dopóki nie stwierdziliśmy, że oporu już nie należy się spodziewać, że z lasu padają palające wyprawdzie ciągle jeszcze strzały, lecz nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Regularna dotąd linia załamana się, przerywała, wreszcie wszyscy oprócz wyznaczonych do ubezpieczenia, kręcili się wśród opłotków, zachodzili do domów, lub pomagali kolegom w sadzowaniu furmanek.

Zaszedłem też do paru domów. Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że wieś była dość zamożna, sądząc z wewnątrznych urządzeń, mebli, sprzętów. Nikt widocznie nie spodziewał się ataku, bo na płytach kuchennych gotowały się ziemniaki, a cebrzyków stojących w kątach na podłodze dobywała się para o woni parzonych plew lub otrąb, rozrzucona bezładnie pościel świadczyła o pośpiechu, z jakim mieszkańcy opuszczali swe domy. W mieszkaniach było ciepło, pod płytami lub w piecach palił się ogień.

W jednej chacie siedzieli przy oknie na ławie dwoje starszych, na pawie po sześćdziesiątce ludzi. Mimo wystraszonych min nie próbowali udzielić. Patrzyli tylko niespokojnie i badawczo na mnie, widocznie chcąc odgadnąć, moim względem nich zamiary. Rozglądałem się po izbie, nie mówiąc nic. Spojrzeli na siebie, jakby porozumiewając się co dalej czynić, ale widocznie czuli się nieco uspokojeni.

- My niczego nie zrobiły, my nie winowaty! - odczytywała się kobiecy ton w formie tłumaczenia się, ni to informacji. Niechaj wtykają

ty, szczo toho narobyły. My ne strelały i ne choćky z kwintywkami.- przeszła prawie na ton oskarżycielski.

Nie byłem pewny czy mówi szczerze, czy może w takim wywodzie ma jakiś ukryty cel. Nie odpowiadałem, rozglądając się dalej po kątach, otwierając drzwi do sąsiedniej izby. Kiwnąłem tylko głową na znak, że zgadza się z jej zdaniem. Miałem już wychodzić, gdy wpadł do chaty jeden z kolegów, przyjęty niedawno do kompanii i nie nasydlając się ani chwili, podniósł karabin do strzału, skierowany i tak do siedzących pod oknem. Odtrąciłem lufę w bok i przytrzymałem ręką, utrudniając powtórne podniesienie broni do oka. Ukraińcy sefionili się ugiętymi w łokciach rękami i aż unieśli się nieco z ławy.

- Wariacie! - krzyknąłem - Co robisz?

- Kogo chcesz bronić - wrzasnął tamten w odpowiedzi i szarpnął się z całej siły. - a wiesz, co oni zrobili z moimi rodzicami? Żeby tylko rozstrzelali. Męczyli przedtem, znęcali się, nady! Nie daruj! I ty mi od wariatów nie wykrzykuj!

- Wymóż się! - nie ustępowałem. - Słyszysz rozkaz?

Krótką szarpaniną i chłopak z gniewem opuścił chatę. Wyszedłem za nim.

- Nie ciskaj się! - powiedziałem pojednawczo, gdy znaleśliśmy się na drodze. - Wiem, co do nich czujesz, ale rozkaz był wyraźny.

- Odwai się i daj mi spokój! - zachnął się niecierpliwie. - Co ty możesz wiedzieć co ja naprawdę czuję!

Poszedłem szybkim krokiem naprzód i zmieszałem się z innymi chłopcami. Ale już po zakończeniu akcji i odchodzeniu z Łowiszcz rozmawialiśmy znova bez urazy i niechęci. Tamte życie było także szkołą charakterów.

. . . . .

Porucznik "Jastrzęb" kroczył zamasyście drogą między domami i bacznie obserwował teren na prawo i lewo. Bitwy nie było, lecz pojedyncze strzały padały ciągle z obu stron. Nasi strzelali w kierunku lasu "za postrach", tamci odpowiadali niewątpliwie w tym samym celu, a może dla wezwania pomocy. Po godzinie, może półtorej tabory ruszyły rzędem wąską wijącą się wśród pól drogą na północ. Pozostałe plutony odczekawszy jeszcze kilkanaście minut ruszyły dwoma luźnymi rzędami w tym samym kierunku. Za mną dogorywały zapalone na początku budynki na południowym krańcu wsi.

Ładwie jednak znaleśliśmy się na otwartym polu, strzały z lasu zaczęły padać coraz gęściej. Kule ze świstem przelatwały nad głowami. Obajrzaliśmy się za siebie i w obie strony. Nic podejrzanego nigdzie nie było. Pola wznosiły się ku północy w kształcie łagodnego wzniesienia i widać stała się coraz bardziej widoczna, gdyż i słońca wyjrzało zza chmur i siało dookoła jasnymi promieniami. Śniegu mimo całonocnych opadów było



niewiele, tylko wiatr zmienił kierunek na północno zachodni i chłodnymi podmuchami zawiewał nam prosto w oczy. Strzały nadal nie cichły.

- Niech strzelają - odezwał się swym śpiewnym głosem Staś "Surna". - Troszku za późno uzyskali przychyw odwagi. Ale chyba nie życzą sobie, żebyśmy zawrócili?

Bliszej idący roześmiali się głośno. Posypały się pod adresem strzelających z lasu dowcipy i żarty. Nastrój był wesół, swobodny, jak zawsze, gdy wracano się po udanym wypadzie, bez strat i rannych.

Wtem gdy byliśmy już prawie na szczycie płaskowzgórza i wieś pozostała daleko w dole, jelen z idących obok mnie starszych kolegów gów podskoczył nagle w górę, uniósł jedną nogę, potem przykucał szybko i syknął z bólu. Otoczyliśmy go kołem. Idący za nami w kolumnie zatrzymali się.

- Dostałeś? - padłszy zewsząd pytania.

- I to w samą piętę - odpowiedział z sykiem.

Podszedł i "Jastrząb". Kazak ściągnął but niefortunnemu wojakowi, co to w godzinę po bitwie doznał kontuzji. Wykonano natychmiast polecenie. Okazało się, że kula trafiła go tykoszetem, przecięła skórę, buta i bardziej oparzyła niż skaleczyła piętę. Popiecko jeszcze trochę, lecz w krótko przestało boleć i uszkodzony szedł dalej, choć radzono mu, jako rannemu, skorzystać z furanki. Tylko "pięta Achillesowa" stała się odąd przedmiotem dowcipów i żartów przez całą drogę powrotną. Podejrzewano, że zadrażliwie tylko, zamiast poważnej rany, było wynikiem zbyt twardej skóry, że zaś nadbrała twardości dzięki rzadkiemu kontaktowi z ciepłą wodą itp. Dobrze samopoczucie jeszcze się poprawiło, choć tematów do żartów i tak nigdy nie brakowało. Do samej Suszybawy wesoły śmiech nie ustawał. Droga powrotna wydała się parokrotnie krótsza od nocnej.

Przez dłuższy czas sytuacja aprowizacyjna odasiaka nie wymagała żadnych poważniejszych zabiegów.

## P A R T Y Z A N C K A   W I G I L I A

Zbliżały się pierwsze święta Hołogo Narodzenia w warunkach partyzanckich. Niejeden myślał ze smutkiem o tej "cichszej nocy", "świętej nocy", którą trzeba będzie spędzić z dala od domu, w jakiejś poukraińskiej wsi, w chacie wyścielonej słomą, brudnej i saniebannej lub zgoła w lesie. Nikt jednak nie uskarżał się, ani nie próbował prosić o przepustkę, by nie stwarzać precedensu i w wypadku uzyskania jej nie wywoływać tym większego balu u wszystkich, którzy musieliby paść służbę partyzancką. Radzi nieradzi musieliśmy się godzić z twardym żołnierskim losem.

Tymczasem zupełnie niespodziewanie, na dzień lub dwa przed właściwą wigilią otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu do Kupiecowa. I to na uroczystą wigilię! Radość opanowała szczęśliwców, bo część niestety, musiała pozostać na miejscu dla pełnienia służby wartowniczej. Wyznaczono plutony i drużyny błyskawicznie przygotowaliśmy się do odjazdu, a o zmroku byliśmy już na miejscu.

Rozpoczął się niezapomniany partyzancki wigilijny wieczór. Wieczór, który pozostał w pamięci na zawsze. Wracam do niego po wielokroć, zawsze z tym samym serdecznym, gorącym uczuciem, tym gorętszym, im większa odległość czasowa dzieli mnie od tamtych przeżyć. Ile razy bieżącą myślą do minionych "leśnych" dni, tyle razy od nowa przeżywam i tamtą wigilię.

Kupieców. Duża sala w Domu Ludowym. Wokół ścian błękitne długie stoły i żawy gęsto obsiadłe przez naszych ochotników z kilku oddziałów. Na co dzień prawie nie spotykaliśmy się z sobą, ponieważ każdy oddział /a później batalion/ kwaterował w innej miejscowości, lecz w ów wieczór zebrała się nas większość ze swymi dowódcami i liczną kadrą oficerską na czele. Wysoka choinka, ubrana skromnie, tylko płonące świeczki dodają jej blasku - tego naturalnego od płaskających ogników i jakiegoś symbolicznego, bliskiego sercu, którego nie sposób wyrazić zwykłymi słowami. Trochę przedstawicieli miejscowej samokontroli w funkcji gospodarzy uroczystości, kilku tułających się i wreszcie nasz bohater, oddany bez reszty swoim żołnierskim kolegom Michał Łukowski, proboszcz z Zasnyk. Nie szczędził trudu, by aż tu przyjechać, do tych duchownych podopiecznych. Na stołach skromne wigilijne potrawy, wśród których przeważają sławne już w oddziałach "buchtałki", zawsze wyjątkowo smakowite oraz tradycyjne białe opłatki rozłożone na równie białych talerzach.

Uroczystość jeszcze się nie zaczęła. Sala pełna głośniego gwaru, śmiechów, gestykulacji. Bez przerwy wchodzi i wychodzi spóźnieni żołnierze, szukają miejsca - najlepiej wśród najbliższych kolegów, przyjaciół, przyciskają się do kręgu już siedzących, zajmują miejsca i włączają się do ogólnej rozmowy. Przyjacielskie grupy trzymają się razem, opowiadają o swych partyzanckich przygodach, zdarzeniach, o wspólnych osiągnięciach, wspominają dawne i najświetniejsze przeżycia, cieszą się tak dalece urokiem wigilii, nakrytego stołu, odświętnym nastrojem, opłatkiem, drzewkiem, samym wreszcie faktem spotkania się przy wspólnej tradycyjnej wieczerzy, że zdają się zapominać o rodzinach i rodzinnych domach, gdzie także krótko zasiadają domowicy przy takichże, choć mniej gwarnych stołach, też będą podobnie rozmawiać, wędrownie lepuca, spokojne seszy i bise marnotrawami w przyszłość, tylko, że ich myśli będą przede wszystkim krążyć wokół nas, swoich synów, braci, czysto mgłów i ojców, których brak odczuwają na pewno bardziej dotkliwie niż my brak



ich, bo w takiej, wielkiej kilkusetosobowej gromadzie łatwiej znaleźć największe nawet smutki, niż w szczupłych rodzinnych graniach gromad. Słychać jednak przy stołach coraz częściej przewijające się tematy rodzinne, sercu najbliższe, tym bardziej w takim dniu.

Tu i ówdzie zaczyna się śpiewanie kolęd. Jedne grają intonują, inne podchwytyują melodię i naraz cała sala zaczyna rozbrzmiewać chórem potężnych męskich głosów. Kolędy owładną bez reszty partyzancką bracią, zespołami, zjednoczonymi wszystkich w wyповідaniu i przeżywaniu tych samych treści, pragnień, tęsknot i doznań. Niesie się głos melodii, przenika stropy Ludowego Dnia i dociera aż hen, do bram niebios, gdzie pewnie w ów święty wieczór łączą się z rozspiewaną partyzancką wiarą, we wspólnym chórze zastępy anielskie, by chwalić dzień Narodzenia Bożej Dziecinny.

Lecz śpiewy zaczynają się urywać, a po chwili milkną zupełnie, bo podnosi się ze swego miejsca porucznik "Jastrzęb", czeka parę sekund jakby dla wzbudzenia większego zainteresowania, po czym krótko, po żołniersku wita zgromadzonych przy wspólnym stole oficerów, żołnierzy, gości, życząc wszystkim miłego spędzenia wieczora, wieczoru we wspólnym przyjacielskim gronie, oraz szybkiego powrotu do domu w wolnej Ojczyźnie i oddając głos księdzu Michałowi Żukowskiemu, który w dłuższym znacznie przemówieniu podkreśla wagę wigilijnego święta w tradycji polskiej, mówi o polskim narodzić, który w obronie wolności i wiary nigdy nie cofał się przed największymi nawet ofiarami, wyraża głębokie uszanowanie dla dotychczasowych zasług oddziałów walczących dzielnie i ofiarnie w obronie bezbronnych rodzin polskich na Wołyniu, przewiduje długie jasne pasmo wysiłeków, krwawych wysiłeków, zanim wróg polskości i wiary naszych przodków zmuszony zostanie skapitulować. Wreszcie składa serdeczne życzenia żołnierzom i ich dowódcom, by następną wigilię i święta Bożego Narodzenia wszyscy mogli spędzić po bożemu w rodzinnych domach, w otoczeniu najbliższych i najukochańszych, w Polsce wolnej i niepodległej. Przypomina też o konieczności podporządkowania całego życia partyzanckiego i żołnierskiego przykazaniu Bożym, by postawa moralna polskiego żołnierza była zawsze godna szacunku i stanowiła wzór dla każdego, by nikt nigdy nie splamił się niecznym uczynkiem, okrucieństwem w stosunku do bezbronnych, pijactwem, wrogiem największym naszego narodu, nie wolał lub obawiał się wobec najdonioślejszych ideałów, o które walczył.

- Niech honor polskiego, wołyńskiego partyzanta i żołnierza nowożytnej Rzeczypospolitej Żemskiej dorówna honorowi Żółkiewskich i Sobieskich, Kościuszków i Trauguttów, a Bóg będzie wtedy z nami i wyprowadzi nas z największych niebezpieczeństw i opresji.

Skonczywszy przemówienie bierze ksiądz Łukowski opłatek do ręki i złożywszy raz jeszcze serdeczne życzenia wszelkiej pokójności i boskiej opieki oraz rychłego doczekania się wolności w zdrowiu i dobrym bycie, rozpoczyna tradycyjne przekazywanie się najpierw z gronem oficerskim, potem z najbliższymi siedzącymi żołnierzami, którzy na to naszo odstawiają na bok karabiny i czynią to samo: przekładają się bożym chlebem, ściskają się serdecznie, ze żłami w oczach składają sobie życzenia, w którym powtarza się najczęściej życzenia przeżycia wojennej zawieruchy i powrotu w zdrowiu do pensujących z utęsknieniem rodzin w wolnym kraju, wolnym od wszystkich wrogów, jacy się na nas sprzyślili.

Niektórym głos zakamuje się od wzruszenia, milkną więc, a tylko oczy i mocne uściski dłoni mówią to, czego nie mogą wypowiedzieć ustami i najbardziej wyszukane nawet słowa, co dyktują pełne niejęzyczonych uczuć serca.

Są tacy, którzy z trudem ulegają ogólnemu podniosłemu nastrojowi. Uśmiechają się blade, nie mówią nic, kryją się gdzieś za plecami kolegów, jakby chcieli wyłączyć się z udziału w piąkowym święcie. Nie trudno domyślić się przyczyn takiego zachowania: pozostali sami na świecie, stracili całe rodziny, nie mają do kogo wracać i nigdy już nie przeżyją wigilii razem z matką, ojcem, rodzeństwem. W milczeniu ściskamy ich dłonie, przytulamy mocno do serca, bo cóż można im powiedzieć? Jakże złożyć ó życzenia? Rozumiemy się bez słów. Dyskretna spojrzenia nieszczęśliwych wyrażają wdzięczność za zrozumienie i spocunak dla ich głębokiego bólu i samotności. Są to jednak krótkie momenty, gdyż nastrój ogólnego uniesienia odrywa już wszystkich od ciężkich myśli, napełnia wiarą w lepsze jutro i znowu radosne podniecenie ogarnia dusze, znowu płyną życzenia i serdeczne uściski.

Dla wielu jednak życzenia te nigdy spełnić się już nie miały. Za kilka dni, tygodni, miesięcy liczni spośród nas mieli pożegnać się z nami na zawazie, przeszyci śmiertelnie kulą wroga, rozszarpani artyleryjskim pociskiem... Nicwiele pozostało ci życia Czeska "Dygrysio", Heniu "Muszerta", Stasiu "Surno", Tadeśiu Wójciku, dobry druchu ze szkolnej ławy, Heniu "Szary", którego nogiły na lubelskiej, nie wołyńskiej ziemi, nigdy odnaleźć nie będziemy w stanie, choć w ten wigilijny wieczór spiewałeś pełną pierśią swym czystym, dźwięcznym głosem i cieszyłeś się wraz z nami, pożegna nasze szeregi za nieco do dwa miesiące znany nasz szef, sierżant "Łosowicz", powołecnie szanowany i ceniony za dobrą serce, byczliwość, takt i kulturę osobistą, "Zampon", "Mur", "Kściociel" i tylu tylu jeszcze, których prochy spie w wołyńskiej ziemi, wieczna straż naszych stanic...

Kończy się uroczyste dzielenie się opłatkami. Siadają wszyscy przy stołach i spożywają wigilijną wieszczerą. Brak wprawdzie trady-



cyjnych potraw, którymi każda mama w miarę swych sił i możliwości zastawiła wigilijny stół, ale czeskie "buchtieski" i wymienite pierogi smakują nie gorzej od tamtych domowych kurt, karnaćców, barszczów z uszkami i innych przysmaków przedwojennego stołu. Jedzą więc chętniej z apetytem, na który nigdy narzekać nie mieli powodu, rozmawiając wesoło, jak zwykle młodzi, przechodzący łatwo od najtłiwszych waruszeń do bestroskich tematów, śmiechów i żartów.

Nedwie zaspokoiли pierwszy głód, ksiądz Michał Żukowski intonując kolędy, "Bóg się rodzi" i już po chwili cicha sala brami znova setkami głosów, a twarze oblekają się w powagę i zadumą, bo słowa pieśni sprzed dwóch bez mała wieków w tej chwili przemawiają mocniej niż kiedykolwiek. Jakże pragnie dziś każdy, by naprawdę "moc truchlała" i struchlała szczególnie, by zapanował na umęczonej polskiej ziemi spokój i ład, by miłość wzajemna zajęła miejsce zła i nienawiści, by wszyscy poczuli się dziećmi tej samej ojczyzny, wolnej i sprawiedliwej. A gdy żołnierskichóh dochodzi do słów "Paniec ręk, Boże Dzieci, błogosław ojczyznę miłą", śpiew przemienia się w modlitwę pełną nadziei, najbardziej wzniosłą i błagalną, jaką kiedykolwiek tak liczna zbiorowość zasyłała do niebios. I płyną za kolędami za kolędami, pieśni za pieśnią i iskryły się oczy żołnierskie niecodziennym blaskiem, do wynawiąły te słowa wargi, ale przede wszystkim serca i dusze. Z takim bowiem uczuciem śpiewać można jedynie w warunkach jakie przeżywaliśmy wtedy na wołyńskiej ziemi, w warunkach wojny, krwi, rzezi, tęsknoty i nadziei... Tylko wigilie w obozach koncentracyjnych lub na sybirskim wygnaniu czy w polskich ościsłkach w dalekich od kraju stronach, budziły takie, a może jeszcze gorętsze uczucia.

Długo jeszcze po powrocie do swych kwater i później w dalszych chwilach partyzanckiego życia wracaliśmy do tamtych kupieczowskich chwil z opłatkiem i drzewkiem, wspominając je z rosnącym stale ciepłem i serdecznością,

## N A P A D N A J A N Ó W K I

Nie przebrzmiały jeszcze echa uroczystości wigilijnych, gdy wróg ugotował nam krwawą niespodziankę. Wieczorem w pierwszy dzień Bożego Narodzenia nadeszła do Kupieczowa wieść o spaleni w dniu dzisiejszym Janówki i masakrze jej mieszkańców.

Dowiedziawszem się, że napad nastąpił rano, że wielka horda napastników przybyła od strony Batynia, Harussy i Nadyb, że zniszczone zostały niegdyś Radomia, potem dopiero zabrano się do Janówki. Napastnicy cieli miały podobno w planie zniszczyć także Zasnyki, lecz został zatrzymany, a następnie odparty aż za Turię przez połączone zastępy miejscowych załóg samoobrony a później i nasze oddziałów, które przyszły z odsieczą.

Wspomnienie zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Janówka była moją prawie rodzinną wsią. Stamtąd pochodziła moja mama, tam mieszkali jej rodzice, a moi dziadkowie oraz cała mamy rodzina, tam przez pięć lat uczęszczałem do szkoły powszechnej, prowadzonej najpierw przez panią Klimaszewską, później przez naszego partyzanta "Światlika"-Stanisława Nowickiego, doskonałego pedagoga i wychowawcę. Znałem także każdą ścieżkę, każdy dom, każdy kamień przydrożny. W dzieciństwie głównie w Janówce miałem swoich kolegów i wśród nich najchętniej spędzałem wolny czas. Najwcześniejsze moje lata dziecięce, jeszcze przedszkolne, wiązały się także wyłącznie niemal z tą wsią. Do dziś pamiętam doskonale, jak w każdy wigilijny wieczór wychodząc z rodzicami, otuloną mrokiem drogą do dziadków na wspólną wieszakę i przyglądałem się najpierw z daleka majaczącym w zamierzchu jasnym punkcikom okien, a potem, wjechawszy do wsi, wpatrywałem się w światła kolorowych choinek, przyświecających swymi bajecznymi barwami dziecięcy wzrok. Wieś była gęsta, zwarta, pełna sadów, otoczona szczególnie w części zachodniej-olechowymi lasami, miejscem radośnych zabaw, poszukiwań gniazd ptasich, indiańskich podchodów. Ow olechowy las tak blisko przylegał do zabudowań, że zawsze podczas największych wicherów i burz panował tu spokój, poza szumem kołyszących się gałęzi. Po zachodniej stronie wsi znajdowało się sporo jesierni otoczone nokoło gęstą trzcina i uginającą się płachtą łąki, własność rodziny Romankiewiczów, stryjów poległego pod Gruszcówką Stanisława "Zajęca".

Nad jesiernią tym spędzaliśmy też drugie godziny na pływaniu, wiozaniu czy łowieniu na wędki okoni i płoci. Z każdym miejscem w tej wsi wiązało się jakieś wspomnienie, przeżycie, dlatego trudno się było pogodzić z tragicznym faktem, że Janówka, mojej drugiej po Łas-  
 wykach najbliższej ojczyzny, już nie ma.  
 Dowiedziałem się też, że w czasie walk z bulbowcami zginął pod Janówką Bolek Gising, członek zasmyckiej samoobrony. Starszy brat "Złotówki", żołnierza naszego oddziału. Bolek należał do starszej ode mnie o kilka lat generacji i był już dorosłym kawalerem, podczas gdy ja i moi rówieśnicy dopiero próbowaliśmy wchodzić w kłosa dorosłych. Był wesóły, dowcipny, wyjątkowo koleżeński. Starszy od nas udział w samodzielnym przyjeździe był także i z nami, młokozami. Zapraszał nas do swego sędziwego domu, przypominającego niegdyś istniejący waleczkowski dworek, wrośniły już nieco ze starości, a w domu był gościnny, uprzejmy, zawsze pełen życia i humoru. Zaczęły przychodzić mi tak właśnie w Janówce dawać swego serca, Leśka Guskowską, koleżankę moją z ławy szkolnej, również bardzo urodziwą, panią czarną. Ubolewałem bardzo, że nawet w pogrzebie kolegi i przyjaciela nie mogłem wziąć udziału.



Wiadomości, jakie dotarły do Kupiczowa, mówiły o olbrzymiej sile Ukraińców, którzy dokonali napadu. Ciągnęli podobno jak murza szarańcza i, mowy nie było o zatrzymaniu ich siłami samej tylko ukraińskiej szeregowej samoobrony. Dopiero przybycie oddziału z okolic Kupiczowa powstrzymało napór gładnych krwi rżnięw.

Zachodziłem w głowę, zresztą nie tylko ja, dlaczego dowództwo naszych oddziałów wcale już wtedy niemających, pozostawiło tamte wsie - Bałtyń, Janówkę, Stanisławówkę, Radomle - prawie bez obrony, niemal na łasce losu? Szczęściu chłopców w oddziale samoobrony w Radomlu, około 30 w Janówce i Stanisławówce razem, mały samodzielny oddziałek "Maliżowski" kwatrujący w Lublatynie - wszystko to połączone w jedną grupę stanowiliby może i dość silną jednostkę, ale pokostawieni w każdej wsi z osobna, owe garstki ludzi nie dawały żadnej gwarancji obrony w razie poważniejszego ataku. Dlaczego więc z tamtej, północno-zachodniej strony naszego zasmyckiego burzaka nie kwatrował żaden z większych oddziałów? Domyłam się tylko, że większego niebezpieczeństwa można się było spodziewać od strony południowej - Osniłowicz, Świążyn, Wożozak, Kierunek na północ chronił poniekąd Kowal, ale przecież Ukraińcy dysponowali niewątpliwie też swoim wywiadem i orientowali się w dyslokacji naszego wojska.

Chcieli więc wiedzieć, że od tamtej strony najłatwiej będzie dostać się, nie tylko do Radomla czy Janówki, lecz także zniszczyć cały teren będący miejscem schronienia polskiej ludności, do czego udało się doszło. Te nasze niepokoje do dziś jeszcze nie znalazły dostatecznego wyjaśnienia. Podobna rzecz powtórzy się także w Zasmykach, gdzie dzieła zniszczenia dokonała tam niemiecka żandarmeria. Ale o tym we właściwym miejscu.

Czy napad na Janówkę był całkowitym zaskoczeniem?

Odpowiedź mi już po wojnie mój wujek, plutonowy "skonecznik" - Bonifacy - Jakowicz, szef plutonu samoobrony w Janówce:

- Już na dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia mówił on - zaczęła krążyć wśród mieszkańców naszej wsi wieść, rozpukczana na pewno przez Ukraińców, że tegoroczną "jokę"/choinkę/ obleją Polacy swoją krwią. Dowódca placówki porucznik "Jawor" - Tadeusz Paszkowski po naradzie ze mną polecił wzmóc czujność, aby nie dać się oszukać. Przez całą noc wigilijną krążyłem z patrolem w odległości ponad dwa kilometry wokół naszej wioski, szczególnie od strony Piarkowicz i Zadyb. Mieliśmy natychmiast po zauważeniu czegokolwiek abnormalnego mieszkańców i poderwać na nogi całą wsi. Noc nie upłynęła spokojnie i gdy zrobiło się widno, o godzinie ósmej wróciliśmy do domu, aby odpocząć. Ja oraz dziwił, oiu moich żołnierzy, którzy też całą noc nie spali, udaliśmy się na spoczynek, choćby

na krótką drzemkę. Po mniej więcej piętnastu minutach zbudziło się...

Warto się chwilę nad tym zatrzymać. "Przez dwa tygodnie krążyły wieści...".

Czy o tych wieściach dowódcy placówki zameldował swoim przełożonym? A jeśli tak, to dlaczego na ów meldunek nie zareagowano? Czemu nie wzmocniono szeregów sił miejscowej załogi? A jeśli komendant nie powiedział o groźnym niebezpieczeństwie, zlekceważając tajemnicze pogłoski i spokojnie czekał katastrofy, to czy wyciągnięte z tego jakiegokolwiek konsekwencje zarówno służbowe, jak i na przyszłość, by podobna rzecz już się nie powtórzyła? Sądzę, że sprawa ta powinna znaleźć wyjaśnienie jeszcze dziś, zanim pójdzie w niepamięć i dopóki będą ludzie za tamte zdarzenia odpowiedzialni. Zawsze bowiem w rozmowach z ocalałymi mieszkańcami tamtych wsi, tamtę niedopatracenia czy zaniedbania, oraz żal powraca. Nie czas karać lub nagradzać. Wyjaśnić choćby na łamach prasy lub innej publikacji.

Ale wróćmy do zdarzeń tragicznego dnia.

Mówił dalej B. Sakowicz:

- Uzgodniłem wcześniej z dowódcą, że o ile w nocy nie się nic zdarzy, po krótkim odpoczynku mam przejść przez wieś i sprawdzić warty, zapoznać się z ogólną sytuacją. Załedwie jednak w ubraniu i z bronią położyłem się na łóżko, nawet nie rozbierając pościeli, rozległy się niedalekie strzały z karabinów ręcznych i maszynowych. Dochodziły od strony Batynia, wsi najbardziej wysuniętej na zachód, tj. w stronę "terytoriów ukraińskich". Wyskoczyłem z domu, dając umówiony sygnał gwizdkiem, nabiegli natychmiast moi chłopcy z nocnego patrolu, w sumie dziewięciu ludzi plus ja. Nasze karabiny pojedyncze oraz jeden maszynowy /"diechtianow"/ słykać już było z lewej strony jeziora. Wobec tego ruszyliśmy biegiem na prawo, za nasze strzały do olszyny Świątko, za którą nieco dalej znajdowały się zabudowania Ukraińców-Moskaluków. Ledwie wydośćaliśmy się z olszyny, zauważyliśmy za budynkami nieprzyjaciela. Ukraińcy przebiegli przez podwórze Moskaluków, kręcili się przy drodze i nad jeziorem, w zaroślach bliżej Bismontów. Jednocześnie znad Redwala uniosły się w górę kłęby czarnego dymu, strzelanina stamtąd rozlegała się nie mniejsza niż u nas, czyli sąsiednia wieś była już opuszczona i płonąła. Odległość od nas do Redwala w prostej linii wynosiła nie więcej jak jeden kilometr. Ich samobrona była słabsza od naszej, bo liczyła tylko sześćdziesiąt ochotników. Musieli już wycofać się, wbrew nam i naszym strzelcom, przed przeważającą siłą. Dowiedzieliśmy się, że nie wycofali się na południe i na północ od nas. Nie zamierzali podążać w kierunku jeziora, mając dość dogodnie położone wyciszenie się na pomoc z Zasky. Lecz nagle okazało się, że nasze łowce krążyły



umilkła. Odzywają się jeszcze pojedyncze strzały, ale już z boku, a nawet z tyłu. Nie było wątpliwości, że nasi wycofali się. I kiedy stanąłem, aby zorientować się dokładniej w sytuacji, dobiełem pośpiesznie po boku. Zkapalem się ręką za zranione miejsce i wydaniem rozkaz wycofania się, tylko bez paniki. Okazało się, że jesteśmy już z trzech stron otoczeni. Strzelają do nas od południa, czyli prawie z tyłu, od naszych własnych mieszkań, od maskulki, to znaczy od zachodu i od północy, gdzie paliło się Radomle. Już i z naszych domów zaczęły unosić się kłęby dymu. Do wycofania mieliśmy odcinek szerokości około jednego kilometra i długości o pół kilometra więcej. I to czystym polem, a oni strzelają od wsi i z radomelskiej góry. Ledwie wyszliśmy z zarośli na czysty teren, pokryty 40-centymetrową warstwą śniegu wtedy zaczął się huraganowy ogień prosto w nas i, to już nawet od niemieckiego omentarza, czyli od północno-wschodniego cypla wioski. Kule padały tak gęsto, że śnieg się karzył wokół nas. Dwóch chłopców, Stasiek Grochowski i Antek Kwiatkowski, nie wytrzymało napięcia na otwartym polu i postanowili wycofywać się między drzewami otaczającymi wieś. Lecz nasza olszyna była opanowana już przez banderowców i obaj dostali się prosto pod ich ogień. Obaj zostali poważnie ranni w nogi. Antoni Kwiatkowski zdołał jeszcze doczekać się do podłiskiej obory i ukryć się niepostrzeżenie pod żłobem. Obora opadła i on w niej. Natomiast Grochowskiego, ciężko rannego próbował zbliżyć Tomasz Kwiatkowski, ojciec Antoniego, starszy już gospodarz, ale opadł z sił tak dalece, że sam z wielkim wysiłkiem zdołał wycofać się z zagrożonego terenu. Stanisław Grochowski, pozostawiony na polu, został dobity przez Ukraińców. Ja z pozostałymi chłopcami z ogromnym trudem obsługując się i podciągając polami przedobierając się na wzachodni brzeg wioski, gdzie była już reszta naszych obrońców.

W tym jednak czasie, gdy dokonyaliśmy na kraniec wsi, bulhadowcy przerwali atak i zaczęli się nagle wycofywać. Od Kupiczowa nadeszła oczekiwana od wielu godzin pomoc. Teraz my rozpędziliśmy natarcie i ruszyliśmy w pogoni za bezkarnie wycofującymi się niedawnymi tryumfatorami. Okazało się, że prowadzili oni ze sobą nawet dwadzieścia 45 mm, lecz z braku amunicji oddali zaledwie kilka strzałów i porucili je. Dostało się w nasze ręce. W krótkim czasie nastąpiły zastąpi odparcia aż za Turię i tery kolejowe Władzimir-Kowel.

Wola to była jednak dla nas pociecha. W Janówce zginęło 47 osób głównie spośród ludności cywilnej. 30% domów Ukraińcy spalili. Wiedź prawie przestanka istnieć. Opadła zaledwie pięć mieszkań i w nich to wszyscy mieszkańcy wsi zmuszeni byli szukać schronienia. W jednym pokojunspoko po 50 osób, poukładanych jak śledzie, natu-

szalenie na podłódze, że nawet przejść między nimi było trudno.  
Prawdziwa tragedia!

W Radomlu ocalało tylko jedno mieszkanie, na którym na strychu bronili się Wacek Solecki, osiemnastoletni chłopak z osiemnastoletnią siostrą. Mimo nawały wroga nie dopuścili do podpalenia domu, ani nie pozwolili się ująć. Dowód wyjątkowej odwagi-bohaterstwa-można powiedzieć.

Ukraińcy tymczasem nie dając za wygraną, przypuścili jeszcze jeden atak od strony Rokitnicy i Worony. Być może, że miała to być jednocześnie akcja, tylko że asynchronizowali działania w czasie. Tu jednak wystarczyła już jedna tylko drużyna ochotników, by zmusić ich do wycofania się. Lecz i tu padły ofiary. Dwóch dzielnych żołnierzy nie wróciło do domu. Jednym z nich był Stasiuk Sakowicz, ten sam, który na przedwiośnie bieżącego roku przeżył tragiczne chwile w świniarzyńskim lesie, gdzie zabito mu brata Leona.

Tych świąt nikt z nas nie zapomni - kołchoz mój wujek w zadaniu.

Lecz i Zasmyki przeżyły wtedy chwile grozy. Wydawało się słyszonym we wsi mieszkańcom, że klęska wisi nad całą okolicą. Wyglądało na to, że Ukraińcy rzucili wszystkie swoje siły, by zniszczyć, rozbić, wymordować te wsie, do których dotąd nie mieli żadnego dostępu.

Pasterka tego dnia odbyła się w naszym kościele rano o godzinie szóstej. Skończyło się już nabożeństwo, gdy rozległy się pierwsze strzały. Żołnierze zasmyckiej samoobrony, którzy z bronią w rękach uczestniczyli w uroczystej Mszy Świątnej, na odgłos strzałów chwycili pierwsze z brzegu sianie, którymi ludzie przyjechali do kościoła i popędzili na przełaj przez pola do palącej się wsi. Wrócić dały się słyszeć z tamtej strony krzyki rozpacz, płacz, nawoływanie ludności Janówki, która w popłochu uciekała w kierunku Zasmyk. Ognie na pola zacięły się od uciekinierów. Widno zagłady zawisło nad spokojną dotąd, dochronioną przez stacjonujące w pobliżu oddziały, okolicą. Uciekinierzy kopali się po głębokim śniegu, padali, oglądali się trwożnie za siebie, gdzie zostali na wieki ich krwi, nasiedzi.

Masa, czyli zachodnia część Zasmyk, była w szczególności niebezpieczeństwie, ponieważ od ostatnich domów do Janówki w prostej linii było niewiele ponad kilometr drogi. Płonące domy, krzyki i nieustanna strzelanina robiły z tak bliskiej odległości przerażające wrażenie.

Opowiadała mi później mama.

- Wracaliśmy z pasterki. Byliśmy w olszynie Szewki, gdy usłyszeliśmy dość daleko jeszcze serie karabinów wystawiając i pojedyncze strzały. Choć zawsze gdzieś strzelano i do takich odgłosów byliśmy przyzwyczajeni, tym razem targnęło nami jakieś złe przeczućcie. Przyspieszyliśmy kroku. W domu było pełno ludzi, a mieszkał...



na końcu woi, w razie czego my pierwsi padniemy ofiarą napadu. Kiedy po niedługim czasie ze strzelaniny zrosik się jeden potężny huk, zrozumiałmy biec co się, wiedząc, że napewno w Janówce toczy się bitwa, a jeśli tam, to zaraz będzie i u nas. Po paru minutach zobaczyliśmy zsa drzew dym i płomienie.

W domu konie już zaprzężone i wszyscy, którzy nie byli w koscielnicy, łapali co się dało, ładowali na wóz i zaraz po naszym przyjeździe uciekaliśmy do lasu. Drżeliśmy ze strachu, bo strzały słychać było coraz bliżej. Sporo ludzi zestaliśmy w sośninie Wardulińskich, którzy jak my, szukali tu schronienia. Gorzej, że nikt nie wiedział, co się dzieje, co robić dalej - czekać, czy szukać innych kryjówek. Słuchaliśmy przerażeni głosów z Janówki, palonej i mordowanej. Zaliśmy się, że zaraz zacznie się to samo i u nas. Dopiero kiedy od Gruszówki, tej ukraińskiej, zobaczyliśmy jakiś duży nasz oddział, jak szybkim marszem zmierzać w kierunku toczącej się bitwy i to nie drogą, lecz łokami, jakby zachodził napastnikiem od tyłu, wstąpiła w nas nadzieja, że będziemy uratowani. Tak się stało. Tylko Janówka już dopalała się.

A gdy nawaka banderowska została odparta, zaczęto swoim do Kasnyk poległych żołnierzy i pomordowanych bestialską ręką bezbronnych mieszkańców Janówki i Radomia. Żołnierzy było niewiele, cywilów kilkudziesięciu. Układano zwłoki na śniegu obok dawnej kaplicy w pobliżu zabudowań Kasjana Mazurka. Stamtąd odprowadzano je na cmentarz. Uszczupliła się nasza Rzeczpospolita...

P A R T Y Z A N C K A P I O S E N K I

W partyzanckim, lesnym życiu szybko zblizniały się rany i łatwo przechodziło się od uczuć przytrych do radośnych, od nastroju przygnębionego do beztroskich rozmów, śmiechów, żartów. Sprawiała to atmosfera wojny, która od pięciu lat kazała nam obcować z nieszczęściami, deportacjami na zachód i wschód, śmiercią bliskich i przyjaciół, a życie tymczasem płynęło swoim torem i rządziło się swoimi odwiecznymi prawami. Sprawiała to także młodość, dzięki której mocno przeżywało się różne dobre i złe wydarzenia, ale też szybciej odzyskiwało się równowagę ducha. Nawet ci, których los doświadczył w szczególny sposób, zabierając im najbliższą rodzinę, wracali po jakimś czasie do siebie i zachowywali się zwyczajnie, jak wszyscy tylko od czasu do czasu popadali w stan żądury, szukali samotności, przeżywali poraz któryś swoje tragedie. Ale na codzien odbywaliśmy regularne zajęcia, ćwiczenia, przemarsze, wyprawy, wieczorami natomiast gawędziliśmy, wspominaliśmy wydarzenia dnia, urządziło się zwykłe żołnierskie zabawy i psikusy, a bardzo często spiewało. <sup>Spiewało</sup> Spiewało bowiem najnoważ w życiu naszego batalionu, a zwłaszcza w naszej kompanii,

wyrażnie eksponowane miejsce. Śpiewało się wprostą nie tylko wieczorem po powrocie do kwater, lecz w marszu i na postojach, całym oddziałem i w małych grupkach, w chwilach wesołych i smutnych.

Lubili śpiew wszyscy. Wynieśliśmy ten nawyk z domu i ze szkoły. W Zastawkach na przykład wystarczało, by zebrała się grupa młodych, czy nie młodych ludzi i natychmiast płynęły piosenki. Śpiewały kobiety w jesienne i zimowe wieczory przy przędzeniu lnu, podczas zbierawego darcia pierza, śpiewały młode dziewczęta i chłopcy, gdy tylko zebrała się grupka w niedzielne popołudnie latem na wolnym powietrzu, siadając w mieszkaniach przyjaciół. Repertuar był bardzo różny: od zwykłych tańcowanych przejęć, po piosenki ludowe, narodowe, patriotyczne. Śpiew wytwarzał między nami ścisłą więź, podnosił temperaturę, uczucie przyjaźni, sympatii, miłości. Teraz te same zamiłowania przeniosły się także i do partyzanckiego życia.

Początkowo wśród chłopców oddziału "Jastrzębia" dominowały piosenki wojskowe, legionowe, powstaniowe. W miesiącach późniejszych, to jest jesienią 1943 roku i przez cały okres działań w roku 1944 rozpoczęło się także komponowanie piosenek własnych. Polegało to najczęściej na podkładaniu nowych słów pod znane melodie lub przerabianie starych pieśni i dostosowanie ich treści do aktualnych sytuacji. W miarę upływu czasu, niektóre teksty wykuśnięte się przez dopisywanie nowych strof, wyrażających nowe zdarzenia i przeżycia. Czasem docierały do nas piosenki partyzanckie śpiewane w innych regionach Polski i przyjmowały się w naszych wojskowych oddziałach.

Mieliśmy w swoim plutonie doskonałego żołnierza, starszego powszechnie lubianego druha i kompana, przedwojennego nauczyciela z Radowic "Emila", Mieczysława Icańskiego, który nie tylko sam lubił śpiewać, lecz także zdobywał piosenki coraz szersze zastępy miłośników, tych nawet, którzy początkowo nie interesowali się tą dziedziną żołnierskiego życia. Spod jego też pióra wychodziły najczęściej teksty, które potem stawały się nierzadko własnością ogółu. Uważaliśmy do prostu za naszego nauczyciela śpiewa. I wywiązałem się z tej funkcji ku powszechnemu zadowoleniu.

Jedną z najstarszych, o ile pamiętam, bardzo popularnych w naszym batalionie piosenek była adaptowana przez "Emila" znana piosenka "Rano, rano, raniusieńko...". Melodię pamiętali wszyscy, słowa dostosowane do życia naszego oddziału, żartwa i chwytliwe, rozpowszechniły się bardzo szybko. W tej nowej wersji brzmiała ona następująco:

"Rano, rano, raniusieńko, rano po wrocie,  
W oddział "Jastrzębia" idzie i uśmiecha się,  
Przez lasy, krzaki, pola i pagórkę tę,  
Idą śmiało, rozwijając tyrankierę wazera,  
Nad Stodochem wróg ukryty siedzi i patrzy,  
Czy ten Polak uścisł, czy przytko nam narzę?



Wtem ze swoich wrażeń finok, jak grochem sieją,

A "Jastrzębie" idą naprzód i wciąż się śmieją.

A po bitwie pod Odmigowiczami doszły jeszcze dwa dalsze strofy:

Chociaż padł już jeden, drugi i ten ósmy też,

Ale wrogów wykrwawili, wierz mi, bracie, wierz!

Zostawili dwa dziesiątki trupów wrogich nam,

Którzy nigdy nie powrócą do rodzinnych bram.

Można by mówić o wielkiej prostocie tych słów, może nawet naiwnej prostocie, ale pamiętać trzeba, że w tamtych czasach w tamtej niezwyczajnej i nietypowej działalności partyzanckiej, gdy krajały się serca na widok okrutnych zbrodni, takie słowa odprężały i napędzały spokojem, otuchą i wiarą w słuszność naszej sprawy.

Inną piosenkę powstała w oddziale "Jastrzębia", także w jesieni czterdziestego trzeciego roku była "Już zachodzi czerwone słońeczko". Przerobiona ze znanej śląskiej pieśni powstałacej do brzo służyła i wołyńskim żołnierzom. Nowy tekst brzmiał:

"Już zachodzi czerwone słońeczko za zielonym gajem

Polscy partyzanci, chłopcy eleganci, idą na bój krwawy  
Złoczyli się w kompanię "Jastrzębia" same dzielne ogłopy,  
Aby oswobodzić nasz kochany Wołyń od wszelkiej hołoty.

Świszczą kule, pękają granaty, krwią zlane kracie.

Już niejedna matka, rodowita Polka utraciła syna.

I choć nawet wróg nas zdziesiątkuje i garstka zostanie,  
Z trupów, mogił, krzyków i krwi braci naszych wnet Polska  
powstanie!"

Piosenka, która stała się bardzo popularną, w Zaskawkach jeszcze w sierpniu 1943 r. była również znana stara - "Mam ja Juden piżmany zamek". Spopularyzowali ją "Kościankownicy" lub "Kosynierzy", jak siebie sami nazywali, przybyli do Zaskawk chyba spod Powarska czy Maniewiec. Pamiętam pierwsze ich spotkanie nocą z naszą wartą:

- Gdzie? Kto idzie? - Krzyknął przepisowo wartownik, gdy zauważył grupę ludzi wykonującą się za zakrytą drogą, o czym zresztą był uprzedzony.

- Kosynierzy! - odpowiedział głos z ciemności.

- Z czyjegoś oddziału? - zainteresował się wartownik, zapominając o haśle, bo wiedział, że ma przyjąć oddział.

- Z Maciecha Kościanki! - brzmiała odpowiedź.

- No, niby logicznie - mruknął do siebie wartownik. Jak Kosynierzy to muszą być od Kościanki. - I przepuścił grupę, która wzięła się w dalsze indagacje. Nazwisko Kościanki nawet półmiertwie zafunkcjonowało wiarygodnością i wystarczyło za wszelkie legitymacje.

A tymczasem przez kilka dni Zaszuki rozbrzmiewały piosenką kosynierów:

"Jest to jeden piękny zamek, gdzie ma luba przebywać,  
Siedzi ona przy białym stolyczku, Białe Orły wyszywa.  
Dobrze ci jest, moja luba, Białe Orły wyszywać,  
My musimy ubodzy wojacy, w krwawym polu w rządzie stać.  
W rządzie stoim jako skała, w rządzie stoim jako miecz,  
Ktym przyleci kula rozpalona i wyrzuci z rzędu przez.  
Już mnie z rzędu wyrzucika, do szpitala wiozą mnie.  
Piszę liścik do swej najmilejszej, że ja jestem raniony.  
Prawa ręka przestrzelona, lewa noga ucięta.  
Przypatrz się się, moja najmilejsza, jaka wojna zawzięta!

Leżała piosenka "Kosynierów" znikła prawie razem z ich odejściem z Zaszuk. Śpiewano ją jeszcze czasem w marszu, ale wkrótce ustąpiła miejsca nowym, bardziej aktualnym, chwytliwym.

Tak na przykład, przypomniałem sobie, jak pewnego razu na kwatery, chyba w Kupiczowie, wkrótce po spaleniu przez Niemców Zaszuk, uszyliśmy się nowej piosenki. Był wieczór. Pod batutą "Dziła" śpiewaliśmy co kto potrafił, gdy Heniek "Szary" oznajmił, że ma od niedawna nową piosenkę, która tematycznie związana jest z wojną trzydziestego dwudziestego roku, ale może być zawsze i wszędzie aktualna. U nas też. I zaśpiewał porządkowo słowa, które razem z melodią ogromnie nam przypadły do serca i które przyszyły się na stałe, nie tylko w naszym batalionie. Nadaliśmy jej tytuł "Luli". Była trochę sentymentalna, lecz charakter balladowy sprawił, że natychmiast naszyliśmy się jej uczyć i po krótkim czasie cały oddział śpiewał ją przy każdej okazji.

"Na przedmieściu daleko od miastec,  
W suterenie, gdzie nuda i głód,  
Nad maleńką kołobką niewiasta  
Swego synka kołysze do snu.

Śpij, syńeczku, śpij, maleńki, mama pobiegnie po mleczko,  
Makarni, utuli do snu,  
A dobry Pan Bóg w niebie da, że wychowam ciebie,  
Ach luli, luli, luli, lu...

Lat dwadzieścia minęło spokojnie,  
Syn jej wyrósł robotnik i zdrowszy,  
A wieść stała krążyła już o wojnie  
I w wieściach o strasznej i ręk.

Syn powraca po pensy do domu  
I dowiedziawszy, że idą na front.  
A gdy usnął tą myślą zmęczony,  
Mama znova śpiewała mu tak:





A jak gdyby się trafił w pierś kula wroga  
I ku swym życiem rozstaniez się.  
Przypomni sobie, dziewczyno droga,  
Że był Wołyński, co kochał cię.

Jakaś fortuna radosnej wiosny,  
Każdy piosenkę zanuci z nas,  
Do przeciwną przyjdzie ten dzień radozny,  
Że i my wolność zdobędziem wraz".

Dużym wątkiem cieszyła się piosenka marynarska "Chociaż każdy z nas  
jest młody", z tym tylko, że zamiast "Morza", "woły" i innych mary-  
narskich akcesoriów, wstawione zostały "kresy" i akcenty wołyńskie.  
Śpiewaliśmy więc:

"Chociaż każdy z nas jest młody, lecz go starym wyda nam.  
My strażnicy naszych kresów, partyzanci polscy są.  
Kresy, nasze kresy, wiernie was będziemy strzaci  
Mamy rokować was utrzymać, albo w lasach waszych leć.  
Żadna siła, żadna burza,  
Nie odbierze kresów nam!  
Własna armia, choć niedużą,  
Wiernie strześć kresów brami  
Kresy, nasze kresy... itd.

Niepoprawni optymiści... Ale melodia ona do najbardziej popu-  
larnych piosenek naszych wszystkich odznaczała. Jak się dowiedzia-  
łem od kolegi "Brzytewki" z batalionu "Bokoła", śpiewali ją nawet  
żołnierze "Garby" po przejściu na front w obecności generała Berlin-  
ga i Zawadzkiego.

Na melodię "Pod Krakowem czarny las" śpiewało się słowa:

Banderowcy poszli w las, /bis/  
A ich Ukraina wyszła z Swinarszyna.  
Poszła, poszła za piec spać!  
Ty, Bandero cicho siedź, /bis/  
Bo nasz żołnierz polski zajdzie się do Moskwy,  
Do Berlina trafi też!

Choć ta buńczuczność przemawiała przez twórców tych słówi Upoju-  
ni sukcesami nad wrogiem spokojnej naszej ludności, traśliśmy przed  
oczami twardą rzeczywistość i wyśpiewywało się chojrackie i zawadzia-  
ko... Ech, tak się kręci.

A później już na ziemi lubelskiej spotkał się z nowym par-  
tyzanckim repertuarem, jak "Dziś do ciebie", czy "Wierzęby piosenka",  
które przesłał podesłał w Kupiszowie. Przypomniałem sobie, że  
"Wierzęby", chyba "Krwawa kupa", gdy stał się w Susejebie i w Kupiszowie.  
Podobały się nam już wtedy, lecz popularność zdobyły dopiero w póź-  
niejszym czasie. Nawet po rozbrojeniu najczęściej przy spotkaniach



i chwilach wspomnień, ta pićm przewijała się prawie zawsze. A  
Ale to już nie typowo wołyńska. Z naszymi najlepszymi czasami  
i jak mawiał "Jastrzęb"-przewagani, wiążą się i łączą zawsze tam-  
to, może skromne, ubogie w piękno stylistyczne środki, lecz  
nasze najbliższe.

P L O N A     Z A S M Y K I

Był mroźny, słoneczny ranek. Słońce świeciło blade, zawieszona  
nieśko nad chatami Sussybawy, śnieg chrząścił pod butami, gdy pokr-  
niąc warty przechadzałem się tam i z powrotem i wzdłuż budynku w  
którym mieszkał się nasz sztab. Mroźś chwytając za policzki, szczyptał  
w uszy, dobierał się do palców nóg. Postukiwałem co chwila czubem  
lewego buta o piętę prawego i na odwrót, usiłując tym sposobem nie  
dopuszczać do przemarznięcia stóp. Wszystko to, naturalnie nie psu-  
ło dobrego samopoczucia, jakie towarzyszyło nam wszystkim podczas  
postoju w tej dalekiej powkrainińskiej wsi. Nie było na co narzekać.  
Posiłki otrzymywałem się regularnie, w dodatku w zupełności wystar-  
czające, by zaspokoić głód młodych żołdaków, mając stosunkowo nie-  
wiele, niewiele dopisywało, bulbowey nie byli już tak groźni, jak  
jeszcze parę miesięcy temu, choć niedawno dali się nam w Janówce  
we znak, lecz teraz przychodzili zupełnie i z dala widocznie spo-  
glądali z rosnącą miną na nasze rosnące wciąż następny. Od csa-  
su do czasu jakaś wyprawa i potyczka zdawały się być bardziej uro-  
czym elementem partyzanckiego życia, niż narażaniem go na niebezpiecze-  
ństwo.

Jeszcze nie skończyłem w tym dniu służby wartowniczej,  
gdy nagle za lasem w kierunku Zastyk rozległy się strzały, naj-  
pierw karabinowe, potem przeważające głośnie, których nie potrafi-  
łem zidentyfikować. Nigdy podobnych nie miałem okazji słyszeć.  
Strzelano seriami, znacznie jednak wolniej niż z karabinów ma-  
szynowych, ale bez porównania donośniej, niepokojąco głośnie.  
Nawet między obywateli z wojskiem zdania były podzielone: jedni utrzy-  
mywali, że to działka szybkostrzelne, drudzy nazywali je En-Ko-Bannami,  
czyli najcięższymi karabinami maszynowymi. Do dziś wyznaje pokrę-  
nie, nie potrafię nazwać po imieniu owych "Przyrzędów do strzela-  
nia". Tylko gdy przymkną oczy, słyszę jeszcze ich przesrzedający  
traski.

W Sussybawie powstał nieopisany ruch. Żołnierze powybiegali  
do owych kwater, wyszli także oficerowie, podoficerowie. Wykazano  
natychmiast patrol w kierunku trwającej, a nawet wzmagającej się  
strzelaniny. Zdawała się ona dochodzić z bardzo bliskiej odległoś-  
ci, najwyżej z Grusawki. W dodatku odnosiliśmy wrażenie, że strzały

padają z jednego tylko kierunku, co wskazywałoby, że nie ma tam obrońców, że napad, bo co do tego nie było wątpliwości, natrafik ngoka na nieprzygotowanych do tego ludzi, dzieje się zatem coś bardzo niedobrego.

Ogłoszono alarm. Po paru minutach chłopcy gotowi do walki stali w pełnym ryszunku. Oficerowie tymczasem znikli w siedzibie sztabu i prawdopodobnie rozpoczęli burzliwą radę: nad trudną kwestią - co robić? Jak zareagować na niespodziewane wydarzenia?

Parę razy otrzymanywałem polecenie wywać natychmiast nawet niektórych starszych oficerów, by niezwłocznie meldowali się u dowódców. W radzie nie brali jednak udziału, gdyż po otrzymaniu rozkazów spieszenie zdążyli do swych plutonów i drużyn. Wojsko tymczasem niecierpliwie czekało.

Niespodziewanie szybko wrócił wysłany na zwiady patrol, przynosząc wiadomość, że do Zasmyk od strony Rakitnicy najprawdopodobniej wtargnęli Niemcy i palą wieś. Nie było całkowitej pewności co do tego, że to Niemcy. Widziano niebieskie mundury, które mogła nosić i Ukraińcy. Tylko, że Ukraińcy nie dysponowali takim uzbrojeniem i nie poruszali się w takim porządku. Wiąca na pewno Niemcy. Widziano poza tym kłęby dymu unoszące się nad domami wschodniej części Szaryk, Zasmyk.

Wiadomość ta poruszyła do głębi całą Suszybabę. Chłopcy rwali się do walki. Nie była to bowiem pierwsza lepsza potyczka. Tam w pacyfikowanej wsi, byli przecież nasi najbliżsi: rodzice, rodzeństwo, należało więc spieszyć im z pomocą, bronić, ratować.

Ze go zdania był zdaje się por. "Jastrząb", bo dwukrotnie z miną niezwykłe podnieconą wybiegła z kwatery i kazał mi powiadomić dowódców plutonów w naszym batalionie, by byli gotowi w każdej chwili do wymarszu. Lecz najwidoczniej wśród dowództwa zdania na ten temat były podzielone i wreszcie musieli przeważyć przeciwnicy przedwczesnego wstawania się z w generalną walkę z Niemcami, bo w końcu nadszedł rozkaz powrotu do kwater, nie odwołujący jednak spanu pogotowia.

O ile pamiętam, przebywał wtedy w Suszybabie pułkownik "Luboń" i on pewnie miał w tej sprawie decydujący głos, lecz były to tylko wąsz, to znaczy żołnierskie domysły, nie wiadomo na ile prawdziwe.

Nie ma co ukrywać, że chłopcy czuli się strasze zawiedzeni. Dowali temu wyraz głośno i bez ogródek:

- I tak palą i tak-wożak któryś w naszej kwaterze, gdy już straszytem wartę. - Burki czy Szawaby, teraz nam już wszystko jedno. Jak spalą Szaryk, to co nam przyjdzie z siedzenia tu i czekania nie wiadomo na co!

Zmieszkała się nawet grupa, która wórew zakrętowni, usadowiła się węża się ze wsi, by pójść Zasmykom z odsieczą, było jednak za późno. Żołnierze dotarli na miejsce, Niemcy spaliliwszy znaczną część wsi, uco-



sali oparali przez miejscową samoobronę, której przyrzekała ze skuteczną pomocą, samoobrona z Janówki. Zginęło parę osób ludności cywilnej, między innymi żona Bronisława Zamościńskiego, w którego domu przez okres lata miał swą kwaterę "Jastrąb", organizujący wtedyOSP swój oddział. Ale i Niemcy ponieśli duże straty w rannych i rannym. Samoobrona zresztą i każdy kto był, robił wszystko co możliwe dla złagodzenia skutków napaści i zapobieżeniu zupełnej katastrofie.

Opowiadał mi niedawno, bo w styczniu bieżącego 83r. Ksiądz Michał Łukowski o ratowaniu rannych. Leżeli w zasmyckiej szkole. Były to przede wszystkim ofiary napadu banderowców na Janówkę. Usłyszawszy strzały i dowiedziawszy się, że idą Niemcy, ks. Łukowski obgryzł jakieś przypadkowe siano i pod gradem kul popędził w stronę punktu sanitarnego. Niemcy byli już na wysokości Brańsków, to znaczy około 600 metrów od drogi prowadzącej z kościoła do mieszkanego w szkole szpitala. Nie był pewny czy dojechać, polecał się tylko spisać do przodu i krzyknąć co się. Okazało się, że ranni już zostali ewakuowani do Gruszówki pod lityński las, a pozostał jeden tylko "Malinowski", najciężiej ranny. Uważał, że i tak dnia jego są policzone, nie warto więc narażać kogokolwiek dla jego ratowania. Zgromił go za to nasz Ksiądz, polecił natychmiast unieść go na saniach i czym prędzej powieźć też pod Gruszówkę.

- Bóg mnie jakoś przeprowadził z tym nieszczęśliwym - kończył Ksiądz Łukowski. - Bo kule cały czas prawie obierały się o nas, zanim nie skryliśmy się za przydrożnymi krzakami.

I oto w skrócie relacja uczestnika walki w Zasmykach, wspomnianego już wyżej, Bonifacego Sakowicza:

- Gdy 19 stycznia żandarmeria niemiecka najechała na Zasmyki tamtejsza samoobrona, licząca dwudziestu kilku ukochanych chłopców otworzyła ogień i rozpoczął się bój. My z całym naszym oddziałem liczącym 36 osób staliśmy bezradnie i słuchaliśmy odgłosów walki, nie wiedząc co począć. Czekaliśmy rozkazu z Zasmyk, gdyż tam był ośrodek dyspozycyjny. Postanowiliśmy wreszcie podejść bliżej i rozpoznać się trochę w sytuacji. Do kościoła, czyli do centrum Zasmyk było trzy kilometry. Gdy byliśmy w połowie drogi, nadjechał goniec na koniu z wiadomością o nпадzie, lecz nie był pewny z kim toczy się walka: z Ukraińcami czy z Niemcami? Napastnicy byli w mundurach niemieckich, lecz to niestety nie wyjaśniało. Może podstęp banderowców? Rozsądny bez względu na to, z kim przyjdzie walczyć. Dotarliśmy do wal, gdyż już cała wschodnia część paliła się, a nawet do połowy. Najbliższe pozycje na wysokości zabudowań Brudków, podczas gdy Niemcy byli w okolicy Sładowskich i ze szkołą. Przez kilka godzin trwała wymiana strzałów. Wyparliśmy ich w końcu i dopiero goniąc



wycofującego się wroga w pośpiechu, rozpoznaliśmy zabitych Niemców. Mieli odznaki, dokumenty. Uciekali w panice, co chwila strzelali w górę czerwone rakiety wzywające pomocy. Nie było to łatwe. Kowal był oddalony o 18 km. Przy końcu Niemcy jeszcze raz <sup>PRZY</sup>puścili zmasowany ogień, ale nie zdołali już niczego osiągnąć i szybko się wycofali. Widocznie bali się zbliżającego wieczoru, a nocy Szwaby bali się jak ognia. Znajdowaliśmy zabitych Polaków i Niemców. Polacy - to sami cywile.

- Od tego czasu, aż do przyścia armii czerwonej był w naszym rejonie spokój - zakończył swą relację mój wujek.

Tymczasem my w Suszybabie przez cały ten dzień i kilka następnych byliśmy poruszeni mocno napadem. Niepokoił nas los najbliższych, nie mieliśmy jeszcze wtedy żadnej dokładnej wiadomości dokąd doszli napastnicy i które domy zostały spalone. Docierały informacje, lecz albo zbyt skąpe, lakoniczne, albo mocno przesadzone. To powiększało jeszcze niepewność. Każdy drżał o swoją rodzinę, krewnych, przyjaciół. Przeżyć najgorsze i teraz tracić wszystkich, gdy wydawało się, że jesteśmy na tyle silni, że możemy stawić czoła napadcy - to męczyło najbardziej. A tu zima sroga, mroźna, gdzież więc w tych warunkach podzieją się pogorzelnicy? Co będą jedli? Co wogóle dzieje się z nimi? Gotowy byłem ja i inni zasmyczanie i ci, których rodziny tam się znajdowały, lotem ptaka mknąć do Zasmyk, by przekonać się naocznie o rozmiarach tragedii i upewnić się co do losu najbliższych. Niestety, musieliśmy być posłuszni rozkazom.

Dopiero w dwa lub trzy dni później "Jastrząb" wybrał kilkunastu ludzi i nakazał wyjazd paroma saniami w tamtym kierunku. Znalazłem się też w tej grupie. Jechałem drżąc z niepokoju, a jednocześnie nie mogłem doczekać się końca lityńskiego lasu, za którym Zasmyki były już bardzo blisko. Gdy mijaliśmy Gruszówkę, nawet rozmowy na saniach przycichły. Każdy starał się przesyć wzrokiem ciemności i zobaczyć dom swych rodziców, sąsiadów lub w którym jego rodzina znalazła schronienie. Co zastaniemy? - biegą nam nieustannie po głowie. Mieliśmy nadzieję, że dowódca pozwoli choćby na chwilę wpaść do domu i zobaczyć się z rodziną. Nie dane nam jednak było przeżyć te chwile radości. Nie zdołaliśmy nawet uzyskać pełnego rozeznania w stanie wsi. Z ~~Saniami~~ tylko zobaczyliśmy skutki napadu. Sanie zatrzymały się bowiem między szkołą a kościołem. Porucznik "Jastrząb" z kilkoma ludźmi pojedechał dalej, pewnie na plebanię do księdza Żukowskiego lub może do "Eliasa" lub "Burasa", czy innego dowódcy zasmyckiej placówki, my zaś otrzymaliśmy rozkaz czekać bez rozchodzenia się, na jego powrót. Oczekaliśmy więc cierpliwie. Patrzyłem ze ściśniętym sercem na swą wioskę. Domy Dondalskich, Podgórskich, Mazurków stały nietknięte, szkoła także, lecz dalszych nie można było w ciemności dojrzeć. Wiatr tylko w powiewach



od wschodu przynosił zapach spalenizny, jaki kiedyś towarzyszył nam w wyprawie nad Bug do "Korda" i przywoływał na myśl smutne przeświadczenie, że nie istnieją już na pewno domy, które były kolebką naszego oddziału. Staliśmy obok sań, nie mając odwagi pójść dalej, by zobaczyć skutki pacyfikacji, gdyż dowódca w każdej chwili mógł pojawić się, a nikt nie śmiał narazić się na delikatną nawet wymówkę. Rozmawialiśmy tylko półgłosem, snując domysły o dzisiejszych ciężkich losach zasmyckiej społeczności.

I to był mój ostatni pobyt w rodzinnej ukochanej wsi. Miałem ją zobaczyć dopiero po przeszło dwudziestu latach, zmienioną nie do poznania, cichą-przygaską, pozbawioną nawet swej własnej nazwy...

## N A P L A C O W C E W O S S I E

Mocno zapisała się Ossa w pamięci naszych oddziałów, a szczególnie trwale zapamiętała ją nasza drużyna. Przeżyliśmy tam dni pełne napięcia, ciężkiej służby wartowniczej, długich, samotnych czuwań na placówkach wysuniętych daleko na skraj wsi w kierunku Świnarzyńskiego lasu, skąd zawsze jeszcze mogło grozić niebezpieczeństwo.

W każdą noc gorzało wokół krwawymi łunami, ciemność przeszywały jak gwiazdki latającej zygzaki świetlnych pocisków, powietrze napełniało się raz po raz echemi to dalekich, to znów zupełnie bliskich wystrzałów. Staliśmy pojedynczo lub po dwóch, postukując ostrożnie butami dla rozgrzewki przed dokuczliwym mrozem i zapuszczając wzrok w nieprzeniknioną ciemność nocy, łowiąc jednocześnie uchem najbliższe szmery. Zanim nie nadszedł "Chan" z całym plutonem, z utęsknieniem wychylaliśmy jakichkolwiek posiłków, które by ulżyły naszej ciężkiej służbie.

Pozostawieni w sile jednej drużyny na tamtejszej placówce, nie orientowaliśmy się dokładnie w sytuacji. Nie przypominam sobie, czy wiedzieliśmy, że w pierwszych dniach lutego dowództwo podjęło decyzję uderzenia wszystkimi oddziałami na jeden z najważniejszych ośrodków UPA w Świnarzynie, Wołczaku, Dominpolu i innych okolicznych miejscowościach. Zadanie zostało wykonane, jak się okazało nadzwyczaj pomyślnie, tak że nacjonaliści ukraińscy musieli w popłochu opuszczać swoje niedawne "twierdze". W zajętych wsiach ulokowały się nasze bataliony. Ossa, duża wieś i kolonia ukraińska, należała również do silniejszych baz bulbowców. Mieliśmy za zadanie strzec jej przez ewentualnym najściem. Warty były więc bez przerwy, a każdy z nas odprężał się najwyżej przez krótki czas, który go dzinął i znowu szedł na służbę. Nikt jednak się nie uskarżał, nie narzekał, nie złorzeczył swemu losowi. Spełnialiśmy rozkaz z całym oddaniem i wewnętrzną dyscypliną.

Czasem mimo, że stał się z kolegą, mijają godzina, potem druga w

zupełnej ciszy, bez słowa. Każdy rozmawiał ze swymi własnymi myślami, snuk najrozmaitsze rozważania, marzył, wspominał pozostawionych kolegów w Zasmakach, Kowlu i jeszcze dalej we wsiach i miastach Wołynia swych najbliższych. Czasami przywodził na myśl twarze tych, którzy zginęli od wrażej kuli, noża lub siekiery ukraińskich okrutników. Kiedy indziej znów, nie spuszczać oka ze śnieżnej mrocznej doliny, przez cały czas warty cichym, ledwie doskyszalnym szeptem prowadziło się rozmowy o beztroskich chwilach szkolnych, o domach, kolegach, sympatiach, o minionych przygodach, zdarzeniach, przeżyciach. Płynęły słowa - wesole lub tęskne, pełne głębokich, powiedziałbym - romantycznych warunków, to znów zabawnych, żartobliwych przeżyć. Dzisiaj chwile te wydają się snem, nieprawdą, treścią zaskyszanych raczej opowieści niż realnymi autentycznymi doznaniem, zwłaszcza gdy się je zestawi z obecnym, tak bardzo wypranym z romantyzmu światem. Wiem, że nie można tego odnosić do wszystkich dzisiejszych młodych ludzi, lecz na pewno do większości.

Kiedy indziej znów mając po południu lub wieczorem trochę wolnego czasu, siadaliśmy lub kładki się na posłaniach, rozpostartych wprost na podłodze i słuchaliśmy, jak Czesiek "Tygrys" na zdobytych gdzieś skrzypcach, które wytrwale nosił wszędzie ze sobą, jak plecak i karabin grał swoje ulubione melodie. I znowu stawały nam przed oczami wy czarowane tonami skrzypiec obrazy naszych wiejskich zabaw w gronie najbliższych koleżanek i kolegów, gdy jako początkujący kawalerzakiwie próbowaliśmy tańczyć i bawić się na wzór dorosłych, lub słuchaliśmy muzyki w wykonaniu naszych wiejskich domorosłych "Janków muzykantów". Wyobraźnia przenosiła nas na dawne wesela, na które zabierali nas - swoje dzieci - rodzice i kiedy to mniej interesowały nas stroje, tańce, najnowsze wiadomości itp., a za to przykuwała uwagę orkiestra, złożona z wiejskich skrzypków, klawecistów, jak wycinaka swe ogniste obertasy, polki, lub posuwiste walce i tanga. Teraz przy muzyce Czeska, sceny te odżywały i stawały przed oczami wyobraźni z całą gamą barwnych kolorów i dźwięków.

A Czesiek grał naprawdę pięknie. Rozumiał i czuł muzykę i jej nieuchwytnie piękno. Umiął wydobyć ze skrzypiec tony najczystsze, pełne wyrazu, świeżości i prostoty. Nie zawsze miał chęć do muzykowania, ale gdy trafił na swój dzień, było czego posłuchać. Do dziś jeszcze, gdy przypomnę tamte chwile, brzmią w moich uszach jego niezwykle melodyjne walce i natychmiast zjawia się przed oczami "Tygrys" z przystojną okrągłą twarzą, delikatną, prawie ~~niekiedy~~ <sup>delikatną</sup> cerą, śmiejącymi się ciętymi oczami, z pokręconą w fantazyjne sploty płową czupryną, jak stoi na środku izby, brodę pochylił na kwawdź skrzypiec, spogląda na nas z uśmiechem i wodzi smyczkiem po strunach, a skrzypki na przemian zkoją cicho, wdzięcznie lub wycinają siarczysto, jak mówiliśmy wtedy - kawalki. My zaś zaszuchani nie śmiemy się poruszyć, żeby nie przeszkodzić gra-



kowi, nie zakłócić cudownego nastroju. Czar muzyki działał wszechwładnie. Gdy zmęczony przerywał i chciał odłożyć instrument zaraz rozległy się z podłogi, bezlitosne głosy:

- Czesiek, pograj jeszcze trochę!

- Tak pograj, dzisiaj grasz, jak rzadko, kiedy!

- No, Czesiek, nie daj się prosić, kto wie czy długo jeszcze będziemy mogli być razem i słuchać twoich skrzypiec.

"Tygrys", widząc nasze szczerze prośby, czując, że ma wdzięcznych naprawdę słuchaczy, brał znów skrzypce pod brodę, chwilę się namyślał, potem koncertował dalej, nie przypuszczając pewnie, że są to jego ostatnie dni życia, bo już wkrótce pod Osmigowiczami miał dostać śmiertelną kulę i na zawsze pozostawić swe skrzypki niezapomniane. Jeszcze ostatniego wieczora przed śmiercią, leżąc obok mnie w kupieczowskim szpitalu, patrząc jakos' dziwnie w sufit, z trudem bowiem poruszał głowę, pół żartem, pół serio rzekł cichym przerywanym głosem:

- A wiesz...czego mi najbardziej...na tamtym świecie będzie brakowało...? Skrzypiec...

Nie wiedziałem co mu na to odpowiedzieć. Brzmiało to już jak urywek z baśni lub majaczenie w gorączce. Bąknąłem tylko zdawkowo:

- Jeszcze się i tu nagrasz, nie ma obawy.

On zaś po chwili szepnął jakby nie słysząc moich słów:

- Nikt mi pewnie nie uwierzy...a to naprawdę...tak jest.

Rano już nie żył.

Nigdy nie wierzyłem w żadne gusła, zabobony, strachy ani dziwy, lecz ilekroć wspominałem Cześka "Tygrysa", przypomina mi się nie tylko jego sylwetka, piękna muzyka, lecz także pewne zdarzenie z pogranicza czystej metafizyki, nie dające się pojąć ani wytłumażyć.

Było to w czasie, kiedy staliśmy na placówce w Kupieczowie, chyba jeszcze przed napadem banderowców z czołgiem. Zebrani na kwaterze całą drużyną rozmawialiśmy o zaskryszanych baśniach, o duchach i strachach, najczęściej z opowiadań naszych babć i dziadków. Na ścianie wisiała mała naftowa lampka, rzucająca nikłe światło na twarze chłopców i całą niewielką izbę. W pewnym momencie któryś z kolegów zaczął bardzo kategorycznie wyrażać się przeciwko wszelkim cudownościom, nawet w bajkach, uważając to za zwykły absurd, niegodny cywilizowanego człowieka. Przekomarzaliśmy się z nim przez chwilę tylko dla żartu, lecz Czesiek odezwał się nagle z dziwną powagą, w oczach i głosie:

- Nie bądź taki przemądrzały, bo wszystkiego na świecie i tak swoim głupim rozumem nie wytłumaczysz!

- To ty wierzysz w duchy? ty? - zaperzył się młody racjonalista. - Inaczej to sobie myślałem..

- Mogę cię o tym przekonać, chcesz? - "Tygrys" mówił wciąż z rzadką u niego powagą.

- Proszę bardzo, przekonaj!

Innych chłopców także zainteresowało ~~mi~~ zachowanie się Czeska i jego niespodziewana reakcja na wywody tamtego. Zaczęli też domagać się, naturalnie śmiejąc się i żartując, dowodów na istnienie cudownych, i niewytłumaczalnych zjawisk.

Czesiek dziwnie łatwo uległ naszym naleganiom.

- Przykręćcie trochę mocniej lampę-zwrócić się do nas.-Teraz wyciągnijcie na środek stół.Dobrze.Siądźcie gęsto jeden obok drugiego naokoło,tylko tak,żeby się o stół nie opierać.Położcie obie ręce na blat stołu i patrzcie na mnie albo przed siebie.Tylko poważnie!-dorzucił,widząc uśmiechy na wszystkich prawie twarzach.

Wykonaliśmy wszystkie polecenia z Kobuzerskimi błyskami w oczach, zdradzającymi, że każdy oczekuje jakiegoś kawałka ze strony projektodawcy.

- A nie wylecimy w powietrze?-próbował żartować któryś<sup>ś</sup> bardziej krotochwilnych.

- Na pewno Czesiek wywoła duchy naszych przodków-domyślał się inny.

- Jeśli będziecie zachowywać się w taki sposób,to rzucam wszystko i idziemy spać!

Poważny ton Czeska i takaż mina sprawiły, że rozszawiona gromada ucichła i patrzyła pilnie w oczy medium. Po chwili zaległa zupełna cisza.Nikt nawet nie śmiał się poruszyć.W twarzach niektórych pojawił się czasem uśmiech,lecz szybko gasł wobec powagi pozostałych.Czekaliśmy w napięciu co Czesiek wymyśli? Upłynęło tak co najmniej dziesięć minut.Gdy oczekiwanie połączone z ciekawością i niedowierzaniem,zdawało się osiągnąć szczyt,Czesiek odezwał się cicho tajemniczo:

- Zadawajcie po kolei pytania,ale tak sformułowane,by można na nie odpowiadać liczbami.

Zaczęliśmy szukać w myślach stosownych propozycji.

- Ile lat pozostało do zakończenia wojny?-padło pierwsze pytanie.Chwila ciszy i ku naszemu zdziwieniu,dłuższy bok stołu z trzymanyimi na blacie naszymi dłońmi zaczął wolno,równo unosić się w górę, wsparty na dwóch pozostałych nogach.Uniósłszy się około dwudziestu centymetrów,upadł z powrotem na podłogę,wydając równy,niezbyt głośny stuk. Po chwili podniósł się poraz drugi i znova stulnął dwoma nogami o podłogę.Czekaliśmy jeszcze,lecz stół stał nieruchomo.

- Dwa lata...Jeżeli dwa lata-rozległy się szepty nie to z podziwem,ni to z lękiem,że tak długo,ale przeważnie z niedowierzaniem.Zabawa zaczynała się podobać,na twarzach pojawiły się pogodowe uśmiechy i oczekiwanie dalszych cudów.Kilka głów pochyliło się pod stół,by sprawdzić czy Czesiek kolanami lub w jakiś inny sposób



nie pomaga tajemniczym siłom. Nie, trzymał nogi podobnie jak my wszyscy, ręk także nie odrywał od desek stołu. Dłuższą chwilę konsternacji przerwało następne pytanie:

- Za ile lat się ożenić?

Przez siedzących przeleciał szmerek uśmiechów, lecz natychmiast umilkł, gdyż stół zaczął powoli unosić się w identyczny jak poprzednio sposób i wystukał pięć czy sześć razy.

Posypały się teraz pytania ze wszystkich stron. Ten pytał o długość życia, tamten też o lata dzielące go od ożenku, inni jeszcze o inne szczegóły. Zapomnieliśmy o tajemniczych siłach oddaliśmy się bez reszty zabawie. Czesiek tylko upominał co chwila o zachowanie powagi. Słuchaliśmy go bez protestu, bo podziw dla niezwykłego medium rósł coraz bardziej. Gdy wreszcie każdy wypowiedział już swoje pytania i otrzymał odpowiedź, przyszła kolej na "Tygrysa". Ten wzbraniał się przez chwilę, gdy koledzy dopingowali, by też o coś zapytał, w końcu dał za wygraną:

- No to ile lat pozostało mi do końca życia?

Długa chwila denerwującej ciszy. Wzrok wszystkich biegł, to na stół, to na twarz Czeska z niepokojem, bo stół ani się poruszył. Pół minuty... minuta... Nic. Siedzieliśmy z niewyraźnymi minami, nie wiedząc co począć. Wreszcie Czesiek odezwał się niby beztrosko, za głosem, jak na nastrój wieczoru:

- No to już wszystkim wiadomo. Pierwsza kula moja.

- Et, nie wykupiajmy się! Wariackich wróżb nam się zachciało krzyknął chyba "Jodła". Wstał z trzaskiem od stołu, za nim uczyniliśmy to samo. Izba napełniła się znowu gwarem, komentarzami, wyrazami niedowierzania, usiłującymi zbagatelizować cały niezwykły spirytystyczny seans.

- Nie wierzę w żadne wróżby ani w przepowiednie stukających stołowych nóg! - odezwałem się, aby być konsekwentnym w stosunku do poprzednich głoszonych teorii, choć czułem, że tym razem nie jestem zupełnie szczery.

- A ja ci mówię, że możesz nie wierzyć, ale lekceważyć też tego nie trzeba. - Czesiek mówił spokojnie z poprzednią powagą w głosie. Tylko na twarzy błękał mu się blady, niewyraźny uśmiech.

I oto wróżba spełniła się.

Niewielkie mieliśmy wtedy potrzeby i mało wymagaliśmy od życia. Nawet w jedzeniu. Nigdy np. nie interesowała mnie sztuka kulinarna. Umiałem dotąd smażyć tylko jajecznicę i zaparzać herbatę. W Ossie nauczyłem się przyrządzania jeszcze jednej potrawy, smażenia placków. Na smalcu lub oleju. Nie wiem czy ktoś dzisiaj uznałby je za specjal, raczej wątpię, ale wtedy? ho, ho! Rozrabiałem mąkę z czystą wodą, a następnie tak przygotowane ciasto wylewałem na patelnię i smażyłem

placki, jak na naleśniki - cienkie, rumiane. To znów dla odmiany kładłem na tę patelnię po kilka łyżek ciasta tak, by zanurzały się w tłuszczu, jak pączki i wychodziły z tego niby racuszki - placki okrągłe, niezbyt wyrosnięte, ale nie miało to znaczenia. Każdy otrzymywał po kilka lub nawet kilkanaście, jeśli miał apetyt, takich smakołyków. Koledzy jeśli je wraz ze mną, zachwalali, ani myśląc grymasić czy robić mi jakieś wyrzuty. Czasem tylko zapominałem ciasto posolić, albo też solnikiem po dwa razy i wtedy jedzeniu towarzyszyły przeróżne dowcipy, pełne domysłów dlaczego tak się stało? Potrawę tę spożywaliśmy przez kilka dni z rzędu, niczym nie urozmaicając i nikt się nie krzywił, jak to bywa zazwyczaj w domu, gdy zdarzy się dwa razy po kolei podobna zupa na obiad. Nie potrafię sobie do dziś wytłumaczyć, skąd brała się u nas taka odporność fizyczna i psychiczna, tak łatwe godzenie się z losem i każdą przeciwnością, przyjmowanie zarówno powodzeń jak i niepowodzeń, jako rzeczy normalnych, oczywistych w naszym partyzanckim bytowaniu.

Pytał mnie kiedyś młody człowiek, czy żyliśmy ze sobą w zgodzie, czy nie było między kolegami kłótni, zawiści, nieporozumień. Odpowiedziałem mu, że jeśli idzie o naszą kompanię, a może i batalion, bo innych oddziałów bliżej nie znam, to na pewno można mówić o prawdziwej wśród chłopców zgodzie i harmonii. Drużyna nasza np. była naprawdę żyła i rozumiała się doskonale, w boju czy na kwaterze, w dobrem czy złym. Spora grupa kolegów pochodziła z Łączyc z Turzyska: "Ziuk", "Biały", "Tygrys", "Okularnik", "Tajfun", "Jodła", i chyba "Morwicz". Z innych stron prócz mnie był jeszcze "Wileczek", młody chłopiec z twarzą staruszka, dzielny, koleżeński, "Lew" / mówiliśmy mu w wołaczku - "Lewie" / . "Mo-re" i jeszcze kilku, których imiona i pseudonimy uciekły mi z pamięci. Związały nas wspólne dole i niedole, głównie te same ideały, dążenia, bitwy, rany, krew. Mówiąc szczerze z jednym tylko Morwiczem nie zawsze mogłem się dogadać. Nie wiem, jakie miał zarzuty przeciwko mnie, bo mi tego po imieniu nie powiedział, pamiętam tylko, że patrzył na mnie zawsze z ukosa. Ja go też nie darzyłem zbyt wielką sympatią. Raziko mnie u niego udawanie trochę panicza, chwalenie się bardzo, zresztą czystymi zawsze oficerkami, patrzenie na wszystkich trochę z góry, a że specjalnych duchowych ani intelektualnych nie okazywał, stąd nie potrafiłem jego sposobu bycia zaaprobować i konflikty rodziły się przy łada okazji. Żartowałem z niego czasem, co natychmiast wprawiało go w stan zdenerwowania i kłóczyło się nieraz na ostrej wymianie oków. Raz, właśnie w Ossie, już po przyjeździe całego batalionu, pogarpaliśmy się nawet nieco, ale po paru godzinach zapomnieliśmy o zwadzie. Zwykła dziecięcinada, choć uważaliśmy się za bardzo dorosłych. Poza tym przypadki niezgody zdarzały się tylko sporadycznie, nawet, jak wspominałem



w najcięższych czasach-okrażeniu czy trudnym marszu przez Polację.

Inne drobne wydarzenia w Ossie niech będą ilustracją postawy moralnej naszej kadry podoficerskiej, której w dużym stopniu zawdzięczamy nasze zachowanie się w tamtych czasach i niecodziennych sytuacjach.

Zaraz po objęciu placówki przez naszą drużynę, którą dowodził wtedy kapral "Orzech", człowiek powszechnie lubiany i szanowany, dwóch chłopców nie mając nic innego do roboty chwilowo, bo zeszli z warty i czekali na obiad, wybrało się na spacer po wsi. Chcąc zorientować się, jak żyli i mieszkali Ukraińcy, zaczęli wstępować do chat, oglądać ich wnętrza, urządzenia. W pewnej, z wyglądu pustej chałupie, zastali dwie Ukrainki-jedną starszą kobietę, niezdrówą, opatuloną, jakimiś kaftanami, drugą młodą, jej córkę, która została, by opiekować się chorą matką. Obaj koleźcy zaczęli rozmowę polegającą początkowo na wypytywaniu o różne szczegóły dotyczące Ossy, jej ludności, udziału w tympieniu Polaków, badali przyczyny pozostania obu kobiet w opuszczonej wiosce, potem przeszli na ton żartobliwy, by w końcu zacząć zalecać się do młodej. Ta, choć wylękłona, bezbronna, dąka natrętom najpierw zdecydowaną odprawą, a gdy ci nie zrezygnowali z zalotów, wybiegła na dwór i poskarżyła się przechodzącemu skurat tamtędy innemu z naszych kolegów. Nadszedł na to i "Orzech", jako, że wszystko działo się w pobliżu naszej kwatery. Wysłuchawszy skarg dziewczyny, zapewnił ją, że nic jej nie grozi, może spokojnie mieszkać ze swą matką, byle tylko nie opuszczała wsi, a obu bierfortunnym "szperaczom" kazał natychmiast zameldować się u siebie.

Nie chciałyby być w skórze naszych kolegów, gdy stanęli przed dowódcą. Łagodny z natury i na koleżeńskim stopie żyjący z nami dowódca placówki z błyskawicami w oczach dawał szkołę obu kawalerom.

- Pod sąd was oddam!-wokał zagniewany.-Wstyd przynosicie polskim partyzantom. Konkuruje się wam zachciało? Chcieliście się upodobnić do ich mążów czy synów, co tak samo postępowali z waszymi siostrami?! Łobuzy! Tylko łobuzy tak postępują!

Długo jeszcze nie mógł nasz dowódca wrócić do siebie, wreszcie wyznaczwszy odpowiednią karę, polecił delikwentom odmaszerować, zapowiadając jednocześnie, znacznie surowsze konsekwencje w przypadku powtórzenia się podobnych wykroczeń. Jego wyraz twarzy zdawał się mówić, iż nie zamierza rzucać sków na wiatr.

Nikt z nas nie próbował usprawiedliwić kolegów, gdy zostali śmy nami. Stanowisko dowódcy podzieliłi wszyscy. I uczyli się u niego.

Przeżyliśmy w Ossie przysędę, która wprawdzie nie miała żadnego znaczenia dla naszych działań, ale była niezłym egzaminem z odporności psychicznej i żołnierskiej postawy każdego z nas. Otóż jednego dnia po wczesnym obiedzie kaprak "Orzech", zostawiwszy na

placówce czterech chłopców pełniących wartę, polecił wreszcie siadnąć na przygotowane wcześniej dwie fury i pod jego komendą jechać na zlustrowanie okolicy. Od południowo-zachodniej strony dolatywały często echa wystrzałów, należało więc sprawdzić, co się tam dzieje.

Dzień był ciepły, zmarznięta w nocy ziemia pod wpływem słońca i dość wysokiej temperatury, spowodowanej krótkotrwałą odwilżą, mocno "puściła", tak że koła oblepiały się czarnym, tłustym błotem. Konie stapały wolno, ciągnąc spory ciężar. Nastroje na wozach, mówiąc szczerze, nie były radosne, choć staraliśmy się udawać wesołość. Było nas za mało, by czuć się bezpiecznie w tych odległych stronach.

Droga wiodła lekko pod górę. W głębokich koleinach chrząścił jeszcze śnieg. Osiągnąwszy szczyt wzniesienia, ujrzelśmy w dole niewielką wioskę, odległą od nas o około półtora kilometra rozciągającą się prostopadle do osi naszej drogi. Dalej ciągnęły się puste-otwarte pola, tylko z lewej strony od południowego wschodu czerniała w dali długa wstęga lasu.

Dwóch chłopców zeskoczyło z wozu i z karabinami gotowymi do strzału ruszyło prądem, jako ubezpieczenie. Reszta jechała nadal na wozach, pilnie wpatrując się w opłotki zbliżającej się wsi. "Orzech" podniósł do oczu lornetkę. Patrzyć długo chwilę, poczym opuścił ją luźno na piersi.

- Nikogo. Wiosna na pewno pusta. - Rzucił półgłosem.

Słońce pochyliło się już mocno z południa, gdy dotarliśmy na odległość nie większą nad sto pięćdziesiąt do dwustu metrów, dzielących nas od wsi. Teraz wszyscy zeskoczyli z fur i rozsypali się po polu.

Byliśmy już zupełnie blisko zabudowań, gdy między chatami mignęła postać kobieca w długiej spódnicy i krótkim, białym korzusiaku oraz dużej chuście na głowie. Odszedłszy dalej zwolnionym krokiem, co chwila oglądając się za siebie. Po krótkim czasie znikła wśród gęstych zabudowań.

Pierwsze podwórze, na które weszliśmy, było puste. Ruszyłem za klamkę drzwi. Buchnęło ciepłem i zapachem cebuli. Odniosłem wrażenie, jakbym był w chacie piórkowickich sąsiadów, gdzie izby wypełniał zawsze zimą i latem ten sam zapach z domieszki dżiegoju. Tylko, że ukraińskie domy odwiedzało się jak wszystkie inne - bez wrogości, czy choćby niechęci. Teraz sytuacja, nie z naszej winy zmieniła się radykalnie. Miska gotowanych w łupinie kartofli, jeszcze ciepłych, świadczyła o tym, że mieszkańcy dopiero co opuścili swój dom i musieli gdzieś być w pobliżu. Gdy wyszliśmy na dwór, kaledony byli już o kilka chat dalej, jeden tylko xxxxxx stał na dróżce i obserwował teren. Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów w prawo, potem tyłem w lewo - wszędzie podobna sytuacja. Ludzi nie ma. Lecz niedawno byli. Gdzie są?



Nagle zauważyliśmy, że zza stodoły stojącej na uloczu poza wieś, w lewo od nas wyszło dwóch mężczyzn. Stanęli nieruchomo patrząc w naszą stronę. Nieco dalej ukazał się jeszcze jeden.

- Chłopczy, uważać! - rzekł półgłosem "Orzech". - Trzymać się nie-  
daleko siebie i broń mieć w pogotowiu. Podejdziliśmy jeszcze kawa-  
łek i zwracamy do koni. Trochę za późno wybraliśmy się.

Istotnie było już późno. Słońce skrywało się już za chatami,  
rzucając jedynie w przerwach między zabudowaniami równieległe nie-  
mał do ziemi promienie. Jeszcze kilka minut i zacznie zapadać,  
wczesny o tej porze roku, zmierzch. A do Ossy kawał drogi.

Zlustrowawszy jeszcze kawałek wsi zawróciliśmy w stronę oczeku-  
jących furmanek, gdy Czesiek "Tygrys" obejrawszy się za siebie  
zakrzyknął: Uwaga!

Odwróciliśmy się jak na komendę. Za nami w odległości około  
dwustu metrów szło sześciu mężczyzn. Spodań ramion wystawały im  
lufy karabinów. Ujrzawszy, że zatrzymaliśmy się, uczynili to samo.  
Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem.

- Bieśmy do wozów, tylko ostrożnie. Trzymać się blisko zabu-  
dowań, żeby w razie czego, było się gdzie schować. - Słowa dowódcy  
brzmiały spokojnie, lecz czuć było w nich napięcie. - I najbarziej  
rozszepać się! - dorzucił jeszcze.

Wykonaliśmy polecenie, nie spuszczać oczu z grupki przeciwni-  
ków, których ilość powiększała się, a w dali było widać jeszcze  
jakieś sylwetki - nie wiadomo - cywilów czy zbrojnych? Nie mieliśmy  
wątpliwości: Ukraińcy zorientowawszy się w naszej małej liczbie,  
chcą nas wystrzelać jak kaczki. Nieswojo zaczęło się robić, zwłasz-  
cza, że na żadną pomoc liczyć znikąd nie można było.

- Noto zaraz będzie ciepko - czepnął idący niedaleko mnie  
mały "Wilczek". - Żeby tylko nie za gorąco!

Wszystkie okoliczności na taką ewentualność wskazywały. Jedyną  
nadzieją był zbliżający się wieczór. Pod osłoną ciemności łatwiej  
będzie się wycofać, o ile nie zasną zaraz. Tymczasem "Okularnik"  
i "Lew" byli już przy wozach.

- Jechać! rzucił w ich stronę "Orzech". Reszta w tyralierę i...  
kierunek Ossy!

Ruszyły konie, nieco z tyłu za nimi my w rozszepce, półkolem,  
nie spuszczać z oczu Ukraińców. Ci skradali się za nami jak dzi-  
kie bestie, gotowe do skoku. Czekaliśmy w napięciu, kiedy dojdą ognia.  
Było ich znacznie więcej od nas, pozatym wchodziłiśmy na otwarte  
pole, oni byli jeszcze między zabudowaniami, nasze więc szanse w tym  
momencie były znacznie mniejsze. Spoglądaliśmy na siebie ukrad-  
kiem. Jakby szukając potwierdzenia w twarzach kolegów, że bronąć  
się będziemy do ostatka, że nikt nikogo nie opuści. Wiedzieliśmy jed-

nocześnie, że gdyby przeciwnicy, którzy pojawili się teraz i na lewo od nas, rzucili się w tej chwili do ataku, oskrzydliby naszą grupę niezawodnie, nie dając żadnych możliwości wycofania się. "Świadek klasyczny by nie uszedł" - przeleciało mi przez myśl zdanie Sienkiewicza. Lecz nie takiego się nie dzieje. Na co czekają? A może są już na naszych tyłach? Mróz przeleciał mi po skórze. Mogli przebiec bez trudu, widząc dwie tylko furmanki, obejść nas i zaatakować niezawodnie z dwóch stron. Tylko czekać, sygnału. Szliśmy nieco pod górę i niesposób było przewidzieć, co się kryje za naszymi plecami. Na każdy szybszy ruch posuwających się ciągle za nami Ukraińców, pochylaliśmy się, gotowi natychmiast paść na ziemię i strzelać. Palce bez przerwy spoczywały kurczowo na językach spustowych. Czas drążył się niemiłosiernie a szczyt wzniesienia, odległy o kilkaset kroków, wydawał się prawie nieosiągalny. Lecz gdy po paru dalszych minutach bulbowcy nadal nie atakowali, otucha zaczęła wstępować w naszą nieliczną gromadkę. Na pewno poza wzgórkami nie ma nikogo, oni natomiast mogą domyślać się, że nasze wojsko czeka tam ukryte, my zaś jesteśmy tylko jego małą forpocztą. Ale i tak mogli nas do tej pory zniszczyć co do nogi.

Nie zniszczyli jednak. Zabrakło im odwagi, a może bali się odwetu. Prowadzili nas tylko, będąc stale w tej samej odległości, zanim nie osiągnęliśmy szczytu wzgórza. I dopiero gdy zaczęliśmy schodzić w dół po północnym zboczu, przeleciało nad głowami parę pocisków karabinowych. Wozy toczyły się teraz znacznie szybciej, my też przyśpieszyliśmy kroku. Odjechaliśmy dość daleko, gdy nad szczytem pagórka na tle szarzejącego nieba ukazały się sylwetki przeciwników. Zatrzymały się i nie próbowały posuwać się dalej. Teraz nie byli już groźni.

Tęj nocy nie zmróżyliśmy oka.

W maju, gdzieś na Polesiu, opowiadał mi jeden z żołnierzy, zdaje się od "Gzymśa", że gdy stali w Rzewuszkach i patrolowali sąsiednie miejscowości, w początkach lutego do jednej z nich przyjechały po południu dwie furmanki jakiegoś wojska - Polaków lub Ukraińców. Nie mając pewności szli z daleka za nimi, dopóki nie znikli za pagórkami w stronę Ossy.

Chodzi mi do dziś po głowie podejrzenie, czy nie mówili o naszych tam odwiedzinach?

Z Ossą wiąże się jeszcze jedno ważne wspomnienie: tu, gdy wiesz stała się siedzibą naszej Kwatery Głównej, w pewien pochmurny dzień odczytano nam na placu przed szkołą rozkaz, z którego dowiedzieliśmy się, że oddziały nasze utworzyły 27 Wołyńską Dywizję Piechoty Armii Krajowej. Taka jest od dziś oficjalna nazwa naszego wojska. Że na czele Dywizji stoi major "Oliwa". We wreszcie mamy



odtąd nosić na rękawach biało-czerwone opaski, a wszyscy podoficerowie i oficerowie nakożą zgodnie z ich stopniami dystynkcje.

Pamiętam, jakie było ogólne poruszenie, gdy nasi czołownicy przyzywali sobie do naramienników belki starszych strzelców, kaprałów, plutonowych. Najwięcej chyba satysfakcji mieli ci najmłodsi stopniem, starsi strzelcy i kaprale, gdyż ogromna większość otrzymała swe "szlify" już w partyzantce. A więc doceniono ich zasługi, poznano się na ich zdolnościach, odwadze. Byli dumni ze swych "paszków", tą słuszną dumą z racji nagrody za dobre spełnianie wziętych na siebie obowiązków. A pozostali, dalej tylko szeregowi, choć niby śartowali i dowcipkowali z kolegów i ich "szarży", to w duchu i cicszyli się, i zazdrościli po trosze i obiecywali sobie, że przy najbliższych awansach i oni znajdą się wśród wyróżnionych. Przede wszystkim zaś wszyscy poczuli się teraz prawdziwym wojakami, nie jakimś tam oddziałem partyzanckim. Poczucie to imponowało nam, napełniało dumą, zwiastowało bowiem zbliżający się wielkimi krokami ostateczny bój o Niepodległą. A stanie się to między innymi z naszym niemałym udziałem, nasza Dywizja dorzuci też cegiełkę do wielkiej budowy wolnej od wroga Polski. Jeszcze mniej straszne wydały się teraz walki, marsze, długie pochody, uciążliwe warty i to wszystko, co składało się na twardą żołnierską służbę.

Wtedy jeszcze prawdziwej, tragicznej nagrody za krew i trud nikt nie przewidywał.

### O Ś M I G O W I C Z E

Noce z 15 na 16 lutego 1943r. była mroźna i wietrzna. Ostre porywy wiatru ciskały w oczy gęstym śniegiem, a konie zapadały się prawie po brzuski, gdy długi rząd sanii wypełnionych żołnierzami batalionu por. "Jastrzębia" przebijak się z Ossy już od godzin wieczornych przez śnieżną zawieruchę w kierunku Ośmigowicz. Inną drogą w tym samym kierunku jechał batalion por. "Siwego". Po oskazywanym Swinardynie, rozbitym parę tygodni temu, banderowcy tu podobno skoncentrowali dwoje siły. Jechaliśmy więc, aby i to gniazdo wroga rozprządzić. Byliśmy spokojni i pełni nadziei, że dowództwo dobrze rozpoznało sytuację i przykrych niespodzianek przewidywać raczej nie należy. Odległość z Ossy do Ośmigowicz była dość znaczna, na kluczeniu więc po drogach i bezdrożach upłynęła cała noc.

Wreszcie srok zaczął rzadnieć. Kontury nagich drzew rysowały się coraz wyraźniej na tle białego śniegu, a w dali majaczyły ciemne plamy zabudowań. Zbliżaliśmy się do celu.

Serca zabiły mocniej. Wiadomo było, że akcja rozpocznie się lu-

da chwila. Zdawaliśmy sobie dobrze sprawę z tego, że walka może być trudniejsza niż wszystkie dotychczasowe, bowiem niedobra sława Osmigowicz zdążyła już oblecieć nasze oddziały.

Z drugiej jednak strony, nadzieja zlikwidowania jeszcze jednego ośrodka UPA dodawała chęci do mającej za niewiele minut nastąpić bitwy.

Wieś leżała jakby w rozległej kotlinie, oparta o las, otoczona płaskim wzgórzem. Kształtem przypominała leżącą literę "P" ramionami zwróconą w kierunku południowym, gdzie rozciągała się na całej jej długości ściana ciemnego boru. Lewe ramię, gęsto zabudowane, zakończone było omentarzem, przylegającym także do lasu. Wzdłuż prawego wznosiło się niewiele tylko zagród, a wśród nich spora drewniana szkoła. U końca owej litery, po prawej stronie, wznosiło się parę chat, a nad nimi dominował na szczycie wzgórza wiatrak. Drugi taki sam wiatrak widać było na wschód od wsi, także na niewielkim pagórku. Główne nasze natarcie szło na lewą, gęsto zabudowaną część wsi z omentarzem na końcu.

Długa kolumna posuwająca się po pochyłej w kierunku wsi ośnieżonej płaszczynie z północy i północnego zachodu musiała być z daleka widoczna jak na dłoni. Gdyby zauważono nas dość wcześnie, byłby czas na przygotowanie obrony. Banderowcy napewno czuli się tu niebezpieczniej niż na terenach stykających się z miejscowościami zajętych przez nasze oddziały. To niewątpliwie dodawało im pewności siebie i wiary we własne siły, tym bardziej, że w każdej chwili na odgłos walki mogły im przyjść z pomocą zbrojne watahy rozmieszczone we wsiach, które ominęliśmy idąc tu i które mieliśmy teraz w tyle poza sobą. Gdyby tak się stało, sytuacja nasza mogłaby stać się co najmniej nieprzyjemna. Jedną taką niewielką bandę udało nam się po drodze zlikwidować, lecz ile pozostało? Szczęściem nie była to pierwsza nasza akcja w podobnych warunkach, chłopcy szli więc spokojnie, bacznie obserwując przedpole, a tylko myśli pracowały intensywnie, zatrzymując się na różnych ewentualnościach mogących się przydarzyć. Mimo zaczynającego się już dnia liczyliśmy na zaskoczenie Ukraińców, co zazwyczaj w działaniach partyzanckich stanowiło atut najważniejszy.

Wtem wzdłuż szeregów przeleciała cicha komenda:

- W tyralierę!

Kompanie natychmiast rozwinęły się w drugą linię i z jeszcze większą ostrożnością posuwały się w kierunku coraz to wyraźniej wyznaczających się z mroku zagród. Śnieg chrząścił pod butami i wiatr z lekkim szumem w nagich konarach drzew. Z nad zamglonego horyzontu ukazała się czerwona słoneczna kula.

Nagle na drodze biegnącej wzdłuż wsi, równoległej do naszej tyraliery, ukazał się jeździec na koniu, za nim drugi, trzeci. Jechali kłusem. Potem puściwszy konie galopem, zaczęli dawać rękami w kierunku



wsi i lasu jakiegoś znaki. Kilku bardziej porywczych ochotników podniosło broń do oka. Zanim jednak zdążyli porwać za język spustowy, jeźdźcy znikli za osłoną chat, a jednocześnie rozległy się energiczne, choć rzucane przez dowódców olutonów zduszonym głosem rozkazy.

- Nie strzelać! Nie strzelać bez rozkazu!

Nie ulegało wątpliwości-byliśmy zauważeni, rozpoznani i lada chwila należało oczekiwać natarcia. Jasnym się stało, że bandy UPA nduczone doświadczeniami poprzednich naszych akcji, kiedy to podchodziło się bez żadnych przeszkód pod samą niemal wieś, tak że rzadko który "obronca" zdążył wybiec z bronią w rękę i zająć odpowiednie stanowisko, a tylko później wybuchy pocisków i granatów w płonących domach i stodołach świadczyły o nagromadzonych nieprawdopodobnie dużych ilościach broni i amunicji i pozostawianych w chatach-terez najwidoczniej ubezpieczyli wieś placówkami wartowniczymi i nie dadzą się zaskoczyć.

Istotnie, po kilku minutach rozległy się od wsi strzały i pierwsze kule świsnęły nam nad głowami. Przyspieszyliśmy kroku, nie próbując odpowiadać na poczynania bulbowców, gdyż odległość i brak wyraźnych celów wykluczały skuteczność naszego ognia. Zresztą jak zwykle, obowiązywał nakaz oszczędzania amunicji i wdawania się w niepotrzebną strzelaninę, zanim nie padło hasło do boju.

Tymczasem do pierwszych chałup pozostało najwyżej kilkadziesiąt kroków. Karabiny ukraińskie nieco przycichły. Jeszcze chwila i prawie skrzydło osiąga skraj wsi.

Wpadamy na pierwsze podwórze. Drzwi do mieszkania stoją otworem. Wchodzę z bronią gotową do strzału. Za mną szef, sierżant "Mostowicz". Chata pusta, tylko na płycie kuchennej talerz z ciepłymi jeszcze kartoflanymi plackami. Próbujemy. Smaczne. Pachną świeżym olejem.

- Waż kilka na drogę, sił trzeba będzie sporo - zwraca się do mnie sierżant "Mostowicz". Uśmiecha się i sam zajada z apetytem smażone pączuszki. Stwierdziwszy, że w i w przyległej izbie nie ma nikogo wychodzimy szybko, bo strzały znowu się wzmagają. Poza opłotkami widać przemykające się w stronę lasu szare placie.

- Uciekają! Najwyraźniej uciekają! przemyka mi przez głowę myśl.-Czyżby zdobycie słynnych Ośmiogowicz miało przynieść z taką łatwością?

Nie była to ucieczka. Bulbowcy najpewniej przesiedlegali tylko na przygotowane uprzednio pozycje obronne, bo o to nagle, głównie na lewym skrzydle, zerwała się gwałtowna kanonada. Już nie pojedyncze strzały, ale istna lawina pocisków sypie się spoza przylegających do cmentarza zabudowań. Również na samym cmentarzu zawarczały ka-

rabinów. Stało się od razu widoczne, że pogłoski o sile upowakich oddziałów zgromadzonych w Ośmigowiczach nie były przesadzona. Świątkowmy ogień, jakim przywitano nas w tej chwili, potwierdza to w całej rozciągłości. Warkot karabinów zlewa się już w jeden nieustanny rozkosz.

Stoimy z sierżantem "Mostowiczem" przy wykłach stodoły z dwi przeciwnych stron. Z odległości nie większej niż 60 metrów zza takiejże samej stodoły, sypią się w naszym kierunku w przeraźliwym świstem kule. Strzelam w miejsce skąd unosi się lekki bżkityny dynek, nie widząc jednak nieprzyjaciela. Raz, drugi, trzeci. Żdaje się, że trochę pomogło. Przeciwna stodoła nieco przycichła.

- Zbiegnij na tamte zabudowanie! - woła "Mostowicz". - ja przesunę się lewą stroną. Spróbuj potem dostać się pod tamten pagórek!

Pochyłam się nisko i biegnę. Do wskazanego zabudowania blisko, najwyżej trzydzieści metrów. Znajduje się nieco w prawo od stodoły, zza której strzelali przed chwilą, do nas. Kładę się w rogu i wychyliwszy głowę obserwuję co dzieje się dalej. "Mostowicz" znikł za zabudowaniami po lewej stronie. Dostrzegam kilka postaci jak oderwały się od ściany stodoły i skryły za niską przybudówką, dalej w podwórzu, obok następnego budynku. Spoglądam w prawo na wskazany przez szefa pagórek. Rzeczywiście, gdyby udało się podejść na jego szczyt, miałbym lepsze pole widzenia i zaszedłbym przeciwnika z boku. Byłaby to pozycja znacznie korzystniejsza niż ta, gdzie jestem obecnie. Wyczekuję odpowiedniej chwili i przebiegam przez upatrzony pagórek. Teren tu prawie odkryty, śniegu niewiele, bo wiatr powywiewał, ale widoczność doskonała. Padam i celuję w poruszających się za przybudówką upowców. Lecz po pierwszym strzale stwierdzikiem dopiero, że sytuacja moja może być wcale niewesoka. Widzę ich, ale oni kryją się poza ściany, ja zaś leżę na zupełnie otwartym polu. Wracać z powrotem pod stodołę? Zanim jednak pomyślałem, seria pocisków otarła mi się prawie o głowę, jeszcze moment i druga poleciała po śniegu tuż obok mnie z lewej strony. Nie podobna podnieść się, bo znów kule zaszeleściły tuż nad uchem. Dostrzegam z boku przed sobą małe wgłębienie, coś jak brzoza. Parę szybkich ruchów i jestem nieco oskonięty. Oddają jeszcze jeden strzał w róg przybudówki, skąd raz poraz wysuwają się głowy kulbowców i widzę, że na chwilę strzały urwały się. Dostał któryś, czy zmienili miejsce? Dłuższą chwilę nie dostrzegam nikogo, lecz w momencie gdy samierazem zrobić skok pod stodołę, nagle długa seria otarła mi się prawie o rękaw lewego ramienia. Ukryli się widocznie wewnątrz budynku, bo nic nie widać, a pociski sypią się coraz gęściej. Obejrzałem się poza siebie. Nic z tego. Na wycofanie się poza pagórek nie ma co liczyć, bo kule dosięgłyby mnie, zanim uczyniłbym kilka kroków. Cała lewa strażnica naszego oddziału także zaległa bo strzały padają ciągle z tej samej linii. Dąłem raz jeszcze ognia w środek przybudówki, ale odpowiedzią



było znova kilka serii tuż nad głową. Cóż nasze natarcie jakby zamarko. Zacząłem intensywnie szukać możliwości przedostania się z powrotem pod budynki, lecz kule nie przestawały wzbijać, tuż obok mnie, kursu z zamarzelą ziemią lub świeżego pyłu. I wtedy przelociała mi przez głowę myśl, że widocznie tu, na tym polu, sążone mi będzie zakończyć życie. I nie strach przed śmiercią, lecz opanować mnie śmiało, że nigdy już nie zobaczę rodziny, ona zaś nie dowie się również w jakich okolicznościach rozstałem się ze światem i nie pogrzebia mnie na naszym zasmyczym cmentarzu. Wydało mi się bowiem, że zostany na tym polu, a nawet podejść kolegom po moje ciało rezerwy nie pozwolą. I gdy tak rozmyślałem, oczekując poderwania się naszych do ataku, jak to zwykle bywało, uczułem nagle silne uderzenie w rękę, jakby kto ciętym kołem palnął w kość powyżej łokcia. Jednocześnie zobaczyłem, że lewa ręka, ta uderzona, nie trzyma już karabinu, lecz leży wyprostowana na śniegu bez czucia. A więc dostałem. Na szczęście nie w głowę. Ale gdzie trafi następna seria. Zrobiło mi się dziwnie słabo i opuściłem głowę na kolbę karabinu. I ten moment-podświadoma reakcja, czy rodzaj omdlenia-prawdopodobnie uratował mi życie. Przeciwnicy z tej niezwykle bliskiej odległości musieli przez szpary zauważyć ów ruch głowy i niewątpliwie uznali, że nie mi już więcej nie trzeba. Uskyszałem bowiem po chwili znova serie strzelców z tego samego miejsca, ale świsł kul uciech. Znaleśli inny cel. Pociski przelatowały nadci, lecz gdzieś dalej, wyżej. Przestaliśmy ich interesować.

Uniosłem jak zbudzony ze snu, głowę i spojrzałem na rękę. Leżała jak cudza, nie moja. Odłożyłem karabin i chwyciwszy prawą dłoń za wskazujący palec lewej ręki, przyciągnąłem ją do siebie. Nie czułem na palcu dotyku.

- Widocznie pocisk urwał mi całe ramię-przemknęło mi przez głowę. Ale dlaczego przestało nagle boleć i nie widzę krwi? Bo poza tym, że było mi bardzo słabo, nie czułem istotnego <sup>ciężkiego bólu</sup> ~~ciężkiego bólu~~. Zacząłem dotykać w różnych miejscach lewej dłoni-wszędzie wydawała mi się kawałkiem martwego przedmiotu. Nic z tego nie rozumiałem. I wtedy wpadła mi myśl, by spróbować poruszyć palcami. Ruszają się! W, więc jest ręka żywa, nie oderwana. Owładnęła mną nagle nieopisana radość, zapomniałem na chwilę o niebezpieczeństwie, zajęty tylko tą jedną sprawą. Wszystko to trwało naturalnie nie dłużej niż minutę, półtorej. Myśli przelatowały przez głowę jak błyskawice, a strzelanina ani na moment nie ustawała.

Nagle czyjś głos krzyknął donośnie z lewej strony:

- Naprzód!

Pań-wiadomie chciałem chwycić oburącz karabin i wtedy dopiero poczułem ostry ból w całym ramieniu, a o utrzymaniu broni w pozycji strzeleckiej nie mogło być mowy. Zawiesiłem tylko karabin na prawym przedramieniu i uniosłem się na kolana. Nasi wyskakowali zza zabudo-

wał i parli do przodu. Odniosłem wrażenie, że prawie dosięgają już cmentarza. Sylwetki bulbowców migały za dalszymi zabudowaniami. Wiedziałem, że dziś już do walki się nie nadaje. Trzeba skorzystać z dogodnej chwili i wycofać się w bezpieczniejsze miejsce. Tak też uchyliłem. Kilkanaście kroków i znalazłem się w małej dolince obok stodoły, którą dopiero co przechodziłem na polecenie sierżanta "Mostowicza". Nie miałem pojęcia co ze sobą robić dalej, gdzie się obrócić? Stałem rozglądając się bezradnie dookoła. I wtedy zobaczyłem nagle któregoś z naszych, biegnącego od strony bitwy w kierunku drogi, od której przyszliśmy. Zawołałem na niego. Zatrzymał się. Widząc, że wlokę za sobą karabin, a rękę lewą podtrzymuję w prawej dłoni, domyślił się co się stało.

- Dostatek? Idź do szkółki, tam jest punkt opatrunkowy. Już tam paru rannych poprowadzili. Ja lecę z meldunkiem.

Nie pytałem z jakim ani do kogo. Spojrzałem tylko we wskazaną stronę, gdzie miała być szkółka i ruszyłem. Naokoło niewiele było widać. Śnieg zaczął padać gęsto i powiewał niewielki wiatr. Strzelanina brzmiała teraz nieco dalej, ale nie ustawała ani na chwilę. W pobliżu nie było nikogo. Dowlokłem się wreszcie do drogi, z paru ukraińskimi chatami. Było mi coraz słabiej, choć nie czułem prawie żadnego bólu, tylko jakieś odrętwienie w całej ręce, od dłoni aż do barku. Gdy stałem tak na drodze i rozglądałem się bezradnie, zobaczyłem jedną z naszych sanitariuszek. Nie mogę sobie już przypomnieć którą. Podbiegła szybko do mnie.

- Pomóc ci, czy dasz sobie radę?

- Dam, tylko nie wiem, gdzie jest szkółka?

- Niedaleko stąd, po prawej stronie. Jest tam doktor "Gryf".

Ja muszę biec, bo podobno znowu są ranni!

I szybko oddaliła się w kierunku odgłosów walki.

Rzeczywiście po paru minutach zobaczyłem budynek większy od innych. Pod drzwiami stał żołnierz. A więc to tu. Wszedłem do środka. Na rozpostartej na podłodze skómie leżało dwóch naszych, a przy nich uwiłazł się doktor "Gryf"-Grzegorz Fedorowski. Zobaczywszy mnie, zapytał:

- Też oberwał? Ilu was jeszcze będzie?

W głosie brzmiała jakby żartobliwa wymówka. Kazał mi sięść na podłodze iabrał się do pracy. Przecił rękaw płaszcza, munduru, którego zrobiło mi się bardzo żal i szukał miejsca postrzału.

- O, kropnęli cię w sam łokieć. Niedobrze. Która godzina wylotu?

Odpowiedział, że wylotu nie było. Kula pozostała wewnątrz ręki. Na koszu było tylko trochę krwi. Lena robiła wrażenie już zeszklonej, tylko kość ramionowa była potrzaskana. Ramię powyżej łokcia oginało się we wszystkich kierunkach. Lekarz należał opatrunkiem, ujął rękę w dwie deszczuki, z bandażu zrobił prowizoryczny tamplik i polecił mi



ić do domów leżących na wzgórzu w pobliżu wiatraka.

- Tam jest już paru rannych, leżą na sianach. Są tam też furmani i paru chłopców z bronią. Możesz iść spokojnie, nie ci nie grozi. - I odprowadzwszy mnie do drzwi, wskazał ręką kierunek.

Z trudem dowlókłem się do wskazanych zabudowań. Kilka fur stało rzędem na drodze, na dwóch leżeli przykryci grubo kocami nasi żołnierze. Poznałem tylko "Mściciela", inni mieli tylko nosy na wierzchu. Przed chatami stało paru chłopców z karabinami, furmani zaś siedzieli wewnątrz chat, wyglądając przez okno na konie. Gdy wszedłem do pierwszej chaty, "taboryci", jak ich nazywaliśmy, najspokojniej rozmawiali, zajadając chleb z surową słoniną. Poczęstowali także i mnie. Próbowałem jeść, ale nie bardzo mi szło. Łużem ugryziony kawałek i patrzyłem przez okno w stronę lasu i cmentarza, gdzie nasi toczyli krwawy bój. Lecz spokój z jakim zachowywali się nasi woźnicy zdawał się wskazywać, że wszystko przebiega najzupełniej prawidłowo i nie ma powodu do jakiegokolwiek obaw. Tylko stojący pod ścianą dwaj żołnierze byli wyraźnie czymś poruszeni. Potem dopiero powiedzieli mi, że powodem ich niespokojnych min była wieść o paru naszych, którzy pod Osmigowiczami zakończyli swoją służbę ojczyźnie...

Nagle od strony pobliskiego wiatraka rozległy się strzały. Kule świsnęły nad głowami, gdy wyskoczyliśmy na dwór. Strzelano seriami z jednej i z drugiej strony, bo i nasi natychmiast odpowiedzieli na ogień Ukraińców. Zauważyłem w podłóżu najbliższej fury, leżącego naszego erkaemistę, który krótkie serie puszczał w stronę górnych partii wiatraka. Później dopiero wyjaśniło się, że to Maciek "Góral" z Piórkowicz pozostał tu dla ochrony rannych, urządził sobie spacer pod sam wiatrak i został przywitany kulami ukrytych na pięttrze bulbowców. Dotąd zachowywali się cicho, ale teraz widząc zbliżającego się Polaka, a za nim paru innych, sądząc widocznie, że będą przeszukiwać wiatrak, rzucili się do obrony. Ale jeszcze nie przebrzmiały echa strzałów z wiatraka, gdy zza wzgórza od strony południowo-zachodniej posypały się nowe kule. Odwróciłem się gwałtownie w tę stronę. Nic nie widać, tylko kule lecą coraz gęściej, a paru chłopców bez namysłu rusza biegiem w tę stronę i osiągnąwszy linię wiatraka, jak na komendę, padają w śnieg. Dobiegają do nich ci, którzy zdążyli zrobić porządek z ukrywającymi się gdzieś pod skrzydłami <sup>strzelnicami</sup> ~~SPK~~. Około stu, może nieco więcej metrów przed sobą widzę posuwającą się prosto na obóz z rannymi tyralierą ukraińską, złożoną z kilkudziesięciu ludzi. Chłopczy natychmiast odpowiadają im seriami strzałów, widocznie skutecznych, bo przeciwnicy też padają w śnieg, a za chwilę skokami wycofują się, pozostawiając na bieżącej płaszczyźnie parę ciemnych plam. Nie koniec jednak na tym. Za chwilę znova rozległa się głośna "hurraa!" i bulbowcy ruszają do natarcia. Lecz krótko trwa ich niezwykły akt odwagi. Prawdopodobnie upo-

korowali tylko atak, by zebrać leżących na śniegu swoich towarzyszy-  
zabitych lub rannych. Cofają się teraz głębiej w pole, lecz nie prze-  
stają dalej strzelać. Stojąc za wiatrem domu słysze jak kula raz po raz  
szyją powietrze nad głowami leżących w śniegu partyzantów i rannych  
na saniach, szczęściem nie czyniąc nikomu żadnej szkody. Lecz po kil-  
kunastu minutach szrzelenina za wiatrakiem milknie. Bulbowcy ustąpiłi.

Czas płynie, a ostatecznego rozstrzygnięcia nie widać. Za począt-  
ku akcji minęło co najmniej cztery godziny. Walka w okolicach cmentar-  
za nie słabnie, natomiast w paru miejscach sponad chazup wystrzelała  
w górę szupy dymu. Widocznie pod tą osłoną nasi zechcą się wycofać.  
Istotnie, od wsi ukazują się pierwsze grupy polskich żołnierzy. Nie-  
którzy czasem odwracają się, oddają strzaski w kierunku nieprzyjaciela  
i pobuwają się wolno w naszą stronę.

Wtem widzę podążącego na koniu por. "Jastrzębia", jakiegoś cywila  
tylko z bronią krótką i jeszcze dwóch konnych. Podjeżdżają blisko nas,  
"Jastrzęb" pyta<sup>o</sup> coś jednego z osłony "szpitali", patrzy na wiatrak,  
potem odwraca się w kierunku północno-wschodnim. Na twarzach napięcie  
porażone z niepokojem. Widzę stojąc niedaleko, że ów cywil zdradza  
większe od "Jastrzębia" zdenerwowanie. "Jastrzęb" ~~skieruje~~ <sup>skieruje</sup> się  
koniem, rozglądając się badawczo, jakby oceniając sytuację, i wskazując  
ręką na wschód, skąd w tej chwili rozlegają się nowe strzaski. Wyglą-  
da na oświecz niesioną Osmigowiczom. Nasz dowódca z tym drugim wymie-  
niają, jakies szybkie słowa, patrząc ciągle na zablizających się bulbo-  
wców. I oto "Jastrzęb" zostawia swego kolega, pędzi do wycofujących  
się naszych, porywa ich za sobą i rozwija w tyralierę skierowaną na  
ukraińską odsiecz. Krótka wymiana strzasków i strona północno-wschod-  
nia milknie, a nasi wracają szybko lecz spokojnie, oglądając się tyl-  
ko za siebie. We wsi też kończy się widocznie akcja zakończona półowi-  
cznym sukcesem, gdyż cała miejscowość zamienia się w wielki pożar.  
Ukraińcy ponieśli duże straty w zabitych i rannych ale cmentarz roz-  
pramiowa jeszcze i teraz seriami karabinów, czyli że nie zostali za-  
pełnie rozbici. Cała południowa i wschodnia część nieba zasnuwa się  
ciastkimi chmurami dymu i językami płomieni.

Zapadał pierwszy zamrok, gdy ostatnie placówki naszych oddziałów  
ściągnęły na miejsce zbiórki niedaleko wiatraka. Ze wszystkich stron  
sywały się nieustannie kule, banderowców, lecz z dostatecznie dużej  
odległości, by nie zwracać na nie większej uwagi. Przy ich towarzysze-  
ństwie uformowała się długa kolumna fur i pieszych i ubezpieczona szere-  
ko rusza w kierunku Ody i Kupiecowa. Mimo zniszczenia gniazda wroga  
nie widać radości na twarzach kolegów. Jada na saniach awżaki trzeci  
zabitych: "Mostowicza", "Kozioła" i "Tura". Jeden "Szampan" pozostał  
na osmigowickim polu. Batalion "Siwego" też ma straty w zabitych i  
rannych. "Musarz" i "Tygrys" leżą na saniach cicho, jakby wzdzięli,



Je jest to ich ostatnia za życia podróż. Tej jesznej nocy zakończyć miał życie wspaniały żołnierz, Henio "Husarz", a w kilka dni później Czesiek "Tygrys", kolega z drużyny. Leżał na kółku w kupieczowskim szpitalu obok mnie, nie mógł poruszać się o własnych siłach, gdyż miał naruszony kręgosłup, a podczas opatrunków zaciskał zęby, nie wydając nawet jęku. Do ostatniej chwili zachował przytomność, uśmiech na twarzy i niezwyčajną pogodę w oczach. Umarł nocą 21 lutego 1944r. Paru innych leżących rannych pojeżdżano na furach gdy te uderzały płozami o dołki lub wypukłości nierównej drogi.

Ciemno już było i mróz zaczynał szczypać za policzki. Od północy powiewał niezbyt silny ale przenikliwy wiatr. Drobną płatki śniegu padały ciągle na twarze leżących na saniach rannych żołnierzy i topniały natychmiast. Koledzy kroczyli po obu stronach drogi długimi rzędami, początkowo prawie w milczeniu. Potem dopiero zaczęły się bitewne wspomnienia. W pewnym momencie podjechał do wozów z rannymi por. "Jastrząb" i zaczął z konia przeglądać leżących. Próbował żartować i pocieszać swoich chłopców, oszczędnie rozdziałając słowa, jak to było w jego zwyczaju.

- Niech no się żołnierz odkryje trochę, bo poznać nie mogę. a, "husarz"? Szyszakem, podobno mocno dranie poczęstowali? Cóż, trzeba będzie trochę pocierpieć a potem im odpłacimy z nawiązką i wszystko będzie dobrze. A tu? "Tygrys"? No tak, kuka nie wybiera. Proszę nie mówić i leżeć spokojnie. Mniej będzie bolało, O, i kolega "Mściciel"? W nogę podobno, co? Hm, poletymy trochę i do kompanii! Ludzi trzeba coraz więcej! A tu kto? "Rydz"? Mocno, czy trochę? ruka? no to nie groźnego. Leczyć się prędko i wracać.

Zarówno ranni jak idący obok uspakajali się i zaczynało być gwaro. Przeżycia każdego pełne były niezwyčajnych <sup>wydarzeń</sup> "wzruszeń", tragicznych momentów walki. Słuchałem z napięciem.

- Wpadam na podwórze - mówi Rysiek "Okularnik" - i widzę zza kopca z kartoflami wycelowany prosto w siebie karabin. Padam jednocześnie ze strzałem bulbowca. Bez namysłu doskakuję tego samego kopca i kładę się po przeciwnej stronie, bo nigdzie więcej nie zdążyłem się schować. W ręku mam tylko parabellum, karabinem w takiej sytuacji trudniej operować. Zaczynam ostrożnie sunąć się po zboczach, patrząc w lewo i w prawo, bo nie wiem co robi bulbowiec. Wtem widzę, wysuwa się zza zbocza lufa mauzera, a za nią powoli i głowa. Strzelam błyskawicznie i głowa znika. Trafilem! Podnoszę się ostrożnie, aby się o tym przekonać, wyciągam szyję i w tej chwili ogłusza mnie huk wystrzaku. Na szczęście i tym razem pudło. Przyczaiłem się jak mogłem najciszej, głowę położyłem prawie na ziemi i czekam. Pewnie się pokaże, by myśli jak i ja przedtem, że trafił. Rzeczywiście, widzę, jak zza zbocza wysuwa się

kudłata papacha. Nie widzę jeszcze oczu, ale żeby się nie spóźnić wygarniam prosto w kudły. Tym razem potoczył się na ziemię. Wyrywam karabin i odskakuję pod stodołę. Cmentarz bliźniutko. Prąga bez namysłu tam, gdzie tylko coś się poruszy, ale wyjść nie można, bo kule lada, cholester, jak zwariowane! Kto się tylko za bardzo wychylił, albo wybiegł na pole, dostawał od razu!

- Gdyby nie zakatrupili koni - mówi z werwą "Wicher" - napewno bym go wyciągnął. Byłem już prawie koło niego! Ale co było robić? Na plecach bym go nie wyniósł, ale w sianie udałoby się! Mówi coś dalej, lecz nie słyszę, bo konie ruszyły szybciej i rozmawiający zostali za mną. Nie wiem o co chodzi. Dopiero nazajutrz dowiaduję się, że były to parokrotne próby zabrania z pola "Szampana". Niestety, nieudane.

Słyszę opowiadanie trzeciego, czwartego. Słucham i przypominam sobie te same niektóre wrażenia i przeżycia, zanim nie zszedłem z pola. Serce było jak nigdy dotąd. Zaczyna mnie ogarniać senność.

W od Ośmigowicz ciągle jeszcze dolatują echa wystrzałów, na niebie dogasa brązowokrwawa żuna.

#### W KUPICZOWSKIM SZPITALU

Szpital w Kupiczowie nie liczył się, o ile pamiętam w domu sbudowanym z drzewa, pomalowanym z zewnątrz na kolor stalowy, a składał się z trzech pokoi, sali zabiegowej, kuchni i jeszcze jakichś drobnych pomieszczeń. Z oszklonego ganika na strony południowej wchodziło się do największej sali, za nią była mała sala przejściowa, a dalej trawcia, średniej wielkości. Być może, że obok niej z prawej strony znajdowała się jeszcze niewielka sala dla chorych, ale tego pewny nie jestem.

Najciekawsze / pamiętam lutowej nocy ułożono w środkowym, najjaśniejszym pokoiku obok Czeška "Tygrysa", a bliżej drzwi prowadzących do sali operacyjnej. W tym samym pokoiku leżał plutonowy "Mściciel", "Tygrysa", jak wspomnieliśmy, miał naruszony przez pocisk kręgosłup i leżał zupełnie bezwładnie, jakby bez czucia. "Mścicielowi" kula przeszła kość goleniową poniżej kolana, w sposób bardzo bolesny. Reagował sykami na każde poruszenie. Najciężej ranny był Heniek "Rusarz". Umieszczono go w trzecim pokoju, za nami. Niektórym rannym udzieleno tylko pierwszej pomocy i odesłano do oddziałów.

Ono zmęczony i wyczerpany ciężką drogą nie mogłem zupełnie zasnąć. Ręko teraz dopiero zaczęła boleć, jakby ktoś świdrował wewnątrz kabei, a przed oczyma przesuwały się ciągle obrazy odczuwającej bitwy. Zdawało mi się, że widzę jeszcze dymy i duny postrzów, słyszę koskot karabinowej palby, krzyki i nawoływania. Czułem niemal fizycz-



nie płatki topniejącego na twarzy śniegu i widziałem sylwetkę por.  
"Jastrzębia", jak pochyla się nad leżącymi na saniach i coś tam niezna-  
niezrozumiałego mówi.

Około północy przecknąłem się z półsnu i zauważyłem niezwy-  
kłą krzątaninę: podkocytowane siostry wybiegają z sąsiedniego  
pokoju, wpadają do sali zabiegowej, wychodzą spiesznie niosąc ja-  
kieśarki czy narzędzia chirurgiczne. Poraz pierwszy zobaczyłem  
wysoką, baryczystą postać miejscowego lekarza-foletera, kierownika  
szpitala, równie jak inni bardzo zaabsorbowanego. Zwróciłem się z  
pytaniem do koleżanki z Zasmyk, Janczi Walczakówny o przyczynę za-  
mieszania.

- "Musarz"-odpowiedziała krótko i wskazała głową w kierunku  
sąsiedniej sali.

- Co "Musarz"?-spytałem nie wiedząc o co chodzi.

Rozłożyła bezradnie ręce i znikła za drzwiami prowadzącymi  
do sali, gdzie leżał ranny.

Wiedziałem, że odniosłem ciężki postrzał, ale nie sądziłem, że  
rana okaże się śmiertelna. Powoli zwłokłem się z łóżka. Ból teraz  
doskwierał przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Zajrzałem przez drzwi  
do Holka. W świetle dwóch małych lamp naftowych "Musarz" leżał na  
łóżku z zamkniętymi powiekami. Lekarz i pielęgniarki stali nieru-  
cho, wpatrzani w leżącego. Zrozumiałem. Ranny już nie żył. Odszedł  
wspinał się chłopak, inteligentny, odważny, koleżeński. W pierwszą  
noc po osmigowickiej bitwie. Wróciłem szybko do łóżka i długo le-  
żałem wstrząśnięty myślą, że tak nikłe jest życie każdego z nas.  
Inaczej wyglądały takie sceny czytane w powieściach historycz-  
nych, inaczej, gdy odchodził ktoś prawdziwy, rzeczywisty, bliski,  
ktos, z kim kilkanaście godzin temu szło się razem, rozmawiało,  
kartowało.

Po dwóch dniach przyjechali do nas rodzice. W zmienionej twa-  
rzej mamy, dostrzegłem przebieg radości, gdy dowiedziała się, że  
rana nie jest groźna, że to tylko rana. Do domu bowiem najpierw  
doleciała wieść, że zginąłem, potem, że otrzymałem ciężką ranę i nie  
wiadomo co z tego wyniknie. Dlatego rozumiałem być niepokój  
rodziców, gdy śpieszyli do Kupiczowa. Taras kamień spadł im z serca.  
Opowiadali mi co słychać w domu, jak się czuje młodsze rodzeń-  
stwo, babula, kuzyni z Lucyca-Kazia i z Jażdżewskimi z rodzicami,  
którzy u nas znaleźli schronienie. Łżej mi się po tej rozmowie  
arobisko, bo przez kilkanaście minut poczekałem się, jak w rodzinnym  
domu, w gronie najbliższych, najukochańszych. Poprosiłem o coś do  
picia. Przywieziono nazajutrz azban kompotu, którego smak pamiętam  
do dziś. Rosnąca temperatura wywoływała coraz większe pragnienie.

Już w dzień po przyjeździe do szpitala lekarz orzekł,

że rana pozornie tylko jest niegroźna. Kość ramienia powyżej łokcia jest złamana wzdłuż i w poprzek, prócz tego pęknięta jest kość w stawie łokciowym. Kula na szczęście utkwiała w mięśniu, nie w kości i na razie nie wymaga operacji.

- Wyjmiesz ją sobie po wojnie, pojedziesz miłą, bratku, pamiętaj. - rzekł lekarz. - Teraz niech sobie siedzi, nie przeszkadza.

Po trzech dniach jednak gorączka podniosła się do tego stopnia, że kupieczowski felczer wyraźnie się zaniepokoił. Po rozbandażowaniu rany zmarszczył czoło i pokręcił głową, jakby nie wierzył własnym oczom. Powyżej łokcia od wewnętrznej strony ramienia zwisała niby torba o kolorze żółtawo-niebieskim, a cała ręką była spuchnięta jak gruby wałek. Ból nieco zmniejszył się, tylko silne dreszcze i zawroty głowy dokuczały coraz bardziej.

Lekarz długo i uważnie oglądał ranę, mecał palcami każde nabrzmiałe miejsce, medytował, zastanawiał się, wreszcie zawyrokował:

- Trzeba będzie bratku, rękę amputować!

Zakręciła mi się w głowie. Dzień czy dwa przedtem dokonano podobnej operacji na jakimś żołnierzu, widziałem bowiem w betonie z odpadkami wystające spod śniegu sine palce. Nie zdążono zrobić z ręką porządku i natknąłem się na nią przypadkowo, gdy wyszedłem tylnym wejściem przed budynek szpitala. Było to okropne wrażenie. Właśnie za kilkanaście minut, może za godzinę, także moja górna kończyna znajdzie się w tym samym miejscu obok tamtej! I w tym momencie zrobiło mi się strasznie żal ręki, tak, jakby ktoś chciał <sup>zapracować</sup> mi coś najcenniejszego, najdroższego. Nie zdawałem sobie sprawy z tego co robię, ale postanowiłem bronić się, ile mi tylko wystarczy sił.

- Nie ma rady, bratku. - ciągnął dalej lekarz. "Bratku", to było jego stałe przekładko. - Zakażenie pewne. Obawiam się, że już jest trochę za późno. Proces gangreny rozpoczął się wyraźnie. No, co? - spytał patrząc mi badawczo i ze współczuciem w oczy, widząc, że się nie odzywam. - Nie dam ręki - powiedziałem zduszonym, jakby nie swoim głosem, spoglądając ukradkiem na nabrzmiałą ropną torbę. - Nie dam! Niech pan doktor jakoś inaczej to wyleczy...!

- Zastanów się, mój bratku, co mówisz - rzekł mocno zdziwiony felczer. - Pomyślałeś co ryzykujesz? Myślisz, że chcę cię pozbawić ręki ot tak, bez przyczyny? Siłą amputacji robić ci nie będę, ale pomyśl co najważniejsze? Ręka czy życie?

Zabrzmiało to groźnie, lecz nie bardzo zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji. Jakże będę wyglądał bez ręki? - to miałem najbardziej przerażające. Kresatę, wysłanek, czy kądś zakażenie musi kończyć się śmiercią? W dodatku paniczny lęk ogarniał mnie na myśl o samym momencie amputacji. Co za ból trzeba będzie znosić! A potem wrzucą rękę do pojemnika ze śmieciami! Moją rękę,....



Nie spuszczaając wzroku z obramionego ramienia, pokręciłem tylko głową na znak, że się nic zgadzam. Gdzieś w głębi podświadomości uduził się rosnący opór. Nie dam i już! Niech się dzieje co chce! Bez mojej zgody chyba mi ręki nie odetną!

Telester jeszcze parę razy próbował przekonać mnie o konieczności operacji, ale widząc bezskuteczność wszelkich argumentów, dał za wygraną:

- Dobrze, na twoją odpowiedzialność, bratku! Siostry skyszają? zwrócił się do pielęgniarek. - Robiłem co mogłem, żeby cię przekonać, że chcę tylko twego dobra. No co? - zamyślił się głęboko, po czym zdecydował:

- Przygotuj się w takim razie na inny zabieg. Nie taki jak amputacja, ale też bolesny. Nie innego nie wywydlimy.

Spojrzałem niespokojnie, co zamierza robić? powiedział coś sanitariuszkom, czego już nie zrozumiałem, lecz patrzyłem podejrzliwie na ich czynności. Zaczęły przygotowywać jakieś tampony z waty, coś tam układały na tacy, maczając przedtem w denaturacie. Później posadzono mnie na wygodnym krześle z becznymi oparciami. Pod lewą ręką ustawiono coś w rodzaju wysokiego stołeczka. Jancis walczakówna stanęła za plecami i chwyciła mnie za ramiona, siostra "Bogna" stała trzymając na tacy przygotowane narzędzia chirurgiczne, siostra "Irys" ułożyła rękę na owym stołeczku i mocno przycisnęła, nie zwracając uwagi na ból, a lekarz wsiąwszy w palec igłę, podobną do tapicerskiej, usiadł z lewej strony i jeszcze raz zaczął obmacywać okolice wrotu.

- Odwróć głowę w drugą stronę - powiedział spokojnie nie patrząc na mnie.

- Wytrzymam - odpowiedziałem cicho, nie mając pojęcia co zamierzają mi zrobić.

W tym samym momencie uczułem piekący ból przy kokiżu i naucezyłem, jak lekarz świderuje wielką igłą otwór pod skórą, począwszy od wrotu kuli. Obracał igłę w lewo i w prawo, a ostrze posuwało się powoli w kierunku kości kokiłowej, tworząc na zewnątrz sporą wypukłość. Patrzyłem na zabieg i robiło mi się coraz skabiej zarówno z bólu jak i uczucia braku powietrza do oddychania. Czoło pokryło się gęstymi kroplami potu. I gdy igła pograżyła się w ciele na przestrzeni około trzech centymetrów, zacząłem tracić panowanie nad sobą. Uczułem tylko, że Jancis trzyma mnie coraz silniej za ramiona i że Jancis ma coś za serdusko tak, że nie mogę powiedzieć ani słowa. Nie pamiętam jak długo taki stan trwał, bo spojrzałem na rękę zupełnie przytomnie, gdy lekarz powiedział:

- Siostro, sączek!

Siostra "Bogna" podała drugi zwitek waty czy bandaży, una-

czony w żółtym pryzmie, który lekarz przy pomocy pinsetki nawlókł w ucho grubej, na przeszło pół centymetra, igły i zaczął wślizgać ów sączek w wydrążony przed chwilą otwór. Teraz poczułem jeszcze ohydne gorący ból niż podczas wpychania igły pod skórę. Na szczęście trwało to krótką chwilę i zobaczyłem, jak lekarz odkłada narzędzia, a po obu stronach rany zwisają dwa końce żółtego, mokrego, zabarwionego trochę krwią sączka. Poniżej, w podstawionej misce, widniała też struga czerwonej krwi.

- Proszę to, siostró, teraz zabandażować i zobaczymy co będzie dalej - powiedział lekarz, po czym zmęczony czy przejęty wyszedł z sali zabiegowej.

- Siostra "Bogna" z wielką troskliwością i bardzo ostrożnie zaczęła przy pomocy Janci opatrywać i układać w szynę rękę, pocieszając jednocześnie, że zabieg na pewno się uda, że młody organizm potrafi nie takie rzeczy wytrzymać i zwalczyć. Nie wiem, czy wierzyła własnym słowom, czy chciała mnie tylko pocieszyć i uspokoić. Wrazdym razem byłem jej za to bardzo wdzięczny.

- A po co lekarz zrobił tę drugą dziurę w ręce? - zapytałem.

- Żeby ropa ścięła, a wtedy się wszystko prędko zagoi - odpowiedziała siostra "Bogna" kończąc opatrunk i zawieszając ciężką od drucianej szyny rękę na temblaku.

- Pójdiesz sam, czy ci pomóc? - spytała troskliwie Jancia.

Poszedłem sam. Ułożyłem się w łóżku i po krótkim czasie zasnąłem, smacznym, twardym snem.

Następnego dnia podczas zmiany opatrunku dowiedziałem się, że zabieg na pewno się udał, że ropa ścięła i rękę można uważać za uratowaną. Rzeczywiście po paru dniach temperatura obniżyła się, ból przestał dokuczać, tylko zmiana sączków rano i wieczorem była powtarzaniem nieprzyjemna. Cóż to jednak znaczyło wobec uratowania ręki? Z tym większym współczuciem patrzyłem później na por. "Cwika", którego po bitwie w Ołdziutyczach musiano dokonać amputacji ręki. Gdy już po kilku dniach poczuł się lepiej, na pytanie czy bardzo dolega rana, odpowiedział, że boli go przede wszystkim... dłoń. Nie istniejąca dłoń! Nie skarżył się, tylko zhańczał zaciskał mocniej sączki, gdy była bólu nadchodziła. Dziękowałem Bogu, że mnie to ominęło.

Piątego dnia po przyjeździe do szpitala w nocy umarł Czesiek "Tygrys". Przez tych parę dni zachowywał się bardzo spokojnie. Rozmawiał cichym głosem, uśmiechał się, nie narzekał na nadmierne bóle. Skarżył się tylko, że najbardziej cierpi, gdy amputacja przynosi mu ból. W dwóch próbach zaniesiono zabieg. Czasem mówił o powrocie do oddziału, obliczał nawet czas, który trzeba będzie jeszcze przepędzić w łóżku, to znów tracił nadzieję i spokojnie, ze smutkiem mówił:



- Byścieście kończyli wojnę bez mnie. Żał mi trochę ale już do drużyny nie wrócę.

Pocieszaliśmy go obaw z "Mścicielem", wiernie zresztą, że rana na pewno się zgoi, ale on zdawał się na to nie reagować. Patrzył w sufit i uśmiechał się blade, nie mówiąc co o naszych próbach pocieszenia myśli. Na dzień przed śmiercią odczuwał się spoglądając w górę głosem cichym, lecz przejmującym:

- Wiesz, Rydz", czego mi najbardziej żał? Że już nigdy nie pograam sobie na skrzypcach, tak, jak to było na Ossie, pamiętasz? I że nikt nie będzie już mojej gry słuchał.

- Skąd ci takie myśli, Czesiek? - próbowałem oponować. Ale on nie odpowiadał nic, zajęty zapewne czym innym niż dyskutowaniem na temat "takich myśli".

Do półna w nocy coś jeszcze mówił słabym głosem, przerywanym głosem. Na pytanie siostry dyżurnej czy mu czego nie trzeba, nie odpowiedział najpierw wcale, a potem rzekł cichutko, chyba do siebie:

- Nic mi już nie trzeba...

Potem jeszcze raz wspomniął skrzypce, których będzie mu brakowało...

O wiele więcej bólu niż ja wycierpiał "Mściciel". Kula przeszła mu przez kość pod kolaniem i podobnie jak mnie groziło mu zakażenie. Lecz falczer, widocznie doświadczony na mojej racie skuteczności sączka, zastosował go natychmiast i u drugiego pacjenta. "Mściciel" nie mógł chodzić, zabiegi wykonywano więc na kółku, na którym leżał. Patrzyłem każdorazowo jego piekielne cierpienia. A on podczas wkładania sączka chwycił się rękami za szczyt żelaznego kółka, wyprętał się jak struna, unosząc pierś w górę a głowę odchylając mocno do tyłu i przez zaciśnięte zęby wydawał przeraźliwy syk. Czasem nie wytrzymywał i zaczynał iryzować ścisniętym gardłem, że wszyscy nagle milkli, zatrzymywali oddech w płucach. A zmiany nieszczęsnych sączków powtarzano codziennie dwa, czasem trzy razy. Sam zabieg trwał zawsze znacznie dłużej niż u mnie, bo potrzebowało kość i obrzęk mięśni utrudniały zakładanie miękkiego bandaża. Bywało, że trzy osoby musiały go trzymać, inaczej dokonanie zabiegu byłoby niemożliwe. Po przeszło dwa tygodniach dopiero niebezpieczeństwo zakażenia minęło i ranny mógł wreszcie odetchnąć spokojnie. Nie posiadał się z radości, gdy lekarz bandażał mu, że dziś wyciągnął mu sączek poraz ostatni i więcej zakładać go nie ma potrzeby. Niestety, nie było mu dane cieszyć się zdrową nogą i życiem. W lasach ziemlickich znalazł swoją mogiłę. Ale o tym we właściwym miejscu.

Dawna była ta moja rana. Kość, jak wspominałem, była pokamiana do tego stopnia, że czasem robiłem sobie "pokazy": po zdjęciu szyny brałem prawą ręką za łokieć lewy i zginałem i zginałem w porowie ramienia niemal pod kątem prostym. Nie zdawałem sobie sprawy, ze szkodliwości takich zabaw, ale wcale mi to nie bolało. Ręka "chodziła", jakby w tym miejscu miała dodać nowy staw. Dopiero gdy zauważył to lekarz i zbeształ należycie, przestałem owych niemądrych zabaw. A w ogóle, gdy tylko ropa ścięła i ustąpiła gorączka, rana przestała zupełnie boleć. Czasem tylko najczulszej w nocy, zaczynało się tzw. "darcie w kości", ale nigdy nie trwało dłużej niż pół godziny i znowu mogłem spać spokojnie. Tyko prawdopodobnie moje niemądre zabawy sprawiły, że upłynęło niemal trzy miesiące, zanim znowu mogłem powrócić do szeregu. Chociaż przy końcu kwietnia zdarzył mi się wypadek, że ledwo zrosnięta kość pękła na nowo....ale to już dalsza historia.

Ileż wracam myślą do Kupieckiego szpitala, z głębokim szacunkiem wspominam jego obsługę. Wyślę, że tego samego zdania są wszyscy ranni, którzy przez ten szpital przeszli.

Stary miejscowy felczer nazywał się, o ile pamiętam - Miron Antonowicz, lub może na odwrót - Antoni Mironowicz, nie tylko leczycy wyjątkowo skutecznym, lecz także miał wiele serca dla swych pacjentów. Wyniosła jego postać, z pozoru ponurą i zadumaną, rzadko tylko można było widzieć naprawdę bez uśmiechu na twarzy, łagodnego, dobrotliwego, wyzieraającego z oczu ukrytych w wielkich, krzaczastych brwiach. Każdemu miał zawsze coś do powiedzenia - tu pocieszak, tam pochwalik należytę zachowanie się podczas zabiegu, to znów zachęcał do spania, bo sen wzmacnia organizm. Ręce miał duże, lecz delikatne i zabiegi, nawet najtrudniejsze wykonywał z niezwykłym wyczuciem.

A ileż nieprzespanych nocy spędziły przy nas dzielne nasze dziewczęta! Ileż zniosły cierpkich słów od często kapryśnych lub gorączkujących rannych. Mimo to zawsze miała przyjazny uśmiech dla każdego, zawsze ciepłe i serdeczne słowa i taką serdeczną troskę w oczach. Prawdziwe samarytanki!

Oto siostra "Bogna": ruchliwa, wiecznie czynna, średniego wzrostu blondynka o niebieskich szarych oczach, młodej twarzy i ciepłym głosie. Z niezwykłą wprawą służyła nieustannie rannym. Czasem udawała surowość, robiła groźną minę, ale nie na wiele się to zdało, bo z pozoru surowej na pozór i nachmurzonej twarzy, spoglądały dobre oczy, które jak się wydawało, w ogóle nie miały się gniewać, ani straszyć ani upominać czy niecierpliwości. Ona to widziałam jakby najdłużej i najwięcej w szpitalu. Wszakże była w Kupańcu, o czym pisałem w innym miejscu. A było nas wtedy o wiele więcej niż teraz w Kupieckim. Do ostatniej chwili nie opuściła powierzonych swej opiece żołnierzy. Tylko później, po rozbrojeniu, wszelki słuch o tej dzielnej



niewielkie baginy? A tak pragnęłabym jej za troskę, nieprzespane noce i dobre serce podziękować.

Oto siostra "Irys", o ujmującej powłóczkowatości, wysoka, szczupła, ciekawa szatynka z pociągłą, smagłą twarzą i jakby nieśmiałym spojrzeniem, była uosobieniem delikatności i opanowania. Tu poprawiała poduszkę, tam widząc jak chory z trudem sięga po kubek z wodą, już jest przy nim i delikatnie pomaga mu zaspokoić pragnienie, to znów kładzie tręskliwie rękę na czole rannego by sprawdzić, czy temperatura nareszcie opada. Lekki, ledwie dostrzeżalny uśmiech nie schodził nigdy z jej twarzy. Chyba, że dzięki się coś niezwykłego, jak np. przywiezienie nowego transportu rannych. Wtedy zdawała się zapominać o całym świecie i o rzadkim u ludzi przejęciem, pomagała układać pokieroszowanych chłopców do szkieł, ostrożnie, delikatnie, by jak najbardziej oszczędzić nieszczęśliwemu bólu. Sekundowały jej przy tym z nie mniejszą troskliwością i wprawą wszystkie jej koleżanki z białego personelu. Ale na co dzień miała siostra "Irys" śmiać naokoło siebie spokój i rodzinny bez przesady atmosferę. A z jaką cierpliwością będzie później z siostrą "Bogną" opatrywała okropnie zaniedbanych partyzantów radzieckich, których ropiejące i cuchnące rany od wielu dni nie widziały nie tyle bandaża, lecz choćby zwykłej, suchej szmatki...!

A Janczia! Nie pamiętam, jaki nosiła pseudonim, choć spotykałam ją najczęściej ze wszystkich. Koleżanka z Łasnyk od dziecięcych niemal lat. Dziewczę młodziankie, wiotkie, trochę jakby anemiczne, robiła wrażenie, że sama potrzebować może każda chwila pomocy. Tymczasem z podziwu godną odpornością fizyczną służyła rannym żołnierzom. Nie miała pełnego sanitarnego wykształcenia ani dłuższej praktyki. Krótki kurs w Kupiczowie zorganizowany przez naszą służbę zdrowia /dywizyjną/, wystarczył jednak, aby mogła spaknąć wszystkie czynności przy rannych z zadziwiająco wprawą i precyzją. Wrodzona dobroć serca i szczerą chęć skżenia pomocą cierpiącym, głębokie poczucie odpowiedzialności i z natury wyjątkowo subtelne, pozwalały jej pozyskać szczerą sympatię i uznanie wszystkich rannych. Nawiasem mówiąc, niektórzy spoglądali na jej delikatną i urodziwą twarz oraz opadające obficie na ramiona puszyste loki, szczególnie powłóczystym spojrzeniem. Lecz dziwna rzecz: ani razu nie zauważyłam najmniejszej choćby próby "zaczepiania" którejkolwiek z sanitariuszek przez chłopców. Dziewczęta zachowywały się tak godnie, a w oddziałach obecne było tak swane rozwydrzenie, że do wielkiej rzadkości należały wypadki nawet małej cezurality. Dowcipów i powiedzonek, zwłaszcza w batalionach "Jastrząb" i "Sokoła", gdzie dowódcy potrafili dość często przy pomocy różnych środków oddziaływać na podwładnych. Zdarzali się naturalnie, żoł-

nierse o tok zwanej niewyparszonej gębie, lecz nie miako to nigdy, powołanego charakteru. Słyszało się tylko w "Krwawej kuni" dość niewybredne piosenki i popisy żołnierskie, co brzmią w wojskowej zbiorowości, nigdy nie należało do wyjątków.

Gdy już o tym mowa, to należy zaznaczyć, że morale naszego wojska w ogromnym stopniu kształtował zespół księży kapelanów, a zwłaszcza na początku ksiądz Michał Żukowski, proboszcz naszej parafii. Jego nabożeństwa polowe w Gruszówce, Zasmykach, Saszybicie oraz promienne, o ogromnej sile przekonywania nauki, wygłaszane przy różnych okazjach, pozostawiły na ciekawych duże wrażenie. Od niego wszyscy żołnierze otrzymali różnice /tzn. odznaki "Jastrzębia" i chyba "Kani"/, wielu książeczki do nabożeństwa, medaliki. W czasach najcięższych, w mosurskich i szackich lasach wszystko to przysydawało się bardzo żołnierzom.

Był ksiądz Żukowski wielkim przeciwnikiem obsceności kaniot w oddziałach, lecz jego obawy były na ogół przesadzone. Jeszcze niedawno, w styczniu bieżącego 83r. gdy ciężko chory przebywał w szpitalu w Toruniu, wspominał o tych swoich obawach, gdy odwiedził nas z kpt. "Sokołem". Śmiał się sam ze swoich ówczesnych obaw, ale nie żałował, że właśnie takie wtedy nauki i kazania głosił. W ogóle sprawa Wołynia, Dywizji i jej dziejów leżała mu mocno na sercu i zachęcał "Sokoła" w ostatnim, pożegnalnym słowie do opisanie tej - jak się wyraził - epopei wołyńskiej. Wielu z nas z pierwszych oddziałów, w Zasmykach się tworzących, zawdzięcza mu bardzo wiele.

### M a l i n o w s k i

Był w lecie 1943r. w oddziale "Jastrzębia" w Zasmykach partyzant o takim nazwisku, czy może pseudonimie - dokładnie nie pamiętam. Liczył około 40 lat lub niewiele mniej, należał więc do starszej generacji. Robił wrażenie bardzo spokojnego, opanowanego żołnierza. Od początku posługuje się terminem "żołnierz", nie "partyzant", bo za "Jastrzębiem" wszyscy używali tego określenia.

Otóż Malinowski początkowo jako żołnierz nie różnił się wiele od innych, ale w miarę upływu czasu zaczął zwracać na siebie uwagę tak kolegów jak i dowództwa. Mianowicie co pewien czas, zamiast dyscypliny, zniknął z oddziału na dwa, trzy dni, a potem wracał skądś błady, zmęczony, obrysowany brzochem lub nakurzony i zwałany zębami. Tylko wzrok pałał wtedy jakimś niesamowitym ogniem. Nie pomagały upomnienia i groźby dowódcy. Malinowski przypuszczał, że to już ostatni raz, a po tygodniu, dwóch, wszystko powtórzało się od nowa. Nie wiedzieliśmy co to znaczy, choć niektórzy zaczęli po cichu, że odbywa on nocne wyprawy do swoich rodzinnych stron, aby



nieć się na upowcach za doznane krzywdy. Pytany o przyczyny i cele swych wypraw nie odpowiadał ani słowem, lecz odwracał się od ciekawych natrętów i odchodził na bok chmurny, nieprzystępny. Przeszliśmy go więc naglebywać, czując, że nasze pytania sprawiają mu nie tylko przykrość, ale poruszają jakieś ukryte, czułe struny, wywołując dotkliwy ból. Doszło wreszcie do tego, że na naszego tajemniczego kolegę omal nie zapadł wyrok sądu polowego, bo nie było sposobu, żeby przywołać go do porządku i subordynacji. Jezu, jakim poprosił w kołcu o zezwolenie na odjeście z Zaszki i stworzenie własnego oddziału. Otrzymałszy zgodę dowództwa, sformował kilkunastoosobową grupę i obracał się z nią w okolicy Radomia, Lublatyna, i robił wypadki na bułbowców w różnych kierunkach, wykazywał dużą operatywność, a także niezwykłą odwagę, jak utrzymywali niektórzy - przesadząc zuchwalstwem. Oddziałek jego ochraniał ludność zamieszkałą w tych wsiach i napsuł niemiło krwi nieprzyjacielowi. Walnie też przyczynił się do obrony Radomia i Janówki przed bułbowcami 25 grudnia 1943 roku.

Ciągle był na posterunku. Nie wiadomo czy robił jako dowódca własnego oddziału, swoje dziwne indywidualne wyprawy czy poprostem na dokuczaniu watahom operującym gdzieś pod Haruszą czy Zadybaną, gdy doszła do nas wieść, że nasz znajomy został ranny. Właśnie pod Janówką. Kula przeszła go na wylot i uszkodziła kręgosłup. Wystarczyło to, aby unieruchomić go, jak myśleliśmy na drugi czas.

Ponieważ leczenie było niezwykle trudne, przewlekłe i nie rokowało wielkich nadziei, a w tym czasie zostałem też ranny, los zetknął mnie z nim i mogłem wreszcie poznać tajemnicę niezwykłego zachowania się tego człowieka. Rzecz miała się następująco:

W ewakuacji szpitala z Kupieczowa zatrzymaliśmy się na kilka dni w jakiejś miejscowości, nie przypominam sobie jej nazwy, wiem tylko, że było to po opuszczeniu Ossy, gdzie opędziliśmy jedną tylko noc. I wtedy wśród rannych przywiezionych spoza Kupieczowa zobaczyłem Malinowskiego. Nie poznałem go. Miał ciemną brodę, leżał nieruchomo, nie mogąc nawet obracać głowę, nawet drobni wykonywał zaledwie nieznaczne ruchy. Błady, z zapadniętymi oczami i policzkami wyglądał na zupełnie innego człowieka. Był cały czas nie tylko przytomny, ale zachował także niezwykłą świeżość umysłu i doskonałą pamięć. Nie jęczał, nie uskarżał się na swe' dolegliwości. Kilka razy podał mi woda, a to' jakiegoś laku, usłużył mi w tym lub innym. Osiągnął wreszcie i udzielił mi się jakoś blado z dziecięcą dobroćliwością. Gdy raz powiedziałem mu, że choć poleży na pewno jeszcze długo, to nie ma wątpliwości, że pojedziemy na niejedną okolicę i to nie tylko przeciw bułbowcom, lecz i "Niemiaszkami", jak mówili ludzie z jego stron. Poruszył wtedy gąbkami oczu, jakoby przeczył moim słowom i

powiedzieć cicho:

- Ja już pójdę tylko do swoich, dawno na mnie czekała...

I wtedy w zapadającym zmroku, siedząc na krawędzi łóżka ciążko ranego człowieka i wpatrując się w jego twarz, jakby już nie z tego świata, usłyszałam opowieść, której zapomnieć nikt by nie potrafił. Nie będę nawet próbował odtwarzać jego słów, bo tak mówić mógł tylko świadek podobnej tragedii, jaką przeżył on. Usłyszałam więc tego wieczoru wszystko, czego chcieliśmy dociec kiedyś w Zastupkach.

Rodzinną jego miejscowość otaczały wieś o przewadze ludności ukraińskiej, gdy zaczęły się rzesie, ogarnął Polaków podobny jak wszędzie niepokój. Co robić? Uciekać czy siedzieć? Wierzyć zapewnieniom niektórych sąsiadów, że nikomu nic nie grozi, czy posłuchać innych, którzy dyskretnie ostrzegali, aby zabierać rodziny i póki czas wyjechać czym prędzej do miasta? Żył dotąd ze wszystkimi sąsiadami w najlepszej zgodzie, miał nawet wśród Ukraińców wielu oddanych, jak mu się zdawało przyjaciół. Czyste i spokojne sumienie rozwiślało obawy, ale głosy dochodzące z różnych stron skłaniały się przemawiać za tym, aby naprawdę zniknąć jak najszybciej, spod oczu chciwych krwi reżunów. Tak postanowił zrobić. Powoli bez pośpiechu, aby nie zwracać na siebie nieczyjej uwagi zaczął pakować co najpotrzebniejszą rzeczy i gotować się do ucieczki. Sąsiedzi-Polacy robili to samo.

Gdy wszystko było przygotowane wyjechał jeszcze z domu dla załatwienia jakiejś sprawy i nazajutrz miał nastąpić wyjazd. Wracając po paru godzinach do domu zobaczył z daleka chmurę dymu nad swoją wsią. Dobiegł na skraj zarośli, skąd było blisko już do jego zagrody, gdy ujrzał na swym podwórzu gromadę ludzi, jak wbiegali i wybiegali z jego mieszkania, krzyczeli gniewnie, czegoś lub kogoś niecierpliwie szukając. Malinowski położył się w bruzde między rzędami ziemniaków i zaczął czochrać się w kierunku swego podwórza. Był nie dalej jak sto metrów od zabudowań, przykrytymi wysokimi łętami kartofli, gdy nagle usłyszał rozdzierający krzyk swojej żony i płacz dzieci oraz innych podobnych rodzin znajdujących się na podwórzu, pomieszany z grubymi, tymi przekleństwami Ukraińców, rozbawionych i wściekłych. Patrzył jak jego dzieci wraz z gromadą dzieci i kobiet sąsiadów bulbowy wpędzili do stodoły, a matki rozpaczliwie broniły swoje malców i usiłowały wyrwać się spośród gromady obrawców, których pewno było w całym obejściu. Wreszcie po kałowsku wpełzali, to wszystkich do wnętrza stodoły, a kilka z nich zaczęło podpalać budynek. Powstał nie do uściszenia krzyk i szowyt, który zdawał się przesywać zmartwiłe narce ognia, bezradnego i odchodzącego od zmysłów w swej bezradności. Przeradzająca krzyki napiekniętą całą wieś. Oprawcy zaś z szatańskimi minami biegali



naokoło, jakby pilnując, żeby ktoś nie wyrwał się i nie uciekł ze stodoły, która objęty już ze wszystkich stron płomieniem, lub jakby chcąc nasycić się rozpaczą żywcem palonych.

Malinowski próbował poderwać się i biec, w stronę ginących w nadludzkich mękach swych najbliższych, ale jakiś bezwład, graniczący z onieśmieleniem ogarnął całe jego ciało. Wycie płonących zaczęły docho-  
-dzić go jakby z zaświatów, naciskały myśli i pozbawiako się. Leżał jak sparaliżowany, ciężko odychając. Nie strach o własne życie, lecz niewypowiedziana słabość w rękach i nogach nie pozwalały mu ruszyć się z miejsca. Wreszcie poczuł jakiś skurcz serca i gdy od-  
-szukał przytomność, był już zmierzach. Krzyków nie było już słychać, -  
- padały tylko gdańskie pojedyncze strzaski, ale daleko, za wsia. W miej-  
-scu zabudowań dopalały się resztki zwęglonych ścian. Próbował te-  
-raz podnieść się z ziemi, lecz nadal czuł się zupełnie bezsilny. Sicho zrobiło się naokoło, tylko świat spalenizny i dymu rozchodził  
- się nad ziemią. Nie wiedział, czy zdjął go sen, czy wróciła ondu-  
-kość, bo odzyskał powtórnie świadomość, gdy zaczynał robić się świt, kroplista rosa osiadła na liściach ziemniaków, jego ubraniu, włosach. Wstał dopiero z wielkim trudem, zupełnie bezsilny, podniósł się cięż-  
-ko z ziemi. Szedł chwiejnym krokiem w kierunku pogorzeliiska, nie har-  
-dzo wiedząc po co, w jakim celu. Wszystko się w nim nagle zatrzymało, myśl nie pracowała, poruszał się na zasadzie automatu. Dopiero gdy  
- zachwycił mu pod nogami popiół spaleniska i tarzając się jeszcze  
- dusie niegdyś wętko, uświadomił sobie gdzie jest i co się zdarzyło. Zaczął grzebsać rękami w pogorzeliisku. Natrafił co chwila na coś  
- zwęglonego i wtedy był pewny, że to szczątki najdroższych mu istot i dosnawał uczucia, jakby za chwilę miał runąć w ów popiół i już  
- nie podnieść się więcej. Wydawało mu się, że jest głównym sprawcą  
- tragedii, ponieważ nie umiał w porę zdecydować się na ucieczkę. Tego najbardziej nie mógł sobie wybaczyć. Chciało mu się chwilami  
- wyć z rozpaczy, krzycheć w niebogłosy, lecz głosu nie mógł z siebie  
- wydobyć. Tuż przed wschodem słońca, zupełnie zakamany, powłóknął się  
- w gęstwinę i siedłszy pod drzewem, dopiero zaczął bezgłośnie  
- płakać. Nadeszło południe, zbliżał się wieczór, a on nie potrafił  
- uspokoić się, zapanować nad swym bólem, szarpiącym każdy narw. W głowie rozbrzmiewał mu nieustannie krzyk dobywający się z pło-  
-nącej stodoły. Słońce już miało zachodzić, gdy ból i rozpacz zaczęły  
- ustępować nieodpartej śluzi zemsty.

- Nie wiem, kto był jakby ze skruszenia i bólem nieśmiałości, ci-  
-lika rany ekwivoku. - Nie wiem, czy była to świadoma wstąpienie  
- niewiadomo do tych zwierząt drapieżnych w ludzkich ciałach, czy roz-  
-legaający się cięgle w głowie, aż do bólu fizycznego, krzyk mordowa-  
-nych, czy może świadomość cierpień tych, co komuś winnych ludzi, czy

może wszystko razem, dość, że nie miałem siły, aby powstrzymać się przed świateł. Zanim przyszedłem do Zasznyk, wyjechałem kilku z nich na tenże świat. Później po każdym wypadzie do ich siedzieli, przyrakałem sobie, że był to nicodwokalnie ostatni raz. "Dość już krwi" - mówiłem sobie - "I tego Bóg mi nie daruje". Ale wystarczyło kilka dni i znova budzik mnie po nocach krzyk moich dzieci... Boże... Jak te dzieci krzyczą...! Co za męki...! Ale brzmiały mi też w głowie krzyki i przekleństwa bandytów. Widać im stałe przed oczami ich postacie, jak awigają się i cieszą swoim dzieckiem. Później wtedy na podwórzu niektórych oprawców... Już więcej nikogo nie pamiętam... Wszakem nadzieję, że zginę tam, gdzie leżą popioły mojej rodziny. Wszakem im w ręce, narzucałem się... Nie wiem dlaczego uciekali na mój widok, choć chyba wiedzieli, że jestem sam... Nie mogli nie wiedzieć... Tylko pewnie ich katowskie sumienie i mój nieczłudzki wygląd to sprawiły, samnie wiem... Już spokojnie nigdy nie zasną... Dopiero w mogile...

ostatnie słowa wypowiedział już tylko do siebie ledwie dosyć szalonym głosem szeptem. Twarz miał kamienną, oczy patrzyły w nieokreśloną dal. Pewnie już widać siebie wśród zamęczonej rodziny i z nią prowadził dalszy dialog.

Wróćce zabrali nas dalej w kierunku Stawek i mosurskich lasów. Malinowski już tam nie dojechał.

. . . . .

W tym czasie sytuacja nasza zmieniała się z niezwykłą szybkością. Kilku tygodni pobytu w szpitalu oderwało mnie od normalnego życia oddziałów i gdy zacząłem dochodzić do zdrowia, że zdumieniem dowiedziałem się od odwiedzających szpitali kolegów lub nowych rannych, że <sup>WOLA</sup> WPA już się w sąsiedzie skończyła i resztki ich wycofały się widocznym gdzieś z naszych terenów, że front coraz bliżej /stad ewakuacja szpitala za Turcję/, że rozpoczęła się generalna rozprawa z Niemcami. Już w pierwszej dekadzie marca nasz batalion wspierany przez "Białego" zaatakował Kozłoby i choć ich nie zdobył, to napisał sporo krwi butnym Niemcom, a styczniowy napad ich na Zasznyki stał się niejakim hasłem do walki z nimi wszędzie gdzie jest to możliwe. Parę dni temu zdobyliśmy Turcysk, a walki z Niemcami toczą się na całej linii od Turii do Buga. Z Kowla wyruszyły w pole sekansprowane dotąd liczne szeregowe młodzieży a i oddziały samobrony w Zasznyk, Sądowa i Radomka dołączyły do Dywizji. Rozprawiły się powoli, poprawiło się wyposażenie w broń dzięki udarom akcją przeciw okupantowi. Biedak tylko jak układa się stosunki ze zbliżającymi się wojskami sowieckimi? Ale ~~WPA~~ WPA są raczej dobrej myśli. Właściwy przeciwnik



z jednym wrogiem... chociaż? Jakiś cień niepokoju zawsze ciążył nad tą sprawą.

Najbliższe miesiące miały wszystko wyjaśnić.

## W I E L K A N O C W S T A W K A C H

Gdy druga kolumna wołów z rannymi dotarła do Stawek, wieś była zupełnie pusta. Spodziewaliśmy się tu zastać nasze bataliony, o których mówiono, że w tej okolicy stacjonują, tymczasem poza paru żołnierzami zakwatermistrzostwa, nie było więcej nikogo. Umieszczono nas w szkole, niewielkiej, drewnianej oraz w paru domach o lepszej niż inne prezencji. Po drodze pełnej dokoń i błota, po krótkim i nieszyt groźnym bombardowaniu w czasie przeprawy przez Turę, po wszystkich ciężkich trudach i niewygodach poczuliśmy się tu wreszcie spokojni i bezpieczni. Mieliśmy pewność, że dywizja jest w pobliżu, siostry opiekują się nami jak zwykle z ogromną troskliwością, cieszyła też nadzieja, że dawno nie wiadziwni koledzy wpadną od czasu do czasu choćby na krótko w odwiedziny i powiedzą co się dzieje w naszych macierzystych plutonach, kompaniach, batalionach. Tak dawno nie mieliśmy o nich dokładnych wieści...

Wielki Piątek minął spokojnie. Wielka Sobota też. Zrobiło się ciepło, śnieg już tylko gdzieś w cieniu za płotami, pustymi zabudowaniami przypominał o mijającej zimie. Nieustannie ze wszystkich stron dochodziły odgłosy strzałów karabinowych pomieszczone z detonacjami pocisków artyleryjskich, pękoty granaty, przelewały niemieckie samoloty. Nie było to przyjemne, ale też nie robiło zbyt nieprzyjemnego wrażenia, co od wielu dni jadąc z Rapińcowa przy akompaniamencie wojennej kanonady, zdążyliśmy się do wch koncertów przyzwyczaić.

Z rana w Wielką Sobotę wraz z dwoma kolegami o zdrowych nogach, polowaliśmy na bezpańskie kury, na jutrzejsze świąteczne śniadanie, a przed wieczorem dowiedzieliśmy się, że o północy odbędzie się w miejscowym kościółku rezurekcja. Wiadomość okazała się prawdziwa. Przyjechał jeden z księży dywizyjnych, o ile pamiętam, ksiądz kapelan "Prawdziw"-Antoni Piotrowski, bardzo przez żołnierzy ceniony i lubiany, przyszedł trochę wojska, paru oficerów. Ich spokojne twarze wlewały znowu w serca otuchę i poprawiały szpanny samopoczucie. O północy zaczął się amokństwo. Kilka rannych ze zdrowymi nogami i połączonych kurtkami, pozwolono równieć pójść do kościoła. Wstąpiłem z nimi w ich liczbie. W ciemnym zapętlone wnętrzu świątyni oświetlonym tylko niektórymi płomykami świec, palących się na ołtarzu, nastrój był niezwykle i wyjątkowo uroczysty. Zebrani modlili się w skupieniu i

obchodzą nabożeństwa, biegnąc niepewno myślą do czasów, gdy znów w swojej własnej świątyni, wspólnie z rodziną i najbliższymi będą mogli obchodzić Święta Wielkanocne. Oby już najbliższel - zdawały się mówić wpatrzona w krzyż na ołtarzu oczy zgromadzonych.

Kiedy nabożeństwo dobiegło pokowy zrobił się w kościele ruch. Żołnierze zaczęli półgłosem porozumiewać się, wychodzić, nawoływać się po cichu, pośpiesznie i dziwnie tajemniczo.

- Napad? Niemcy? - przelociało mi przez głowę.

Nierozsłiwie jednak, by nasi pozwolili wrogowi podejść znacząco do miejsca, gdzie stoi szpital. Już wcześniej musieliby być jakimś strzelaniną. Lecz ~~nie~~ się jednak dzieło. Ksiądz spojrzawszy od ołtarza na jednego z oficerów i pewnie wymienili jakiegoś porozumiewawcze znaki, bo oficer przyklęknął i wyszedł, a nabożeństwo toczyło się dalej. Tylko ludzi w kościele zostało niewielka gromadka.

Wyszedłem i ja. Chciałem się upewnić, co się takiego dzieła dzieje. Okazało się, że kilkanaście minut na tu gdzieś w pobliżu nastąpił szрут. Jednostka do tego wyznaczona ma go odebrać. Już wszyscy są na stanowisku.

Wróciłem do kościoła, ale do końca Mszy św. nie mogłem już odzywać poprzedniego skupienia. Myśli wybiegały gdzieś na lesną polanę, gdzie prawdopodobnie palą się już w tej chwili ogniska, gdzie może lecać już na spadochronach pojemniki z bronią i amunicją, koniecznymi, szczególnie w tej fazie walk, materiałami wojakowymi. Nie jesteśmy więc sami, pamiętaj o nas. Istnieje ścieżka współpracy między naszą dywizją a naczelnym dowództwem za granicą. Nie zginiemy więc, a nasze zwycięstwo jest tylko kwestią czasu. Wraz z tymi myślami otucha, a nawet pewność, że tak będzie, rosła z każdą chwilą. A gdy przy końcu nabożeństwa zrobiło się nagle jasno w kościele i na dworze i gdy wybiegłem powtórnie wjrzałem w górce nad lasem świecąca mocnym blaskiem wielką lampę. Z radością chciało się skakać i krzyzczeć. Gdzieś z daleka słycheć było warkot samolotu.

Pierwszy dzień Wielkanocy wstawał jasny, słoneczny. W kuchni dopiekęły się, przeznaczone na świąteczne śniadanie, kurry. Stół zastawiony co prawda nie wystawnie ale odświętnie, urozumiście, naczyń i sztućców. Zdrowsi zasiedli na ustawionych dookoła ławach i krzesłach, ciężkiej rannym podawano posiłki do kółek. Strzelanina od strony północnej, która od wczorajszego wieczora wyrwała, przycichła, teraz wybuchła ze zdwojoną siłą.

Ładwie jednak zabrałem się na dobre do śniadania i następnym zaczął mi być coraz bardziej rodzinny, pojawił się nagle tonie z rozkazem od dowództwa, by szpital natychmiast przystąpił



do ewakuacji. Wszyscy na furmanki i do lasu!

W szkole zawrzało. Jedną poręczkowo zaczęli zbierać się do wyjścia, lami w pośpiechu kończyli śniadanie, sanitariuszki poręczyły przygotowywać się na ciężką ranną, a tymczasem uprzedzani wesołszą furmanami podjeżdżali już pod szkołę. Najprzeznorniejsi pakowali skrajnie do kieszeni niedojedzone śniadanie i zadawali się, czy sprzedaż na wymoszczoną skórą ławy. Wynoszono ciężko rannych z sąsiednich domów. Ktoś stanowczym głosem przygłażał do pośpiechu. Zabiegunek przeprowadzono nadzwyczaj szybko.

Gdy już miano ruszać, poprosiłem jedną z sióstr, by mi pozwoliła zostać tu jeszcze trochę, ponieważ od strony pola walki zaczęli nadciągać grupkami i pojedynczo nasi chłopcy. Szli zmęczeni, czysto brudni na twarzy. Oglądając się niespokojnie za siebie. Spodziewałem się zobaczyć kolegów ze swego batalionu, może nawet z drużyny. Tak dawno ich nie widziałem... Obiecując siostrze zaraz dogonić transport. Pozwoliła. Byłem "starym" rannym i cieszyłem się pewnymi względami.

Wyszedłem na drogę i patrzyłem na nadciągających od północy chłopców. Kanonada nasilała się z każdą chwilą i zdawała się przybliżać. Młyny idących nie zdradzały dobrego samopoczucia. W wielu osobach malował się wyraźny niepokój, a nawet trwoga. Oglądali się co chwila za siebie, jakby nieprzyjaciel był tuż, tuż. Na pytanie co dzieje się na linii walki, machali niechętnie rękami, a gesty te wskazywały na beznadziejność sytuacji. Z czyjego batalionu? Odpowiedzieli tylko niektórzy:

- Od "Trzaska"...

- Od "Siwego"...

- A co z "Jastrzębiami", "Sokołem"? - pytałem niecierpliwie.

- Nie wiemy odpowiedzieli. - Nie mieliśmy z nimi kontaktu.

Stałem przybity niedobrymi wiadomościami. Coż więc dzieje się naprawdę? Czekać jeszcze czy wracać do szpitala? A może iada chwila pojdą się i "Jastrzębiacy", lub "Sokołyta", gdzie miałem najwięcej bliskich i przyjaciół...?

Poraz pierwszy nie dotrzymałem obietnicy i zamiast ruszyć, jak przyrzekłem, za znikającymi już w opłotkach Stawek ostatnimi furmankami, czekałem dalej na znajomych. I dopiero w godzinach południowych undawałem się bliskich, nawet krewnych, lecz nie od "Jastrzębi", ani "Siwego". "Słonecznik" - Donifacy Bakowicz, wujek z Janówki, widać przyniesł z Zaszyk, ten bliski krewny, brat z polsko-ukraińskiej drużyny, również dowiódł od "Siwego". Stałwili się widząc siebie stojącego na drodze, z ręką na tabliczku wpstrajającego się nieruchome w stronę najgorętszej walki. Zaczęliśmy krótką, rwącą się rozmowę. Dowiedzieliśmy się, że Niemcy nacierają ze wszystkich stron, raz po raz spykają

chają poszczególne oddziały z zajmowanych dotychczas stanowisk, że nasi cofają się w lasy, że nie ma sposobu na czołgi, ciężką artylerię, samoloty. Muszą być jakaś większa pomoc od Sowieców, ale oczywiście wiadomości, pomoc nie nadeszła. Mówili to takim tonem, jakby kamieniali, jakby krótko "wzasytko stracone", przyjdzie zginąć co do jednego". Jeśli, sami nie bardzo wiedząc dokąd. Powiadali mi także na podziwianie, że bataliony "Jastrzębie" i "Sokół" oraz chyba "Gajma" wycofały się też, ale w porządku, bez paniki, choć też podobno poniosły duże straty. Jak dalej potoczą się wypadki nikt nie jest w stanie przewidzieć. Znajomi moi mieli też i inne powody do niepokoju.

- Nasz dowódca - mówili tonem zawodu, do takich gorących walk nie bardzo się nadaje, porządku i dyscypliny utrzymać ~~nie~~ nie potrafi, przykładem własnym również skrzyć nie może. I teraz idziemy przed siebie trochę w niewiadomo, bo nie ma kto zaprowadzić kądś i ująć nasz batalion w karby. "Sokół" czy "Jastrzębie" to co innego. Ale jest i koniec.

Strachem z mieszanymi uczuciami. Dumą, napełniony wieść informację o swoim batalionie, dumą i nadzieją, a jednocześnie wieścią o czołgach, samolotach i artylerii przeciwko oddziałom partyzanckim napędzającym wódzów, bo i najlepsi wodzowie z karabinami na czołgi wojska swego przecież nie poprowadzą. Jakim więc los nas czeka? Co będzie za dzień, dwa?

Staken nie wiedząc co robić. Jeszcze w nocy pełen otuchy i wiary w naszą sprawę patrzyłem z daleka na zruż, a teraz, po kilkudziesięciu godzinach, jakże tragicznie rysowała się sytuacja naszej dywizji. Kolejny mówili o dużych stratach także w "Jastrzębie". Kto poległ, kto został ranny? Jak się czują pozostali, w jakim są nastroju? Naprawdę starałem się odpowiedzieć sobie na dziesiątki nasuwających się natarczywie pytań. Grupa żołnierzy z batalionu "Siewego" oświadczyła mi na koniec, że spróbuje jeśli tylko znajdą się możliwości, przebiec się za front, do domu. że trudno i niebezpiecznie? A czy tu jeszcze? Lepiej? Kto zaręczy, że jutro nie przejedzie tu dywizja niemieckich czołgów i nie zniszczy wszystkich, którzy jeszcze utrzymywali się przy życiu? Tragiczną logiką wysieraka z ich słów i przypuszczeń i nie miałem na to kontrargumentów. Była to woda po poleganiu kolegów stałem patrząc bezradnie na przechodzących dalszych batalionach, niepokojnych, siłenerwowych, rozgubionych.

Pa palantem straszenia nasco urobion. Cierpiał się, widać było, że nie przetrwał, nie przetrwał tu i tam rozległ się wybuchy artyleryjskich pocisków. Słychać ciągle był cichy, słoneczny. Po pogodnym niebie co pewien czas przelatywał samolot bojowy, nad linią lasów krążyła



znanowidziona "rama" - dzukadżubowy samolot wywiadowczy... Musiał widać wszystko bardzo dokładnie, bo chłopcy od "Diwego" wspominali o wyjątkowo celnym ogniu nieprzyjacielskim. Łączność więc między pilotami a stanowiskami ogniowymi Niemców musiała być utrzymywana bez przerwy.

Nie mogąc doczekać się nikogo ze swego batalionu, postanowiliśmy iść odszukać szpital. Wiedzieliśmy którą drogą pojechaliśmy furmanki i nie miałem wątpliwości, że je dopędzą. Z rannymi jechano zawsze bardzo powoli. Nie umiem sobie odpowiedzieć, dlaczego nie czułem wtedy zbyt wielkiego strachu, a wyrażały lęk przed tym co może stać się w najbliższych godzinach, widoczny u wycofujących się, jakoby mi się nie udział. Miałem dowództwu dywizji, miałem głębokie przekonanie, że podpułkownik "Sulima", major "Kowal", że porucznicy "Jastrzęb", "Sokół", "Trzask", "Gajms" i inni nie dadzą się tak łatwo pokonać i rozproszyc. Wierzyłem także kolegom, którzy tyle razy dawali dowody waleczności, odwagi, poświęcenia. Przyszło mi do głowy, że może to opuszczają pole bitwy tylko ci z bospolitego ruszenia, jak nazywaliśmy zmobilizowanych po ogłoszeniu akcji "Burza" żołnierzy. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że nie w tym rzecz, że różnica między ich a moim sposobem rozumowania polega na tym, że ja słyszałem jedynie odgłosy walki, a oni w niej uczestniczyli, patrzyli z bliska na śmierć i rany swoich kolegów, widzieli <sup>nigdy nie</sup> broń pancerną w czasie akcji, mieli więc większe prawo bać się i z niepokojem myśleć o jutrze. A wycofywać się, też nie bardzo było gdzie. Od wschodu i północy uformowała się linia frontu z napiętymi Niemcami, od zachodu lasy, które wydawały mi się nie tyle wielkie, by stanowić dostateczną ochronę przed wrogiem, dalej Bug i Lubelszczyzna, którą wyobrażałem sobie wtedy jako bezkresną równinę, czyli teren absolutnie nie nadający się do walk partyzanckich, zwłaszcza dla tak dużej jednostki, jak nasza.

Tak rozmyślając szedłem trochę drogą, trochę na przekątnej w kierunku południowo-zachodnim, dokąd kierowali się prawie wszyscy spotykani żołnierze, a gdzie na horyzoncie widniała ciemna linia lasu. Tam spodziewałem się znaleźć szpital i główne nasze siły, tam też prowadziła droga z mnóstwem świeżych śladów kół. Miejscami w zagłębieniach terenu, rowach, leżał jeszcze topniejący szybko śnieg. Gdzieś niedawno ugrządnęły przejeżdżające płytkie rozlewiskowe wody, wystarczające jednak do przemoczenia butów do tego stopnia, że młodzy ochotnikami, że każdym krokiem pojawiały się wyciekające bąbelki powietrza.

Wzrostem ze stawek są dwa, może trzy kilometry, gdzie nagle wprost na południu, w odległości trudnej do określenia, dały się słyszeć silne detonacje. Robiły wrażenie serii szybko po sobie nastę-

wypadających wybuchów. Nad horyzontem uniosły się w tej samej chwili ciurki dymu, a po paru dalszych sekundach, rozległ się świsłk samolotów. Zatrzymałem się i zacząłem nabruchiwać, wpatrując się w nowe niespodziewane zjawisko.

Nie dągałem wątpliwości: bombardowanie! Już zupełnie wyraźnie dołatywało uszu wycie pikujących maszyn i serie strzałów karabinowych, przesłanszych wybuchami bomb.

Strzały zmasowały i samoloty, jak zataczały obszerne koła, znikły w oddali, a za chwilę rozlegały się wybuchy. Jeden... drugi... trzeci... Aż ziemia zdawała się kołysać od detonacji. I znowu pojawiły się samoloty, zataczały ogromny krąg, aby za chwilę sygnalizować bombami.

- Pewnie Berlin-przelecieliście mi przez głowę - tam przecież skoncentrowane są oddziały wódzkiemskie. "Osnowy". To pewnie ich hitlerowcy urządzili takie święta. Barbarzyńcy!

Czarne dymy, widoczne coraz bardziej nad horyzontem, świadczyły o wzniesionych przez nalożone pociskach.

Czy Niemcy nie wysłażą za chwilę dalszych samolotów tu, nad moją grupą? Może to już naprawdę kres walk i nadziei? Czy to nie w tych nadbużańskich lasach pisane nam było doczekać kresu życia? Niepokojne myśli krzyłowały się, huczały w głowie, odzierają spokój i panowanie nad sobą.

Kruszyłem znowu nieco szybszym krokiem, bo i słońce zaczęło się wyraźnie skłaniać ku zachodowi. Należało koniecznie przed spełnieniem zaroku ustraszyć swoich, inaczej mogłoby być naprawdę niewesoło. Wiedziałem, że musiałbym nocować w jakiejś pustej chacie, gdzie wszystko mogłoby się zdarzyć bezbronemu rannemu, ale i, kiedy napełniała myśli, że dywizja pod osłoną ciemności, gotowa przemierzyć się gdzieś w nieznanym kierunku, a wtedy?

Najbardziej jednak dr. czyło przedwzięcie, że nie dotrąfają tu siostra i siostra, która pozwoliła mi zostać na krótko w Stawkach, może z tego tytułu mieć kłopot, a może i nieprzyjemności.

Naczyłem szerzej śledzić, że nie pojednałem razem ze szpitalem, bo tam byłoby na pewno najbardziej niebezpiecznym, gdy nagle na placowi usłyszałem turkot furmanki i czerpanie końskich kopyt po miękkim grze, a wreszcie bocznej drogi. Objeżdżając się. Jedyną furą z naszymi taboretami niej trzech chłopców z bronią. Uważnie obserwowali samoloty, śladem jedynego krążącego na pokładniowych krańcach widnokręgu. Przybliżyłem się do nich, bo odzywczający przez dwa niemałe minuty od słuchanych przesylnych karosów, natłoczony temperaturą i ciemnością, dusząc się już dookoła umiarkony, co potęgował jeszcze dźwięk silnika, co w moim brzuchu, poza kawałkiem kurzego skrzydła nie w ustach nie miałem. Droga teraz upływała znacznie szybciej i bezpieczniej, a co najważniejsze, nie czułem się już tak samotny, zagubiony. Chłopcy wyprzedzili



nie byli od "Jastrzębia" czy "Sokoła", ale w każdym razie swoich to była najważniejsza.

Zbliżyliśmy się do lasu. Za nami w dali, już niewidoczne pozostały stawy i jakieś inne małe wioski, oraz pojedyncze, porozrzucone po polach chaty, opustoszałe, nikomu nie potrzebne. Mijałyśmy co pewien czas wąskie dróżki prowadzące do odległych chatków. Od dawna nikt nimi nie jeździł, żadnych śladów zwierzęcia, człowieka. Latem i jesienią ubiegłego roku, rozegrały się tu na pewno krwawe sceny mordów, pożarów. Kości zabitych, umęczonych przyjecha święta polska ziemia, a żywi uciekli gdzieś daleko, lub schronili się do większych miast, do partyzanckich oddziałów. Dzisiejsze komunistyczne też niewątpliwie przysporzyło ofiar. Wokół skądś dalszą daninę krwi, której tyle już wsiąkło w tę umęczoną ziemię. W powietrzu czuć było oprócz świeżości wiosennych pól, także swąd spalenizny, a szczególnie przenikający wszystko zapach bardzo nieprzyjemny, tłętego się torfu, zapach, który długo jeszcze po wygaśnięciu unosi się nad okolicą. Od czasu do czasu spośród osmalonych gałęzi bezlistnych drzew, sterczą na pół rozwalony komin spalonego niedawno domu, spalonego doszczętnie, ponieważ nie było go komu ratować.

Kto i kiedy przywróci tej krainie jej dawne kwitnące życie, spokój, sprawiedliwość? Kto wynagrodzi krzywdy, okrutne, bolesne, zadane spokojnym mieszkańcom tej ziemi, którzy nie podjudzani przez jastębskie, wrogie Polsce siły, przez wieki żyli by jak dobrzy sąsiedzi, ani w głowie mając narodowe kłótnie i nienawiści.

Gdy osiągnęliśmy linię lasu, pogodnie dotąd niebo zaczęło od zachodu pokrywać się ciędkami, ciemnymi chmurami. Pierwsze płatki śniegu wirowały już w powietrzu. Od północy i północnego wschodu wciąż niosło echo palby karabinowej, głuszonej dudniącymi wystrzałkami z dziaek i pękaniem pocisków artyleryjskich. Walka nie ustawała ani na moment. Przynajmniej tylko, by wzmocnić się po chwili z większą jeszcze siłą.

Wskazałam szczególnie. Zapytani o miejsce postoju szpitala pierwsi napotkani żołnierze wskazali w odległości nie większej niż pół kilometra palenisko, do którego prowadziła kręta leśna droga. Skierowałam się w tę stronę i po kilku minutach byłam wśród swoich.

W ogólnym podnieceniu i rozgardaszu mojej nieobecności nawet nie zauważono. Siostry "Bogna" i "Irysa" wraz z pomocnicami krążyły się jak zwykle wśród wannych, nieświeżo wyglądających, potrzebujących pomocy i pomocy. Chleb, po kawałku gotowanego mięsa, cebula, olej, masło. Dostałam także swoją porcję. Jedzono i wiele więcej niż jakkolwiek inne wyszukana potrawa. Po prostu widać było, że i tak z apetytem. Niektórym trzeba było pomagać, nie mogli bowiem własnoręcznie utrzymać kubka w dłoniach.

Mielimy tu spędzić noc. Znalazłam miejsce na zajętej przez jed-

nego tylko rannego od "Trzaska" furze i zaprzębawszy się pod lewyce na wiarachu koca, wyciągnąłem je wygośnie, aby odpocząć po trudach i emocjach dnia. Panował tu zupełnie spokój, nie widać było objawów lęku, jaki widziałem u spotkanych niedawno żołnierzy.

Spytaliśmy o nowych rannych. Okazało się, że i w tym moi informatorzy w stawkach nieco przesadzili. Od "Jastrzębia" dziś nie przyjechał nikt. Było kilku nowych rannych, lecz nie z naszego batalionu. Uspokoiła mnie ta wiadomość i postanowiłem spróbować się zdrzemnąć.

Robiło się już szaro, a gnieź dalej wirował w powietrzu. Zaczął pociągać, przejmujący zimny wiatr. Ranni chłopcy otulali się najdokładniej, jak potrafili, albo prosili o pomoc, co natychmiast wykonywały niezamordowane sanitariuszki.

Tymczasem zamieszł spokojnego snu, na co wszyscy liczyli, poleciała nagle od wozu do wozu wiadomość, że zaraz ruszamy dalej, bo obecne miejsce zdaje się być za mało bezpieczne. Ta ostatnia informacja pochodziła, mam wrażenie, od samych rannych lub wozniów, ale nie czas było dyskutować na temat jej prawdziwości. Bardziej trapiło myśl, że o spaniu trzeba będzie zapomnieć, że każda jesca na furmance nocą, zwłaszcza po lesie, gdzie pełno wystojących koczni, dożdów i wyrw, sprawia dotkliwy ból. Choćby się było najbardziej zmęczonym i niewyspanym, można tylko zapadać co najwyżej w pół sen, aby z sykien i jękiem budzić się przy każdym silniejszym wstrząśnięciu.

Nie było jednak rady. Trzeba się było poddać losowi.

Po kilku minutach pojawili się przy wozach furmani i zaczęli oporządzać konie, układać na fury torby z nie dojeżdżonymi obrokiem, resztki siana, sprawdzać, czy wszystko przy wozach w porządku. Czynności swe wykonywali umiętnie, spokojnie, niektórzy pocieszali leżących, że droga nie będzie daleka i raczej gładka, nie ma więc powodów do norzekań i skarg.

Na pytanie dokąd mamy jechać, odpowiedzieli, że w kierunku Mosura, ale czy do samej wsi, tego nie wiedzieli. Zresztą było to dla nas obojętne - do Mosura czy do jakiegokolwiek innej wsi. Były prędzej dojechać.

Pierwsze wozy wydołyły się z polany na drogę i zaczęły się tworzyć długa kolumna. Ruszyliśmy, po przebyciu z pół kilometra zobaczyłem na obszernej rozdrożu grupę oficerów na koniach, obserwujących jadące szpitalne wozy. Wśród nich rozpoznałem w zapadającej mroku majora "Kowala", który rozmawiał półgłosem ze stojącymi przy jego lewej stronie kolegami, których twarzy nie udało mi się rozpoznać. Wydawało mi się, że byli tam i "Jastrząb" i "Wojak", ale pewności dziś nie mam. Mogło to być po prostu swego rodzaju "fata morgana" spowodowana nieprzepartą chęcią zobaczenia tych właśnie



powódców, których widok zawsze podnosił na duchu żołnierzy, nawet jeśli leżeli na wozach, mając dziury w mięśniach i kościach. A woże szczególnie tych.

W każdym razie obecność majora "Kowala" wraz ze świtą i jego spokojna rozmowa niezmiernie mocno mnie pokrzepiła, a jak się później zorientowałem - także innych.

Zanim jednak zapadła noc, przeżyłem jeszcze miłą niespodziankę: nadszedł nieoczekiwanie, nie pamiętam z jakiej przyczyny, Czesiek "Brzytewka", żołnierz batalionu "Sokoła" i serdeczny przyjaciel, o którym już wspominałem. Ucieszyłem się, jakbym zobaczył rodzonego brata. Spędziliśmy razem całą noc, a rano trzeba się było rozstać. Potwierdził niektóre informacje, o ciężkiej sytuacji na naszej froncie, ale nie przedstawił jej cierni i bez nadziejnie. Byłem mu za to bardzo wdzięczny.

Tymczasem wazy wjechaliśmy w wysoki, gęsty las, a ciemność i piaszczyste drogi, po których furmanki toczyły się ciężko ale równo, ukłyała większość chłopców. Wyraźnie początkowo kontury wyniosłych gałęzi, na tle pochmurnego nieba zamazywały się coraz bardziej. Gdy zatrzymaliśmy się na nowej obszernej polanie, większość już smacznie spała. Tylko ciężko ranni pojąkiwali z cicha.

## W M O S U R Z E

Zaczynało świtać, gdy obudziłem się z przerywanego resz poraz snu. Wód toczyła się równą drogą, czasem tylko przecykując się w lewo lub w prawo, nie na tyle jednak, aby zbyt mocno urastać zablizniające się rezy. Tylko co pewien czas, jak zresztą w ciągu całej podróży z Kupieczowa, w przódzie lub za mną, odzywały się ciche, tknięte jak, wydawane głównie przez dopiero co przywiezionych z pola rannych.

Ciężkie drzewa coraz wyraźniej rysowały się na tle sęciągniętego ciężkimi chmurami nieba. Było chłodno, a rzadkie pojedyncze płatki śniegu wciąż watacowały w powietrzu przeróżne kręgi i spirale i osiadając na tweray nikły natychmiast.

Wiatr uścił przewie zupełnie, bo gałęzie niżej drzew trwały w niemal bez ruchu, przesuając się wolno do tyłu, w rytm poruszającego się wozu. Tylko górne partie gałęziak chwiałały się, omiatały, na niewielej szczy w powietrzu nie ma.

Przed sobą całą drogą pokorowały się, wychyliły i kółko stukać - jąc mocno z coraz częstsze wyboje, zaczęły podrażać ledgymi na furach rannymi, urastać gotkliwie oboleke miejsca. Głasy jedzą-

ych nawołujące o ostrożność, wamoty się i asylikę. Furmani byli jednak bezredni i świadomie, czy może na wyrost podcażali pojąkujących:

- Już niedaleko, jeszcze trochę i będzie dobrze, odpoczniecie. Jeszcze trochę...

Jakoż nie mylili się. Po kilkunastu minutach wozy wyjechały z lasu i oczom jadących ukazała się wieś, a w niej wielu kręcących się nieszczęśliwych chłopców. Chęty pod niskimi strzechami stały gęsto obok siebie, świecąc małymi ostroszybowymi najczęściej okienkami. Sączyły zabudowań spadziste, jak same dachy, i poszyte słomą wskazywały, że mieszkali tu Ukraińcy, oni bowiem w ten sposób budowali swoje domy.

W świetle wstającego poranka, widzieć także było ciemnoniebieski kolor obramowań okiennych, charakterystyczny dla ukraińskiego zdobnictwa mieszkalnego. W środku wsi wznosiła się niewielka cerkiew, otoczona gęsto zabudowanymi różnej wielkości budynkami gospodarczymi. Tu, na niewielkim placu przed cerkwią, zatrzymała się furka, na której jechałem. Ledwie wygramoliliem się z pod sterty koców przy pomocy jakiegoś usłużnego kolegi, poczułem przejmujący chłód. Wiatr wprowadził niewielki, lecz ostry północny wiatr i przenikał aż do skóry przez lekkie ubranie i płaszcz, zapląty w dośpatku tylko na dół, aby poświecić niedołączną, zabandażowaną w kępki rękę.

Rozglądałem się niecierpliwie, szukając wzrokiem przeznaczoną dla nas kwatery, drżąc z doskwierającego zimna. Szczęściem, już po chwili wskazana mi chęta, która odgdy stanowiła miejsce jedną z sal szpitalnych. Wsadłem szybko przez niskie, otwarte drzwi. Kilku rannych kolegów już leżało na rozpostartej grubą warstwą, na płinianej podłodze, słomie, jak zwykle nie przykrytej żadnym przedzierdkiem ani płachtą. Lecz przyzwyczailiśmy się do takich legowisk i nikt nie wnosił o nie pretencji. Była dach nad głową i jaki taki przyodziewek chroniący przed zimą, reszta była nieważna.

Jeśli nawet ktoś był w domu przyzwyczajony do wygod, to tu, adawał sobie sprawę, że w warunkach polowych, partyzanckich, niczego innego oczekiwać nie należy i godził się bez protestu ze wszystkim.

Wkrótce obszerne pomieszczenie zapełniło się po przysłowiowe brzozi. Podobnie było w kilku sąsiednich domach.

"Wyleduk" trwał około pół godziny, zniżając część ciężkich fur nie odjechała dalej, cz. 44 nie wypręgiła koni i nie uależowała ich w przylęgłych do chęci, stajniach i oborach. Puste do niedawna mieszkanie rozbrzmiewało gwaram, pojąkiwaniami, a od czasu do czasu także śpiewnymi śpiewkami. Każdy jak mógł wyciągał się na słomie, prostując skurczone na wozie, przez wiele godzin ręce i nogi.

Atmosfera, jak zwykle wśród młodych, nawet rannych, robiła się



posadono, nawet wesoło.

Wtem, gdy już wszyscy ułożeni wygodnie, zaczęli popadać w sen, inni dopominali się śniadania, nie bacząc na wczesną godzinę, niektórzy prowadzili rozmowy z sąsiedami, stanęła w drzwiach siostra "Bogna" i oznajmiła, że... zmieniany miejsce zakwaterowanie. Około pół kilometra, może trochę więcej od miejsca, gdzie jesteście, w kierunku północnym, jest kilka domów bez porównania lepszych od przydzielonych nam chatki. Duże, widne, z drewnianymi podłogami, nowozbudowane i przez nikogo nie zajęte, będą dla was lepiej nadawały się na miejsce dla rannych żołnierzy. Polecenia już wydane i do domów wchodzi się teraz słomą, a furmani za chwilę zjadą, by wszystkich tam przewieźć. Wszczęły się krzyki protestu. Nikt nie chciał zmieniać lokum, wszyscy woleli pozostać na miejscu, nie szukać wygód, lecz odpocząć po trudach nocnej podróży.

- Po co nam okna i podłogi? - wołali renni. - Tańczyć nie będziemy! Tyle czasu na wozach, zmęczeniu, poturbowaniu, chcemy narazie zasnąć, wypocząć!

- Od razu trzeba było tam zawieźć, nie teraz! - gromadzili inni. A niektórzy próbowali targować się:

- Jutro, proszę siostry! Jutro przeniesiemy się, ale dziś proszę dać nam spokój!

Siostra "Bogna" zwykle uśmiechnięta, łagodna, czyste nawet ustępliwa, dziś była nie do obrżenia. Delikatnie, lecz stanowczo odwiadczyła, że te mieszkania, w których jesteście, zostaną zajęte przez wojsko, a wojsko ze zrozumiałych względów, musi znajdować się razem, my natomiast zajmujemy kilka rozrzuconych w pewnych od siebie odległościach domów, gdzie będziemy na pewno czuli się najlepiej niż tu. Zresztą wszystko zostało uzgodnione z dowódcą i lekarzem i nie ma od tego odwołania.

- A cóż to znów - próbowali tartować. - Że renni to już dyscyplina was nie obowiązuje? Zaraz wszystkich postawię na baczność, zechaczcie!

Nie było rady. Chcąc nie chcąc, zaczęli wychodzić z nagrzanego własnym ciałem legowiska, tym bardziej, że już wchodzili furmani i oberuga, aby pomóc w umieszczeniu rannych na wozach, z których dopiero co zeszli. Po kilkunastu minutach, choć z nasami na świątko, udawali się do nowych pomieszczeń.

Zaproszane przez ich okazali się istotnie lepsze od poprzednich. Miły duży, widne okna, czyste ściany, niedawno położone podłogi, zaścielone teraz w części słomą. Ci źle ranni otrzymywali lódka z pościelą, wygładzoną i czystą. Dla rannych i rekonwalescentów

siostro "Borna" umiaściła w domach na wzór przy głównych drzwach, ciężkiej rannych, wymagających stałej opieki w domach bliżej lasu, gdzie miała też swoją kwaterę, by być bliżej nich. Rumowcy poprawiły się bardzo szybko, gdy stwierdziliśmy, że mamy tu znaczenie luźniej, wygodniej, że każdy dom ma jakiś jeden wolny pokój, gdzie można sięść, pogawędzić, nie przeszkadzając tym, którzy akurat zasnąli lub ile się czują i wolą ciszę.

Wkrótce pojawiło się i śniadanie, które także wpłynęło dodatnio na nadwrażone nerwy i zke początkowo samopoczucie.

Ala nie na tym skończyły się emocje tego dnia.

Ledwie minęły od przeprowadzki ze dwie godziny, gdy dał się słyszeć silny warkot i w tym samym momencie tuż nad ziemią pojawiły się trzy niemieckie samoloty. Leciwały od zachodu prosto nad dom, w którym mieszkaliśmy. Jeden z kolegów siedzący w tej chwili przy oknie krzyknął przeraźliwie i zaczął jak obłąkany; kuszając na ranną dłoń nóż, biegał po izbie od okna do okna. Wstał poharatane udę, ale już dobrze podgojone. Nie zważając na ból pośpieszył do drzwi, zawrzał, by znowu wyjrzeć przez okno i znowu pędził do drzwi wejściowych. W oczach nakoleło mu się przerażenie graniczące z obłądkiem. Wyrywał się na podwórce. Powstrzymywaliśmy go zanim warkot nie odleciał się dostatecznie. Wtedy dopiero puściliśmy go na dwór. Wyszedłem za nim, lecz nie miałem czasu patrzeć co robi wystraszony kolega "Komer", bo ujrzałem, jak maszyny, przechyliwszy się w prawo, zatoczyły nóż lasem półkole, nadleciały na wieś i nagle wszystkie szyby w naszym domu zadzwoniły od wybuchów. Wydawało się, że wśród potwornych detonacji słychać wyraźnie trzask łamiących się drzew, lub rozpędzających się domów, krzyk ludzi i kwiki koniaki. Po chwili wszystko ucichło, samoloty odleciały, ale za moment pojawiły się od tej samej strony, znowu zawróciły nad lasem i znowu na wieś poleciała seria bomb.

Nie było wątpliwości: Niemcy bombardują nasze niedawne kwatery, z których tak niechętnie odchodziliśmy.

Sporządaliśmy teraz na siebie warokiem pełnym zgrozy. Co by było, gdyby siostro "Borna" naszym prośbom i zaklęciom uległa?

Może już w tej chwili... Sama myśli o tym tanowała oddech w pierśsiach. Opatrzność czuwała nad bezbronną, wymiłowaną grupą. Wyrwały się do lasu. Staliśmy na podwórku nie śniąc, odzwiesz się do siebie.

Nimniej nie możemy krążyć tymczasem Jurek kilka razy, w tym samym czasie, kilka razy dryfując jeszcze ziemią od wybuchów i wszystkie ucichło. Powietrzni piraci dokonali swego ścierciono-



nawa działa i odlecieli na zachód. Byliśmy przekonani, że krwawe musieli zebrać żniwo, bo we wsi znajdowało się sporo nasuszę wojska. Czy wielu unikało śmierci w grzechach i od pękających bomb? Nie miał kto udzielić nam na te pytania odpowiedzi, a nikt nie miał odwagi pójść na zwiady, bo nolat mógł się w każdej chwili powrócić.

Rozajrzeliśmy się po izbie, prakowało "Komara". Obiegliśmy obejście. Nigdzie ani gładu. Zaczęłam nawoływać go po imieniu. Cisza. Wyszedłem poza zabudowanie, aby sprawdzić, czy nie siedzi gdzieś w na polu lub pod drzewami? Niestety, pustka nokoło. I gdy bezrocznie rozglądałem się na wszystkie strony, usłyszałem stuknięcie w okolicy stojącego na uboczu drewnianego, niedawno widocznie wybudowanego ustępu. Podeszedłem szybkim krokiem do ustroknego budyneczku. Ruszyłem ze drzwi. Były zamknięte od wewnątrz.

- "Komar"! - zawołałem - Jesteś tam?
- Tak - dał się słyszeć przytkumiony głos. - Już odleciak?
- Naturalnie, słyszysz, przecież jest cicho! Otwóraj!

Wychodź!

Kiedy wyjrzał przez uchylone drzwi, oczy biegały mu z takim samym przerażeniem jak wtedy, gdy samoloty nadlatywały. Nie patrzył na mnie, lecz rozglądał się po niebie. Wzrokiem rozbieganym, niespokojnym. Z trudem dał się namówić na powrót do mieszkania, a był w spodniach tylko i w koszuli, co przy temperaturze niewiele ponad zero stopni, mogło spowodować przykre następstwa. Wydawało mu się, że ustęp w dali za budynkami jest najlepszym schronieniem.

Gdy koleżdy, ochłonawszy z pierwszego lęku, zaczęli robić dowcipne uwagi na temat tchórzostwa, "Komar" odpowiedział cicho, że spuszczone na dół wzrokiem.

- A byliście kiedy pod bombami? No widziacie! A ja byłem. Popatrzcie na te szramy - wskazał na blizny na udzie, powyżej gojących się jeszcze pod bandażem głębszych widocznych ran. - Nie o to chodzi, że boleło, tylko ten świst lecących bomb, to kołysanie się ziemi! Myślałem, że jestem pogrzebany żywcem. Nie mogłem wcale oddychać. Sam nie wiem, czy wydożyłem się stamtąd o własnych siłach, czy mnie wyciągnęto? Od tej pory nie mogę już zapanować nad sobą, gdy samolot leci daleko... Nie wiem, czy mi to przejdzie.

Mówiąc to, był blady jak ściana, przy której siedział. Wąłki dawczy i żarty. Poczuliśmy, że to nie on, lecz my zachowaliśmy się bardzo nieostojownie. Nigdy już potem "Komar", młody, cichy chłopiec, nie słyszał od żadnego z nas najbliższej choćby aluzji do swego lęku przed samolotami.

Zanim zapadł wieczór, dowiedzieliśmy się, że w efekcie powietrznego ataku, zburzone zostały chaty; w których bezpośrednio po przyjeździe zamieszkaliśmy, że bomby roztrzaskały i zapaliły parę stodoł, obór, szop, że padło kilka koni zamkniętych w stajniach. Większych strat w ludziach nie było. Prawie wszyscy udążyli się schronić, instynktownie chyba, w miejscach niedalekich, lecz poza zasięgiem niemieckiego lotniczego rażenia.

Długo potem zachodziliśmy w głowę, czy nasze cudowne ocalenie zawdzięczać mamy intuicji siostry "Bogny", lub któregoś z lekarzy dywizyjnych, czy może oficerów kwatermistrzostwa, zajmujących się tymi sprawami? Czy może był to zwykły przypadek?

Gdy tak zastanawialiśmy się nad tym, któryś z kolegów znalazł wreszcie wyjaśnienie:

- Nie wiecie jak to się stało? Zwyczajnie! Nasz wywiad powiadomił dowództwo i ziemiarach Niemców i cały bał!

Roześmieliśmy się na ten dobry dowcip, lecz silne wrażenie niezwykłego dnia, pozostało w nas do dziś.

Czas mijał. Walki dywizji przybierały na sile. Codziennie nadszedziały nowe wieści, niestety, coraz mniej pocieszające. Wrogę mając zdecydowaną przewagę liczebną i techniczną, spychał nasze oddziały w kierunku mosurskich i ziemlickich lasów, wydzierzał zajmowane przez nas miejscowości, szerzył śmierć i rany. Lecz opór trwał. Nazwy: Czmykos, Pustynka, Stawki, Staweczki, Władynopol, jako miejsca zaciętych bitew, powtarzały się stale w informacjach, przybywających z pola walki szefów kolegów. Szeregi kęśnabawo oraz działa, graniały coraz donośniej, co było odzwierciedleniem, że nasi stale cofają się. Tylko jak długo takie cofanie może trwać?

Lasz mosurskie nie wydawały się aż tak rozległe, by można było w nich ukryć i utrzymać kilka tysięcy wojska wraz z taborami, zapasami żywności. A może nastąpi uderzenie wojsk rosyjskich, ludziliśmy się czasami, może Niemcy wzięci w dwa ognie, wycofują się za łańcuch umocnień kowelskich. Przecież tak im, jak nam, chodzi o zniszczenie tego samego wroga. Lecz ta ostatnia ewentualność nie wiele miała zwolenników. Jak więc potoczą się dalsze losy dywizji? Czy zdąży ona powstrzymać własnymi siłami napór nieprzyjaciela? Pytania te nie dawały nam spokoju. Przybywający nowi ranni opowiedzieli o niezwykłych, dramatycznych wprost bojach, o brawurze naszych chłopaków, lecz i o sile wroga. Mimo wszystko byliśmy skłonni wierzyć, że dowództwo nasze znajdzie sposób, aby wyjść z opresji cało.

Te minuty optymizmu w naszych rozmowach miało swoje źródło



w sytuacji panującej w samym szpitalu. Panował w nim stale niczym nie zakłócony ład i porządek. Wszystko było tak, jak od początku naszego w nim pobytu. Posiłki we właściwym czasie, opatrunki, zabiegi lekarskie odbywały się tak systematycznie, jak w najnormalniejszym szpitalu. Podziwiam dziś bardziej, niż wtedy ludzi, którzy nad nami wtenczas czuwali. Przecież o parę kilometrów dalej znajdował się żelazny pierścień niemieckiego okrążenia, pociski zdawały się pokać prawie w Mosurze. A siostry wykonywały swe czynności wcale nie gorzej, niż dwa miesiące temu w Kupiczwie. Nie popadały przy tym w rutynę, jak to się zdarza pielęgniarkom zawodowym, które dokonują posług przy chorych często prawie mechanicznie, zajęte prywatnymi myślami. Tam nasze pielęgniarki do końca, każdą czynność wykonywały z jednakowym ciepłem, okazywały równym zawsze wiele serca, troski, chęć ulżenia w cierpieniu i najbliższego powrotu do zdrowia.

Naszą wiarę podtrzymywały przechodzące stale przez Mosur w tę lub w tamtą stronę oddziały naszego wojska. Zawsze w szyku, z dowódcami na czele, spokojnie, bez oznak paniki, choć z troskane miny wskazywały, że nie dzieje się dobrze. Nawet tabory konne jechały porządnie, długimi rzędami, jak w Ossie czy Suszyczynie. A spokój i opanowanie oficerów dodawały ducha szarej żołnierskiej braci. To dwóch dopiero tygodniach okazało się, że nie wszyscy dowódcy umieli nad sobą zapanować. Lecz to był tylko wyjątek w regule. Każde większe środowisko może znaleźć w swoich szeregach jednego, dwóch, którzy w momencie trudnego egzaminu nie potrafią mu sprostać.

A w ogóle, gdy już o szpitalu mowa, to wydaje mi się dziś z perspektywy czasu prawie czterdziestu lat, że był to doskonały przykład wspólnej, zbiorowej pracy, ożywionej jednym dążeniem, jedną ideą. Miałem sporo czasu, by przyjrzeć się jego funkcjonowaniu. Nikomu tam nie wyznaczano pracy "stąd, do tam", nie było "mojego i twojego" rewiru. Każdy wykonywał tam wszystko, co widział do wykonania potrzebne. Bez rozkazu, ścisłej kontroli, z głębokiego tylko zrozumienia i potrzeby serca. Takiej wspólnoty nigdy i nikt nie spotkałem. Nawet wtedy, gdy po odejściu dywizji, leżaliśmy na wozach w lesie pod Ziemlicą, nic się w trybie i sposobie pracy personelu nie zmieniło. Tylko dodać muszę, że te cechy charakterystyczne w pracy naszego szpitala dostrzeżem dopiero po wojnie, w nowej rzeczywistości, w pokojowym życiu. Tam wydawały się one zwyczajne i normalne, bo były tylko dalszym ciągiem dawnego, zwyczajnego, normalnego spełniania swych obowiązków przez każdego pracownika.

Ala powróćmy do mosurskich zdarzeń.

Któregoś dnia, wśród nowych rannych zobaczyłem młodego podporucznika o pseudonimie udaje się "Junosza". Niewysoki, szczupły, z nieporadym wąsikiem, w wojskowym zielonym mundurze i takim samym płaszczu. Gdy wnoszono go do sali, był spokojny i nie wydawał żadnego jęku. Kiedy jednak ułożono go na łóżku i uniesiono koń, okazało się, że prawą nogę do stopy, aż po gródek uda na kompletnie porwaną niemal w kawały. Była jedną wielką raną, wypełnioną zakrzepłą krwią. Jedni twierdzili, że dostał pociskiem artyleryjskim, inni, że nastąpił na minę i cudem tylko uszedł śmierci. Ci, którzy w tragicznym momencie znajdowali się obok niego, dwóch czy trzech żołnierzy, jego podkomendnych, zginęli podobno na miejscu. Potem, już chyba na Lubelszczyźnie, dowiedziałem się, jakoby porucznik "Junosza" również zginął na miejscu i rzeczywiście na minie. Lecz nie trafiłem na nikogo, ktp widział zabitego, stąd też mniemam, że był to ten właśnie oficer, którego zdołano jeszcze dowieźć do szpitala i tam dopiero nastąpił zgon.

Stan rannego był po prostu dramatyczny. Ogromny upływ krwi, o czym świadczyła choćby śmiertelnie blada twarz, w dodatku niebezpieczeństwo zakażenia powiększało grozę sytuacji. Porucznik musiał otrzymać ranę w okolicznościach wyjątkowych, ponieważ na porażoną nogę nie nałożono nawet porządnego opatrunku. Strzępy spodni tkwiły przyklejone do zakrzepłej krwi.

Na domiar złego okazało się, że na miejscu nie było w tej chwili żadnego z lekarzy. Wszyscy znajdowali się przy swoich batalionach, gdzie ich obecność była widocznie bardziej potrzebna. Nad rannymi czuwały niezmordowanie siostry "Irysa" i "Bożna" oraz kilka młodszych sanitariuszek. Co robi? Narada obu siostr trwało krótko. Młody porucznik tracił siły, wokół rany na udzie tworzył się niebezpieczny obrzęk o niebieskawym kolorze. Ratunek wątpliwy, ale jedyny: amputacja i to natychmiast! Stałem w sali i przyglądałem się niesamowitemu zdarzeniu. Wolno mi było poruszać się swobodnie po szpitalu, bo często wywiszczałem różne drobne posługi. Stałem więc i teraz obserwowałem, jak po nardzie jedna z siostr wprawna ręką oczyszcza ranę, obmywa skórę powyżej zmasakrowanych mięśni i kości, jak wreszcie oszpeca leżącemu bez ruchu porucznikowi o konieczności amputacji, lecz uszaleńczo jej wykonanie od jego żrody. Ranny skinął lekko głową na znak przyzwolenia, a następnie poruszył naskórką oczyma, jakby szukał lekarza, który ten trudny zabieg ma wykonać. Nie znajdując nikogo przez chwilę zdawał się być zdziwiony i zaniepokojony, lecz trwało to krótko i przyszedł znówu oczy, popadając w stan podobny do półsnu czy omdlenia. Siostry po



cichu o czymś żywo ze sobą mówiły. Byłem ciekawy co stanie się dalej. Po chwili siostra "Irys" unywszy rękę zęczką pod płomieniem przesuwając ostrze dużego noża. Nie wiem, czy było to narzędzie chirurgiczne, czy zwykły nóż gospodarski. Którą z sanitariuszek robiła to samo z niewielką piłą, przypominającą zwykły przyrząd ogrodniczy. Siostra "Bogna" tymczasem przysunęła do łóżka niski stół o dużym buncie i przy pomocy dwóch żołnierzy ułożyła na nim rannego. Skóra powyżej rany robiła się coraz ciemniejsza, a może tylko tak mi się wydawało, ale przypominała nabrzdąbiałą krwią przezroczystą żyłę. Nie było wątpliwości - rozpoczął się na dobre proces zakażenia. Życie pacjenta wisiało na włosku.

Nie będę próbował opisywać przebiegu operacji. Niełatwo o tym nawet myśleć, a cóż dopiero mówić. Do dziś mam przed oczyma nieszczęsnego oficera i widzę, jak trzyma się, mimo osłabienia, kurczowo rękami za pręty żelaznego łóżka, stojącego za jego głową, jak wypręża ciało i zdławionym głosem błaga o dobitcie. Brzmi mi w uszach jego chrapliwy jak, przeciągły i syczący zmieszany ze zgrzytem pociąganej po kości piłki. Kiedy zabieg miał się już ku końcowi, porucznik opadł bezładnie na stół, aby po zabandażowaniu pozostałej części nogi, leżąc już z powrotem na łóżku, otworzyć nieprzytomne z bólu oczy i szepnąć cicho:

- Już...?

- Już - odpowiedziała któraś z sióstr, teraz proszę tylko spokojnie leżeć. - Głos miała łagodny, macierzyński, a patrzyła ze szczerym wzruszeniem. Wszyscy stali nieruchomo wpatrzni w twarz człowieka cierpiącego nadludzkie męki.

- Wszystko będzie dobrze, panie poruczniku - dodała druga z sióstr. - Tylko niech pan nic nie mówi, bo to męczy.

Na dany znak wszyscy opuścili salę. Na dworze dopiero uszczęto cicho z powagą wymieniać zdania na temat tragedii tego człowieka, jak podczas jakiegoś religijnego obrzędu. Co chwila ktoś odwracał się, jakby w oczekiwaniu, czy nanny nie zewoła o jakąś przysługę, choć wszyscy wiedzieli, że została przy nim i przy dwóch innych również z ciężkimi ranami żołnierzach, sanitariuszka, aby czuwać i nieść w każdej chwili pomoc i ulgę w cierpieniach. W końcu i siostry i żołnierze pomagający przy zabiegu odeszli wolnym krokiem do swych kwater.

Nazajutrz odbył się pogrzeb porucznika "Junoszy".

Widok wzrastającej liczby rannych budził zarówno niepokój jak i chęć poznania prawdziwej sytuacji na froncie. Interesował się mnie najbardziej batalion "Jastrzębia", jako mój macierzysty, gdzie przecież byli moi koledzy z drużyny, plutonu, kompanii.

O ich losy, ich sukcesy i porażki, donosywałem się z największą ciekawością i troską każdego przybywającego z pola walki. Słuchałem relacji o brawurowym wypadzie na Naszów, o ciężkich i krwawych bitwach pod Czmykosem, Władynopolem, Redziechowem, Stawczkami, gdzie trzeba było przeciwstawić się broni państwowej, ciężkiej artylerii, wreszcie lotnictwu, nie mówiąc już o zmesowanym ogniu karabinów maszynowych i przewadze liczebnej wroga. Trudno mi było uwierzyć, że nasze oddziały, złożone w większości z młodych chłopców, którzy dopiero od paru miesięcy prowadzili działalność partyzancką, potrafią bić się i to skutecznie z regularną armią w otwartym polu. Podziwiałem dowódców i ich umiejętności strategiczne, których przykłady dawali codziennie oraz ich zaufanie do swych młodych podkomendnych, że mieli odwagę rzucić się z nimi w największy opień.

Niesamowicie trudny eszoman, ale jak wskazywały docierające do nas informacje, zdawały nadzwyczaj pomyslnie.

Ubolewaliśmy z kolegami szpitalnymi nad krwawymi ofiarami tych nierównych zmagień. Trudno mi było uwierzyć, że nie ujrzę już wspomnianego, przezbawnego jednocześnie Stasia "Sunny" i nie usłyszę jego śpiewnej, o bardzo kresowym akcencie mowy, że wszędzie jeszcze odszedł świetny żołnierz i kolega Kazik "Jawor", nie zobaczę "Lasa", "Węża", "Wilezka", "Liska", "Machy" i tylu innych, których na wieki przyjęła święta wołyńska ziemia.

Prawdę mówiąc, gdy usłyszałem pierwszy raz o walkach dywizji z Niemcami, już nie metodą partyzancką, lecz jak równy z równym, przygotowany byłem na o wiele większe straty niż te, które ponieśliśmy. Każde życie jest cenniejsze, lecz strata tylko kilku lub kilkunastu ludzi z każdego batalionu w tak ciężkich walkach, uznac można za sukces. Bo straty przeciwnika, jak mówiły przynoszone wieści, były znacznie większe. Dlatego też, jak już wspomniełem, choć wiedzieliśmy o wypieraniu naszych oddziałów z zajmowanych przez nich pozycji, nie traciliśmy ducha i ze spokojem czekaliśmy dalszego rozwoju wydarzeń. Rzecz o tyle niezwykła, że bardziej brałem sobie do serca echa walki, jakie oglądałem w Stawkach w dniu Wielkiejocy, niż teraz w Mosurze, gdy pociski dolatywały już do nas.

Młodzieńczy optymizm ów otrzeskanie z niebezpieczeństwem, czy wiara w słuszność sprawy i zaufanie do dowódców?

Pewnie wszystkiego po trochu.



LEON KARŁOWICZ " RYDZ "

W S P O M N I E N I A

1939 - 1944

Zeszyt III

Pracą wyróżniona  
I-szą nagrodą  
w konkursie Środowiska  
27 Wołyńskiej Dywizji

WAPLIK W UKRAIŃSKIEJ CHACIE

Znowu dwa dni w Mosurze upłynęło wzgl. dniami spokoju. Od czasu walki z Niemcami dochodziły ze wszystkich stron, następczo się budziła armia, a las odpowiadał nieustannym echem. Czekaliśmy w napięciu jaki będzie finał zmagań naszych wojsk z tatarską nawałą. Całym sercem byliśmy z nimi, naszymi kolegami, podziwialiśmy nieomal siłę ich ciężkie znaje i igranie ze śmiercią w nieustannych bojach. Coraz to częściej wpadał ktoś z podziałów, przywołał swoje wprawdzie, ale autentyczne wiadomości, każdemu żołnierzowi było bowiem jasno, nikt nie miał czasu na skiedzenie relacji o szacardach walki, ale nikomu nie mieliśmy tego za złe, że nie chce z nami trwonić czasu i wraca czym prędzej do szeregów. Budziło to raczej poważne uszanowanie i szacunek dla walecznych synów Ukrainy.

Była chyba sobota 15 kwietnia, gdy do Mosury przyjechał ten konia "Baczak", młodzieńki chłopiec, dziecko prawi, który był u "Jestraszka" i przy sztabie, specałizację funkcyj gońca. Jechał więc po całym terenie naszych działek i miał z tego wzgl. dużo zawsze sporo interesujących wiadomości. Nic dziwnego, że dopadłem go natychmiast i zmusiłem niemal do opowiedzenia. Nie bronił się wcale, bo nie miał już nigdzie w tym dniu jechać, opowiadał więc o sytuacji na naszym froncie.

Mówił trochę chaotycznie i nie zawsze o rzeczach najistotniejszych ale w tym czasie wszystko było ważne i ciekawe. Dowiedziałem się wtedy, że batalion nasz trzyma się naprawdę znakomicie, że jego straty nie są wcale tak duże, jak mówili kilka dni temu żołnierze "Siwego", że stale prawi jest na pierwszej linii, podobnie jak bataliony "Bokora", "Korda" czy "Czarna". Twierdził, że nasi chłopcy, mimo ogromnego zmęczenia, są dobrej myśli i nie trwonią czasu, a Niemcy mogą być nad nimi tylko dzięki swojej broni pancernej, bo gdyby nie to, nie bardzo daliby nam radę. I tak pomyślałem, jak to już mówili inni, większe straty od naszych. Dozwoliłem sobie, czy wobec tego mamy szansę wytrzymać napór wroga, "Baczak" zaprzeczył się i rzekł jakby z niewolą:

- A co to, ja jestem dowódcą, abym takie rzeczy wiedział? Zapytaj pułkownika "Cłiw", to może ci powie!

Widziałem nie red musiałem przyznać słuszność. To no ten sam pułkownik i w poprzedniej walce miał do powiadzenia zwykły żołnierz, w dodatku jeden z najbliższych dywizji? Wiedział, że nie dobrze wykonuje





współ, uważając religijne uczucia chowali głęboko w sercu. Jak się  
to mówi: do tańca i do rękawic.

Takie było, mówią, i bez przesady, całe apokreczństwo Wołyńskie  
i taka była społeczność naszej dywizji. W takim klimacie byliśmy  
wychowani przez szkołę, dom, rodzinę, środowisko. Takie były  
po prostu wołyńskie obyczaje.

Jeżeli zatem idzie o naszych żołnierzy, zwłaszcza wywodzących  
się z naszej parafii w Zasmykach, to niewątpliwie takimi czynili  
ich nasz kościół i jego proboszczowie: ks. Kazimierz Mackiewicz,  
a zwłaszcza ksiądz Michał Żukowski. Ten światobliwy człowiek był  
zawsze wzorem kapłana i Polaka. Jego słowa wygłaszane z ambony lub  
przy najwrażliwszych okazjach trafiały zarówno do serca, jak i do  
umysłów. Umiał wzruszać i przekonywać, był wzorem uczciwości,  
prostoty, namyślnej odwagi. Jego wiara była tak naturalna, oczywista  
tak daleka od moralizatorstwa i taniego pouczania, tak promienio-  
wała na otoczenie, że po każdym z nim kontakcie żołnierze czuli się  
silniejsi, spokojniejsi, pogodzeni ze sobą i ze światem.  
Potrafił ksiądz Żukowski w swoich przemówieniach kapłańskich do  
słuchającego oddziaływać, jeszcze w początkowej fazie samoobrony,  
przekonać nas o słuszności sprawy, o którą walczyliśmy, o potrzebie  
kandydowania ofiary i walki o wolną, niepodległą Polskę. I choć od  
długo do tej walki rwał się każdy z nas, to teraz zanieśliśmy  
jakby nowe uzasadnienie tej konieczności, bardziej jeszcze jasne i  
oczywiste. Jakże inaczej czuje się żołnierz, gdy wie, że jego  
ofiara jest potrzebna, że na niego liczy rodzina, społeczeństwo, kraj,  
że w jego ręce składają swój los najbliżsi. A prawdy te dalekie były  
od frazesów, bo potwierdzały je życie, czy w oczach najbliższych,  
okropnieństwo matczyne i męski uścisk ojca. I wtedy dopiero rodzi  
się w młodym człowieku pragnienie dobrego wywiązania się z przyjęty  
-m na siebie obowiązków. Ksiądz Żukowski tę pewność młodych ludzi  
umiał jeszcze podbudować i umocnić.

Pamiętam jak we wrześniu 1943 r. przyjechał ksiądz M. Żukowski  
-ki do nas do Gruszówki i po odprawieniu w warunkach polowych w  
młodym lesie nabożeństwo i wygłoszenia krótkiej, gorącej nauki,  
rozdzielił wszystkim chłopcom różaniec. Mnie ktoś dał tylko jeden  
-zi i zabrał do nabożeństwa. Nie wiem, skąd tyle tego ksiądz  
zabrał, ale ktoś tam wikał wtedy w takie drobiazgi? Odnosił się do  
-tego paru naprawę, naprawę. A w czasie wręczania tych różańców  
zawsze mówił do każdego jakiejś cichej, ojcowskiej słowem, zachęcał do  
-ności w sposób dobrotliwy, serdeczny, do odmówienia różańca w



okolicach najtrudniejszych i w nim szukanie siły i pokrzepienie. Obiecaliśmy spełnić te rady. Patrząc później w okropieniu lub na karku Polaków na kolejarzy, którzy w najbardziej dramatycznych momentach brali różniczkę do ręki, przesuwali w palcach jego paciorki, jak wiechowani lub rana klękali pod drzewami, na uboczu i odmawiali modlitwy i samotnie w głębokich kniejach prowadzili duchową rozmowę ze Stwórcą. A potem uspokojeni, cierpliwie znosili najcięższe trudy, głód, niebezpieczeństwa i z godnością, spełniali swoje żołnierskie powinności.

Opowiadał niedawno, bo w styczniu 1953r. ksiądz Bukowski mnie i kpt. "Saxorowi" jak w grudniu 1943 r. przyjechali do Lesznych Niemcy, przedstawiali go i zawiadali do Lubitowa. Tam pragnęli dowiedzieć się kto w Lesznych jest sołtysiem, kto sprawuje władzę administracyjną wśród ludności, kto naprawdę organizuje samoobronę. Na wszystkie pytania słyszeli tę samą odpowiedź:

- Nie wiem, nie orientuję się.

Zdenerwowani milczeniem ksiądz zechciał mu prosić:

- Ksiądz wie chyba - krzychał prowadzące śledztwo - że mamy dobrą, sprawdzoną broń, by zmusić ksiądz do mówienia!

- Ja mam lepszą broń i skuteczniejszą niż wy - odpowiedział nie to nasz proboszcz.

- Gdzie? jaką? - spytał niespokojnie Niemiec.

- O, tu w ręku - i ksiądz podniósł dłoń ze skrzyżowanymi palcami.

- Co ksiądz tam ma? głos Niemca był coraz bardziej niespokojny.

Widocznie podejrzewał, że zaciśnięte ręce kryją granat lub inny śmiertelny środek.

- Oto moja broń - rzekł ksiądz i otworzyłszy palce okazał kalendarzem trzymany w ręku różniczkę.

Zamilkli w pierwszej chwili ze zdziwienia, spojrzeli na siebie, potem zaczęli śmiać się, nawet dowcipkowała wrócić się wzdłuż się dowiedzieć potrzebnych szczegółów, kazali przedstawionemu wrócić do domu. Śledztwo zostało skończone. A po odjeździe oddziałów dywizji z rejonu Lesznych rozkazem, że przez księdza Bukowskiego dzieło pońcie kontynuowali kwaterne dywizji z Kowle - ksiądz "Prawdziwie" - Antoni Piotrowski i ksiądz "Dobry" - Antoni Dąbrowski. W oddziałach "Osnowy" funkcję kwaterne, jak się później dowiedziałem, spełniał ksiądz "Gracjan" - Gracjan [imię] [nazwisko], a także ksiądz Stanisław Joneczek, zamordowany w [miejscu] [nazwisko].

I teraz, gdy w ubogiej ukraińskiej chacie w Kopyurze detonywały w ty granatami, nasz Oficer, niektórzy mieli try w oczach i dyskretnie się odierali, sądząc pewnie, że nie przystoi żołnierzowi okazywać takiej

siłności. Wydało mi się jednak dziełem, że było to wynikiem swej  
wewnętrznej wyższej pobożności, ogarniętej niewyciśniętą mianowicie  
zawieszającą się nabożeństwo: wzmocnioną konwersją i skrajnie  
silnym wai z doleatujących zasa lasu, huk rozrywających się  
pociągów elektrowyjaskich, co dzień to bliżej. I pewnie sprawiły  
to szalone modły do Boga o szczęśliwy powrót do rodzinnych domów  
w wolnej Polsce, lub podziękii za dotychczasową opiekę, bo wielu  
przewieź mimo ran, wyrwało się z piekielnego ognia, niegrajście-  
katego z życiem, czko unosząc głowę i nadzieję na lepsze czasy,  
spokoje bez wojny i przelewu krwi.

Każdy "Rafał" odprawiwszy nabożeństwo i po wygłoszeniu  
krótkiego kazania szybko opuścił spokojny stocunkowo jeszcze Mosur.  
Trawdopodobnie miał inne jeszcze obowiązki i do ich spełnienia  
spieszny.

Wziliśmy z "kwalicy" trochę z żelaz, że nie mogliśmy  
zostać z księdzem choćby paru słów. I tak było nam lżej na  
sercu.

A ziemia długo nadal oś huku dzieł.

#### SZPIITAL W POTHEASKU

W nocy szła drobny deszcz. Spanie na posadzku ze świeżo narwanych  
kory wzdłuż i sosnowych gałęzek nie należało do wygodnych. Także ko-  
-ca i szelony wąpircyki piaszcz, jako nakrycie pod gołym niebem nie  
chroniły dostatecznie przed zimnem. W dodatku co kilka minut wieny  
strzelali z dział gdzieś od Zielenicy. Po proś doleatywał od strony  
zachodniej, a pociski przelatwały ze świstem nad nami i rozrywały  
się z hukiem po stronie przeciwnej. Tak było już przez kołajaję trzy  
nocy. Potawość trzeba było o świcie, nie z rozkazu, lecz żeby nie  
zamarznąć od ранnego chłodu.

Opuściliśmy cichy i spokojny Mosur trzy dni temu. Wcześniej  
odjechaliśmy wazy z ciężko ranymi, my, wracający do szpitala, po  
pauzie, po dniu sobotniego niebezpieczeństwa w wiejskiej chacie. Przez  
wieg w kierunku północnym od południa ciągnęło wojsko, kuchnie,  
tabor. Wśród nich także wazy z ranymi.

Wobec tym razem nie było, nie jachoda. Walecna szpitala, tym  
naprawdę, że zaraz po wejściu w las, przy skrajni szarym, zostaje  
dla naszajunku, naszajunku i naszajunku z "Prawdy", o przed-  
wazyteln "Wazery" - Hazyłego Hazyłego Hazyłego, szpitala, którego  
z ostrą uszajuncyn najwyższej chyba ceniłem. Szpitala więc razem,









nieudolności, nie widząc bynajmniej, aby ktoś został ranny. Tylko w niedźwiżkach słychać było szelest pocisków. I tak niekiedy się zdarzało, że przez rannych uciekali także furmani, którzy uciekali się z przeciwnej strony nacierających oraz część obsługi szpitala. Wszakże nam wydawało się, że za chwilę zaczną się krwawe masakry rannych.

Plutonowy "Miciel" z trudem kuśtykał na swojej nabliżającej się nodze, przestrzelonej jak wiadomo, pod Osmigowicami. Rzucił nawet buty, aby ułatwić sobie chodzenie. Wszakże, je do ręki pytając, czy może je włożyć "Marysia", która miała sara naci owrzodzone.

- Trochę bardzo, niech bierze - odpowiedział - I tak i tak ich nie będą, tylko tu zostaną.

Wszakże te buty stały się przyczyną sporo nieporozumienia między nami a byłym właścicielem, ale to już szerzej może istotny.

Po przejściu około kilometra, może nieco więcej, nie słysząc głosu pogoni, ranni i idący dotąd, każdy na własną rękę, zaczęli nawoływać się i zbierać do kupy.

Czy teraz iść? Co robić dalej - padły znoważ pytania, na które nikt nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Wynosił nie było. Leków też. Był jeden z lekarzy dr "Osiemnotka"??, ale cóż może zrobić lekarz, jeśli nie ma nawet tabletki aspiryny. Wszakże zabrali ze sobą w plecach trochę słoniny. Później ich przytomność, gdy w panice opuszczali wozy, a pamiętali o ekwipunku. Cóż kiedy brakło chleba, soli... Nie znaleźliśmy poza tym lasu, nikt nie potrafił określić naszego położenia. Nie wiedzieliśmy, gdzie są nasze oddziały, dywizja. Nikt nie powiedział nam w szpitalu o tym, że jesteśmy już w całkowitym okrążeniu i że nasze wojsko przetrwało już na Polesie. Sytuacja pokolepszonych uciekinierów była nie do pozazdroszczenia. Słyszeliśmy powoli rozmawiając o zaistniałej sytuacji, aż dotarliśmy do naszego pogórka, obok którego płynął nalecki strumyk, a naokoło rozciągnęły się podmokłe łąki i bagna i na tej właśnie terenowiliśmy się zatrzymać. Miejsce było zaciszne i jak nam się wydawało - stosunkowo bezpieczne. Nie miał kto nad nami objąć. Komandy i próbowaliśmy dokądś doprowadzić, nie pozostało więc nic innego jak tylko czekać, co los przyniesie.

Przeważnie przysiadli, pili zaraz do brzośki szerszeń z sarami, nektry- waliśmy i wyciągaliśmy, wyciągaliśmy, liłami, aby jako tako znieść ból i przed- wiałyśmy się. Wszakże ranni posiadali, lub próbowali się na ziemi, by odpocząć przez po męczącej drodze, uspokoić nerwy i ukoić nieco ból.





...nie. Właśnie wtedy zjadł kółko, i cięciwki wydeptane, stawały się  
 ...niezgodnie z tym co kilkadziesiąt kroków i błądząc się, za siebie,  
 ...ty znowu, ten drogę i nie zabiegając, gdy będą wracać. Cieszę się, że  
 ...właśnie przerywały tylko rozlegające się w różnych kierunkach strasy  
 ...karabinów, nie dochodziły z takiej odległości, że można było nie przewidy-  
 ...wywać do nich żadnej wagi. Niejako wyglądało na najgłówniej bezładne.

Byłem już prawie u szczytu owego porętki, gdy nagle tuż obok  
 ...zde spod młodych sosenek rozległo się gronkie: Stój! Ręce do góry!

Zatrzymałem się, jak wryty, drgnąwszy nerwowo, bo płos rozległ się  
 ...tak niespoświernie i z bliska, że mógł rozprawić o palpacyjną serce.  
 ...Nie było mowy o sięgnięciu do kieszonki po pistolet, zwłaszcza, że nie  
 ...wiedziałem przed sobą nikogo. Głos dochodził z lewej strony linii,  
 ...próbowalem więc obrócić się, w tym kierunku. Ale w tym momencie rozległo  
 ...się jeszcze głośniejsze: Ręce do góry! bo strzelał!

Wzdryknąłem prawe ramię, gdyż lewe spoczywało na tamtejkę, pod  
 ...przezczasem. Wronkiem szukalem ukrytych ludzi, ale nikogo dostrzec nie  
 ...było można. Niezwykłe wrażenie strachu spowodowane zaskoczeniem, ustępowało  
 ...z wolna, uświadomiłem sobie, w tej chwili, że gdyby to był Niemiec, nie  
 ...zachowywałby się w ten sposób, lecz wygarnąłby serię, bez żadnego ostrzeżenia.

- Kto jesteś? - zapytał groźnie ten sam głos.

- Swoją słobą, że szpitale - odpowiedziałem, nie wiedząc, jak  
 ...dokładnie okazać swoją tożsamość.

Opuszczyłem trzymaną dotąd w górze prawą rękę. W tym momencie  
 ...za siebie, i widać było gęstych sosenek i wtedy dopiero ujrzalem wystrawioną  
 ...w ciemności, karabinu i dwie twarze skrzytnie ukryte za zielonymi  
 ...kwiłkami młodych sosenek. W tej samej chwili odezwał się cichy głos  
 ...kobiety:

- Na widziak? Widziak, co tyg nerobisz?

W słowach kobiety czad było jakby ulgę połączonej z wyświeckiem. ...  
 ...niezgodnie i patrzyłem między palcami. W niewielkim sąż, bieżni w  
 ...ręce rano, czy tu drzewkami leżało dwoje ludzi w rywnych ubraniach,  
 ...drzewkami i gołymi. One trzymaka w ręku rewolwer, jego karabin  
 ...wycapwał na rozwidaniu gałęzi. Przez dłaższą chwilę zapanowało milczenie.  
 ...Głosy wycapwały się we mnie jakimś dziwnym wronkiem, z którego można  
 ...było wydedukować i lek, i zaskoczenie, i rodzaj skruchy.

- ...widziak? - zapytałem, widząc, że nie mogę sobie  
 ...zrobić z tego niczego?

...niezgodnie i patrzyłem między palcami. W niewielkim sąż, bieżni w  
 ...ręce rano, czy tu drzewkami leżało dwoje ludzi w rywnych ubraniach,  
 ...drzewkami i gołymi. One trzymaka w ręku rewolwer, jego karabin  
 ...wycapwał na rozwidaniu gałęzi. Przez dłaższą chwilę zapanowało milczenie.  
 ...Głosy wycapwały się we mnie jakimś dziwnym wronkiem, z którego można  
 ...było wydedukować i lek, i zaskoczenie, i rodzaj skruchy.

...niezgodnie i patrzyłem między palcami. W niewielkim sąż, bieżni w  
 ...ręce rano, czy tu drzewkami leżało dwoje ludzi w rywnych ubraniach,  
 ...drzewkami i gołymi. One trzymaka w ręku rewolwer, jego karabin  
 ...wycapwał na rozwidaniu gałęzi. Przez dłaższą chwilę zapanowało milczenie.  
 ...Głosy wycapwały się we mnie jakimś dziwnym wronkiem, z którego można  
 ...było wydedukować i lek, i zaskoczenie, i rodzaj skruchy.

... podnieśli się i siedli ociężałe na murawie. On przycisnął do siebie karabin i zaczął machinalnie przesuwać szoszeródkę to w przód, to do tyłu, nie patrząc wcale na nią, ona chwilę czekała, jakby się spodziewała, że się uśmiechnie do niej.

... - Gatawieku, - zaczęła i przerwała znowu o-Cielowiku ...  
Czy wiesz, gdyby nie ja, już byłoby po tobie? Ledwie go powstrzymałem przed uderzeniem ci kuli w łeb.

... - Chłolara! Byłem pewny, że to nie nasz - rzekł patrząc w stronę, stąd człowiek, oparłszy głowę o lufę karabinu ustawionego kolbą o ziemię.

... - Powiedzieć wreszcie, co się tu dzieje, bo nie nie wiadomo. I przede wszystkim coście ze sobą? - zapytał z niecierpliwością przysiadającymi się niedomówieniami.

... - Jesteśmy tu, "Olgiarda" - zaczęła dziewczyna. - Spotkałem tu nas ten wczoraj i tuż się ni to żołnierze, ni to dezertery. Zauważyłem cię, jak tylko wyszedłeś z tego starożytnego lasu. Byli tu, powiedzieli, że zbliża się niemiecka ochława, bo słyszeliśmy rano strzelanie w tym samym kierunku, a ty idziesz jeden z nich. Pewnie w szpicie. Chciałbym uniknąć w ten głody las, ale widzę, że nikt więcej się nie pokazuje, postanowiliśmy jeszcze zępać. Ukryliśmy się dokładnie i śladaliśmy się wrokiem. Dziwilo nas, że się tak zatrzymujemy i rozglądamy, ale tłumaczyliśmy to sobie, że gdzieś ókół idą twoi kumaci, skradają się żeby wypaść niespodziewanie. W tych podejrzeniach stwierdziłem, że twój mundur wierski, ale dziwił nas brak pasa i karabinu. W porach w tych stronach są wieszaki, zresztą mieliśmy z nimi do czynienia, wtedy byłem jako tamtej wysokiej sosny - widać ręką wydobła - proste jak świeca drzewo - on chciał już strzelać. Patrzyłem go, bo było jeszcze dość daleko i mógłby spuścić. Potem, gdy stanął kark tego wieszaka brzoza i odwrócił się, widać już prawie pociągnął za spust. Wtedy nie widziałem aż trzydziści kilka kroków i o pudła nie było brzykawy. Ale wtedy właśnie coś mnie tknęło. Chwyliłem go za rękę i szepotałem, żeby podpuścić się aż do nas i wtedy dowiemy się, co ze sobą. Uszedł od nas, tak i tak szans nie masz żadnych. No i resztę już wiesz ...

... Popatrzyło na kolegę trochę z wyrzutem, trochę, jakby chciało podzielić się swoją kobiecą intuicją.

... Widać, że masz, podaj, kowalca we ocalenia ni żyć. ...

... - Nie ukochajcie się, śmierć z od rany, to będzie ...

... Od nich dowiedzieliśmy się, że dywizja przebijają się przez ...



Wiedziałem, że "Jentraci" zazwyczaj mają pochód i że nie wiadomo kto  
 przeszedł, ale nie. Bo Niemcy zablokowali tor wyjazdowy szosą.  
 Wiadomo tylko, że sporo ludzi tam poległo. Oni oboje asili przy końcu  
 kolony i oni Niemcy zaczęli biec od torów z działek i karabinów  
 maszynowych, osłabiali w las i nie wiedzą, jak potoczyły się losy  
 naszego wojska. O ofiarach mówią im ktoś spotkany następnego dnia.

- Co było podobnie istnie piekło - kończyła. - Ale Niemcy  
 podali tak gęsto, że tylko cudem można było ocalać. Tym bardziej, że  
 Niemcy zaatakowali całe pole walki i mieli wszystkich jak na dłoni.  
 Ale inne straszki znam tylko z opowiadania - zastrzeża się jeszcze  
 rep-ko asili tam długo nie byliśmy. Może nie było tak strasznie,  
 widząc pewnie moje rzygnięcie. Bo słuchalem bardziej przerażony  
 niż wtedy, gdy dowiedziałem się, że niewiele brakowało już, aby  
 nie uratuje. A jeśli nawet dywizja przeszła, co było bardziej prawdopodobne,  
 to nasz los jest tu już przesądzony. Zginie, jeśli nie od kuli  
 to z głodu.

- Co zamierzacie teraz robić? - spytałem.

- Jem nie wiem - odpowiedział W-Redak - spróbujemy chyba  
 przedrzeć się przez Turję. Może się jakoś lasami przedostaniemy.  
 To już się wszystko skończyło. - dodał ze smutkiem.

Widziałem, że mają rację. Zrozumiałem się nad "Bunadziej" i  
 opowiadaniem, że oni, młodzi, zdrowi, nie widzą różnicy w tych lasach,  
 to co mówią o rannych, których zostawiam nad strąkami?

- Chcesz, to chodź z nami, może przedrzemy się - zaproponowałem  
 szewczyku.

Podziękowałem za dobre chęci, za informację, że się odważyłem, że  
 wtedy dołączę do grupy, z którą ukryliśmy się, z którą czeka na mnie  
 i na pomoc. Gdy zagnaliśmy się chłopak od "Głaziera" dzwonił  
 rękami w swoich rękach i przeprosił, że to, co mówiliśmy  
 było. Wiedziałem, że nie mam żadnego celu, ani pretencji, że każdy  
 postąpiłby w podobnej sytuacji tak samo. Uderzało mnie tylko jego  
 wręczliwość, wyraźny niepokój wewnątrz, trząsy na samą myśl, że mógł  
 nawet przypadkowo strzelić do swojego. Nie odchodził, walczył tylko  
 jeszcze więcej, że zaszczyści mi, iż byłem w batalionie "Jentraci".

- Turję i wiodącymi, jak "Jentraci", "Sokol", "Kard" nie był  
 walczyć, ale i inne. Coraz więcej, którzy trafili do takiego przed-  
 czoła, który jest dobry tylko wtedy, gdy się wyrywają, ale gdy się widać  
 w pobliżu, to jest przede wszystkim tylko mieliby. Tępo mu nie pomagamy.

Gdy wróciliśmy do naszych zaszczytów, nie było wręcz, jakby ktoś  
 z tymczasem żył. Nie tylko dlatego, że uniknąłem cudem nieomal

wrępedkwej kuli, lecz narabyt boleśnie przeżyłem to wazystko, co  
potrafiła do "olgiardowej". Okręcanie, odmaraz dywizji, walka na torach  
nawet samostność i prawdopodobna zapłodo, wreszcie rana paronauk "olgi-  
rda", którego nie wiem czemu uważałem że wyjątkowo wielkiego-olgiard-  
wazystko to poprostu nie chciało się znieść w kłowie. Ze dużo wrażeń i  
prasa na jadan dzień.

... A może to tylko fantazja, zamieszenie- pogiaczaniem się, aby wykradać  
w łobie jakąś iskrę nadziei.-

Może i dywizja nigdzie się nie przebijala, tylko jest gdzieś w lesach  
może nawet bliżej nas i ledwó świcieć się z nią pożyjemy?

Może i te strasy są tylko wymysłem dwóch wyatroszonych ludzi? Czy  
człowiek niejdzie się w powabnych tarapatkach, wazystko gołów wyolbrzymia  
wielką rzeczywistość w czerniejszych kolorach, niż jest w istocie.

W ten sposób wypadek postanowiłem nikomu nie wspominać o tym co utraciłem  
podczas do wyjaśnienia się sytuacji.

Może może obywatelsko szatanem czyżkolwiek już we Jafie, czyżkolwiek na  
rodzinach na temat działojszych przady i prawda podchwycano ludzi sądzonych  
przez Niemców pozostałych rannych. Do wieczora nie widziałem owzisk, lecz  
kuliśmy słoninę surową bez kawałka chleba. Rosła trochę w ustach, ale  
bardziej martwiło nas, co stanie się gdy i tego zabraknie, ... ?

Z N O W U Z "J A S T R Z Y B I E M"

-----

... Kiedy zdarze się przadyweś tak podobna manowry jak ten,  
który przydarzył się w dwa, może w trzy dni po skończeniach ze szpitala  
zabranego przez Węgrów. Nie bardzo wierzyłem wielonym uszom, gdy usłyszałem  
że pułkownik "Jastrzyb" jest w pobliżu i czeka na swoich żołnierzy.

Nadzieję w tej wieści wynikała również z faktu, że szulicy się, - przadyweś  
rannych- szulicy samotni, bez opieki- bez środków do życia i perspektyw  
ocelenia. Jeszcze w czasie pobytu w szpitalu 19, może 20 kwietnia, w  
czasie dłuższej przechadzki po lesie, a robiliw takie- szulicy przady  
szulicy, usłyszałem w pobliżu tu, ot nóg, przadyweś rozmowy, przadyweś  
wznie wojtkowego oporządzenia. Upewniwszy się, że to nie Niemcy, przadyweś  
szulicy. Wad przadyweś przadyweś. Zabrałem przadyweś  
"Jastrzymb", "Jakoła", "Siwego", kolarów z Wazajk i Jandwici. W przadyweś  
- przadyweś przadyweś do konkretnej przadyweś. Przadyweś przadyweś, przadyweś  
nawet przadyweś przadyweś, przadyweś przadyweś, przadyweś przadyweś. Przadyweś  
przadyweś przadyweś Niemcy! A co będzie z nami, szulicy? Przadyweś przadyweś  
tylu rannych? Kolejny w tej krótkiej, urywanej rozmowie, przadyweś











anie z jednej strony szczerą radością, lecz jednocześnie i z siłą dowo-  
dów, jakby wpływały niekorzystnie na usposobienie człowieka,  
mowa o jego wygląd i sposób bycia. Poznałem tych ludzi w Moskwie,  
w Graszewo, kojarzyli mi się z rodziną, rodzinną wsią, a przede wszystkim  
z okresem chwali naszego oręża, ze zwycięskimi sukcesami i zwycięską  
obroną naszych pozycji. Rosliśmy wtedy w siłę liczącą i duchową,  
wybiegaliśmy myślą w barwną, porywającą przyszłość. Teraz to przychodzi  
nam się jakże smutną rzeczywistością. Gdy rozstawałem się w listopadzie  
z moją kompanią pod Osmigowiczami, byliśmy zwycięzcami. Kroczyliśmy w  
tych dniach od sukcesu do sukcesu, zstępując coraz więcej i więcej  
teraz, coraz więcej wsi i osiedli włączając do naszej Rzeczypospolitej  
Rosyjskiej. I śpiewaliśmy dumnie, że zwyciężymy "nasz kochany Wajdy"  
od wszelkiej chwały! I wierzyliśmy, że tak będzie. Również codzienne  
praktyki odwoływały się do tego dowodu. Usiłem znaleźć twarz jakby spokojną  
ale widać z nich wyraźną pewność siebie, zacięta, była to coraz to  
zjawiska, w oczach widziałem, jakie zmieszanie, niepewność,  
narwana. Kiedy ruszał w oddali wywoływał mimowolne błyski niepokoju w  
oczach, w pewny obrządek się natychmiast w tę stronę. We wnętrzu  
wzruszył się i pozwolił zachować spokój i nie odwrócić się z prawdziwym  
uczuciem, ale w środku każdego zadomowił się robak smutku i niepewności.  
Jako przybył z szeregów oddziału odczułem to wyraźnie.

Zanim powrócił "Jaszczak" zdążyłem się dowiedzieć od kolegów nieco  
więcej szczegółów o pamiętnej nocy przebiegającej się przez tory na  
Polecie. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że była to najkrwawsza walka, z  
porządkiem, jakie stoczył nasz batalion, a przede wszystkim pancerne,  
który zaprowadził wojsku drogę, oświetlał przedpole ogromnymi reflektora-  
mi, jakby ślania gigantycznych potworów i <sup>złoty</sup> ognia karabinów  
maszynowych i dzisiek tak, iż o przejściu nie było mowy. Tręszcza  
sytuacji powi, kazali jechać tabory zabrani przez któryś batalion  
wbrew trudności i teraz te właśnie wozy, konie rozszalałe ze strachu  
robiły taki tumult i chaos, że oprowadzenie sytuacji przez dowódcę  
stało się zupełnie niemożliwe. Szczegółem porucznik "Jaszczak" mówił  
skądś wokół siebie znaczącą część swoich żołnierzy i wyprowadzić  
pragnął tę garść ludzi z pola nieprzyjacielskiego rażenia. I  
oprowadził tak kompletny oddział tu, na Polecie.

Gdy dowódca powrócił, dowiedziawszy się o przybyciu, postrząsnął  
w stronę nie wiem - z zadaniem czy z dągnięciem, miałem leżeć  
na łóżku i na twarzy zapytał:

- Jak obywateli się czuje? W jakiej formie w swoim nowym  
kuchnia?

- W tej chwili raczej nie - odpowiedziałem - ale myślę, że to























wielki, niebezpieczny w zachowaniu, odradzał innym, trącając swiętym. Przy  
 wyjątkach, których leżących stały warty, by ostrzec w porę, gdyż Władca  
 wolał, aby go nigdy nie było na miejscu niedawnej walki, choć wszyscy byli  
 przekonani, że o tej porze raczej trudno byłoby podejrzawać nowych  
 przeciwników o taki akt odwagi. Wiedomo jednakże "Władca" nie był "Władcą"  
 "Władca". Wszakże wzięci na wszelki wypadek zaskoczenia podjęli się  
 przedrzeć przez krzak i zaglądnęli co chwila do męszek.

Faktycznie jak wszyscy i ja spodziewaliśmy się, że wódki będzie w  
 większym, niż poprzednio i polityką z niego. Szczęśliwie było wyjątkowo  
 słone, na co raz to ktoś próbował gotującej się potrawy i raz po raz  
 widać było, że tłumione przekleństwa i utykanie "kuchary":

- Mieszko, nie mięso. Jakby się wolało nie gotować!

Też podejrzewaliśmy, że ktoś wywołał niecierpliwość i zapewne  
 przesadnie bezwzględnej twardości koniaki. Każdy przynajmniej, natychmiast  
 przysiadł do kuwającej się kolekcji.

Cisnąc wzdłuż się zupełnie, gdy nagle uderzył w białe, od  
 postępującego, "woda", gdzie paliło się moje ognisko, powolnie, niekiedy zakłopotani  
 ktoś wyprzedził, szedł w stronę, z trudem wyciągnął hat, w przelocie  
 oka. Wzruszył się na równe nogi i czwycił do ręki parobka. Nikogo  
 nie było widać, tylko kroki było słychać coraz bliżej.

- Kto? Kto idzie? - krzyknął, przyciszony, ciszą, gdy nie  
 słysząc, że kolekcji przy dalszych ogniskach. Nie podejrzewając, że wolało  
 nieprzewidywalnie, ale ostrożnie nakazywała przestrzegaj regulaminu.

Jeżeli dwa, trzy ciepłocię, chwile ciszy i wylaszczony analitycy  
 szedł:

- Kto, ja kwadratowej siłowej, od "Władcy"?

- Właśnie z drzewa i zbliżyłem się na brzoź bagna.

Widzieliśmy, że z kroku szła sylwetka, a po chwili, gdy nie było  
 już śladu, się dotychczas i stanął w świetle płomieni, bez trudu  
 poznałem dawnego kolegę, z którym niedawno odbywałem drogę na szpital-  
 nych szarech, przewożących nas do Kupców do Mosure. Z nim zakłócał  
 się, w sposób postój chybło w okolicy Ossy, gdzie spędziliśmy noc.  
 Kiedy na przykładono z polu wólki. Potem rozmawiałem z nim w różnych  
 miejscach i straciłmy z sobą kontakt. Zapomniałem zupełnie, że  
 nie było w, Chropek miał przewieszoną głowę i czuł się bardzo niedobrze.  
 Wziął się, opróżnia i uciekał, nie chcąc, że żyje, że po Niciu  
 nie było, że wszyscy wtedy przypuszczali. Ale oprócz tego, że  
 nie było, że powinna nas wyznać, przekliwając, nacisk i szepczącego  
 imię, że z tych rzeczy nie mogliśmy się zgodzić w ówczesnej  
 sytuacji.

Uświadomiliśmy się sardocznie podskakiwały na nie zupełnie prozowane



nieco i przyspieszy się nieco, słuchając tętniącej opowieści  
nieznanego przyszyca.

Próbował się, że trochę nie chce zostać w szpitalu, w  
kuchni i wychodził, i gdy jakimś cudem dotarł się do  
kuchni i zabrał się na tory. Podczas trwania przegony  
czekał na autobus i unosił się w powietrze przed siebie,  
tyle że nie mógł się przemieszczać. Tak nad ranem powłoki  
si, co jednak było kompletnie wyczerpany i analizujący pierze  
lepiej niż przed nim i bezsilnie rzucił się na stojące pod  
kuchnią. Wychodził z nim kamieniem. Nie mógł się już  
dłużej spać, cała noc, czy może dwa, bo zbudziły go bliskie strzepy i  
ciężkie trąty i rozmowy. Zerwał się, jak nigdy najwyżej i wybiegł na  
podwórko. Podróżował koło stodoły stercząc słomy, bez namysłu zaczął się  
w jej wnętrzu, jak nigdy najwyżej. A było już najwyższy czas, bo za  
wspaniałych, a nie wykazywał żadnych niemieckich i wrócił całą objętość  
naprawdę się walczył. Istotnie zajęli mieszkanie, a to, że podwórko  
wjechały jakieś ciemne samochody. Łatwo było odróżnić, że się nie  
zostawia praktycznie.

- Biedziak w słońcu, jak trusia, nie śmiejąc się porwać -  
opowiadał - byłem strasznie głodny, rana bolała jak sto diabłów,  
wydawało mi się, że przyjdzie inna pozycja ciała ulżyłoby cierpieniu,  
a tymczasem strach, że ktoś usłyszy szaleć arocy, lub zobaczyć  
jakiegoś porucznika, a wtedy będę zabity, nie pozwolił na najmniejszy  
ruch. Wiedziałem więc, jak przyspieszyć wysz pod ścianę i nawet zaczął się  
wzdychać, modlił się o jak najszybsze wyniesienie się z podwórka  
i podwórka. Nie wiedziałem jaka jest pora dnia czy nocy, bo w mieszkaniu  
panowała całkowita ciemność. Tylko podwórko albo ciemny domyślałem się,  
że słońce, albo księżyc, po pobudce i wtedy musiał być dzień. Dopiero  
po chwili, kiedy się, że spóźniłem w starcie około trzy doby.

Próbował, że trochę odpocząć. Do ogniska podjechał kilku chłopaków  
i zapytał w najwyższym zainteresowaniu. Wierzył, że trudno, że  
kierownik tego zespołu potrafił tyle wycierpieć i nie zdradzić  
swoich przeżyć.

Próbował trochę, że trochę odpocząć, jak wreszcie go uratował  
niektóry z nich, że nie mógł się porwać na podwórko. Wiedziałem, że  
kierownik tego zespołu potrafił tyle wycierpieć i nie zdradzić  
swoich przeżyć.

- Właśnie tak nie mogę z życia albo z woli niemieckich opowiedzieć







pancernego nie odrażać ich do tyłu. I tu w świetle reflektorów pojawił się nasz batalion z przodkami "Jastrzębia" wycofujący się powoli na przód w parzątku. Czuli się uratowani. "Jastrzębia" budził u wszystkich nadzieję. Kiedy więc jakiś czas razem trzymając się, pili "Jastrzębia", gdy jednak orząd wznosił się i chłopcy rozbiegli się po polu, było to być może zbyt wyraźnym celem dla niemieckich strzelców, a głównie dla ochrania i ratunku, mój brat stracił kontakt z oddziałem. Gdy nieco przysiadł, zarwał się i zaczął szukać "Jastrzębia", lecz nie spotkał tylko pojedynczych żołnierzy różnych innych oddziałów, którzy podobnie jak on, szukali jakiegoś dowódcy, którego opiece mogli się oddać. Właśnie w takim momencie, kwikiem koni, czasem j, kmi rannych i ciężko jeżdżących kononów od strony torów, nie innego znaleźć nie było. Właśnie to napełniało głowy, cych się chłopcy, tak, obaw i poczucia bezradności, że po paru minutach daramy poszukiwań, znowu wstąpił na ziemie r, k, byle dalej od tragicznej łaki i pola. Było bliżej lasu, tam już było bezpiecznie, nałazł on i inni spotykali na drodze. Gdy wreszcie znalazł się z kilkoma innymi przypadnymi kolegami wśród rannych drzew, odetchnął z ulgą, jakby teraz już mu nie groziło. Tylko "Jastrzębia" stracili z oczu, czoro najbardziej żalowali. Zaczęli się wolno, by odpuścić nieco po m, cych ostatnich przebiegach i jak najbardziej oddalić się od miejsca tragedii dywizji. Tak minęła noc.

Gdy zaczęło świtać, znalazłszy bezpieczny i dobrze ukryty ośrodek, ułożyli się do snu. Obudzili się przed wiosem. Ciężko nie został nikomu, poza tym był zmęczony, ty i r, k. Najbardziej jednak, że nie miał początkowo nadzieję, że koleżki może wróc, może pozali znowu okolicę lub poszukać drwi. Oczekiwał więc jeszcze jakiś czas, lecz gdy nikt nie wracał, postanowili iść dalej sam. Dokąd? Nie bardzo wiedział sobie z tego sprawy, liczył na spotkanie kogoś ze swoich, pragnął kogoś znaleźć coś do jedzenia, bo głód dokuczał niemiłosiernie. Myślał o skierowaniu się na wschód, by przejść linię frontu i wrócić do domu, do domu. Niecierność partyzancka wydawała mu się już okrutna. I choć miał wrogą na myśl o spotkaniu się z Niemcami. Wiedział, że to może być śmierć. Nawet gdyby był bez broni. Nie ma żadnego dokumentu, nie ma żadnego, nikim nie poradziłby się wytłumaczyć w razie spotkania z Niemcami. A tym czasem bez przerwy wokół rozlegały się odgłosy strzelnic, świadczące o tym, że w każdym miejscu można być natkniętym na wojsko niemieckie i wyrwać się na drugą stronę frontu o wiele trudniej niż się wydaje. Kluczyli więc po lasie i łąkach, zmierzni, ty, a przede wszystkim wrogą przód jest i w którą stronę ma skierować swoje kroki. Spotkali raz jeszcze małą grupkę rozbitków, której być może wzięli ze



zostały powstrzymane, ale iść ze sobą nie pozwolili, uważając, że większe  
niebezpieczeństwem w poruszaniu się po niebezpiecznym terenie.  
Znajdował jakieś zaschnięte jagody, raz trafił na porzucony kociołek  
z kartałami, razie znalazł kilka nadających się do upieczenia, wrzucił  
jednym kamieniem niedaleko Pghulanki obdarzyli go kawałkiem chleba, ale  
też zabrać go do siebie nie chcieli. Byli podobno z Krwawej Łasy. Tak  
dorzekał się do dzisiejszej bitwy. Schował się z boku w chacie, a gdy  
usłyszał hukot odjeżdżających motorów z Niemcami, wybrał się na  
poszukiwanie swoich. Wyglądał podobnie jak przybyły przed nami ranny na  
plucę. I nie obawiał się. Lepiej trafić nie było można.

"Pacierzki" naturalnie przyjął obu jak swoich własnych powiekszył  
rannego powierzył opiece sanitariuszek, które opatrzyły rannego, dały  
mu jakiś lek i dalej trzymają się u nowego pacjenta.

Mimoś odtąd przy sobie kogoś najbliższego, bo brata. Zrobiło mi  
się jeszcze ranniej, głębiej na sercu, choć zaczęła się z tym nie wywołać  
już nie tylko o los i życie własne, lecz i o jego. W dodatku sprzątnięta  
wzięta w szpitalu po opuszczeniu Nosura była ze mną Ale, wtedy jeszcze  
zyspała, a po wojnie żona. Przyszła w najbardziej nieodpowiedniej  
chwili, najniebezpieczniejszej, gdy pierścień niemiecki zamknął się na  
dobrze. Opatrzyłem swoją bolącą jeszcze wtedy rękę, spoczniesz ręką drobno  
prawyślarz, których wtedy wymagałem. Ale i sama wymagała opieki, gdyż do  
warunków jakie tu zastała, nie bardzo była przyzwyczajona. Nawzajem  
sobie odtąd już w trójkę, usiłując nie myśleć o przyszłości.  
Zresztą obecne życie partyzanckie wzmieniło się bez przerwy i to tak  
szybko, że bardzo trudno było snuć refleksje nad planami na najbliższe  
nawet godziny. Żył się prawie chwilą bieżącą. Tylko nocą podczas warty  
odzywają się (zwykle) wspomnienia, dawają snuć o sobie uczucie tęsknoty  
do minionego spokojnego dzieciństwa, do rodzinnego domu, wsi.

Wtedy, tam taką jedną noc na Pghulance, jeszcze przed potyczką z  
Włochami. Stałem oparty o potężną usnę, i patrzyłem w mrok, jaki ogarnął  
las, bardzo niskie leśne poszyci. Wtem w górze doły się, słysząc samoloty.  
Nie zwróciłem początkowo na nie większej uwagi, gdyż o tej porze były  
dla nas nierodne. Zresztą sądząc po odgłosie musiały lecieć dość wysoko.  
Ledwie jednak przebrzmiał głos jednej eskadry, nastąpiła następna, a  
nawet już bez przerwy na całej szerokości nieboskłonów słychać było  
huk i jak śmigłówek. Jednakże jedno nie umilkło po wachowaniu stronie  
Włochów, przelatywały się, następne, zbliżające się do wachowca. Okręgi daleko  
odzywały się, detonacje - nie wiadomo - bomby, czy artyleria przeciwników.  
"Ważnie rannych w okolicach Kowla" pomyślałem i teraz przyszedł mi na  
myśl, że wszystkie te maszyny muszą lecieć już w tej chwili nad











oszczarani, przez które prowadziła wąska, kręta i błotnista droga, stanowił dobre miejsce na odpoczynek dłuższy. Miejsce, to bowiem było bezpieczne i spokojne. Głód tylko doskwierał, gdyż przynieszone z podwiejskich pól na pół nadgniłe kartofle, były jedyną i jedyną prawie potrawą. Raz udało się chłopcom zdobyć gdzieś i przyprowadzić do obozu - nie pamiętam - konia czy krowę i wtedy przez trzy dni zapanował względny dobrobyt. Ale mięso szybko się wyczerpało i znowu było kruczo.

W związku z tym zwierzęciem w Janin Borze, przypomina mi się zdarzenie które wywierało o niejaki wpływ na moje późniejsze życie.

Gdy po przyjściu do tego uroczyska sklecieliśmy się z bratem, jak wszyscy, szałas z gałęzi, dla ochrony przed wiatrem i chłodem. Ukłóyliśmy posłanie z mchu i drobnych gałązek, lecz gdy w nocy zaczął padać niewielki deszcz, okazało się, że przed taką ewentualnością, szałas nie daje żadnej słabszej ochrony. Woda kapała do środka wszelkimi możliwymi otworami. Rano próbowaliśmy poprawić strop, ale nie na wiele i to się zdało. Docełośmy skórkę z owego zabitego zwierzęcia, porzuconą w krzakach, bez namysłu przytaszczyliśmy ją i po wznowieniu konstrukcji szałasu, zrobiliśmy z niej doskonały dach na naszej budowli. Tej samej nocy, gdy znów zaczęło padać, paru kolegów przeniosło się ze spaniem do naszego szczelnego pomieszczenia. Lecz już następnego dnia, gdy przygrzało słońce, skóra zaczęła wydawać niezbyt miły zapach. Koleżki z sąsiednich szałasów sarkali, że nasz dach wanie szczyt powietrze, domagali się, byśmy wyrzucili skórę dalej od obozowiska, a najlepiej zakopali do ziemi. Każda była niewątpliwie słuszna i nie podlegała dyskusji, ale żał nam było wodoszczelnego nakrycia, choć sami odczuwaliśmy najmocniej cuchnącą obecność. Lecz po dalszych dwóch dniach, gdy głód przycisnął, ten i ów podchodził dyskretnie do naszego szałasu i jeszcze dyskretniej zżynał nożem resztki nie pachnącego mięsa, by "okrasić" nim wodę z dwoma zagotowanymi kartoflami. Wkrótce i my uczyniliśmy to samo, bez żadnej już żenady. A do wieczora skóra została tak dokładnie oskrobana, że nawet woi jej przestawał specjalnie dokuczać. I wtedy jedząc to cuchnące mięso oświadczyłem w obecności brata, "Ziuka" i jeszcze paru kolegów, że jeżeli da Bóg szczęśliwie wojnę tę przeyść, nigdy nie powiem o żadnej potrawie, że jaż jej nie będę, bo jest niesmaczną i takiej nie lubię. Nie zapomniałem o tym przyrzeczeniu do dnia dzisiejszego i staram się słowa dotrzymać.

Drugim ważnym zdarzeniem w Janin Borze, które także utkwiło mi w pamięci, było obchodzone w warunkach partyzanckich święto Trzeciego Maja. Zapamiętałam o nim od rana. Zastanawialiśmy się, czy nas dowódca będzie próbował uszcziw je w jakiś widoczny sposób, a tymczasem siedząc przy szałasie snuliśmy wspomnienia, opowiadając sobie, jak spędziliśmy ten dzień przed wojną. Przesuwamy się jak na taśmie filmowej obrazu wspólnych nabożeństw

okolicznościowych patriotycznych kawałach, akademiach szkolnych, śpiewach, recytacji. Przyposiadałem sobie i kolegom, jak w ostatnie przed wybuchem wojny Trzecio-sajwę święto śpiewaliśmy na naszej zasmyckiej szkole piosenkę na melodię "Witaj, majowa jutrzhenko". Lecz ze słowami naszej sąsiadki Aleksandry Gąsiorowaskiej, ludowej poetki z Zasmyk, której syn, Józef, najstarszy z braci, zginął podczas forsowania torów pod Jagodzinem, a waj młodsi natomiast - Kazik "Rekin" i Stefan przeszli szczęśliwie z dywizją i teraz pewnie staczali już boje na Polesiu, o czym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy.

Słowa piosenki miały aktualną wtedy treść i mówiły o czekającej nas wojnie i zamiarach Hitlera. Jedną za zwrotek brzmiąca:

" Zabkyszczakły wiloże oczy  
w hitlerowackiej chytrej głowie,  
lisim krokiem Niemiec kroczy  
i na nasze czyha zdrowie,  
Bo to kat z dawnych lat,  
Polskę gnębić zawsze rad! "

Jakkolwiek prorocze miała stać się te słowa już za kilka miesięcy po ich napisaniu...

Widzieliśmy oczyma wyobraźni uroczysty nastrój, jaki panował w tym dniu w każdym polskim domu na wołyńskiej ziemi. Łas chorągiewek biało-czerwonych powiewała nad głowami działwy szkolnej. Zabawy, zawody sportowe i inne atrakcje towarzyszyły obchodom tego święta przez cały dzień. Mówiliśmy o swoim udziale w szkolnych występach, śpiewach, przedstawieniach. A wokół "czychali na rzz nasze zdrowie" Niemcy, nie mogąc nas tylko ująć w swe ręce.

Gdy nadszedł wieczór, porucznik Młk "Jastrząb" zarządził zbiórki całego oddziału. Po wyrównaniu szeregów, sprawdzeniu stanu i innych regulaminowanych czynnościach, adiutant dowódcy, Kapral "Zawisza" odczytał krótki rozkaz poświęcony rocznicy Konstytucji. Gdy skończył, "Jastrząb" polecił, jak zwykle, "skrzydka zagiąć" i przemówił do swoich żołnierzy. Nie potrafiłbym dziś po latach powtórzyć tego, cośmy wtedy usłyszeli. Pamiętam tylko, że może dzięki niezwykłej scenerii, w jakiej się uroczystość odbywała, może atmosfera walki, rozlegających się ciągle strzałów i dalekich detonacji, dział sprawiała, że chociaż wieczór ten stał się świętem niecodziennym, niezwykłym. "Jastrząb" mówił jak zwykle - jasno, zwięźle, treściwie. Unikał patosu, ale umiał trafić do wyobraźni młodych ludzi i wzbudzić ich zainteresowania, umiał tworzyć klimat, w którym każde słowo stawało się ważne i zapadało naprawdę głęboko w serce. Księżyc wyglądał raz po raz zza chmur i błyszczał czworobok zasłuchanych ludzi, których myśli, kierowane słowami mówiącego przenosiły się w odległe czasy powstania historycznej ustawy, to znowu wracały do naszej rzeczywistości, utwierdzając nas w przekonaniu, że obowiązek, jaki wkładała w nas historia, spełniamy z poświęce-









szeregi - i dotychczas mogli pewnie znow wyjechać na wyprawę, jak za  
dotychczas. Szewcom zachylił się, jak nie przyniesiono im  
dotychczas w Zakładach, czy "Orzech", "Olejo", "Kowalichy  
czy "Kraś" zapoznawali nas z takimi wspaniałymi i jędrnymi wiodły  
dotychczas i wojskowego wykształcenia. Wszak powoli do oddziału dowódcy  
dotychczas.

Winnego dnia ogłoszono nam i podano do wiadomości, że  
dotychczas, zabrano to jakoś dziwnie, prawdziwie naturalnie.  
dotychczas nie uzyskaliśmy pełni sił, że wczynie na slany i wystrasy  
w dotychczas tym wyświadczyło nam, że obywateli mamy już poza  
dotychczas i dotychczas dawno min. 20. a tu nagle parazytów rzeczywiście  
dotychczas znaku ku nam swe sąbiske ...

Ala po kolei :

Przeważając na strzeleckie wyświadczyliśmy sobie przyzwyczajone  
dotychczas, nie erne, zabezpieczając siebie nawet i przed dotychczas. Wszakże  
dotychczas analizując nie wprost drogę do naszych ludzich i na pewno nie  
dotychczas, ale na nasze szczęście podjęto dotychczas wyświadczenie  
dotychczas, które zdarzyło się, krótkotrwale mówiąc, z których nasze szczęście  
dotychczas nie robiły. Gorzej przedstawiała się sprawa naszej sprawności.  
dotychczas, otrzymano skromną porcję maki na dotychczas, przyrzę-  
dotychczas - "niebieską". Lepsze się po prostu tak na dotychczas, się  
dotychczas, inny kokozko wody, silnie mieszane i powstawała z tego,  
dotychczas, i lekka potrawa, mająca na dotychczas, że na dłuższy czas  
dotychczas, wieszanie między sobą dotychczas. I jeśli  
dotychczas, szczypta jakiegoś kolwika tłuszczu - kawałek słoniny -  
dotychczas, czy choćby szpiku kostnego, wtedy leniwsza stawała się  
dotychczas, nieomal na królewskie stopy.

Jak sobie przypominamy. ten szpik był moim osobistym wynalazkiem,  
dotychczas, nawet w tajemnicy i to z dwu powodów : po pierwsze -  
dotychczas, że koleżdy zaczęli sobie ze mnie drwić, że takim samym  
dotychczas, jako ostatni, a po drugie - w pewnym stopniu brak było, jak  
dotychczas, pewnego rodzaju egoizm. Koci laża, kto chce, niech  
dotychczas, i przeprowadzić? Ale później  
dotychczas, z kolegów spróbowanie swoje specjalne. Uznał po  
dotychczas, i dotychczas w wolnych chwilach wyprawy po  
dotychczas, czy krótkich szkielec. Właśnie się, przeczł  
dotychczas, i wyświadczyło się, i wyświadczyło się  
dotychczas, do leniwszych.



















...nie miał dysponować jakiegokolwiek dokładnymi informacjami. Tak czy inaczej  
...opuszczenia nieznanych lasów opowiadano nam o tym, jak  
...sobie, jak to wkroczyliśmy na spokojne tereny, odgrodzone,  
...nie, nabierzemy się i na wszystko, doronimy dywizji i staniesz  
...nieznanym wojskiem.

Wyruszyliśmy z miejsca postoju o zaroku. Kluczyliśmy różnymi  
...drogami, ścieżkami, zagajnikami, mijaliśmy jakieś zniszczone opłotki, szły  
...i znowu zagłębili się w las. Tak zawsze prowadził "Jastrząb".  
...dobrze: nie omińcie, nie wprowadzenia w błąd nieprzebiegła  
...podobnie jak kiedyś w rejonie Zoszyk i Kwidzawa,  
...znane te drogi i to tak doskonałe, że nigdy nie zapyta  
...nie pytając zawsze trafi gdzie należy? Zdziwienie było tym  
...nie, że nie chodziliśmy w osiemnastym procentach lasnymi bezdrożami  
...nie, gdzie zdawało się, że nie ma żadnej ślady ludzkiej,  
...jednak "Jastrząb" dawał sobie wędzić znakomicie drogę. Sprawiało to  
...nie i utwierdziło w przekonaniu, iż możemy w pełni  
...nie polegać.

...była jakby wzmarszona do tak niebezpiecznego zamierzenia. Ciężko  
...nie, chyba płynął, i kilka nad drzewami, ścieżką  
...nie, drobny kapucniaczek. Sólniarze strzyżki surowy  
...nie, nie palenia papierosów i pilnowania się, by ktoś  
...nie, odmaszerującego szeregu. Wpstrywaliśmy się w plecy  
...nie, czasem z przyczepionymi  
...nie, do przędzy lub plecaków, a tak śmiało  
...nie, żeby się przypadkiem nie zranić, nie stracić z idącym  
...nie, bo byłoby to najgorzej, co mogło się zdarzyć. Minęły  
...nie, ostrożnie posuwaliśmy się na północ.  
...nie, zamieszanie i ewentualnej rozrywki, nie było  
...nie, nikt jednak nie uważał  
...nie.

...nie, a wiatr wzniósł się jeszcze, gdy  
...nie, - mając po prawej stronie wysokopięny las,  
...nie, przepletane u równymi polami, przytykają  
...nie, nie było ich wiele, wyraźnie, lecz gdy spojrzano się  
...nie, nie było odróżnić z prawej mającej na tle lewą, dostarczając  
...nie, korony drzew, lewą stronę niekiego pułku, pułku  
...nie, a wiatr nie był już powstrzymywany, a  
...nie.

...nie, które dowódca robił co  
...nie, przelać wazę siedzących żołnierzy wieść,



podane z ust do ust, że mamy odtąd zachować w marszu szczególną ostrożność. Któryś z podoficerów, widocznie poinformowany o trasie, szepnął, że oznacza to bliskość Ziemieliicy, którą mamy ominąć z lewej strony. Jest tam podobno silna placówka niemiecka i stąd ta zwiększona ostrożność. Dreszczyki emocji towarzyszące nam od samego wywarazu, zaczęły teraz przebiegać po skórze jeszcze częściej. Gdy więc kolumna znów ruszyła, czuło się, jakby każda chwila mogła przynieść dotykać. Wtem czoło zatrzymało się znów, znacznie wcześniej niż odbywało się dotychczas. W takich chwilach cały długi wąż idących przysiadł, aby nie być widocznym, a jednocześnie by dać choćby przez moment odpocząć utrudzonym nogom. Nęc bowiem była już późna i zmęczenie dawało się we znaki, tym bardziej, że od tyłu dni odżywieliśmy się, gorzej niż skromnie i sił naprawdę brakowało. Łatwo więc męczyliśmy się, choć szczęście, długa zaprawa w marszach, wyrobiła w nas, godną polziwu wytrzymałość.

Io krótkiej przerwie znów biegnie po linii ledwo doszłyżelne "Tawstę! mesterowac" Ruszamy. Nie na długo jednak. W kilka minut potem znów przysiadamy, znów odmierzamy kilkanaście kroków, aby znów przykucnąć w niepokojnym oczekiwaniu. Nie ulega wątpliwości, że coś się w przedzie niedobrego dzieje. Broń trzeba mieć gotową do strzału i nosi do szybkiego wycofania się.

Nagle od czoła zaczynają dochodzić jakieś przysłuszone szmery, zszalegciły w oddali liście. Jakby de tanie w szybkim biegu potem zgaszony, przytłumiony okrzyk. Nerwy napinają się jak przysłowiowe potronki, a po skórze biegnie fala gorąca. Karabiny ścisamy coraz mocniej. Chwile płyną straszliwie powoli. Napięcie rośnie.

- Co się tam dzieje? - szepcze mi ktoś do ucha.

- Nie wiem - odpowiadam - ale napewno nie wesołego.

Wpetrujemy się w ciemność, wsłuchujemy w rosnący szum i podejrzany szelest.

Nagle w przedzie zrywają się już wyrozny tumult, trzeskanie gałęzek którego już i wiatr nie jest w stanie zagłuszyć. Jednocześnie rozlegają się ciche szepty.

- Cośmy się! Szybko! Niemcy!

Wycignięty dotąd długi sznur oddział "Jastrzębia" rozrywa się rwałownie, nieśzy i zaczyna szybko, coraz szybciej wycofywać się w kierunku, skąd dopiero przyszliśmy. Następuje zupełny chaos, tym bardziej że nie słychać głosu żadnej z komendy, nikt nie próbuje zaprowadzić na powrót porządku. Wszyscy już nie idą, lecz biegną. Je ni drogą, inni zbacząją w las po lewej stronie i natychmiast nikną w nim jak cienie.

Dziwnie, że nie widać nikogo z dowódców, nie ma "Jastrzębia". Trudno byłoby go w tej ciemności dojrzeć, ale przecież dążyłby znać o sobie, gdyby cofał się ze wszystkimi, przekazałby jakiś rozkaz, informację. Nie wiem czy to wszystko ma znaczyć. Biegną dróżką razem z innymi, oglądając się co chwila za siebie. Ale tam też żadnych znaków szczególnych nie widać ani nie słychać. Na wszelki wypadek cofamy się jak najdalej od zagrożonego miejsca.

Po kilku minutach wszystko ucicha. Wiatr tylko szumi dostojnie w konarach wysokich drzew. Chmury płyną nisko jak płynąły i deszcz warów drobnych płatczek.

Mając przy sobie odzyskanego niedawno brata biegnę najpierw ze wszystkimi, potem zmęczony się szedłem powoli leśną drogą nasłuchując czy nie rozlegną się gdzieś strzały, oznajmiające, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło. Lecz naokoło panowała zupełna cisza, zakłócana jedynie wzmagającą się wicherem. Także deszcz stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Ruszyliśmy więc dalej przed siebie w poszukiwaniu miejsca zbiórki. Od czasu do czasu napotykaliliśmy pojedynczych chłopców, podobnie jak my dezorientowanych i bezradnych.

- Co się stało? Dlaczego wycofaliśmy się tak gwałtownie? -

pytaliśmy się nawzajem, nie znajdując jednak na pytania żadnej odpowiedzi.

Czy naprawdę natknęliśmy się na Niemców, czy też ktoś przedwcześnie w alarmie wywołał całe to zamieszanie? Gdyby istotnie czoło napotkało nieprzyjaciela, padłyby niechybnie strzały, rozegrałaby się jakaś bitwa, tymczasem stało się tak nagle i tak inaczej niż zwykle, że nie sposób było zrozumieć, co naprawdę zaszło.

Sprawa wyjaśniła się dopiero nazajutrz. Mianowicie na ośi naszego marszu znalazła się jakaś baza niemieckich samochodów wraz z obsługą i zapewne z ubezpieczeniem. Stały też tam podobno namioty dla przymusowych robotników, którzy wykonywali w dzień jakieś prace przyfrontowe, a w noc mieszkali. Czoło naszego oddziału weszło w głębokich ciemnościach w sam środek owego obozowiska. Nie wiedząc gdzie się znajdują, chłopcy maszerowali po maskach samochodów, potykali się o jakieś porozrzucone przedmioty, wreszcie wzięli napotkane samochody za bazę czołową chronioną silnie przez Wehrmacht. Odczytanie się strażnika po niemiecku, upewniło znajdujących się nawzajem obozu, że wzięli miano woli w paszczę lwa. Zaczęło sztytko i w milczeniu szukać drogi odwrotu i wtedy nagle wpadli na Niemców, chwytali się wzajemnie rękami i jedynie faktowi, że obie strony były widocznie jednokowo zaskoczone i przerażone niepodzielnym zdarzeniem zawdzięczać należy, że nie doszło do krwawej rozprawy, w którą bylibyśmy na pewno stronę poszkodowaną, jako że przeciwnicy



Jako, że przeciwnicy mieli lepszą broń do takiej walki, oświetliwszy teren nie pozwoliby wymknąć się nikomu, zwłaszcza, że mieli wokół swojej placówki łączność, samochody pancerne. My zaś całą uwagę skupiliśmy na wydostaniu się z metni. Byliśmy stale pod ostrzałem, tropieni i prześladowani, nie mając oparcia w żadnej wsi, jakinokolwiek osiedlu, w którym ktoś podejrzyby pomocną dłoń, daleko od swojej dywizji i naczelnego dowództwa. I mimo że był z nami jeden z najlepszych oficerów, nie dawano to gwarancji, że z tamtych opresji uda się nam szczęśliwie wydostać. Dlatego też pierwszym odruchem po spotkaniu nieprzyjaciela było już tylko oderwać się od niego jak najszybciej. I tak właśnie stało się i dzisiaj. Tylko, że pierwsi, stanowiący czołówkę pochodu, wiedzieli co robić - o, reszta natomiast wycofywała się nie mając pojęcia jakie niebezpieczeństwo stanęło nam na drodze.

Pierwszy brząsk ukazał się na niebie, gdy idąc parosobowa grupka znaleźliśmy się na skraju starego, rzadkiego lasu, wyznaczonego na miejsce zbiórki. Część żołnierzy już była tu i ukrywszy się pod drzewami rozłożystymi opowiadała sobie nocne przeżycia i wrażenia. Szczegółowie ci, którzy byli między niemieckimi samochodami oblegani byli przez nieznających powodów zamieszanie kolegów. Co chwila wyłonieli się z ciemności nowi zabiegowicie i dołączali do oczekującej grupy. Deszcz wreszcie przestał padać, ale ranny chłód doskwierał porządnie, ubrania bowiem były na nas przemoczone do suchej nitki. Ruszaliśmy się więc w miejsce, żeby nie zmarznąć jeszcze bardziej i oczekiwaliśmy dnia, a przede wszystkim dowódcy, gdyż porucznika "Jastrzębia" wśród zebranych nie było. Gdy zrobił się dzień rzuciłem okiem na zgromadzonych. Nie było nas więcej niż jedna czwarta tych, którzy wyruszyli wczoraj w kierunku torów. Gdzie reszta? Widok niewielkiej garstki zaczął namle nasuwać podejrzenie, że a może odbiliśmy się w ciemności od oddziału i zostali sami, a "Jastrzęb" tymczasem jest już daleko, może po drugiej stronie torów? Może po wycofaniu się od niemieckiej placówki tylko bardziej tchórzliwi dali grupkę, a odważniejsi, opanowani skupili się wokół dowódcy i okrażywszy Niemców doczuli już poza Lubowl i Jagodzin i szybkim marszem skierując ku dywizji, gdzie czekała już major "Kowal", zawsze opanowany, odważny, dostojny dowódca naszego pięćdziesiątego pułku, Major "Zecota" dowódca dywizji po śmierci "Oliwy", porucznik "Sokół", księżka kapelani "Prawdzie" i "Rafał" i cała reszta oficerów, podoficerów i żołnierzy ...

Rozłączam się, po zgromadzonych, Nie ma porucznika "Rybitwy", dowódcy naszej kompanii, brak plutonowego "Kowińskiego" - sukiennej szacie "brak kolorów" "Ziuzka", "Przytewki", "Bojuszawa" "Zamościńskiego" i tylu, innych najstarszych stadem partyzantów, I kiedy strach zaczął ogarniać nas nie

na żarty, ujrzałszy nagle wyrzaniający się spośród drzew długi rząd ludzi z bronią na ramieniu, na czele kroczył swym charakterystycznym lekko kołyszącym się krokiem porucznik "Jastrzęb".

Odetchnęliśmy z ulgą. Wydało się, że wszystkie kłopoty i niebezpieczeństwa mamy już poza sobą. Nic teraz nam już nie zagraża. Jest odwódecz jest oddział nie ma powodów do obaw o dalsze losy niespokojnej przed chwilą promady. Poczuliśmy nagle się tak jakby morze za tory i wszystko co tam nas jeszcze miało spotkać, należało już do przeszłości. Nikt nie myślał o tygodniach głodu, chłodu, uciążliwych marazów i groźnych niebezpieczeństwach, jakie nas jeszcze czekają, nim podejmiemy się z dźwignię

To raz druzi przekonaniem się, czym jest dla żołnierza w trudnych sytuacjach dobry dowódca.

Gdy jednak "Jastrzęb" dotarł do nas ze swoją grupą, okazało się, że wielu jeszcze brak. Rozproszyli się po lesie w ciemności i nie wiadomo gdzie się teraz znajdują. "Jastrzęb" zaniepokojony był i zdziwiony.

- To już wszystko wojako? rzucił pytanie pół do nas, pół chyba do siebie, jakby dziwił się lub czynił komuś wyrzut. Powiódł wzrokiem po stojących najbliższej i siedzących pod drzewami, obliczył ilość żołnierzy, po czym rzekł:

- No cóż, b, damy masieli wojować w zmniejszonym składzie. Na wszelki wypadek poczekamy tu trochę. Może się z pty znajdą. I teraz kto chce może rozpalić ognisko i ogrzać się trochę, osuszyć, bo pewnie sąby z zimna dzwonią, co?

Próbował żartować, ale widać było, że trapi go myśl o tych, którzy dotąd nie zdążyli dołączyć. Jak sobie poradzą sami, nie mając map, nie znając terenu, bez żywności, zwłaszcza bez dowódcy. Czy zdolają wydobyć się z tych gładkich lasów? Nie mówił tych słów, lecz z twardą mozną było odczytać, że takie myśli trapią go najpewniej.

Tymczasem już tu i ówdzie zaczął unosić się w górę dym i sbblyły pierwsze wesole ogniki. Niektóre było różniące ogień gdyż płałaki przemokły zupełnie ale chłopcy znajdowali jakiś sposób na pokonanie i tej trudności. Skróćce kilka większych i mniejszych ognisk plan. To około, o kt, by dym był, kłótno unosiły się wśród konarów wysokich i prostych jak świece sosen.

Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie od strony wschodniej las był rzadki, porośnięty świeżutką zieloną pierwszą wiosenną trawą, z boku od północy i zachodu ciemnyły się już gęstsze krzaczki i zarost. Tylko od strony prawej, na południe od nas, gdzie rozłożyły się większe drzewa, wśród nich "Jastrzęb", las pozostał nieco gęściej, a teren wznosił się tworząc niewielki pagórek. Z kierunku od wschodu na



na zachód biegnie wąska, kręta drożyną, wypełniona w głębokich  
kolcinach i zagłębieniach terenu kałużami wody po nocnym deszczu.  
Przy tej właśnie drodze w pobliżu kopy rąstych olchyn rozłożyłem z  
paru kłobocami ognisko i przystąpiliśmy do suszenia garderoby. Karabiny  
ustawione w kozicy spoczywały obok.

Słońce wzniosło się już na tyle, że promienie jego zaczęły prześwi-  
tlać się między szpicami sosen i pierzastymi delikatnymi liśćkami  
białych brzoś. Ranek po pochmurnej i deszczowej nocy, stał rześki, poro-  
śny, beżpietrzny. Ognisko rozpaliły się na dobre a porowiczane dooko-  
ła płaszcze i inne części ubiorów zaczęły schnąć, parować. Siedzieliśmy  
orzewając się przy tryskającym w górę płamieniu i dorzucaliśmy do  
ognia łuski z trzaskiem żelazki. Rozmowy toczyły się nadal wokół  
wydarzeń minionej nocy lub planów i przewidywań na dzień dzisiejszy  
i jutrzejszy.

Nagle przy sąsiednich ogniskach zauważyłem niespodziewanie jaki-  
ś gorączkowe poruszenie. Chłopcy zerwali się gwałtownie, chwytając za  
broń, kryli się za drzewami. Spojrzałem przed siebie i zauważyłem: o  
kilkanaście kroków od nas stał za wyniosłą sosną barczysty Niemiec  
w niebieskim płaszczu i powoli podnosił w górę lufę pistoletu  
maszynowego. Nicco dalej widać było drugiego, trzeciego ...

Podrewałyśmy się, jak na komendę i zostawiając wszystko przy  
ognisku, skoczyliśmy ku najbliższemu krzewom. W tej sekundzie dowiedziałem  
siebie, że nie zabrałem karabinu. Inni zauważyli to równocześnie ze mną.  
Znowu jak podczas ćwiczeń rzuciliśmy się w kierunku broni. Ten odruch  
gwałtowny i niespodziewany, prawdopodobnie uratował nas. Musiał wyłapać  
na desperacki atak, bo Niemiec odskoczył za dalsze drzewo o dopiero  
stamtąd wyrzucił serię pięciu krzewy. Ale ta chwila zwłoki wystarczyła  
abyśmy mogli z karabinami w rękach przypaść do ziemi i odpowiedzieć  
również ogniem wystrzałów. Od Strony gdzie znajdował się "Jastrząb"  
posypały się także strzały. Zavrzała krótka, gorączkowa bitwa. Mimo, że  
Niemcy oskoczyli nas zupełnie, nie mieli widocznie odwagi atakować  
odbiła. Strzelali tylko za drzew nie posuwając się ani na krok do  
przodu. Wtem odgłosy wystrzałów zmęcił krzyk rennero. Jeden z naszych  
dostał kulę. Skoczyły ku niemu sanitariuszki. Chłopcy, by umożliwić  
zanieśienie rennero w bezpieczne miejsce podwoili ogień i po chwili  
chwila zaczęła się cofać. O dalszych paru minutach bitwa była skończona  
Zauważyłem zauważyć, że nasza prawa skrzydło odskakuje za pałkę i kryje  
się w sąsiednim lesie. Przekroczyliśmy wysokie trawy, porostające rozległy gwieź-  
dki teren, próbowaliśmy wraz z bratem dotrzeć do głównej grupy.  
Ledwo jednak weszliśmy na dróżkę, przy której dopiero do paliliśmy ogień

rozległy się natychmiast serie z automatów, a kule zaszeleściły obok nas w suchych trawach.

- Musimy obejść tątą stroną - rzekłem do Gienka, kierując się na zachód przez gęste krzewy. Przebiegliśmy około stu metrów i trafiliśmy na inną drogę, do której prowadziła "nasza" wążiutka drożynka.

- Przechodzić na drugą stronę, czy nie? - zastanawialiśmy się przez moment, oglądając się ostrożnie w prawo i lewo.

- Przejdziemy - zdecydowałem. - Tam dalej jest gęstsze podszycie, łatwiej będzie ukryć się i odszukać oddział.

Ledwie daliśmy pierwszy krok na drogę, gdy kule posypały się jeszcze gęźniejsz gęściej niż poprzednie. Padliśmy na ziemię i podczołgałiśmy się z powrotem w trawy i krzaki. Pochyleni przebiegliśmy kilkadziesiąt kroków w głąb wyrębu i zatrzymaliśmy się nasłuchiwalimy przez chwilę, czy nie doleca nas jakieś głośy od naszych. Nic. Cisza. Zaczęliśmy iść ostrożnie prosto na południe. Dopóki okrywały nas wysokie trawy, wydawało się, że teren w tej stronie jest bezpieczny, lecz za ledwie wyszliśmy na linię oddzielającą wyręb od wysokopiennego lasu, jak na komendę powitaki nas gęste strzały. Wniosek prosty: ze wszystkich stron są Niemcy i szczelnie otaczają teren na którym znalazł się nasz oddział. Co w takiej sytuacji począć? Spróbowaliśmy jeszcze dwukrotnie zbliżyć się do drogi w nadziei, że napastnicy już może odeszli i za każdym razem spędziły nas z powrotem serie kul niewidocznego nieprzyjaciela.

Słońce wyszło już wysoko ponad las i zrobiło się ciepło. Obok strachu przed odłączeniem się od oddziału i "Jastrzębie" i zagubieniem się w lesie, opanowało nas śmiertelne znużenie. Fizyczne i psychiczne. Cała noc bez znużenia oka, w marszu, teraz ta niespodziewana utarczka odebrała nam zupełnie siły.

- Niech się dzieje co chce - zawyrokowaliśmy zgodnie. - Zaczynamy się gęźbiej w trawy i musimy trochę odpocząć. Niemcy cały dzień chyba tu siedzieć nie będą. Nie mają takich kocich zwyczajów. Wtedy spokojnie znajdziemy naszych.

Błogosławiona młodość! Ledwie przyłożyliśmy głowy do miękkiej suchej i ciepłej trawy, zasnęliśmy snem iście kamiennym. Podobnie jak cały dzień Niemcy nakoło strzelali, jeszcze <sup>stać</sup> z naszymi bitwy, które spowodowały powtórne rozproszenie się oddziału i odłączenie się dalsze części chłopców, ale nas nic zbudzić nie było w stanie.

Gdy ocknęliśmy się, słońce schyliło się już mocno z południa. Mierło się ku zachodowi. Było gorąco niemal upalnie, a może odnosiliśmy tylko takie wrażenie. Leżąc parę godzin w piekącym słońcu.



W pierwszej chwili nie bardzo wiedzieliśmy gdzie jesteśmy i co się z nami dzieje, lecz po paru sekundach wróciła świadomość sytuacji, a z nią kłk, wstrząsający Alk, że zostaliśmy sami. Niecy na pewno odeszli nasi też! Chcieliśmy biec, wołać, podeszliśmy nawet kilka kroków w stronę gdzie toczyła się pierwsza bitwa, lecz zrozumieliśmy, że nie ma to sensu, bo nikt czekał na nas nie będzie. Patrzyliśmy wystraszonym wzrokiem to na siebie, to w stronę jednej drogi i drugiej, ale wszędzie panowała niezłomna cisza. Tylko skądś z daleka dolatywały, jak zwykle, grzmoty frontowych dział.

I tak staliśmy bezradni nie wiedząc co począć, usłyszeliśmy nagle głośny szelest suchych traw, a w chwili potem spośród zieleniejących nicopodał młodych brzoźek wyszedł długi rząd zbrojnych ludzi z ... "Jastrzęb" na czele! Któryż to raz w ciągu tych ciężkich zmagani z wrogiem doznawałem wyjątkowego szczęścia i widocznej Yeski opatrności: szpital, ucieczka z rąk Węgrów, dołączenie do oddziału i swego dowódcy, nieprawdopodobne spotkania z najbliższymi i wreszcie dzisiejszy dzień - wszystko to wskazywało na szczególne zrzęczenie ~~żesz~~ losu.

Skoczyliśmy uświadomieni w tamtą stronę. Nie zdążyliśmy jeszcze zameldować swojego przybycia, gdy dowódcę uśmiechając się dydaktycznie odezwał się pierwszy:

- A gdzież to Obywatele obracali się, co? Na wójnę we dwóch?
- Odłączyliśmy się ... Niechący ... zacząłem nieśmiało tłumaczyć
- Nie podejrzewałem wcale, że chcący. Wstąpić ~~na~~ i maszerować.

I pólnować się na przyszłość!

Gotów byłem z radości uściskać porucznika, ale stuknąłem tylko w trawie obcasami, a przynajmniej tak mi się zdawało - odkrzyknąłem sakramentalne "tak jest" i ze chwilę maszerowaliśmy już obok kolegów, spokojni i uświadomieni.

"Jastrzęb" zawsze dziwnie mnie onieśmielał. Gdy zdarzało mi się coś zameldować, o czymś donieść, zapominałem języka w gębie. Nigdy nie zdarzało mi się to w stosunku do innych dowódców. Przypominam sobie, że gdy w szpitalu w Kupieczowie odwiedziła nas cała świąta oficerów z podpułkownikiem "Oliw" na czele i pytali tannych o samopoczucie, pocieszeli, zapewniając o szybkim powrocie do zdrowia i macierzystych oddziałów, nawet pułkownikowi "Oliwie" odpowiedziałem spokojnie i z uśmiechem, lecz gdy odezwał się "Jastrzęb" przekazując pozdrowienia od kolegów, buknąłem coś niewyraźnie i czułem, że rumienię się po uszy. I teraz mimo, że w niewielkiej grupie i w tych warunkach byliśmy stale razem, nie potrafiłem w obecności dowódcy czuć się swobodnie. Z poruczn

ikiem "Mściwojem", "Koszkciem" czy "Tęczynem" potrafiłem żartować, z "Mściwojem" nieraz przekomarzałem się w marszu przez poleckie bagna. Ale od "Jastrzębia" wolałem trzymać się raczej z daleka, choć rzadko do kogo żywiłem tyle co do niego uczucie i szacunku. I w tej chwili miałem ogromną chęć podejść, wytłumaczyć się, opowiedzieć o dzisiejszych przeżyciach, lecz czułem, że w żaden sposób nie potrafiłbym się na to zdobyć.

Wieczór i noc upłynęły nam na marszu i krótszych lub dłuższych postójach. Kluczyliśmy znowu ścieżkami i duktami leśnymi, forsowaliśmy bagna i gęste zagajniki, zanim tuż przed świtem, wyszedłszy na suchy, piaszczysty grunt nie ułożyliśmy się na spoczynek. Mokra spódnie i chlapiąca w butach woda bagienne nie przeszkodziły w zaśnięciu natychmiastowym - snem sprawiedliwych.

#### N A R E S Z C I E   Z A   T O R A M I

=====

Ostatnia doba przed przekroczeniem upragnionych torów obfitowała w liczne przeżycia i emocje. Najpierw opisane wyżej zdarzenia w okolicach Ziemlicy, po paru godzinach odpoczynku dalszą wędrówkę leśnymi bezdrożami, potem przed wieczorem dłuższy odpoczynek, w czasie któregoomal nie doszło do niespodziewanej paniki. Wreszcie odmarsz w nieznaną...

Ale po kolei.

Było późne popołudnie. Gdy dotarliśmy do młodego sosnowego lasu, gdzie "Jastrzęb" zarządził postój. Porozsiadaliśmy się większymi lub mniejszymi gromadami w cieniu sosenek na piaszczystym gruncie. Chłonąc

ikiem "Mściwojem", "Koszkciem" czy "Tęczynem" potrafiłem żartować, z "Mściwojem" nieraz przekomarzałem się w marszu przez poleckie bagna.



naradzał, wreszcie wstał, narzucił pistolet maszynowy na szyję i zabrawszy tylko "Zawiszę" poszedł w tym samym kierunku co dwa poprzednie patrole. Nijaki kwadrans, zbliżał się wieczór, a dowódcy nie było. I wtedy ktoś nagie rzucił przypuszczenie, że porucznik "Jastrząb" uciekł. Wiadę obległa natychmiast wszystkie porządkowane szerokim kręgiem grupki żołnierzy, budząc ogólny prawie niepokój, a nawet papłoch. Niektórzy chwycili się bez namysłu do pakowania plecaków i przygotowywania się do drogi nie wiadomo dokąd, którędy i po co. Starzy jastrzębiacy nie podzielili tych podejrzeń, nie wierzyli, by coś podobnego mogło się zdarzyć, ale niedobry nastrój udzielił się wszystkim, jakby coś złego miało leda chwila spaść na cały oddział. I gdy szemranie i niespokojne spojrzenia zaczęły przybierać naprawdę groźne rozmiary, wśród drzew ukezała się sylwetka naszego niezawodnego dowódcy, wracającego razem z "Zawiszą", a z twarzy bił mu spokój i zadowolenie, jak gdyby zagałka, której nie mogły rozwikłać oba patrole, została nazreszcie pomyślnie rozwiązana. Wyjął coś krótko dowódcom poprzednich zwiedów, zarzucił plecak na ramiona i zarządził zbiórki. PO chwili maszerowaliśmy już w kierunku, skąd przed chwilą powrócił nasz dowódca.

Słońce było nad zachodem, gdy długą kolumną wyszliśmy na wolną niezeleśioną przestrzeń. Przed nami rozciągała się rozległa łąka, otoczona od wschodu, zachodu, i południa ścianami wysokiego lasu, a tylko na północy widniał w dali pas niskich krzewów czy może młodego zagałki. Od strony północno-wschodniej widać było w przerwie między drzewami zielone zagony pól, twórzące niewielkie wzgórze. Wschodnim brzegiem lasu biegła wąska droga z wyżłobionymi w czasie roztopów głębokimi koleinami i widać się jaśniejszą wstęgą wzdłuż wyniosłego brzoza sosen. Wychodząc na łąkę sądziłem, że porucznik "Jastrząb" krocząc na czele kolumny, tą właśnie dróżką prowadzi oddział, on jednak skierował się wprost na łąkę, prawie przez jej środek. Sarkaliśmy trochę, bo trzeba było przeskakiwać jakieś rowy, uporać się z wysokimi kopami trawy lub z kolczastym drutem, przeciwnie najgębszym widocznie pastwisko na kilka oddzielnych kwater. Szliśmy jednak posłusznie za dowódcą z bronią "na pas", rozglądając się spodojnie i obserwując okoliczne krajobrazy.

Maszerując kolumna przeszła mniej więcej jedną trzecią długości łąki gdy nagle od wschodniej strony lasu zza wspomnianej dróżki rozległa się orkuszająca strzelanina. Zawrzeszły automaty i pojedyncze karabiny, a że odległość od strzelających była niewielka, a teren zamknięty leśnymi ścianami, loskot karabinowej palby wydawał się przeraźliwie bliski. Naterczywy dźwięk pocisków nad głowami, z tyłu, z przodu, ocierających się nieomal o ciała sparaliżował na moment nerwy kroczącego dotąd a największe

krzym spokojnie oddziału. Zaskoczenie było całkowite.

Sam nie wiem kiedy przyciśnięty huraganowym ogniem padłem na trawę i spojrzałem przed siebie oraz w kierunku lasu. Cały oddział leżał pokotem. Byłem pewny, że zobaczę atakującą w całej linii tabulierę nieprzyjacielską, że Niemcy są już najwyższej kilkadziesiąt kroków od nas. Tymczasem tak, jak przedtem, była zupełnie pusta, a cienna ściana lasu grzmiała dalej i zionęła ogniem. Patrzyłem ze zdziwieniem, nie mogąc dostrzec żadnego ruchu między drzewami, nawet błysków lub dymu wystrzałów. Niemcy musieli być bardzo dokładnie ukryci i nie zamierzali opuszczać swoich bezpiecznych stanowisk. Ta myśl nieco uspokoiła napięte nerwy.

Wtem przeciągły rozkaz - "biegiem, naprzód"! poderwał cały oddział na nogi. Ile się ruszyliśmy w kierunku niedalekich już krzewów po północnej stronie środkowej łąki. Nie strzelaliśmy, ponieważ cel ciągle był niewidoczny, a poza tym każdy pragnął jak najszybciej znaleźć się w należytym odległości od miejsca skąd strzelano. Nie było czasu do stracenia.

Nagle na lwo od siebie usłyszałem jak cichy. Kogoś pewno dosięgła nieprzyjacielska kula. Zatrzymałem się i spojrzałem w tamtym kierunku. Na trawie leżał starszy wiekiem nasz partyzant, który niedawno dołączył do oddziału. Schyliłem się, by pomóc mu wstać. Na szczęście nie był ranny, lecz potknął się i to tak niefortunnie, że wywichnął prawą rękę i w pierwszej chwili nie mógł poderwać się do dalszego biegu. Z karabinu też nie mógł już zrobić żadnego użytku, gdyż prawa ręka zwisała bezładnie i nie była w stanie utrzymać broni. Odeł mi go chętnie i podniósłwszy się przy mojej pomocy, rzekł zmęczonym głosem :

- Biegnij, nie zważaj na mnie. Ja tak szybko nie mogę.

I podtrzymując bezwładną prawą rękę biegł wolno, pochylony mocno do przodu. Wszystko to trwało kilkanaście sekund. Czoło kolumny kryło się już tymczasem w zaroślach.

Przebiegwszy jeszcze kilkadziesiąt kroków ujrzałem naszego najmłodszego partyzanta - Zofięnkę "Poziońkę", podopieczną porucznika "Jastrzębia". Mieszkał do wiosny 1943 r. jako nauczyciel w domu jej rodziców, w Budach Ossowieckich. Potem, gdy banderowcy wymordowali jej całą rodzinę, roztoczył nad nią ojcowską opiekę. "Poziońka", ogromnie młoda kilkunastoletnia dziewczyna, bardzo dzielnie znosiła wszystkie trudy partyzanckiego życia, nawet w warunkach okrutnego i związanego z tym niebezpieczeństwem, głodu i męczących przecieraszów zachowywała się jak prawdziwy żołnierz. Teraz w pośpiechu zaplątała się w drut kolczasty i gorączkowo usiłowała wydobyć się z kłopotu. Bezskutecznie



Leżąc szarpniętą się z zaplątanym w ostre kolce bokiem płaszczyka, nie robiła wrażenia wcale wylkniętej, grozną sytuacją. Uśmiechała się jakby bawiła ją własna bezradność. Szybko pomogłem uwolnić nieszczęsną poję z uwięzi i chwyciłem Zosiętkę za rękę.

- Chodźmy szybciej, pomogę ci !

- Dam sobie radę, tylko trochę zmęczyłam się. Już niedaleko .  
Naprawdę dam sobie radę sama. Nie zatrzymuj się.

Zarumieniona od wysiłku, uśmiechała się ciągle, jakby nic szczególnego się nie działo. Biegliśmy, trzymając się za ręce i jako ostatni dobrnęliśmy do upragnionych krzaków.

Strzelanina prawie ustała i tylko pojedyncze kule przelatywały jeszcze czasem nad głowami. Wkrótce zaległa zupełna cisza. Obejrzałem się za siebie na łące nie pozostał nikt.

Do dziś nie mogę wyjść z podziwu, jak to się stało, że żadna kula nie dosięgła nikogo z nas. Wszystko wskazywało na zaplanowaną zasadzkę. A jeśli nawet jakiś oddział niemiecki nadszedł przypadkowo w czasie, gdy weszliśmy na otwartą łąkę, to i tak poleciało na nas tyle kul, że powinniśmy nas consequencesj zdrażęsiątkować. Byliśmy doskonale widoczni w gęstej kolumnie marszowej, idealnie wystawieni na cel niemieckich karabinów. I mimo tej ulewy pocisków, nikt nie został nawet zadrażęni ty. Nie do uwierzenia. Widoma piecza Opatrzności. Inaczej tego wytłumaczyć nie podobne.

Gdy zaczął zapadać zmrok i wydawało się, że jesteśmy już spokojnie bezpieczni, rozpoczął się jeszcze jeden akt dramatycznej doby.

Zatrzymaliśmy się po przebiegnięciu wspomnianej wyżej łąki w niezbyt gęstych i nie wyższych nad jeden metr zaroślach. Konieczny był odpoczynek, należało doczekać w ukryciu nocy, a oprócz tego "Jastrząb" chciał widocznie zorientować się w nowej sytuacji, bo zaraz po zatrzymaniu się wysłał patrole dla sprawdzenia najbliższej okolicy, czy dalszy marsz będzie możliwy. Tymczasem zaledwie zwiadowcy wrócili, od strony zachodniej, czyli od Ziemięknicy, padło najpierw kilka pojedynczych strzałów w naszym kierunku, wkrótce potem zozległy się z tamtąd krzyki i hełasy. Nasłuchujemy z zaniepokojeniem, spoglądając na dowódcę. Może ktoś z naszych w czasie biegu skręcił w las i teraz natknął się na Niemców? "Jastrząb" nie czekając na żadne wyjaśnienie, wydaje rozkaz zajęcia pozycji obronnych, przygotowania się do walki i czekania dalszych rozkazów. Czołgając się, wykonujemy polecenie. Za kilka minut po linii szepł :

- Nie strzelać bez sygnału dowódcy!

Rozumiemy: porucznik "Jastrząb" ponawia rozkaz, gdyż nie dowierza narwom swoich żołnierzy. Ktoś może nie wytrzymać i nerobić ambarasu.

Po chwili jeszcze raz dożyliśmy to samo przypomnienie.

Obok nas po lewej stronie w odległości około trzydziestu metrów przebiega lesna dróżka, gubiąca się chwilami w trawie i bocie. Dalej na zachód, skąd słychać strzały i pojedyncze odgłosy, rozciągają się podobno bagna i mokradła, przez które prowadzi w naszą stronę wąska grobla. Napravo od niej Ziemię, którą wczoraj usiłowaliśmy ominąć po przeciwnej stronie. Na grobli iada chwila pojawić się mogą Niemcy. Wpatrujemy się więc w tamte miejsce. Nic nie widać, tylko do rzadkich, pojedynczych wystrzałów, zbliżających się coraz bardziej, dochodzą się ujadania psów, jakby trzymanych na smyczy i dające jakby już rozróżnić się niemieckie słowa. Wróg jest coraz bliżej. Ścisnął mocniej kolby karabinów, gotując się do prawdopodobnie nieuniknionej zym razem bitwy. Wśród niemieckich gąrdkowych okrzyków niektórzy rozróżniają powtarzające się wyrazy: "Jaszczomb", "Jaszczomb"! Czyżby Niemcy byli aż tak dobrze zorientowani, że znają pseudonim naszego dowódcy i wiedzą, że tu blisko przebywa ze swoim oddziałem? Do dziś nie umiem powiedzieć na pewno, czy rzeczywiście takie słowa padały. Niektórzy z naszych byli blisko grobli, mogli więc dokładnie słyszeć nawoływanie i poszczególne wyrazy. Chyba się nie mylili.

Ogarnia nas niepokój, ale połączony ze swojego rodzaju satysfakcją. A więc mają dokładne rozeznanie, a mimo to na próżno uraniają się za nami.

-Znają "Jastrzębia" - powiedział nazajutrz jeden z chłopców - no to poznają go jeszcze lepiej!

Zresztą już w tej chwili czujemy, że działając z zaskaki uzyskamy tym razem na pewno przewagę nad idącymi groblą Niemiaszkami. Tyłko te przeklęte psy! Mogą nas wytropić przed czasem i co wtedy? Łącz jednocześnie serca biją z nadzieją, że robi się prawie ciemno, a wszak Niemcy nie lubią bitew w nocy i w dodatku w jakichś zarogłach, podczas gdy my, w takich właśnie warunkach czujemy się dobrze. Noc i las - to przecież nasi najwięksi obecnicy sprzymierzeńcy! Będzie zresztą co będzie. Nie pierwszy i da Bóg nie ostatni raz się spotykamy. Policzmy się jeszcze na pewno!

Serca uderzają mocniej, gdy głosy ludzi i psów dochodzą już z wysokości grobli. Czyli parę jeszcze sekund i zaczną się. Tyłko czekać ujemnie. Już? Już?...

I gdy napięte do ostatka nerwy mimo woli układają palce na językach spustowych i przymuszają je nieomal do naciśnięcia, głosy cichną nerwie, a za chwilę zaczynają się oddalać. Po kilkunastu minutach na cały okoliczny teren wraca absolutna cisza. Tyłko górze pod kowlem



ciągle slychać jakby podziemne dalekie grzmoty. Wśród tej nagłej ciszy przesłani głośno zabrzmiał głos naszego dowódcy:

- Wszystko powstań! Zbiórka na drodze!

Zeszumiały chaszcze i jak szare zjawy mkną cienie partyzantów w zaproponowanym kierunku. Rozlega się szmer cichych głosów, tupot nóg, szepek potraczonych o siebie karabinów. Wkrótce stoimy już w ordynku, wyciągnięci w długi dwuszereg. Nie wiemy: cieszyć się, że burza przeszła bokiem, czy żałować, jak wydawało się sukcesu. Ale większość jest raczej zadowolona, że tak się właśnie zakończyło.

Leżąc rozmaglanie i szepty przerywa spokojny głos "Jastrzębie" oznajmiający, że za chwilę ruszymy dalej po tym nie planowanym odpoczynku. Musimy zachować wyjątkową ostrożność, gdyż Niemcy są z przodu z tyłu i po obu naszych bokach. Wiadomo: linia frontu, czy ściślej - przyfrontowa.

- Niejednokrotnie mówiliśmy - kończy cicho dowódca - że nie jest zezwoleniem naszym wdawać się w jakiegokolwiek walki, że chyba, że nie będzie innego wyjścia i zostaniemy do tego zmuszeni.

Mamy dotrzeć do dywizji i ten cel musimy osiągnąć. Niepotrzebna bitwa mogłaby nas przyprawić o zagładę całego oddziału. Mogą nas łatwo osaczyć ze wszystkich stron, bo mają nad nami wielokrotną przewagę pod każdym względem. Tykko, że my im się nie damy. Przeciwnie, musimy się nawet przez najgęstsze sito. Pod warunkiem, jednak, że musi być dyscyplina, spokój, odwaga, i ścisłe wykonywanie rozkazów.

Jeżeli tylko te warunki spełnimy, wkrótce znajdziemy się wśród swoich.

I po chwili-długim wyciągniętym rzędem suniemy krętymi ścieżkami wśród pól, łąk, lasów na północ.

Naraz tuż prawie obok nas, strzela w górę rakietą. Za nią druga. Potem jeszcze dwie. Nobi się jasno, jak w dzień. Cały oddział momentalnie, bez rozkazu pada na ziemię. Podobny jest w tej chwili w blasku rakiet do olbrzymich rozmiarów węża, czającego się do stoku na upatrzoną zdobycz. Każdy z nas wypłata jak osobna łuska na ciele potwora. Niemcy muszą być tuż, prawie za parówkami, widocznym na prawo, w więc w odległości nie większej niż dwięście metrów. Z takiej odległości łatwo usłyszeć nawet idących kilka setek nóg. Niewątpliwie uszszeli nas, a kto wie, może i zobaczyli?

Leżąc rakiety wkrótce gasną i opadają, a po linii przebiega w tym samym momencie szept:

Powstań! Maszerować jak najszybciej!

Gigantyczny wąż zaczyna znów pełznąć, prawie bezszelestnie. Chłopcy już nauczyli się, że stawiać stopy, że odgłos kroków niknie w szmerze poruszonych przyszytych i ocieraniu się rękawów o wystające części

partyzanckiej garderoby. Teren jest lekko falisty, pagórkowaty nawet, wijemy się więc krętymi dolinkami, trafiając czasem na jakąś zaniadbaną ścieżkę, czasem na polną dróżkę, lub też brniemy na przełaj po brzdach i zagonach. Lasów tu mało, trzeba więc zaostrożnie być - czujność i nie dać się zauważyć ani wytropić rozstawionym gęsto w lesie nieprzyjacielskim placówkom.

Lecz oto znowu rakiety. Znowu padamy i w tej samej chwili seria z pistoletu maszynowego rozdziera ciszą nocną. Jeszcze jedna. Pociąki zaczęły jęczeć wysoko nad głowami. To znaczy, że nas nie widzą, tylko albo usłyszeli jakiś pojedynczy odgłosy i szmery, albo strzelają na wszelki wypadek dla dodania samym sobie odwagi.

Przyzwyczajaliśmy się powoli i do tych urzmaiceń naszej wędrówki, choć nikt nie uważa owych urzmaiceń za przyjemne. Po którejś kolejnej rakiecie już nawet nie czekaliśmy aż zupełnie zgasnie, lecz zaczęliśmy marsz, gdy tylko świetlisty krąg związa się nad ziemią, w miastę opadania źródła światła, Jeszcze pół godziny, godzina i znowu wracamy w las.

Dziwna rzecz. Kiedyś w domu, nawet w starszych klasach szkoły powszechnej, bałem się ciemności lasu. Nie ciemności w ogóle, lecz tej między drzewami. Za nic nie poszedłbym sam nocą w jakkolwiek gęstwinę. Nie wierzyłem w zaszale w duchy i strach, ale las działał na mnie deprymująco. Teraz, gdy na horyzoncie zamykają się linie ciemnych drzew, czuje się tak, jakbym zbliżał się do własnej zagrody. Tygodnie spędzone w leśnej gęstwinie zmieniły dotychczasowe uczucie i nawyki. Tak jest i teraz.

Gdy ogarnął nas cień gęstych drzew, gdy nad głowami zaszumiały ledwie widoczne pachnące wiosną liści, odetchnęliśmy z ulgą. Reszta nocy przeszedła nam znacznie lepszym niż na początku nastroju. Przestały niepokoić rakiety, strzały, bliskość niemieckich placówek. Teraz myśl o niedalekich torebach nie opuszczała chyba nikogo nawet na moment. Podekscytowani tym ułożyliśmy się na krótki odpoczynek i drzemkę.

Nowa porcja emocji oczekiwała nas już o świcie, gdy dowiedzieliśmy się od dowódcy, że za kilkanaście minut staniemy koło niepokojącego od tak dawno celu. Tury tuż! Zaraz! Dotąd wszystko układało się wyjątkowo pomyślnie. Od Ziemiicy nie już nam nie zagroziła drogi. Do białej nie uwilę?

Odewały wszystkie niepokojące, wszystkie obrazy niedawnych walk dywizji, podnoszą przebijania się przez tę zaczerwoną granicę, wszystkie opowiadania i wspomnienia kolegów. Wydawało się chwilami,



że tylko dzięki jak znowu pęknięciu plucie okowiem w oczy, stojący tu  
gdzieś w ukryciu pociąg pancerny, a potężne reflektory odlepią tym  
razem jeszcze bardziej.

- Czyżby jednak Niemcy byli w stanie obstarwić całą linię torów,  
od Kowla aż po Bóg? - pocieszałem się, patrząc z rosnącą obawą w  
kierunku, dokąd za chwilę mieliśmy ruszyć. - Czy tak pilnują, by nikt z nas  
nie mógł wyśliznąć się z puszki? Może nie będzie aż tak źle.

A i kolechy też pewnie mieli podobne <sup>ym</sup>myśli <sup>ami</sup>zaprzątnięte słowy,  
bo pochylali się do siebie i jak najciszej dzielili się jakimiś wra-  
żeniami, spożywając na północ. Nie było to to samo miejsce, przez które  
przechodziła tania dywizja - tamto znajdowało się kilkanaście kilometrów  
na zachód od nas, - ale lęk pozostawał taki, jak byśmy mieli za chwilę  
natknąć się nawet na ślady niedawnej bitwy. A przecież na tę chwilę od  
tyłu oni czekaliśmy z rosnącą niecierpliwością.

Nie było jednak czasu na długie rozmyślenia, bo "Jastrzęb" poprowa-  
dził oddział jeszcze kilkadziesiąt metrów na skraj lasu, potem kazał  
każdemu uklęknąć cicho gałąź brzozy lub innego, liściastego drzewa i w  
pozycji leżącej czosnąć się wolno <sup>do</sup>widniejącego już nasypu, trzymając  
całą czystą zieloną gałąź nad głową. Spełniliśmy szybko rozkaz i wróćce  
po kilku jednocześnie sunęliśmy się w wyznaczonym kierunku.  
Popchnąwszy pod sam nasyp kolejowy odrzuciło się gałąź i jak najszy-  
bciej nisko pochyleni przeskakiwaliśmy na drugą stronę. Tam zapał  
każdy w gęsty szajnik i czekał na pozostałych kolegów.  
Przeprawa przebiegała tak szybko i bez żadnej przeszkody, że aż trudno  
wizualnie uwierzyć było, że jesteśmy "ze torami" - co tak niedawno było  
tylko marzeniem. Ziemia zrobiła się zupełnie widno, naszerowaliśmy  
wartkim krokiem na Polesie.

Mosurskie lasy i ziemlickie pozostawały coraz dalej za nami.

Rozpoczął się nowy rozdział pogoni na dywizję.

## ===== NOWY ODDZIAŁ PORUCZNIKA "JASTRZĘBIA" =====

Oddział jaki zorganizował w mosurskich lasach por. "Jastrzęb" po  
nieudanych wywołaniach się z okrążenia części dywizji wyraźnie odbiegał  
od tego, z którym nasz dowódca rozpoczynał w Zasykach swój partyzancki  
epos. Znalazło się w nim teraz oprócz znacznej liczby dawnych "Jastrzębiaków"  
po kilku, kilkunastu i więcej ludzi z różnych batalionów i służb.  
Wszyscy, którzy nie zdążyli się przedrzeć przez tor, których grzech  
niemiecki rozproszył i zmusił do odwrotu, szukali u "Jastrzębia"  
jednej wtedy estoi i oparcia. Tylko pod jego komendą <sup>możliwe</sup> było liczyć na

możliwość pewnego dotarcia do woich i kontynuacji walki. Było wprowadzić wielu, którzy skutecznie próbowali wyrwać się z okrążenia na własną rękę, lub małymi grupami, lecz ci myśleli najczęściej o przedostaniu się przez front i nie udało im się nawiązać z "Jastrzębiakami" kontaktów, albo też się od niego w różnych okolicznościach bez własnej woli odłączyli.

Obok, jak powiedzieliśmy, starszym dowódcami, jak powiadałem, starszym oddziałem było z "Krwawym" batalionem "Sławego", dowódcy okazali się dobrzy, lecz nie na czas powodzeń, a nie w trudnych próbach, jakich nam wtedy oszczędził los.

Wszyscy byliśmy z tej samej wizji, lecz na tym w zasadzie konceptu, że na nic złego nie można było liczyć zgrany, rozumiejący się zespół. Nieznacząco inne mieliśmy spojrzenie na różne wielkie i małe sprawy, różny sposób bycia, różne charaktery, usposobienia, nawyki partyzanckie. Nie mówię, że gorsze - po prostu inne. Nie znaliśmy się przedtem, nie mieliśmy więc stworzyć, jak by się to dziś powiedziało - żołnierskiego koleżeństwa. A przede wszystkim warunki, w jakich się znajdowaliśmy, niepewność nie tylko jutra, lecz także dnia dzisiejszego, odbierała spokój i dobre samopoczucie każdemu. Poza tym jedni służyli w partyzantce od początku powstania oddziałów zarówno 50 pp jak i innych, na przykład "Gonowy", inni dołączyli do dywizji dopiero po ogłoszeniu akcji "Burza", jednym życie partyzanckie zaczynało już wchodzić w krew, inni poza jeźdźcami ciężarami niewiele więcej odczuwali. Wiele osób pochodziło ze służb pomocniczych, do większych wysiłków fizycznych nie byli przyzwyczajeni, nic więc dziwnego, że długie, wyczerpujące marsze, najczęściej z pustym żołądkiem, były dla nich prawdziwym utrapieniem. Ciągłe wykonywanie się niebezpieczeństwom, poczucie ogromnej samotności, słuchanie nieustannego workotu czołgów, samochodów niemieckich i strażów karabinowych tuż za zmieniającymi się ciągle miejscami postojów odbierały i w odwodzie, i w walce, i w przemieszczaniu się, i w odważniejszym duchu. Dlatego nie można było mieć do nich pretensji.

Znacznie łatwiej wszystkie ciężary życia znosili rodowici "Jastrzębiacy". Znali dobrze swego dowódcę, on znał ich, ufali mu całkowicie, gdyż nigdy ich nie zawiódł.

Jego wezwania jako dowódcy mieli okazję poznać w najtrudniejszych sytuacjach nieodwrotnych frontowych walk, walk krwawych, zaciętych, prowadzących o ile przeważającymi siłami. Skoro więc tam pod Stawkami, Władynowem i w tylu innych bitwach nie stracił głowy, wprost przeciwnie - wykazał niezwykłą wyjątkową kark hart ducha, odporność psychiczną



i niezbyt dużą wychodzenie obronną ręką z najtrudniejszych operacji, z pewnością i teraz wyprowadzi nas-swych podwładnych z niecodziennych tarapatów. Tej wiary tego przeświadczenia brakowało przybyłom z innych oddziałów. Nie dotyczyło to jedynie nielicznych zresztą członków z batalionu "Sokół" i częściowo "Siwego", ci bowiem znali "Jastrzębia" i darzyli go podobnym zaufaniem jak "Jastrzębiacy". W iluż to "wyprawach" szli obok siebie "Jastrzęb", "Sokół" i "Kania"-najstarsi dowódcy w rejonie Zaszyk i dali się poznać z najlepszej strony. Wreszcie z wielu żołnierzem wspomnianych batalionów znalazł się osobiście z czasów poprzednich, przedpartyzanckich. gdyż wywodziliśmy się z tych samych stron, z tej persalii, do tych samych szkół uczęszczyliśmy, dlatego bez potrzeby dłuższej asymilacji netychmiast utworzyliśmy z nimi doskonałą całość.

Wartość porucznika "Jastrzębia" jako prawdziwego człowieka oficera i Polaka zaznaczała się w tym trudnym okresie w jeszcze jednym ważnym aspekcie: mianowicie niektórzy oficerowie niechętnie patrzyli na tańczących się po lesie, lub wręcz odpędzali ich od siebie, aby nie pogarszać sobie i tak trudnej sytuacji. "Jastrzęb" na odwrót - szukał rozbitków, by ich zabrać ze sobą, a potem doprowadzić do macierzystych oddziałów, rozsyłał też w tym celu patrole, żołnierzy, zachęcał do wstąpienia w swoje szeregi, do wytrwałości, ale widział samowolnie odłączanie się i szukanie własnych sposobów wyjścia z okrążenia.

- Każdy karabin - mawiał - będzie się bardzo liczył w końcowym rozrachunku z naszym wrogiem i każdego szkoda stracić. A przede wszystkim szkoda każdego człowieka.

I gdy mu ktoś przytakiwał, uśmiechał się z zadowolaniem kiwał głową i kończył żartobliwie:

- Odtąd to właśnie, odtąd to : Ot co

Trudno mi określić ściśle wielkość ubranego w lasach oddziału. Jak mi się wydaje w czasie pierwszej próby przejścia torów, mógł on liczyć ok. 250-300 osób. Być może, że jest to liczba nieco przesadzona, ale taka pozostała mi w pamięci. Później po rozproszeniu się pamiętanej nocy po wejściu między niemieckie samochody i po walkach w dniu następnym pozostała mniej niż połowa poprzedniego stanu, to jest około 150- może nieco mniej żołnierzy. W czasie ciężkich marszów przez bagna poleskie ubyło jeszcze przynajmniej kilkadziesiąt osób, które nie mogły wytrzymać trudów, głodu, niebezpieczeństw. Znikali po drodze nie ostrzeżenie, nie właściwe dowody, chęci obejścia. W ten sposób zniknął pewnej nocy stary i oświecony "Jastrzębiak" Zygmunt "Burza". Odnalazł się dopiero po wojnie. Oprócz porucznika "Jastrzębia" było w oddziale jeszcze paru oficerów.

Pamiętam, że szedł z nami ppor. "Rybitwa" /został po ataku Niemców, gdy cofnęliśmy się z samochodowej "pułapki"/, szedł do końca por. por. "Mściwoj", "Kostek", "Tęczyn", "Kruk" z amputowaną ręką. Było kilkunastu podoficerów, był lekarz dr Zagórski z żoną i chyba z kilkunastoletnim synkiem. Nie przypominam sobie jednak, by w wyższych chwilach porucznik "Jastrząb" powierzył swej kadrze oficerskiej jakiegoś samodzielnego zadania.

Wśród tej przypadkowej grupy partyzanckiej znajdowało się paru kryminalistów, którzy swym zachowaniem niezmiernie urozmaiciли nasze trudne pięciodniowe dni. Najbardziej utkwili mi w pamięci dwaj bracia, którzy -y zaskali sobie w całym oddziale misio "Mietków". Jeden z nich istotnie -e miał na imię Mieczysław, imienia drugiego nie jestem w stanie przypomnieć sobie. Obydwaj byli niewielkiego wzrostu, szczupli, ubogo odziani, o twarzach wiecznie czymś ztroskanych i wiecznie czegoś nie zadowolonych, malkontenckich, jakby stale nosili ukryty w stosunku do wszystkich żal i pretensje. Mieliśmy z nich sto pociech. Oba odznaczali się wyjątkowo słabą pamięcią. Natychmiast uciekało im z głowy wszystko o czym się przed chwilą mówiło.

Szczególne zebrały mieliśmy, gdy młodszy pytał raz po raz starszego:

- Mietek! Jak twoje psychodonia, bo zapomniałem?

Mietek odpowiadał, że po godzinie rozlegało się od nowa:

- Mietek jak twoje psychodonia ?

Tak dziwnie i zabawnie ułożył się młodszemu z "Mietków" w głowie wyraz "psychodonia". I mimo ciągłego powtarzania "Psychodonia" brata do końca zapamiętać nie był w stanie. Gdy zbliżało się jakiejś niebezpiecznej chwili, młodszy rozglądał się niespokojnie i drżącym głosem pytał brata:

- Mietek, no i co teraz będzie?

- A Mietek zawsze niezawodną radę miał :

- Czego się drzesz ? Trzeba się dobrze schować!

Lecz gdy w grę wchodził ich osobisty interes, potrafili być nawet groźni. Nie wiem jakim sposobem to robili, lecz zawsze w plecokach miał -i więcej jedzenia, od innych. Jakiś kawałek kiełbasy, trochę ziemniaków, trochę maki, kawałek słoniny, a nawet kromka starego wyprazdka x wprawdzie nie prawdziwego chleba. Ciągłe gdzieś tam się zawieruszyłem

Od razu zdarzyło się raz, że ktoś niepostrzeżenie opróżnił im jeden plecak. Gdy to zauważyli, narobili takiego rwetesu, tyle chaosu i pogromek na nieznanego sprawcę, że omal nie wynikła z tego jakaś awantura. Chwyłeli nawet za karabiny. Z trudem udało się wreszcie rozjaśnić obu "Mietków" /uspokoić. No solidarni byli nad wyraz.



Myślałem że ja kolkami z soba będę żył? - pokrzykiwał dżuro  
 jeszcze biedny parakodowany.

Pod koniec naszej pogoni za dywizją, oddział choć znacznie uszczu-  
 plony liczebnie, spoił się, zżył i przestał robić wrażenie ludnej,  
 przypadkowej zbieraniny. Przede wszystkim bez względu na poprzednią  
 przynależność służbową wszyscy nabrali dla "Jastrzębia" respektu i  
 uznania, czemu dawali wyraz w licznych z nami "Jastrzębiakami" rozmowach.  
 Wiele otwarcie zazdrościli nam dowódcy, szczególnie ci, którzy zawiedli  
 się na swoich. Teraz odczuwali ów zawód szczególnie mocno. Kilku z nich  
 pozostało już do końca w naszym batalionie.

Przypominam sobie, że pierwsze imieniny porucznika "Jastrzębia"  
 obchodzone już na ziemi lubelskiej, zadokumentowały tę więc bardzo  
 wyraźnie. W piękny piękny słoneczny dzień, w niewielkim brzoźowym lesku  
 składaliśmy życzenia swojemu dowódcy. Żołnierze z innych oddziałów idący  
 z nami czynili to wyjątkowo serdecznie, dziękując za dotychczasową  
 opiekę, troskliwość i ojcowski stosunek, do wszystkich bez wyjątku. A  
 wszyscy życzyliśmy mu dalszych sukcesów w walkach z hitlerowskim wrogiem  
 i doczekania się jak najszybciej wolnej Ojczyzny oraz spokoju i odoczy-  
 nku po poniesionych trudach. Niestety, wszystko to miało pozostać w  
 sferze dosłownie "pobocznych życzeń". Lecz los zarządził zupełnie inaczej.  
 Ale wtedy jeszcze nie nie skazywało na kierunek, w jakim potoczą się  
 nasze dzieje, a w nich i nasze żołnierskie losy. Tym bardziej, że po kilku  
 dniach, byliśmy już nareszcie wśród swoich - w dywizji. Nadszedł dzień,  
 którego czołkiem z utęsknieniem od tyłu tygodni. Tu na Pojezierzu, w Rudce  
 Kijańskiej, Parczewskich lasach, Kamionce, Kozłowie, wreszcie w Skrobowie  
 miał się wkrótce rozegrać najtragiczniejszy, gorszy i bardziej bolesny  
 od okrutnego w mosurskich lasach, rozdział naszej historii.  
 Takiego epilogu, nie przewidział nikt...

## POLESIA CZAR =====

Polesie czar - to dzikie knieje, moczary,  
 Polesie czar - smętny to wichrowy dąk,  
 Gdy w ciemną noc z bagien wstają opary,  
 Serca me drży, dziwny ogarnia lęka,  
 I słyszę, jak z głębi wód,  
 Jakąś skargę się miota  
 Serca prosiła wierzy w Polesia czar.

Tak brzmi refren znanej przedwojennej pieśni. Była melodyjna,

chwytliwa, łatwo wpadała do ucha i chętnie śpiewana. Lecz która z nas, nucąc ją wtedy, mógł przypuszczać, że niebawem owe dzikie knieje, noczary, gdzie "wiosny ląnią i cicho szumi poleski las", będziemy przemierzali własną stopą, tylko że w warunkach jakże kontrastujących z romantycznymi słowami piosenki. że będziemy mieli w ogromnym niedmiarze i "wód toni", że spotykając będziemy i poznawać z bliska ów "posępny lud", że unosić się będą nad głowami i "much roj" i "opary" w ciemną noc wataję z bagien i wiele, wiele innych autentycznych dowodów na to, że autor popularnych słów wcale nie fantazjował, lecz opierał się na sprawdzonych realiach, które oglądać musiał własnymi oczyma.

Ale jakże nużyło nas wtedy owo niesprzeczelne piękno Polesia, jak byliśmy od nastroju sprzyjającego podziwianiu wszelkiej eszotyki, niepowtarzalności polskich krajobrazów, jedynych w swoim rodzaju. Refrenowa "skarga" miotła się nie tylko "z głębi wód", miotła się częściej z ust ludzi obolałych, z pokaleczonymi nogami, nierządco owe "skarga" szła w parze z przekleństwami, złościami i wrogiem, którzy prawowitych obywateli tego kraju skazują na poniewierkę, głód, zatrucie. I jakże tęskniliśmy wtedy do zwykłej twardej ścieżki, nie mówiąc o normalnej, choćby i piaszczystej wiejskiej drodze. Brnęliśmy przez poleskie bagna całymi dniami, znacznie częściej nocami niezas w wodzie po pas, zawiązyując nogami o sploty podwodnych korzeni, wyciągaliśmy z trudem drąc na strzepy buty z gęstej mazi, nie widząc końca takiej wędrówki. A znosił to każdy bez narzekań, w głębokiej ciszy, tak, aby nawet broń o broń nie szczerkła, żeby stojący o kroków sto dalej niemiecki patrol nie usłyszał żadnych podejrzanych dźwięków. Rzadko tylko ktoś nie wytrzymał i rzucił przez zaciągnięte zęby krótkie mocne słowo, lub tylko syk, w którym mieściły się wszystkie udręki, cierpienia i bóle. Dopiero po wyjściu na bezpieczną, jasną torwę padały słowa na określenie wszystkiego tego, co zdawało się nigdy nie mieć końca.

Pewnej nocy brnąc w ciemnościach za plecami któregoś z kolegów i wpatrując się w te plecy z całej siły z obawy przed zgubieniem się, poczułem nagle, że podszwyc przewożone trzewiki oderwała się prawie zupełnie i przytrzymuje ją jeszcze tylko parę gwóźdźi, tych dłupek, którymi przybija się obcas. Podwinęta do tyłu ogromnie utrudniała marsz, a nie można było i zrobić i nią jakiegokolwiek porządku, bo groziło to w każdej chwili, jeśli nie zagubienia się, to wpadnięciem w niewłaściwe grzązawisko, skąd można było się wydostać tylko z wielkim trudem nogi, zawiązyując co chwila oderwaną podszwicę o splecione wodorosty, korzenie, gnijące gałęzie. Po pewnym czasie ten sam



los spotkał i drugi but, tylko w mniejszym nieco niż pierwszy stopniu. Jeszcze parę kroków i prawa noga wysunęła się całkiem na zewnątrz, but zawiązał w połowie łydki, a noga lewa mordowała się nadal z odzyskując wiać coraz bardziej podszewę. Teraz każdy krok był istotnym utrapieniem. Wystające korzenie i wodorosty krwały w boso stopy, często do krwi. Nie było jednak na to rady i mordowałem się w ten sposób jeszcze ponad godzinę, zanim nie wydostałoby się wreszcie na suchy ledwy grunt. Dzielę już się robię, więc porucznik "Jastrzęb" zarządził upragniony odpoczynek aż do wieczer. Zabrałem się natychmiast do wyciętych nieszczęsnych butów, o jakiegokolwiek reparacji nie mogło być mowy, oberwałem więc bez namysłu obie podszewy, porobiłem z trzymających się jeszcze jako tako cholewek otworki szczyrykiem, przewłokłem przez nie mocną sznurówkę i przywiązałem nimi obie cholewki pod podszewy stóp. Gdy stanąłem na ziemi, patrząc z góry miało się wrażenie, że buty, poza dziwnie postrzępionymi brzegami, nadają się jeszcze do użytku. Tymczasem zakrywały one nory tylko od góry, ale o ziemię ppiersko się bosa stopa, skrapowana sznurkami, kłutą szyszkami, gałązkami i łaskotaną igliwiciem sosny. Koledzy częstokroć pokpiwali sobie z takiego oryginalnego obuwia, ale gani czuli po cichu, że w każdej chwili może to spotkać każdego. I rzeczywiście przy końcu poleskiej epopei nie jeden wędrował w podobny sposób. W takim "obuwiu" przemaszerowałem co najmniej połowę czarownicj krajiny, czując jej powierzchnię każdym skrawkiem bosych stóp.

Często gdy byliśmy zbyt zmęczeni, patrzyłem na poleski krajobraz nasz szczerym podziwem. Wiosna była w pełni. Drzewa pokryły się pierwszą delikatną zielonką, pachniały brzozy i kwiaty, pachniała przecudnie świeżość pól. W bagnach rozlegały się prawdziwie żabie chóry, nie pomnę na zło przaciągające przez świat, w trawach ze wszystkich stron tarkotały niezmordowane derkacze, w gałązkach, głuche na grzmoty frondówkach działy, kłaskały słowiki. Raz po raz podrywały się z łopotaniem skrzydeł między gałęzie olch i brzozy stada wodnego ptactwa. A nad tym wszystkim unosiła się szara, lekka mgielka, delikatna i nieruchoma, przetykana niegłębokim blaskiem księżyca. Siadałem wtedy najczęściej na jakimś powalonym pniu drzewa i marzyłem o podróży przez tę dziwną krajinę w warunkach zwyczajnych, normalnych, w biały dzień, spokojnie, bez jakiegokolwiek obawy przed złymi ludźmi, lecz nie Poleszucami, gdyż ci byli chyba niejako przeciwnymi do światła, ale tymi, którzy bezprawnie nagmatują i ogólną cudzą ziemię i w niewolników zamieniają mieszkańców. Ilek w takiej podnocy krajownawczej doznałby człowiek miłego, estetycznego wrażenia, jakże podziwiałby się tym pierwotnym, nieskażonym ręką człowieka, odwiecznym piękniem! A tymczasem....

Bywale, że nocą zaskakiwały nas temperatury w pobliżu zera stopni. Nie dawało się chłodu podczas przymrozków, czy nawet brni się po bushach i soczewkach, choćby i po lodowatej wodzie. Dopiero o świcie w przesadnym ubożeniu ułożyliśmy się do snu, zimno zaczynało dawać się dotkliwie we znaki. Mimo to zysypialiśmy natychmiast, a dopiero po przebudzeniu się przez zęby zaczynały szacukać, a po skórze przebiegały zimne dreszcze. Nieraz zrywał się ten i ów i zaczynał wyprawiać dziwne narce, skoki przysiady, wymachiwanie rąk, byle tylko rozgrzać się nieco i znowu ruszać się do znowu twardego snu. Dopiero ciepło dnia pozwalało na spokojny blagi odpoczynek, o ile nie przerywały go niespodziewane alarmy i przygotowania marszowe. I są trudno uwierzyć, że mimo spędzenia dwóch miesięcy, bez mała zupełnie pod gołym niebem, bez względu na pogodę i temperaturę, nie znało się w zasadzie epidemii grypy, nie było przeziębień, nie przypominał sobie, by ktoś cierpiał na dokuczliwy kaszel lub katar. Tylko nogi niektórych pokryły się ranami i wrzodami, przykrymi i bolesnymi. Cierpieła na nie dotkliwie także nasza sanitariuszka "Marysia" - Alce Scelinówna, późniejsza moja żona, po raz pierwszy w życiu zmuszona do brodnienia boso po pas w zimnej wodzie. I to były jedyne doraźne skutki owego marszu przez Połesie, Cesarowne Połesie. Reumatyzmy, lumbago, zapalenia korzonków i wszystko inne miało przyjść dopiero po latach.

Owczesna Połeska wiosna nie należała do ciepłych i słonecznych. Zdarzało się, że kilka dni pod rząd padał drobny deszcz. Tak było, jak sobie przypominam w okolicy Zabłocia. Szliśmy w przemoczonych płaszczach, jakimiś ogromnymi obszarami łok i pęstwiak, młodych zagałników, odpoczywaliśmy na mokrej ziemi, a deszcz popularnie trzydniówkę - siąpił dzień i noc, wystawiając na próbę naszą odporność fizyczną i psychiczną. W ten sposób nie tylko w piosence, lecz w utrapionej rzeczywistości "wzdrowało ręką przemoczona pod plecakiem osiemnaście lat"... bez narzekania - utyskiwań, wyrzutów pod adresem swoim i ludzi "Nie znamy żala, ani rozpacz, do każdy los swój wybrał sam".

Przed wyjazdem partyzanckie piosenki.

Zdarzyło się to parę dni po dołączeniu do dywizji w okolicach Ostrowa Lubelskiego, że trzeba było znowu maszerować twierdą wprowadzić drogą, lecz wśród ciągnących się po obu jej stronach rozległych podszkrywań, z widoczną w dali błękitną telfą jeziora, porożniętego kępniami roślin, między którymi gdzieś nigdzie spowijała się tak odrobina unana, lekka, swiślna mgiełka, w zapadającym zmroku przypominała nie kończące się morze. I natychmiast jak żywe stanęły mi przed oczyma krajobrazy opuszczonego Połesia. Przyłapałem się na



dałwya uczucia, zrobiko mi się nagle żal i tętych ziem i męczących  
po nich wprawk, przedzierania się przez chaszcze i lasy ostępy, nawet  
bracia, co byli nocyami po pas w błocie i wodzie. Pojeżdżano - Leczyńsko-  
Włodawskie przyjąwoko nas serdecznie i gościnnie. Spółeczność tamtejsza  
podkreślała panujący w naszych szeregach ład i porządek, dyscyplinę, nie  
kaprałską lecz wynikającą ze wspólnego szacunku i zrozumienia,  
dotrzymując wysokie morale naszego żołnierza, odoberak się nawet sposób  
bycia, co jeszcze po latach mogłem stwierdzić w rozmowach z poznanymi  
wtedy ludźmi z tamtych wsi, czego, jak mówiono, brakowało często miejsco-  
wym zarządcom partyzanckim - słowem mieliśmy teraz wszystko, czego  
dusze zapregnie, a jednak czułem się <sup>w</sup> tym nowym otoczeniu dziwnie coko.  
Tkwiło we mnie przekonanie, że nasze nicjsce jest tam, gdzie zostały  
kości tylu kolegów, przyjaciół, gdzie spoczął na wieki dowódca dywizji  
ppk "Cłiwa". Gdzie woiakko tyle polskiej krwi i tyle żez. Gdzie została  
najblijsze sercu ojczyzna i ojcowizna, spadek po dziadkach i pradziadkach.  
Wiedawnych chłód i pęd, nieustannie zagładanie śmierci w oczy -  
wszystko to nietylko nie zraziło nas do tamtych stron, wprost przeciwnie  
- uczyniło już teraz budzić tęsknotę, żal, wydawało się tym blijsze i  
droższe, im więcej kosztowało to, cośmy przeżyli tam. I zaczęła się  
rwać dusza do koczujących się rozlewisk i bagien nad Prypecią, do kraju  
cichego, cennego, między Lubczem a Brześcian, lecz do kraju, w którym były  
niegdys dobre, szczere, prawdziwie polskie i ludzkie serca. I leciała myśl  
dalej - do Zsmyk, Kupiczowa, do wszystkich pozostawionych wsi i miast, o  
które staczały się niedawno krwawe boje, gdzie zdobywaliśmy żołnierską  
glaw, gdzie zostawiliśmy sporą część siebie i nigdy tego nie  
zapomniemy. Niegdys tęsknie myśli do rodzin, z którymi Bóg wie co się teraz  
dzieje ? ... Trapiła mnie nieodparta myśl, kiedy zobaczę tę drogą ziemię?  
Kiedy Będzie mi dane westchnąć nad mogilkami Bolka Gisinga, Staszka  
"Zajaca", sierżanta "Mostowicza" - rycerza bez skaży, jak by powiedział  
Sienkiewicz, Franka "Olszynki", braci Sakowiczów, Teodzia Wójcika" - druha a  
doorego ze szkolnej ławki zsmyckiej, jakże teraz bliskiej, Czeska "Typrysa  
naszego kompanijnego skrzyпка nad skrzypkami, plutonowego "Męciciela",  
który przecierpiwszy tyle w Kupiczowie, Mosurze i lesnym szpitalu pod  
Ziemlicą już prawie zdrowy, musiał położyć głowę bestialsko zamordowany, po  
szczęśliwej udawoboby się wiodące. I teraz - dwa dni temu, stojąc nad  
mogilką niedoszłego pamięci księdza Żukowskiego w Torpniu, Wapinińszem  
Ich wszystkich, do pewnie zmarły nasz kapłan też tam chętniej złożyłby  
swo zmierną. Żewano przecież myśla wracać do tamtych, polsko-żez, ale  
odprawienia ich coko w czystym polu w Zsmykach, gdzie tyli ich spoczywa  
ale pełnej listy ofiarnych i najlepszych synów Wołynia nie sposób jest

tu przytoczyć, bo za szczupło okazałoby się ramy tych wspomnień, aby choć jedno zdanie każdemu na wieczną, rzeczny pamiętkę poświęcić. Wona na nich może krosy zboża, może dzika tarnia i głogi kolczaste, na tych nieznanym żołnierzach, bezimiennych bohaterach, bez tabliczek brzożowyc krzyżach, tych tabliczek, które by powiedziały chociaż kto śpi snem wiekuistego pod skromną darnią, porosłą na wołyńskim lub poleskim piasku.

Siadłem tak nieraz samotnie, o zmroku w Ruśce Kijedńskiej Kamionce lub pod drzewem w porczewskim borze i biegłem myślą i gorącym uczuciem "tam, gdzie sędziwe szumią lasy", gdzie stoją samotne krzyże stare, starością tak zżmiane, a wicher nad nim łka", a którym przybyły teraz nowe, które niech będą wyrzutem sumienia dla każdego, kto był przyczyną tych krzyży i mogił, a nie zatracił jeszcze resztek człowieczeństwa. Nawet jeśli te krzyże leżą pokamane i zmurszałe, a nagrobki potłuczone na cząpki i trawą porosłe. Lecz te może krzyczą najmocniej, najgłośniej. Ż zanim wielkim krzywdom historii nie uczyni sprawiedliwości...

Wtedy dzieci nasze lub wnuki złożą na tych mogiłach kwiatek i zedumają się nad dawnymi laty .....

P O Ż E C H A N I E      K R E S O W  
=====

Ostatnie dni pobytu na Polasiu, a tym samym na wschodnich rubieżach polski, pozwoliły nam wypocząć, odżywić się nieco, zregenerować nadwyrężone mocno siły i w ten sposób przygotować się do ostatniego etapu długotrwałego marszu: za Bug do swoich. Odpoczynek ów stał się możliwy dzięki gościnie, jaką zgotowali nam partyzanci radziaccy. Wstąpiliśmy do nich na krótko, a pozostali przez dwie doby.

Jakże różny od nas podzieli żywot. Mieszkali w lesie złożonym ze starych rzadko rosnących sosen o rozłożystych konarach i prawie bez pozycie, otoczonym od wschodu i południe rozległymi piaszczystymi polami. Od strony zachodniej teren był obniżony, a las przechodził w mieszanią olch, brzoż i innych drzew rosnących zwykle na podmokłych terenach. Obóz partyzancki ulokowany był na najwyższym wzniesieniu łącznym, skąd można było obserwować przedpole i nie stać się istwo zaskakane. Partyzanci mieszkali w dobrze zamaskowanych, obuszarowych i wykopanych ziemiankach, opali na przyczek, nie musieli stawiać się przed ludzkiem. Mieli dużą kuchnię polową, stoły, gdzie spożywali wspólne posiłki, mieli do swego użytku kąpieli i ciepłą wodę, plac do zbiorów,



świeżej, nawet gry w piłkę. Jedli smacznie i obficie, nie też dziwnego, że  
że wyglądali doskonale, świeży, wypoczęci, i zadowoleni z siebie i swych wó-  
wzków. Chodzili w pełnym umundurowaniu, z dystynkcjami i robili  
wrażenie nie oddziału partyzanckiego, lecz regularnej jednostki wojakowej  
przerzuconej przez front dla specyficznych poruczeń. A ich obóz przypominał  
- był zwykłe kaszary. Patrzyli na nas, wynędzniałych oddziałów, a troska  
i trochę z politowaniem, ale jednocześnie widząc było w ich oczach -  
zwłaszcza u prostych żołnierzy - podziw i uznanie. Zachęcali do pozostania  
u nich dłużej, twierdząc że nie ma potrzeby gdzieś tam się spieszyć.  
Front niedługo, przyjdą wkrótce sami. "Germaniec" ucieknie i koniec  
z partyzantką. Na rozmów nie dawali się wciągać, odpowiedzi krótkimi,  
starymi zwrotami.

Drugiego dnia pobytu w ich obozie siedłem obok czyszczącego pistolet  
młodego bojaka.

- Od kiedy tu jesteście? - rzuciłem mu pytanie. - Po urzędziliście  
się bardzo dobrze, wygodnie.

- O, nie dawno, odpowiedział nie odrywając wzroku od roboty. -  
Panrawista wam u nas?

- Tak bardzo, odpowiedział. - A. wolk dużo stoczyliście?  
Pytałem dalej.

- Nu, kilka, osiem, dziesięć! - odpowiedział bez wahania.

Nie próbowałem jednak zwierzcę się ze swych wojennych przewar, nie  
chciałem mówić, gdy go pytałem o bitwy, wypadki, sebotaż. Nie sądziłem by to  
miało wynikać z tajemnicy wojskowej i potrzeby jej zachowania, raczej  
skłonny byłem sądzić, iż przyświecał im inny cel niż wojna podjazdowa  
i tym wszystkim, o co pytałem, nie zatrudniali się w ogóle. Legali nas  
przyjaźnie mówiąc wtedy: "DO zobaczenia w Berlinie"! A potem jeszcze  
głowo odprawiali wzrokiem nasz oddział, zanim nie zniknęliśmy w  
gęstwinie drzew, lecz szczerą ich przyjaznych uczuć poznałem nieco  
później od jednej z sanitariuszek idących wtedy z nami, tylko wolę to  
zostawić na potem.

Za dzień, lub dwa mieliśmy przejść na lewą stronę Bugu.

W tej kończącej fazie marszu przez poleskie lasy i mokrzary szadłem  
często w szeregach postojów na uboczu pi notowałem najważniejsze przebiegi  
i zdarzenia od chwili opuszczenia obojzła, a przede wszystkim z marszu  
przez północny Bugu i Polesie. Zniszczyłem niestety po wojnie iwo  
nieodnotowane notatki, pisane w formie dzienniczka lub też luźnych  
wspomnień zapisanych faktów, miejscowości, dat itp. Ale z grubą pamięcią  
do dziś, co wspominały, zwłaszcza jeśli idzie o osobiste przebiegi i  
doznania w niektórych ważniejszych momentach naszej wędrowni. Zapisywałem

wrażenia wywołane widokiem autentycznych śladów niedawnego przemarszu naszych batalionów, na które w pogoni za dywizją stale natrafialiśmy. Znajdowaliśmy często bowiem dość czyste i szerokie, świeżo wydeptane ścieżki, szczególnie na mokrych łąkach, świadczące o tym, że przeszły tamy wielkie ilości żołnierskich nóg. A ktoś inny mógł tamy naszerować, jeśli nie nasi? Zresztą spotkania po drodze Polaków potwierdzali nasze domysły i przypuszczenia, przyznając, że ciągnęli tamy niedawno polscy partyzanci, dwa, może trzy tygodnie temu i że było ich bardzo dużo.

Spotykaliśmy w lasach miejsca po wypalonych niedawno ogniskach, znajdowaliśmy przy nich kupy pieczonych kartofli, czasem poгрызane kości, to znów skrawki papieru z polskimi wyrazami.

Największe jednak wrażenie robiły, spotkane głównie w Szackich lasach, świeżo usypane, samotne mogiły i to notowałem najskrupulatniej. Wiedzieliśmy od razu, że spoczywają pod nimi nasi koleżki, może z naszego batalionu, może nawet z drużyny. Patrzyliśmy z zaciekawieniem na zawieszono na ramionach akcyjnych brązowych krzyżów, białoczerwone opaski, na jednej lub dwóch mogiłkach ręka kogoś z koleżków położyła czapki-rozetywki. Leżały nadal na ubitym przez deszcz nagrobku, świadcząc o tym, że głowa polska je nosiła, z nim nie legła pod polską dłoń. Wydeptana dookoła mogiły ziemia wskazywała, że stali tu niedawno żołdacy, oddający ostatnie honory poległym.

Po dotarzeniu do dywizji okazało się, że nasze domysły były całkowicie trafne. Tam dopiero dowiedzieliśmy się o powtórnym okrążeniu naszych oddziałów w szackich lasach i o ciężkiej przeprowie przed wrogiem, krwawych walkach, jakie trzeba było stoczyć, by wyrwać się z opresji. Tam opowiedziano nam i o poniesionych stratach. Teraz dopiero jasnym stało skąd te mogiły...

Wiele krwi wsiąkło w naszą kresową ziemię...

W swoich notatkach znajdowały się też wspomnienia o spotkaniach luźnych z grupami partyzantów rosyjskich. Różne bardzo były te spotkania. Czasem zupełnie przyjazne. Dowiadywaliśmy się od nich także o przemarszu dywizji. Mówił dużo o naszych oddziałach, wymieniali pseudonimy dowódców - "Kowale", "Żegoty", "Cardy" i innych. Widać było, że w naszych sprawach są bardzo dobrze zorientowani. Rozmawiali z nami spokojnie i po koleżeńsku.

Bywało i inaczej. Nasz, o zamiarach, gdzieś na początku lasów szackich natrafiliśmy na polnie na spory oddział radziecki. "Jestrzab" wyszedł na spotkanie ich sztabem. Miał przy sobie tylko jednego czy dwóch żołnierzy. Nasza rozłożyła się na odpoczynek przy ścieżce, czy drodze



legnej w wyłokach wrzosowiskach. Rozmowa dowódców, której strąpy dobiegały od czasu do czasu do nas, stawała się coraz głośniejsza i bardziej nerwowa. Zaczęliśmy przysłuchiwać się uważniej. W pewnym momencie ktoś z esady "Jastrząb" krzyknął głośno:

- Chłopcy!

Skoczyliśmy biegiem i po chwili byliśmy na miejscu.

I wtedy to po raz pierwszy zobaczyłem naszego dowódcę w stanie nieswobodnego napięcia. Był bledy i patrzył na nas wzrokiem, z którego wysierał się gniew, zewód, bawski wściekłości. Rosjanie zreflektowali się, natychmiast i jeden z nich, wymuszonym uśmiechem zwrócił się do nas:

- Na czto, rabiata, niczewo nie skucziko!

"Jastrząb" milczał i dopiero po dłuższej chwili odezwał się z trudem panując nad sobą:

- Wracamy chłopcy, rzeczywiście nic się nie stało.

Kiedyś w tym miejscu nocować, tymczasem po nieznanym nam incydencie kilka polskich spadliśmy na forsownym marszu, by jak najdalej odskoczyć od niwnych sprzymierzeńców. Nigdy nie dowiedzieliśmy się o treści rozmowy między dowódcami. Rozumieliśmy natomiast tylko, że chodziło się na coś bardzo niebezpiecznego i dalekiego od propagowanej przyszłości. Zmiany w sobie przygody lub ciekawsze zdarzenie z marszu, które mocno mi utkwiły w pamięci. Nie miały one może większego znaczenia dla sytuacji oddziału, ale malują ówczesny niepowtarzalny, a często trudny dzień do zrozumienia klimat tamtych dni.

Oto jedno z drobnych zdarzeń: wyprawę po kartofle.

Był wieczór poprzedzający Zielone Święta, chyba 28 maja. Szliśmy przez pole. Linia frontu przebiegała niedaleko. Chłód dokwierał coraz bardziej. W plecaku nie miałem ani okruszyny jedzki. Wreszcie porucznik "Jastrząb" zarządził postój w pustym sosnowym młodziku. Na dworze było bardzo ciepło, niebo pokrywały drobne chmurki. Rozglądam się wśród kolegów, czy któryś nie ma choć kawałka ziemniaka lub odrobiny chleba. Niestety, wszyscy opróżnili już doścapanie swe plecaki i kieszenie, a jeśli komuś coś jeszcze pozostało, to w takich ilościach, że dzielić się nie było czym. Wreszcie trudno nawet oczekiwać, by ktoś oddał ostatki i sam pozostał głodny.

Co robić? Szukę szczeniaka? Lebiody? Słyszałem nieraz od rodziców, że właśnie lebiody były niezastąpionym pożywieniem w latach wojny. Wskazywałem, gdzie więc i teraz? I gdy tak zastanawiałem się nad tym trudnym zadaniem, jak oszukiwać choćby głód, pojawiło się nagle dwóch chłopców z krawcowej Łuny z wiadomością, że niedaleko stąd, zaraz za lasem, są kopce za kartoflami. Skoczyliśmy szybko do któregoś z oficerów zapytać o pozwolenie i wkrótce dziesięcioosobowa razowa grupa z

z piaskami w rąku wyznające się cicho z terenu obozowiska.

Los w kierunku wschodnia kończył się niedaleko. Po mniej więcej dziesięciu minutach szybkiego marzu wyszliśmy na jego skraj. Otoczony był wykopem nasypem i głębokim rowem po przeciwnej - lewej - stronie. Dalej rozciągały się pola z widocznymi na nich szczytkami dawnej wsi, o czym świadczyły rzadkie kępy karłowatych wisien oraz tu i ówdzie gruszy piwowo i kominów. Wieś musiała być zniszczona już dawno, bo wokół gruszy zaczęły wyrosnąć wysokie trawy. Środkiem błękitną zerógniętą również trawą i chwastami piaseczyste droga.

Do kopców było około 300 metrów. Ustaliliśmy, że będziemy robili wypady po dwóch, trzech, a pozostali ubezpieczają, potem po powrocie, pierwszą grupę, idą następni. Gdy wszyscy napełnią plecaki, wracamy razem do miejsca postoju.

Pierwsza trójka wróciła niebawem z kuperem wcale bogatym. Kopców wprowadzić nie było już od wielu na pewno dni, tylko doły po nich, ale trochę pomniejszych i nadgniłych kartofli jeszcze pozostało. Po powrocie drugiej grupki, przyszedł kolej na mnie wraz z dwoma kolegami. Pobiegliśmy pochyleni wskazaną drogą. Dopadamy do dołów. Same ziemlaki, Sautan poręczakowa, od nasunku, kierując się wyłącznie dotykiem, bo w dołach zupełnie ciemno. Robimy to samo w sąsiednich jamach. Wrzucamy co iwerdże do plecaków, padwołeni i z tego.

Wtem rozlegają się bardzo blisko serie wystrzałów, jakby tuż ze rozrzuconymi kopcami.

- Uciekamy! - słyszę obok głośny szepc i tupot oddalających się uczestników wyprawy.

W tej samej jednej chwili, gdy rozległy się strzały, natrafiłem palcami na kępę zdrowych ziemniaków. Jakże ją zostawić? Wszak to żywność na kilka dni. Jeszcze choć parę, zdążę przecieć uciec i że zdwojony szybkością wrzucam cenny kup do otwartego plecaka, gdy nadle seria druga rozlega się, ze nią trzecia, czwarta... Nie ma co zwiekać! Zbliża się widocznie patrol niemiecki, mogą tu zaraz być! Trzeba uciekać!

Wyrzupuję się z dołu na powierzchnię i pochylony jak najniżaj pędzę w kierunku oczekujących kolegów. Dopadłem nasypu.

Pat, dachpaki! - wołem głośnym szepceniem.

Ciaas. Ani żywego ducha.

Czajnik! Jesteście tu? - powtarzam głośniej.

Nadaje ciaas. Tylko z jednej strony widać drzew wypliwające jakby nigdy nie ogórek, a z drugiej huk bestrosko puszczyć czy sawa. Rozumiejąc, że zostałem sam. Koledzy już na pewno zdążyli dotrzeć do obozowiska. radno. Wracam. Drogę starałem się zapamiętać idąc w tę



stronę. Nawet światło trafiało do miejsca, w którym chodziły raz znowy do  
mi się być. Biegnę i teraz. Biegnę wpatrując się w ziemię. Ścieżka prowa-  
dząca do miejsca postoju była tu, obok tamtego drzewa. Przebiegnę tam i  
z powrotem raz i drugi. Pod nogami szeleści mokra od rosy trawa, trzęskają  
suche gałązki, a ścieżki nie widać. Zaczynam krążyć w kółko tam i spowrotem.  
Musiał przecież być gdzieś tu! Rozglądam się wzdłuż rowu, po nasypie. Jest  
droga do wsi, kęps zapamiętanych drzew, jakiś słupek, obok którego przeszło-  
dziliśmy, jestem więc na właściwym miejscu. Tylko ścieżki mi śladu. Noe dość  
jedno, bo na cienką warstwę chmur przegwieca kąkółce, a czasem wykrętu się  
na zewnątrz czyta nieko. Lece i przy jego soladynowym blasku straconą  
ścieżkę odnalazę nie nogą. Kręcę się już ze dwadzieści minut. Bezskutecznie.  
co się stało? Zniknęła ogniem zakryła, jak mawiała mama, czy co u licha?  
Przebiegam szybko nie zwracając uwagi na rozlegające się nadeł w tym samym  
miejscu strągnięciem, że nocą nikt z nieprzyjaciół tu przyszedł się nie  
odwazy. Ale wam. Niech bądźcie co chce. Nie mam siły kręcić się jak pies za  
własnym ogonem. Zmęczony siedam na zboczku nasypu i staram się zatrząść rozpro-  
szone myśli. I tu na przebieg? Mogę zszednąć. Szukać dalej? Bądźcie ten sam  
skutek co dotąd. Pozostaje jedno: trzeba tu przeczekać, a oświecie  
dotknę do nadeł. Innej rady nie ma. Nasi w nocy nie odmaszerują, gdyż  
"Jastrząb" pozwolił porobić sobie legowiska, aby wszyscy wygodnie mogli  
się wyspać. Niektórzy chłopcy już wtedy, gdy podchodziłigay, łamali gałązki  
i suchą trawę na paszenie. Przebiegam więc i tu spokojnie. Nie spię.  
Układam się na trawie z plecakiem pod głowę, karabin obejmując ręką,  
owijam nos na dloni ... spę! Jak najprędzej zeszę!?

Cołodziejowy śladny marsz, obecna kartoflona wyprawa, a przede wszystkim  
młody arwanica egrowieją, że zasypiem momentalnie.

Gdy się zbudziłem, wschodziło słońce. Przerwany serwałem się na równe  
nogi. Zaspętało było pusto i cicho. Do tej pory nasi niepewno odzili! I  
w ten też nie podzielił mnie tu żaden patrol niemiecki? Zwąkle wyszła na  
zwiny o świecie. Nieżem szczęście! Mogli mnie tu przecież ubić we śnie,  
albo zabrać i wprowadzić do siebie celom przesłuchania, a szczęścioby  
to śmierć, tylko poprzedzoną biciem i torturami. Dreszcz mnie przebiega na  
samo myśl o tym. Wracaj! Wracaj! Wracaj! Wracaj! Wracaj! Wracaj! Wracaj!  
za pę.

Rozglądam się w poszukiwaniu tak trudnej do znalezienia wotrorej  
niebezpiecznej ścieżki. Jest! Spokojem od niej niewiele dalej niż dwa  
metry. Biegnę już za moimi plecami! Sen nie wiem, jak nogom, wotrorej jej  
nie zrozumię!

Na dziesięć minut byłem pośród swojej wiotry.

Ala spraw kartofli nie skończyła się tak łatwo. Zbaczywały u nas.

cepną wiochę, którą dzieliliśmy się ze swoimi najbliższymi przyjaciółmi i dowiedziawszy się, że kopca niedaleko stąd, wielu zaprosiło. Ze pójść tam także. Nie namyślając się ani chwili zaczynają jeden po drugim wytykać się z plecakami pod pachą. Zaproszeni do wyprawy i rodowici jastrzębiccy. Wzajemnie jednak za stosowne uzyskują na to zgodę dowódcy. Meldując się więc u "Jastrzębia"

Nie pozwalam! pęda krótko odpowiedz. - Wieszorem kilka osób mogło pójść, ale teraz? W biały dzień? Wykluczone!

Ala guszo entopaków już poszło! - wtrąca się siedzący jeden z "Mietków"

Porucznik "Jastrzębia" wrywa się pobladły z gniewu.

- Kto poszedł? Dowódcy plutonów, sprawdźcie stan! Zemeldować mi natychmiast kogo brakuje!

Krótkie poruszenie wśród biwakujących się oddziału i dowódcy skłębają meldunek. Brakuje około piętnastu ludzi.

Dawniej widziałem porucznika "Jastrzębia" w stanie takiego zdenerwowania.

Rozpędził przez chwałę na cztery wiatry! Bo to nie wojsko tylko kup - a dziesiąt! - nie krzyczy - mówi pozornie ze spokojem, ale takim głosem od którego wzdroszcze się robi. - Zabieram tylko swoich ludzi, a reszta niech idzie na kartofle! Peru rozbestwionych smarkaczy chce zpubli cęki odziami? I to mają być żołnierze? Jeszcze raz powtarzam: Kupę dziesiąt!

Zaczynał już zbierać byłych jastrzębiczków, gdy szczęśliwie powrócili nieszczęśliwi zapaszeniowcy. Nie nie przynieśli. Na krańcach dawnego wsi kryli się Niemcy. Nowy nie było o kartoflach. Zostali potępiona reprymendą i od dowódców plutonów i od "Jastrzębia". Wiazące w powietrzu rozbitcie oddziału jednak nie nastąpiło.

Cały "Ziemi Zielonych Świąt" spędziliśmy nad nadgrykami o skodkawa wznoszą się z łaniskami. Odmarsz nastąpił dopiero nocą.

Inne ciekawe zdarzenie miało miejsce już na skraju lasów Szackich. Zatrzymaliśmy się na niewielkiej polanie leśnej, pokrytej bujnym wrzaskiem. Było wczesne południe. Okazało się, że chociaż było dopiero wczesne, na lasie i w najbliższej okolicy rosło dużo grzybów jadalnych. Nie przysiadłom sobie gatunków, pamiętam tylko, że niezadowolony ich spór i zadowolony się akwapliwie do ich przyrządzenia. Jedni próbowali je piec nad ogniem, inni gotować. Ja wpadłem na pomysł, aby je usmażyć. Wskazywałem, że takie będą najsmaczniejsze, tylko, że to było kon' waga, nie jakiś kłuszek i choć trochę obolała. Tymczasem mówiąc o jednym jak o drugim można było najwyżej pomyśleć. Ale nagle



Zobaczyłem nieluboko za lasem wieś. Z kominów niektórych chat unosiły się pióropusze i gęstego dymu, znak nieomylny obecności tam ludzi. Waga ... Zebrałem się na odwagę i nie namyślając się wiele, poprosiłem porucznika "Mściwoja" o pozwolenie pójścia do pierwszej z brzozy chaty. Pozwolił mi niechętnie.

- Tylko wróć mi natychmiast, bo zaraz znejdźcie się więcej snatorów cebuli - rzucił mi na odchodnym.

Nie zwracając na siebie uwagi zniknąłem wśród krzewów i zarośli. Wkrótce porzez rzadkie drzewa zobaczyłem w pobliżu lasu odśrodkową polszczyzną, Skierowałem się do niej. Szedłem bez jakichkolwiek obaw, widząc, że Poleszczycy nie byli wcale wrogo nastawieni do Polaków, dalecy byli od ukraińskiego szowinizmu. Nie opuszczali swych siedzib, chyba że Niemcy usuwali ich siłą od linii frontu. Nie było tu konfliktów narodowościowych, w tym najbardziej krwawych zająć. Nie było więc powodów do lęku i niepokoju.

Zaskoczyłem do chaty. Otworzyła drzwi starsza kobieta. Wchodziłem do pierwszej ciemnej izdebki. Jak wszędzie na Polesiu - uboga, gliniasta podłoga, sztach dziurki i cebuli. W kącie pod oknem stępa do kawy, w drugim kącie stare żarna. Przy piecu stoi jeszcze jedna kobieta, starsza nieco od tej, która wpuszczała mnie do chaty. Widocznie przywykły do odwiedzin ludzi "z lasu", bo nie zdają się być wcale niepokojeni. Patrzą tylko ciekawie w oczekiwaniu czego będą od nich żądać.

- Czy wie dostałbyś u pań główki cebuli i trochę tłuszczu na przykrycie ziemniaków? Grzybków nam się zachcieło i nie mamy na tym usmęczyć. - Sławi trochę niezmiernie uśmiecha się, jakbym był ich starym znajomym. Widzę nie potrafiłem stawiać się hardo nawet w domach ukraińskich w rejonie Kaniżowa czy Osy. Kobiety są wyraźnie zaskoczone i zdziwione taką tylko prośbą. Przygotowane były niewątpliwie na większe wyświecenie. Tłumacząc więc im raz jeszcze, że mają tu przybny las i my też chcemy skorzystać, wstępują się i jedna wychodzi na dwór widocznie do ogródka po cebulę, druga się po dzbanek z mlekiem i zbiera łyżką do nadstawionego kubeczka gęstą śmietanę. I kiedy ogwiadałem, że już starczy, usłyszałem nad głową pytanie :

- A skądże ty się tu wziąłeś? Co tu robisz ?

Polaki, język i znajomy głos w poleszuckiej chatce? Cdzieś na północ od Kaniżowa? Podnoszą zdumiony i zaskoczony głowę skądś dobiega głos i pozostaje mi więcej ni więcej tylko Zaczęliśmy, Leona Podwór, siero, na Polesiu, w chatce nowej chaty. Był u pań i mój brat, nawet sportowiony brat z naszą rodziną. Zaczęliśmy także na brzozy wielkiego pieca, składającego w domach ukraińskich i poleszuckich

do szenia i spoglądał na mnie z góry, zdziwiony podobnie jak ja. Mówi, że schował się, zobaczywszy idącego w kierunku zagrody człowieka z karabinem, ale poznał mnie po głosie.

Zaczyna się zwykle w podobnych sytuacjach bezładna rozmowa pełna pytań nie dokonanych odpowiedzi. Dowiedziałem się, że maszerował z dywizją po śnieg Śliwem przedarciu się przez tory, ale zachorował, dostał gorączki i nie chcąc być ciężarem dla kolegów, zwłaszcza, że i tak niesiono wielu rannych i chorych, ob w tamtym terenie było wyjątkowo trudne i uciążliwe, zdecydował się zostać, pójść do pierwszej lepszej chaty i poprosić o przetrzymanie go do chwili wyzdrowienia, a jak dobrze pójdzie do prząjścia frontu, bo i tak nie miałby co ze sobą zrobić. Tu, w tej rodzinie znalazł gościnę i schronienie. Teraz czuje się już nieźle, temperatura zanikła i wkrótce wróci pewnie całkowicie do zdrowia. Nie mają propozycję aby dołączył do "Jastrzębia" i poszedł dalej z nami, kręci głową. Nie zna tam nikogo prócz mnie, pozostała boi się, żeby w warunkach jakie mamy, choroba nie wróciła. Tu zostanie.

Spotkałem go kilka lat temu. Przychylny wiekiem opowiedział mi o swych tamtych przeżyciach. Istotnie doznał się wycofania się Niemców, ale miał sporo perypetii, nawet przykrych, lecz ostatecznie szczęśliwie wrócił do domu i pracuje jako rolnik za gdańsk między Chełmem a Włodawą.

Wrócił z głową pełną rozbudzonych na nowo myśli, wspomnień uczuć. Jak żywo stanęły mi przed oczyma - nie wiem już po raz który - Zaczynki, rodziny, minione czasy, spokojne i szczęśliwe. Wszystko tak bliskie i jeszcze bardziej kochane z powodu oddalenia i ciężkich warunków, wszystko, do czego wrywało się dusza, a co z każdym dniem stawało się bardziej nieosiągalne. Ale czuł się zadowolony, bo miałem wrażenie, jakoby przez kilka minut był u siebie u swoich.

Nie dane nam było w tym dniu nacieszyć się grzybkami. Ledwie smakowity aromat podsmażonej cebuli rozszedł się wokół ogniska, trzeba było zjeść smaczną potrawę na pół surową, gdyż przygotowywanie posiłków przerwał niepodziewany śnieg i szybki odmarz, bowiem w pobliżu zauważono większe zgrupowanie Niemców, zbliżających się do naszego miejsca postoju. Trzeba było schronić się gąbiej w las.

Tymczasem Bug był coraz bliżej. W szeregach mówiono już o prawie, wybierano sobie jednak jak to będzie po tamtej stronie. Mielimy wejść na teren Generalnej Guberni, to tak, jakby na obszar ściślejsz niż to kontrolowany przez Niemców. Poza tym wszyscy mieliśmy nadzieję, że po pierwszej - najjeździemy tam swoje bataliony, po drugiej - skoncentrujemy się wreszcie do utroplenia zabawa w ciuciubeską. Ciągłe krążenie po bagnach,



opadania śniegu Niemców i ... komarów, które od początku maja ówwały się  
nad nami. W końcu w końcu we znaki, czemu polskie moczary wyjątkowo sprzyjały.  
sprzyjały im już na dobre. Także i my już do regularnego życia, jakie  
prowadziliśmy w pierwszej fazie walk z UPA czy z Niemcami przed okrucieństwem  
-m. Dość mieliśmy tych ci zobowiązanych czasem apokaliptycznych z nieprzyjacielem. Jak  
nieprzyjaciół, które jeszcze dziś budzi zarówno gniew jak i zdziwienie  
nad ówczesnym zachowaniem się. A było to tak :

Szliśmy formacją marszem gdzieś w rejonie Szucha, może nieco dalej,  
aby przed świtem omiść stwarty teren, pokonany między dwoma kompleksami  
leśnymi. "Jastrząb" miał wówczas informacje, że we wsiach, choć których  
maszyny przeobraziły, stoją załoga niemieckie. Tymczasem deszcz, zmęczenie i  
fatalnie błędnie droga sprawiły, że nie mogliśmy przebyć w porę  
wyznaczonej trasy. Rozwidniało się zaczęło, a do następnego lasu ciągle  
jeszcze było daleko. Ciężki pas wyłaniał się wprawdzie nad horyzontem,  
przez który szara mgiełka śpiącego kapusiańca, ale zbliżał się ku nam  
bardzo nagle. A świdroca stała przyspieszać kroku i dyktować tempo jak  
jakiegoś wysportowanego młodzieńca. Trudno podciągnąć jak mogli z nadzieją,  
że szybciej będziemy na miejscu. Po prawej stronie, w oddali, zastawały jaki-  
ś chęć, rozgrywane drzewa i gdy wydawało się, że przed lasem nie  
spotkamy już żadnych przeszkód w postaci wsi czy jakiegokolwiek osiedla,  
które trzeba było omijać, nagle zza wzgórze ukazała się przed nami  
w odległości niewiele ponad kilometr gęsto zabudowana duża wioska.  
"Jastrząb" wiedział niewątpliwie o jej istnieniu, lecz dla nas jej widok  
stał się bardzo niepokojącą niespodzianką. Przemoknięci, zmęczeni, niewyspani,  
wcale nie mieliśmy ochoty spotykać się oko w oko z nieprzyjacielem  
i walczyć z nim.

Dochochaliśmy do rozległej łąki, aby dojść do widocznej sporej wysokości  
trawy, może, może. Deszcz ciągle śni, chmury gonione wiatrem zdają  
się rzygać nad naszymi głowami. Widać coraz bliżej, a za nią uprzednio las.  
na Przez las, trochę ukosem w stosunku do osi naszego marszu, przepływa  
jakieś rzeczka czy tylko mała struga. Na niej most widoczny bardzo wyraźnie  
bo widać go, wysoko ponad grzą. Po obu jego stronach stopy nasze  
drzewa? Widać widać, jakieś z nimi pale? Podchodzimy na odległość trasy lub  
czteryście metrów i... czoko oddziaływa się nagle spotykając  
niepokojące w przód i na boki.

- Ten las jest nasz niemy! - śmiejąc się - śmiejąc się - śmiejąc się.

Widziałem w kierunku? Jeśli stoją wartownicy, nie oznacza to nic innego  
jak była wioska Niemców w widzącej blisko przed nami wsi. Tu szereg  
człowiek, którzy na "Jastrzębia", czekając jego decyzji. Dowódca syndykatu  
patrzy uważnie w kierunku mostku i widać, że nad czymś mocno zastanawia

się. Wskazywał w kierunku naszo i niepokój przerywa jego spokojny głos:  
- Przeważnie broń, nie strzelać bez rozkazu, naprzód marsz!  
Chłopcy błyskawicznie wykonują polecenia. Po raz kolejny leci  
szczęśliwie. Karabiny gotowe do strzału. Niektórzy rozglądają się na  
boki, jakby szukali wrokiem miejsca, gdzie na wypadek potrzeby można  
by było się ukryć, lub po prostu przysnąć. Sarcza zaczyna odwracać mocno  
niechciane przez nikogo bitwę wisi w powietrzu. Idziemy naprzód, lecz nie  
zapadamy - w lekkiej rozsypce. Dochodzimy do grobli. Most tam, tuż.  
Wartownicy poruszili się niespokojnie, na co my ścisłaliśmy tylko mocno  
karabiny. Pewnie zaraz będą zaczęli... Spoglądamy na wieś, są z nami  
nie rozumiemy się pierwsze straszy, że prawdziwa niebezpieczeństwo może  
nadać tylko statystyka. Nie, nie widzę nikogo. Spiać pewnie wszyscy mocno, jak  
zwykle nad ranem. Warto wszak czuć! Jesteśmy może w odległości stu  
metrów, są strażnicy snują po drugiej stronie mostu. Ale poręcznik  
"Jastrząb" kroczy spokojnie lekko kołysząc się krokiem w pierwszej  
grupie, jakby wcale nie przejmował się zaistniałym sytuacją. Złotych  
dochodzi już do środka grobli, już jest na moście. Tędy ostrożnie,  
zatrzymuje się, będąc sytuacją i o to machnięciem ręki daje znak  
że droga wolna. Po chwili jesteśmy tam i my. Nikogo. Czyby widok  
wartowników był tylko złudzeniem? I na Polacu można spotkać Pana  
Morgana? Ale przeszedwimy na drugą stronę strumienia, oglądamy się  
podejrzliwie za siebie. I oto mamy rozwiązanie zagadki, zabawa nie  
tragiczna: obaj wartownicy stoją pod filarami mostu przytuleni do nich  
z całej siły i wcale nie zdradzają ochoty do sławiania szczególnie  
śpiących kamratów. Boją się wiedzieć bardziej niż my. Wytworzyła się  
niecodzienna sytuacja. Niektórzy z naszych spoglądają lekko w ich  
stronę: skoczmy i chociaż zabrak im karabiny! Lecz "Jastrząb" wrokiem  
rozkazuje bezkarnie i maszerujemy dalej. Rozumiem się - nie widoma, że mogłoby  
się zdarzyć jakby jeden strzał choćby przypadkowy, nasze szanse  
na dotarcie do lasu mogłyby być mniej niż znikome... A tak...

Przechodzimy wschodnim skrajem wsi, zostawiając na lewo od  
siebie rzędy zabudowań. Jeszcze parę minut i oddział zostaje wchłonięty  
przez ziemię, przyjemnie szumiącą do nas bór. Odbiło się, bez niepotrze-  
bnych straci. Teraz zostaje się tylko w lekką głębinę i odpocząć,  
wyepać się...

Parę godzin w bardzo podobnych okolicznościach, gdy o świcie  
przechodziliśmy przez wsi, zdarzył się chyba jedyny w czasie naszego marszu  
przez Polacze wypadek nie wykonania rozkazu. Przypadek jeden  
dwóch kamratów.

Ukończyliśmy już za skrajem wsi, "Jastrząb" podaje po



po linii wózek, by nikt nie ważył się wchodzić do mieszkania. Dowódca rozkazu był tak samo zrozumiały. Lecz gdy szło pochođu minęło już wiele i zbliżano się do lasu, a dowódca był także w przodzie, trzech chłopców korzystając z tego, że ich dowódca nie dojrzy, chytkiem odwróciło się od grupy i wbiegło na najbliższe podwórko. Nie minęło więcej niż minuta, gdy namie zaklepały się strzały i zsuł pociąg wypadł jeden z owej niedyscyplinowanej trójki. Kule zaczęły gwizdać nad głowami. Chłopak pociął się w nogach. Oddział również ruszył biegiem do lasu i po chwili był już między gęstymi krzewami laszczyzny. W kilka minut później gdy strzały ucichły "Jastrząb" zatrzymał grupę i zwrócił się do idących na końcu o przyczynę powstałej strzelaniny. Byłem wśród tych, do których pytanie zostało skierowane. Ale jak to w podobnych sytuacjach najczęściej bywa, zwyciężyła koleżeńska solidarność, zwłaszcza, że chłopiec, który już na skraju lasu zrównał się z nami, miał tak przerażoną minę, że jak było, na niego patrząc. Oświadczyliśmy, że strzały zaszkodziły nam podobnie, jak wszystkim innym. Wówczas na brzegu wsi zauważyła nas niemiecka warta i strzelała alarm. "Jastrząb" wydaje się nie być ażkownie przekonany, co do naszej prawdopodobności, ale dał spokój dalszym dociekaniom prawdziwej przyczyny. Wtedy zwróciliśmy się do niefortunnego poszukiwacza chleba z życzeniem wygnania, co się tam stało. Jeszcze nie ochłonął zupełnie po niefortunnej przygodzie. W paru zdaniach opowiedział przebieg zdarzenia.

Wszyscy trzej weszli do mieszkania. W kuchni pasto. Otworzyli drzwi do pokoju i ku swemu przerażeniu ujrzeli śpiących na szłomie wprost rozścielonej na podłodze Niemców. Cofnęli się gwałtownie do wyjścia, lecz było już za późno. Niemieccy żołnierze zdążyli zerwać się i chwycić za broń. Od jeden tylko miał szczęście uciec z życiem. Strzelali za nim z bliska, lecz udało mu się.

Opowiadaliśmy później o tym "Jastrzębiowi" za pośrednictwem "Gawiazdy", prosząc jednocześnie, by wstawił się za delikwentem, który i tak swoje odwdziędził.

- Od paczki byłam pewny, że tak musiało być - odpowiedział "Jastrząb" i zostawił biedaka w spokoju.

Druga nie mogłem zapomnieć o tym tragicznym zdarzeniu.

Wczesnym rankiem, świt zastał nas prawie w szarym polu. Wszędzie było jak w oparciu, słownie nocami, chyba, że drzewa prowadziła lasami. Teraz do następnych lasów było daleko, więc w pobliżu, a przed nami były dwa-koła trójkołowy wózek. Tak że nikt pierwsza chętny wstąpił. Zatrzymaliśmy się w tym wózek. Widać było coraz więcej ludzi. Widać było, że wózek nadaje się, że w czasie można pójść do gospodarzy i zdobyć na przetrwanie coś.

choćby dla oszczędzenia głodu. Nietety, nadkinęło się "Jastrząb"  
oraz ja, że nie tylko zabrania wychodzenia z lasu pod jakimkolwiek  
pretekstem, ale nawet poruszać się po nim nie wolno. Wystawił na brzo-  
-ch dobrze zamaskowane ubezpieczenia, a reszcie rozkazał uszyść się w  
srodek gęstwiny i spać. Głód doskwierał mocno, lato było wyjątko-  
nie niepostrzeżenie do wsi, ale nauczani doświadczeniem, nie próbowaliśmy  
wylądować poza lasy. Po pierwsze nikt nie chciał narazić się dowódcy,  
po drugie "Jastrząb" bez powodów, takich rozkazów nigdy nie wydawał.  
Wiedzieliśmy już, że miał dobre rozpoznanie. Leżeliśmy więc bez ruchu  
traciąc śpiąc, trochę drząc, bo na dworze było zimno i mgliście, a  
ziemia nasiąknięta wilgocią po niedawnych deszczach. Nikt nie domyślał  
się jakie mamy sąsiedztwo.

Okolo godziny 7-mej, może nieco później, zaczęły nas dobiegać  
głosy niezłych rozmów, wkrótce spoza gałązek dostrzedliśmy kręcą-  
cych się po zagrodach żołnierzy w mundurach. Obok stały samochody,  
kotły, w najbliższej zagrodzie kuchnia polowa. Niemcy byli się,  
berawowali, oblewali zimną wodą. Też nie przypuszczali na pewno, że są  
urazeni obserwowani przez polskich partyzantów. Wrazie gdyby okazała  
prawała im chęć przejść się po lesku, bez bitwy nie obeszłoby się,  
gdyż nie mieliśmy innego wyjścia. Ze zgrozą myśleliśmy, co by  
się stało, gdyby któryś z naszych nie wytrzymał i pod okno roku  
próbował wyskoczyć po upragniony chleb. Odetchnęliśmy, gdy podkoma-  
ndant niemiecki oddział skierował się na samochody i odjechał  
na południe. Wkrótce potem ruszyliśmy i my, wiedząc, że nie ma już w tym  
rejonie wsi, w której nie byłoby naszych śmiertelnych wrogów.

Często gdy odpoczywaliśmy uszyści głęboko w gęstwinie lasu,  
wywiązywały się nas po raz między kolegami zacięte dyskusje na temat  
zachowania się naszego oddziału, jego kluczenia po lasach i bagnach,  
unikania walk, omijania niebezpieczeństwa.

- Mogliśmy na pewno być od czasu do czasu Niemcom porządnie w  
skórę i - utracimywali jedni . - I tak, nasz los nie uległoby zmianie,  
a nie libyśmy przynajmniej trochę satysfakcji. Tenórk nas oblatywał,  
nie ma co redać !

- Nie bieracie pod uwagę sytuacji, w jakiej się znajdujemy - opano-  
wali przeciwnicy. - Wiedzie dobrze, jaki jest ten nasz oddział? Proszę  
zobaczyć nasze gładkie, nie uzbrojone, pozbierane w lasie pozostałości  
wzrostu batalionów. Jaki, kujcie "Jastrząb", że was zabrakło do sady  
i przetrwaliście na taką bezpieczną strefę. Czy także walczyć tylko w  
stanie, czy może napięcie bitewne? Czy nie rozważacie się w wypadku  
- u nowego niebezpieczeństwa? Teraz po okrażeniu? A mówią ściśle -



o ciętych okrzędnia? gdzie się ruszymy. wszędzie Niemcy! Toż to teren przyfrontowy. Wdeń się w bitwę, to cię znajda natychmiast, otoczą szczerlinie i ogień, jak nie! A sprowisz się? Kraj pusty, ogołozony ze wszystkiego. Wierz i uważaj się w najgłębszy las z pustym plecakiem, bo wyjde ci nawet po kłębnie kartofla nie pozwolą. Korę drzew bzdziess jaż? A niech by doszali ranni! Gdzie lekarz, środki opatrunkowe? A gdzie byś ich położył? w bagnie? I ślubys nad nimi, nie mogąc w niczym pomóc, ulżyć w cierpieniu, nie mówiąc już o leczeniu ran?

I tak wielokroć powtarzały się te same zarzuty i te same argumenty. Słuchał po stronie tych drugich. Wierzyłem, że dowódca wie lepiej od nas, jak należy się zachować. Wiedziałem, że to znaczy być rannym i tego obawiałem się najbardziej. Może kiedyś obiektywny i kompletny historyk lub lepszy znawca przedmiotu rozstrzygnie, kto z nas miał rację. Ale kto nie był tam, w konkretnych polowych warunkach, kto tego nie przeżył i nie odczuł własną psychiką, nie wiem, czy będzie mógł wydać miarodajny sąd.

Przejście przez Bug odbyło się jakoś nadeptaniem szybko i nie toż, jak sobie wcześniej wyobrażałem. Dopóki składowaliśmy się cicho przez las ku rzuce, dopóki, idąc ostrożnie po wrzosowiskach, wśród młodych brzoź i kap jaszowca, niepokoiliśmy się, czy przypadkiem na torach Chałm-Włodawa - Bopad nie spotkamy Niemców, dopóki graniczny rzeczek był daleko, śniła mi się i trochę fantastyczne wyobrażenia o niej i jej forsowaniu. Trudnie w moich myślach do monstrualnych rozmiarów. linia obronnej, osłoniętej lufami karabinów, porządzonej polemami minowymi, niedostępna i groźna.

Tydziesiątka ...

Skądś wysłuchany przez dowódcę przewodnik szedł na przawsia zmięty jakby prowadził nas po swoim własnym gospodarstwie. Był widocznie przekonany, że żadne niebezpieczeństwo nam od nikogo nie zagraża. Tuż przed zwałami schodzącymi w blasku purpurowego słońca zabłyśły przed nami Ziele Baga. W chwili byliśmy już na brzegu.

Wody rzeki toczyły się wolno, leniwie, połykając delikatnie odbicia nieba i drzew, woda i wylaniającego się apozę wysokich nabrzeżnych drzew tańczyła. Wskazywało było cicho, bezлюдnie. Rozsypała się nasza kompania w pętych troglodach i patrzyła ciakawie na tę połykającą wstępną, ku której z takim aporem i od tyłu dni i tygodni niecierpliwymi oczekiwaliśmy. Szczęśliwie było wśród nich wzmagać się szmerem roundów, śmiechu, "wzruszeń" i innych zachowań, które ostatecznie podsunęło komandosa, który w tym czasie, przed festywnymi wierszami, które wydał dowódca, który przemawiał o wydaniu zapasów, albo rozkładając wesoło jak światło-rybacz, powołał w tym jedynym momencie na bezkrytyczność. Sam pewnie uległ tym samym słabym i myślowym i duszowym.

obserwowały w zerolach aż się zupełnie ściemni i gdy już było  
widać, że się wyżej, zaświał pełnym blaskiem, przystąpił do  
próby, przerywając pełne napięcie rozmowy.

Wzruszony prawie po azyję w zimnej wodzie, zannymi tu o wszelkich  
praniecznych emocjach, o doniosłości chwili, a całą uwagę skupiona na  
jednym: przesłać wszystko nad głowę bez zawieszki karabin i wierzchołną  
odzież zwinąć w kłębek i przepasać pasem. Wolno, krok po kroku,  
stąpił na twarde, piaszczystym w tam miejscu dnie rzeki. Ciężka noga  
niezależnie na głębokim miejscu, zapadła wtedy po brzo, lecz po chwili  
znowu wyślizgił na nowy twarde grunt. Obok mnie, za mną i przede mną  
w podobny sposób posuwali się cicho, bezszelestnie moi kolejni.

W szkodliwym przejściu na przeciwny brzeg najważniejszą stało  
się, dopaść jak najprędzej miejsca, w którym można będzie osunąć się  
niżej, gdziekolwiek i wypocząć. Refleksje i pełne uświadomienie  
sobie własności dokonano dopiero faktu i jego znaczenia w moim życiu  
na wycieczkach, miało nastąpić dopiero później.

Właśnie już głęboka noc, gdy dotarliśmy do pierwszej nadbrzeżnej  
wsi. Właściciel - Zebkocia. Dostałem kwatery u gospodarza prawie w  
środku wsi. Nie wyglądał na zamożnego, ale dopiero co upieczony chleb ze  
złotym plakiem prosto od krowy wydał się królewską ucztą. Chleb pulchny  
równy i ciepły jeszcze po wyjęciu z pieca. Patrząc na siebie  
postrzegając smakowity płyn i nie wymieniając ani słowa, czuliśmy to samo  
co i gdy naprawdę rozumiemy się niezwykłą kolacją? Gospodarz aż się  
nasłuchał, serdecznie, tak, że po krótkim czasie byliśmy już w  
swoim pokoju, syci i naprawdę zdziwieni nagłą zmianą sytuacji. Wła-  
ściciel, odpowiedział, że trzeba by zaproponować dowódcy, aby zatrzymał  
się tu chociaż na trzy dni, bo śnieg będzie schodził.

- Tylko że nie jestem nieposłucha - dodał smutnie, choć żartobliwie  
dodał w czasie wieszaczy w ciemnym mieszkaniu, oświetlonym  
niekiedy promieniem karbidowej lampki, gospodarz zaskoczył mnie dziwnym  
pytaniem :

- Panowie jesteście z AK ?

Spojrzałem na niego nie bardzo rozumiejąc pytanie.

- Naturalnie. Przecież jesteśmy polską partyzantką, odparłem nie  
wiedząc, dlaczego o takie oczywistości pyta.

- To widzę, że polską - nie dawkę za wyrazem. - Ale to pytanie o  
polityczność.

- To polska przynależność. Właśnie Kępcowa : Powiedzieliśmy już temu.

- I wrzucacie za mnie, śluzę mi, nie robujemy, czy tak ? -  
gospodarz zdawał się być nieco obrabany. - To Polskę, wiedziałem od  
początku, ale chodzi mi o przynależność polityczną.



A, co to pan pyta? domyślałem się. - Jesteśmy z 27 Wołyńskiej Dywizji AK.

Connicozem wrzećcie, że nasz rozmówca ma dosyć mocno objędną i niesbity zdwołony zmierza skończyć nieudaną konwersację. Zauważyłem to i spytałem:

- Czy panu o coś innego chodziło?

- Naturalnie. Nie rozumie mnie pan? Chciałem się dowiedzieć do jakiej partii należycie. Dowiedziałem się że do AK, Ale pan uważa to za zbyt oczywiste i dlatego jestem zdumiony.

Teraz dopiero zaczęło mi świtać w głowie. Przed przejściem przez Borypodział partyzantów był w zasadzie jeden: byli partyzanci polscy, albo rodzimecy-rosyjscy. Tu widocznie jest jeszcze ktoś inny. Tam, gdy usłyszało się nową Polską, wystarczyło to za wszelką legitymację. Tu widocznie trzeba było czegoś więcej dla wykazania swojej tożsamości.

- Z pańskim pytaniem i odpowiedzią domyślałem się, że oprócz AK są tu jeszcze jakieś inne rodzaje partyzantów, prawda?

- A co nie wiedzieliście o tym? - wydawał się zdumiony tak, jak ja przedtem. - To was poza AK nie było nic więcej?

Było, teraz dopiero przypomniałem sobie, że od chłopów "Grońskiego" dowiedziałem się, że górska w okolicach Sarn czy Maniewicz jest partyzancka siła ściśle współpracująca z ugrupowaniem rosyjskimi i im podporządkowana. Ci pewnie nie byli Armią Krajową. Powiedziałem o tym gospodarzowi.

- No to w was było lepiej niż w Lubelskim. U nas oprócz AK jest jeszcze od niedawna Armia Ludowa, Gwardia Ludowa, są Estalioni Chłopskie i nie bardzo wiadomo kogo słuchać. I wyjaśnił krótko, lapidarnie zachowanie polityczne każdej z wymienionych formacji.

- Zapomniałem o Estalionach Chłopskich - powiedziałem. - Te ugrupowania są na Wołyniu, tylko od AK w zasadzie nie różnią się nazwą od nas.

Przypomniałem sobie, co mówił kiedyś mi jeszcze w konspiracji w Warszawie. Tylko nie przywiązywałem wtedy żadnej wagi do nazwy, bo pragnął o tym mówić, o wolność. Teraz dopiero zacząłem się domyślać, że tu może się toczyć jakieś poważniejsze rozrywki.

- Arduje, silne są oddziały spoz AK - spytałem.

- Kala, ale chcą być głośniejsze od innych, szczególnie dwie pierwsze, wręczwie jasno tylko AL jest najstarszą i najbardziej w społeczeństwie znana, od początku od początku okupacji, od już teraz w wsi wsi mała i do AL lub PPR. Długo obciążają się przegadanie i wyjątkowo, niektórzy się zakomlą - zakończył.

To koniec. A się na siwie na poduce do przejścia do nowego świata i w wyrażonych nowinach. Właścior Świętojański obce...

... waga, wątkowo obfity w zdarzenia.

LUBELSKIEJ ZIEMI

Próbka bawiliśmy w Parczewskich lasach. Przystaliśmy tu po odpoczynku w Ostrowie, Sudce Kijajskiej, Ostrowie, gdzie poraz pierwszy od roku przewidywaliśmy - z drużyną, czy plutonem z naszego batalionu, byliśmy wieszorem na nabożeństwie, u spowiedzi, potem odmasa w las i oto teraz słońce znów dąsa, nie kończąca się kolumną na południowy zachód. Właśnie, widać dokąd i po co? Przeszły bataliony "Sokoła", "Korda", "Czymś" i inne, na chyba zamknięty pochód. Podążkowo wyobrażam sobie, że to zapewne ewakuacja mająca miejsce, bowiem nikt nas nie informował o wytworzącej się groźnej sytuacji. Szedłem więc spokojnie obok wozu, na którym leżał chory mój brat, sianek "Halo", apatyczny, słabym w kwietniu na Podhalanie po paniątnym naderżnięciu Niemców. Przed paru dniami dostał temperatury, osłabł, stracił apetyt, opiekowałem się więc chorą w miarę swych sił i możliwościach. Zresztą teraz siałymy już znów w każdej potrzebie lekarstwa, taki to słaby sanitariusz, było więc powodów do obaw, jak na Podhalanie. Szybko jednak, sięgnąwszy do pamięci, mówiło się wśród żołnierzy o wroczym niebezpieczeństwie, o możliwości spotkania Niemców, lecz nikt nie przywiązywał do tego większej wagi. Porozmawiając, się może spokojnie zwracać do każdego wroga.

Front był jeszcze daleko, tu więc na zapleczu nie ma się do obaw większych warunków niemieckich.

Tak sobie wtedy wobrażaliśmy sytuację dywizji. Batalion "Jastrzębia" był w kuzynkach kompanie, była w drodze do nas kompania porucznika "Wira", pozostająca pod nieobecność swego dowódcy w batalionie "Korda". Wprawdzie część naszych rodowych "Jastrzębiaków" została w lasach mozarckich i wieszymi drogami zmierza pewnie w stronę kierunku, ale stanowisko to poważnie jest zagrożone.

Stąd więc, jak wspomnieć wyżej, odcisnęliśmy się do przodu, razem z nim, to znów porządkując się w myślach nad naszym położeniem i zmienionymi warunkami, niedługo przystaliśmy do nowego rozkładu, co może w najbliższym czasie się wydarzyć. Wobec tego, nie porządkując się, przystaliśmy do nowego rozkładu, co może w najbliższym czasie się wydarzyć. Wobec tego, nie porządkując się, przystaliśmy do nowego rozkładu, co może w najbliższym czasie się wydarzyć.



Już po całonocnych dniach, tak stało się.

O świecie nie pomyślałem w pochmurny, trochę deszczowy poranek dotarliśmy do swoich.

Najbardziej się pierwaze głosiły wstrząsów sprawujących kto nadchodzi, ażeby niezwykłej radości doznałem jednocześnie uczucia, jakbyśmy wracali z innego świata, a ci spotkani i mijani chłopcy-strażnicy, stojący z bronią po obu stronach drogi, są, najsuperszkiej reszci, do przywrócenia tylko sen o połączeniu się ze swoimi kolegami, a nie rzeczywiste walne weteranie. Tak długo się na tę chwilę czekało, tyle snuć wyobrażeń, że teraz, gdy stała się rzeczywistością, wydała się zbyt prostą, nieobecną, nawet miłą. Ot, mieliśmy warty, wakożano nam stodołę, gdzie mamy rozlokować się na odpoczynek i spanie, jakby to było gdzieś w Ossie czy innych miejscach. Dopiero w poranek, po wyspaniu się, gdy przyswili z nami zobaczyć się, koleśki-żołnierze "Witold", Kozik "Rekin", Łanard "Złotówka", Janek "Broko" i paru innych, gdy zaczęły się wszystkie epizodyczne opowiadania, wspomnienia, pytania i odpowiedzi, gdy zaczęły padać nazwiska rannych i poległych, zaginionych, czy odnalezionych teraz, w naszym oddziale, opisany przeżytych wrażeń, które i oni i my przemierzaliśmy, poczuliśmy się naprawdę wśród swoich i wierzyłem w realność tego, co wokół się działo. Że naprawdę byłem w dywizji, idąc obok kołyszącego się po wybójkach wozu, wspominałem w myśli Rudkę Kujawską, rodzinę Januszów, gospodarzy w tej wsi, w których żywieniu się i długie z nimi rozmowy, nocne przemarsze, przez urojone kawi, przybliżające do zbudzenia także tereny państwa polskiego, mijane jeziora, chaty ubogie, w których mieszkali jednak wyłącznie Polacy-goście, serdeczni i bardzo nam życzliwi.

Rudka Kujawska ...

Na zawsze pozostanie mi w pamięci.

Spędziliśmy tu pierwszą połowę lipca. Zostaliśmy rozlokowani po dwóch gospodarstwach, naturalnie na wikt, bo mieszkaliśmy w dużych stodołach w gronku wsi, a dowództwo miało swą kwatery w domu naprzeciw tych stodoł. Tam 16 lipca obchodziliśmy drugą rocznicę powstania naszego oddziału, tam wzięliśmy nas w tym właśnie dniu dowódca dywizji, major "Kuczek", ten wyznaczaliśmy i doszli do siebie do formy.

Te dwa najważniejsze fakty utkwiły mi w pamięci z czasu pobytu w tej wiosce - to wiadomość o kwatery tu przed naszym przybyciem oddziału 16 lipca - to dłuższe dyskusje z gospodarzami, do których należało należało nam wywieźć. Aby fakty zresztą gdzieś się, ze sobą złączyć.

W tym czasie, a to data po przyjeździe na obóz dowódca oddziału, który się nazywał Kuczek.

Niech mi ktoś powie, jak to jest? Partyzanci, a partyzantów.

Czy w waszym tak samo zachowujecie się, jak tu?

Dwa z "partyzantach i partyzantek" i pytanie wydały mi się zbyteczne i nawet podstępne.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli - odpowiedziałem.

- Przede wszystkim partyzantów. Tych którzy tu byli przedtem i was.

- Czy chce pan powiedzieć, że nie się zachowywali w podziemiu a nazywali partyzantami do naszych przeciwników? *poprawione*

- Wręcz przeciwnie.

- To znaczy ?

- Widziałem kiedyś człowieka, szczerą jakby innym tonem mój gospodarz - jakkolwiek zależny na wolności, prawdziwej wolności - podkreślił z naciskiem - Dlatego gdy przyszedł do nas parę miesięcy temu oddział, który oddział ludzi, nieule uszbrajony, ucieszyli się bardzo. Są nadzieje, że spodważni i ożeni Polacy. Łącznie znowu Polacy. Nie skapiliśmy im niczego. Ale okazało się wkrótce, że partyzanci choć twierdzili, że są najgorzej postępowi z postępowych, chcieli być traktowani nie gorzej od dawnych dziedziców. Po dziś i dziedzice przeszli. Żądali co dzień mięsa, wydławił wódki, a gdy mówiliśmy że niemy, szli do chlewa, zabijali wieprza i jeszcze kładli gospodarzowi rzucać najpilniejsze prace i brać się do jego oporządzenia, a gospodyni zalecała smażenie, gotowanie podawanie do stołu, chyba, że w domu była młoda dziewczyna, wtedy ona spełniała wszelkie posługi. A gdy się kto opierał grozili nawet rewolwarami. Partyzanci? !

- Widzi pan - ze walką, rany, poświęcenie uważała pewnie, że się im należały. Trzeba ich też zrozumieć - próbować wziąć w obronę nieznanym kolegom.

- Ja też przez cały czas jak byli tu nie widziałem, żeby chodzili na jakieś wyprawy przeciw Niemcom. Jedni, szli i powtarzali, że jeszcze nie nadarzył czas wy, widzę, jak się tu nawet samą zupą nie obierają, to nie wryszcie. A co do waleczności, to się dopiero okaże - uśmiechnął się na zapowiedzi.

Nie odpowiedziałem nic. Przypomniał mi się Janin Eór, skóra na szkielet, uctynione wtedy przyrzeczenie i droga przez Polesie. Czyż po tym wszystkim można było grymasić i stawiać komukolwiek pytanie, co do jakości wyżywienia? Zainteresowała mnie tylko uwaga o naszych porządkach, partyzantach z tutejszych ugrupowań. Zdażyłem już doświadczyć się nieco w politycznych układach panujących w tutejszych szeregach. Wiedziałem, że zdarzają się w tej samej wieś gospodarz a przy nich kilku innych, którzy od wszystkich pozostałych, "wyznają" się do siebie. Że nie przed sobą tak wyznają "kuzaka", kadrowa i inostry białej i czarnej "postępowe" oddziały.



Ważnym jest przede wszystkim dzisiaj, podczas kolekcji moich wspomnień, aby się nie wahać. Mój gospodarz oświadczył mi mniej więcej, że tylko, jeśli w tym mu się podobą w naszym oddziale, przez tego, że aby nie było reakcyjnych przekonań.

- Potrzeba nas w nasze zbiórki, ćwiczenia, raporty. Jak w przedwojennym wojsku. Stukacie kopytami nawet przed kapralem i przęćcie się na baczność. Co to za coś demokratyczne.

- Nie podoba się to panu? - zapytałem. - Od sposobu ćwiczeń i stosowania zasad regulaminowych, uzależnia pan przekonanie polityczne? Dyscyplina w oddziale to ile?

Nie dyscyplina, tylko jej forma. Powinno być tak. Jak na przykład - teraz w Rosji: wszyscy są towarzyszami, żołnierz czy oficer. Na kolekcjińskiej stopień. Nie powinno być tak samo. Demokracją. W wojsku też. I w partyzantce. I tak właśnie było w tym oddziale, który był tu przed wojną. Wszyscy razem jedli, pili zabawiali się - próci partyzantcinie swoimi przełożonymi.

- A skąd ma pan informacje, że w rosyjskiej panują takie koleżeńskie formy życia? Zwracanie się przez "towarzyszu", to jeszcze nie demokracja.

- Wiadomości mam od ludzi, którzy przyjeżdżali do nas na zapewnienie i mówili i tym - jasno i otwarcie.

Potrząsnął nas raz, jak odbywały się ćwiczenia w wojsku radzieckim stojącym w lesie koło Zielonej. Idąc do Kowla zatrzymywaliśmy się dla popatrzenia na zajęcia. Oddziałem wtedy wrażenie, że dystans między szeregowym a podoficerem w Armii Czerwonej jest coś najniższej tony, jak w przedwojennym wojsku naszym, jeśli nie jeszcze więkce. Na każde skinienie żołnierze w szarych szynielach reagowali mocniej niż nasz. Wziewaliśmy o tym swemu gospodarzowi. Nie dla celów agitacyjnych, lecz po prostu tak, jak widzianiem. Nie wierzyć. Należy to popaganda i to wrog. Tak, jak się określa używając powszechnie nomenklaturę.

- Jesteście po prostu wrogo nastawieni do naszych wzrostach wschodnich aspiracji - stwierdził z całą stanowczością. - Nie chcę przyjąć prawdy, że Sowietom się zaprowadzi w naszym kraju bezwzględna równość i demokracja. Każdy będzie miał jednakowe prawa: urzędnik, rolnik, wojskowy, partyzant, bezpartyjny - każdy. I to się wam pewnie nie podobą.

Chciałem powiedzieć o próbie tej równości w latach po wprowadzeniu tam ordni socjalistycznej, o ~~złoty~~ <sup>złoty</sup> ~~złoty~~ <sup>złoty</sup> między rządzącymi a rządzonymi, ale stwierdziłem, że to jest nieufność i tak nie uwiary, w końcu tylko:

- Wzrost równości, w naszym kraju, w tym celu, że przesiadli się przez nas. Zobaczymy wtedy, jak będzie to wyglądać w praktyce. Zresztą po trzech podjętych próbach, można mieć skurat sposób wprowadzenia reform będzie różny od

od zakonu, którymi tam, że i my błądzimy w tym kierunku.

W tym miejscu spotkałem tego gospodarza w Izbicynie, Chodzikom  
już wtedy do szkoły. Zauważyłem, że nie był to ten sam człowiek. Po dalszy  
-ch, paru dniach podobno wyjechał w ogóle z Lubelszczyzny.

- Oja - powiedział mi wtedy na pożegnanie. - Wyście wieścieli,  
spaszy tylko wierzyli.

I tymi słowami zakończył niesręczną, niesbyt udaną dyskusję.

Wędrowaliśmy w zapadającym powoli zmierzchu obok fary z bratem Leńcem  
z tyłu od furmanem z myślami daleko od tych miejsc, którymi kroczyliśmy  
oddział, na oddziale. Mijaliśmy jakieś wsie, drogi i rozdroża, lasy i  
łaski, a myśli wciąż przeczasyły się w coraz to inne miejsca i inne  
czasy. Nadtę postoje, odpoczynki niewiele urozmaiciły i zmieniły  
monotonii kierunku i kierunku myślenia.

Krok był już zupełnie, gdy nocła w dali, gdzieś na prawo od nas,  
rosła się straż. Zrazu pojedynczo, potem coraz gwałtowniej,  
nasilając się z każdą chwilą. Nie ulerato wątpliwości, idąc przez nami  
bataliony, były się u nieprzyjaciela. Do uszu naszych zaczęły dochodzić  
już nie tylko echo wystrzałów, lecz także krzyki bitewne, łaskoty i inne  
dziwne. Chłopcy pochylili się najpierw do ziemi, jak to zwykle byli  
czynie, z dnia sytuacja się nie wyjaśniła, po czym na rozkaz dowódców  
ruszyli do przodu. Biegliśmy jednak nie w stronę bitwy, lecz jakby  
wzdłuż linii walczących, w kierunku południowo-zachodnim, o ile mogłem  
się w ciemności zorientować. W tym samym czasie wśród ulatujących z  
wojskiem wozów powstało zemiście olbrzymie. Konie przeskakiwały strzela-  
nia, słyskami rakiet, raz po raz odświeżających bezkarnie półkuli  
światłymi, przysięgami niebo we wszystkich kierunkach, a chłopcy wzdłuż z  
wzrostem i podzię przez pola na oślep, rącz i wydawały przerażające  
kiki. Nikt nie był w stanie zapamiętać ani położenia, sytuacji. Wojsko  
biegło w jedną stronę, konie podziły gdzie indziej, ciwnac ze sobą  
podskokując po zagonach fary. W dali zaczęto widać, że zbliża się podję  
pancerne, z przyczynicie wzmagał się z broni maszynowej, a my się  
podwiercać w widoczność. Pędziliśmy ile się, trochę bezładnie, w  
nieznany kierunek. Walka na prawo od nas trwała nadal, lecz  
ogólniejszy odsuwając gdzieś na północny zachód, co mogło oznaczać tylko  
wycofanie się wroga. Jeszcze parę minut i zanikła się w ciemności,  
odnie panował spokój i nie słychać było przeczasyły tych dźwięków  
walki. Wtedy z podoficerów okazał się, że w kierunku południowym  
zobaczył się w kierunku i zrazu byłoby się kierunku południowym, a my  
-odnie z przyczynicie, dopytywał się tylko, że to było fary, że w kierunku  
trudno było nam się natknąć na nieprzyjaciela, a my nie mogliśmy



nie dowiedzieliśmy się oficjalnie, że byliśmy w więzieniu na parobocznicy  
coś niemiłosiernie losy parobocznicy i uciążliwi zamknęli nas znów w  
kotle, jak wry miesiąc temu na Wołyniu. Śmiało udarzenia węgierskiej  
siły w jedno miejsce udaremniło zakazy nieprzyjaciela i ogłosił  
zadawczy przeciwnikowi spore straty, wyszła z okrętu.

Tymczasem jednakże zginęło to wszystko się stało, przypomniałem sobie  
że przedziwnie w taborach został mój chory brat. W ferworze bitwy wzięty  
zupchnięty, a teraz zrozumiałem, że losy chorągo mogły zakończyć  
się tragicznie, pozostał gdzieś tam z taborem, okazywał na znak i  
niezłąkę rannych koni. Stanąłem samym nie wiedząc co począć.

- A jeśli opuszczony przez okupięce ze strachu konie porzucił  
bardzo, wyjechał gdzieś z fury i lasy na kuzynki zbroju, nie wiadomo  
gdzie iść i skąd szukać pomocy? - przemknęło mi przez głowę, niepokojąca  
myśl. - Nie się, nie dopiękuje? Sam nie do rady o własnych siłach  
dojść nie mogę. - rano znajdują go Niemcy i ... wiadomo jaki to wtedy  
może być koniec.

- I gdzie? - krzyknął do "Krotówki" - Gienek, mój brat uciekł z tyłu  
w taborach! go pobić?

Ty się przede wszystkim nie zastanawiaj, tylko podaj, póki droga wolna, bo nie  
wiadomo, co może być za rodzinę! - bez namysłu odkrzyknął bliźni brat  
nie obrać z głowy.

Próbowałem porucznika "Wira", powiedziałem od siebie stało, popatrzył  
na mnie ze współczuciem, ale raczej spytał o pozwolenie dowódcy, to usłysza  
"Zostawcie go".

- Nie możesz upoważniony do udzielenia podobnych "przepustek" -  
powiedział "Wira".

Nie miałem w sobie dość odwagi, by posłuchać.

- Jesteś porucznikiem! Wreszcie! - krzyknął i kierując nie bawiąc na  
niezależnie tego zakwestionowanie sprawy ani na następstwa, jakie spowoduje,  
pobędziemy w drodze.

Przezorność biegła pod prąd, naprzeciwkowi idącemu i nie wiedząc, jak ja  
ludziom, powoli w łukę jaka powstała po przetrwaniu niemieckiego  
pierścienia, stała już tylko z rzadka spotykałem pojedynczych żołnierzy.  
Przebiegał wzdłuż okrajki tylko, że są tam, dalej na i walczyli  
z nami, nie wiedziałem w jakim kierunku iść, by uniknąć  
wsty i zgonu. Trzeci raz nawet niedział ich odwrócić. W końcu  
zostałem opuszczony ze strachu zwierzęta? Wzrost był w taborach, przy  
wzrostu, w tym czasie, w tym czasie, w jakim spróbowałem, w tym czasie  
wzrostu, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,  
wzrostu, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,  
wzrostu, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie, w tym czasie,

biedy, bo w każdej chwili można dostać się w najgorsze tarapaty; usłyszałem nagle rżenie koni, jakieś głośnie nawoływania i potworny kwik koński.

Ruszyłem pędem w tym samym kierunku. Tchu mi już brakowało, ale biegłem resztkami sił. Przeszkadzały w tym wysokie zboża, bruzdy i redliny ziemiaków, uderzały po nogach gęstą źdźbłą kwitnącej i wydającej miły zapach gryki, ale goniłem bez przerwy, coraz tylko zwalniając nieco i ziszczerpniecie oddechu i wsłuchania się w odgłosy taborów. Wreszcie turkot kół, wołania wozniców i chrapanie koni zbliżyły się na tyle, że mimo ciemności można było dojrzeć sylwetki poruszających się wozów. Jakaż była moja radość, a także zdziwienie, gdy na drugiej czy trzeciej furze rozpoznałem, zajrzawszy z bliska w twarz, brata! Byłem tak zaskoczony, że nie mogłem wprost uwierzyć własnym oczom. Przygotowany na drucie i kto w wie czy skutecznie poszukiwania, zdziwiłem się, że oto wóz z Gienkiem jakby na mnie czekał! Z przejęcia tylko krzyknąłem do furmana, by czym prędzej jechał prosto na zachód, skąd dopiero przyszedłem, bo tam droga wolna i tamtędy poszły nasze wojska, zepominając nawet brata spytać o samopoczucie i nocne przygody. Woźnica ruszył bez namysłu, gdyż inne fury już jechały i to śpiesznie, obawiając się widocznie, że mogą zostać odcięte od wywizji. Koła stękały po bruzdach, ktoś jęczał głośno, z prawej strony, od północy, dołatywała jeszcze ciągle gęsta strzelanina, ale nie przybliżała się, tkwiąc jakby w tym samym miejscu, co oznaczało, że Niemcy nie mogą dać naszym rady i zepchnąć ich z zajętych pozycji, aby dać możliwość przejścia pozostałym batalionom.

Jechaliśmy bez przeszkód, a gdy nazajutrz dopytawszy się o miejsce postoju naszego oddziału, dotarłem wreszcie do wwoich, okazało się, że mojej nieobecności nikt jeszcze nie zauważył, gdyż nie robiono zbiórki, nie odliczano do raportu, lecz wszystkie kompanie udały się na odpoczynek po całodziennej batalii. A że miejsce było bezpieczne i pewne, warty stały tylko przy krańcach wsi.

Brat do końca pozostał już ze mną.

TRAGICZNY FINAŁ

=====

Front ruszył spod Kowla i przybliżył się z każdym dniem. Ciuche dudnienie dział, szczególnie nocą, słychać było coraz wyraźniej. Mówiło o tym także zachowywanie się hitlerowskich wojsk. Zaprzestali obraw na oddziały partyzanckie, myślały zapewne bardziej o ratowaniu własnej skóry, a brani do niewoli żołnierze Wehrmachtu byli bardziej niż kiedykolwiek przeczni i potulni. Miałem okazję konwojować raz kilkunastu jeńców z Koziówki gdzieś w okolice Nowego Dworu, by oddać ich w ręce



Rosjan. Przez całą drogę mieli strach w oczach, ale uśmiechali się do nas prawie przyjaźnie, próbowali rozmawiać, tylko że nie umieli ani słowa po polsku. Wiedzieli niewątpliwie, że koniec ich panowania zbliża się nieuchronnie.

Dwudziestego lipca zostałem wysłany do majątku Budy z jakimś meldunkiem. Dowiedziałem się tam o dokonanym dwa dni temu zamachu na Hitlera, nieznanym wprowadzie lecz świadczącym o nastrojach także w sztabie głównym niedownych zdobywców świata. Karta się odwracała.

Bataliony naszej dywizji, jakby przypominając sobie najlepsze swoje czasy, w ciągu doby oczyściły od zakamarków niemieckich Lubartów, Kuck, Birlej, Michów i parę innych mniejszych miejscowości, niszcząc lub rozbierając placówki okupanta.

Pamiętam jak o święcie dwudziestego pierwszego lipca, maszerując przez Lubartów, natknęliśmy się nagle na duży oddział niemiecki. Błyskawicznie, jak na ćwiczeniach, rozwinęliśmy się w szereg bojowy i wdarli na przeciwnika. Obrona niemiecka trwała zaledwie kilka minut, a potem całość rzuciła się do bezładnej ucieczki. Reszta podniosła ręce poddając się do niewoli.

Nie zapomnę tego pogociu ze czmychającym wrogiem, wśród padającego deszczu, po mokrym łanie zboża, gdy znad kłosów widać było tylko niebieskie nakrycie głowy uciekających Niemców. Nie zapomnę też ich przerażonych twarzy, otwartych szeroko z przerażenia szczękoczu i rzucających jakby z pasją, niemy gniewem, karabinów i automatów. W tym dniu wymieniłem wreszcie swój rosyjski karabin, na piękny nowy maszer

Nie nacieszyłem się nim długo.

Marz przez ulice Lubartowa zdobytego już w nocy przez nasze oddziały był naprawdę wzruszający. Stanowił najwyższą nagrodę ze wszystkie trudy, śród, kilkusetkilometrowy bojowy szlak, przebyty od początku działań dywizji. Na obu stronach szosy na chodnikach, mimo wczesnych godzin rannych i niezbyt sprzyjających warunkach atmosferycznych, stały tłumy ludzi. Kwiaty, papierosy, smakołyki, rozpromienione twarze, radosne okrzyki. Ludzie wyciągali do nas ręce, pozdrawiali, cieszyli się z końca niewoli i dumali z polskich jednostek partyzanckich, wkraczających do miasta. Gęsty szpalet ciągnął się od okolic wiaduktu do dużej szkoły, gdzie w izbach lekcyjnych czekał nas zastawiony odpoczynek, smaczne śniadanie i możliwość ocuszenia przemoczonych płaszczy i butów.

Lecz gdy byli i nieco wypoczęci siedzieliśmy w szkolnych ławkach, na podłodze gdzieś kto jeszcze mógł, wspominając nocne przygody, ktoś nagle przybiegł z wiadomością, że przyjechali oficerowie polscy - AI-owcy wraz z

z rozpaczą i zenosi się na awanturę. Podobno żądają od naszego dowódcy natychmiastowego opuszczenia przez nasze oddziały miasta. Chwytają nawet za pistolety!

- Widocznie zajęliśmy Lubartów bez ich zezwolenia - oderwał się ktoś "domyślnie". Trzeba było zapytać czy można?

- Nie żartuj, bo sytuacja wcale nie jest wesoła - skarcił go ten, który przyniósł wieść. Kto wie, co z tego może wyniknąć.

Wielu chłopców nie mówiąc sięgnęło po karabiny i wyciekło na plac przed szkołą. Kręcili się już tam nasza, czepcząc coś tajemniczo i spoglądając w stronę, gdzie były pomieszczenia zajęte przez nasze dowództwo. W powietrzu zawisło coś przykrego, coś, czego się nikt nie spodziewał. Przez dłuższy czas trwała niepewność i wyczekiwanie pomysłnych wieści. W końcu wyszedł na plac któryś z oficerów i rozkazał dowódcy kompanii przygotować wojsko do wymarszu.

- Cholera! - zabrzmiał za moimi plecami zduszony złością głos. - Szale by to trafił!

Słowa te najpewniej wyraziły nastroje wywołane niespodziewanym incydentem. Czego innego oczekiwaliśmy od naszych sojuszników i polekich kolegów - partyzantów. Cóż, że dzielą nas jakieś tam porządy polityczne. Walczyliśmy o tę samą wolność, o Polskę w której miejsce dla wszystkich starczy. Myślicie po swojemu, my po swojemu i tworzymy kraj możliwie najlepszy, najsprawiedliwszy. Ale teraz gdy do końca wojny jeszcze sporo czasu już chwytemy się za łby? W imię czego? Nie mieliśmy o tym pojęcia.

Dopiero później dowiedzieliśmy się, że ów "kurtuazyjny wizyta" przybył do Lubartowa generał Grzegorz Korczyński ze swoją żoną i że on zaczął wprowadzać nowe porządki. Już wtedy. A po paru dniach, może tygodniach ze zdumieniem wyczytaliśmy w prasie ukazującej się wtedy w Lublinie, jak to krwawo i bohatersko oddziały Armii Ludowej zdobywszy Lubartów i inne pobliskie większe miejscowości. Czytaliśmy to nie wiedząc - śmiać się czy gniewać. Milczeć czy iść do redakcji i żądać sprostowania? Po wielu latach dopiero ten sam Korczyński zdobył się na odwagę i szczerą, mocno spóźnioną, i na łamach Lubelskiej "Komendy" zamieścił sprostowanie dotyczące zdarzeń 44 roku, przyznając, że zasza pomyłka, bo to 27NDP A K zdobyła tamte tereny. Z odpowiedziami też były cykl artykułów z Sesji Naukowej poświęconej tamtych wydarzeniom, które wprowadza korektę do innych historycznych niefortunności. Niestety, wyjechał potem z kraju, a sprostowania poszły widocznie w zapomnienie.

Opuszczaliśmy miasto w zgodzie innych nastrojów niż radością do



śmierci wkraczaliśmy. Jeszcze podbiegali do szeregu ludzie z kwiatami, jeszcze wciskali w ręce paczki papierosów i próbowali pytać dleczeżo już odchodzący, ale nie umieliśmy rewanżować się im równie radosnymi minami, ani zaspokoić ich ciekawości co do powodu odmarszu. Jakiegoś niedoświadczona sła przeczucie zaczęło wciskać się do serca. I żal. Ciężki żal.

Wieczorem byliśmy już w Komionce. W Lubartowie pozostał chyba jakiś oddział do dnia następnego, lecz i on musiał miasta opuścić.

Szybko jednak zapomnieliśmy o Lubartowskiej przygodzie. Tym zwykłych zajęć żołnierskich, wiadomości z frontu, odwróciły uwagę od wczorajszych przykrych zajęć. Poteż gdy 25 lipca po południu zarażono zbiórki, nikomu do głowy nawet nie przyszło, że stojemy w szyku zwartym paraz ostatni.

Od rana mieliśmy w tym dniu wolne. Chłopczy drzemali, opalali się w promieniach szczególnie w tym dniu pięknego słońca, czyścili broń lub zotawiali na ulicy w towarzystwie miejscowych dziewcząt. Siedzieliśmy właśnie w stodole na snopkach słomy i robiłem codzienne notatki, gdy nadszedł rozkaz natychmiastowego przydotowanie się do odmarszu i to z pełnym oparządzeniem, przy czym buty miały być wyczyszczone do połysku, a ubiwo na miejscu - słowem jak na defiladę. Ktoś nawet oświadczył, że przyjechał jakiś wyższy oficer z Komendy Głównej AK i będzie dokonywał przeglądu wojska. Ktoś inny przyniósł wiadomość, że idziemy po mundury oraz pełne wyposażenie w nowoczesną broń i od jutrze staniemy się regularnym wojskiem, włączonym do Armii Polskiej, która przysze ze wschodu. Koniec z partyzantką, lasami, bagnami, wojną podjazdową. Zastanawialiśmy się już czy dowództwo pozostanie to samo, czy zajdą jakieś zmiany do nasz mory z powodzeniem ewansować. Jeszcze inni utrzymywali, że jest to swozozajna zmian, miejsca postoju i nic więcej. Byli wreszcie i tacy, którzy przewidywali wyprawę na Niemców w okolice Wisły. Ale naprawdę nikt niczego nie wiedział napewno i wszystko pozostawio w sferze domysłów. Negobywani oficerowie też wzruszali tylko ramionami. Nie mieliśmy zresztą zwyższi dopytywać się o podobne szczegóły. Dowództwo wie co robi, a do dowództwa, jak to wielokrotnie podkreślałem, mieliśmy całkowite zaufanie.

Było już dobrze po południu, gdy dano sygnał do wymarszu. Wyszliśmy na szosę prowadzącą w kierunku Kozłówki i Lubartowa. Dołączyły do nas, lub czekały już na drodze inne oddziały. Wkrótce cała szosa, jak okiem sięgnąć, wypełniła się naszym wojskiem. Przed pałecem ZamDjskich w Kozłówce i dalej przy drodze stały promady ludzi o podobie jak kilka dni temu w Lubartowie - witali i pozdrawiali serdecznie partyzanckie oddziały, żegnając nas zarazem

w przeświadczeniu, że idziemy na akcję i nie wrócimy już tu więcej, aby w oczach, chociaż szybkiego i skutecznego rozprawienia się z wrociem oraz szczęśliwego powrotu do rodzinnego domu towarzyszyły nam przez całą drogę. Podobnie było wszędzie, gdzie mijaliśmy więc choćby kilka pojedynczych domów. Maszerowaliśmy wesoło, bez troski, nucąc piosenki, zwyczajnie, jak młodzi ludzie o częstym amieniu.

Na jakieś półtorej godziny przed zachodem słońca cała duża kolumna zatrzymała się w miejscowości Skrobów. Przy drodze po lewej stronie szosy, wznosił się duży murowany budynek, który, jak się później dowiedziałem, zbudowany był przed wojną z przeznaczeniem dla starców, żebraków ulicznych, ludzi bez opieki i grodków do życia. Wokół budynku rozciągał się ogromny plac, ogrodzony drutem. Po przeciwnej stronie niedaleko szosy widoczną było ciągnący się z północy na południe sosnowy las.

Siedzieliśmy w przydrożnych rowach w przekonaniu, że zrazem zaraz po regulaminowym odpoczynku dalej ruszymy. Chłopcy potwierdzili niewielkie grupki i siedząc lub leżąc rozmawiali, dowcipkowali, śmiali się beztrosko. Zdziwił nas ten postój dopiero wtedy, gdy zaczął się zbyt wolno przedłużać. Słońce skryło się już za drzewa i rzuciło równoległe do ziemi nieomal promienie, przeciskając się między gęstwiną liści i szpilek, a my wciąż tkwieliśmy w tym samym miejscu, nie wiedząc dlaczego, ani jak długo, choć nam to jeszcze siedzieć. Nie narzekaliśmy, ani nie rozstrzygnęliśmy pretensji do dowództwa, wiedzieliśmy bowiem, że bez powodu takie postoje się nie odbywają, lecz niecierpliwość rosła. Co pewien czas któryś z dowódców kompanii lub plutonów szedł do przodu, by zasięgnąć języka, ale po chwili wracał z niczym. Lecz jak zwykle wśród młodych niecierpliwość przeplatała się z wesołością, nie było dziwnego, że cała szosa nieustannie rozbrzmiewała gwerem, wybuchami śmiechu, śmiechami wyrządzonymi sobie nawzajem, to znów niecierpliwymi pytaniami, lecz informacje nadal nie nadchodziły. Aż w pewnym momencie zauważyłem, że kilku ze starszyny oficerskiej wróciwszy od czoła, zaczęło o czymś ze sobą szeptać z minami tajemniczymi, zagadkowymi. I gdyby ktoś spostrzegawczy uważnie śledził ich twarze, odradziłby łatwo, że dzieje się coś niedobrego, z czym za wczelnie jeszcze dzielić się z żołnierzami. Lecz rozmowy te przeszły niepostrzeżenie, a chłopcy nadal zachowywali się wódek, niczego nie podejrzewając. Zachowywali się nadal spokojnie, niecierpliwienie zbyt długim postojem ciągle wzrastało. Lecz nawet głosy uwagi jednego z oficerów skierowane pod adresem śmiejącej promadzi chłopców? "Skoncie ylibyście już z tym śmiechem! Też im się zebraliście robić większego wrażenia. Tylko bardzo nieliczni zaczęli



sporządzać na siebie jakoś podejrzliwie i z niepokojem.

Wyraźnie na coś się zanosi ... Tylko na co ?

Był jak prawie zmierzach, gdy wezwano wszystkich dowódców do przodu. Coś się zaczynało ! Po niedługim czasie pojawił się idący z powrotem porucznik "Jastrząb". Podeszedwszy do nas rozkazał powstać, podejść bliżej i bez przestrzegania wymaganego regulaminem porządku i dyscypliny, aż zrobi się cicho, rzekł przyeiszonym, nie swoim głosem :

- Stała się rzecz okropna, tragiczna, Składamy broń. Od dziś przestajemy być wojskiem ...

Staliśmy osłupiali, nie dowierzając własnym uszom. Zapadła długa chwila milczenia.

- Dlaczego, panie poruczniku? Co się stało? posypały się najpierw pojedyncze, a później już bezładne poręczkowe pytania.

- Taki mamy rozkaz. Nic więcej powiedzieć nie umiem.

Wtem jakimś przemawiając "Jastrząb" był cichy, lodowaty, drżący, zdawał się ociękać krwią. Twarz porucznika była biała, jakby skurczony i czuć było, że tylko napięta wola nie pozwala wybuchnąć furją czy rozpaczą. Na całej szosie zapadła nagle grobowa cisza. Tu i ówdzie rozlegały się tylko czasem jakieś nerwowe okrzyki, jakby głosy protestu czy może przekleństwa. W oczach chłopaków paliły się niedobre ognie, które lada chwila mogły przenieść w wybuch prawdziwego pożaru. Dowódcy widzieli to dobrze i nawoływali do spokoju.

Wtem jakiś niewielki oddziałek oderwał się od stojącego jak w hipnozie niesfornej gromady tłumy i zniknął w ciemnościach w kierunku lasu, po prawej stronie szosy. Inni spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Jeszcze chwila i coś może się zdarzyć.

Wielejmy ! - odezwały się jednocześnie z różnych stron ciche lecz stanowcze głosy.

Zanim jednak ktokolwiek zdolał pojąć ostateczną decyzję, ciszę przesyła kilka z bliskiej odległości oddanych serii karabinu maszynowego, a nad głowami przeleciały ze świstem pociski. Wkrótce z ciemności wyłoniły się postacie niedoszłych uciekinierów i szybko zmieszali z tłumem.

- Jesteśmy otoczeni! Tuż za polem koło lasu stoją karabiny maszynowe przy nich Rosjanie. Nie maczajcie ucieczki! - informowali po cichu wracający.

Znow odezwał się do nas nasz dowódca. Ucichły natychmiast wznoszące się już rozmowy. "Jastrząb" w kilka krótkich zdań parzył kowal batalionowi za śmiałość, za ofiarność i żołnierską postawę, zapewniał, że kawał przesłanki nie pójdziesz na darmo, uspokoił wreszcie, że po złożeniu broni, czyjeś nie kom nie przeszkadza i każdy jeśli będzie chciał, może wracać do domu, lub do swoich albo chociaż rosić co będzie uważał za stosowne.

- Prawdziwy gron z jasnego nieba - kończył dowódca. - Jedno jest jednak pewne: prawda i sprawiedliwość jest po naszej stronie, dlatego choć ciężko i wam i mnie, zatrzymywać się nie można. Jeszcze wiedzicie Polacy potrzebni!

Potem wręczył każdemu po pięć dolarów na zaspokojenie pierwszych potrzeb, podał adres w Lublinie, gdzie można uzyskać pomoc i radę i życząc spotkanie w lepszej sytuacji odszedł. Jego ostatnie słowa "czegoś chłopcy" zabrzmiało jak wbicie ostrza noża w żywy organizm.

Staliśmy bez słowa. W innych batalionach musieć się podobnie bo wazęszcie wzdłuż drogi stały zwarte gromady żołnierzy i w ciszy słuchały podległych dźwięków dowódców. W powietrzu czuło się grozę, rozpacz, osłupienie. A krótkim masy mowy, dobiegające z różnych stron kojarzyły się z <sup>imi</sup> niedawnymi takimiż nowymi nad moriskami polskimi. Tyłko, że tam żegnało się kolegę, który padł w walce o słuszną i wielką sprawę, tu miało się wrożenie, że żegnomy samą sprawę, to co było dla nas największe i najdroższe, wiedzieliśmy bowiem, że spotkaliśmy aterroryzowani, oszukani, wyrzuceni poza nawias życia. A wszystko było jednocześnie tak dalece nieprawdopodobne, że w głowach czuło się chęć, podobny do obłąkania, nieposob było zebrać rozpięzkę myśli. Zapędziliśmy się w jakąś bezdenną przepaść. Bez nadziei ...

Kroczyły potem wolno, poważnie, jak na pogrzebie w kierunku bramy i placu <sup>z</sup> budowanym budynkiem drużyny, plutony, kompanie, nie przestrzegające regulaminowego porządku, niosąc ciężko i krwawo zdobytą, a tak drogą w tej chwili broń. Z zaciśniętymi szczękami i bezsilną złością ciskali chłopcy swe karabiny na wybetonowaną powierzchnię placu. Gdy przyszła moja kolej, stoł broń urósł już na wysokość człowieka i i kilometrowej średnicy, a za mną szły jeszcze liczne oddziały, by wykonać ten najtragiczniejszy z rozkazów, jak niektórzy koleday trzymając karabin w obu dłoniach, podnosili go w górę, przyciśkali mocno do ust, potem dopiero z trzaskiem rzucali na rosnącą stale startę i spiesznie odchodzili od bramy, jakby nie mogąc znieść dłużej bolesnego widoku.

Wtem jakby na urzędowisko rozległ się w pobliżu na polu śpiew chłopców i dziewcząt. Płynęły melodycznie naszych żołnierskich i patryzackich piosenek, jakie towarzyszyły nam przez długie miesiące w marszach i postojach. Ten i ów zatrzymywał się na chwilę. Spokładł z dezaprobatą w stronę śpiewających, rzucił jakąś ciępkę, obrócił się odwróciwszy bezwładnej gromady i odwracał się ze wstrętem. Nie wolno wrozić, jak można było w podobnej sytuacji zdobyć się na niewnie zbieraka ochotę pójścia i rozpadzenia niemądrych lekkoduchów. Dopiero później sprawa się wyjaśniła: to nasza drużyna łączności przekazywała



do Londynu meldunek o dziejącej się tragedii, a śpiew potrzebny był do  
zorganizowania szumu <sup>z morderstw</sup> prądnicą przez połowę radiostację słów.

Przyznać się muszę że nie spełniłem całkowicie rozkazu złożenia broni.  
Rzuciłem na stos karabin, lecz parabelum pozostawiłem przy sobie, tę  
drogocenną, otrzymaną od porucznika "Rybitwy" w ubiegłym roku w Stefanówce.  
Nie miałem sumienia rzucić swego pistoletu na kupę, jak niepotrzebny  
śmieć. Odczekałem spod budynku na drogę i rozejrzałem się w ciemności.  
Nie spodział szasy, po prawej stronie, rosła stare dzika grusza z gałęziami  
sięgającymi niemal samej ziemi. Nie namyślając się wiele skoczyłem pod  
rozłożystą koronę drzewa i zszedłem śpiesznie drząc pazurami ziemie, kopiąc  
mógł dla drugiego pistoletu. Nie była to łatwa praca, bo ziemia twarda,  
nie ustępowała bez oporu pod palcami. Nie rezygnowałem jednak tak łatwo,  
zemia nie wyrzebałem dostatecznie głębokiego dołka. Wtedy owinąłem  
chusteczką od nosa swą broń, skłóżyłem delikatnie na dno wgłębienia i  
zasypek równo ziemią. Pozostałem jeszcze chwilę jak nad prawdziwą  
morisą i odczekałem powoli z ciężkim sercem do kolegów.

Gdy znalazłem się w punkcie pobliskim, zastałem tam pełno  
naszych bezdomnych, nikomu już nie potrzebnych ludzi. Wielkiego trzeba  
by pióra, aby zdolne było opisać przeżycia rozbrojonych żołnierzy.  
Wystarczy, gdy wspomnę, że mężczyźni, grubo po czterdziestce leżeli twarzą  
do ziemi i z trudem tkumili łkanie. Tylko frgające co chwila ramiona  
mówiły o tym co się dzieje w ich wnętrzu - starych wysłużonych wiarusów,  
których znając z dotychczasowego życia i zachowanie się w bitwach i  
drobnych utarczkach, nigdy bym nie podejrzewał o takie uczucia. Niektórzy  
przeleżeli tam do rana, nie mając dość sił, by poruszyć się z miejsca.

W ciągu paru rodzin zniszczono i zetrącono zostało to, co przez  
wiele lat i ostatnich miesięcy budowane było z takim wysiłkiem, wśród  
tyle niebezpieczeństw i cementowane krwią najlepszych bohaterów  
mieszkańców Wołynia. Dziś nawet pamięć o tych ludziach i czynach zanika.  
W wielkość naszego społeczeństwa, zwłaszcza młodszego, w opole o dziejach  
27 polskiej Dywizji Piechoty AK nic nie słyszałem

Tymczasem odziesiąty uformowały się jeszcze, po raz ostatni, szary  
kierowcy, przebyły rano parę kilometrów w kierunku Lublina i otrzymawszy  
surowe polecenie rozejścia się, wykonali i ten rozkaz. Każdy ze ściśniętym  
narcem ruszył w swoją stronę. Spoję Dywizji dobiegła końca.

Wprawa się przelana polską krew, rany, cierpienia tysięcy i  
długość doła ...